



The Courier Press
Saigon Government Surrenders Under
Long Vietnam

REACHED
SATS SATURDAYS
FREE IN 60 DAYS

koko

S

**PETER
STRAUB**

Koko

koko

KOKO

Peter Straub

**Przełożyła
Maria Gębicka-Frać**

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2022**

Tytuł oryginału: *Koko*

KOKO by Peter Straub. Copyright © 1988 by Seafront Corporation. By arrangement with the author. All rights reserved.
Copyright for the Polish translation © 2022 by Wydawnictwo MAG

Przekład: Maria Gębicka-Frać

Redakcja: Joanna Figlewska
Korekta: Urszula Okrzeja
Ilustracja na okładce: Dark Crayon
Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
Pl. Konstytucji 5/10
00-657 Warszawa
www.mag.com.pl

ISBN 978-83-67353-88-5
Wydanie II

Wyłączny dystrybutor:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Maz.
tel. 22732519
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Karta tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Część pierwsza. Monument

1. Waszyngton

2. Wiadomość

3. Spotkanie po latach

4. Automatyczna sekretarka

5. Beans Beevers przy pomniku

Część druga. Przygotowania do startu

6. Beevers w spoczynku

7. Conor w pracy

8. Doktor Poole podczas pracy i zabawy

9. W poszukiwaniu Maggie Lah

10. Rozmowy i marzenia

11. Koko

Część trzecia. Ogrody Tygrysięgo Balsamu

12. Mężczyźni w ruchu

13. Koko

14. Wspominając Smoczą Dolinę

15. Spotkanie z Lolą w parku

16. Biblioteka

17. Koko

Część czwarta. W podziemnym garażu

18. Kroki do nieba

19. Jak zginął Dengler?

20. Telefon

21. Taras nad rzeką

22. Victor Spitalny

Część piąta. Morze zapomnienia

23. Robbie, z latarnią

24. W jaskini

25. Powrót do domu

26. Koko

Część szósta. Prawdziwy czysty smak

27. Pat i Judy

28. Pogrzeb

29. Okazanie

30. Drugie spotkanie

31. Spotkania

Część siódma. Zasadzka

32. Pierwsza noc w Pforzheimerze

33. Druga noc w Pforzheimerze

34. Koniec poszukiwań

35. Zasadzka

Część ósma. Tim Underhill

Przypisy

Dla Susan Straub i dla dr Lili J. Kalinich

Część pierwsza

Monument

Waszyngton

O trzeciej po południu w szary wietrzny listopadowy dzień lekarz pediastra Michael Poole spojrzął przez okno na parking hotelu Sheraton. Furgonetka VW, pomalowana sprayem w rozmyte symbole pokoju i prowadzona przez pijaka albo wariata, skręcała między pierwszym rzędem zaparkowanych aut a wjazdem, zatrzymując trąbiące samochody na pojedynczym pasie. Zakończyła manewr, uderzając przednim zderzakiem w kratę chłodnicy i reflektory zakurzonego małego camaro. Cały przód camaro złożył się w harmonijkę. Ryknęły klaksony. Furgonetka miała przed sobą zablokowane, sfrustrowane pojazdy wroga. Kierowca wycofał i Michael myślał, że ucieknie, pojedzie w wstecznym wzdłuż rzędu aut do wyjazdu na Woodley Road, ale auto wcisnęło się na wolne miejsce dwa samochody dalej.

– Cóż, cholera – mruknął Michael. – Facet poświęcił camaro dla miejsca parkingowego.

Dwa razy dzwonił do recepcji z pytaniem o wiadomości, ale żaden z trzech mężczyzn jeszcze się nie zameldował. O ile Conor Linklater nie wpadł na pomysł, żeby jechać z Norwalk motocyklem, prawie na pewno wsiadł do wahadła z Nowego Jorku, ale podobała mu się fantazja, że zobaczy ich wszystkich wysiadających z furgonetki, jedynych ocalałych z ich plutonu: Harry'ego „Beansa” Beeversa, Zagubionego Szefa, najgorszego porucznika świata; Tinę Puma, Pumo Pumę, zwanego przez Underhilla „Lady” Pumo; dzikiego małego Conora Linklatera. Oczywiście podjadą przed hotel osobno, taksówkami, ale chciał, żeby wysiedli z furgonetki. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo pragnął, żeby do niego dołączyli – wprawdzie zamierzał najpierw sam zobaczyć pomnik, ale jeszcze bardziej chciał zobaczyć go później z nimi.

Michael Poole patrzył, jak otwierają się drzwi furgonetki. Najpierw ukazała się dłoń zaciśnięta na szyjce butelki, którą natychmiast rozpoznał – był to Jack Daniel's sour mash.

Za Jackiem Danielsem powoli wysunęła się gruba ręka, a potem głowa nakryta oklapłym kapeluszem wojskowym. Mężczyzna, który teraz zatrząskiwiał drzwiami po stronie kierowcy, miał ponad sześć stóp wzrostu i ważył co najmniej dwieście trzydzieści funtów. Nosił maskujący mundur połowy w tygrysie pręgi. Dwóch niższych mężczyzn w podobnych strojach wysiadło przez przesuwane drzwi z boku furgonetki. Rosły brodacze w podniszczonych kamizelkach kuloodpornej zatrzasnęli drzwi pasażera i obszedł przód furgonetki, żeby wziąć butelkę. Roześmiał się, potrząsnął głową, pociągnął solidny łyk i przekazał flaszkę jednemu z pozostałych. Poole uznał, że indywidualnie i zbiorowo są podobni do dziesiątków żołnierzy, których znał. Pochylił się i patrzył z czołem przyciśniętym do szyby.

Oczywiście nie znał żadnego z nich. Podobieństwo miało charakter ogólny. Wielkolud nie był Underhillem i pozostali nie byli jego kolegami.

Chciał zobaczyć tam znajomych, tak wyglądała prawda. Marzyło mu się wielkie doniosłe spotkanie po latach z wszystkimi, których znał w Wietnamie, żywych lub martwych. I chciał zobaczyć pomnik – co więcej, chciał go pokochać. Niemal bał się iść do miejsca upamiętniającego poległych w Wietnamie. Na zdjęciach wyglądało pięknie, mocne, surowe i posępne. Warto kochania. Jedyнным pomnikiem, jakiego kiedykolwiek spodziewał się dla siebie, był pomnik odrębności, ale przecież mógł na niego liczyć również każdy z tych kowbojów na parkingu, ponieważ zawsze byli niepodobni do innych, tak jak niepodobni są zmarli. Wszyscy razem odróżniali się tak bardzo, że równie dobrze mogliby należeć do odrębnego plemienia. Chciał znaleźć na pomniku nazwiska, które zastąpiły jego nazwisko.

Wielki kowboj wyjął z kieszeni koszuli kawałek papieru i pisał zgięty wpół nad maską furgonetki. Pozostali wyładowali worki marynarskie. Butelka Jacka Daniela przechodziła z ręk do ręk, aż kierowca wzięła ostatni łyk i wsunął ją do worka.

Michael chciał być na zewnątrz, działać. Zgodnie z harmonogramem, który odebrał w recepcji na dole, parada na Constitution Avenue już się rozpoczęła. Zanim po raz pierwszy spojrzy na pomnik i wróci, pozostali już będą zameldowani.

Chyba że Harry Beevers pije w barze restauracji Tiny Puma i prosi o jeszcze jedno martini z wódką, o jeszcze jedno malutkie martooni. Wtedy złapiemy wahadło o piątej zamiast o czwartej, albo o szóstej, a może o siódmej. Tina Pumo, jedyny ze starej grupy, z którą Poole widywał się mniej więcej regularnie, powiedział mu, że Beevers czasami spędza u niego całe popołudnia. Sam od czterech czy pięciu lat tylko raz rozmawiał z Beeversem, trzy miesiące temu, kiedy Beevers zadzwonił do niego, żeby przeczytać na głos przysłany mu przez brata artykuł ze „Stars and Stripes”, o serii przypadkowych morderstw, które na Dalekim Wschodzie popełnił ktoś, kto podpisał się Koko.

Poole cofnął się od okna. Nie był to czas na rozmyślanie o Koko. Wielkolud w tygrysiach paskach i kapeluszu wojskowym wsunął kartkę pod wycieraczkę na przedniej szybie camaro. Co napisał? „Wybacz, że rozwaliłem ci auto, stary, zapraszam na szklaneczkę jacka...”.

Poole usiadł na skraju łóżka, podniósł słuchawkę i po chwili wahania wykręcił numer Judy, która o tej porze pracowała w szkole.

– Jestem na miejscu, ale inni jeszcze się nie zjawili – powiadomił ją, gdy odebrała.

– Co mam powiedzieć? „Biedny Michael”?

– Nie, uznałem, że chciałabyś wiedzieć, co się dzieje.

– Posłuchaj, Michael, masz jakąś konkretną sprawę? Ta rozmowa nie ma sensu. Spędzisz kilka dni na piciu i rozrzewnianiu się ze swoimi starymi kumplami z wojska. Czy jest w tym jakaś rola dla mnie? Przeze mnie poczułbyś się winny, to wszystko.

– Nadal żałuję, że nie pojechałaś ze mną.

– Moim zdaniem przeszłość należy do przeszłości, bo tam jest jej miejsce. Czy to ci coś mówi?

– Chyba tak – mruknął.

Zapała cisza, która trwała zbyt długo. Judy nie odezwie się, dopóki on tego nie zrobi.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Pewnie dziś wieczorem zobaczą się z Beeversem, Tiną Pumem i Conorem, a jutro chciałbym wziąć udział w obchodach. Przyuszczam, że wrócę do domu w niedzielę około piątej lub szóstej.

– Pańscy pacjenci są nadzwyczaj wyrozumiali.

– Wysypka od pieluch rzadko kończy się śmiercią – stwierdził, a Judy przeciągle wypuściła powietrze. – Zadzwonić jutro?

– Nie trudź się. To miłe, ale nie zwracaj sobie głowy, naprawdę.

– Naprawdę – powiedział i odłożył słuchawkę.

2

Michael szedł powoli przez hol Sheratona, patrząc na mężczyzn stojących w kolejce do recepcji, wśród nich wielkiego kowboja w mundurze w tygrysie paski i jego trzech kumpli, oraz na grupy ludzi siedzących na wyszczepianych ciemnozielonych krzesłach i ławkach. Sheraton należał do tych hoteli, w których nie ma prawdziwego baru. Kobiety w obcisłych, prawie przejrzytych sukienkach nosiły drinki do dwudziestu czy trzydziestu stoliczków w holu. Wydawało się, że wszystkie pochodzą z tej samej wysokiej, leniwej, przystojnej rodziny. Zwykle te księżniczki serwowały gin z tonikiem i wodę perrier z limonką modnie ostrzyżonym biznesmenom w ciemnych garniturach – jak jego sąsiedzi w hrabstwie Westchester – a teraz stawały kieliszki tequili i butelki piwa przed dzikusami w kurtkach bojowych i kapeluszach, w bajeranckich mundurach polowych i jeszcze bardziej odlotowych czapkach khaki z daszkiem.

Cierpka rozmowa z żoną sprawiła, że Michael miał ochotę usiąść wśród tych dzikich ludzi i zamówić drinka. Ale wiedział, że jeśli usiądzie, da się wciągnąć w różne rzeczy. Ktoś go zagada. Wtedy postawi drinka facetowi, który był w niektórych tych samych miejscach co on, albo w pobliżu, albo miał przyjaciela, który był w pobliżu tych miejsc. Wtedy facet postawi mu drinka. Doprowadzi to do opowieści, wspomnień, teorii, rzewnych obietnic, ślubów braterstwa. W końcu dołączy do parady jako członek bandy nieznamomych i będzie oglądał pomnik przez gęsty kojący filtr alkoholu. Dlatego szedł dalej.

– Kawaleria powietrzna do samego końca! – krzyknął ktoś za jego plecami głosem przesiąkniętym whisky.

Wyszedł bocznymi drzwiami na parking. Było trochę za zimno na tweedową marynarkę i sweter, postanowił jednak nie wracać na górę po płaszcz. Ciężkie kłębiące się chmury groziły deszczem, ale uznał, że będzie mu wszystko jedno, jeśli się rozpada.

Podjazdem z ulicy wjeżdżały samochody: tablice rejestracyjne z Florydy, Teksasu, Iowa, Kansas i Alabamy, marki wszelkiego rodzaju, od hardcorowych pickupów GM po maleńkie japońskie importy. Furgonetka kowboja i jego kumpli przybyła do Waszyngtonu z New Jersey, stanu ogrodów. Pod wycieraczką camaro tkwiła notatka: „Stałeś mi na drodze, więc pierdol się!!!”.

Michael zatrzymał taksówkę i poprosił kierowcę, żeby zawiózł go na Constitution Avenue.

– Idzie pan w paradyż? – zapytał od razu taryfiarz.

– Zgadza się.

– Jest pan weteranem? Był pan tam?

– Zgadza się.

Michael spojrzął w lusterko wsteczne. Taksówkarz mógł być jednym z tych gorliwych, zdesperowanych, lekko szalonych studentów skazanych na wyrzucenie z uczelni medycznej: bezbarwne plastikowe okulary, włosy koloru pomoy, blada, młodzieńcza skóra. Plakietka informowała, że nazywa się Thomas Strack. Krew z ogromnego pryszcza zaschła na kołnierzyku jego koszuli.

– Walczył pan? W wymianie ognia?

– Od czasu do czasu.

– Zawsze chciałem o coś spytać... mam nadzieję, że się pan nie obrazi.

Michael wiedział, co zaraz usłyszy.

– Jeśli nie chcesz, żebym się obraził, nie zadawaj obraźliwych pytań.

– W porządku. – Taryfiarz odwrócił głowę, by na niego spojrzeć, po czym znów skierował wzrok prosto przed siebie. – No dobra, nie ma potrzeby być nieprzyjemnym.

– Nie mogę ci powiedzieć, jak to jest kogoś zabić.

– To znaczy, że nikogo pan nie zabił.

– Nie, to znaczy nie mogę ci powiedzieć.

Taksówkarz przejechał resztę drogi w pełnym wściekłości milczeniu. Mogłeś mi coś powiedzieć. Pokazać krwawą jatkę, czemu nie? Pokaż mi to stare dobre poczucie winy, pokaż tę piękną starą ekstazę. Przeszłość należy do przeszłości, bo tam jest jej miejsce. Nie trudź się, naprawdę. Stałeś mi na drodze, więc pierdol się.

Wezmę potrójne martini z finlandią i lodem, zatrzymaj oliwki, proszę, zatrzymaj wermut, proszę, zatrzymaj lód, proszę, i to samo dla moich czterystu kumpli, proszę. Może wyglądają trochę śmiesznie, ale to moje plemie.

– W porządku? – zapytał taryfiarz.

Obok samochodu stał mur ludzi. Michael widział flagi i transparenty. Zapłacił i wysiadł.

Mógł spoglądać ponad głowami większości osób na chodnikach. Tutaj zebrali się plemie, zgadza się. Mężczyźni, którzy kiedyś byli żołnierzami, ubrani tak, jakby nadal służyli, zajmowali całą szerokość Constitution Avenue. Maszerowali nierówno w grupach wielkości plutonu, przeplatanych orkiestrami ze szkół średnich. Inni stali na chodniku i tylko patrzyli, ponieważ pogodzili się z tym, kim byli i kim się stali z powodu tego, co robili. Gapię klaskali. Michael zdał sobie sprawę, że do tej pory nie do końca wierzył w realność tej parady.

Nie ma serpentyn ani limuzyn jak na Piątej Alei po uwolnieniu przetrzymywanych w Teheranie zakładników, ale pod wieloma względami tak jest lepiej, bardziej kameralnie, mniej euforycznie, za to bardziej emocjonalnie. Michael przecisnął się przez tłum na chodniku. Zszedł z krawężnika i ruszył za najbliższą liczną nieregularną grupą. Niespodziewanie łyż zasnuły mu oczy.

Trzy czwarte mężczyzn przed nim było wojownikami z dżungli wyposażonymi we wszystko poza claymore'ami i M-16. Jedną czwartą stanowili tędzy weterani drugiej wojny światowej, przywodzący na myśl byłych bokserów. Wyszło słońce, on jednak spostrzegł to dopiero wtedy, gdy zobaczył długie cienie pełzące ku niemu po ulicy.

Widział Tima Underhilla, kolejny długi cień kroczący z wypiętym brzuchem i dryfującym dymem z cygara. Underhill mamrotał w myślach nieprzyzwoite zabawne uwagi na temat wszystkich w zasięgu wzroku, ubrani w letnią bluzę z bandaną i workowate spodnie khaki. Na lewym ramieniu miał rozsmarowaną krew komara.

Na przekór wszystkiemu Michael żałował, że Underhilla nie ma teraz przy nim. Zdał sobie sprawę, że brał go pod uwagę – nie rozmyślał o nim ani się nad nim nie zastanawiał, tylko brał pod uwagę – odkąd Harry Beavers zadzwonił do niego pod koniec października, by opowiedzieć o artykułach prasowych, które brat przysłał mu z Okinawy.

W dwóch odrębnych zdarzeniach trzy osoby, angielski turysta po czterdzieście i dwoje starszych Amerykanów, zostały zamordowane w Singapurze mniej więcej w czasie, gdy zakładnicy wrócili z Iranu do Stanów Zjednoczonych. Uważano, że morderstwa popełniono w odstępie od tygodnia do dziesięciu dni. Anglika znaleziono na terenie hotelu Goodwood Park, amerykańską parę w pustym bungalowu w dzielnicy Orchard Road. Wszystkie trzy ciała były okaleczone, a przy dwóch leżały karty do gry z niezwykłym i zagadkowym napisem: „Koko”. Sześć miesięcy później, latem 1981 roku, w pokoju hotelowym w Bangkoku znaleziono podobnie okaleczonych dwóch francuskich dziennikarzy. Na zwłokach leżały karty do gry z tą samą nazwą. Jedyna różnica między tymi zabójstwami a tamtymi, które miały miejsce po 1a Thuc półtorej dekady wcześniej, polegała na tym, że karty nie były pułkowe – pochodziły ze zwykłych komercyjnych talii.

Michael pomyślał, że Underhill mieszka w Singapurze, a przynajmniej zawsze twierdził, że zamierza tam osiąść po zakończeniu służby. Nie mógł jednak wykonać mentalnego skoku, który był niezbędny, żeby skazać Tima Underhilla za morderstwa.

W Wietnamie poznał dwóch niezwykłych ludzi, którzy wyróżniali się jako wyjątkowo godni szacunku i podziwu w tym na wpół cyrku, na wpół laboratorium ludzkich zachowań, jakim staje się istniejąca od dawna jednostka bojowa. Jednym był Tim Underhill, a drugim chłopak z Milwaukee, M.O. Dengler. Najodważniejsi ludzie, jakich kiedykolwiek znał, Underhill i mały Dengler, czuli się w Wietnamie jak ryby w wodzie.

Po wojnie Tim Underhill wrócił na Daleki Wschód tak szybko, jak tylko się dało, i został odnoszącym umiarkowane sukcesy pisarzem kryminalów. M.O. Dengler zginął w dziwnym zdarzeniu w Bangkoku, gdzie przebywał na urlopie wraz z innym żołnierzem, Victorem Spitalnym, i nigdy nie wrócił z Azji.

Och, Michael Poole tęsknił za Underhillem. Tęsknił za obydwoima, Underhillem i Denglerem.

Grupa weteranów za nim, równie rozproszona i zróżnicowana jak ta z przodu, stopniowo go doganiała. Uświadomił sobie, że nie maszeruje już sam; szedł szpalerem tłumów na chodnikach z dwójką wąsatych piechurów wzrostu Denglera i gromadą weteranów różnych wojen w garniturach z poliestru.

Jakby czytając w jego myślach, jeden z idących obok niego denglerowatych piechurów przysunął się i coś szepnął. Michael pochylił się i osłonił dłonią ucho.

– Byłem cholernie dobrym wojownikiem, człowieku – szepnął trochę głośniejsi niski były żołnierz. Łzy błyszczały mu w oczach.

– Prawdę mówiąc, przypominasz mi jednego z najlepszych żołnierzy, jakich kiedykolwiek znałem – odparł Michael.

– Bez jaj. – Mężczyzna energicznie skinął głową. – W jakiej byłeś jednostce?

Poole podał mu nazwę dywizji i batalionu.

– Który rok? – Mężczyzna przechylił głowę, żeby przyjrzeć się jego twarzy.

– Sześćdziesiąty ósmy, sześćdziesiąty dziewiąty.

– 1a Thuc – powiedział natychmiast piechur. – Pamiętam. To wy, prawda? „Time” i cały ten szajs?

Poole skinął głową.

– Racja, kurwa. Powinni dać temu porucznikowi Beeversowi pierdolony Medal Honoru za to, co zrobił, a potem mu go odebrać za chlapanie ozorem przed pierdolonymi dziennikarzami – stwierdził piechur i odsunął się płynnym ruchem, który byłby bezgłośny, gdyby szli po kruchych gałązkach.

Dwie grubaski z krótkimi puszystymi włosami, w pastelowych spodniach i o spokojnych kościelno-piknikowych twarzach, rytmicznie machały czerwonym transparentem z surowymi czarnymi literami pow-mia ½. Kilka kroków dalej dwóch młodych byłych żołnierzy maszerowało z innym transparentem: odszkodowanie za agent orange.

Agent orange, czynnik pomarańczowy. Victor Spitalny przekrzywił głowę, wysunął język i stwierdził, że smakuje nieźle. Skurwysyny, pijcie to! To gówno boo-koo dobre dla flaków! Washington, Spanky Burrage i Trotman, czarni żołnierze w jednostce, wybuchli śmiechem i wpadli w gęste poszycie dżungli przy szlaku, wzajemnie klepiąc się po plecach i bokach, powtarzając „boo-koo dobre dla flaków”. Rozzłościli Spitalny’ego, który, jak wiedzieli, na swój głupi sposób próbował być zabawny. Zapach ni to benzyny, ni rozpuszczalnika przemysłowego przywierał do nich wszystkich, dopóki nie zamaskował go albo nie zmył pot, środek odstraszący owady i brud.

Poole przyłapał się na wycieraniu dłoni, ale było za późno, żeby pozbyć się czynnika pomarańczowego. Jakie to uczucie zabić kogoś? Nie mogę ci powiedzieć, bo nie mogę ci powiedzieć. Sądzę, że może sam się zabiłem, ale nie wcześniej, niż zabiłem mojego syna. Sraj w gacie, człowieku, ze śmiechu.

Gdy Michael Poole dotarł do parku, parada roztopiła się w tłum złożony z uczestników przemarszu i gapiów, którzy teraz razem szli po trawie. Luźne grupy sunęły jak okiem sięgnąć, wędrowały między rzadkimi drzewami, zapelniały całą scenę. Chociaż jeszcze nie widział pomnika, wiedział, gdzie jest. Jakież sto jardów przed nim tłumy schodziły do naturalnej niecki, z której płynął psychiczny blask zbyt wielu ludzi. Na samym dole stał monument. Michael czuł, jak mrowi go skóra na głowie.

Falanga mężczyzn na wózkach inwalidzkich jechała po długim pasie trawy przed nieką. Jeden wózek przechylił się i wypadł z niego wychudzony, czarnowłosy, beznogi mężczyzna o szokująco znajomej twarzy. Serce mu zamarło – to Harry Beevers. Rzucił się z pomocą. Nagle wyhamował. Przyjaciele już otaczali leżącego mężczyznę, który, tak czy inaczej, nie mógł być jego dawnym porucznikiem. Dwóch postawiło fotel. Trzymali go nieruchomo, gdy mężczyzna dźwignął się na kikutach na metalowe podnóżki. Złapał się za podłokietniki i zwinnie wciągnął na fotel.

Tłum stopniowo wyprzedzał inwalidów. Michael rozejrzał się. Otaczały go znajome twarze, które po drugim rzucie oka zmieniły się w twarze obcych. Do trawistej niecki zmierzały różne rosłe brodate wersje Tima Underhilla, a także kilku szczupłych, umięśnionych Denglerów i Spitalnych. Rozpromieniony pyzaty Spanky Burrage trzepnął dłoń czarnoskórego mężczyzny w kapeluszu Sił Specjalnych. Poole zastanawiał się, co się stało z dąpem, skomplikowaną serią uścisków w dłoni, którymi zwykli witać się czarni w Wietnamie. Dapy były cudowną mieszaniną powagi i wesołości ukrytej za twarzą pokerzysty.

Ludzie spływali do niecki. Starsze kobiety i małe dzieci trzymały chorągiewki. Po prawej stronie, za dwoma młodymi mężczyznami o kulach, dreptał staruszek z łysiną w kolorze fabrycznej bieli, z rzędem medali nad lewą kieszenią kraciastej koszuli. Obok niego rumiany siedemdziesięciolatek w czapce garnizonowej VFW zmagął się ze lśniącym chodzikiem. Poole spoglądał w twarz każdemu mężczyźnie mniej więcej w swoim wieku i zauważył, że większość odpowiada mu spojrzaniem – krzyżowy ogień sfrustrowanego rozpoznania. Zrobił jeszcze jeden krok po zdeptanej trawie i spojrział prosto przed siebie.

Monument był długą linią czystej czerni, przerywaną przez sylwetki ludzi. Ludzie stali wzdłuż szczytu albo chodzili po przyszytych na jeża trawie, jakby mierzyli ją krokami. Inni kucali lub pochylali się, żeby odsukać nazwiska wryte w polerowanym kamieniu. Poole przeszedł kawałek dalej, zatoczona niecka rozszerzyła się i opadła, i teraz miał przed sobą całą scenę.

Ludzie stali przed ogromnym, złamanym czarnym skrzydłem monumentu, ale go nie przytłaczali. Przypuszczał, że pochłonięcie go wymagałoby znacznie liczniejszych tłumów. Zdjęcia nie do końca oddawały jego skalę. Siła pomnika wyrastała z jego ogromu. Na zwężających się krańcach miał tylko kilka cali wysokości, ale w załamany środek ponad dwukrotnie przewyższał średniego wzrostu. Wzdłuż niego, oddzielona szerokim na stopę pasem ziemi, już pełnym chorągiewek, liter przytych do patyków, wieńców i fotografii zmarłych, biegła pochyla ścieżka z granitowych płyt.

Ludzie powoli szli przed tą wyrzistą bliźną w ziemi i coraz wyższymi granitowymi tablicami. Od czasu do czasu przystawali, żeby pochylić się i dotknąć jakiegoś nazwiska. Michael widział wiele uścisków. Chudsza wersja nie lubianego sierżanta z unitarki wsuwała małe czerwone maki jeden po drugim w szczeliny między panelami. Tłum w kształcie klina, ze szpicem naprzeciwko centralnej części pomnika, rozkładał się niczym wachlarz na łagodnym trawiastym zboczu niecki. Biła od niego gęsta, zbita fala emocji.

Oto co zostało z wojny. Wojna wietnamska składała się z nazwisk wrytych na pomniku, a ludzie albo przechodzili tam i z powrotem przed nimi, albo stali i się w nie wpatrywali. Dla Poole'a rzeczywisty Wietnam był teraz tylko kolejnym krajem – odległym o wiele tysięcy mil, z historią pełną wojen i specyficzną niedostępną kulturą. Jego historia i kultura przez krótki katastrofalny czas przecinała się z tą amerykańską. Ale rzeczywisty kraj Wietnam nie był jego Wietnamem; jego Wietnam był tutaj, w tych amerykańskich imionach i twarzach.

Obok niego znów zjawił się duch Underhilla, ugniatając muskularne ramię zakrwawionymi palcami – jasne smugi owadziej krwi na opalanej skórze. Ach, lady Michael, oni wszyscy są dobrymi ludźmi, po prostu dali się zepsuć wojnie, to wszystko. Ironiczny chichot. Nas to nie dotknęło, prawda, lady Michael? Mamy w zwyczaju być ponad tym wszystkim, prawda? Powiedz mi, że tak.

Chyba widziałem, jak rozbijasz samochód, żeby wjechać na miejsce parkingowe – powiedział Poole do wyimaginowanego Tima Underhilla.

Rozbijam samochody tylko na papierze.

Underhill, zabiłeś tych ludzi w Singapurze i Bangkoku? Czy położyłeś karty Koko na ich ciałach?

Nie sądzę, że zdołasz mi to udowodnić, lady Michael.

– Powietrznodesantowy! – krzyknął ktoś.

– Do samego końca! – odkrzyknął ktoś inny.

Poole zbliżał się do pomnika przez w większości nieruchomy tłum. Sierżant, który wyglądał jak jego stary sierżant z Fort Sill, wsuwał teraz malutkie czerwone maki w szczelinę między dwoma środkowymi wysokimi panelami. Maki wystające spod między pionowych płyt odbijały się dwukrotnie, za każdą czerwoną strzałką leżały dwa czarne cienie. Potężny rozczochny mężczyzna trzymał obszytą frędzlami flagę wielkości Teksasu. Poole stanął obok meksykańskiej rodziny tuż przy granitowym chodniku i po raz pierwszy zobaczył odbicie w wysokim czarnym panelu. Lustrzani ludzie płynęli przed nim. Lustrzana meksykańska rodzina – mężczyzna i kobieta, dwie nastolatki i mały chłopiec z flagą – wpatrywała się w to samo miejsce na ścianie. Rodzice trzymali oprawioną w ramkę fotografię młodego żołnierza piechoty morskiej. Pool, z zadartą głową, podobnie jak inni, szukał konkretnego nazwiska. Nagle jakby w złudzeniu optycznym, prawdziwy Poole zobaczył imiona wyskakujące z czarnej ściany. Donald Z. Pavel, Melvin O. Elvan, Dwight T. Pouncefoot. Spojrzał na następny panel. Art A. McCartney, Cyril P. Downtain, Masters J. Robinson, Billy Lee Barnhart, Paul P.J. Bedrock. Howard X. Hoppe. Bruce G. Hyzop. Wszystkie nazwiska wydawały się w równym stopniu obce i znajome.

Ktoś za nim powiedział: „Alfa Papa Charlie”. Michael odwrócił głowę, czując mrowienie w uszach. Teraz ludzie zapełniali już całą płytką nieckę. Zasłaniaли wzniesienie. Alfa Papa Charlie. Bez rozpytywania nie sposób było powiedzieć, który z mężczyzn, siwych, łysych, z kucykami, o twarzach gładkich i dziobatych, ze szwami i bliznami, przemówił naelektryzowany uczuciem. Z grupy czterech czy pięciu mężczyzn w dzunglowych kapeluszach i zielonych kurtkach doszedł inny, bardziej szorstki głos: „... straciłem go pod Da Nang”.

Da Nang. Na terytorium I Korpusu, w jego Wietnamie. Przez dłuższą chwilę nie mógł poruszać rękami ani nogami. Napływały do niego nazwy miejsc, których nie pamiętał przez czternaście lat – Chu Lai, Tam Ky. Zobaczył wąską ścieżkę za rzędem chat; czuł zapach pęków marihuany suszącej się pod sufitem przybudówki, w której mieszkała i prosperowała mamasan Si Van Vo. I Smocza Dolina, o Boże. Phu Bai, strefa lądowania Sue, Hue, Quang Tri. Alfa Papa Charlie. Po drugiej stronie zbiorowiska krytych strzechą chat rząd bawołów sunął przez błotnistą równinę w kierunku górskiego szlaku. Miliony owadów zaciemniały wilgotne powietrze. Marmurowa Góra. Wszystkie te urocze miejsca pomiędzy Kordylierą Annamską a Morzem Południowocchińskim, gdzie martwy specjalista Cotton, zabity przez snajpera Elvisa, leniwie wirował w spienionej różowej wodzie. Dolina A Shau: tak, chociażbym chodził...

Tak, chociażbym chodził ciemną doliną A Shau, zła się nie ulękę. Michael widział M.O. Denglera podskakującego na wysokości, wąskiej ścieżce, uśmiechającego się do niego przez ramię, z kłopotami i amunicją na plecach. W tle radosnej twarzy Denglera rozciągał się falisty krajobraz o niewiarygodnej głębi i delikatności, zanurzający się na setki metrów we mgłę, pomalowany dziesiątkami różnych tonów zieleni i toczący się ku zielonej niebiańskiej nieskończoności. Byłeś niegrzeczny? – zapytał go Dengler. Jeśli nie, nie masz się o co martwić. Tak, chociażbym kroczył doliną A Shau...

Poole w końcu zdał sobie sprawę, że płacze.

– Tak, Polacy po obu stronach. – Usłyszał w pobliżu głos starszej kobiety. Otarł oczy, ale znów się zapełniły, tak szybko, że nie widział niczego poza kolorowymi plamami. – Cała okolica była polska, z obu stron, w górę i w dół. Ojciec Toma walczył w drugiej wojnie światowej, ale rozedma płuc zatrzymała go dzisiaj w domu.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i przycisnął ją do oczu, próbując zapanować nad łzami.

– Powiedziałam, staruszkule, możesz robić, co chcesz, ale mnie nic nie powstrzyma od wyjazdu do Waszyngtonu na Dzień Weterana. Nie martw się, synu, nikt tutaj nie ma nic przeciwko, jeśli wypłakujesz oczy.

Powoli zdał sobie sprawę, że ta ostatnia uwaga była skierowana do niego. Opuścił rękę z chusteczką. Otyła, siwowłosa kobieta po sześćdziesiątce patrzyła na niego z babciną troską. Obok niej stał czarnoskóry mężczyzna w wyblakłej kurtce Sił Specjalnych, w kapeluszu Korpusu Wojskowego Australii i Nowej Zelandii na niesfornym afro.

– Dziękuję – mruknął. – To coś... – wskazał za siebie, na pomnik – ...w końcu mnie dopadło.

Czarny był żołnierz skinął głową.

– Właśnie słyszałem, jak ktoś coś powiedział, już nawet nie pamiętam, co takiego...

– Tak, ja też – powiedział czarny mężczyzna. – Słyszałem, jak ktoś powiedział „jakieś dwadzieścia kilosów od An Khe” i... cholera, zniknął mi żołądek.

– Pierwszy Korpus. Byłeś trochę na południe ode mnie. Jestem Michael Poole, miło cię poznać.

– Bill Pierce. – Uścisnęli sobie dłonie. – Ta pani tutaj to Florence Majeski. Jej syn był w moim oddziale.

Poole nagle zapragnął zamknąć staruszkę w ramionach, ale wiedział, że jeśli to zrobi, znowu się rozklei. Zadał pierwsze pytanie, jakie wpadło mu do głowy:

– Śmignąłeś ten kapelusz Wietnamcowi z południa? Kangurowi? ARVN-owi?

Pierce uśmiechnął się.

– Zerwałem go, jadąc dżipem. Biedaczysko.

Wtedy już wiedział, o co naprawdę chciał zapytać Pierce'a.

– Jak można w całej tej gęstwie znaleźć nazwiska, których się szuka?

– Na obu krańcach pomnika są żołnierze piechoty morskiej. Mają książki ze wszystkimi nazwiskami i numerami tablic, na których się znajdują. Możesz też zapytać jedną z żółtych czapek. Po to tu są, ze względu na tych wszystkich dodatkowych ludzi. – Pierce zerknął na panią Majeski.

– Mieli Toma w księdze – powiedziała starsza pani.

– Tam widzę jednego. – Pierce wskazał na prawo od Michaela. – On znajdzie dla ciebie, co trzeba.

W niewielkiej grupie ludzi wysoki, brodaty, młody, biały mężczyzna w żółtym kaszkiecie przeglądał kartki w segregatorze i wskazywał konkretne panele.

– Niech cię Bóg błogosławi, synu – powiedziała pani Majeski. – Jeśli kiedyś będziesz w Ironton w Pensylwanii, wpadnij z wizytą.

– Powodzenia – rzucił Pierce.

– Wzajemnie, wam obojgu. – Poole uśmiechnął się i odwrócił.

– Mówiłam poważnie! – krzyknęła pani Majeski. – Zajrzyj do nas!

Michael pokiwał ręką i podszedł do mężczyzny w żółtej czapce. Otaczało go co najmniej dwadzieścia osób i wszystkie pochylały się w jego stronę.

– Po kolei, inaczej nie dam rady – powiedział mężczyzna płaskim głosem mieszkańca Środkowego Zachodu. – Proszę, dobrze?

Reszta powinna już być w hotelu, pomyślał Poole. To niedorzeczny gest.

Młody człowiek w żółtej czapce przejrzał kartki, wskazał panele, otarł wilgoć z czoła. Michael wkrótce stanął przed nim. Wolontariusz miał na sobie niebieskie dżinsy i rozpiętą do połowy dżinsową koszulę na wilgotnym szarym T-shirtcie. Jego broda błyszczała od potu.

– Nazwisko.

– M.O. Dengler.

Mężczyzna przesunął kartki, znalazł literę D i przesunął palcem w dół kolumny.

– Jest. Jedynym Denglerem jest Dengler, Manuel Orosco, z Wisconsin. Akurat to mój stan rodzinny. Panel czternasty na zachód, linijka pięćdziesiąta druga. Tam. – Wskazał w prawo.

Małe maki jak czerwone łebki szpilek cętkowały krawędzie płyty, przed którą stała liczna nierucho ma gromada ludzi. nigdy więcej wietnamu, głosił jasnoniebieski transparent.

Manuel Orosco Dengler? Hiszpańskie imiona były niespodzianką. Nagła myśl zatrzymała Michaela, gdy szedł przez tłum w stronę niebieskiego sztandaru: przewodnik wskazał mu niewłaściwego Denglera. Potem przypomniał sobie, że przecież powiedział, że to jedyny Dengler. I inicjały się zgadzały. Manuel Orosco musi być jego Denglerem.

Ponownie znalazł się przed monumentem. Jego ramię dotykało ramienia kudłatego łkającego weterana z podkręconymi włosami. Obok niego kobieta o platynowych włosach, długich do paska niebieskich dżinsów, trzymała za rękę dziewczynkę, również blondynkę. Dziecko bez ojca, podczas gdy on już zawsze będzie ojcem bez dziecka. Po drugiej stronie pasa darni, obsadzonego chorągiewkami, wiencami i przypiętymi do patyków fotografiami młodych żołnierzy, wznosił się przed nim czternasty panel, zachodni. Poole liczył, aż dotarł do pięćdziesiątej drugiej linii. Skoczyło ku niemu pełne nazwisko M.O. Denglera, manuel orosco dengler, wryte w czarnym wypolerowanym granicie. Podziwiał chirurgiczną precyzją grawerunku, nieupiększoną klarowność liter. Wiedział, że nigdy nie miał innego wyboru, jak stanąć przed tym nazwiskiem.

Denglerowi podobały się nawet racje żywnościowe, którymi pogardzali inni. Twierdził, że mięso z indyka o smaku psiej karmy, puszkowane w 1945 roku, jest lepsze niż wszystko, co kiedykolwiek przyrządziła jego matka. Dengler lubił patrole. (Hej, jako dzieciak przez cały czas byłem na patrolu). Upał, zimno i wilgoć nie robiły na nim większego wrażenia. Według niego, podczas burz lodowych w Milwaukee tęczce zamarzały do samej ziemi i dzieciaki wybiegały z domów, odłupywały kawałki swoich ulubionych kolorów i lizały je, aż stawały się białe. Jeśli chodzi o brutalność i strach przed śmiercią, Dengler mówił, że na zewnątrz zwyczajnej knajpy w Milwaukee widzi się co najmniej tyle przemocy, co podczas przeciętnej wymiany ognia; w środku, twierdził, widzi się trochę więcej.

W Smoczej Dolinie Dengler nie dbał o ostrzał, targając rannego Trotmana do sanitariusza Petersa, przez cały czas gadając spokojnie i z humorem. Dengler wiedział, że nic go tam nie zabije.

Poole zrobił krok do przodu, uważając, żeby nie zdeptać fotografii albo wieńca, i przesunął palcami po ostrych krawędziach wrytego w zimnym kamieniu nazwiska Denglera.

Mignęła mu szybka, nieszczęsna, znajoma wizja Spitalny'ego i Denglera biegnących razem przez kłęby dymu w kierunku wejścia do jaskini w Ia Thuc.

Odwrocił się od granitowej ściany. Jego twarz wydawała się zbyt ściągnięta. Blondynka posłała mu współczujący, ostrożny półuśmiech i pociągnęła córeczkę do tyłu.

Poole chciał zobaczyć swoich wojowników. Spowijało go dojmujące uczucie samotności i izolacji.

Wiadomość

1

Michael był tak bardzo pewien, że w hotelu będzie na niego czekać wiadomość od przyjaciół, że prosto od drzwi obrotowych pomaszerował do recepcji. Harry Beevers zapewnił go, że będą „mniej więcej po południu”. Była za dziesięć piąta.

Zaczął przeglądać przegródki za biurkiem, gdy tylko mógł odczytać numery pokoi pod nimi. Mając za sobą trzy czwarte drogi przez hol, zobaczył biały hotelowy formularz w swojej prostokątnej przegródce. Od razu poczuł się znacznie mniej zmęczony. Beevers i pozostali dwaj już są.

Podszedł do biurka i przyciągnął uwagę recepcjonisty.

– Jest dla mnie wiadomość. Pool, pokój dwieście cztery.

Wyjął z kieszeni marynarki duży klucz i pokazał go mężczyźnie, który z niemal irytującym brakiem pośpiechu zaczął wodzić wzrokiem po przegródkach. W końcu znalazł właściwą i wyjął formularz. Zerknął na wiadomość, podając kartkę, po czym się uśmiechnął.

– Proszę.

Michael wziął kartkę, spojrzął na nazwisko i stanął plecami do recepcjonisty, żeby przeczytać wiadomość. „Próbowałam oddzwonić. Naprawdę odłożyłeś słuchawkę? Judy”. Godzina 15.55 została wybita fioletowym tuszem – zadzwoniła tuż po tym, jak wyszedł z pokoju.

Odwrócił się i zobaczył, że recepcjonista patrzy na niego tępym wzrokiem.

– Chciałbym wiedzieć, czy pewne osoby, które powinny tu być, już się zameldowały.

Przeliterował nazwiska.

Mężczyzna powoli wystukał je na klawiaturze terminala komputerowego, zmarszczył brwi, przekrzywił głowę, znowu zmarszczył brwi. Ani trochę nie zmieniając postawy, spojrzął na niego z ukosa i powiedział:

– Pan Beevers i pan Pumo jeszcze nie przybyli. Nie mamy rezerwacji dla pana Linklatera.

Conor prawdopodobnie chciał zaoszczędzić i waletować w pokoju Puma.

Pool odwrócił się, włożył wiadomość Judy do kieszeni marynarki i po raz pierwszy od powrotu do hotelu rozejrzał się po holu.

Mężczyźni w ciemnych garniturach i pasiastych krawatach siedzieli na ławkach i przy stolikach. Większość z nich nie miała zarostu i nosiła gęsto zadrukowane białe plakietki. Rozmawiali ścisłymi głosami, wertowali notatniki, wbijali liczby do komputerów kieszonkowych. Podczas pierwszych surrealistycznych osiemnastu miesięcy po powrocie z Wietnamu Michael Poole bezbłędnie rozpoznawał tych, którzy też tam byli. Z czasem instynkt pozwalający odróżniać weteranów od cywilów osłabł, ale wiedział, że co do tej grupy nie może się mylić.

– Dzień dobry panu – odezwał się ktoś tuż przy nim.

Spojrzał na promiennie uśmiechniętą młodą kobietę o okolonej chmurką blond włosów twarzy fanatyczki. Trzymała tacę ze szklankami czarnego płynu.

– Mogę zapytać, czy jest pan weteranem konfliktu w Wietnamie?

– Byłem w Wietnamie.

– Koncern Coca-Cola Company wraz z resztą Ameryki dziękuje panu osobiście za wysiłki podczas konfliktu wietnamskiego. Korzystając z okazji, pragniemy wyrazić naszą wdzięczność i przedstawić nasz najnowszy produkt, Diet Coke, w nadziei, że panu zasmakuje i podzieli się pan wrażeniem z przyjaciółmi i innymi weteranami.

Poole spojrzął w górę i zobaczył, że wysoko pod sufitem holu wisi jasnoczerwony transparent z materiału podobnego do jedwabiu spadochronowego. Biały napis głosił: korporacja coca-cola i diet

coke wita weteranów wietnamu! Spojrzał na dziewczynę.

– Chyba sobie daruję.

Dziewczyna zwiększyła moc uśmiechu. Zdumiewająco przypominała stewardesy z jego lotu z San Francisco do Wietnamu. Oderwała od niego wzrok i odeszła.

– Miejsca spotkań są na dole, proszę pana – odezwał się recepcjonista. – Może tam czekają pańscy przyjaciele.

2

Należący do kadry kierowniczej mężczyźni w niebieskich garniturach popijali drinki, udając, że nie wodzą wzrokiem za dziewczętami, które krążyły po holu z nieludzkimi uśmiechami i tacami dietetycznej coli. Michael dotknął wiadomości od Judy w kieszeni marynarki. Albo kartka była gorąca, albo miał rozpalone czubki palców. Jeśli usiadzie w barze w holu i będzie przyglądać się wchodzącym przez drzwi przybyszom, w ciągu kilku minut ktoś go zapyta, czy jest weteranem konfliktu w Wietnamie. Podszedł do wind i czekał, aż z kabiny wyjdzie dziwna mieszanina weteranów i dyrektorów Coca-Coli, wzajemnie traktujących się jak powietrze. Poza nim do windy wsiadła tylko jedna osoba, pijany wielkolud w mundurze w tygrysie pręgi. Mężczyzna przyjrzał się przyciskom i ze cztery albo pięć razy naciśnął szesnaście, po czym potknął się i zatoczył na poręcz z tyłu kabiny. Wydał mgliste beknienie o zapachu bourbona. Poole w końcu rozpoznał kierowcę furgonetki, który staranował camaro.

– Znasz to, prawda? – zapytał go wielkolud. Wyprostował się i zaczął wyrzaskiwać piosenkę, którą Poole i każdy inny weteran znał na pamięć. – W drodze do domu, chciałbym być w drodze do domu...

Poole dołączył do niego w drugim wersie, śpiewając cicho i monotonna, a później kabina znieruchomiła i drzwi się otworzyły. Olbrzym nadal śpiewał, z zamkniętymi oczami, gdy Poole przeszedł z brązowej wykładziny windy na zieloną wykładzinę w holu. Drzwi się zamknęły. Winda pojechała w górę i Poole słyszał tłukące się w szybie echo głosu mężczyzny.

Spotkanie po latach

1

Wietnamski żołnierz, który wyglądał jak dwunastolatek, stał nad nim i dźgał go w szyję lufą szwedzkiego pistoletu maszynowego z przemytu; musiał kogoś zabić, żeby go zdobyć. Poole udawał trupa, żeby żołnierz go nie zastrzelił; miał zamknięte oczy, ale wyraźnie widział jego twarz. Szorstkie czarne włosy opadały na szerokie gładkie czoło. Czarne oczy i twarde, niemal pozbawione warg usta wydawały się prawie spokojne w swoim braku wyrazu. Kiedy lufa karabinu boleśnie wbiła mu się w szyję, Poole bezwładnie przesunął głowę po tłustej ziemi w realistycznej imitacji śmierci, jak miał nadzieję. Nie może umrzeć: jest ojcem i musi żyć. W powietrzu nad jego twarzą trzepotały wielkie opalizujące owady, ich skrzydła szczękały jak zardzewiałe nożyce.

Czubek lufy przestał dźgać szyję. Ogromna kropla potu spłynęła z prawej brwi do małego zagłębienia między grzbietem nosa a kącikiem oka; jeden z zardzewiałych owadów wlał mu do ust. Kiedy Wietnamczyk nie odszedł do żadnego z prawdziwych trupów w pobliżu, Poole wiedział, że zaraz umrze. Jego życie dobiegło końca i nigdy nie pozna swojego syna, Roberta. Jego miłość do tego nieznanego syna, podobnie jak świadomość, że żołnierz rozwali mu głowę na tym zasłanym trupami wąskim polu, nie miała granic.

Strzał nie padł. Inny z zardzewiałych owadów spadł na śliski od potu policzek niczym kula, która straciła impet, i przez irytująco długi czas wiercił się, leżąc na grzbiecie, zanim się pozbierał i ciężale odleciał.

Nagle Poole usłyszał cichy trzask i szmer, jakby wyciągano z futerału jakiś przedmiot. Stopy żołnierza poruszyły się, gdy przeniósł ciężar ciała. Zdał sobie sprawę, że mężczyzna kłęczy obok niego. Zupełnie zwyczajna ręka, drobna, jak dziewczęca, przycisnęła jego głowę do zakrwawionej ziemi, po czym szarpnęła za prawe ucho. Udawanie trupa okazało się zbyt udane – wietkong chciał uciąć mu ucho jako trofeum. Oczy Poole'a same się otworzyły. Przed nimi, po drugiej stronie długiego, szarego noża, tam, gdzie powinno być niebo, wisiały nieruchome czarne oczy żołnierza. Wietnamczyk sapnął. Przez całe pół sekundy powietrze wypełniał smród rybnego sosu.

Poole gwałtownie usiadł w łóżku i żołnierz rozpułnął się jak mgła. Dzwonił telefon. Jego pierwszą w pełni świadomą myślą było to, że syn znów odszedł.

Zniknęły też trupy i opasłe owady. Po omacku sięgnął po słuchawkę.

– Mike? – zapytał ktoś metalicznym głosem.

Spojrzał przez ramię i zobaczył nijaką bładą tapetę nad łóżkiem, przedstawiającą mglisty chiński krajobraz. Odkrył, że może oddychać.

– Michael Poole, słucham – powiedział do słuchawki.

– Mike! Jak się masz? Mówisz trochę dziwnie, stary.

Wreszcie rozpoznał głos Conora Linklatera, który teraz z głową odwróconą od telefonu mówił:

– Hej, mam go! Jest w swoim pokoju! Mówiłem ci, stary, że Mike będzie w pokoju, pamiętasz? – Potem znów odezwał się do niego: – Hej, stary, nie dostałeś naszej wiadomości?

To mu przypomniało, że rozmowy z Conorem Linklaterem są bardziej chaotyczne niż z większością innych ludzi.

– Raczej nie. O której się zjawiliście? – Spojrzał na zegarek i zobaczył, że spał pół godziny.

– Przyjechaliśmy około wpół do piątej, stary, i od razu zadzwoniliśmy do ciebie. Na początku powiedzieli, że cię tu nie ma. Tina kazała im sprawdzić dwa razy i wtedy powiedzieli, że jesteś, ale nikt nie odbierał w twoim pokoju. Czemu nie odpowiedziałeś na naszą wiadomość?

– Poszedłem pod pomnik – wyjaśnił Poole. – Wróciłem parę minut przed piątą. Obudziłeś mnie w środku koszmaru.

Conor nie pożegnał się i nie odłożył słuchawki. Mówiąc ciszej niż wcześniej, dodał:

– Stary, mówisz tak, jakby ten koszmar naprawdę dał ci w kość.

Szorstka dłoń odrywająca ucho od głowy; ziemia tłusta od krwi. Pamięć podsunęła mu widok pola, na którym wyczerpani mężczyźni noszą zwłoki w kierunku niecierpliwych śmigłowców w mglistym, niebieskim świetle wczesnego poranka. Niektóre zwłoki miały krwawoczarne dziury tam, gdzie powinny być uszy.

– Chyba wróciłem do Smoczey Doliny – powiedział. Właśnie to sobie uświadomił.

– Spokojnie. Już wychodzimy. – Conor Linklater rozłączył się.

W łazience Poole ochlapał wodą twarz, z grubsza wytarł ją ręcznikami i przejrzał się w lustrze. Mimo drzemki był błądy i zmęczony. Megawitaminy w przezroczystym blisterze leżały na blacie obok szczoteczki do zębów. Wyłuskał jedną kapsułkę i połknął.

Przed wyjściem z pokoju zadzwonił do recepcji i zapytał o wiadomości.

Mężczyzna powiadomił go, że ma dwie.

– Pierwsza, odebrana o piętnastej pięćdziesiąt pięć, brzmi „Próbowałam oddzwonić...”.

– Odbiorę na dole – przerwał mu Poole.

– Druga, odebrana o szesnastej pięćdziesiąt, brzmi: „Właśnie przyjechaliliśmy. Gdzie jesteś? Po powrocie zadzwonił pod jeden trzy jeden pięć”. Podpisano „Harry”.

Zadzwonili, kiedy był jeszcze w holu na dole.

2

Michael Poole chodził tam i z powrotem między oknem wychodzącym na parking i drzwiami. Ilekroć docierał do drzwi, zatrzymywał się i słuchał. Windy grzechotały w szybach, kabiny przesuwaly się z piskiem. Po chwili usłyszał sygnał i uchylił drzwi, żeby spojrzeć w głąb korytarza. Schludny siwy mężczyzna w białej koszuli i niebieskim garniturze z plakietką w klapie śpieszył w jego stronę kilka kroków przed wysoką blondynką w szarym flanelowym kostiumie z fantazyjnie zawiązaną apaszką w tureckie wzory. Cofnął głowę i zamknął drzwi. Usłyszał, jak mężczyzna manipuluje kluczem kawałek dalej w korytarzu. Wrócił do okna i spojrzał na parking. Sześciu mężczyzn w mundurach z niedopasowanych elementów, z puszkami piwa w rękach, siedziało na maskach i bagażnikach samochodów. Wyglądało na to, że śpiewają. Wrócił do drzwi i czekał. Gdy tylko usłyszał, że winda ponownie zatrzymuje się na jego piętrze, otworzył drzwi i wychylił się na korytarz.

Wysoki, przejęty Harry Beevers i Conor Linklater wyszli razem na korytarz, a chwilę później pojawił się znękaną Tina Pumo. Conor zobaczył go pierwszy. Uniósł pięść, uśmiechnął się i zawołał: „Mikey, dziecino!”. Inaczej niż ostatnim razem, kiedy się widzieli, był gładko ogolony, z rudymi włosami przystrzyżonymi niemal na punka. Zwykle nosił workowate niebieskie dżinsy i koszule w kratkę, ale tym razem wysilił się na bardziej wyrafinowany strój. Zdobył gdzieś czarną koszulkę z dużymi nieregularnymi żółtymi literami układającymi się w napis agent orange, a na niej miał dużą luźną czarną dżinsową kamizelkę z licznymi kieszeniami i rzucającą się w oczy białą stebnowką. Czarne spodnie miały kant.

– Conor, uczta dla oczu – powiedział Poole. Wyszedł na korytarz, przytrzymując drzwi lewą ręką.

Conor Linklater, pół głowy niższy od niego, objął jego klatkę piersiową i mocno go przytulił.

– Stary – powiedział w jego szczękę i żartobliwie go cmoknął. – Serce puchnie na twój widok.

Uśmiechając się ironicznie z tego dojrzałego linklateryzmu, Harry Beevers podszedł do Poole’a i objął go niezręcznie w fali pizmowej wody kolońskiej. Róg aktówki trącił Poole’a w biodro.

– Michael, serce puchnie – szepnął mu Beevers do ucha.

Poole delikatnie odsunął się i ujrzał zbliżenie dużych, zachodzących na siebie przebarwionych zębów Harry’ego.

Tina Pumo kołosał się przed nimi w korytarzu, dziko szczerząc zęby pod sumiastym wąsem.

– Spałeś? – zapytał. – Nie dostałeś naszej wiadomości?

– Dobra, zastrzel mnie – odparł Poole z uśmiechem.

Conor i Beevers oderwali się od niego i osobno ruszyli ku drzwiom.

Pumo przekrzywił głowę jak Tomek Sawyer i nieledwie wbił palce stóp w dywan.

– Oj, Mikey, ja też chcę cię przytulić – powiedział i to zrobił. – Dobrze cię znowu widzieć, stary.

– I ciebie.

– Wejdźmy do środka, zanim aresztują nas za urządzenie orgii. – Harry Beevers już stał w wejściu do pokoju Michaela.

– Nie dziw się, poruczniku – rzucił Conor Linklater, ale i tak przyspieszył, zerkając spod oka na pozostaną dwójkę.

Pumo roześmiał się, walnął Michaela w plecy i go puścił.

– Co robiliście od przyjazdu? – zapytał Michael. – To znaczy oprócz pomstowania na mnie.

Krążąc po pokoju, Conor odparł:

– Teeny-Tiny zamartwiał się o swoją restaurację.

Przezwiseko Puma, Tiny, narodziło się w czasach, kiedy był niewyrośniętym dzieciakiem w mieście na północy stanu Nowy Jork, później zostało zmienione na Teeny i ostatecznie utrwaliło się jako Tina. Po dziesięciu latach pracy w branży Pumo dorobił się własnej restauracji w SoHo, która serwowała wietnamskie jedzenie i kilka miesięcy temu doczekała się pochwalnej wzmianki w nowojorskim czasopiśmie.

– Już tam dzwonił dwa razy, stary. Do spółki z sanepidem nie pozwoli mi zmrzyć oka przez całą noc.

– To nic takiego – zaprotestował Tina. – Wypadła niezręczna pora na wyjazd, to wszystko. Wprowadzamy małe zmiany w restauracji i muszę pilnować, żeby wszystko szło, jak trzeba.

– Z sanepidem? – powtórzył Michael.

– Naprawdę, to nic poważnego. – Pumo uśmiechnął się dziko, strosząc wąsy. Jego kurze łapki pogłębiły się i wydłużyły bez sugestii humoru. – Świetnie nam idzie. Mamy rezerwacje na większość wieczorów. – Usiadł na brzegu łóżka. – Harry może potwierdzić. Interes kręci się jak ta lala.

– Co mam powiedzieć? – zapytał Beevers. – Jesteś historią sukcesu.

– Rozejrzeliście się po hotelu? – spytał Poole.

– Zajrzeliśmy do sali na dole – odparł Pumo. – Wielka impreza. Możemy dzisiaj zaszałeć, jeśli chcecie.

– Też mi impreza – burknął Beevers. – Gromada facetów stoi z kciukami w tyłkach. – Zdjął marynarkę, odsłaniając szelki z rozdokazywanymi cherubinkami na czerwonym tle, i rzucił ją na oparcie krzesła. – Zero organizacji, nada, rien. Tylko ci z kawalerii powietrznej trzymają fason. Mają budkę, pomagają ci szukać innych facetów z twojej jednostki. Rozejrzeliśmy się, ale chyba nie widzieliśmy nikogo z całej naszej cholerniej dywizji. Poza tym wpakowali nas do brudnej obskurnej sali, która wygląda jak szkolna sala gimnastyczna. Jest stoisko z dietetyczną colą, jeśli to cię kręci.

– Szkolna sala gimnastyczna, stary – mruknął Conor, intensywnie wpatrując się w lampkę nocną.

Poole uśmiechnął się do Puma, który odwzajemnił uśmiech.

Linklater podniósł lampkę i zbałał wnetrze abażuru, po czym odstawił ją i przesunął palcami po sznurze, aż znalazł włącznik. Włączył i wyłączył lampkę.

– Usiądź, na litość boską, Conor – powiedział Beevers. – Denerwujesz mnie, gdy tak się miotasz. Mamy poważne sprawy do omówienia, jeśli nie pamiętasz.

– Pamiętam, pamiętam. – Conor przestał bawić się lampką. – Hej, nie ma gdzie usiąść. Ty i Mike zajęliście krzesła, a Tina panoszy się na łóżku.

Harry Beevers wstał, zdjął marynarkę z oparcia i szerokim gestem wskazał puste krzesło.

– Jeśli dzięki temu się uspokoisz, chętnie oddam ci krzesło. Bierz, Conor, daję ci je. Stadaż. – Zabrał szklankę i klapnął obok Puma na łóżku Michaela. – Myślisz, że dasz radę spać z tym facetem w jednym pokoju? Pewnie nadal gada do siebie przez całą noc.

– W mojej rodzinie wszyscy gadają do siebie, poruczniku – zaznaczył Conor. Przsunął krzesło bliżej stołu. Zaczął bębnić palcami po blacie, jakby grał na wymyślnym pianinie. – Pewnie ci z Harvardu tak się nie zachowują...

– Nie poszedłem na Harvard – powiadomił go Beevers ze znużeniem w głosie.

– Mike! – Conor uśmiechnął się do Poole’a, jakby dopiero teraz go zobaczył. – Dobrze cię widzieć!

– Klepnął go w plecy.

– Tak – mruknął Tina Pumo. – Jak tam sprawy, Michael? Minęło trochę czasu.

Ostatnio Tina zamieszkała z piękną Chinką po dwudziestce, niejaką Maggie Lah. Jej brat był barmanem w Sajgonie, jego restauracji. Przed Maggie miał wiele dziewczyn i o każdej mówił, że ją kocha.

– Cóż, myślę o pewnych zmianach – odparł Michael. – Jestem zajęty jak dzień długi, ale w nocy ledwie pamiętam, co robiłem.

Przerwało mu głośne pukanie do drzwi.

– Obsługa – powiedział i wstał.

Kelner wprowadził wózek, ustawił szkło na stole. Atmosfera w pokoju stała się bardziej świąteczna, gdy Conor otworzył budweisera, a Harry Beevers nalał wódki do szklanki. Michael nigdy nie wyjaśnił swojego na wół skryzalizowanego planu sprzedaży praktyki w Westerholmie i przekonania się, czego mógłby dokonać w jakiejś zapadłej dzielnicy, na przykład na Południowym Bronxie, gdzie dzieci naprawdę potrzebują lekarzy. Judy zwykle wychodziła z pokoju, kiedy zaczynał o tym mówić.

Po odejściu kelnera Conor wyciągnął się na łóżku, przekreślił na bok i zapytał:

– Więc widziałeś nazwisko Conor wyciągnął się na łóżku, przekreślił na bok i zapytał:
– Wciąż widziałeś nazwisko M.O. Denglera? Na pomniku?

– Pewnie. Ale mam małą niespodziankę. Wiecie, jak brzmiało jego pełne imię i nazwisko?

– M.O. Dengler – odparł Conor.

– Nie bądź idiotą – powiedział Beevers. – Chyba Mark. – Spojrzała na Tinę, szukając pomocy, ale Tina tylko zmarszczył brwi i wzruszył ramionami.

– Manuel Orosco Dengler – wyrecytował Michael. – Byłem zdumiony, że o tym nie wiedziałem.

– Manuel? – powtórzył Conor. – Dengler był Meksykaninem?

– Michael, znalazłeś niewłaściwego Denglera – powiedział ze śmiechem Tina Pumo.

– Nie. Jest tylko jeden M.O. Dengler. W ogóle jest tylko jeden Dengler. Nasz.

– Meksykanin – mruknął w zadumie Conor.

– Słyszałeś kiedyś o Meksykanach z nazwiskiem Dengler? Pewnie rodzice dali mu hiszpańskie imiona. Kto wie? A zresztą kogo to obchodzi. Był cholernie dobrym żołnierzem, tyle mi wiadomo. Szkoda, że...

Pumo uniósł szklankę do ust, zamiast dokończyć zdanie, i mężczyźni nie odzywali się przez niemal elastycznie długą chwilę.

Linklater wymamrotał coś niezrozumiałego, przeszedł przez pokój i usiadł na podłodze.

Michael wstał, żeby dorzucić świeże kostki lodu do swojej szklanki. Oparty o ścianę Conor Linklater w czarnym ubraniu wyglądał jak chochlik, brązowa butelka piwa zwiisała mu między kolanami. Pomarańczowy napis na jego piersi miał prawie ten sam odcień co włosy. Conor patrzył na Michaela z nieznacznym tajemniczym uśmiechem.

3

Może Beans Beevers nie poszedł na Harvard ani do Yale, myślał Conor, ale gdzieś chodził – w miejsce, które wszyscy w zasięgu wzroku uważali za oczywiste. Miał wrażenie, że jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent ludzi w Stanach Zjednoczonych martwi się o pieniądze – brak wystarczającej ilości gotówki doprowadza ich do szaleństwa. Nie mając na gorzałę, posuwają się do rabowania: zapomnienie, napięcie, zapomnienie. Pozostałe pięć procent populacji unosi się nad tym zamętem jak piana na fali. Skończyli szkoły, do których chodzili ich ojcowie, pobierają się i rozwodzą, jak Harry ożenił się i rozszedł z Pat Caldwell. Mają pracę polegającą na przerzucaniu papierów i gadaniu przez telefon. Zza biurka obserwują, jak pieniądze wchodzą przez drzwi, wracając do domu. Nawet przekazują sobie nawzajem tę pracę – Beans Beevers, który spędzał tyle samo czasu w barze Puma, co za biurkiem, pracował w kancelarii prawnej Pat Caldwell.

Kiedy dorastał w South Norwalk, swego rodzaju zdumienie i pełna urazy ciekawość kazały mu pedałować starym schwinem drogą numer 136 do Mount Avenue w Hampstead. Ludzie z Mount Avenue byli tak bogaci, że prawie niewidoczni, podobnie jak ich ogromne domy – z drogi widział tylko fragmenty ceglanych albo stiukowych ścian. Miał wrażenie, że w większości tych nadbrzeżnych rezydencji nie ma nikogo poza służbą, a jednak od czasu do czasu dostrzegał oczywistego właściciela-mieszkańca. Ze swoich krótkich obserwacji dowiedział się, że chociaż właściciele-mieszkańcy z Mount Avenue zwykle noszą takie same szare garnitury i niebieskie marynarki, co wszyscy inni w Hampstead, czasami – jak Harry Beevers – paradują w neonowym różu i jadowitej zieleni, w śmiesznych muszkach i jasnych dwurzędowych garniturach. Trochę przypominało to nowe szaty cesarza – nikt nie miał odwagi powiedzieć tym protestanckim milionerom, że wyglądają idiotycznie. (Conor był pewien, że żaden z nich nie jest katolikiem). Muszki! Czerwone szelki z dzidziusiami!

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu – oto on, prawie splukany, myśli, że powinien współczuć bogatemu prawnikowi. W przyszłym tygodniu będzie wstawiać płyty kartonowo-gipsowe w odnawianej kuchni, za co może wpadnie mu kilka stówek. Harry Beevers prawdopodobnie zarabia dwa razy więcej w czasie, gdy siedzi na stołku barowym i gawędzi z Jimmym Lahem. Conor uniósł wzrok z boleśnią

skrzącym się poczuciem humoru i zobaczył, że Michael Poole na niego patrzy, jakby chodziły mu po głowie takie same myśli.

Beevers ma w zanadru typowy kit, pomyślał, ale Michael jest za mądry, żeby się na to nabrać, cokolwiek to będzie.

Conor uśmiechnął się, wspominając, jak Dengler nazywał ludzi, którzy nigdy nie poznali uczucia strachu i wszystko uważali za rzecz oczywistą: „dwuwymiarowi”, jak postacie w kreskówkach. Teraz ci dwuwymiarowi rządzą wszystkim – pięli się w górę, trając wszystko na swojej drodze. W dzisiejszych czasach wydawało się, że połowa facetów w Donovan’s, jego ulubionym barze w South Norwalk, jest po studiach, nakłada piankę na włosy i pije koktajle z blendera. Odnosił wrażenie, że nagle zaszła jakaś ogromna zmiana, że wszyscy ci nowi ludzie właśnie wyskoczyli ze swoich telewizorów. Ich moralność była tak popieprzona, że niemal mógłby im współczuć.

Myślenie o kreskówkach go przygnębiło. Miał ochotę wypić dużo więcej, chociaż wiedział, że zbliża się do swojego limitu. Ale czy nie jest to spotkanie po latach? Siedzą w pokoju hotelowym jak banda zgredów. Dopił ostatnie piwo.

– Daj mi trochę tej wódki, Mikey – powiedział i wrzucił pustą butelkę po piwie do kosza na śmieci.

– Brawo! – Pumo zasalutował szklaneczką.

Michael nalał wódkę do szklanki i przeszedł przez pokój, by ją podać.

– Dobra, toast – powiedział Conor i wstał. – Rany! Dobrze jest to zrobić. – Wzniósł szklanke. – Za M.O. Denglera. Nawet jeśli był Meksykaninem, w co wątpię.

Wlał do gardła lodowatą wódkę. Od razu poczuł się lepiej, tak dobrze, że wychylił resztę.

– Rany, czasami pamiętam całe to gówno, jakby to było wczoraj, a prawie wcale nie pamiętam tego, co było wczoraj. Czasami myślę o gościu, który prowadził klub w Camp Crandall, z gigantyczną ścianą skrzynek z piwem...

– Manly – wtrącił ze śmiechem Tina Pumo.

– Manly. Pieprzony Manly. Zaraz zacznę myśleć o tym, skąd brał całe to piwo. A potem o drobiazgach, co mówił, jak się zachowywał.

– Manly pasował do baru, zupełnie jakby się z nim urodził – zauważył Beevers.

– Zgadza się! Założę się, stary, że ma teraz mały biznes, wszystko poukładane, porządne auto i własny dom, ma żonę, dzieci, obręcz do kosza na garażu... – Conor przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń, czerpiąc przyjemność ze swojej wizji życia Manly’ego. Manly idealnie pasowałby do przedmieścia. Myślał jak przestępca, nie będąc przestępcą, więc pewnie zarabia fortunę na czymś takim, jak instalowanie systemów alarmowych. Wtedy Conor przypomniał sobie, że w pewnym sensie to Manly zapoczątkował ich wszystkie kłopoty w Wietnamie...

Dzień przed wejściem do Ia Thuc Manly odłączył się od kolumny i został sam w dżungli. Nie zamierzał hałasować, ale nagle zaczął buczeć jak spanikowany dwumetrowy trzmiel. Wszyscy w kolumnie zamarli. Snajper zwany Elvisem tropił ich od dwóch dni i ten hałas był wszystkim, czego potrzebował do szczęścia. Conor wiedział, co trzeba zrobić – dawno temu nauczył się wtopić w tło. Było to niemal mistyczne. Dosłownie stawał się niewidzialny (i wiedział, że to działa, bo dwukrotnie patrolo Wietkongu patrzyły prosto na niego i go nie widziały). Dengler, Poole, Pumo, a nawet Underhill prawie mu dorównywali w tej sztuce, natomiast Manly był kompletną nogą. Conor zaczął cicho skradać się przez dżunglę w kierunku dźwięku – był dość wściekły, by zabić Manly’ego, jeśli inaczej nie da się go uciszyć. Po ułamku sekundy, jakby dzięki telepatii, wiedział, że Dengler bezgłośnie podąża za nim.

Manly przedzierał się przez zasłone zieleni, rąbał ją maczetą, w drugiej ręce trzymając M-16 na wysokości biodra. Conor szedł ku niemu, na wpół myśląc o poderżnięciu mu gardła, gdy nagle obok Manly’ego zmaterializował się Dengler i złapał go za rękę z maczetą. Przez sekundę trwali nieruchomo. Conor podkładał się, pełen strachu, że Manly wrzaśnie, gdy minie odrętwienie. Usłyszał pojedynczy trzask z prawej strony, skądś z góry, i zobaczył przewracającego się Denglera. Doznał szoku tak silnego i nagłego, że zlodowaciały mu dłonie i stopy.

Razem z Manlym zaprowadzili Denglera z powrotem do kolumny. Wprawdzie impet rzucił go na ziemię i rana obficie krwawiła, ale na szczęście była powierzchowna. Pociśk wyrwał mu z lewego ramienia kawałek ciała wielkości myszy. Peters kazał mu się położyć, opatrzył i zabandażował ranę, po czym uznał, że jest zdolny do ruchu.

Conor pomyślał, że gdyby Dengler nie został wtedy ranny, Ia Thuc mogłoby okazać się po prostu kolejną pustą wioską. Widok cierpiącego kolegi zwarzył im humory i spotęgował niepokój. Może wszyscy byli głupi, wierząc w Denglera tak, jak wierzyli. Widząc zakrwawionego kumpla znów leżącego na ziemi, poczuł się również wstrząśnięty jak wtedy, gdy zobaczył, że dostał. Po czymś takim łatwo było dać się ponieść, przekroczyć granicę w Ia Thuc. Po Ia Thuc nic już nie było takie samo. Nawet Dengler się zmienił, może z powodu rozgłosu i sądu wojennego. On sam tyle ćpał, że nadal nie pamiętał pew-

nych rzeczy, które wydarzyły się w miesiącach dzielących Ia Thuc od powrotu do cywila – ale wiedział, że tuż przed sądem wojennym odciął uszy martwemu Wietnamczykowi z Północy i wetknął mu w usta kartę Koko.

Conor zdał sobie sprawę, że zaraz wpadnie w chandrę. Żałował, że wspomniał o Manlym.

– Dolewka – mruknął, podszedł do stołu i nalał wódkę do kieliszka.

Pozostali trzej wciąż na niego patrzyli, uśmiechając się do swojej cheerleaderki – zawsze liczyli na to, że zapewni im dobrą zabawę.

– Hej, za dziewiąty batalion dwudziestego czwartego pułku piechoty. – Conor przełknął kolejny lodowaty pocisk wódki i w jego umyśle zamajaczyła twarz Harlana Huebscha.

Harlan Huebsch był dzieciakiem z Oregonu, który kilka dni po przybyciu do Camp Crandall wszedł na minę i wyleciał w powietrze. Bardzo wyraźnie pamiętał jego śmierć, ponieważ mniej więcej godzinę później, kiedy w końcu dotarli na drugą stronę małego pola minowego, przewrócił się na trawiastej grobli i zobaczył długi skręcony drut zaplątany w sznurowadło na prawej nodze. Jedyna różnica między nim a Huebschem polegała na tym, że mina Huebscha zadziałała.

Teraz nazwisko Harlana Huebscha widniało na pomniku...

Obiecał sobie, że je znajdzie, gdy pójdą tam razem.

Beevers postanowił wnieść toast za Blaszanego Drwala i chociaż wszyscy się do niego przyłączyli, Conor wiedział, że tylko Beans robi to na poważnie.

Mike Poole wznosił toast za Si Van Vo, co Conor uznał za zabawne i zaraz potem kazał wszystkim wypić za Elvisa. A Tina Pumo skończył wznosić toast za Dawn Cucchio, dziwkę poznaną na urlopie w Sydney. Conor dostał takiego ataku śmiechu na myśl o piciu za Dawn Cucchio, że musiał oprzeć się o ścianę, by nie stracić równowagi.

Potem znów narosły w nim mroczniejsze, posępniejsze uczucia. Czas spojrzeć prawdzie w oczy: jest bezrobotnym robotem, siedzącym z prawnikiem, lekarzem i facetem, który ma tak elegancką knajpę, że jej zdjęcia publikują w gazetach.

Conor zdał sobie sprawę, że gapi się na Puma, który wyglądał jak z żurnala GQ. Zawsze prezentował się elegancko, zwłaszcza w swojej restauracji. Zachodził tam kilka razy w roku, chociaż większość pieniędzy wydawał w barze. Podczas ostatniej wizyty widział apetyczną małą Chinę, z pewnością Maggie.

– Słuchaj, Tina, jakie jest najlepsze danie w twojej restauracji?

Zająknął się na słowie „najlepsze”, ale nie sądził, żeby to zauważyli.

– Prawdopodobnie kaczka po sajgońsku – odparł Tina. – Przynajmniej dla mnie. Marynowana pieczona kaczka, suszony makaron ryżowy. Smakuje niebiańsko.

– Dajesz na wierzch ten sos rybny?

– Sos nuoc mam? Pewnie.

– Nie wiem, jak można jeść to paskudztwo. Pamiętasz, jak tam byliśmy? Wszyscy wiedzieliśmy, że to gówno jest niejadalne, stary.

– Mieliśmy wtedy po osiemnaście lat. Szczytem marzeń kulinarnych był dla nas burger z frytkami.

Conor nie przyznał się Tinie, że nadal uwielbia burgery z frytkami. Przełknął kolejną srebrną kulkę wódki i poczuł się przybity bardziej niż kiedykolwiek.

4

Ale po chwili znów było prawie jak za dawnych czasów. Conor dowiedział się, że Tina poza wszystkimi zwyczajnymi kłopotami ma dodatkowe ekscytujące komplikacje, ponieważ Maggie jest prawie dwadzieścia lat młodsza od niego i nie tylko równie szalona jak on, ale też mądrzejsza. Kiedy się wprowadziła, zaczęła odczuwać „zbyt dużą presję”. Taka reakcja była absolutnie typowa. Maggie w porównaniu z innymi jego dziewczynami wyróżniła się tym, że po kilku miesiącach zniknęła. Wypumowała Puma. Dzwoniła do niego, ale nie chciała mu powiedzieć, gdzie jest. Czasami zamieszczała szyfrowane wiadomości na ostatniej stronie „Village Voice”.

– Wiecie, jak to jest czytać ostatnią stronę każdego numeru „Voice”, gdy ma się czterdzieści jeden lat? – zapytał Pumo.

Conor nigdy nie przeczytał ani jednej strony z żadnego numeru „Village Voice”, więc pokręcił głową.

– Jest tam każdy błąd, jaki kiedykolwiek popełniłeś w relacjach z kobietą, czarno na białym w zimnym, twardym druku. Zakochanie się w czyjejs urodzie: „Piękna blondynko w koszulce Virginia Woolf w Sedutto’s, nie nawiązałem rozmowy i teraz pluję sobie w brodę. Wiem, że moglibyśmy stworzyć wyjątkową parę. Zadzwoni, proszę, do mężczyzny z plecakiem. 581-4901”. Romantyczna idealizacja: „Suki. Jesteś moją spadającą gwiazdą. Nie mogę bez ciebie żyć. Bill”. Romantyczna rozpacz: „Cierpię, odkąd odeszłaś. Samotny w Yorkville”. Masochizm: „Bokserko – nie miej wyrzutów sumienia, wybaczam ci. Purchawka”. Przekombinowanie: „Ci-puszka. Kręciółek koffa mniam-mniam”. Niezdecydowanie: „Mesquite. Ciągłe myślę. Margarita”. Oczywiście jest też wiele innych rzeczy. Modlitwy do Świętego Judy. Numery, pod które możesz zadzwonić, jeśli chcesz rzucić kokę. Lekarstwa na łysienie. Dużo ogłoszeń „striptiz na prezent”. I Żydzi dla Jezusa, tydzień w tydzień. Ale przede wszystkim złamane serca, te straszne męczarnie ludzi po dwudziestce. Conor, mozołę się nad tą ostatnią stroną jak nad kamieniem z Rosetty. Biorę tę cholerną gazetę, gdy tylko w środę rano trafi na stoiska. Czytam tę stronę cztery albo pięć razy, bo za pierwszym łatwo przeoczyć wskazówki. Widzisz, muszę wykombinować, które wiadomości są od niej. Czasami nazywa siebie „Typ A”, od Tajpej, gdzie się urodziła, a kiedy indziej jest „Skórzaną Damą”. Albo „Półksiężycem”, w zeszłym roku zrobiła sobie taki tatuaż.

– Gdzie? – zaciekawiał się Conor. Teraz czuł się w miarę niezłe, tylko trochę pijany. W każdym razie nie był tak nawalony jak Pumo. – Na tyłku?

– Trochę poniżej pępka. – Tina miała taką minę, jakby żałował, że poruszył temat tatuażu swojej dziewczyny.

– Maggie ma półksiężyc wytatuowany na cipce?

Chciałby być wtedy w salonie tatuażu. Chinki, nawet jeśli nie były w jego guście, zawsze kojarzył mu się ze Smoczą Damą z komiksu *Terry and the Pirates*, i musiał przyznać, że Maggie jest bardziej niż ładna. Wszystko w niej wydawało się zaokrąglone. Jakoś udawało jej się sprawić, że wyglądała normalnie z nastroszoną punkową fryzurą i w nowych ubraniach z dziurami. Nie miał pojęcia, jak to robi.

– Nie. Przecież mówiłem – burknął Pumo. Wyglądał na zirytowanego. – Ciut poniżej pępka. Większą część zakrywa dół bikini.

– Prawie na cipce! Czy kawałek jest we włosach? Byłeś tam, kiedy facet to robił? Płakała czy coś?

– Pewnie, że byłem. Chciałem mieć pewność, że gość się nie zdekoncentruje. – Pumo pociągnął łyk drinka. – Maggie nawet nie mrugnęła.

– Jaki jest duży? – dociekał. – Jak pół dolara?

– Skoroś taki ciekawy, poproś ją, niech ci pokaże.

– Pewnie. Już to widzę.

Później Conor podsłuchiwał część rozmowy Mike’a Poole’a z Beansem Beeversem – coś o Ia Thuc i o piechurze, z którym Mike rozmawiał na paradzie.

Beevers zapytał:

– Był weteranem?

– Wyglądał tak, jakby wrócił tydzień temu – odparł Mike z lekkim uśmiechem.

– Naprawdę mnie pamiętał i powiedział, że powinienem dostać Medal Honoru?

– Powiedział, że powinni ci go dać za to, co zrobiłeś, a później odebrać za chlapanie jezorem przy dziennikarzach.

Conor po raz pierwszy był świadkiem konfrontacji Beeversa z niegdyś szeroko rozpowszechnioną opinią, że postąpił jak palant, chwając się Ia Thuc przed prasą. Oczywiście Beevers zachowywał się tak, jakby usłyszał tę opinię po raz pierwszy.

– Absurd – rzucił. – Mogę zgodzić się z nim tylko w kwestii Medalu Honoru, z niczym więcej. Jestem dumny ze wszystkiego, co tam zrobiłem, i mam nadzieję, że wy też. Gdyby to zależało ode mnie, wszyscy dostalibyśmy medale. – Spojrzał na przód koszuli, wygładził ją, po czym uniósł i wysunął podbródek. – Ale ludzie wiedzą, że postąpiliśmy właściwie. To równie dobre jak medal. Ludzie zgadzają się z decyzją sądu wojskowego, nawet jeśli zapomnieli, że to się w ogóle zdarzyło.

Conor zastanawiał się, jak Beans może mówić takie rzeczy. Niby skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, że w Ia Thuc postąpili właściwie, skoro nawet ci, którzy tam byli, niezupełnie wiedzieli, co się tam stało?

– Zdziwiłbyś się, ilu facetów spotykam. Mam tu na myśli prawników, a także sędziów, którzy znają moje nawisko dzięki tamtej akcji – kontynuował Beevers. – Prawdę mówiąc, bycie kimś w rodzaju bohatera drugiej ligi nie raz pomogło mi na gruncie zawodowym. – Popatrzył na nich z tak słodką szczerością, że Conor miał ochotę się zrzygać. – Nie wstydę się niczego, co zrobiłem w Wietnamie. Trzeba szukać pozytywnych stron w tym, co się nam przydarza.

Michael Poole parsknął śmiechem.

– Powiedziane z serca, Harry.

– To ważne – upierał się Beevers. Przez sekundę wyglądał jednocześnie na zmartwionego i zdziwionego. – Mam wrażenie, że wy trzej o coś mnie oskarżacie.

– O nic cię nie oskarżam, Harry – zaprzeczył Poole.

– Ja też nie – zawtórował mu zirytowany Conor. Wskazał na Tinę Puma. – On też nie!

– Byliśmy ze sobą na każdym kroku – powiedział Harry i Conor dopiero po chwili zorientował się, że wrócił do rozmowy o Ia Thuc. – Zawsze sobie pomagaliśmy. Byliśmy zespołem, wszyscy, łącznie ze Szpitalnym.

Conor nie mógł już dłużej tego znieść.

– Szkoda, że ten dupek tam nie zginął. Nigdy nie spotkałem nikogo równie podłego. Szpitalny nikogo nie lubił, stary. Mam rację? I twierdził, że pożądliły go osy? W jaskini? Nie sądzę, żeby w Wietnamie w ogóle były osy, stary. Widziałem tam robale wielkości psów, stary, ale nigdy nie widziałem os.

Tina przerwał mu głośnym jękiem.

– Nie mów mi o osach. Nie mów mi o robalach, jakichkolwiek robalach!

– Mają związek z twoimi problemami? – zapytał Mike.

– Sanepid ma jednoznaczne odczucia w kwestii sześciorogich stworzeń – powiedział Pumo. – Nie chcę o tym gadać.

– Wróćmy do tematu, jeśli nie masz nic przeciwko – zaproponował Beevers, obrzucając Poole'a tajemniczym spojrzeniem.

Do diabła, jakiego tematu? – zastanowił się Conor.

– Może trochę tu zabalujemy, a potem zejdziemy na dół, wrzucimy coś na ząb, trochę się rozrwiemy? – zaproponował Pumo. – Ma tu być Jimmy Steward. Zawsze lubiłem Jimmy'ego Stewarta.

– Mike, czy tylko ty wiesz, do czego zmierzałem? – zapytał Beevers. – Przypomnij im, dlaczego tu jesteśmy. Pomóż mi.

– Porucznik Beevers uważa, że czas porozmawiać o Koko – oznajmił Poole.

Automatyczna sekretarka

1

– Podaj mi teczkę, Tina. Jest gdzieś pod ścianą. – Beevers pochylił się na łóżku i wyciągnął rękę. Tina na oślep szukał pod stołem aktówki. – Masz cały dzień, nie ma pośpiechu.

– Pchnąłeś ją krzesłem, gdy wstawałeś – powiedział niewidoczny pod stołem Pumo. Wynurzył się z teczką w obu rękach.

Beevers położył ją na kolanach i otworzył.

Poole pochylił się i zobaczył kserokopię znajomej strony ze „Stars and Stripes” z przypiętymi do niej kopiami innych artykułów prasowych. Beevers wyjął pliki papierów.

– Po komplecie dla każdego. Michael już zna niektóre z tych materiałów, ale uznałem, że wszyscy powinniśmy mieć kopie. W ten sposób każdy będzie wiedział, o czym mowa. – Wręczył Conorowi pierwszy spięty zszywkami plik. – Uspokój się i skup na tym.

– Sieg Heil – prychnął Conor i zajął miejsce obok Michaela Poole’a.

Beevers wręczył zszyte kartki Poole’owi i Pumie, ostatni zestaw położył obok siebie na łóżku, zatrzasnął aktówkę i odstawił ją na podłogę.

– Masz cały dzień, nie ma pośpiechu – mruknął Pumo.

– Aleś ty drażliwy.

Beevers wzięął papiery i zmrugał oczy. Odłożył plik na kolana i sięgnął do kieszeni na piersi marynarki. Wyjął etui, a z niego duże okulary z wąskimi owalnymi szylkretowymi oprawkami. Położył puste etui na marynarce i założył okulary na nos. Ponownie przejrzał papiery.

Poole zastanawiał się, ile razy dziennie Beevers odstawia tę małą prawniczą szopkę.

Beevers uniósł wzrok znad papierów. Muszka, szelki, duże okulary.

– Przede wszystkim, mes amis, chcę powiedzieć, że wszyscy dobrze się bawiliśmy i że przed wyjazdem będzie znacznie więcej zabawy, ale... – znacząco spojrzął na Conora – ...jesteśmy tu razem, ponieważ przeżyliśmy wspólnie kilka ważnych doświadczeń. I... przeżyliśmy je, ponieważ mogliśmy wzajemnie na sobie polegać.

Spuścił wzrok na swoje papiery.

– Przejdź do rzeczy, Harry – poprosił Pumo.

– Jeśli nie rozumiesz, na czym polega praca zespołowa, wszystko ci umyka. – Powiódł po nich wzrokiem. – Przeczytajcie artykuły. Są trzy, jeden ze „Stars and Stripes”, drugi z singapurskiego „Straits Timesa”, a trzeci z „Bangkok Post”. Mój brat George, który jest zawodowym żołnierzem, słyszał co nieco o incydentach z Koko i gdy zobaczył nazwę w artykule „Stars and Stripes”, przysłał mi wycinek. Później poprosił mojego drugiego, starszego brata, Sonny’ego... jest zawodowym sierżantem w Manili... żeby przejrzał tyle azjatyckich gazet, ile tylko zdoła. George zrobił to samo na Okinawie. Razem sprawdzili prawie wszystkie anglojęzyczne dzienniki wydawane na Dalekim Wschodzie.

– Masz dwóch braci trepów? – zapytał Conor. – Sonny i George, trepy w Manili i na Okinawie? Z rodziny z Mount Avenue?

Beevers spojrzął na niego, zniecierpliwiony.

– Dwa artykuły ukazały się w gazetach w Singapurze i Bangkoku i dzięki nim je mamy. Poszperałem trochę na własną rękę, ale najpierw przeczytajcie te kawałki. Jak zobaczycie, nasz chłopak nie próżnował.

Michael Poole pociągnął łyk ze szklaneczki i przebiegł wzrokiem pierwszy artykuł. 28 stycznia 1981 roku w zarośniętej części terenów hotelu Goodwood Park w Singapurze ogrodnik znalazł zwłoki czterdziestodwuletniego angielskiego turysty, pisarza freelancera, niejakiego Clive’a McKenny. W jego

ustach tkwiła karta do gry ze słowem „Koko” wypisanym na awersie. 5 lutego 1982 roku rzeczoznawca wszedł do rzekomo pustego bungalowu tuż przy Orchard Road w tym samym mieście i odkrył leżące obok siebie na wznak ciała Williama Martinsona z Saint Louis, sześćdziesięcioletniego dyrektora działającej w Azji firmy handlującej ciężkim sprzętem, oraz pięćdziesięcioletniej Barbary Martinson, również z Saint Louis, towarzyszącej mężowi w podróży służbowej. Panu Martinsonowi brakowało oczu i uszu; w ustach miał kartę do gry z nabazgranym słowem „Koko”.

Artykuł ze „Straits Timesa”, który ukazał się trzy dni później, zawierał informacje, że Martinsonów znaleziono niecałe czterdzieści osiem godzin po śmierci, natomiast Clive’a McKennę być może nawet po pięciu dniach. Mniej więcej dziesięć dni dzieliło obie zbrodnie. Policja singapurska miała wiele tropów i aresztowanie uważano za nieuchronne.

Treść wycinka z „Bangkok Post” z 7 lipca 1982 roku była znacznie bardziej emocjonalna. morderstwo francuskich pisarzy, oznajmiał nagłówek. Wszyscy praworządni obywatele są oburzeni i skonsternowani. Brutalnie zaatakowano zarówno domenę turystyczną, jak i literacką. Niepożądane zdarzenia o gwałtownym charakterze są szczególnie groźne dla branży hotelarskiej. Potencjalne konsekwencje szoku moralnego, a więc i handlowego, daleko wykraczają poza branżę hotelarską i niekorzystnie odbijają się na sferze taksówkarskiej, wypożyczalniach samochodów, restauracjach, jubilerach, salonach masażu, muzeach i świątyniach, tatuażystach, personelu lotnisk i bagażowych, i tak dalej, i tak dalej. Zbrodnie popełnione na cudzoziemcach prawie na pewno są dziełem niepożądanych cudzoziemców, i należy nie tylko je zapamiętać, ale też o nich mówić. Policja wszystkich okręgów podjęła godny pochwały wysiłek wzajemnej współpracy, mający na celu doprowadzenie do aresztowania zabójców w ciągu kilku dni. Nie można również bagatelizować wrogości politycznej wobec Tajlandii.

W tym dziwnie formalnym kokonie hysterii skrywała się informacja, że zwłoki Marca Guiberta (48 lat) i Yvesa Damona (49 lat), dziennikarzy z Paryża, zostały znalezione w apartamencie hotelu Sheraton Bangkok przez pokojówkę podczas porannego sprzątanego. Przywiązani do krzeseł mężczyźni mieli poderżnięte gardła, wydłubane oczy i odcięte uszy. Przybyli do Tajlandii ubiegłego popołudnia i nie było wiadomo, czy otrzymali jakieś wiadomości albo czy przyjmowali gości. W ustach zmarłych tkwiły karty ze zwykłej malezyjskiej talii z wypisanym odręcznie słowem „Koko”.

Tina i Conor czytali, Tina z udawanym dystansem, Conor w głębokim skupieniu. Harry Beevers siedział wyprostowany, stukał ołówkiem w przednie zęby i miał nieobecne spojrzenie.

Wypisane odręcznie. Michael dokładnie to widział: litery odcisnięte tak głęboko, że na odwrocie karty widać wyraźne wypukłości. Pamiętał, jak po raz pierwszy zobaczył taką kartę wystającą z ust maleńkiego martwego mężczyzny w czarnej piźamie – punkt dla nas, pomyślał wtedy, w porządku.

– Chyba ta cholerna wojna jeszcze się nie skończyła – powiedział Pumo.

Conor oderwał wzrok od kopii wycinka z Bangkoku.

– Słuchaj, stary, to może być każdy. Tutaj piszą, że to sprawa polityczna. Tak czy owak, do diabła z tym.

– Naprawdę myślisz, że to przypadek, że morderca wypisuje imię Koko na karcie, którą następnie wkłada do ust swoich ofiar? – zapytał Beevers.

– Tak – odparł Conor. – Całkiem możliwe. Albo przypadek, albo polityka.

– Rzecz w tym, że to prawie na pewno nasz Koko. – Pumo rozłożył wycinki jeden przy drugim na stole, jakby oglądanie wszystkich razem mogło jeszcze bardziej zmniejszyć prawdopodobieństwo zbiegu okoliczności. – To jedyne artykuły, które znaleźli twoi bracia? Nie ma ciągu dalszego?

Beevers pokręcił głową. Schylił się po szklankę stojącą na podłodze i wzniosł za nich cichy, drwiący toast na sucho.

– Jesteś cholernie radosny – zauważył Pumo.

– Bo pewnego dnia, moi przyjaciele, to będzie cholernie dobra historia. Serio, zdecydowanie widzę w niej prawa do książki. Poza tym do filmu, chociaż, szczerze mówiąc, zadowolili mnie miniseriały.

Conor schował twarz w dłoniach, a Poole stwierdził:

– Teraz wiem, że ci odbiło.

Beevers skierował na nich nieruchome spojrzenie.

– Pewnego dnia poproszę, żebyście przypomnieli sobie, kto pierwszy powiedział, że wszyscy zarobimy na tym kupie forsy. Jeśli dobrze tym pokierujemy. Mucho dinero.

– Alleluja – mruknął Conor. – Zaginiony Szef uczyni nas bogaczami.

– Rozważmy fakty. – Beevers uniósł dłoń jak znak stopu i siorbnął ze szklanki. – Student prawa, który zajmuje się dla nas gromadzeniem danych, na moje polecenie trochę poszperał... w godzinach pracy, więc nie wystawiamy rachunku. Przejrzał szesć głównych gazet metropolitalnych i serwisów agencyjnych z całego roku. Efekt finałny? Poza historią z Saint Louis o Martinsonach w tym kraju ni-

gdy nie było żadnych wiadomości o Koko ani o tamtych morderstwach. A w gazetach z Saint Louis nie ma wzmianki o kartach do gry. I ani słowa o Koko.

– Istnieje jakiś związek między ofiarami? – zapytał Michael.

– Rozważmy fakty. Angielski turysta w Singapurze... nasz zbieracz informacji sprawdził McKennę. Facet napisał książkę podróźniczą o Australii-Nowej Zelandii, kilka thrillerów i poradnik *Twój pies może żyć dłużej*. Z wykrzyknikiem. Może zbierał materiały w Singapurze. Kto wie? Martinsonowie byli zwyczajnymi przedsiębiorcami z klasy średniej. Jego firma sprzedawała buldożery i dźwigi na całym Dalekim Wschodzie. Następnie mamy dwóch dziennikarzy prasowych, Francuzów pracujących dla „L'Express”. Guibert i Danton pojechali do Bangkoku do salonów masażu. Byli starymi kumplami, co parę lat wyskakiwali razem na vacances. Nie mieli zlecenia w Bangkoku, po prostu chcieli zaszaleć.

– Anglik, dwóch Francuzów i dwóch Amerykanów – podsumował Michael.

– Całkiem wyraźny przykład wyboru losowego – stwierdził Beevers. – Sądzę, że ci ludzie po prostu znaleźli się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Robili zakupy albo siedzieli w barze, rozmawiali z godnym zaufania Amerykaninem, który sypał opowiastkami jak z rękawa, a na koniec zabrał ich w ustronne miejsce i załatwił. Wypisz wymaluj Mr. Wrong. Typowy amerykański psychopata.

– Nie okaleczył żony Martinsona – zaznaczył Michael.

– Tak, tylko ją zabił. Chcesz mieć za każdym razem okaleczenia? Może odcina uszy tylko mężczyznom, bo z mężczyznami walczył w Wietnamie.

– W porządku – wtrącił Conor. – Powiedzmy, że to nasz Koko. Co dalej? – Prawie niechętnie zerknął na Michaela i wzruszył ramionami. – Nie mam najmniejszego zamiaru iść z tym do glin ani nic w tym stylu. Nie mam im nic do powiedzenia.

Beevers pochylił się i utkwiał w nim spojrzenie zaklinacza węży.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

– Zgadzasz się ze mną?

– Nie mamy nic do powiedzenia policji. W tym momencie nie mamy nawet absolutnej pewności, że Koko to Tim Underhill. – Beevers wyprostował się i popatrzył na Poole'a z cieniem uśmiechu na ustach. – Sławny lub niezbyt sławny autor thrillerów i mieszkańców Singapuru.

Wszyscy poza nim niemal zamknęły oczy.

– Jego książki naprawdę są porąbane? – zapytał Conor. – Pamiętacie te wszystkie wariactwa, o których opowiadał? O swojej książce?

– Uciekający piechur – powiedział Pumo. – Nie chciało mi się wierzyć, gdy usłyszałem, że wydał kilka powieści. Tyle o tym gadał, że myślałem, że nigdy nic nie napisze.

– Ale napisał – stwierdził Poole. Mimo woli był zaskoczony, a nawet przerażony, że Tina nie czytała żadnej powieści Underhilla. – Wyszła pod tytułem *Bestia na widoku*.

Beevers patrzył na niego wyczekująco, z kciukami wsuniętymi pod różowe szelki.

– Więc naprawdę myślisz, że to Underhill? – zapytał go Poole.

– Rozważmy fakty – powtórzył Beevers. – Najwyraźniej ta sama osoba zabiła McKennę, Martinsonów i dwóch francuskich dziennikarzy. Mamy więc seryjnego mordercę, który identyfikuje się, pisząc „Koko” na karcie do gry wkładanej w usta ofiar. Co oznacza ta nazwa?

– Tak się nazywa wulkan na Hawajach – odparł Pumo. – Czy możemy teraz pójść zobaczyć Jimmy'ego Stewarta?

– Underhill mi powiedział, że „Koko” to tytuł piosenki – wtrącił Conor.

– „Koko” to nazwa wielu rzeczy, między innymi jednej z nielicznych pand w niewoli, hawajskiego wulkanu, księżniczki Tajlandii oraz jazzowych piosenek Duke'a Ellingtona i Charliego Parkera. Był nawet pies Koko w sprawie doktora Sama Shepparda o morderstwo. Ale to nic nie znaczy. Koko oznacza nas, nic innego. – Beevers zaplótł ręce na piersi i powiódł wzrokiem po ich twarzach. – W zeszłym roku nie byłem w Singapurze ani w Tajlandii. A ty, Michael? Rozważmy fakty. McKenna zginęła zaraz po tym, jak zakładnicy z Iranu wrócili na parady i pierwsze strony gazet, wrócili jako bohaterowie. Wiesz, że mniej więcej w tym czasie weteran z Wietnamu w Indianie wpadł w szal i zabił kilka osób? Hej, mówię coś nowego? Jak się czuliście?

Milczeli.

– Ja też – podjął Beevers. – Nie chciałem tego czuć, ale czułem. Nie podobało mi się, jak ich witano tylko dlatego, że byli zakładnikami. Weteran z Indiany miał te same odczucia i doprowadziły go one do ostateczności. Jak myślicie, co się działo z Underhillem?

– Albo ktokolwiek to był – zaznaczył Poole.

Beevers uśmiechnął się do niego.

– Słuchaj, przede wszystkim uważam, że ta cała sprawa jest zwariowana – odezwał się Pumo. – Ale czy brałeś pod uwagę możliwość, że to nie Underhill, tylko Victor Spitalny? Nikt go nie widział, odkąd

piętnaście lat temu zdezerterował, zostawiając Denglera w Bangkoku. Być może nadal tam mieszka.

– Szpitalny na pewno nie żyje – powiedział Conor. – Przecież napił się tego gówna, stary.

Zaskoczony jego słowami Poole zachował milczenie.

– Po zniknięciu Szpitalny’ego w Bangkoku był jeszcze jeden incydent Koko – przypomniał im Beevers. – Nawet jeśli oryginalny Koko miał naśladowcę, moim zdaniem stary dobry Victor jest czysty. Bez względu na to, gdzie jest.

– Chciałbym pogadać z Underhillem – zadeklarował Pumo, a Poole w milczeniu się z nim zgodził. – Zawsze lubiłem Tima, cholernie go lubiłem. Wiedzie, gdybym nie miał na głowie tego bajzlu w kuchni, kusiłoby mnie, żeby wsiąść do samolotu i zobaczyć, czy dam radę go znaleźć. Może moglibyśmy mu pomóc, coś dla niego zrobić.

– To niesamowicie interesujący pomysł – powiedział Beevers.

2

– Proszę o pozwolenie na zmianę miejsca, sir – wymamrotał Conor. Beevers spiorunował go wzrokiem. Conor wstał, poklepał Michaela po ramieniu i zapytał: – Wiesz, która jest godzina, gdy zapada ciemność, natomiast śmigają w powietrzu i dzikie psy zaczynają wyc?

Poole patrzył na niego z życzliwym rozbawieniem, a Harry Beevers – z ołówkiem zamrożonym w połowie drogi do ust – z irytacją i niedowierzaniem.

Conor pochylił się w stronę Beevera i mrugnął.

– Czas na kolejne piwko. – Wyjął ociekającą butelkę z wiaderka z lodem i odkręcił kapsel. Beevers wciąż się w niego wpatrywał. – A więc porucznik uważa, że powinniśmy wysłać małą ekipę na poszukiwanie Underhilla, sprawdzić go i przekonać się, jak bardzo mu odbiło?

– Cóż, Conor, skoro pytasz... – zaczął Beevers cicho, lekkim tonem – ...może coś w tym stylu jest możliwe.

– Naprawdę mówisz, żeby tam jechać? – zapytał Pumo.

– Pierwszy to powiedziałeś.

Conor wlał do gardła prawie połowę piwa. Cmoknął, wrócił na swoje miejsce i pociągnął kolejny łyk. Uznał, że przed chwilą sprawy zaszły za daleko. Teraz, siedząc wygodnie, mógł zrelaksować się i czekać, aż wszyscy inni też to dostrzegą.

Jeśli Zagubiony Szef powie, że nadal uważa się za porucznika Underhilla, pomyślał, to się zrzygam.

– Nie wiem, czy nazwiecie moralną odpowiedzialnością, czy nie, ale uważam, że sami powinniśmy zająć się tą sytuacją – oznajmił Beevers. – Znaliśmy człowieka, byliśmy tam.

Conor otworzył usta, przekłnął powietrze i pozwolił, żeby ciśnienie narosło na przeponie. Po paru sekundach głośno beknął.

– Nie proszę, żebyś podzielał moje poczucie odpowiedzialności, ale byłoby miło, gdybyś przestał być dziecinny – powiedział do niego Beevers.

– Na litość boską, jak mógłbym jechać do Singapuru?! – wrzasnął Conor. – Nie mam forsy nawet na to, żeby przejechać się po mieście! Spłukałem się na bilety. Śpię na kanapie u Tiny, bo nie stać mnie na pokój, stary. Spoważnij, dobrze?

Natychmiast poczuł się zakłopotany, że wybuchnął przy Mike’u Poole’u. Tak to z nim było, gdy przekraczał swój limit – zbyt szybko mu odbijało. Postanowił wytłumaczyć się bez robienia z siebie jeszcze większego głupca.

– To znaczy... dobra, jestem dupkiem, nie powinienem drzeć japy. Ale nie jestem taki jak wy, nie jestem lekarzem, prawnikiem ani indiańskim wodzem, jestem bez grosza, stary, kiedyś klepałem starą biedę, a teraz klepię nową. Jestem goły jak mysz kościelna.

– Cóż, nie jestem milionerem – zaznaczył Beevers. – Co więcej, kilka tygodni temu zrezygnowałem z pracy w kancelarii Caldwell, Moran, Morrissey. W grę wchodziło wiele skomplikowanych czynników, ale fakt faktem, że nie mam pracy.

– Brat żony cię wylał? – zapytał Conor.

– Zrezygnowałem – powtórzył Beevers. – Pat jest moją byłą żoną. Między mną a Charlesem Caldwellem narosły poważne różnice zdań. Tak czy inaczej, też nie śpię na forsie, Conor. Ale wynegocjowałem sobie całkiem niezłą odprawę i chętnie pożyczę ci ze dwa kawałki bez odsetek, ze spłatą w dogodnym dla ciebie terminie. To powinno załatwić twój problem.

– Ja też pomogę – obiecał Poole. – Na razie na nic się nie piszę, Harry, ale uważam, że znalezienie Underhilla nie powinno być trudne. Musi dostawać zaliczki i tantiemy od swojego wydawcy. Może nawet przesyłają mu pocztę od fanów. Założę się, że wystarczy jeden telefon, by poznać jego adres.

– Nie wierzę – mruknął Pumo. – Postradaliście zmysły, co do jednego.

– Ty pierwszy powiedziałeś o wyjeździe – przypomniał mu Conor.

– Nie mogę wyrwać miesiąca z życiorysu. Mam restaurację na głowie. – Pumo nie zauważył, kiedy sytuacja wymknęła się spod kontroli.

W porządku, pomyślał Conor, Singapur, a co mi tam.

– Tina, potrzebujemy cię.

– Sobie jestem bardziej potrzebny niż wam. Nie wliczaj mnie.

– Jeśli odpadniesz, będziesz żałować do końca życia.

– Jezu, Harry, rano to zabrzmi jak film z Abbottem i Costellem. Do licha, co niby zrobisz, jeśli w ogóle uda wam się go znaleźć?

Pumo chce zostać w Nowym Jorku, żeby bawić się w kotka i myszkę z Maggie Lah, pomyślał Conor.

– Cóż, zobaczymy – odparł Beevers.

Conor rzucił pustą butelkę po piwie w stronę kosza na śmieci. Butelka spadła metr przed celem i wśliznęła się pod komodę. Nie pamiętał, kiedy zamienił wódkę na piwo. A może zaczął od piwa, potem przeszedł do wódki, a później znowu przerzucił się na piwo? Przyjrzał się szklankom na stole i spróbował zlokalizować swoją. Pozostali znów obrzucili go spojrzeniem „cheerleaderka” i pożałował, że nie zaliczył rzutu do kosza. W filozoficznej zadumie nalał kilka cali wódki do najbliższej szklanki. Wziął z wiadra garść kostek lodu i wrzucił je do środka.

– Daj mi es – powiedział, unosząc szklankę w ostatnim toaście. Wypił. – Daj mi i. Daj mi en. Daj mi... gie. Daj mi a.

Beevers kazał mu usiąść i milczeć, co najzupełniej mu odpowiadało. I tak nie mógł sobie przypomnieć, co miało być po a. Nieco wódki wylało mu się na spodnie, gdy sadowił się obok Mike’a.

– A teraz możemy iść zobaczyć Jimmy’ego Stewarta? – zapytał Pumo.

3

Chwilę później ktoś zaproponował, żeby się położył i zdrzemnął na łóżku Mike’a, ale odmówił, nie, nie, nic mu nie jest, jest ze swoimi kumplami dupkami, musi się tylko rozruszać, każdy, kto jeszcze daje radę przeliterować Singapur jest w całkiem niezłej formie... Nagle bez żadnego etapu przejściowego znalazł się na korytarzu. Miał problemy ze stopami, a Mikey mocno ścisnął jego lewe ramię.

– Jaki jest numer mojego pokoju? – zapytał go.

– Kimasz u Tyny.

– Stary dobry Tina.

Skręcili za róg i stary dobry Tina i Harry Beevers byli tuż przed nimi, czekając na windę. Beevers cesał się przed dużym lustrem.

Następnie wiedział, że siedzi na podłodze w windzie, ale zdołał stanąć na nogach, zanim się zatrzymała.

– Jesteś milusi, Harry – powiedział do potylicy Beevera.

Drzwi windy otworzyły się i przez długi czas wędrowali długimi nijakimi korytarzami pełnymi ludzi. Conor ciągle wpadał na facetów, którzy byli zbyt niecierpliwi, by słuchać jego przeprosin. Słyszał, jak ktoś śpiewa W drodze do domu, najpiękniejszą piosenkę na świecie. Zebrało mu się na płacz.

Poole pilnował, żeby nie upadł. Conor zastanawiał się, czy Mike wie, jakim jest wspaniałym facetem, i zdecydował, że nie wie – i właśnie to czyniło go wspaniałym.

– Naprawdę nic mi nie jest – wymamrotał.

Usiadł obok Mike’a w zaciemnionym holu. Czarnowłosa mężczyzna z wąskimi wąsami, noszący pod smokingiem coś, co wyglądało jak mistrzowski pas boksera, śpiewał America the Beautiful i skakał po scenie przed zespołem.

– Przegapiłśmy Jimmy’ego Stewarta – szepnęła do niego Mike. – To jest Wayne Newton.

– Wayne Newton? – zapytał Conor i usłyszał, że jego głos brzmi zbyt głośno.

Ludzie śmiali się z tego, co powiedział. Za bardzo wstydił się za Mikeya, by go uświadomić, że Wayne Newton jest grubym nastolatkiem, który śpiewa jak dziewczyna. Ten twarzą z Las Vegas nie

był Wayne Newtonem. Conor przymknął powieki i cała ciemna sala natychmiast zaczęła wirować wokół niego w szerokich, zmniejszających się kręgach. Stwierdził, że nie jest w stanie otworzyć oczu. Oklaski, gwizdy, okrzyki aprobaty wypełniły mu uszy. Usłyszał swoje pierwsze chrapnięcie i niespełna sekundę później stracił przytomność.

4

– Nie mamy tylu grupies co muzycy – mówił Harry Beevers do Poole’a. – Ale są. W zasadzie każda to matka ziemia z perwersyjnymi ciągotami do podniety. Robi się ciężki? Połóż go na kanapie i wracaj z nami do baru.

– Idę spać – mruknął Poole.

Na jego ramieniu wisiał Conor Linklater, sto sześćdziesiąt funtów żywej wagi, przekazany mu przez Tinę Puma.

Beevers zionął mu alkoholem w twarz.

– Nasze grupies są skomplikowane, ale już je rozszyfrowałem. Po pierwsze, podnieca je, że jesteśmy żołnierzami i wojownikami, ale jakoś bardziej uduchowieni niż weterani innych wojen. Po drugie, każda ma w sobie małego pracownika socjalnego i chce pokazać, że nasz kraj mimo wszystko nas kocha, i po trzecie, nie wiedzą, co tam robiliśmy, i to je rajcuje.

Błysnęły na niego błyszczące oczy Beeversa.

– Jesteśmy na miejsu. Przebywają we śnie tysiące mil, żeby posiedzieć w barze.

Poole miał nieprzyjemne wrażenie, że Harry Beevers, sam o tym nie wiedząc, opisuje Pat Caldwell, swoją byłą żonę.

* * *

Michael ułożył Conora na połowie nierozesłanego przez pokojówkę łóżka, ściągnął mu czarne buty do biegania i rozpiął pasek. Conor Linklater jęknął; jego blade, pożyłkowane powieki zatrzepotały. Z przyszyronymi rudymi włosami i bladą cerą wyglądał na jakieś dziewiętnaście lat: bez niechlujnego zarostu bardzo przypominał siebie z Wietnamu. Poole okrył go zapasowym kocem z szafy, włączył lampkę po drugiej stronie łóżka i zgasił górne światło. Skoro Conor miał spać na kanapie w pokoju Puma, to znaczyło, że Pumo wziął apartament – w jego pokoju nie było kanapy dla wygody kompletnie zalanych gości. Beevers też na pewno miał apartament. (Harry’emu nawet przez myśl nie przeszło, żeby odstąpić swoją kanapę Conorowi).

Zostało kilka minut do północy. Poole włączył telewizor i ściszył dźwięk, po czym usiadł na krześle i zdjął buty. Zarzucił marynarkę na oparcie drugiego krzesła. Charles Bronson stał na trawiastym poboczu drogi w delikatnie przymglonej okolicy przypominającej zachodnią Irlandię i patrzył przez lornetkę na szarego mercedesa zaparkowanego na zwirowym dziedzińcu georgiańskiej rezydencji. Przez chwilę samochód spowijała pełna wyczekiwania cisza, a potem przysłoniła go potężna ściana ognia.

Michael podniósł telefon i położył go na stole obok siebie. Pokojówka ustawiła butelki w rzadku, zostawiła powkładane jeden w drugi przezroczyste plastikowe kubki, zabrała puste szklanki i owinęła celofanem talerz z serem. W wiadrze stała zanurzona po szyjkę w wodzie samotna butelka piwa, otoczona pływającymi kawałkami lodu. Wziął górny kubek, zanurzył go w wiaderku, nabrał lodu i wody. Pociągnął łyk.

Conor wymamrotał „googol” i wtulił twarz w poduszkę.

Michael pod wpływem impulsu podniósł słuchawkę i wybrał domowy numer żony. Możliwe, że Judy leży bezsennie w łóżku, czyta coś w rodzaju *Jednominutowego menedżera*, jednocześnie skutecznie ignorując telewizor, który włączyła, żeby dotrzymywał jej towarzystwa.

Telefon Judy zadzwonił raz, a potem szcęknął, jakby ktoś odebrał. Usłyszał mechaniczny syk taśmy i wiedział, że żona włączyła automatyczną sekretarkę z wiadomością w trzeciej osobie:

„Judy w tej chwili nie może odebrać telefonu, ale jeśli zostawisz po sygnale imię i nazwisko, numer telefonu i wiadomość, skontaktuje się z tobą tak szybko, jak to możliwe”.

Czekał na sygnał dźwiękowy.

– Judy, tu Michael. Jesteś w domu? – Sekretarka była podłączona do telefonu w jej gabinecie obok sypialni. Jeśli nie śpi, usłyszy jej głos. Nie odpowiedziała; słyszał tylko szum taśmy. Wypowiedział

kilka mechanicznych zdań i zakończył słowami: – Będę w domu późnym wieczorem w niedzielę. Pa, pa.

W łóżku przeczytał kilka stron powieści Stephena Kinga, którą zabrał ze sobą na wyjazd. Conor Linklater jęknął i pociągnął nosem po drugiej stronie łóżka. Nic w powieści nie wydawało się dziwniejsze albo groźniejsze niż wydarzenia w zwykłym życiu. Nieprawdopodobieństwa i przemoc wylewają się ze zwykłego życia i Stephen King chyba o tym wiedział.

Nie zgasił światła. Ociekał potem, niosąc swój egzemplarz *Martwej strefy* przez bazę wojskową wielokrotnie większą niż Camp Crandall. Wokół obozu, dwadzieścia czy trzydzieści kilometrów za drutem kolczastym, wznosiły się wzgórza niegdyś gęsto porośnięte drzewami, które zostały tak idealnie zbombardowane, spalone i odarte z liści, że teraz z pylistej brązowej ziemi sterczały tylko zwęglone kikuty. Minął rząd pustych namiotów i w końcu usłyszał ciszę obozu – był sam. Obóz był opuszczony, a on został. Przed kwaterą główną kompanii stał maszt flagowy bez flagi. Powlókł się obok opuszczonego budynku na spłacheć pustej ziemi i poczuł smród płonącego gówna. Wtedy poznał, że to nie sen, naprawdę jest w Wietnamie – to reszta jego życia była snem. Nigdy nie czuł zapachów w snach. Przypuszczał, że w większości przypadków nawet nie śnił w kolorze. Odwrócił się i zobaczył starą Wietnamkę, patrzącą na niego bez wyrazu zza beczki po ropie pełnej zalanych naftą płonących ekskrementów. Gęsty czarny dym płynął z beczki i zasnuwał niebo. Jego rozpacz była beznamiętna i spodziewana.

Chwileczkę, pomyślał, jeśli to prawda, jest najdalej rok 1969. Otworzył *Martwą strefę* na stopce redakcyjnej. Głęboko w klatce piersiowej jego serce sflaczało jak przebity balon. Data praw autorskich: 1965. Nigdy nie opuścił Wietnamu. Od tamtej pory wszystko było tylko pobożnym życzeniem dziewiętnastolatka.

Beans Beever's przy pomniku

1

Poole obudził się z zanikającym wspomnieniem dymu i hałasu, ognia artyleryjskiego i umundurowanych mężczyzn biegnących kreskówkowym krokiem przez płonącą wioskę. Z podświadomą wprawą zepchnął tę wizję w niepamięć. Jego pierwszą prawdziwą myślą było to, że wstąpi do Walden Books w Westerholmie i kupi książkę dla dwunastoletniej pacjentki Stacy Talbot, zanim odwiedzi ją w szpitalu św. Bartłomieja. Później przypomniał sobie, że jest w Waszyngtonie. Druga w pełni uformowana myśl dotyczyła Tima Underhilla i tego, czy naprawdę jeszcze żyje. Przez krótką chwilę widział siebie stojącego na schludnym cmentarzu w Singapurze, spoglądającego z poczuciem straty i ulgi na jego nagrobek.

A może Underhill nurza się w szaleństwie, wciąż na wojnie?

Conor Linklater zniknął, zostawiając po sobie wymiętą poduszkę i skotłowaną narzutę. Poole przeczołgał się po łóżku i spojrział znad krawędzi. Conor spał na podłozdze, zwinięty jak liść kapusty, z rozchylonymi ustami i powiekami naciągniętymi na nieruchome oczy.

Michael przesunął się na swoją stronę łóżka i po cichu poszedł do łazienki, żeby wziąć prysznic.

– Jezu – mruknął Conor po jego powrocie. Siedział na krześle i oburącz trzymał się za głowę. – A tak w ogóle, która godzina?

– Około wpół do jedenastej. – Poole wyjął z torby bieliznę i skarpetki i zaczął się ubierać.

– Urwał mi się film, stary. Kac gigant. – Spojrzął na niego przez palce. – A poza tym, jak się tu znalazłem?

– Tak jakby ci pomogłem.

– Dzięki, stary – jęknął Linklater. Jego głowa z powrotem opadła w dłonie. – Muszę zmienić życie na lepsze. Ostatnio za dużo imprezowałem, starzeję się, muszę zwolnić. Hola. – Wyprostował się i rozejrzał po pokoju, jakby się zgubił. – Gdzie moje manele?

– W pokoju Puma – odparł Michael, zapinając koszulę.

– Aha. Tam je zostawiłem. Byłoby dobrze, gdyby pojechał z nami, no nie? Pumo Puma. Powinien jechać. Hej, Mikey, mogę skorzystać z twojej łazienki i prysznic, zanim wrócę na górę?

– No nie – jęknął Poole. – Zdążyłem ogarnąć, żeby pokojówka nie musiała po mnie sprzątać.

Conor wstał z kanapy i przeszedł przez pokój w sposób, który Poole kojarzył ze zdrowieniem ofiar udaru na oddziałach geriatrycznych. Gdy dotarł do łazienki, oparł się o kłamkę i zakaszłał. Jego włosy sterczały jak drobne pomarańczowe kolce.

– Zwariowałem czy Beans rzeczywiście powiedział, że pożycz mi parę patoli?

Poole skinął głową.

– Myślisz, że mówił poważnie?

Poole ponownie skinął głową.

– Chyba nigdy nie rozgryzę tego faceta – powiedział Conor i zatrzasnął za sobą drzwi łazienki.

Poole wsunął stopy w mokasyny, podszedł do telefonu i wybrał numer Judy. Nie odpowiedziała, sekretarka też nie. Odłożył słuchawkę.

Kilka minut później zadzwonił Beever's, żeby ich poinformować, że stawia wszystkim śniadanie w swoim apartamencie (z osobną łazienką), za trzydzieści minut o jedenastej zero zero, i że Michael musi zasuwać na jednej nodze, jeśli chce więcej niż jedną Krwawą Mary.

– Więcej niż jedną?

– Przypuszczam, że nie ćwiczyles tak jak ja wczoraj wieczorem.

Beever's wyraźnie się chępił.

– Piękna pani, ta, o której ci mówiłem, wyjechała jakąś godzinę czy dwie temu, i jestem wyluzowany jak po miesiącu na wsi. Michael, spróbuj przekonać Puma, że na świecie są ważniejsze rzeczy niż jego restauracja, dobrze? – Odłożył słuchawkę, zanim Poole zdążył odpowiedzieć.

2

Apartment Beeversa składał się nie tylko z długiego salonu z przesuwanymi drzwiami wychodzącymi na okazały balkon, ale także z jadalni. Michael, Pumo i Beevers siedzieli przy okrągłym stole zastawionym talerzami z jedzeniem, koszami bułek, stojakami na tosty, dzbankami Krwawej Mary oraz podgrzewaczami zawierającymi kiełbaski, bekon i jajka po benedyktyńsku.

Conor siedział na kanapie w salonie, pochylony nad filiżanką czarnej kawy.

– Później coś zjem.

– Mangia, mangia. Wzmocnij siły na podróż. – Beevers machnął widelcem ociekającym żółtkiem i sosem holenderskim. Jego czarne włosy lśniły, a oczy błyszczały. Miał na sobie białą koszulę, świeżo wyjętą z opakowania, z podwiniętymi rękawami i idealnie zawiązaną prążkowaną muszką. Na oparciu krzesła wisiała ciemnoniebieska marynarka w szerokie kredowe paski. Wyglądał tak, jakby spodziewał się stanąć przed Sądem Najwyższym, a nie przed pomnikiem upamiętniającym poległych w Wietnamie.

– Nadal myślisz o tym poważnie? – zapytał Pumo.

– A ty nie? Tina, jesteś nam potrzebny, nie możemy tego zrobić bez ciebie.

– Będziecie musieli spróbować. Ale czy pytanie nie jest przypadkiem czysto akademickie?

– Nie dla mnie – odparł Beevers. – A ty, Conor? Myślisz, że tylko żartuję?

Trzej mężczyźni przy stole spojrzeli przez salon na Conora. Zaskoczony, że jest obiektem zainteresowania, wyprostował się.

– Nie, skoro pożyczasz mi na samolot. Żartujesz, rzecz jasna.

Beevers teraz sondował Michała irytująco jasnymi, irytująco rozbawionymi oczami.

– A ty? Was sagen Sie, Michael?

– Czy ty kiedykolwiek mówisz żartem, Harry? – zapytał Michael, nie chcąc być pionkiem w najnowszej grze Harry'ego Beeversa.

Beevers wciąż świdrował go wzrokiem, czekając na ciąg dalszy, ponieważ wiedział, że zaraz go usłyszysz.

– Chyba mnie kusi, Harry – dodał Michael i zauważył, że Pumo obrzucił go ukradkowym spojrzeniem.

3

– Tak z ciekawości... – mówił Harry Beevers, pochylony w stronę taksówkarza. – Co o nas myślisz? Jakie wrażenie masz o nas jako grupie?

– Serio? – zapytał taksówkarz i zwrócił się do Poole'a, który siedział obok niego na przednim siedzeniu. – Ten facet pyta serio?

Poole skinął głową.

– Śmiało – kontynuował Beevers. – Kawa na ławę. Jestem ciekaw.

Kierowca popatrzył na niego w lusterku, spojrzął na drogę, a potem zerknął przez ramię na Puma i Linklatera. Był nieogolonym grubasem po pięćdziesiątce. Za każdym razem, gdy wykonywał nawet najmniejszy ruch, Poole czuł odór starego potu zmieszany ze swądem palących się obwodów elektrycznych.

– Zupełnie do siebie nie pasujecie – stwierdził taryfiarz. Łypnął podejrzliwie na Poole'a. – Hej, jeśli to „Ukryta kamera” czy coś w tym rodzaju, to możecie wysiadać.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie pasujemy do siebie? – zapytał Beevers. – Tworzymy jednostkę!

– Oto co widzę. – Kierowca ponownie spojrzął w lusterko. – Ty wyglądasz jak dziany prawnik, może lobbysta albo jakiś inny facet, który zaczyna od kradzieży z tacy na datki. Ten obok ciebie wygląda na alfonsa, a ten obok niego to skacowany robol. Ten przy mnie wygląda na belfra z ogólniaka.

– Alfons! – zawył Pumo.
– Możesz mnie poznać – parsknęła taryfiarz. – Pytaliście.
– Jestem skacowanym robotem – mruknął Conor. – I spójrz prawdzie w oczy, Tina, jesteś alfonsiem.
– Zgadłem, no nie? Co wygrywam? Jesteście z „Koła fortuny”, tak?
– Mówisz poważnie? – zapytał Beevers.
– Ja spytałem pierwszy – zaznaczył kierowca.
– Nie, chciałem wiedzieć... – zaczął Beevers, ale Conor kazał mu się zamknąć.
Taksjarsz uśmiechał się pod nosem przez resztę drogi na Constitution Avenue.
– Już blisko – powiedział Beevers. – Zatrzymaj się.
– Myślałem, że chcieliście pod pomnik.
– Zatrzymaj się, mówię.
Kierowca zjechał do krawężnika i zahamował.
– Moglibyście umówić mnie na spotkanie z Vanną White? – zwrócił się do lusterka.
– Wypchaj się – burknął Beevers i wyskoczył z taksówki. – Zapłać mu, Tina. – Przytrzymał drzwi, a gdy Pumo i Linklater wysiedli, zatrasnął je. – Mam nadzieję, że nie dałeś napiwku temu dupkowi.
Pumo wzruszył ramionami.
– W takim razie ty też jesteś dupkiem. – Beevers odwrócił się i pomaszerował w kierunku pomnika.
Poole przyspieszył, żeby się z nim zrównać.
– Co takiego powiedziałem? – zapytał Beevers, prawie warcząc. – Nie powiedziałem mu nic złego.
Ten facet to palant, kropka. Powinienem trzasnąć go w zęby.
– Uspokój się, Harry.
– Słyszałeś, co mi powiedział, prawda?
– Nazwał Puma alfonsiem – powiedział Michael.
– Tina jest alfonsiem kulinarnym – warknęła Beevers.
– Zwolnij, bo zgubimy pozostałych.
Beevers okręcił się na pięcie, żeby zaczekać na Tinę i Conora, którzy szli jakieś dziesięć metrów za nimi. Conor uniósł wzrok i uśmiechnął się do nich. Beevers przechylił głowę w stronę Michaela i szepnął:
– Nigdy nie miałeś dość niańczenia tych dwóch? – Krzyknął do Puma: – Dałeś napiwek temu pojebowi?!

Pumo zachował kamienny wyraz twarzy.
– Marne grosze.
– Wczorajszy taksjarsz mnie spytał, jak to jest kogoś zabić – powiedział Poole.
– Jak to jest kogoś zabić? – powtórzył Beevers kpiącym, wysokim głosem. – Nie znoszę tego pytania. Niech kogoś zabiją, jeśli naprawdę chcą się dowiedzieć. – Już czuł się lepiej. Pozostała dwójka podeszła do nich. – No cóż, i tak wiemy, że jesteśmy jednostką, prawda?
– Jesteśmy dzikimi zabójcami – dodał Pumo.
– Kim jest, kurwa, Vanna White? – zapytał Conor i Pumo wybuchnął śmiechem.

W odległości stu metrów od pomnika stali się częścią tłumu. Mężczyźni i kobiety przechodzący z chodnika na trawę mogli być tymi samymi, których Poole widział wczoraj – weteranami w niedopasowanych częściach mundurów, starszymi mężczyznami w czapkach garnizonowych VFW, kobietami w jego wieku trzymającymi za ręce oszołomione dzieci. Harry Beevers w prawniczym garniturze w kredowe paski wyglądał jak sfrustrowany, dość wyniosły przewodnik wycieczki.
– Ale z nas frajerzy, gdy się nad tym zastanowić – szepnął Beevers do ucha Poole’a.

Poole nic na to nie powiedział – obserwował dwóch mężczyzn idących po trawie. Jeden, chudy jak tyczka, wysoki prawie na sześć stóp i pięć cali, wspierał się na metalowej kuli i zataczał szerokie łuki sztywną nogą, z pewnością również metalową; jego brodaty towarzysz, uwięziony na drewnianym wózku inwalidzkim, musiał dźwigać się z siedzenia za każdym razem, gdy pchał koła. Mężczyźni spokojnie rozmawiali i śmiali się, zmierzając w kierunku pomnika.
– Znalazłeś wczoraj nazwisko Cottona? – zapytał Pumo, włamując się w jego myśli w sposób, który wydawał się ich przedłużeniem.
Pokręcił głową.
– Znajdźmy go dzisiaj.
– Do diabła, znajdziemy wszystkich – powiedział Conor. – Po co innego tu jesteśmy?

Pumo wypisał wszystkie nazwiska i namiary na odwrocie pokwitowania American Express. Dengler, 14 zachód, linia 52 – Poole to pamiętał. Cotton, 13 zachód, linia 73... Trotman, 13 zachód, linia 18. Peters, 14 zachód, linia 38. I Huebsch, Hannapin, Rech. I Burrage, Washington, Tiano. I Rowley, Thomas Chambers, jedyny człowiek w ich kompanii zabity w la Thuc. I ofiary Elvsa, snajpera z obrotowymi biodrami: Lowry, Montegna, Blevins. A potem jeszcze więcej. Drobne, schludne pismo Puma pokrywało tył zielonego karteluska. Stali na kamiennych płytach ścieżki, patrząc na nazwiska wryte w polerowanym czarnym granicie. Conor płakał przed nazwiskiem Denglera, a Conorowi i Pumie łączyły się po policzkach, gdy patrzyli na nazwisko sanitariusza: peters norman charles.

– Cholera – mruknął Conor. – W tej chwili Peters powinien siedzieć na traktorze, zmartwiony, że za mało pada.

Rodzina Petersa pracowała na tej samej farmie w Kansas od czterech pokoleń, a on poinformował wszystkich, że chociaż chwilowo lubi być ich sanitariuszem, czasami w nocy czuje zapach swoich pól. („Czujesz Szpitalny’ego, nie Kansas”, powiedział specjalista Cotton). Teraz jego bracia pracowali na polach, a to, co zostało z Petersa Normana Charlesa po rozbiściu się i spłonięciu śmigłowca, w którym podawał osocze Rechtowi, Herbertowi Wilsonowi, leżało pod niewątpliwie żyzną glebą wiejskiego cementarza.

– Po prostu psioczyłby na to, jak rząd jebie w dupę jego i wszystkich innych farmerów – powiedział Beevers.

Michael Poole zobaczył po prawej stronie łopoczącą wielką flagę ze złotymi frędzlami i przypomniał sobie, że widział ją wczoraj. Wysoki rozczochrany mężczyzna trzymał dzwecze przypięte do szerokiego pasa – obok niego, prawie zasłonięty błyszczącym wieniec, stał okrągły biały znak z czerwonym napisem: nie ma większej miłości. Poole pomyślał, że czytał, że były, rozczochrane żołnierze piechoty morskiej stał w tym samym miejsku przez dwa dni z rzędu.

– Widzieliście dziś rano artykuł o tym facecie? – zapytał Pumo. – Trzyma flagę na cześć jeńców wojennych i zaginionych w akcji.

– Nie sprowadzi ich szybciej z powrotem – zauważył Beevers.

– Nie sądzę, żeby o to chodziło – powiedział mu Pumo.

W tej chwili długi czarny monument oznajmił się – Poole odebrał to tak, jakby przemówił i zrobił krok w jego stronę. Pamiętał to z pierwszej wizyty. Odsunął się nieznacznie od pozostałych. Świat zrobił się zamazany. Kiedyś stał godzinami po pas w wodzie rojącej się od pijawek, trzymając wysoko M-16 i claymore’y, aż jego ramiona zdrętwiały z bólu, obróciły się w ołów i umarły... Obok niego stał Rowley, Thomas Chambers, również trzymając swój arsenał z dala od cuchnącej wody. Chmary komarów brzęczały wokół nich, oblepiały ich twarze. Co kilka sekund musieli wydmuchiwać z nosa łaskoczące owady. Poole pamiętał, że był tak zmęczony, że gdyby Rowley zaproponował mu podparcie ramion, zapadłby w sen na stojąco. Pamiętał, jak pijawki przyczepiały się do jego ud.

– O Boże – mruknął, zdając sobie sprawę, że się trzęsie. Otarł oczy i spojrział na pozostałych. Conor też płakał, a przystojna, zwykle niewzruszona twarz Puma wyrażała silne emocje.

Harry Beevers obserwował Poole’a. Wyglądał na równie przejętego jak odgadywacz wagi na festynie.

– Dopadło cię, co?

– Jasne – odparł Poole. Wezbrała w nim głęboka irytacja z powodu samozadowolenia Beeversa. – Ciebie nie rusza?

Beevers pokręcił głową.

– Nie w tym rzecz, Michael. Po prostu trzymam uczucia w środku. W ten sposób zostałem wychowany. Ale tak sobie myślałem, że należałoby dodać tu kilka nazwisk. McKenna. Martinsonowie. Danton i Guibert. Pamiętasz?

Poole nie miał ochoty wyjaśniać, czego właśnie doświadczył. On też mógłby podać co najmniej jedno nazwisko, które można by umieścić wśród tych na ścianie.

Beevers spojrział na niego roziskrzonym wzrokiem.

– Wiesz, że się na tym wzbogacimy, prawda?

Z jakiegoś beeversowego powodu, zupełnie niezrozumiałego dla Michaela Poole’a, stuknął go dwukrotnie w pierś wypielegnowanym palcem wskazującym. Następnie zwrócił się do Puma i Linklatera, mówiąc coś o monumencie. Michael wciąż czuł palec żartobliwie dżgający jego mostek... „Jedyny problem w tym, że jest na nim za mało nazwisk”, usłyszał słowa Beeversa.

Setki umierających komarów zatykały mu nozdrza; umierające pijawki przywierały do jego zmęczonych, umierających nóg. Poole wiedział, że decyzja zapadła: jakby naśladować swoje nieświadome, przeżalone i w różnym stopniu ryzykanckie dziewiętnastoletnie ja, naprawdę mieli zamiar ponownie wyruszyć na Daleki Wschód.

Część druga

Przygotowania do startu

Beevers w spoczynku

1

– Maggie tu nie przychodzi, Maggie miała dość – powiedział Jimmy Lah w odpowiedzi na pytanie Harry’ego, lejąc srebrzystą wstęgę wermutu na lód i płyn w szklance. Przeciągnął skórę cytryny wokół krawędzi, po czym wsunął ją do kostek lodu.

– Dość życia czy dość Tiny? – zapytał Beevers.

Jimmy Lah położył na barze świeżą papierową serwetkę ze słowem „Sajgon” wypisanym ukośnymi czerwonymi literami nad sylwetką mężczyzny ciągnącego riksę. Postawił drinka na serwetce i szybko ruchem dłoni zgarnął z blatu tę już wilgotną i podartą.

– Tina jest dla niej zbyt normalny.

Barman mrugnął do Harry’ego, po czym się cofnął. Harry z zaskoczeniem zobaczył przyklejone taśmą do lustra złośliwe, zawistne, wydłużone twarze demonów z kocimi wąsikami. Nie widział ich, dopóki Jimmy Lah stał przed nim. Wyglądały zaskakująco znajomo. Wiedział, że gdzieś w I Korpusie widział takie mściwe twarze, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Dochodziła szesnasta i zabijał czas przed zatelefonowaniem do swojej eks. Jimmy Lah nalewał jakąś mydlaną miksturę z blendera jednemu poza nim klientowi baru, świrowi z żółtym irokezem i wielkimi różowymi okularami.

Harry obrócił się na stołku, żeby spojrzeć na dużą prostokątną jadalnię restauracji Puma. Zobaczył bambusowe stoły ze szklanymi blatami otoczone przez bambusowe krzesła. Obracające się powoli wentylatory sufitowe z łopatomy jak wypolerowane brązowe wiosła. Ogromne pierzaste liście palm na białych ścianach. Wnętrze wyglądało tak, jakby lada chwila miał tam wejść Sidney Greenstreet.

Za ladą w drugim końcu restauracji otworzyły się drzwi, odsłaniając dwóch siekających warzywa Wietnamczyków w białych fartuchach. Za nimi garnki bulgotały na kuchni gazowej. Harry dostrzegł mignięcie, niespodziewane jak miraż, przejrzystej zasłony falującej za piecem. Pochylił się, żeby lepiej widzieć, i poczuł znajome wewnętrzny wdrygnięcie, gdy zobaczył Vinha, szefa kuchni Puma, skaczącego w stronę otwartych drzwi. Vinh pochodził z An Lat, wioski I Korpusu leżącej zaledwie kilka kilometrów od Ia Thuc.

Potem zobaczył, kto otworzył drzwi.

Tuż poniżej jego zwykłego pola widzenia do restauracji wchodziła szybko, ale ostrożnie, uśmiechnięta wietnamska dziewczynka. Prawie dotarła do lady, gdy Vinhowi udało się złapać ją za ramię. Usta dziecka ułożyły się w O zdumienia, a on zaciągnął ją z powrotem do kuchni. Drzwi zamknęły się, ucinając wietnamskie krzyki.

W niesamowicie idealnej halucynacji słuchowej Harry Beevers usłyszał sapanie M.O. Denglera tuż za prawym ramieniem, wraz z odgłosami dalekich pożarów i wrzasku. Blade twarze połyskiwały w środku ogromnej ciemności. Przypomnił sobie, gdzie wcześniej widział twarze demonów – miały je niskie czarnowłose kobiety podbiegające z uniesionymi pięściami. „Ty numee zjesz 2! Ty numee zjesz!”.

Przed Harrym Beeversem rozdziawiła się otchłań. Przez chwilę czuł paniczny strach przed nieistnieniem, przyprawiające o mdłości uczucie, że nigdy nie istniał w taki sposób, w jaki istnieli prostsi, zdrowi ludzie.

Usłyszał samego siebie, jak pyta, co dzieciak robi w kuchni.

Jimmy podszedł bliżej.

– To córka Vinha, Helen. Oboje tymczasowo tu mieszkają. Pewnie Helen szukała Maggie, to stare kumpelki.

– Tina musi mieć urwanie głowy – powiedział, odzyskując panowanie nad sobą.

– Widzisz gdzieś „Village Voice”?

Pokręcił głową. Zdał sobie sprawę, że nieświadomie wsunął ręce do kieszeni, żeby ukryć ich drżenie. Jimmy rozglądał się za barem, aż znalazł gazetę w stercie kart dań obok kasy. Przesunął ją po blacie, ostatnią stroną na wierzchu. ogłoszenia voice, informował nagłówek nad trzema gęstymi kolumnami drobnych ogłoszeń różnej wielkości. Harry zauważył, że dwa są zakreślane.

Pierwsza wiadomość brzmiała: „Papukocie. Cholernie za tobą tęsknię. Bądź Pokój Mike’a Todda 10 śr. Wędrowiec”. Druga wiadomość była wydrukowana dużymi literami. właśnie zdecydowałam, że nie jestem w stanie podjąć decyzji. może mike’a todda, może nie. la-la.

– Rozumiesz, o co mi chodzi? – zapytał Jimmy. Wyjmował szklanki spod baru i energicznie pluł ją w zlewie.

– Twoja siostra zamieściła te ogłoszenia?

– Jasne. Cała rodzina jest stuknięta.

– Współczuję Tinie.

Jimmy uśmiechnął się i uniósł wzrok znad zlewu.

– Co u doktora? Jakaś zmiana?

– Przecież go znasz. Po śmierci syna spotkania z nim są mało zabawne. Totalmente.

– Wybiera się z wami na polowanie? – zapytał Jimmy po chwili.

– Wolałbym, żebyś nazywał to misją – warknął. – Słuchaj, Tina ma zamiar się tu zjawić?

– Może później – powiedział Jimmy, odwracając wzrok.

Pumo miał dwoje Wietnamczyków mieszkających w restauracji, rozwałił kuchnię na kawałki, żeby zatłuc kilka robaków, i z powodu Maggie zachowywał się jak nastolatek. „La-La”, akurat. Stary towarysz Beansa Beeversa stał się po prostu kolejnym... Przez sekundę szukał słowa, jakiego używał Dengler, i je znalazł: dwuwymiarowym.

– Przekaż mu, że powinien stawić się w Pokoju Mike’a Todda z pieprzonym nożem za pasem.

– Maggie będzie miała z tego wielką frajdę.

Harry spojrział na zegarek.

– Planujesz podczas tej misji zajrzeć do Tajpej, Harry? – zapytał Jimmy, po raz pierwszy okazując ślad szczerzego zainteresowania.

Beevers poczuł ostrzegawcze mrowienie.

– Czy ty i Maggie nie jesteście z Tajpej? – Nerw pulsował mu w skroni.

Nagle go oślnięło. Kto powiedział, że Tim Underhill nadal mieszka w Singapurze? Sam był w Tajpej na urlopie i z łatwością mógł sobie wyobrazić, jak Tim Underhill decyduje się zamieszkać w obskurnym amalgamacie Chinatown i Dodge City – właśnie tak zapamiętał to miasto. Zobaczył, że Boska Sprawiedliwość, błędnie uważana za drzemającą, oczywiście od początku była w pełni rozbudzona. Wszystko zostało z góry ustalone, wszystko zostało z wyprzedzeniem przemyślane. Bóg to wszystko zaplanował.

Harry usadowił się na stołku, zamówił kolejne martini i odłożył konfrontację z byłą żoną o następne dwadzieścia minut. Słuchał, jak Jimmy Lah opisuje mroczniejsze aspekty nocnego życia w stolicy Tajwanu.

Jimmy postawił przed nim parującą filiżankę kawy. Harry włożył serwetkę do wewnętrznej kieszeni marynarki i spojrział na wściekle demony. Zobaczył zbliżające się do niego dziecko z uniesionym nożem i serce mu przyspieszyło. Uśmiechnął się i poparzył sobie język gorącą kawą.

2

Krótko potem Harry stał przy automacie telefonicznym obok męskiej toalety w wąskim korytarzu na dole. Najpierw próbował znaleźć swoją byłą żonę w galerii Marii Farr na parterze dawnego magazynu przy Spring Street w SoHo. Pat Caldwell Beevers chodziła do prywatnej szkoły z Marią Farr, a kiedy galeria zaczęła podupadać, przejęła ją i uczyniła beneficjentem swojej działalności charytatywnej. (We wczesnych dniach zainteresowania żony galerią sztuki musiał cierpliwie znosić kolacje z artystami, których prace składały się z rdzawiejących rur przypadkowo rozrzuconych po podłodze, rzędu ustawionych na sztorc schludnych aluminiowych płyt oraz różowych, pokrytych brodawkami kolumn przywodzących mu na myśl gigantyczne penisy. Wciąż nie mógł uwierzyć, że sprawcy tych niedojrzałych żartów zarabiali prawdziwe pieniądze).

Telefon odebrała Maria Farr. To źle wróżyło.

– Mario, miło znów słyszeć twój głos. To ja. – W rzeczywistości brzmienie jej głosu, ze wszystkimi spółgłoskami twardymi jak kamyczki, przypomniało mu, jak bardzo jej nie lubi.

– Nie mam ci nic do powiedzenia, Harry.

– Jestem pewien, że to błogosławieństwo dla nas obojga. Pat jest jeszcze w galerii?

– Nie powiedziałabym ci, gdyby była. – Maria odłożyła słuchawkę.

Zadzwoił do informacji i zdobył numer „Rilke Street”, czasopisma literackiego, drugiej aktualnej misji charytatywnej Pat. Redakcja mieściła się przy Duane Street w lofcie wydawcy, Williama Tharpe’a. Ponieważ Harry spędził mniej wieczorów z wydawcą i jego zubożałymi współpracownikami niż z Marią Farr i jej artystami, Tharpe zawsze brał go mniej więcej za dobrą monetę.

– „Rilke Street”, William Tharpe.

– Billy, mój chłopcze, jak się masz? Tu Harry Beevers, najlepszy były mąż twojej najlepszej pomaierki. Mam nadzieję, że ją zastałem.

– Harry! – wykrzyknął Tharpe. – Masz szczęście. Właśnie robimy z Pat makietę numeru trzydziestego piątego. Będzie piękny. Idziesz w tę stronę?

– Skoro zapraszasz. Jak myślisz, mogę pogadać z drogą Patrycją?

Po chwili jego była wzięła słuchawkę.

– Jak miło, że dzwonicz, Harry. Właśnie o tobie myślałem. Wszystko w porządku?

Zatem wie, że Charles go wyłał.

– Dobrze, dobrze, wszystko świetnie – zapewnił ją. – Jestem w nastroju do świętowania. Co powiesz na drinka lub kolację, gdy skończysz łaskotać po jajkach starego Billy’ego?

Pat odbyła krótką rozmowę z Williamem Tharpe’em, w większości niesłyszalną dla Harry’ego, po czym przysunęła mikrofon słuchawki do ust.

– Za godzinę, Harry.

– Zawsze będę cię uwielbiał, i nic w tym dziwnego – powiedział, a ona szybko się rozłączyła.

3

Kiedy taksówka minęła monopolowy, Harry poprosił kierowcę, żeby zaczął, i wyskoczył po butelkę. Przeciął chodnik w takim tempie, że powiewały poły jego płaszczka, i wszedł do przypominającego stołole, zalanego ostrym światłem sklepu z szerokimi alejkami i pastelowymi niebieskimi neonami informującymi: importowane, piwo i doskonałe szampany. Ruszył w stronę szampanów, ale zwołnił, gdy zobaczył przed sobą trzy młode kobiety z włosami postawionymi na sztorc i w ubraniach wykluczających pokazanie się w lepszym towarzystwie. Zawsze ekscytowały go dziewczyny punki. Te w alejce szeptały i chichotały, naradzając się nad koszem niedrogich czerwonych win, ich puszyste różnokolorowe fryzury kołysały się jak trujące orchidee, gdy śmiały się z jakiegoś żartu. Jedna miała blond-różowe włosy i prawie dorównywała mu wzrostem. Wybrała butelkę burgunda i powoli obracała ją w długich palcach. Wszystkie trzy miały na sobie podarte czarne ubrania, które wyglądały jak znalezione na ulicy. Najniższa pochylała się, żeby obejrzeć butelkę, którą pieściła ta najwyższa, i wskazała okrągłym denkiem w jego stronę. Jej skóra miała piaskowy, prawie złoty odcień. Nagle tknęło go, że ją zna. Później zobaczył jej profil wyraźnie wydrukowany na niebieskim neonowym tle. To Maggie Lah. Ruszył ku niej, uśmiechając się, świadom kontrastu między jego garniturem a łachami dziewczyn. Maggie zostawiła koleżanki i pomknęła na początek alejki. Pozostałe pośpieszyły za nią. Wysoka wyciągnęła rękę i zacisnęła białą dłoń na jej ramieniu. Wtedy zobaczył zapadnięty policzek pokryty ciemnym zarostem. Wysoka dziewczyna była mężczyzną. Znieruchomiał, uśmiech zamarł mu na ustach. Maggie potarła kantem dłoni zarośnięty policzek mężczyzny. We trójkę poszli dalej w stronę doskonałych szampanów, nie widząc go.

Maggie i jej przyjaciiele skręcili w boczną alejkę z witrynami chłodniczymi. Neon rzucał na nich blądniebieskie światło. Harry przypomniał sobie, że wszedł do tego sklepu po butelkę szampana jako łapówkę dla Pat, gdy zobaczył, jak Maggie otwiera szklane drzwi lodówki. Na jej twarzy malował się wyraz słodkiej koncentracji. Wyjęła butelkę dom perignona i błyskawicznie wsunęła ją w zanadrze. Kradzież zajęła jakieś półtorej sekundy. Harry nagle wyobraził sobie ciemną, zimną butelkę szampana między jej piersiami.

Otworzył szklane drzwi i sięgnął po dom perignona. Przypomniał sobie mistycznie uśmiechniętą twarz wietnamskiej dziewczynki, gdy zmierzała ku niemu z kuchennych drzwi w Sajgonie. Gdy schował butelkę pod marynarką, powstało wyrzucenie. Maggie Lah i jej niechlujni towarzysze szli spacer-

kciem w kierunku kas od frontu sklepu. Harry wsunął rękę pod marynarkę, przekreślił butelkę i wcisnął szyjkę w spodnie. Zapiął marynarkę i płaszcz. Wybrzuszenie było teraz prawie niewidoczne. Ruszył za Maggie w stronę kas.

Kasjerzy przy kilku czynnych stanowiskach wciskali przyciski i przesuwali butelki wina na ruchomych taśmach. Maggie i pozostali przeszli obok pustej kasy i opierającego się o szybę umundurowanego ochroniarza. Harry patrzył, jak znikają za drzwiami.

– Hej, Maggie! – ryknął. Przebiegł obok najbliższej nieczynnej kasy. – Maggie!

Ochroniarz uniósł wzrok i zmarszczył brwi. Harry wskazał wyjście. Wszyscy w tej części sklepu wpatrywali się w niego.

– Widziałem dawną znajomą – powiedział do ochroniarza, a ten odwrócił się bez słowa i oparł o okno.

Zanim wyszedł na chodnik, Maggie już nie było.

Przez całą drogę na Duane Street wpatrywał jej na chodnikach. Gdy taksówka zatrzymała się i stanął na wytłoczonych metalowych płytach przed magazynem z loftem Williama Tharpe'a, pomyślał: tam, gdzie jądę, jest milion takich dziewczyn.

4

Harry Beevers wręczył schłodzoną butelkę dom perignona zdumionemu, ucieszonemu Williamowi Tharpe'owi i spędził pięć czy dziesięć minut na pełnych hipokryzji zachwytach nad najnowszym numerem „Rilke Street”. Później zabrał nieładną, siwiejącą Pat Caldwell Beevers – coraz bardziej przypominała ovczarka angielskiego, snującego się wokół niego przez pół życia – do restauracji TriBeCa, z rodzaju tych, o których, czego nauczył się od Tima Underhilla, mówił „Francja-elegancja”. Ściany były pokryte czerwoną laką. Na stolikach stały dyskretne lampy z mosiężnymi kloszami. Po sali krążyli postawni kelnerzy. Harry myślał o Maggie Lah, o jej złocistej skórze, o butelkach szampana i innych interesujących rzeczach między jej małymi, ale niewątpliwie podniecającymi piersiami. Podczas posiłku opracowywał różne niezbędne scenariusze dotyczące swojej „misji”. Pat często się uśmiechała i z wyraźną przyjemnością popijała wino, jadła zupę i rybę, jemu jednak co jakiś czas przez głowę prze-mykała myśl, że przejrzała jego kłamstwa. Podobnie jak Jimmy Lah, zapytała go, co u Michaela, jak według niego daje sobie radę, a on odpowiedział, że dobrze, dobrze. Jej uśmiech wydawał się pełen ubolewania – nad nim, nad sobą, nad Michaeliem Poole'em, a może całym światem – nie był w stanie powiedzieć. Gdy w odpowiednim momencie poprosił o pieniądze, zapytała tylko: „Ile?”. Jakiś dwa tysiąki. Sięgnęła do torby, wyjęła książeczkę czekową i wieczne pióro i z najzupełniej obojętną miną wypisała czek na trzy tysiące dolarów.

Podawała mu go nad stołem. Cętkowane rumieńce wystąpiły na jej policzki. Mało pociągające, pomyślał.

– Oczywiście uważam to za pożyczkę – powiedział. – Robisz dużo dobrego z tymi pieniędzmi, Pat. Poważnie.

– Więc rząd chce, żebyś wytropił tego człowieka i sprawdził, czy nie jest mordercą?

– Krótko mówiąc. Oczywiście jest to operacja na wpół prywatna, dzięki czemu będę mógł zawrzeć umowę na publikację książki, produkcję filmu i tak dalej. Rozumiesz potrzebę ścisłej poufności.

– Oczywiście.

– Cóż, wiem, że umiesz czytać między wierszami, ale... – Pozwolił, żeby zdanie samo się dopełniło. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie wiąże się z tym potencjalne niebezpieczeństwo.

– No tak. – Pat pokiwała głową.

– Nie powinienem nawet o tym myśleć, ale jeśli nie wrócę, to chyba wypadaloby pochować mnie w Arlington.

Znowu skinęła głową.

Harry poddał się i rozejrzał w poszukiwaniu kelnera. Pat zaskoczyła go, mówiąc:

– Nadal są chwile, kiedy żałuję, że postawiłeś stopę w Wietnamie.

– Jaki w tym sens? – zapytał. – Jestem sobą, zawsze byłem sobą, nigdy nie byłem nikim innym, tylko sobą.

Rozstali się przed restauracją.

Harry przeszedł kawałek po chodniku i odwrócił się z uśmiechem, wiedząc, że Pat odprowadza go wzrokiem. Ale szła przed siebie, ze zwieszonymi ramionami, z kołyszącą się u boku wypchaną pokaźną

torbą.

Udał się do swojego banku i wszedł do pustego przedsionka. Skorzystał z bankomatu, żeby zdeponować czek Pat i jeszcze jeden, który dostał tego dnia, po czym wypłacił czterysta dolarów w gotówce. W kiosku na rogu kupił egzemplarz „Screw”, złożył go i wsunął pod pachę, żeby nikt nie mógł zidentyfikować czasopisma porno. Wrócił w zimnie na Dwudziestą Czwartą Zachodnią do kawalerki, którą wynajął niedługo po tym, jak Pat z większą stanowczością niż kiedykolwiek w trakcie małżeństwa oświadczyła, że muszą się rozwieść.

Conor w pracy

1

To zabawne, pomyślał Conor, jak od czasu spotkania wracają do niego rzeczy z dawnych czasów, jakby Wietnam był jego prawdziwym życiem, a wszystko późniejsze tylko miłym wspomnieniem. Miał kłopot ze skupieniem się na teraźniejszości – przeszłość wdzierała się do jego umysłu, niekiedy nawet fizycznie. Kilka dni temu starszy mężczyzna niewinnie pokazał mu zrobione przez specjalistę Cottona zdjęcie Tima Underhilla, obejmującego ramieniem jednego ze swoich „kwiatów”.

Była czwarta po południu i leżał w łóżku z pierwszym poważnym kacem od czasu odsłonięcia pomnika. Wszyscy uważali, że z wiekiem człowiek lepiej radzi sobie z presją, ale z jego doświadczenia wynikało, że jest na odwrót.

Trzy dni temu był w środku piątego tygodnia pracy stolarskiej, która powinna zapewnić mu środki na czynsz przynajmniej do czasu, gdy Poole i Beevers zorganizują podróż do Singapuru. Mieszkający przy Mount Avenue w Hampstead, zaledwie dziesięć minut drogi od jego maleńkiego, niemal komicznie ubogiego w meble mieszkania w South Norwalk, prawnik milioner po sześćdziesiątce, Charles („Mów mi Charlie!”) Daisy właśnie ożenił się po raz trzeci. Ze względu na nową żonę przerabiał cały parter rezydencji – kuchnię, salon, pokój śniadaniowy, jadalnię, hol, pokój dzienny, pralnię i pomieszczenia dla służby. Przedsiębiorca budowlany Daisy’ego, siwobrody weteran Ben Roehm, zatrudnił Conora, gdy jego stała ekipa okazała się zbyt mała. Conor przez lata pracował z Benem Roehmem trzy, może cztery razy. Jak wielu mistrzów stolarzy, którzy byli geniuszami w obróbce drewna, Roehm potrafił być kapryśny i nieprzewidywalny, ale sprawiał, że stolarstwo stawało się czymś więcej niż tylko robotą za pieniądze z czynsz. Zdaniem Conora praca z Roehmem była tak bliska przyjemności, jak to tylko możliwe.

Swojego pierwszego dnia w pracy kładli nową dębową podłogę, gdy Daisy wcześniej wrócił z biura i wszedł do salonu. Stał, obserwując ich przez długi czas. Conor trochę się denerwował. Myślał, że może klientowi nie podoba się jego wygląd. Chcąc zmniejszyć mękę klęczenia przez cały dzień na twarde drewno, okręcił nogi w kolanach grubymi szmatami, i przewiązał czoło nakrapianą bandaną, żeby pot nie zalewał mu oczu. (Bandana przypomiała mu o Underhillu, o jego kwiatach i potocznej gadce). Conor pomyślał, że prawdopodobnie w oczach Charliego Daisy’ego wygląda zbyt luzacko. Nie był zbytby zaskoczony, gdy Daisy zrobił krok do przodu i zakasłał w pięść.

– Hm!

Conor i Roehm wymienili szybkie spojrzenia. Klienci, zwłaszcza ci z Mount Avenue, ni z tego, ni z owego potrafili wpadać na pomysły nie z tej ziemi.

– Ty, młody człowieku – powiedział Daisy. Conor spojrział, mrugając, boleśnie świadom, że tkwi na czworakach przed tym wytwornym milionerem jak obszarpany pies. – Byłeś w Wietnamie, prawda?

– Tak, proszę pana – mruknął przygotowany na kłopoty.

– To się chwali. – Daisy pochylił się lekko, żeby ucisnąć jego dłoń. – Wiedziałem, że mam rację.

Okazało się, że jego jedyny syn był kolejnym nazwiskiem na ścianie – zginął w Hue podczas ofensywy Tet.

Przez kilka tygodni według Conora ta praca była prawdopodobnie najlepszą w jego życiu. Niemal codziennie uczył się od Bena Roehma czegoś nowego, drobiazgów, które miały tyle samo wspólnego z metodami pracy, co z koncentracją i szacunkiem do niej. Kilka dni po uściśnięciu jego ręki Charlie Daisy zjawiał się pod koniec dnia z szarym zamszowym pudełkiem i oprawionym w skórę albumem ze zdjęciami.

Conor i Roehm stawiali nową ściankę działową w kuchni, która wyglądała jak po wybuchu bomby – posiekana podłoga, zwisające przewody, wystające rury. Daisy jakoś się do nich przedał.

– Dopóki znów się nie ożeniłem, miałem tylko jedno serce.

Pudełko zawierało medale jego syna. Na lśniącym atlasie leżały Purpurowe Serce, Brązowa Gwiazda i Srebrna Gwiazda. Album był pełen zdjęć z Wietnamu.

Stary Daisyapał, wskazując zdjęcia zabloconych czołgów M-48 i nastolatków bez koszul, z rękami zarzuconymi na ramiona kolegów. Podróże w czasie nie wzięły się z niczego, pomyślał Conor. Żałował, że dziarski stary prawnik za mało rozumie, bo powinien się zamknąć i pozwolić, by zdjęcia mówiły same za siebie.

Ponieważ zdjęcia mówiły. Hue leżało na terenie I Korpusu, w jego Wietnamie, i wszystko, na co patrzył, wyglądało znajomo. Oto dolina A Shau – góry składały się i nakładały na siebie, mężczyźni wspinali się w pojedynczej krętej kolumnie, stawiając stopy w tym samym starym błocie. (Dengler: Taa, chociażbym chodził doliną A Shau, zła się nie ulękę, bo jestem najbardziej pojebanym sukkinsynem w dolinie). Chłopcy-żołnierze błyskawicy pacyfą na polanie w dżungli, jeden z brudnym paskiem gazy wokół gołego ramienia. Zamiast twarzy chłopaka Conor widział płonąca, radosną twarz Denglera.

Później spojrzął na wychudzoną twarz chłopaka z bokobrodami, próbującego szczerzyć zęby nad lufą karabinu M-60 zamontowanego w dużym zielonym hueyu. Peters i Herb Recht zginęli w takim samym śmigłowcu, rozspując osocze, pasy z amunicją, sześciu innych mężczyzn i siebie na zboczu wzgórz dwadzieścia kilometrów od Camp Crandall.

Conor stwierdził, że wpatruje się w cylindryczne pociski w taśmie M-60.

– Chyba rozpoznasz ten helikopter – powiedział Daisy.

Conor skinął głową.

– Widziałeś ich wiele w swoim czasie.

To było pytanie, ale znowu mógł tylko skinąć głową.

Dwóch młodych żołnierzy, tak świeżych, że nie mogli być tam dłużej niż tydzień, siedziało na trawie grobli i unosiło manierki do ust.

– Ci chłopcy zginęli razem z moim synem – powiedział Daisy.

Wilgotny wiatr zwichrzył ich krótkie włosy. Za nimi chude woły wędrowały po spustoszonej polu. Conor poczuł smak plastiku – skrzepnięty trupi smak ciepłej wody w plastikowej manierce.

Urzeczonemu, niewinnemu głosem człowieka mówiącego bardziej do siebie niż do słuchaczy Daisy komentował zdjęcia mężczyzn wciągających 3,5-calowe pociski rakietowe na dach budynku, grupki szeregowych leniuchujących przed drewnianą szopą, która wkrótce stanie się kwaterą główną starszego szeregowego Wilsona Manly’ego, żołnierzy palących zioło, żołnierzy śpiących na zakurzonej pustkowi, które wyglądało jak obrzeża strefy lądowania Sue, uśmiechniętych żołnierzy bez kapeluszy, pozujących z obojętnymi wietnamskimi dziewczynkami...

– A tego faceta nie znam – powiedział Daisy. Gdy Conor zobaczył twarz, niemal przestał słyszeć głos prawnika. – Duży taki a taki, prawda? Domyślam się, co kombinował z tą małą.

To była naturalna pomyłka. Najwyraźniej nowa żona zrestartowała gonady Daisy’ego – z jakiego innego powodu miałby wracać do domu o wpół do piątej po południu?

Wielkim żołnierzem na zdjęciu był Tim Underhill. A „mała”, jeden z jego kwiatów, była młodym mężczyzną, tak kobiecym, że mógłby naprawdę być dziewczyną. Uśmiechając się do fotografa, stali na wąskiej uliczce zatłoczonej jeepami i rikszami w mieście, które musiało być Da Nang albo Hue.

– Synu? – mówił Daisy. – Wszystko w porządku, synu?

Conor przez chwilę zastanawiał się, czy Daisy da mu zdjęcie Underhilla.

– Wyglądasz trochę blade, synu – dodał Daisy.

– Proszę się nie martwić – powiedział Conor. – Nic mi nie jest.

W zasadzie już nie patrzył na pozostałe zdjęcia.

– Trzeba poznać to na własnej duszy – powiedział. – Takiego gówna nie można zapomnieć.

Później Ben Roehm zdecydował, że potrzebuje kolejnego nowego człowieka do spoinowania w kuchni, i zatrudnił Victora Szpitalny’ego.

Tego dnia Conor spóźnił się kilka minut do pracy. Kiedy wszedł do zrujnowanej kuchni, nieznanomy z długim blond kucykiem opierał się o szkielec ścianki działowej, ubrany w wymięty golf pod koszulą w kratę. Pod jego brzuchem wisiał podniszczony pas z narzędziami. Na grzbiecie nosa miał nowy strup, a wiele starych koloru spieczonej grzanki zdobiło knykcie lewej ręki. Siateczka czerwonych linii pokrywała białka jego oczu. Pamięć Conora uwolniła bańkę wypełnioną nieusuwalnym zapachem gówna płynącego w nafcie. Wietnam, piechota.

Ben Roehm oraz inni stolarze i malarze z ekipy siedzieli albo leżeli na podłodze, popijając poranną kawę z termosów.

– Conor, poznaj Toma Woyzaka, swojego nowego partnera do spoinowania – powiedział Ben. Woyzak wpatrywał się w wyciągniętą rękę Conora przez kilka uderzeń serca, zanim niechętnie nią potrząsnął.

„Pijcie to”, przypomniał sobie Conor, „boo-koo dobre dla flaków”.

Przez cały ranek spoinowali w milczeniu karton gipsy po przeciwnych stronach kuchni.

O jedenastej pani Daisy przyszła z dzbankiem świeżej kawy. Po jej wyjściu Woyzak mruknął:

– Widziałeś, jak do mnie podeszła? Zanim ta robota się skończy, będę w sypialni przyglądał dziwkę do podłogi.

– Pewnie, pewnie – powiedział Conor ze śmiechem.

Woyzak natychmiast przeszedł przez kuchnię, zostawiając na podłodze parujący szlak kawy i wirujący kubek. Ściągnął wargi, obnażając zęby. Przyniósł twarz do jego twarzy.

– Nie wchodź mi w drogę, pedale, bo cię zatłukę.

– Odsuń się – powiedział Conor.

Odepchnął go. Przygotował się, żeby zamarkować cios prawą, przyskoczyć i trzasnąć świra w grydkę lewą ręką, ale Woyzak potrząsnął ramionami, jakby jego dotyk go pobrudził, i cofnął się.

Pod koniec dnia Woyzak rzucił pas z narzędziami w kąt kuchni i w milczeniu patrzył, jak Conor pakuje swoje narzędzia na noc.

– Ale z ciebie schludny mały fajfus – powiedział.

Conor zatrzasnął skrzynkę z narzędziami.

– Masz wielu przyjaciół, Woyzak?

– Myślisz, że ci ludzie cię adoptują? Ci ludzie cię nie adoptują.

– Daj spokój. – Conor wstał.

– Więc ty też tam byłeś? – spytał Woyzak z cieniem zaciekawienia w głosie.

– Tak.

– Jako stenotypista?

Conor ze złością potrząsnął głową i odwrócił się.

– W jakiej jednostce?

– Dziewiąty batalion, dwudziesty czwarty pułk piechoty.

Śmiech Woyzaka brzmiał jak wiatr dmący nad świeżym grobem. Conor szedł dalej, aż bezpiecznie opuścił dom.

Przez długi czas siedział okrakiem na motocyklu, spoglądając w dół na ciemnoszare kamienie podjazdu, celowo powstrzymując się od myślenia. Niebo i powietrze były ciemne jak żwir. Zimny wiatr dmuchał mu w twarz. Czuł, jak ostre kamienie wbijają się w podeszwy jego butów.

Przez chwilę był pewien, że odpali harleya i ruszy przed siebie, zatraci się w smudze pędu i dali, aż przemknie bez zatrzymywania się setki mil. Szybkość jazdy przepełniła go przyjemnym, lekkim uczuciem niemalże pustki. Widział przed sobą rozwijające się autostrady, neony przed motelami, hamburgery skwierczące na grillu przy przydrożnych knajpkach.

Siedząc na motorze w zimnym powietrzu, usłyszał trzaśnięcie drzwi w domu. Zabrzmiał dudniący baryton Bena Roehma.

Chciałby, żeby Mike Poole zadzwonił do niego i powiedział: „Jedziemy, buziaczku, pakuj walizki i widzimy się na lotnisku”.

Ben Roehm otworzył drzwi i wbił w niego wzrok. Wyszedł na zewnątrz i włożył ciężką dzinsową kurtkę na misiu.

– Do jutra?

– Nie mam wyboru – powiedział Conor.

Ben Roehm skinął głową. Conor zapuścił silnik harleya i odjechał, gdy reszta ekipy wyszła na dwór.

Przez trzy lub cztery dni Woyzak i Conor ignorowali się nawzajem. Kiedy Charlie Daisy w końcu zwrócił się do drugiego weterana i zjawił się z pudełkiem medali i albumem ze zdjęciami, Conor odłożył narzędzia i wyszedł. Nie mógłby znieść przebywania w pobliżu, gdy Thomas Woyzak będzie patrzeć na zdjęcie Underhilla.

W noc poprzedzającą dzień, który okazał się ostatnim dniem jego pracy, Conor zbudził się o czwartej z koszmaru o M.O. Denglerze i Timie Underhillu. O piątej wstał z łóżka. Zaparzył dzbanek kawy i wypił prawie całą, zanim wyszedł do pracy. Kawałki snu przylegały do niego przez cały poranek.

Kuli się w bunkrze z Denglerem, prowadzą wymianę ognia. Underhill musi być w ciemnej części bunkra albo w innym miejscu tuż obok, ponieważ jego bogaty głos, bardzo podobny do głosu Bena Roehma, niesie się nad hałasem.

W Smoczej Dolinie nie było bunkrów.

Po drugiej stronie bunkra siedzi trup porucznika, wyprostowany, z wyciągniętymi przed siebie rozsuniętymi nogami. Krew ze schludnego cięcia na szyi spływa na tułów, barwiąc pierś na czerwono.

– Dengler! – mówi Conor w swoim śnie. – Dengler, spójrz na porucznika! Dupek wpakował nas w ten bajzel, a teraz nie żyje!

Kolejne potężne światło wybucha na niebie i widzi kartę Koko wystającą z ust porucznika Beeversa. Dotyka ramienia Denglera i ciało Denglera przewraca się na jego nogi, i widzi jego okaleczoną twarz i kartę Koko w otwartych ustach. Krzyczy zarówno we śnie, jak i w prawdziwym życiu, i budzi się.

Conor wcześniej przyjechał do pracy i czekał na zewnątrz na pozostałych. Kilka minut później Ben Roehm zajął swoim blazerem wraz z dwoma innymi członkami ekipy, którzy mieszkali w jego części stanu. Byli to mężczyźni z małymi dziećmi i czynszem do opłacenia, ale zbyt młodzi, by być w Wietnamie. Patrząc, jak wysiadają z samochodu, Conor zdał sobie sprawę, że czuje się zaskakująco ojcowsko w stosunku do tych krzepkich młodych stolarzy – nie mieli wystarczającego doświadczenia, by dostrzec różnicę między Benem Roehmem a większością innych majstrów.

– Jak tam dzisiaj, Rudy? – zapytał go Roehm.

– Jak rosa o poranku, szefie.

Woyzak podjechał chwilę później długim samochodem, pomalowanym czarnym podkładem i pozbawionym wszelkich zewnętrznych ozdób, nawet klamek.

W trakcie pracy Conor po raz pierwszy zauważył, że wprawdzie Woyzak zrobił dwa razy więcej niż on, ale kładł taśmę tak, jakby pracował na akord dla wykonawcy, który śpieszy się zakończyć gównianą robotę w szeregowcu z wyłaczanek do jajek. Ben Roehm był wymagający i żeby go zadowolić, łączenia musiały być płaskie i gładkie. Praca Woyzaka wyglądała równie prymitywnie jak jego fura bandziora do ucieczki z miejsca przestępstwa. Położona nierówno taśma była pełna wyrzuseń i zmarszczek, które zostaną tam na zawsze, widoczne nawet wtedy, gdy ściany będą już zagipsowane i pokryte dwiema warstwami farby.

Woyzak zobaczył, że Conor przygląda się jego dziełu.

– Coś nie w porządku?

– Mniej więcej wszystko, stary. Pracowałeś wcześniej dla Bena?

Woyzak odłożył narzędzia i podszedł do niego.

– Ty mały rudy skurwielu, mówisz mi, że nie nadają się do tej roboty? Przypadkiem zauważyłaś, że jestem dwa razy lepszy od ciebie? Coś mi się zdaje, że trzymasz się tej roboty tylko dlatego, że odwaliło ci na punkcie zdjęć tego zgreda. Stary chce uszczęśliwić cywilów.

Stary? – pomyślał Conor. Cywile? Jesteśmy z powrotem w woju?

– Słuchaj, jego dzieciak zrobił te zdjęcia, człowieku – powiedział.

– Zdjęcia zrobił czarnuch Cotton.

– O cholera. – Conor poczuł się tak, jakby musiał szybko uisnąć.

– Cotton był w plutonie młodego Daisy'ego. Dzieciak jakoś zdobył odbitki jego fotek, dupku.

– Znałem Cottona. Byłem z nim, kiedy zginął.

– Gówno mnie obchodzi, kto zrobił zdjęcia, gówno mnie obchodzi, czy żyje, czy jest martwy, czy gdzieś pośrodku. I nie obchodzi mnie, czy wszyscy tutaj mają cię za jakiegoś bohatera, bo w moich oczach jesteś tylko wrzodem na dupie.

Woyzak zrobił kolejny krok w jego stronę. Conor dostrzegł w nim wściekłość tak ściśle nakładającą się na cierpienie, że nie mógł odróżnić jednego od drugiego.

– Słyszysz mnie? Brałem udział w wymianie ognia przez dwadzieścia jeden dni, człowieku, dwadzieścia jeden dni i dwadzieścia jeden nocy.

– Musimy coś zrobić z kociami mordkami na taśmie, to wszystko...

Woyzak już go nie słyszał. Jego oczy wyglądały niesamowicie, jak obracające się wiatraczki.

– KICIA! – wrzasnął.

– Myślałem, że lubisz kociaki – powiedział Conor.

– Jestem dobrym spoiniarzem!

Ben Roehm położył temu kres, wałąc pięścią w płytę gipsową. Pani Daisy z czajnikiem w dłoni stała niepewnie za jego plecami.

Woyzak posłał jej nikły uśmiech.

– Wystarczy – zarządził Roehm.

– Nie mogę pracować z tym kutasem – powiedział Woyzak, wyrzucając ręce w powietrze.

– Ten facet mnie zaczepiał – zaprotestował Conor.

– Charlie dostanie ataku, jeśli usłyszy wulgarny język w tym domu – odezwała się nerwowo pani Daisy. – Może na to nie wygląda, ale jest bardzo staroświecki.

– Kto jest spoiniarzem, tak czy inaczej? – Woyzak pochylił się, podniósł szpachlę i pędzel. Jego oczy znów wyglądały normalnie. – Chcę tylko zrobić swoje.

– Ale spójrz tylko, szefie, jak on to robi! – krzyknął Conor.

Ben Roehm zwrócił ku niemu poważną twarz i powiedział mu, że muszą pogadać.

Poprowadził go korytarzem do zdemolowanego pokoju dziennego. Conor słyszał, jak Woyzak mruczy coś sugestywnie do pani Daisy, a ona chichocze.

W pokoju Ben przestąpił nad dziurami w podłodze i oparł się o gołą ścianę.

– Ten chłopak jest mężem Ellen, mojej siostrzenicy. Wietnam solidnie dał mu w kość i staram się mu pomóc. Nie musisz mi mówić, że kładzie taśmę jak marynarz po trzydniowym chłaniu. Robię dla niego, co mogę. – Spojrzał Conorowi w oczy i szybko odwrócił wzrok. – Chciałbym powiedzieć coś innego, Rudy, ale nie mogę. Dobry z ciebie pracownik.

– Mam wrażenie, że w porównaniu z tym tutaj służba w Wietnamie była piknikiem. – Conor pokręcił głową i zacisnął usta.

– Dam ci kilka dniówek ekstra. Będzie następna robota, odezwiw się latem.

Do lata było daleko, ale Conor powiedział:

– Nie martw się o mnie, mam w planach coś innego. Wybieram się na wycieczkę.

Roehm z zakłopotaniem machnął ręką, odprawiając go.

– Trzymaj się z dala od barów.

2

Kiedy Conor wrócił na Water Street w South Norwalk, zdał sobie sprawę, że nie pamięta niczego, co się wydarzyło, odkąd pożegnał się z Benem Roehmem. Było tak, jakby zasnął w chwili, gdy wszedł na harleya, i obudził się po zgaszeniu motocykla przed swoim blokiem. Czuł się zmęczony, pusty, przybity. Nie miał pojęcia, jak udało mu się nie spowodować wypadku, gdy jechał w transie przez całą drogę do domu. Nie miał pojęcia, dlaczego wciąż żyje.

Z przyzwyczajenia zajrzał do skrzynki pocztowej. Wśród zwykłych przesyłek reklamowych adresowanych do „mieszkańca” i ulotek polityków z Connecticut znajdowała się ręcznie zaadresowana podłużna biała koperta ze stemplem pocztowym Nowego Jorku.

Conor zabrał pocztę na górę, wyrzucił zbędne papiery do kosza i wyjął piwo z lodówki. Kiedy spojrział w lustro nad zlewem w kuchni, zobaczył zmarszczki na czole i worki pod oczami. Wyglądał na chorego – na chorego faceta w średnim wieku. Włączył telewizor, rzucił kurtkę na swoje jedyne krzesło i padł na łóżko. Rozdarł białą kopertę, przedłużając tę czynność, jak tylko się dało. Zajrzał do środka. Zobaczył niebieski prostokąt papieru. Wyciągnął czek i obejrzał go. Po chwili zakłopotania i niedowierzania ponownie przeczytał słowa na awersie. Wystawiony na dwa tysiące dolarów, płatne Conorowi Linklaterowi, i podpisany przez Harolda J. Beeversa. Conor podniósł kopertę z klatki piersiowej, zajrzał do niej jeszcze raz i znalazł liścik: „Wszystkie systemy sprawne! Skontaktuj się w sprawie lotu. Pozdrawiam, Harry (Beans!)”.

3

Conor przez długi czas wpatrywał się w czek. W końcu schował go wraz z liścikiem do koperty i spróbował wykombinować, gdzie ma ją położyć. Jeśli na krześle, może na niej usiąść, a jeśli na łóżku, może zapakować ją razem z pościelą do prania. Martwił się, że jeśli umieści ją na telewizorze, może po pijanemu uznać ją za śmieci i wyrzucić. Wreszcie zdecydował się na lodówkę. Wstał z łóżka, pochylił się, żeby otworzyć drzwi lodówki, i ostrożnie ulokował kopertę na pustej półce pod sześciopakiem piwa „Molson’s”.

Ochlapał twarz wodą, przyplaszczył włosy szczotką i przebrał się w czarne ubranie z dżinsu i sztruku, które nosił w Waszyngtonie.

Poszedł do Donovan’s i wypił cztery boilermakery, zanim zjawił się inny klient. Nie wiedział, czy jest bardziej szczęśliwy z powodu zdobycia pieniędzy na podróż niż nieszczęśliwy z powodu utraty

pracy przez tego dupka Woyzaka, czy może bardziej nieszczęśliwy z powodu utraty pracy niż szczęśliwy z powodu pieniędzy. Po chwili zdecydował, że jego szczęście przeważa nad nieszczęściem, i z tej okazji musiał wypić następnego drinka.

W końcu bar się zapełnił. Conor długo wpatrywał się w ładną kobietę, aż poczuł się jak tchórz, więc w końcu zsunął się ze stołka i podszedł, żeby z nią pogadać. Dowiedział się, że chodzi na kurs komputerowy. (W pewnym momencie wieczorem okazywało się, że jakieś sześćdziesiąt procent kobiet w pubie Donovan's chodzi na kursy komputerowe). Wypili razem kilka drinków. Conor zapytał, czy chciałaby zobaczyć jego zabawne mieszkanko. Odparła, że jest zabawnym facecikiem, i się zgodziła.

– Prawdziwy z ciebie domator, mam rację? – powiedziała, gdy zapalił światło w mieszkaniu.

Gdy skończyli się kochać, zapytała go o guzki na plecach i brzuchu.

– Agent orange – wyjaśnił. – Szkoda, że nie mogę ich nauczyć poruszania się, literowania słów, czegoś w tym stylu.

Obudził się sam, skacowany, żałując, że nie może zobaczyć się z Mikiem Poole'em i pogadać z nim o czynniku pomarańczowym, i zastanawiając się nad Timem Underhillem.

Doktor Poole podczas pracy i zabawy

1

– No proszę – powiedział Michael. – W styczniu w Singapurze odbędzie się konferencja medyczna, a organizatorzy oferują zniżki na przelot.

Uniósł wzrok znad egzemplarza „American Physician”. Judy w odpowiedzi zacisnęła usta i dalej oglądała program Today. Jadła śniadanie na stojąco przy centralnej wypsepcie, on zaś siedział samotnie przy długim kuchennym stole, również z blatem z litego drewna. Trzy lata wcześniej Judy oświadczyła, że ich kuchnia jest przestarzała, obraźliwa, bezużyteczna, i zażądała remontu. Teraz co rano jadła na stojąco, oddzielona od niego ośmioma stopami kosztownie drogiego drewna.

– Jaki jest temat konferencji? – Nadal wpatrywała się w telewizor.

– „Pediatria urazowa”. Z podtematem „Urazy w pediatrii”.

Judy obrzuciła go na w pół rozbawionym, na w pół kpiącym spojrzeniem, po czym odgryzła kęs tostu.

– Powinno pójść jak z płatka. Jeśli dopisze nam szczęście, za tydzień albo dwa znajdziemy Underhilla i zamkniemy sprawę. Bilety są ważne przez dodatkowy tydzień.

Kiedy Judy w milczeniu patrzyła w telewizor, zapytał:

– Odsłuchiłaś wczorajszą wiadomość od Conora na mojej sekretarce?

– Dlaczego miałabym odsłuchiwać twoje wiadomości?

– Beevers wysłał Conorowi czek na dwa tysiące na wydatki.

Bez odpowiedzi.

– Conor nie mógł w to uwierzyć.

– Myślisz, że słuźnie postąpili, zastępując Toma Brokawa Bryantem Gumbelem? Zawsze uważałam go za przeciętniaka.

– A ja zawsze go lubiłam.

– Cóż, cały ty. – Judy odwróciła się i włożyła do zmywarki swój prawie nieskazitelnie czysty talerz i pustą kubek po kawie.

– To wszystko, co masz do powiedzenia?

Odwróciła się. Wyraźnie starała się zachować panowanie nad sobą.

– Och, przepraszam. Wolno mi powiedzieć coś więcej? Rano tęsknię za Tomem Brokawem. Jak to możliwe? Prawdę mówiąc, czasami Stary Tom mnie podniecał. – Judy zakończyła fizyczny aspekt małżeństwa cztery lata wcześniej, w 1978 roku, kiedy ich syn Robert – Robbie – zmarł na raka. – Program już nie wydaje się interesujący, jak wiele innych rzeczy. Ale przypuszczam, że tak się zdarza, prawda? Dziwne rzeczy przydarzają się czterdziestoletnim mężom. – Zerknęła na zegarek, po czym posłała Michaelowi płaskie, skwierczące spojrzenie. – Mam dwadzieścia minut, żeby dojechać do szkoły. Potrafisz wybierać chwile.

– Nie powiedziałaś ani słowa o podróży.

Westchnęła.

– Jak myślisz, skąd Harry wziął pieniądze, które wysłał Conorowi? Pat Caldwell zadzwoniła w zeszłym tygodniu i powiedziała, że Harry wcisnął jej jakiś kit o misji dla rządu.

– Och. – Michael przez chwilę nic nie mówił. – Beevers lubi sobie wyobrazać, że jest Jamesem Bondem. Ale naprawdę nie ma znaczenia, skąd wziął pieniądze.

– Chciałabym wiedzieć, dlaczego ucieczka do Singapuru z dwoma wariatami na poszukiwanie trzeciego wariata jest dla ciebie taka ważna. – Judy wściekle szarpnęła rąbek krótkiego brokatowego

zakietu i przez chwilę przypominała mu Pat Caldwell. Nie miała makijażu, a w jej krótkich jasnych włosach pojawiły się popielate smugi siwizny.

Po raz pierwszy tego ranka popatrzyła na niego ze szczerością w oczach.

– A co z twoją ulubioną pacjentką?

– Zobaczymy. Powiadomię ją po południu.

– A twoi partnerzy zajmą się wszystkimi innymi, jak sądzę.

– Z dziką rozkoszą.

– Tymczasem ty cieszysz się z wyjazdu do Azji.

– Nie na długo.

Judy spuściła wzrok i uśmiechnęła się z taką goryczą, że ścisnęło go w dołku.

– Muszę zobaczyć, czy Tim Underhill nie potrzebuje pomocy. Ta sprawa nie została zamknięta.

– Ja rozumiem to tak: na wojnie zabija się ludzi, łącznie z dziećmi. Na tym polega wojna. A kiedy wojna się kończy, to się kończy.

– Nie sądzę, żeby w tym sensie coś naprawdę się skończyło – powiedział Michael.

2

Michael Poole zabił dziecko w Ia Thuc, to prawda. Okoliczności były niejasne, ale strzelił i zabił chłopca stojącego w cieniu głębi chaty. Był nie lepszy od Harry'ego Beeversa, był zupełnie taki sam jak Harry Beevers. Był Harry Beevers i była naga dziewczynka, był on i był mały chłopiec. Różniło się wszystko poza wynikiem, ale liczył się wynik.

Kilka lat temu Michael przeczytał w skądinąd zapomnianej książce, że żadna historia nie istnieje bez własnej przeszłości i że jej przeszłość pozwala nam ją zrozumieć. Prawda ta odnosiła się nie tylko do opowiadań w książkach. Był tym, kim był w tej chwili – czterdziestoletnim pediatrą jadącym przez podmiejskie miasteczko z egzemplarzem *Dziwnych losów Jane Eyre* na fotelu pasażera – częściowo z powodu chłopca, którego zabił w Ia Thuc, ale bardziej dlatego, że zanim rzucił studia, poznał i poślubił ładną studentkę pedagogiki, Judith Writzmann. Kiedy dostał powołanie, Judy pisała do niego dwa lub trzy razy w tygodniu i wciąż znał niektóre z jej listów na pamięć. W jednym napisała, że pragnie, by ich pierwsze dziecko było chłopcem, i chce dać mu na imię Robert. Oboje byli sobą z powodu tego, co zrobili. Michael ożenił się z Judy, zamordował dziecko, wypił to, wypił to. Judy wspierała go przez całe studia medyczne. Robert – kochany czuły tępy piękny Robbie – urodził się w Westerholmie i wiódł spokojne, zwyczajne, bezcenne życie dziecka w tym podmiejskim miasteczku, które miłowała jego matka, a którego ojciec nienawdził. Robbie wolno mówił, wolno chodził, w szkole też był opóźniony. Poole zdał sobie sprawę, że jest mu wszystko jedno, czy jego syn pójdzie na Harvard, czy też do jakiegokolwiek innego college'u. Robbie zalał słodyczą całe jego życie.

W wieku pięciu lat Robbie trafił z bólem głowy do szpitala swojego ojca i tam wykryto pierwszy guz nowotworowy. Później pojawiły się inne – na śledzionie, wątrobie, w płucach. Michael kupił mu białego królika i syn nazwał go Ernie od postaci z „Ulicy Sezamkowej”. Kiedy nastąpiła remisja, Robbie ciągnął Erniego po domu jak pluszowego misia. Choroba trwała trzy lata – lata, które miały własny czas, własny rytm, niezwiązany z czasem świata. Później Michael miał wrażenie, że tamte trzydzieści sześć miesięcy minęło jak co najwyżej dwanaście. Wtedy, gdy płynęły, każda godzina trwała tydzień, każdy tydzień rok, i te trzy lata zabrały mu całą młodość.

Ale w przeciwieństwie do Robbiego przeżył. Tulił syna w ramionach w szpitalnej sali podczas cichej walki o ostatni oddech: w końcu Robbie bardzo spokojnie zrezygnował z życia. Michael położył swojego kochanego zmarłego chłopca z powrotem na łóżku, a później – znów niemal po raz ostatni – objął żonę.

– Nie chcę widzieć tego cholernego królika, gdy wrócę do domu – powiedziała Judy. Dała mu w ten sposób do zrozumienia, że ma go zabić.

I prawie go zabił, chociaż rozkaz zabrzmiał tak, jakby wydała go próżna zła królowa z opowieści. Podzielał wściekłość żony w wystarczającym stopniu, żeby być zdolnym do popełnienia tego aktu. Ale zawiózł królika na pole na północnym krańcu Westerholmu, wyjął klatkę z samochodu, otworzył drzwiczki i go wypuścił. Ernie spojrział dokoła swoimi łagodnymi ślepkami (podobnymi do oczu Robbiego) i pokiwał do lasu.

Kiedy Michael skręcił na parking obok szpitala św. Bartłomieja, zdał sobie sprawę, że jechał z domu przy Redcoat Park przez Outer Belt Road i do szpitala, praktycznie przez cały Westerholm, ze łzami

w oczach. Minął siedem zakrętów, piętnaście znaków stopu, osiem świateł drogowych i każdy pojazd zmierzający w kierunku Nowego Jorku na Belt Road, właściwie niczego nie widząc. Nie pamiętał jazdy przez miasto. Miał mokre policzki i podpuchnięte oczy. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wytarł twarz.

– Nie bądź idiotą, Michael – powiedział do siebie, zabrał *Jane Eyre* i wysiadł z samochodu.

Po drugiej stronie parkingu wznosiła się ogromna nieregularna budowla w kolorze humusu, z wieżyczkami, latającymi przyporami i setkami malutkich okien wybitych w fasadzie.

Jego pierwszy obowiązek w szpitalu polegał na obejrzeniu wszystkich dzieci, które urodziły się w nocy. Raz w tygodniu przez dwa miesiące, kiedy Stacy Talbot leżała w prywatnym pokoju w szpitalu św. Bartłomieja, starał się przeciagać ten obowiązek jak najdłużej.

Po zbadaniu ostatniego dziecka i krótkiej wizycie na piętrze położniczym, gdzie z ciekawości odwiedził matki przebadanych noworodków, wszedł do windy, żeby jechać na ósme piętro, czyli do Rakowego Jaru – kiedyś słyszał, jak stażysta nazwał ten oddział. Winda zatrzymała się na drugim piętrze i do kabiny wszedł Sam Stein, znajomy chirurg ortopeda. Miał piękną białą brodę, szerokie ramiona i był o jakieś pięć albo sześć cali niższy od Michaela. Ogromna próżność pozwalała mu stwarzać wrażenie, że spogląda na niego z wysoka, chociaż w rzeczywistości musiał zadzierać głowę.

Dziesięć lat temu Stein spartaczył operację nogi jego młodego pacjenta, a następnie z irytacją bagatelizował skargi chłopca na ból, każąc mu przestać histeryzować. W końcu po zwalaniu winy na wszystkich lekarzy, którzy zajmowali się dzieckiem, a przede wszystkim na niego, został zmuszony do ponownego przeprowadzenia operacji. Ani Stein, ani on nie zapomnieli o tym epizodzie, i Michael nigdy nie zarekomendował mu innego pacjenta.

Stein zerknął na książkę w jego ręku, zmarszczył brwi i spojrzał na oświetloną tablicę nad drzwiami, żeby sprawdzić, dokąd się wybiera.

– Z doświadczenia wiem, doktorze Poole, że porządni medycy rzadko mają wolny czas na czytanie powieści.

– Nie mam wolnego czasu – burknął Michael.

Dotarł do drzwi Stacy Talbot, nie napotykając żadnego innego z około siedemdziesięciu lekarzy pracujących w Westerholmie. (Uznał, że mniej więcej jedna czwarta z nich obecnie z nim nie rozmawia. Nawet niektórzy z tych, którzy rozmawiali, mieliby zastrzeżenia do jego pobytu na piętrze onkologicznym. Normalka).

Przypuszczał, że dla kogoś takiego jak Sam Stein choroba Stacy Talbot również była normalką. Dla niego aż za bardzo przypominała to, co spotkało Robbiego.

Wszedł do jej pokoju i zmrzył powieki w ciemności. Dziewczynka leżała z zamkniętymi oczami. Odczekał chwilę, zanim ruszył w jej stronę. Rolety były opuszczone, światła zgaszone. Kwiaty ze sklepu na parterze szpitala wędły w gęstym mrocznym powietrzu. Klatka piersiowa Stacy, ledwie widoczna pod kłębowiskiem rurek, unosiła się i opadała. Na przeciwradle obok jej ręki leżały Przygody Hucka. Zakładka wskazywała, że prawie dotarła do końca powieści.

Michael podszedł do łóżka. Otworzyła oczy. Po chwili go rozpoznała i uśmiechnęła się szeroko.

– Ciesz się, że to ty – powiedziała.

Stacy w zasadzie już nie była jego pacjentką – choroba siała spustoszenie w jej mózgu i ciele, więc przekazywano ją od jednego specjalisty do następnego.

– Przyniosłem ci nową książkę – powiedział i położył ją na szafce.

Usiadł i delikatnie ujął jej dłoń. Odwodniona skóra emanowała ciepłem. Michael widział każdy brązowy włoszek brwi na tle jej zaczerwienionego czoła. Wypadły jej wszystkie włosy i miała na głowie kolorową dzianinową czapkę, w której trochę przypominała dziecko z Bliskiego Wschodu.

– Myślisz, że Emelina Grangerford miała raka? – zapytała. – Właściwie nie sądzę. Ciągłe mam nadzieję, że pewnego dnia trafię na książkę o kimś takim samym jak ja, ale nic z tego.

– Niezupelnie jesteś zwyczajnym dzieckiem.

– Czasami myślę, że tak naprawdę nie dzieje się ze mną nic złego, że tak naprawdę leżę w moim łóżku w domu i wymyśliłam sobie to wszystko, żeby nie chodzić do szkoły.

Otworzył jej teckę i przejrzał suchą relację z rozwijającej się katastrofy.

– Znaleźli nowy.

– Właśnie widzę.

– Chyba będę miała kolejną dziurę w głowie. – Spróbowała uśmiechnąć się kącikiem ust, bez powodzenia. – Chociaż lubię chodzić na tomografię. To niesamowita wyprawa. Za dyżurkę pielęgniarek! Całą drogę do końca korytarza! Przejazdzka windą!

– To musi być ogromnie ekscytujące.

– Często omdlewam i muszę leżeć całymi dniami.

– I kobiety w bieli dbają o wszelkie twoje potrzeby.

– Niestety.

Nagle Stacy szeroko otworzyła oczy i ścisnęła jego rękę gorącymi palcami. Po chwili rozluźniła się i powiedziała:

– W takim momencie jedna z moich ciotek zawsze mi mówi, że będzie się za mnie modlić.

Michael uśmiechnął się i w milczeniu mocno trzymał jej dłoń.

– W takich chwilach myślę, że ktokolwiek odpowiada za wysłuchiwanie modlitw, musi mieć już dość słuchania mojego imienia.

– Zobaczę, czy uda mi się namówić którąś pielęgniarkę, żeby raz na jakiś czas wyprowadzała cię z pokoju. Wygląda na to, że jazda windą sprawia ci przyjemność.

Przez sekundę Stacy wyglądała na niemal pełną nadziei.

– Chciałem ci powiedzieć, że sam zamierzam trochę popodróżować. Pod koniec stycznia wyjeżdżam na dwa, trzy tygodnie – powiedział Michael. Twarz Stacy przemieniła się w maskę choroby. – Jadę do Singapuru. Może też do Bangkoku.

– Sam?

– Z paroma innymi osobami.

– Brzmi bardzo tajemniczo. Chyba powinnam ci podziękować, że mnie uprzedziłeś.

– Wyślę ci tysiąc pocztówek przedstawiających mężczyzn wymachujących rękami w powietrzu i słonie wśród rikszy.

– Super. Ja odwiedzę windę, a ty Singapur. Nie przejmuj się.

– Będę, jeśli będę chciał.

– Nie rób mi łaski. – Odwróciła się od niego. – Serio. Nie zwracaj sobie głowy.

Michael miał wrażenie, że zdarzyło się to już wcześniej, dokładnie w ten sam sposób. Pochylił się i pogładził ją po czole. Skrzywiła się.

– Przykro mi, że jesteś na mnie zła, ale zobaczymy się w przyszłym tygodniu i wtedy jeszcze o tym porozmawiamy.

– Skąd możesz wiedzieć, co czuję? Jestem taka głupia. Nie masz pojęcia, co się we mnie dzieje.

– Wierz lub nie, ale mam pewne pojęcie.

Wstał. Kiedy pochylił się, żeby ją pocałować, odwróciła głowę. Płakała, gdy wychodził z pokoju. Michael zatrzymał się przy dyżurce pielęgniarek, a później uciekł ze szpitala.

3

Tego wieczoru Poole zadzwonił do pozostałych w sprawie lotu czarterowego. Od Conora usłyszał:

– Super, piszę się na to, człowieku.

Harry Beevers burknął:

– Lepiej późno niż wcale. Zastanawiałem się, kiedy wreszcie się do nas odezwiesz.

Tina Pumo oznajmił:

– Wiesz, jaka jest moja odpowiedź, Mike. Ktoś musi pilnować interesu.

– Właśnie zostałeś bohaterem mojej żony – powiedział mu Michael. – Cóż, tak czy siak... spróbujes zdobyć adres Tima Underhilla? Jego wydawcą jest Gladstone House, ktoś tam powinien mieć namiary.

Umówili się na drinka przed podróżą.

4

Pewnego wieczoru w następnym tygodniu Michael Poole jechał powoli w zamieci z Nowego Jorku do domu. Na poboczu, jak trupy po bitwie, zalegały porzucone samochody, wiele po stłuczkach albo rozbitych. Kilkaset jardów przed nim radiowóz błyskał czerwono-żółto-niebiesko-żółto-czerwono.auta pełzły jeden za drugim, słabo widoczne, mijając wysoki biały ambulans i policjantów wymachujących latarkami. Przez chwilę był przekonany, że obok jego samochodu stoi Tim Underhill, bardzo podobny do wielkiego białego królika, i wymachuje latarnią. Chce go zatrzymać? Oświetlić mu drogę? Obrócił

głowę i zobaczył, że to drzewo ciężkie od śniegu. Żółty snop światła radiowozu błysnął na przedniej szybie i omiół przedni fotel.

W poszukiwaniu Maggie Lah

1

Nagle wszystko zaczęło iść nie tak, pomyślał Tina Pumo, i nagle wszystko zaczęło się rozpadać. Nienawidził Palladium i pokoju Mike'a Todda. Nienawidził także Area, Roxy, CBGB's, Magique, Danceterii i Ritza. Maggie nie zjawi się w pokoju Mike'a Todda, nie będzie też w żadnym z tamtych innych miejsc. Może stać przy barze godzinami i pić do upadłego, a gdy padnie, w nagrodę za jego starania setki nocnych ludzików będą go trutować, śpiesząc po następną butelkę rolling rocka, i to wszystko.

Gdy po raz pierwszy ugadał bramkarza i wszedł do ogromnej, przypominającej stodołę sali Palladium, gdzie urządzano przyjęcia dla reklamodawców i prywatne zgromadzenia, miał za sobą długą i wyczerpującą nasiadówkę z księgowymi Sajgonu. Był ubrany w swój jedyny garnitur z szarej flaneli, kupiony przed wojną wietnamską i tak mały, że spodnie piły go w pasie. Lawirował w tłumie, szukając Maggie. W końcu zauważył, że prawie wszyscy spoglądają na niego ostro, tylko raz, i ustępują mu z drogi. Zdawało się, że w zatłoczonej sali otacza go coś w rodzaju strefy zdemilitaryzowanej, kordonu sanitarnego pustej przestrzeni. Raz usłyszał śmiech za plecami i odwrócił się, żeby posłuchać żartu, i nagle cała grupa przemieniła się w kamień, wlepiając w niego wzrok. W końcu dotarł do baru i zdołał przyciągnąć uwagę młodego barmana z pomalowanymi rzęsami i płataniną blond włosów spiętrzonych na czubku głowy.

– Zastanawiałem się, czy znasz może Maggie Lah – zagadnął go. – Mam się z nią dziś spotkać. Jest niska, Chinka, ładna...

– Znam ją – odparł barman. – Może będzie później. – I wycofał się na drugi koniec baru.

Tinę ogarnęła chwilowa czysta wściekłość na Maggie. „Może Mike'a Todda, może nie. La-La”. Zrozumiał, że wiadomość była sztuczką, po której nastąpił szyderczy śmiech. Wypadł jak burza z baru i wyhamował przed blondynką, która wyglądała na szesnaście lat, miała wymalowane gwiazdki na policzkach i była ubrana w błyszczącą obcisłą czarną koszulkę. Dokładnie w jego typie.

– Chcę cię zabrać ze sobą do domu – powiedział.

Dziewczyna rozchyliła usta przypominające płatki kwiatu i rozwiązała jedną zagadkę, mówiąc:

– Nie chodzę z facetami z antynarkotykowego.

Było to tydzień po Halloween. Później Tina przez co najmniej dwa tygodnie trzymał się z daleka od miasta, zajęty rozdzieraniem kuchni na części. Za każdym razem, gdy wraz z tępicielami szkodników wybijał kolejną dziurę w ścianie, miliony robaków uciekały razem z światłem – gdy wytłukło się je w jednym miejscu, następnego dnia pojawiały się w innym. Przez długi czas wydawało się, że gnieźdzą się za piecem „Garland”. Nie chcąc, żeby fumigant skaził żywność, Tina z pomocą personelu rozpiął grube płachty przezroczystego plastiku między piecem i blatami do przygotowywania jedzenia a tymi częściami kuchni, gdzie próbowali wytepić owady. Przepchnęli całe półtorej tony garlanda o osiem stóp na środek pomieszczenia. Kuchmistrz Vinh skarżył się, że oboje z córką nie mogą spać w nocy, bo słyszą chrobotanie w ścianach. Niedawno wprowadzili się do „biura” restauracji, małej kanciapy w piwnicy, bo siostra Vinha urodziła kolejne dziecko i potrzebowała ich pokoju w swoim domu w Queens. Zazwyczaj biuro było wyposażone w biurko, kanapę i pułka z aktami. Teraz kanapa trafiła do goodwilla, biurko stało wciśnięte w kąt salonu Puma, a Vinh i Helen spali na materacu na podłodze.

To tymczasowe nielegalne rozwiązanie z każdym dniem stawało się jakby coraz bardziej trwałym nielegalnym rozwiązaniem. Helen nie dość, że miała kłopoty ze snem, to, gdy tylko zasnęła, moczyła łóżko – to znaczy materac. Vinh twierdził, że moczenie nasiliło się zaraz po tym, jak jego córka zobaczyła Harry'ego Beevera siedzącego przy barze. Oboje święcie wierzyli, że Harry Beevers jest diabłem rzucającym klątwy na dzieci, co oczywiście Pumo uważał za objaw mistycznej wietnamskiej hysterii,

dla nich jednak właśnie tak wyglądała prawda. Czasami miał ochotę udusić Vinha, ale w takim wypadku nie tylko poszedłby do więzienia, ale też nigdy nie znalazł innego szefa kuchni.

Kłopot na kłopotcie. Maggie od dziesięciu dni nie dała znaku życia. Zaczął śnić o Victorze Szpitalnym, jak wybiega z jaskini w la Thuc oblepiony osami i pajakami.

Sanepid wydał Drugie Ostrzeżenie, a inspektor mamrotał o niewłaściwym użytkowaniu przestrzeni niemieszkalnej. Małe biuro śmierdziało sikami.

Dzień przed tym, jak Maggie zamieściła kolejne ogłoszenie w „Village Voice”, Michael Poole znów zadzwonił, tym razem z pytaniem, czy ma czas sprawdzić, czy ktoś w miejscu zwanym Gladstone House wie, gdzie mieszka Tim Underhill. „Jasne” – burknął w odpowiedzi. „Przez cały dzień wyleguję się w łóżku i czytam wiersze”. Ale sprawdził numer w książce. Kobieta, która odebrała telefon, skierowała go do redakcji. Tam niejaka Corazon Fayre powiedziała, że nic jej nie wiadomo o autorze Timothy Underwoodzie, i skierowała go do Dinah Mellow, która skierowała go do Sarah Good, która skierowała go do Betsy Flagg, która przynajmniej stwierdziła, że słyszała o Timothy Underwoodzie, o niego chodzi? Nie? Pan pozwoli, przełączę do działu reklamy. Jane Boot w dziale reklamy odesłała go do May Upshaw, a ta do Marjorie Fan, która na piętnaście minut zniknęła w otchłani i wróciła stamtąd z informacją, że dziesięć lat temu pan Underhill złożył pisemną prośbę o zachowanie miejsca pobytu w tajemnicy pod karą poważnego niezadowolenia ze strony autora oraz o kierowanie wszystkich wiadomości, w tym pocztą od fanów, do jego agenta, pana Fenwicka Thronga.

– Fenwicka Thronga? – powtórzył Pumo. – To prawdziwe imię i nazwisko?

Nazajutrz była środa i po wysłaniu Vinha na targ, a Helen do szkoły, Tina poszedł kupić egzemplarz „Village Voice” w kiosku na rogu Ósmej Ulicy i Szóstej Alei. Wiele kiosków znajdowało się bliżej, ale ze skrzyżowania Ósmej Ulicy i Szóstej Alei miał tylko kilka przecznic do kawiarni La Groceria, gdzie lubił siedzieć w jasnym słońcu wpadającym przez wysokie okna i wypijać dwie filiżanki cappuccino, czytając każde słowo z tablicy ogłoszeń „voice”, podczas gdy ładne kelnerki o białych porannych twarzach ziewały i przeciągały się jak baleriny.

Znalazł wiadomość od Maggie tuż nad rysunkiem pośrodku strony: „Wietkot. Spróbujesz jeszcze raz w tym samym miejscu o tej samej porze? Siniaki i tatuaże. Powinieneś polecieć na Wschód razem z innymi, zabierając ze sobą typ A”. Jej brat musiał usłyszeć od Harry’ego o ich wycieczce, a potem jej o tym powiedzieć.

Tina pomyślał, jak to by było jechać do Singapuru z Poole’em, Linklaterem, Harrym Beeversem i Maggie Lah. Natychmiast ścisnęło go w dołku i cappuccino nabrało smaku mosiądzu. Zabrałaby za dużo bagażu podręcznego, z czego połowę stanowiłyby papierowe torby. Dla zasady co najmniej dwa razy nalegałaby na zmianę hotelu. Flirtowała by z Poole’em, wszczynając bójki z Beeversem i praktycznie adoptowała Conora. Pumo zaczął się pocić. Poprosił o rachunek, zapłacił i wyszedł.

Kilka razy w ciągu dnia wybierał numer Fenwicka Thronga, ale linia nieodmiennie była zajęta.

O jedenastej wydał zbyteczne instrukcje dotyczące zamknięcia restauracji, po czym wzięął przelicznik, przebrał się i pośpieszył do tylnego wejścia Palladium. Przez piętnaście minut stał i zamarzał z sześcioma innymi osobami w miejscu przypominającym kojec dla psa, zanim w końcu ktoś go rozpoznał i wpuścił.

Gdyby nie ten artykuł w „New Yorku”, pomyślał, nie miałbym szansy tam wejść.

Tym razem miał na sobie marynarkę od Armaniego, która trochę przypominała kolczugę, obszerne czarne spodnie materiałowe, szarą jedwabną koszulę i wąski czarny krawat. Pomyślał, że mogą go wziąć za alfonsa, ale nie za agenta z antynarkotykowego.

Ścisnąc butelkę piwa, dwa razy przemierzył całą długość baru, zanim przyznał sam przed sobą, że Maggie wystawiła go drugi raz z rzędu. Przebił się przez tłum do stolików. Ekstrawagancko ubrani młodzi ludzie – nie było wśród nich Maggie – pochylali się ku sobie w kahużach blasku świateł.

Nagle wszystko się rozpadła, pomyślał. Gdzieś po drodze moje życie przestało mieć sens.

Wokół niego wirowała młodzież, elektroniczny rock buchał z niewidzialnych głośników. Pumo przez chwilę żałował, że nie jest w domu, w niebieskich dżinsach, słuchając Rolling Stonesów. Maggie nigdy się nie pojawi, ani dziś, ani żadnego innego wieczoru. Pewnego dnia w jego drzwiach stanie jej niezidentyfikowany chłopak, żeby zabrać należące do niej plastikowe radyjko, małą żółtą suszarkę do włosów „Pony Pro” i kasety Bow Wow Wow.

Wywalczył sobie drogę do baru i zamówił podwójne martini z wódką i lodem. Przypomnił sobie, jak Michael Poole mówił: „Zatrzymaj oliwki, zatrzymaj wermut, zatrzymaj lód” w małym klubie Manly’ego, gdzie nie było oliwek, wermutu ani lodu, tylko dzban podejrzanej żółtawej „wódki”, według Manly’ego pochodzącej od pułkownika z Pierwszej Powietrznej.

– To najszcześniejsza, której wyglądałeś przez całą noc – powiedział ktoś cicho obok niego.

Pumo odwrócił się i zobaczył uśmiechającą się do niego wysoką zjawę o niejednoznacznych cechach płciowych, ubraną w mundur maskujący. Nad jej uszami połyskiwała naga, ogolona skóra. Agresywne lśniąca czarne włosy spływały z czubka głowy na plecy. Nagle zauważył piersi wybrzuszącą koszulę. Biodra rozszerzały się poniżej szerokiego paska. Zastanawiał się, jak to by było pójść do łóżka z kimś, kto ma wygolone boki głowy.

Piętnaście minut później dziewczyna przyciskała się do niego na tylnym siedzeniu taksówki.

– Ugrzyź mnie w ucho – powiedziała.

– Tutaj?

Nachyliła głowę w jego stronę. Pumo objął ją ramieniem i chwycił w zęby płatek jej ucha. Bok głowy był porośnięty delikatnymi czarnymi włoskami.

– Mocniej.

Wierciła się, gdy przygryzał chrząstkę.

– Nie powiedziałaś, jak masz na imię.

Przesunęła dłonią po jego kroczu. Jej piersi muskały jego ramię. Czuli się przyjemnie osaczeni.

– Przyjaciele nazywają mnie Draculą. Ale nie dlatego, że wysysam krew.

Nie pozwoliła mu zapalić światła na poddaszu, więc wymacał drogę do sypialni po ciemku. Chicho-cząc, pchnęła go na łóżko.

– Po prostu leż – powiedziała. Rozpięła mu pasek, zdjęła buty i ściągnęła spodnie. Sam pozbył się kolczugi i ściągnął krawat. – Ładny Tina. Pochyliła się i polizała jego wyprężonego kutasa. – Zawsze czuję się jak w kościele, kiedy to robię.

– Rany... – wymruczał. – Gdzie byłaś przez całe moje życie?

– Nie chcesz wiedzieć. – Lekko podrapała jego moszną długim paznokciem. – Nie martw się, nie mam żadnych paskudnych chorób. Praktycznie mieszkam w gabinecie lekarskim.

– Dlaczego?

– Sądzę, że po prostu lubię być dziewczyną.

Wyczerpany, otumaniony alkoholem Pumo pozwolił jej kontynuować. Gdy usiadła na nim okrakiem, wyglądała jak wojownik Apaczów z wyskubanymi brwiami.

– Lubisz Draculę?

– Chyba ożenię się z Draculą – odparł.

Rozpięła koszulę i zdarła ją, odsłaniając jędrne stożkowate piersi.

– Gryź mnie – powiedziała, przyciskając je do jego twarzy. – Mocno. Dopóki nie powiem, żebyś przestał.

Delikatnie uszczypał zębami sutek, a ona trzepnęła go kostkami palców w bok głowy.

– Mocniej. – Wbiła paznokcie w kutasa.

Pumo zacisnął zęby.

– Mocniej.

Zwiększył nacisk.

Kiedy poczuł smak krwi, krzyknęła i jęknęła, chwytając jego głowę w ramiona.

– Dobrze, dobrze... – Puściła go i lewą ręką sięgnęła do kutasa. – Nadal twardy? Dobry Tina.

Wreszcie pozwoliła mu unieść głowę. Strużka krwi spływała z jej piersi w dół żeber.

– Teraz mała Drac wraca do kościoła.

Pumo roześmiał się i opadł na poduszkę. Zastanawiał się, czy Vinh albo Helen słyszeli jej krzyk, i uznał, że prawdopodobnie nie – byli dwa piętra niżej.

Po długim ekstazy czasie osiągnął orgazm i wstążeczki nasienia trysnęły na jej policzki, w jej brwi, w powietrze. Jęknęła i przywarła do Puma, nogami naciskając na jego ręce, i zaskoczyła go, oburącz wcierając mu w twarz jego nasienie.

– Nie doszedłem w taki sposób, odkąd skończyłem dwadzieścia lat – powiedział. – Ale trochę bolą mnie ręce.

– Biedne dziecko. – Poklepała go po policzku.

– Byłbym naprawdę wdzięczny, gdybyś z nich zeszała.

Spojrzała na niego triumfalnie i mocno uderzyła go w skroń.

Pumo usiłował się podnieść, ale Dracula znowu mu przywaliła. Przez sekundę nie mógł się ruszyć. Uśmiechnęła się do niego, jej zęby i oczy błysnęły w mroku, i trzasnęła go pięścią w bok głowy.

Zawołał o pomoc. Poprawiła z drugiej strony.

– Morduj! – ryknął, ale nikt nie usłyszał.

Tuż przed dwudziestym ciosem w skronie pojaśniało mu w oczach i zobaczył, że Dracula spogląda na niego beznamiętnie ze ściągniętymi ustami i rozmazaną szminką.

Pumo doszedł do siebie w ciemności – nie miał pojęcia, jak długo leżał nieprzytomny. Wargi mu pulsowały i wydawały się wielkie jak steki. Czuł w ustach smak krwi. Bolało go całe ciało, ból promieniował z bliźniaczych ośrodków w głowie i pachwinie. W nagłej panice położył rękę na penisie i stwierdził, że jest nienaruszony. Otworzył oczy. Uniósł ręce przed twarz – były ciemne od krwi. Dźwignął głowę, żeby spojrzeć w dół ciała, i rozpalone do białości pasmo bólu przeskoczyło od skroni do skroni. Opadł na mokrą poduszkę i ciężko oddychał. Jakiś czas potem ostrożniej uniósł głowę. Było mu bardzo zimno. Zobaczył swoje nagie ciało rozciągnięte na ciemnych, wilgotnych prześcieradłach. Cienki, gorący druk cierpienia przebiegał się od bólu do bólu i wkręcał w środek jego głowy. Teraz miał wrażenie, że wargi przemieniły się w szorstkie czerwone cegły. Dotknął twarzy mokrymi palcami. Rozważał wstanie z łóżka. Później zaczął się zastanawiać, która godzina. Uniósł prawą rękę i spojrzął na nadgarstek. Już nie miał zegarka. Przekręcił głowę. Radio z zegarem cyfrowym zniknęło z szafki nocnej.

Zsunął się z łóżka, znajdując podłogę najpierw jedną nogą, a potem obydwoma kolanami. Jego pierś prześliznęła się po pościeli i przełknął gorzki łyk wymiocin. Kiedy wstał, zakręciło mu się w głowie i pociemniało w oczach. Oparł się o wezgielwie obolałymi rękami. Skaleczenie z boku głowy pulsowało.

Ściskając skronie, poczłapał do łazienki. Nie zapalając światła, umył twarz w zimnej wodzie, zanim odważył się przejrzeć w lustrze. Groteskowa fioletowa maska, twarz Człowieka Słonia, odpowiedziała mu spojrzeniem. Żołądek podszedł mu do gardła. Zwymiotował do umywalki i stracił przytomność, zanim uderzył w podłogę.

Rozmowy i marzenia

1

– Tak, nie wyściubiam stąd nosa, i nie, nie zmieniłem zdania co do wyjazdu – powiedział Pumo. Rozmawiał przez telefon z Michaeliem Poole'em. – Żałuj, że mnie nie widzisz, a raczej nie żałuj. Wyglądam potwornie. Przez większość czasu siedzę w domu, bo kiedy wychodzę, straszę dzieci.

– To jakiś nowy żart?

– Chciałbym. Pobił mnie psychopata. I okradł.

– To znaczy, że zostałeś napadnięty?

Pumo zawahał się.

– W pewien sposób. Wyjaśniłbym okoliczności, Mike, ale, szczerze mówiąc, są zbyt krępujące.

– Nie możesz mi dać choćby jakiejś wskazówki?

– Cóż, nigdy nie podrywaj nikogo, kto nazywa siebie Draculą. – Gdy Michael rozeźmiął się, jak wypadało, Pumo podjął: – Straciłem zegarek, radiobudzik, nowiutkie buty z jaszczurczej skóry ze sklepu McCreedy i Shreiber, walkmana, watchmana, zapalniczkę „Dunhill”, która już nie działała, marynarkę od Armaniego, wszystkie karty kredytowe i jakieś trzy stowy w gotówce. A kiedy dupek się ewakuował, zostawił otwarte drzwi na dole i jakiś cholerny menel wlał i zaszczał cały korytarz.

– Jak się z tym czujesz? – Michael jęknął. – Jezu, co za głupie pytanie. Chciałem spytać, jak się czujesz, ogólnie rzecz biorąc? Szkoda, że od razu do mnie nie zadzwoniłeś.

– Ogólnie rzecz biorąc, mam ochotę popełnić morderstwo, i ogólnie rzecz biorąc, tak się czuję. To mną wstrząsnęło, Mike. Świat jest pełen bólu. Nikt nigdzie nie jest naprawdę bezpieczny. W jednej chwili każdego mogą spotkać straszne rzeczy. Przez tego dupka boję się wyjść na zewnątrz. Ale jeśli człowiek jest mądry, powinien się bać. Słuchaj, musicie uważać, kiedy tam dotrzecie. Nie ryzykujcie.

– W porządku.

– Nie zadzwoniłem do ciebie ani nikogo innego z jednego powodu i jest to jedyna dobra rzecz, jaka wyyniła z całej tej sprawy. Maggie wróciła. Chyba minąłem się z nią tam, gdzie spotkałem Draculę. Barman jej powiedział, że widział, jak wychodzę z kimś innym, więc następnego dnia przyszła sprawdzić. I znalazła mnie z twarzą mniej więcej dwa razy większą niż normalnie. I wprowadziła się z powrotem.

– Jak mówi Conor, w każdej beczce dziegciu jest łyżka miodu.

– Ale rozmawiałem z agentem Underhilla. To znaczy z jego byłym agentem.

– Nie każ mi błagać.

– W zasadzie mówi się, że nasz chłopak pojechał do Singapuru, w porządku, zawsze miał takie plany. Throng... agent nazywa się Fenwick Throng, wierz albo nie... w każdym razie Throng nie ma pojęcia, czy nadal tam jest. Mają zabawną historię. Underhill zawsze deponował czeki w filii banku w Chinatown. Throng nigdy nie znał jego adresu. Pisał do niego na skrytkę pocztową. Underhill dzwonił raz na jakiś czas, żeby go zwymyślać, i kilka razy go zwolnił. Sądzę, że w ciągu pięciu, sześciu lat telefony stawały się coraz bardziej obraźliwe i brutalne. Throng uważa, że Tim zwykle był pijany, naćpany albo upalony, albo wszystko naraz. Po kilku tygodniach oddzwaniał ze łzami w oczach i błagał go, żeby znów dla niego pracował. W końcu Throng miał tego dość i powiedział Timowi, że już nie może dla niego pracować. Uważa, że od tamtej pory Tim sam jest swoim agentem.

– Więc prawdopodobnie nadal tam przebywa, ale będziemy musieli sami go znaleźć.

– A jest stuknięty. Ja się go boję jak cholera, Michael. Na twoim miejscu też zostałbym w domu.

– Więc po rozmowie z agentem jesteś przekonany, że Tim Underhill to prawdopodobnie Koko.

– Szkoda, że nie mogę zaprzeczyć.

- Szkoda, że nie możesz zaprzeczyć.
- Zastanów się, czy naprawdę warto dla niego nadstawić karku.
- Zdecydowanie wolę nadstawić kark dla Underhilla niż dla Londona Bainesa Johnsona.
- No cóż, poczekaj, bo zaraz będzie najlepsze – powiedział Tina.

2

– Myślę, że dojrzały mężczyźni już nie istnieją... o ile w ogóle kiedykolwiek istnieli – powiedziała Judy do telefonu. – Tak naprawdę to tylko dorośli mali chłopcy. To upokarzające. Michael jest troskliwym, inteligentnym człowiekiem, ciężko pracuje i tak dalej, ale to, w co wierzy, jest niedorzeczne. Gdy osiąga się pewien poziom, jego wartości stają się dziecinne.

– To i tak dobrze – zaznaczyła Pat Caldwell. – Czasami boję się, że wartości Harry’ego są po prostu infantylne.

– Michael nadal wierzy w armię. Sam by temu zaprzeczył, ale taka jest prawda. Bierze tę chłopięcą grę za prawdziwą. Uwielbiał być częścią grupy.

– Harry spędził w Wietnamie najlepszy czas swojego życia.

– Rzecz w tym, że Michael wraca. Chce znowu być w wojsku. Chce być częścią jednostki.

– Co do Harry’ego, myślę, że po prostu chce coś zrobić.

– Coś zrobić? Niech znajdzie sobie pracę! Mógłby znowu zacząć zachowywać się jak prawnik!

– Hm, może.

– Wiesz, że Michael chce sprzedać swój udział w praktyce? Że chce wyprowadzić się z Westerholmu i pracować w slumsach? Uważa, że tutaj robi niewystarczająco dużo. To znaczy... ma odrobinę racji. Dopiero gdy jesteś lekarzem w takim miejscu, możesz się zorientować, że wszystko kręci się wokół polityki. Nie wyobrażasz sobie, jakie walki wewnątrz tam się toczą, ale przecież takie jest życie, nic dodać, nic ująć.

– Więc wykorzystuje tę podróż, by dać sobie czas na przemyślenia – zasugerowała Pat.

– Wykorzystuje tę podróż na zabawę w wojsko – poprawiła Judy. – Nawet nie wspomnę o tym, jak zadreć się z powodu Ia Thuc.

– Co do Harry’ego, myślę, że zawsze był dumny z Ia Thuc – powiedziała Pat. – Pewnego dnia pokażę ci jego listy.

3

W noc przed odlotem do Singapuru Michael śnił, że idzie nocą górskim szlakiem w kierunku grupy umundurowanych mężczyzn siedzących wokół małego ogniska. Zbliża się i widzi, że to nie ludzie, tylko duchy – płomienie prześwitują przez ciała przed ogniem. Duchy odwracają się, żeby na niego spojrzeć. Ich mundury są zlachmanione i sztywne od brudu. We śnie Michael po prostu zakłada, że służył z tymi mężczyznami. Wtedy jeden z duchów, Melvin O. Elvan, wstaje i robi krok do przodu. „Nie zadzieraj z Underhillem” – mówi. Świat jest pełen bólu.

Tej samej nocy Tina Pumo śni, że leży na łóżku, podczas gdy Maggie Lah chodzi po sypialni. (W prawdziwym życiu Maggie znowu zniknęła, gdy tylko jego twarz zaczęła się goić). Nie można wygrać katastrofy, mówi Maggie. Trzeba tylko starać się trzymać głowę nad wodą. Pomyśl o słoniu, jego wdzięku i powadze, o jego wrodzonej szlachetności. Puść z dymem restaurację i zacznij od nowa.

Koko

Okiennice bungalowu zostały zamknięte dla ochrony przed upałem. Błonna skroplonej wody pokrywała różowe stiukowe ściany, powietrze w pokoju było ciepłe, wilgotne i ciemnoróżowe. Wisiał w nim silny, ciemnobrązowy zapach ekskrementów. Mężczyzna na pierwszym z dwóch ciężkich krzesel od czasu do czasu chrząkał i poruszał się albo napierał ramionami na sznury. Kobieta się nie ruszała, bo nie żyła. Koko był niewidzialny, ale mężczyzna śledził go wzrokiem. Kiedy wiesz, że umrzesz, możesz zobaczyć niewidzialne.

Jeśli byłeś w wiosce, powiedz...

Jeśli dym z ogniska zafalował i znów popłynął prosto w powietrze. Jeśli kurczak uniośł jedną nogę i zamarł. Jeśli maciora przekrzywiła głowę. Jeśli widziałeś te rzeczy. Jeśli widziałeś drżący liść, jeśli widziałeś unoszący się kurz...

Wtedy może zobaczyłbyś żyłą skaczącą na szyi Koko. Może zobaczyłbyś Koko opartego o chatę, żyłą skaczącą na jego szyi.

Koko wiedział jedno: zawsze są puste miejsca. W miastach, gdzie ludzie śpią na chodnikach, w miastach tak zatłoczonych, że ludzie śpią w łóżkach na zmianę, w miastach tak zatłoczonych, że nikt nigdy nie jest naprawdę cichy. Szczególnie w tych miastach zawsze są puste królestwa, wieczne miejsca, miejsca zapomniane. Bogaci zostawiają puste miejsca za sobą albo samo miasto zostawia je za sobą.

Bogaci zabierają wszystko i zapominają, a nocą wieczność po cichu włamuje się wraz z Koko.

Jego ojciec siedział na jednym z dwóch ciężkich krzesel pozostawionych przez bogatych ludzi. „Wykorzystujemy wszystko”, powiedział ojciec. „Nie marnujemy żadnej części zwierzęcia”.

Nie marnujemy krzesel.

Było jedno wspomnienie, które widział w jaskini, i we wspomnieniach żadna część zwierzęcia nie jest marnowana.

Koko wiedział jedno: uznali, że krzesła nie są dla nich wystarczająco dobre. Dokądkolwiek poszli, mieli lepsze krzesła.

Kobieta się nie liczyła, Roberto Ortiz po prostu przyprowadził ją ze sobą. Nie było dość kart nawet dla tych, którzy się liczyli, a cóż dopiero dla tych, których przyprowadzali. W listach mieli jasno przykazane, że mają zjawić się sami, ale tacy jak Roberto Ortiz myśleli, że miejsce, do którego się udają, jest niczym, że ten, z kim się mają zobaczyć, jest nikim, że po dziesięciu minutach będzie po wszystkim... Nigdy nie myśleli o kartach, nikt nie pochylił się nad nimi w nocy i nie powiedział: „Nie marnujemy żadnej części zwierzęcia”. Kobieta była na wpół Hinduską, na wpół Chinką, może po prostu Eurazjatką, kimś, kogo poderwał Roberto Ortiz, kimś, z kim Roberto Ortiz planował pieprzyć się tak, jak Pumo Puma pieprzył się z dziwką Dawn Cucchio w Sydney, po prostu kimś martwym na krzesle, po prostu kimś, kto nawet nie dostanie karty.

W prawej kieszeni marynarki miał pięć kart Słonia na Zadnich Nogach, ostatnie karty pułkowe, które mu zostały, z wypisanymi lekko ołówkiem nazwiskami na czterech z nich. Beevers, Poole, Pumo, Linklater. Przygotował je na wyjazd do Ameryki.

W lewej kieszeni marynarki miał zwykłą talię kart do gry Storczykowy Chłopiec, wyprodukowaną na Tajwanie.

Kiedy otworzył drzwi z szerokim uśmiechem Tima Underhilla, z uśmiechem „hej skarbie jak się masz?”, i zobaczył obok Roberta Ortiza kobietę z powitalnym uśmiechem „nie zwracaj na mnie uwagi!”, wtedy zrozumiał, dlaczego są dwa krzesła.

W jaskini nie było krzesel, żadnych krzesel dla władców ziemi. Jaskinia przyprowadzała go o drzenie, ojciec i diabeł przyprowadzali go o drzenie.

– Oczywiście, w porządku – powiedział. – Nie ma tu zbyt wiele, ale są krzesła, więc wejdźcie i siadajcie, siadajcie, nie przejmujcie się, że tu tak pusto, przez cały czas wprowadzamy zmiany, właściwie tutaj nie pracuję...

Oh, modłę się tutaj.

Niezniechęceni, usiedli. Tak, pan Roberto Ortiz przyniósł całą swoją dokumentację, wyciągnął ją z uśmiechem, jego twarz wyrażała zaciekawienie, zaczął dostrzegać kurz. Pustkę.

Koko wyjął dokumenty z jego ręki i pstryknął włącznikiem niewidzialności.

Wszyscy dostali list o takiej samej treści.

Szanowny Panie (imię),

zdecydowałem, że nie mogę dłużej pomijać milczeniem prawdy o wydarzeniach, które rozegrały się w wiosce Ia Thuc I Korpusu w 1968 roku. Sprawiedliwości wreszcie musi stać się zadość. Zrozumie Pan, że sam nie mogę być tym, kto przybliży oczom i uszom świata prawdę o tamtych wypadkach. Brałem w nich udział, a nadto wywołaną przez nie grozę zrelacjonowałem w książkach beletrystycznych. Czy jako przedstawiciel, przeszły lub obecny, prasy światowej, jako ten, kto odwiedził miejsce wielkiej nieznannej zbrodni i zobaczył ją na własne oczy, chciałby Pan obszerniej omówić tę sprawę? Sam nie jestem zainteresowany zyskami, jakie można by osiągnąć z opublikowania prawdziwej historii Ia Thuc.

Może Pan napisać do mnie (adres), jeśli jest Pan zainteresowany przyjazdem na Wschód, aby zająć się tą sprawą. Proszę jedynie, ze względu na własne bezpieczeństwo, by powstrzymał się Pan od omawiania tej sprawy z kimkolwiek, nikomu nie wspominał o niej słowem do czasu naszego pierwszego spotkania, nie robił żadnych notatek ani wpisów do dziennika dotyczących mnie albo Ia Thuc, dopóki się nie spotkamy, i przybył Pan na nasze pierwsze spotkanie z następującymi dokumentami: a) paszportem oraz b) kopiami wszystkich napisanych lub współtworzonych przez Pana opowiadań i artykułów dotyczących amerykańskiej akcji w wiosce Ia Thuc I Korpusu. Moim zdaniem nasze spotkanie będzie dla Pana bardziej niż opłacalne.

Z poważaniem,

Timothy Underhill

Koko polubił Roberta Ortiza. Bardzo go polubił. „Sądziłem, że może tylko pokażę ci moje paszporty i podrzucę materiały”, powiedział. „Planowaliśmy z panną Balandran zobaczyć Lolę, robi się późno, pannie Balandran ogromnie zależy, żebym zobaczył Lolę, to forma rozrywki dobrze znana w tym mieście, mógłbyś wpaść jutro do mojego hotelu na lunch, będziesz miał czas na przejrzenie materiałów z teczki...”.

„Znasz Lolę?”.

„Nie”.

Podobała mu się jego gładka oliwkowa skóra, lśniące włosy i pewny siebie uśmiech. Miał najbielszą koszulę, najbardziej lśniący krawat i najbardziej niebieską marynarkę. Miał pannę Balandran wraz z jej długimi złotymi nogami, dołeczkami w policzkach i znajomością lokalnej kultury. Zamierzał coś podrzucić i zorganizować spotkanie na swoim terenie, jak zrobili Francuzi.

Ale Francuzi mieli tylko siebie nawzajem, nie mieli tak ładnie uśmiechającej się panny Balandran, namawiającej go tak cicho, tak seksownie, żeby się zgodził.

– Oczywiście musisz zrobić, co każe twoja piękna pani do towarzystwa – powiedział. – Musisz zobaczyć wszystkie zabytki, po prostu przystopuj na chwilę, napij się i pozwól mi rzucić okiem na to, co przyniosłeś...

Roberto Ortiz nie zauważył, że panna Balandran zarumieniła się, gdy powiedział „pani do towarzystwa”.

Dwa paszporty?

Siedzieli na krzesłach, uśmiechając się do niego z taką wiarą, z taką pewnością siebie, w jakże pięknych ubraniach i z równie nienagannymi manierami, wiedząc, że za kilka minut będą w drodze do klubu nocnego, na kolację, drinki, przyjemności.

– Podwójne obywatelstwo – wyjaśnił Ortiz, zerkając chytrze na pannę Balandran. – Jestem Honduraninem i Amerykaninem. Zobaczysz w teście publikacje w języku hiszpańskim, oprócz tych, które znasz.

– Bardzo interesujące – powiedział Koko. – Rzeczywiście bardzo interesujące. Za chwilę wrócę z drinkami i wzniesiemy toast za sukces naszego przedsięwzięcia oraz za waszą noc w mieście.

Poszedł do kuchni za krzesłami, odkręcił i zakręcił zimną wodę, trzasnął drzwiczkami szafki.

– Bardzo podobały mi się twoje książki! – zawołał z salonu Roberto Ortiz.

Na blacie obok zlewu leżały młotek, tasak, pistolet automatyczny, nowa rolka taśmy spinającej i torebka z szarego papieru. Koko wybrał młotek i pistolet.

– Chyba najbardziej *Podzielony człowiek* – dodał Roberto Ortiz.

Koko schował pistolet do kieszeni płaszcza i podniósł młotek.

– Dziękuję – powiedział.

Siedzieli i czekali. Wyślizgnął się z kuchni i był niewidzialny, poruszał się bezszelestnie. Czekali po prostu na drinki. Podszedł do Roberta Ortiza i uniósł rękę, a panna Balandran nawet nie wiedziała, że tam jest, dopóki nie usłyszała głuchego młaśnięcia, gdy młotek spadł na głowę Roberta.

– Cicho – przykazał jej.

Roberto Ortiz zapadł się w sobie, nieprzytomny, ale nie martwy. Ślimaczy szlak krwi wypełzał mu z nosa.

Koko rzucił młotek i szybko przesunął się między krzesłami. Panna Balandran chwyciła podłokietniki i spojrzała na niego oczami wielkimi jak spodki.

– Ładna jesteś – powiedział, wyjął z kieszeni pistolet i strzelił jej w brzuch.

Ból i strach prowadzą ludzi w różne strony. Wszystko, co ma związek z wiecznością, każe im pokazać swoje prawdziwe ja. Żadna część zwierzęcia nie zostaje zamarnowana. Pamięć o tym, jacy byli, przejmują kontrolę. Koko myślał, że dziewczyna wstanie i rzuci się na niego, zrobi kilka kroków, zanim zorientuje się, że połowa jej wnętrza została na krześle. Wyglądała na piekielnie dobrą wojowniczkę. Ale nawet się nie podniosła – nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby to zrobić. Samo zdjęcie rąk z podłokietników zajęło jej dużo czasu i nie chciała spojrzeć w dół. Zesrała się, jak porucznik Beans Beevers w Smoczej Dolinie. Jej stopy przekrzywiły się i zaczęła kręcić głową. Nagle postarzała się o pięć lat.

– Jezu Chryste – mruknął Koko i strzelił jej w pierś.

Hałas zranił mu uszy – huk naprawdę odbił się od tych stiukowych ścian.

Dziewczyna jakby wtopiła się w krzesło. Koko miał wrażenie, że zabił ją dźwięk, zanim zrobiła to druga kula.

– Mam tylko jeden sznur. Rozumiesz?

Padł na kolana i wsunął ręce między wykrzywione stopy Roberta Ortiza, by wyciągnąć sznur spod krzesła.

Roberto Ortiz nawet nie jęknął, gdy go wiązał. Kiedy sznur zacisnął się na jego klatce piersowej i ramionach, wypuścił trochę powietrza, które pachniało płynem do płukania ust. Z boku jego głowy zakwitł czerwony kwiat wielkości piłki do baseballu, a strużka krwi spłotła włosy w sposób, który przypominał Koko drogi na mapie.

Z półki w kuchni wziął tasak, rolkę taśmy spinającej i papierową torebkę. Rzucił tasak na podłogę i wyjął z torebki nową myjkę. Ścisnął palcami nos Roberta Ortiza, pociągnął go w górę i włożył mu myjkę do ust. Oderwał kawałek taśmy i okręcił ją trzy razy wokół głowy Ortiza, unieruchamiając myjkę.

Wyjął z kieszeni oba zestawy kart i usiadł po turecku na podłodze. Położył karty obok siebie i oparł trzonek tasaka na udzie. Patrzył w oczy Ortiza, czekając, aż się ocknie.

Jeśli myślałeś, że są dobre części, jeśli jesteś osobą, która myśli o dobrych częściach, to właśnie nadchodzi ta dobra część.

Pajęczyna drobnych zmarszczek wokół oczu Ortiza wydawała się brudna, pełna paprochów, ponieważ jego skóra miała oliwkowy kolor. Niedawno umył włosy, gęste, lśniące i czarne, z falami, które wyglądały jak prawdziwe fale, toczące się jedna za drugą. Można by uznać go za przystojnego, dopóki nie zauważyło się wklęsłego nosa boksera.

Ortiz w końcu otworzył oczy. Trzeba mu przyznać, że od razu połapał się w sytuacji i chciał zerwać się z krzesła. Sznurowy powstrzymał i mocował się z nimi przez sekundę, zanim to zrozumiał. Wtedy po prostu poddał się, znieruchomiał i tylko spoglądał na boki – próbował wszystko ogarnąć. Przestał, gdy zobaczył pannę Balandran wtopioną w krzesło, i naprawdę na nią patrzył, a potem spojrzął prosto na Koko i znów spróbował wstać, i dalej wpatrywał się w Koko, gdy zdał sobie sprawę, że nie może nic zrobić.

– Jesteś ze mną, Roberto – powiedział Koko. Podniósł karty pułkowe i wyciągnął w jego stronę starego dobrego Słonia na Zadnich Nogach. – Rozpoznajesz ten emblemat?

Ortiz pokręcił głową, a Koko zobaczył ból pływający w jego oczach.

– Musisz powiedzieć mi prawdę o wszystkim – podjął Koko. – Nie kłam, staraj się wszystko sobie przypomnieć, nie marnuj kawałków własnego mózgu. Śmiało, spójrz na to.

Patrzył, jak Roberto Ortiz się koncentruje. Jakaś mała komórka przebudziła się w jego głowie i zapaliła światełka w jego oczach.

– Myślałem, że będziesz pamiętać – powiedział. – Zjawiłeś się z resztą hien, musiałeś to gdzieś wiedzieć. Chodziłeś dokoła, pewnie martwiłeś się, że upaprzesz swoje wypucowane buty... byłeś tam,

Roberto. Zaprosiłem cię tutaj, bo chciałem z tobą porozmawiać. Chciałem ci zadać kilka ważnych pytań.

Roberto Ortiz jęknął przez myjkę i taśmę. Błagał swoimi dużymi, łagodnymi, brązowymi oczami.

– Nie musisz mówić. Po prostu skinij głową.

Jeśli widziałeś drżący liść.

Jeśli kurczak zamarł na jednej nodze.

Jeśli widziałeś te rzeczy, żadna część zwierzęcia nie została zmarnowana.

– Słoń oznacza Dwudziesty Czwarty Pułk Piechoty, prawda?

Ortiz skinął głową.

– A czy zgodzisz się, że słoń jest ucieleśnieniem szlachetności, wdzięku, powagi, cierpliwości, wytrwałości, siły i rezerwy w czasach pokoju, a siły i gniewu w czasie wojny?

Ortiz wyglądał na zdezorientowanego, ale skinął głową.

– A czy twoim zdaniem w wiosce la Thuc Pierwszego Korpusu doszło do aktu okrucieństwa?

Ortiz po chwili wahania ponownie skinął głową.

Koko już nie przebywał w zaciemnionym różowym pokoju w bungalowie na obrzeżach tropikalnego miasta. Był w zamarznętej tundrze pod wysokim niebem twardego błękitu. Nieustanny wiatr zawodził i marszczył cienką warstwę śniegu na warstwie lodu grubego na setki jardów. Daleko na zachodzie wznosiły się lodowce niczym połamane zęby. Potężna ręka Boga wisiała w powietrzu, wskazując na niego.

Koko zerwał się i uderzył chwytem pistoletu w różę na głowie Ortiza. Jak w kreskówce, oczy Ortiza obróciły się w głąb czaszki. Ciało zwiotczało. Koko usiadł i czekał, aż znowu się obudzi.

Kiedy Ortiz zatrzepotał powiekami, mocno go spoliczkował. Ortiz poderwał głowę i spojrział na niego dziko, znowu skupiając całą uwagę.

– Zła odpowiedź – powiedział Koko. – Nawet sąd wojenny, choć niesprawiedliwy, nie mógł orzec, że doszło do aktu okrucieństwa. To był akt boży. Dosłowny akt Boga. Wiesz, co to oznacza?

Ortiz pokręcił głową. Żrenice jego oczu wyglądały na rozmyte.

– Nieważne. Chcę się przekonać, czy pamiętasz niektóre nazwiska. Pamiętasz Tina Pumo, Pumo Puma?

Ortiz pokręcił głową.

– Michael Poole?

Ortiz ze znużeniem powtórzył gest.

– Conor Linklater?

Znowu ta sama odpowiedź.

– Harry Beevers?

Ortiz uniósł głowę, przypominając sobie, i przytaknął.

– Tak. Rozmawiał z tobą, prawda? I był zadowolony z siebie. „Dzieci mogą zabijać”, powiedział, prawda? „Nie ma znaczenia, co zrobisz zabójcy”. I „Słoń troszczy się o swoich”. Powiedział, że „Słoń troszczy się o swoich”. Mam rację?

Ortiz skinął głową.

– Jesteś pewien, że nie pamiętasz Tiny Puma?

Ortiz pokręcił głową.

– Jesteś cholernie głupi. Pamiętasz Harry’ego Beeversa, ale zapomniałeś wszystkich innych. Wszystkich tych, których muszę znaleźć, muszę wytropić... chyba że sami przyjdą do mnie. Przedni żart! Jak myślisz, co powinienem zrobić, gdy ich znajdę?

Ortiz przekrzywił głowę.

– To znaczy, czy według ciebie powinienem z nimi pogadać? Ci ludzie byli moimi braćmi. Mógłbym wyjść z tego całego gówna, mógłbym powiedzieć, że uprzątnąłem moją część szamba, teraz kolej na kogoś innego, mógłbym tak powiedzieć, mógłbym zacząć wszystko od nowa, niech obowiązek przejmie ktoś inny. Jaka jest twoja najlepsza opinia na ten temat, Robercie Ortizie?

Roberto Ortiz za pomocą mentalnej telepatii zakomunikował mu, że powinien pozwolić, by ktoś inny przejął odpowiedzialność za oczyszczenie szamba.

– To nie takie proste, Roberto. Poole był żonaty, kiedy tam byliśmy, na litość boską! Nie sądzisz, że powiedział żonie, co się stało? Pumo miał Dawn Cucchio, nie sądzisz, że teraz ma inną dziewczynę, żonę, albo jedno i drugie? Porucznik Beevers pisał do niejkiej Pat Caldwell! Widzisz, że to się nigdy nie skończy? To właśnie oznacza wieczność, Roberto! To oznacza, że Koko musi działać i działać, sprzątając świat... pilnując, żeby żadna część się nie marnowała, żeby to, co przechodzi z ust do ust, zostało wykorzenione, żeby nic nie zostało, nic się nie zmarnowało...

Przez moment rzeczywiście widział czerwień – ogromną falę krwi omywającą wszystko, niosącą ze sobą domy, krowy i lokomotywy, zmywającą wszystko do czysta.

– Wiesz, dlaczego chciałem, żebyś przyniósł kopie swoich artykułów?

Ortiz pokręcił głową.

Koko uśmiechnął się. Wyciągnął rękę, podniósł z podłogi grubą teczkę i otworzył ją na kolanach.

– Dobry nagłówek, Roberto, czy zginęło trzydzieścioro dzieci? Uprawiasz brukowe dziennikarstwo? Naprawdę możesz być z siebie dumny, Roberto. Równie dobre jak tytuł wielka stopa pożera tybetańskie dziecko. Jak brzmi twoja odpowiedź? Czy zginęło trzydzieścioro dzieci?

Ortiz się nie poruszył.

– Nie szkodzi, jeśli nie chcesz powiedzieć. Szatańskie istoty przybierają wiele form, Roberto, bardzo wiele form.

Koko wyjął z kieszeni pudełeczko zapalek i podpalił teczkę. Wachlował nią w powietrzu, żeby podtrzymać ogień.

Kiedy płomienie zbliżyły się do jego palców, upuścił płonące papiery i rozrzucił je kopniakiem. Płomyki zostawiały tłuste, czarne ślady spalenizny na drewnianej podłodze.

– Zawsze lubiłem zapach ognia. Zawsze lubiłem zapach prochu. Zawsze lubiłem zapach krwi. To czyste zapachy, wiesz?

Zawsze lubiłem zapach prochu. Zawsze lubiłem zapach krwi.

Uśmiechnął się do płomyków dogasających na podłodze.

– Podoba mi się, że można poczuć nawet zapach płonącego kurzu. – Spojrzał z uśmiechem na Ortiza. – Żałuję, że moja praca nie została ukończona. Ale przynajmniej będę miał dwa ładne paszporty do wykorzystania. I może, kiedy skończę pracę w Stanach, pojadę do Hondurasu. To ma sens, jak sądzę. Może udam się tam, gdy wymelduję wszystkich tych ludzi, których muszę wymeldować. – Zamknął oczy i kołysał się na podłodze. – Praca nigdy nie zostawia cię w spokoju, prawda? – Przestał się kołysać. – Chcesz, żebym cię teraz rozwiązał?

Ortiz spojrzął na niego uważnie, po czym bardzo powoli skinął głową.

– Aleś ty głupi.

Koko pokręcił głową, uśmiechając się smutno, wziął pistolet automatyczny i wycelował w środek piersi Roberta Ortiza. Spojrzał mu prosto w oczy, znowu pokręcił głową, wciąż ze smutnym uśmiechem podtrzymał nadgarstek lewą ręką i strzelił.

Potem patrzył, jak Roberto Ortiz umiera, walcząc, drgając i próbując mówić. Krew przyciemniła ładną marynarkę, zniszczyła ładną koszulę i wykwinął krawat.

Wieczność, zazdrosna i czujna, obserwowała wraz z nim.

Kiedy było po wszystkim, Koko napisał swoje imię na karcie Storczykowy Chłopiec, podniósł tasak i wstał z podłogi, żeby wykonać brudną część pracy.

Część trzecia

Ogrody Tygrysiego Balsamu

Mężczyźni w ruchu

1

– Momencik, tylko wyjmę książki – powiedział Michael Poole do stojącej obok niego niskiej kobiety o czarnych lśniących włosach i z głębokimi dołeczkami w policzkach.

Na jej identyfikatorze widniało imię i nazwisko, pun yin. Podsunęła mu podręczną torbę i z otwartej bocznej kieszeni wyjął egzemplarze *Bestii na widoku* i *Podzielonego człowieka*. Stewardesa uśmiechnęła się i ruszyła dalej między rzędami pediatrów.

Lekarze zaczęli się odprężać, gdy tylko samolot osiągnął wysokość przelotową. Na ziemi, przy pacjentach i innych laikach, koledzy Michaela lubili sprawiać wrażenie wszechwiedzących, powściągliwych i młodzieńczych tylko w takim stopniu, w jakim pozwalała na to konwencjonalna amerykańska etyka; w powietrzu zachowywali się jak chłopcy z bractwa studenckiego. Pediatrzy w strojach do zabawy, frotowych dresach i uczelnianych swetrach, pediatrzy w czerwonych blezerach i spodniach w kratę przechadzali się po kabynie wielkiego samolotu, z radością przerzucając się kiepskimi dowcipami. Pun Yin z torbą Michaela dotarła najwyżej do połowy przejścia, kiedy przysadzisty, kłuchowaty lekarz z pożądlivym spojrzeniem halloweenowej dyni zastąpił jej drogę i zaczął niezdarne, ale sugestywnie kołysać biodrami.

– Hej! – krzyknął Beevers. – Jesteśmy w drodze!

– Daj mi es – powiedział Conor i uniósł kieliszek.

– Pamiętałeś, żeby zabrać zdjęcia? Czy znowu mózg ci się zlasował?

– Są w mojej torbie – odparł Poole. Zrobił pięćdziesiąt odbitek zdjęcia autora z tylnej okładki *Krwawej orchidei*, ostatniej książki Underhilla.

Wszyscy trzej mężczyźni patrzyli, jak krępy lekarz podryguje przed Pun Yin, zachęcany okrzykami grupy kolegów. Ładna stewardesa poklepała go po ramieniu i przycisnęła się obok niego, z torbę Michaela między nim a sobą.

– Zmierzymy się ze słoniem – powiedział Beevers. – Pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć?

W czasie wojny secesyjnej, kiedy powstał ich pułk, slangowe „mier się ze słoniem” oznaczało ruszenie do boju.

Donośnym, niewyraźnym głosem Conor zapytał:

– Jakie cechy ucieleśnia słoń?

– W czasie pokoju czy wojny?

– Jedno i drugie. Posłuchajmy całości.

Beevers spojrzął na Poole’a.

– Słoń uosabia szlachetność, wdzięk, powagę, cierpliwość, wytrwałość, siłę i powściągliwość w czasie pokoju. Słoń uosabia siłę i gniew w czasie wojny.

Kilku najbliższych pediatrów wpatrywało się w niego z uprzejmym zakłopotaniem, próbując zrozumieć dowcip.

Beevers i Poole zaczęli się śmiać.

– Jasna sprawa – powiedział Conor. – Właśnie tak, no i proszę.

Pun Yin migotała przez chwilę daleko z przodu, po czym zaciągnęła zasłonę i zniknęła.

Samolot powoli trawił tysiące mil dzielące Los Angeles od Singapuru, gdzie w bungalowie przy pełnej zieleni drodze wciąż siedziały zwłoki panny Balandran i Roberta Ortiza; lekarze usadowili się w fotelach, pokonani przez alkohol i zmęczenie podróżą. Pun Yin stawiała przed pasażerami nijakie jedzenie, znacznie mniej apetyczne niż uśmiech, z jakim je serwowwała. W końcu stewardesa zabrała tacki, nalala brandy, ułożyła poduszki na długą noc.

– Nie powiedziałem ci, co dawny agent Underhilla powiedział Tinie – odezwał się Poole do Beevers, który siedział po drugiej stronie drzemiącego Conora Linklatera.

Snopy światła przeszły długą ciemną kabinę 747. Zaraz zacznie się projekcja *Savannah Smiles*, a później poleci drugi film, z Karlem Maidenem i kilkoma Jugosłowianami.

– Chcesz powiedzieć, że nie chciałeś mi powiedzieć – stwierdził Beevers. – To musi być niezłe.

– W miarę – przyznał Poole.

Beevers czekał. W końcu nie wytrzymał.

– Przypuszczam, że mamy jeszcze ze dwadzieścia godzin.

– Po prostu staram się to wszystko poukładać. – Poole chrząknął. – Na początku Underhill zachowywał się jak każdy inny autor. Narzekał na wielkość nakładu, dopytywał, gdzie są jego tantiemy, i tak dalej. Najwyraźniej był miłszy niż większość pisarzy, a przynajmniej nie gorszy niż większość. Miał swoje dziwactwa, ale nie wydawały się poważne. Mieszkał w Singapurze, a ludzie z Gladstone House nie mogli pisać do niego bezpośrednio, ponieważ nawet jego agent miał tylko numer skrytki pocztowej.

– Niech zgadnę. Później sprawy przybrały gorszy obrót.

– Bardzo stopniowo. Napisał kilka listów do ludzi z działu marketingu i reklamy. Nie wydają na niego wystarczająco dużo pieniędzy, nie biorą go na poważnie. Nie lubi miękkich okładek. Nakłady są za małe. W porządku. Wydawnictwo postanowiło włożyć trochę więcej wysiłku w jego drugą książkę, *Podzielony człowiek*, i starania się opłacić. Książka przez miesiąc czy dwa figurowała na liście bestsellerów i sprzedawała się bardzo dobrze.

– A więc nasz chłopak był szczęśliwy? Wysłał róże marketingowcom?

– Zaczął świrować. Wysłał im długi wariacki list, gdy tylko książka trafiła na listę bestsellerów: przecież powinna znaleźć się tam szybciej i na wyższym miejscu, kampania reklamowa była do dupy, ma dość dźgania go nożem w plecy i tak dalej. Następnego dnia dostali drugi list z pretensjami. Listy napływały codziennie przez tydzień, długie na pięć, sześć stron. W dwóch ostatnich groził im przemocą fizyczną.

Beevers wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Sporo pisał o tym, że go dymają, bo jest weteranem wojny wietnamskiej. Chyba nawet wspomniał o Ia Thuc.

– Ha!

– Potem, gdy książka zniknęła z listy, rozpoczął długie fandango na temat procesu sądowego. W Gladstone House zaczęły się pojawiać dziwne listy od singapurskiego prawnika Ong Pina. Prawnik wykombinował, że Underhill może ich pozwać o dwa miliony dolarów, czyli kwotę, jaką stracił z powodu niekompetencji wydawnictwa. Z drugiej strony, jeśli Gladstone chce uniknąć kosztów i rozgłosu wywołanego przez proces, klient Ong Pina zadowolony się jednorazową wypłatą w wysokości pół miliona dolarów.

– Odmówili zapłaty.

– Zwłaszcza gdy zauważyli, że adresem Ong Pina jest ta sama skrytka pocztowa, na którą agent Underhilla, Fenwick Throng, wysyłał pocztę i czeki.

– Cały Underhill, wypisz wymaluj.

– W odpowiedzi zaferowali mu możliwość zmiany wydawnictwa, jeśli nie jest zadowolony z ich pracy, i wtedy jakby się opamiętał. Nawet przeprosił za utratę panowania nad sobą. Poza tym wyjaśnił, że Ong Pin jest jego przyjacielem, który stracił biuro i tymczasowo z nim mieszka.

– Kwiat!

– Cóż, tak czy inaczej, groźba pozwu o dwa miliony dolarów brzmiała jak pijacki dowcip. Jakoś doszli do porozumienia. Ale gdy tylko przesłał następną książkę, *Krwawa orchidea*, znowu mu odbiło i zaczął straszyć procesami. Ong Pin napisał jakiś durny elaborat po angielsku, ale w takim języku, w jakim są pisane japońskie instrukcje obsługi. A kiedy książka się ukazała, Underhill wysłał pudełko z zaschniętym gównem do prezesa Gladstone, Geoffreya Penmaidena, którego chyba wszyscy znają i szanują. To tak, jakbyś wysłał klocka Maxwellowi Perkinsowi. Książka okazała się porażką i odeszła

w niebyt. Od tamtego czasu nikt w wydawnictwie nie słyszał od niego ani słowa i nie sądzą, żeby tęsknili za dalszą współpracą.

– Wysłał głównie Geoffreycowi Penmaidenowi? Najślynniejszemu wydawcy w Ameryce? – zdumiał się BeEVERS.

– Sądzą, że ten gest miał więcej wspólnego z nienawiścią do samego siebie niż z szaleństwem.

– Myślisz, że to nie jedno i to samo? – BeEVERS sięgnął nad udami Conora i poklepał Michaela po kolanie. – Poważnie.

Kiedy BeEVERS odchylił oparcie i zamknął oczy, Michael włączył lampkę do czytania i podniósł *Bestię na widoku*.

Na początku pierwszej powieści Underhilla bogaty chłopak Henry Harper dostaje powołanie i odbywa unitarkę na Południu. Jest człowiekiem, który stopniowo, ale konsekwentnie niszczy pozytywne pierwsze wrażenie, jakie wywołał: jest powierzchownie czarujący, snobistyczny, samolubny. Inni przeważnie albo napawają go obrzydzeniem, albo mu imponują. Oczywiście nie cierpi unitarki i każdego innego rekruta w bazie. W końcu poznaje Nata Beasleya, czarnego żołnierza, który chyba go lubi, pomimo jego wad, a pod snobizmem i nieśmiałością dostrzega przyswoitą osobę. Nat Beasley broni Harpera i pomaga mu przejść przez szkolenie. Ku wielkiej uldze Harpera jego ojciec, sędzia federalny w Michigan, załatwia im obu przydział do tej samej jednostki w Wietnamie. Udaje mu się nawet wysłać Henry'ego i Nata tym samym samolotem z San Francisco do Tan Son Hut. Podczas lotu Henry Harper dobija targu z Natem Beasleyem. Mówi, że jeśli Nat nadal będzie go chronił, zagwarantuje mu połowę wszystkich pieniędzy, jakie kiedykolwiek zarobi lub odziedzyczy. To co najmniej dwa albo trzy miliony dolarów i Beasley się zgadza.

Po jakimś miesiącu obaj żołnierze odłączają się od swojej jednostki podczas patrolu. Nat Beasley podnosi M-16 i wyrzyna dziurę wielkości rodzinnej *Biblii* w piersi Henry'ego Harpera. Zamienia nieśmiertelnicę, a następnie masakruje zwłoki Harpera, aż stają się nie do poznania. Później wyrusza na przelaz w kierunku Tajlandii.

Michael czytał dalej, przerzucając strony w snopie złotego światła, podczas gdy na małym ekranie przed nim leciał niezrozumiały film. Chrapanie i bekanie śpiących pediatrów od czasu do czasu przerywały mrużącą ciszę kabiny. Nat Beasley zarabia fortunę na handlu haszyszem w Bangkoku, poślubia piękną dziewczkę z Chiang Mai i wraca do Ameryki z paszportem wystawionym na nazwisko Henry'ego Harpera. Pun Yin albo któraś z pozostałych stewardes głośno westchnęła na fotelu w ostatnim rzędzie.

Nat Beasley wypożycza samochód na lotnisku w Detroit i jedzie do Grosse Point z piękną dziewczką z Chiang Mai. Michael wyobraził sobie, jak siedzi za kierownicą, odwraca się w stronę żony, wskazuje wielki biały dom sędziego Harpera na końcu idealnego trawnika. Za tymi obrazami pojawiały się inne – Poole nie spędził w powietrzu tylu godzin od 1967 roku i przesycone tym samym niepokojem chwile z niespokojnego lotu do Wietnamu opłatały się wokół przegód Nata Beasleya, uciekającego piechura.

Dziwność wyruszenia na wojnę lotem rejsowym towarzyszyła mu przez cały dzień, kiedy byli w powietrzu. Około trzech czwartych pasażerów stanowili nowi żołnierze, tacy jak on, a resztę oficerowie zawodowi i biznesmeni. Stewardesy rozmawiały z nim bez patrzania mu w oczy, a ich uśmiechy wyglądały jak przelotne grymasy.

Michael pamiętał, jak patrzył na swoje ręce i zastanawiał się, czy będą bezwładne i martwe, kiedy wróci do Ameryki. Dlaczego nie pojechał do Kanady? W Kanadzie nie strzelają do ludzi. Dlaczego po prostu nie został na uczelni? Jaki głupi fatalizm rzucił jego życie?

Conor Linklater zaskoczył go, prostując się w fotelu. Zamrugał, patrząc na niego przymglonymi oczami.

– Hej, ślęczysz nad tą książką, jakby była kamieniem z Rosetty – powiedział i opadł na oparcie, zaspiając, nim zamknęły mu się oczy.

Nat Beasley przechadza się po rezydencji sędziego Harpera. Zastanawia się nad zawartością lodówki. Staje w garderobie i przy mierza garnitury. Żona sędziego leży z pilotem na łóżku sędziego i przerzuca sześćdziesiąt kanałów kablówki.

Pun Yin stanęła obok Michaela z anielsko rozpostartymi rękami, okrywając kocem śpiącego Conora Linklatera. W 1967 roku obciążona na pазia blondynka postukała go w ramię, żeby go zbudzić, uśmiechnęła się promiennie nad jego ramieniem i kazała mu przygotować się do lądowania. Jego wewnętrzności wydawały się wodniste. Kiedy stewardesa otworzyła drzwi, do samolotu wdarło się gorące, wilgotne powietrze i całe ciało Michaela zaczęło się pocić.

Nat Beasley wyciąga ciężką brązową plastikową torbę z bagażnika lincolna i wrzuca ją do głębokiego rowu między dwiema jodłami. Wyjmuje z bagażnika drugą, lżejszą, i posyła ją w ślad za pierwszą.

Michael wiedział, że w takim upale buty zgniją mu na nogach. Pun Yin wyłączyła lampkę i zamknęła książkę.

3

Generał, który był teraz ulicznym kaznodzieją w Harlemie, na chwilę zostawił Tinę z Maggie w zagrany salonie przy Ulicy Sto Dwudziestej Piątej i Broadwayu. Był przyjacielem ojca Maggie, najwyraźniej także generałem w armii formozańskiej, a po zabójstwie generała Laha i jego żony sprowadził ich córkę do Ameryki – i pomyśleć, że Maggie uciekła do tego dusznego mieszkania w Harlemie! To była zagadka, ulga, irytacja.

Po pierwsze, jego dziewczyna okazała się córką generała. To wiele wyjaśniało: Maggie nosiła się z naturalną dumą; była przyzwyczajona do stawiania na swoim; lubiła mówić w formie komunikatów i myślała, że wie wszystko o żołnierzach.

– Nie przyszło ci na myśl, że się o ciebie martwię?

– Nie chodzi o martwienie się o mnie, tylko o zazdrość.

– Co w tym złego?

– Nie jestem twoją własnością, Tina. I ponieważ to działa tylko wtedy, gdy mnie nie ma, a ty nie wiesz, gdzie jestem. Jesteś jak mały chłopiec, wiesz?

Zostawił to bez komentarza.

– Bo kiedy z tobą mieszkam, Tina, zaczynasz myśleć, że jestem na wpół zwariowanym małym punkiem, który w gruncie rzeczy przeszkadza ci w myśleniu o interesach i zadaje się z facetami.

– To mi mówi, że ty jesteś zazdrosna, Maggie.

– Może mimo wszystko nie jesteś taki tępy – powiedziała i uśmiechnęła się do niego. – Ale jak dla mnie masz zbyt wiele problemów. – Siedziała na obitej brokatem kanapie z podkulonymi nogami, owinięta w coś luźnego i zwiewnego z ciemnej wełny, równie chińskiego jak obicie kanapy. Uśmiech sprawił, że Tina miała ochotę wziąć ją w ramiona. Włosy miała inne, mniej nastroszone, bardziej jak gładka strzecha. Niemal czuł w dłoniach ich jedwabisty ciężar i chciałyby je teraz zmierzić.

– Mówisz, że mnie nie kochasz?

– Nie przestaje się kochać ludzi, Tina – powiedziała. – Ale gdybym się do ciebie wprowadziła, wkrótce zacząłbyś się zastanawiać, jak się mnie pozbyć. Czujesz się taki winny, że nigdy nie pozwoliś sobie na ozenek. Nigdy nawet nie będziesz temu bliski.

– Chcesz za mnie wyjść?

– Nie. – Obserwowała jego reakcję, pełną podejrzliwości i zdziwienia. – Przecież mówiłam, że jak dla mnie masz za dużo problemów. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, jak się zachowujesz.

– Dobra, nie jestem ideałem. To chciałaś usłyszeć? Chciałbym, żebyś wróciła ze mną do centrum, i dobrze o tym wiesz. Ale równie dobrze mógłbym teraz odejść i o tym też wiesz.

– Pomyśl nad tym, Tina. Pamiętasz, jak zamieszczałam dla ciebie wszystkie te ogłoszenia w „Voice”?

Skinął głową.

– Nie lubiłeś ich przeglądać?

Powtórzył gest.

– Szukałeś ich co tydzień?

Ponownie przytaknął bez słowa.

– A jednak nigdy nawet nie wpadło ci do głowy, żeby zamieścić jedno od siebie, prawda?

– Czy o to chodzi?

– Nieźle, Tina. Cieszę się, że nie powiedziałaś, że jesteś za stary na takie rzeczy.

– Maggie, wiele rzeczy idzie teraz nie tak.

– Miasto zamknęło Sajgon?

– Sam zamknąłem. Jednoczesne gotowanie i zabijanie robaków stało się niemożliwe. Postanowiłem skupić się na zabijaniu robaków.

– O ile ci się nie pomiesza i nie zaczniesz ich gotować.

Z irytacją pokręcił głową.

– To mnie kosztuje mnóstwo pieniędzy. Nadal płacę pensje.

– I żałujesz, że nie pojechałeś do Singapuru z małymi chłopcami.

– Ujmijmy to w ten sposób. Bawiłbym się lepiej niż teraz.

– Teraz?

– Teraz w ogólnym sensie. – Popatrzył na nią z miłością i rozdrażnieniem, a ona odpowiedziała ze spokojem w oczach. – Nie miałem pojęcia, że chcesz, żebym też zamieszczał ogłoszenia, inaczej bym to zrobił. Nigdy nie przyszło mi to na myśl.

Westchnęła i uniosła rękę, po czym powoli opuściła ją z powrotem na złożone kolana.

– Zapomnij o tym. Ale pamiętaj, znam cię o wiele lepiej, niż ty kiedykolwiek poznasz mnie. – Obrzuciła go kolejnym spokojnym spojrzeniem. – Martwisz się o nich, prawda?

– Dobra, martwię się o nich. Może dlatego chciałbym być z nimi.

Powoli pokręciła głową.

– Nie mogę uwierzyć, że byłeś na wpół martwy, a jednak uważasz, że powinieneś pójść tą samą drogą co wcześniej, jakby zupełnie nic się nie wydarzyło.

– Wiele się wydarzyło i przyznam to bez żadnych oporów.

– Boisz się, boisz się, boisz się!

– Dobra, boję się. – Głośno wypuścił powietrze. – Nie lubię nawet wychodzić sam w ciągu dnia. Nocami słyszę hałasy. Ciągle myślę... wciąż mam pokręcone myśli. O Wietnamie.

– Cały czas czy tylko w nocy?

– Cóż, przylapuję się na takim myśleniu o każdej porze dnia i nocy, jeśli o to ci chodzi.

Maggie wysunęła nogi spod siebie.

– Zgoda, pójdziemy i zostanę z tobą przez jakiś czas. Dopóki będziesz pamiętać, że nie tylko ty możesz odejść.

– Do licha, jak mógłbym o tym zapomnieć?

– To wystarczyło. Nie musiał jej nawet wyznać, że tuż przed jazdą na przedmieścia stał w kuchni z butelką piwa i przez sekundę wiedział, że to wietnamskie ba mui ba i że kula z jego nazwiskiem, ta, która oszczędziła go tyle lat temu, wciąż krąży po świecie i go namierza.

* * *

Generał, który był teraz kaznodzieją, popatrzył na niego tak, jakby nadal był wkurzonym generałem, po czym warknął do Maggie kilka słów po chińsku. Maggie odpowiedziała zdaniem, które brzmiało ponuro i młodzieńczo. Generał raz na zawsze udowodnił Tinie, że Tina nigdy nie zrozumie kantońskiego, ponieważ po wyszczekaniu swoich uwag spojrzała na Maggie promiennym wzrokiem, wziął ją w ramiona i pocałował w czubek głowy. Nawet uściśnął mu rękę i też się do niego uśmiechnął.

– Chyba jest szczęśliwy, że się ciebie pozbył – powiedział, gdy czekali na powolną cuchnącą windę.

– Jest chrześcijaninem, wierzy w miłość.

Nie mógł rozstrzygnąć, czy Maggie ironizuje, czy mówi poważnie. Z nią często tak było. Winda zagrzecotała na piętrze generała i rozdziawiła paszczę. Z kabiny wytoczył się kwaśny smród moczu. Tina nie mógł pozwolić, by Maggie zobaczyła, że boi się windy. Była już w środku i przyglądała mu się uważnie. Przelknął ślinę i wszedł do cuchnącego pyska kabiny.

Drzwi trzasnęły za nim.

Zdobył się na uśmiech. Najtrudniejsze było wejście.

– Co ci powiedział, zanim wyszliśmy?

Maggie poklepała go po dłoni.

– Powiedział, że jesteś dobrym starym żołnierzem, że powinnam się tobą opiekować i nie wściekać się na ciebie. – Spojrzała na niego. – Ja mu na to, że jesteś dupkiem i wracam z tobą tylko dlatego, że muszę odświeżyć mój angielski.

Na dole Maggie uparła się, żeby jechać metrem, i pokazała, że wciąż umie robić swoją starą sztukę.

Dotarli do szczytu schodów i szli w kierunku budki z zetonami. Wiatr przenikał przez jego grubą kurtkę i przyciskał mu kaptur do potylicy. Tina rozejrzała się i nie zobaczył Maggie. Ogarnęła go osłepiająca panika.

Kilku hałaśliwych wyrostków w czarnych kurtkach i wełnianych czapkach, w tym jeden z wielkim radiem, tłukło rękami powietrze i podskakiwało na peronie w rytm piosenki Kurtisa Blow'a. Czarne kobiety w grubych płaszczach opierały się o poręcz i nie zwracały na nich uwagi. Daleko z przodu parę osób spoglądało prawie bez celu wzdłuż torów. Tina nagle boleśnie uświadomił sobie, że jest wysoko w powietrzu – zawieszony jak skoczek na trampolinie. Żałował, że nie trzyma się poręczy – było tak, jakby wiatr mógł go porwać z peronu i rzucić na Broadway.

Automatycznie stanął w kolejce do budki z zetonami. Chłopcy zebrali się na początku peronu. Tina sięgnął do kieszeni, wściekły na Maggie za zniknięcie i wściekły na siebie, że się tym przejmując.

Nagle usłyszał jej chichot i odwrócił głowę. Zobaczył ją tuż za bramką obok beznamiętnych kobiet. Stała z rękami głęboko wsuniętymi w kieszenie pachowej kurtki i uśmiechała się do niego.

Dostał żeton i przeszedł przez bramkę. Czuł się absurdalnie materialny.

– Jak to zrobiłaś?

– Skoro i tak nie byłbyś w stanie tego dokonać, dlaczego miałabym ci mówić?

Gdy pociąg przyjechał z rykiem, wzięła go za rękę i wciągnęła do wagonu.

– Już są w Singapurze? – zapytała.

– Chyba dotarli tam trzy lub cztery dni temu.

– Mój brat mówi, że jadą też do Tajpej.

– Możliwe. Pojadą tam, dokąd muszą, żeby znaleźć Underhilla.

Maggie obrzuciła go na wpół jadowitym, na wpół współczującym spojrzeniem.

– Biedny Tina. – Położyła jego dłoń na swoim miękkim pikowanym podłożu.

Siedział obok niej w głośnym pociągu, teraz w zasadzie panując nad strachem. Nikt się na niego nie gapił. Jego dłoń spoczywała w zabawnych łapkach Maggie, na jej udach.

* * *

Mknęli na południe pod Manhattanem w brudnym pociągu, Maggie Lah ze swoimi wielkimi tajemnymi uczuciami i Tina Pumo ze swoimi, biegnącymi dziwnie równoległe do uczuć jej przyjaciół pod cierpliwym spojrzeniem Pun Yin. Kocham Maggie i boję się tego. Niezły z niej gagatek. Odchodzi ode mnie, żeby mnie zatrzymać, jest dość sprytna, żeby wyjść, zanim ją wyrzucę, i udowadnia to, wracając, gdy naprawdę jej potrzebuję. I może Underhill jest obłąkany, i może ja też jestem obłąkany, ale mam nadzieję, że go znajdą i sprowadzą z powrotem.

Oto Tim Underhill, rozmyślał Tina, oto Underhill w części Camp Crandall znanej postrzeleniom ze starego dobrego Słonia jako Ozone Park. Ozone Park to posesna część pustkowiec wielkości dwóch kwartałów między tyłami „klubu” Manly’ego a ogrodzeniem. Jest tam szczalnik, czyli zapewniająca ukojenie wkopana pionowo rura, oraz ogromny stos pustych metalowych beczek, źródło cienia i wszechobecnego zapachu ropy. Oficjalnie Ozone Park nie istnieje, więc jest bezpieczny przed najazdami Blazanego Drwala, dla którego, w prawdziwie wojskowym stylu, „ma być” dokładnie równa się „jest”. Oto Tim Underhill w towarzystwie kilku żołnierzy upalonych długimi skrętami Si Van Vo i coraz bardziej naćpanych białym proszkiem, który Underhill wyczarował z kieszeni. Oto Underhill opowiada wszystkim innym, czyli oprócz mnie M.O. Denglerowi, Spanky’emu Burrage’owi, Michaelowi Poole’owi, Normanowi Petersowi i Victorowi Szpitalny’emu, który czai się przy beczkach i od czasu do czasu rzuca kamyczkami w ich stronę, historię o uciekającym piechurze. Underhill mówi, że młody człowiek z dobrej rodziny, syn sędziego federalnego, został powołany i wysłany do starego dobrego Fort Sill w pięknym Lawton w stanie Oklahoma...

– Mdl mi nie od samego słuchania twojego głosu – rzuca drwiąco Szpitalny zza beczek. Ciska kamieniem w Underhilla i trafia w środek klatki piersiowej. – W dalszym ciągu jesteś tylko pierdolonym pedałem.

„A ty w dalszym ciągu jesteś zasrańcem”, Pumo wspomina swoją elokwentną wypowiedź skierowaną do Szpitalny’ego, który odwzajemnił się, rzucając w niego kamieniem.

Przyzwyczajenie się do „kwiatów” zajmowało dużo czasu, ponieważ dużo czasu wymagało zrozumienie, że Underhill nigdy nikogo nie zepsuł, że nie mógł nikogo zepsuć, ponieważ sam nie był zepsuty. Większość znanych Pumie żołnierzy twierdziła, że gardzi Azjatkami, ale prawie wszyscy korzystali z usług dziwki i barmanek. Wyjątek stanowił Dengler, który trwał w dziewictwie w przekonaniu, że jest ono talizmanem utrzymującym go przy życiu, i Underhill, który rwał młodych mężczyzn. Pumo zastanawiał się, czy inni wiedzieli, że kwiaty Underhilla miały po dwadzieścia kilka lat i że były tylko dwa. Wiedział o tym, ponieważ poznał ich obu. Pierwszy, jednoręki był południowowietnamski żołnierz o dzweczęcej twarzy, mieszkał z matką w Hue i zarabiał na życie, grillując mięso na straganie, dopóki Underhill nie zaczął go wspierać. Drugi kwiat faktycznie pracował na targu kwiatowym w Hue i Pumo jadł kolację z nim, jego matką i jego siostrą i Underhillem. Widział tyle niezwykłej czułości przepływającej między tamtymi czterema osobami przy stole, że chętnie dałby im się adoptować, gdyby to było możliwe. Underhill wspierał także tę rodzinę. A teraz w dziwny sposób wspierał ich on, bo kiedy w 1975 roku ukochany kwiat Underhilla, Vinh, zdołał go w końcu znaleźć w Nowym Jorku, Pumo przypomniał sobie wspaniałość posiłku, a także ciepło i życzliwość panujące w małym domku, i go zatrudnił. Vinh przeszedł głębokie zmiany – wyglądał na starszego, twardszego, mniej radosnego. (Poza tym spłodził dziecko, stracił żonę i odbył długą praktykę w wietnamskiej restauracji w Paryżu). Nikt inny nie znał jego dziejów. Harry Beevers widział go kiedyś z Underhillem, a później o tym zapomniał,

ponieważ z własnych powodów wmówił sobie, że Vinh pochodzi z An Lat, wioski położonej niedaleko Ia Thuc – ilekroć widział Vinha albo jego córkę, zaczynał wyglądać na prześladowanego.

– Wyglądasz teraz na prawie szczęśliwego – powiedziała do niego Maggie.

– Underhill nie może być Koko – oznajmił Tina. – Sukinsyn był obłąkany, ale w najbardziej racjonalny sposób.

Maggie nic nie powiedziała ani nie zrobiła, nie puściła jego ręki, nawet nie mrugnęła, więc nie wiedział, czy w ogóle go słyszała. Może poczuła się urażona. Hałaśliwy pociąg zagrzecotał na ich stacji i wyhamował z szarpnięciem. Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Pumo zamarł na sekundę. Gdy hałasy na zewnątrz wagonu ucichły, Maggie postawiła go na nogi. Pumo wysiadł z wagonu, pochylił się i przytulił ją tak mocno, jak tylko mógł.

– Ja też cię kocham – powiedziała. – Chociaż nie wiem, czy jestem obłąkana w racjonalny sposób, czy na odwrót.

* * *

Ze świstem wypuściła powietrze, gdy skręcili na Grand Street.

– Chyba powinienem cię uprzedzić – powiedział Pumo.

Stosy cegieł, sterty desek, worki z tynkiem i kawałki odpiłowanych rur pokrywały chodnik przed Sajgonem. Robotnicy w zielonych skafandrach i grubych rękawicach, z głowami schyłonymi na wierzchołki, wywozili taczkami gruz i mozolnie wrzucali go do kontenera. Obok kontenera stały dwie ciężarówkami, jedna z napisem firma budowlana, a druga mclendon tępienie szkodników. Mężczyźni w kaskach wędrowali tam i z powrotem między restauracją a ciężarówkami. Maggie zobaczyła, że Vinh rozmawia z kobietą trzymającą plik rozwiniętych planów, a szef kuchni mrugnął do niej i pomachał ręką do Puma.

– Musimy pogadać! – krzyknął.

– Jak jest w środku? – zapytała Maggie.

– Nie tak źle, jak stąd wygląda. Cała kuchnia jest oczywiście rozwalona, podobnie jak większa część jadalni. Vinh mi pomaga, goni ludzi do roboty, kiedy mnie nie ma. Musieliśmy wyburzyć całą tylną ścianę, a potem odbudować część piwnicy. – Wkładał klucz do zamka białych drzwi obok wejścia do Sajgonu, gdy Vinh ucisnął dłoń architektki i podszedł szybko, zanim zdążył je otworzyć.

– Miło cię znowu widzieć, Maggie – powiedział Vinh i zagadał coś po wietnamsku do Puma.

Tina odpowiedział w tym samym języku, jęknął i spojrział na Maggie z wyraźnym niepokojem na twarzy.

– Podłoga się zarwała?

– Ktoś włamał się dziś rano. Nie było mnie tam mniej więcej od ósmej, kiedy wyszedłem na śniadanie i zajrzałem do kilku dostawców. Skoro i tam musimy odwalić całą tę robotę, przy okazji rozbudujemy kuchnię, i jak zwykle muszę ganiać po całym mieście, i właśnie to robiłem, dopóki nie wyhamowała mnie ostatnia strona „Village Voice”.

– Jak ktoś mógł się włamać, skoro tu jest tyle ludzi?

– Och – mruknął. – Nie włamali się do restauracji. Włamali się na moje poddasze. Vinh słyszał, jak ktoś chodzi na górze, ale uznał, że to ja. Później poszedł mnie o coś zapytać i zrozumiał, że to musiał być intruz.

Tina spojrzała ze strachem na wąskie schody prowadzące na górę.

– Nie sądzę, żeby Dracula wpadła z towarzyską wizytą – powiedziała.

– Ja też nie. – Tina nie wydawał się do końca przekonany. – Ale może suka przypomniała sobie o czymś, co zapomniała ukraść.

– To tylko wlamywaniec – zaprotestowała Maggie. – Chodźmy z tego zimna. – Weszła na kilka stopni, sięgnęła w dół, chwyciła go za łokcie i przyciągnęła do siebie. – Wiesz, kiedy dochodzi do większości włamań, biały chłopiec? Około dziesiątej rano, bo złoczyńcy wiedzą, że wtedy wszyscy są w pracy.

– Wiem. – Tina uśmiechnął się do niej. – Szczerze, wiem o tym.

– A jeśli mała Dracula wróci po twoje ciało, przerobię ją na... hm... – Przewróciła oczami i wbiła palec wskazujący w policzek. – Chińską zupę jajeczną.

– Kaczkę po sajgońsku. Pamiętaj, gdzie jesteś.

– Chodźmy na górę i miejmy to z głowy.

– Przecież mówiłem.

Wszedł za nią po schodach prowadzących do drzwi poddasza. W przeciwieństwie do tamtych białych na dole, te były zamknięte na klucz.

– Ktoś lepszy niż Dracula – zauważyła Maggie.

– Zatraskują się, gdy je zamykasz. Nadal nie jestem pewien, czy to nie ta cholerna dziwka. – Pumo otworzył drzwi i wszedł do środka przed Maggie.

Jego płaszcz i kurtki wisały na haczykach, a pod nimi stały buty.

– Na razie w porządku.

– Przestań być takim tchórzem – powiedziała Maggie i popchnęła go.

Nieco dalej znajdowały się drzwi do łazienki. Tam wszystkie rzeczy leżały na swoich miejscach, ale Pumo w wyobraźni widział Draculę stojącą przed lustrem do golenia, uginającą nogi i stroszącą irokeza.

Następna była sypialnia. Pumo obejrzał nieposłane łóżko i pustą szafkę pod telewizor – zostawił łóżko w takim stanie i jeszcze nie zastąpił niczym dziewiętnastocalowego sony, skradzionego przez Draculę z jego pokoju. Drzwi szafy były otwarte, kilka garniturów zwisało z wieszaków nad niechlujnym stosem innych ubrań.

– Cholera, to była Dracula. – Pumo miał wrażenie, że błonka potu pokrywa go od stóp do głów.

Maggie spojrzała na niego pytająco.

– Za pierwszym razem ukradła moją ulubioną kurtkę i ulubione kowbojki. cholera! Kocha moje ubrania! – Uderzył się pięścią w głowę.

Natychmiast przeszedł przez pokój. Podnosił ubrania z podłogi szafy, oglądał je i odwiesział.

– Vinh wezwał policję? Chcesz do nich zadzwonić?

Pumo spojrzał na Maggie znad naręczna ubrań.

– Jaki w tym sens? Nawet jeśli ją znajdą i jakimś cudem przymkną, wyjdzie za nie więcej niż półtora dnia. Tak to robimy w tym kraju. W Tajpej pewnie macie zupełnie inny system.

Maggie oparła się o framugę. Jej ręce zwisały równoległe do siebie, pod niewielkim kątem względem tułowia. Chyba po raz tysięczny zauważył, że ma zabawne guzkowate dłonie.

– W Tajpej przyszywamy im zszywaczem język do górnej wargi i tępym nożem odcinamy po trzy palce każdej ręki.

– To nazywam sprawiedliwością.

– W Tajpej nazywamy to liberalizmem – powiedziała Maggie. – Czegoś brakuje?

– Zaraz, zaraz. – Pumo powiesił na drążku wieszak z ostatnim garniturem. – Jeszcze nie dotarliśmy do salonu. Nie jestem nawet pewien, czy chcę tam pójść.

– Sama zajrzę, jeśli chcesz. Pod warunkiem, że w końcu tu wrócimy, zrzucimy ubrania i zrobimy wszystko, co zamierzaliśmy zrobić.

Spojrzał na nią z nieskrywanym zdziwieniem.

– Sprawdzę, czy wróg wycofał się z salonu – powiadomiła go swoim beznamiętnym, precyzyjnym głosem. Zniknęła.

– bodaj to szlag! cholera! – wrzasnął Pumo kilka sekund później. – wiedziałem!

Maggie zajrzała do sypialni, zaskoczona i lekko zadyszana. Jej gęste czarne włosy kołysały się i miała rozchylone usta.

– Wołałeś?

– Nie wierzę. – Pumo oderwał wzrok od pustej szafki nocnej obok łóżka i spojrzał na Maggie. – Jak wygląda salon?

– Cóż, miałam sekundę, nim rozproszyły mnie wrzaski szaleńca, ale wygląda na tylko lekko zabałaganiony. Poza tym w porządku.

– To Dracula, bez dwóch zdań. – Pumie nie spodobało się brzmienie „lekko zabałaganiony”. – Wiedziałem, cholera jasna. Wróciła i ukradła te same rzeczy. – Wskazał szafkę nocną. – Musiałem kupić nowy radiobudzik i już go nie ma. Miałem nowego watchmana i ta franca też go ukradła.

Patrzył, jak piękna mała Maggie w luźnym powłóczystym chińskim stroju płynnym krokiem wchodzi do jego sypialni, a w wyobraźni widział zdemolowany salon. Widział podarte poduszki, książki zruczone z półek, biurko wywrócone do góry nogami – i ani śladu telewizora, automatycznej sekretarki, książeczek czekowych, ozdobnego parawanu, który przywiózł z Wietnamu, magnetowidu i większości porządnego alkoholu. Nie uważał się za zbyt przywiązane do rzeczy, ale przygotował się na ich utratę. Najbardziej brakowałyby mu kanapy, którą własnoręcznie zrobił i obił Vinh.

Maggie uniosła stopą zwisającą róg koca i odkryła radiobudzik i nowego watchmana; najwyraźniej jedno i drugie spadło z szafki nad ranem.

Bez słowa zaprowadziła go do salonu. Pumo musiał przyznać, że pokój wygląda prawie zupełnie tak samo, jak go zostawił.

Gładka, pulchna, nakrapiana niebieska tkanina wciąż pokrywała długą kanapę Vinha, książki w zwyczajowym nieładzie stały na półkach i piętrzyły się na stolikach; telewizor, głupi jak idol, stał na swoim

miejsca na półce pod magnetowidem i wypasionym stereo. Pumo spojrzął na papiery na dolnej półce i od razu poznał, że ktoś je przeglądał.

W drugim końcu pokoju dwa stopnie prowadziły na podest, również wykonany przez Vinha. Były tam półki zastawione butelkami – dwie z książkami kucharskimi – zlew, zabudowana lodówka. Fotel, lampa. W kącie stało biurko i skórzane krzesło biurowe, przesunięte w bok, jakby intruz chciał spędzić trochę czasu przy biurku.

– Nie wygląda tak źle – powiedział do Maggie. – Przyszła tu i rozejrzała się, ale nie naszkodziła.

Z większą pewnością siebie wszedł do pokoju i uważnie przyjrzał się stolikowi, książkom, aktom i czasopismom. Im też Dracula poświęciła nieco czasu – wszystko było lekko poprzesuwane.

– Biuletyn batalionu – powiedział w końcu.

– Co?

– Zabrała „Biuletyn Dziewiątego Batalionu”. Przychodzi dwa razy w roku. Prawdę mówiąc, w zasadzie do niego nie zaglądam, ale nigdy nie wyrzucam starego, dopóki nie dostanę nowego.

– Rajcują ją żołnierze.

Pumo wzruszył ramionami i wszedł po schodkach na podest. Książeczki czekowe, jego i Sajgonu, leżały na biurku, ale w innym miejscu. Obok nich leżał brakujący „Biuletyn”, otwarty na półstronicowym zdjęciu pułkownika Emila Ellenboga, Błaszanego Drwała, odchodzącego na emeryturę z drugorzędneho stanowiska w Arkansas, dokąd go oddelegowano po rozczarowującej turze w Wietnamie.

– Nie, ta suka tylko go przeniosła! – zawołał do Maggie, która stała na środku pokoju i obejmowała się rękami.

– Na biurku jest wszystko, co powinno być?

– Nie wiem. Chyba coś zniknęło, ale nie potrafię powiedzieć, co.

Jeszcze raz obejrzał zabałaganiony blat. Książeczki czekowe. Telefon. Automatyczna sekretarka z mrugającym światelkiem wiadomości. Wcisnął przewijanie do tyłu, a następnie odtwarzanie. Odtworzyła się cisza. Czy najpierw zadzwoniła, żeby sprawdzić, czy wyszedł? Im dłużej spoglądał na blat biurka, tym bardziej był przekonany, że czegoś brakuje, ale nie mógł skojarzyć tego uczucia z konkretnym przedmiotem. Obok automatycznej sekretarki znalazł książkę zatytułowaną *Nam*, która, czego był pewien, od miesięcy leżała na jednym ze stolików – zrezygnował z lektury w połowie, ale trzymał ją na stole, bo przyznanie się, że nigdy nie zamierza jej dokończyć, byłoby jak proszenie się o najgorszego pecha.

Dracula przeniosła „Biuletyn” i egzemplarz *Nam* na biurko i rozmyślała nad książeczkami czekowymi. Prawdopodobnie dotknęła wszystkiego na biurku swoimi długimi, silnymi palcami. Przez sekundę Pumo był zły i miał zawroty głowy.

Tina zbudził się w środku nocy z walącym sercem, szalony, straszny sen właśnie zniknął w ciemności. Obrócił głowę i zobaczył smacznie śpiącą Maggie, z twarzą wtuloną w zgiętą rękę. Ledwie widział jej rysy. Och, uwielbiał patrzeć na śpiącą Maggie Lah. Bez mimiki jej rysy wydawały się anonimowe i całkowicie chińskie.

Wyciągnął się obok niej i lekko dotknął jej dłoni. Co oni teraz robią? Jego przyjaciele? Widział, jak idą szerokim chodnikiem ze splecionymi ramionami. Tim Underhill nie może być Koko i gdy tylko go znajdą, od razu będą o tym wiedzieć. Wtedy zdał sobie sprawę, że jeśli Underhill nie jest Koko, to jest nim ktoś inny – ktoś krążący wokół nich, krążący wokół nich wszystkich w taki sposób, w jaki kula z jego imieniem wciąż krąży po świecie, nigdy nie spadając ani nie odpoczywając.

Rano powiedział Maggie, że musi coś zrobić, by pomóc chłopakom – chciał sprawdzić, czy zdoła dowiedzieć się więcej o ofiarach Koko, dowiedzieć się czegoś więcej.

– Teraz mówisz do rzeczy – stwierdziła.

4

Dlaczego pytania i odpowiedzi?

Ponieważ idą w linii prostej. Ponieważ są wyjściem. Ponieważ pomagają mi myśleć.

O czym myśleć?

O zwykłych szczątkach. O biegnącej dziewczynie.

Wyobrazasz sobie, że była prawdziwa?

Dokładnie tak. Wyobrażam sobie, że była prawdziwa.

O czym jeszcze można myśleć?

Zwykły temat, mój temat. Koko. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Dlaczego teraz bardziej niż kiedykolwiek?

Bo wrócił. Bo myślę, że go widziałem. Wiem, że go widziałem.

Wyobraziłeś sobie, że go widziałeś?

Na jedno wychodzi.

Jak wyglądał?

Wyglądał jak tańczący cień. Wyglądał jak śmierć.

Czy objawił ci się w śnie?

Objawił się, jeśli to właściwe słowo, na ulicy. Śmierć objawiła się na ulicy, gdy dziewczynka objawiła się na ulicy. Objawieniu się dziewczynki towarzyszył potężny zgiełk, zwykły uliczny hałas; ten ziemski zgiełk otoczył cień. Był pokryty, choć niewidocznie, krwią innych. Dziewczynka, widoczna tylko dla mnie, była pokryta własną krwią. Uczucie Pana wylewało się z nich obojga.

Co to za uczucie?

Uczucie, że mamy tylko minimalny wpływ na centralne historie naszego życia. Hal Esterhaz w *Podzielnym człowieku*. Dziewczynka przychodzi, żeby przemówić do mnie swoim przerażeniem, swoją ostatecznością, biegnie ku mnie z chaosu i nocy, wybrała mnie. Ponieważ ja wybrałem Hala Esterhaza i ponieważ ja wybrałem Nata Beasleya. „Jeszcze nie”, mówi. „Jeszcze nie”. Historia jeszcze się nie skończyła.

Dlaczego Hal Esterhaz się zabił?

Bo nie mógł już znieść tego, co dopiero zaczynał pojmować.

Czy to tam zabiera cię wyobraźnia?

Jeśli jest dość dobra.

Bałeś się, gdy zobaczyłeś dziewczynkę?

Pobłogosławiłem ją.

Koko

Gdy tylko samolot wystartuje, Koko też będzie człowiekiem w ruchu.

Wiedział jedno: każda podróż jest podróżą w wieczności. Trzydzieści tysięcy stóp nad ziemią zegary chodzą do tyłu, ciemność i światło swobodnie zamieniają się miejscami.

Kiedy robi się ciemno, myślał Koko, możesz nachylić się w stronę okienka i jeśli jesteś gotowy, jeśli twoja dusza już jest w połowie w wieczności, możesz zobaczyć uzbrojoną w kły szarą twarz Boga pochylającą się ku tobie w ciemności.

Koko uśmiechnął się, a śliczna stewardesa z pierwszej klasy odpowiedziała uśmiechem. Pochyliła się z tacą w rękach.

– Woli pan sok pomarańczowy czy szampana?

Koko pokręcił głową.

Ziemia ssała stopy samolotu, sięgała przez korpus maszyny i próbowała wciągnąć go w siebie, chciała ssać i ssać, biedna ziemia kochała to, co wieczne, a wieczne kochało ziemię i litowało się nad ziemią.

– Czy podczas lotu będzie film?

– *Nigdy nie mów nigdy* – odrzekła stewardesa przez ramię. – Nowy film o Jamesie Bondzie.

– Wybornie – powiedział Koko z prawdziwą wewnętrzną wesołością. – Sam nigdy nie mówię nigdy.

Zaśmiała się, jak wypadało, i poszła dalej.

Inni pasażerowie sunęli przejściami, niosąc walizki, torby na zakupy, wiklinowe kosze, książki. Dwóch chińskich biznesmenów zajęło miejsca przed nim i gdy tylko usiedli, Koko usłyszał trzask otwieranych aktówek.

Ubrana w niebieski mundurek jasnowłosa stewardesa w średnim wieku pochyliła się z fałszywym maszynowym uśmiechem.

– Jak mamy się dziś do pana zwracać, hm? – Wsunęła w jego pole widzenia podkładkę z tabelą miejsc siedzących. Koko powoli opuścił gazetę. – Pan...? – Spojrzała na niego, czekając na odpowiedź.

Jak mamy się dziś do ciebie zwracać, hmmm? Dachau, nazwijmy cię Lady Dachau.

– Może Bobby?

– W takim razie niech będzie Bobby – powiedziała kobieta i nabazgrała imię w miejscu oznaczonym 4B.

Roberto Ortiz miał w kieszeniach paszporty, mnóstwo wizytówek i identyfikatorów, a także sześćset dolarów amerykańskich i trzysta singapurskich. Dobra nasza! W kieszeni marynarki Koko znalazł klucz do pokoju w Shangri-La, bo gdzieśby indziej miał zatrzymać się ambitny młody Amerykanin?

Torba panny Balandran zawierała prostownicę, krążek dopochwowy, tubkę żelu plemnikobójczego, mały plastikowy pojemnik z tubką pasty do zębów „Darkie” i szczoteczką do zębów, świeże majtki i nowe rajstopy, buteleczkę błyszczycy i pędzelek do ust, fioletkę tuszu do rzęs, pędzelek do różu, grzebień z długą cienką rączką, trzy cale ściętej białej plastikowej słomki, małą skórzaną saszetkę z poppersami, postrzępioną książkę Barbary Cartland, puderniczkę, sześć tabletek valium luzem, mnóstwo pomiętych chusteczek higienicznych, kilka kompletów kluczy i gruby rulon banknotów – czterysta pięćdziesiąt trzy dolary singapurskie.

Koko włożył pieniądze do kieszeni, a resztę wyrzucił na podłogę w łazience. Po umyciu rąk i twarzy pojechał taksówką do Shangri-La.

Roberto Ortiz mieszkał przy West End Avenue w Nowym Jorku.

Czy na West End Avenue można się poczuć jak władcy ziemi, jak sam Bóg, łaknący śmiertelności? Anioły latały wzdłuż West End Avenue, ich płaszczki przeciwdeszczowe łopotały na wietrze.

Koko wyszedł z Shangri-La w dwóch parach spodni, dwóch koszulach, bawełnianym swetrze i tweedowej marynarce. W podręcznej torbie w lewej ręce miał dwa zwinięte garnitury, trzy koszule i parę pierwszorzędných czarnych butów.

Taksówka zawiozła go przez pełną zieleni Grove Road na Orchard Road i dalej przez czysty, uporządkowany Singapur do pustego budynku przy kolistej ulicy odchodzącej od Bahru Road. Podczas tej podróży wyobrażał sobie, że stoi w kabriolecie jadącym po Piątej Alei. Na niego i wszystkich innych władców ziemi spadły serpentyny i konfetti, i tłumy wiwatowały na chodnikach.

Beevers i Poole i Pumo i Underhill i Tattoo Tiano i Peters i słodki Spanky B i wszyscy inni, wszyscy władcy ziemi, kto przetrwa dzień nadejścia? Bo oto ciemność okrywa ziemię. I prawnik, Ted Bundy, i Juan Corona harujący na polach, i ten, który w Chicago przebiegał się za klauna, John Wayne Gacy, i Syn Sama, i Wayne Williams z Atlanty, i Zebra Killer, i ci, którzy zostawiali swoje ofiary na zboczach wzgórz, i mały facet z filmu *Dom przy Rillington Place*, i Lucas, prawdopodobnie najwspanialszy z nich wszystkich. Niebiańscy wojownicy mają swój dzień. Maszerują razem ze wszystkimi tymi, którzy nigdy nie dali się pojmać, ze wszystkimi tymi, którzy pokazują światu przyzwoite oblicza, żyją skromnie, przenoszą się z miasta do miasta, płacą rachunki, żyją ze wszystkimi tymi głęboko ucieleśnionymi tajemnicami.

Ogień złotnika.

Koko wczołgał się przez okno w piwnicy swojego domu i zobaczył ojca siedzącego na skrzynce. „Cholerny idiota”, powiedział ojciec. „Wziąłeś za dużo, myślisz, że urządzą paradę komuś takiemu jak ty? Nie marnujemy żadnej części zwierzęcia”.

Rozłożył pieniądze na zapiaszczonej podłodze i gdy to zrobił, starzec uśmiechnął się i powiedział: „Nie ma substytutu dobrego masła”, a Koko zamknął oczy i zobaczył przechodzący obok rząd słoni, kiwających z aprobatą głowami.

Na rozwiniętym śpiworze położył paszporty Roberta Ortiza i rozłożył pięć kart Słonia, żeby odczytać nazwiska. Sięgnął do pudełka z papierami i znalazł egzemplarz amerykańskiego czasopisma „New York”, który odebrał w hotelu dwa dni po paradzie na cześć zakładników. Pod tytułem ogniste litery oznajmiały: dziesięć gorących nowych miejsc.

Ia Thuc, Hue, Da Nang, to były gorące miejsca. I jest Sajgon. Oto jest gorące nowe miejsce, oto jest Sajgon. Czasopismo automatycznie otworzyło się na zdjęciu i akapitach o nowym gorącym miejscu. (Jada tam burmistrz).

Koko leżał rozpostarty na podłodze w swoim nowym garniturze i wpatrywał się w zdjęcie gorącego nowego miejsca. Na białych ścianach falowały ciemnozielone liście. Wietnamscy kelnerzy w białych koszulach krążyli między załoczonymi stolikami, śmigali tak szybko, że byli tylko smugami światła. Koko słyszał głosy, brzęk noży i widelców na porcelanie. Strzelili korki. Na pierwszym planie Tina Pumo opierała się o bar i krzywił twarz – Pumo Puma wychylił się prosto z ramki zdjęcia i przemówił do niego głosem, który wyróżniał się na tle zgiełku restauracji jak solówka saksofonowa na tle dźwięku big-bandu.

Pumo powiedział:

– Nie osądzaj mnie, Koko. – Wyglądał na przestraszonego.

Tak właśnie mówili, gdy wiedzieli, że stoją przed drzwiami wieczności.

– Rozumiem, Tina – powiedział Koko do małego, niespokojnego człowieczka na zdjęciu.

W artykule napisano, że Sajgon serwuje jedne z najbardziej różnorodnych i autentycznych wietnamskich potraw w Nowym Jorku. Klientela jest młoda, na czasie i hałaśliwa. Kaczka to „dar niebios”, a każda zupa jest „boska”.

– Powiedz mi, Tina – kontynuował Koko. – Co to za kit o „boskości”? Myślisz, że zupa może być boska?

Tina otarł czoło śnieżnobiałą chusteczką i wrócił na zdjęcie.

I oto jest, adres i numer telefonu wypisane miękkiem, chłodnym szeptem kursywy.

Jakiś mężczyzna usiadł obok niego w czwartym rzędzie pierwszej klasy, zerknął w bok i zapiął pasy. Koko zamknął oczy i śnieg sypnął z głębokiego, zimnego nieba na warstwę lodu głęboką na setki stóp. W oddali, przyćmione w śnieżnym powietrzu, majaczyły połamane zęby lodowców. Bóg unosił się niewidzialnie nad zamarznętym krajobrazem, dysząc z niecierpliwiej wściekłości.

Wiesz to, co wiesz. Czterdzieści, czterdzieści jeden lat. Gęste puszyste blond włosy bogatego chłopca, cienkie brązowe oprawki okularów, ciężka twarz. Ciężkie ręce rzeźnika trzymające wczorajszy numer „New York Timesa”. Garnitur za sześćset dolarów.

Samolot przelewał po pasie startowym i gładko wzbil się w powietrze, zazdrosne usta i palce opadły, dziób odrzutowca skierował się na zachód, ku San Francisco. Mężczyzna obok Koko jest bogatym biznesmenem z rękami rzeźnika.

Na awersie jednodolarowego banknotu singapurskiego szybuje rybitwa równikowa. Czarna opaska przypominająca maskę włamywacza zasłania jej oczy, a w tle wiruje chaos kręgów, splatających się ze sobą jak pasma cyklonu. Ptak trzepocze skrzydłami z przerażenia, a ciemność ogarnia ziemię.

Pan Lucas? Pan Bundy?

Bankowość, mówi mężczyzna. Bankowość inwestycyjna. Dużo pracujemy w Singapurze.

Ja również.

Cholernie fajne miejsce, Singapur. A jeśli zajmujesz się finansami, jest gorące, naprawdę gorące.

Jedno z gorących nowych miejsc.

– Bobby, czego chciałby się pan napić? – pyta stewardesa.

Wódki, zimnej jak lód.

– A pan, panie Dickerson?

Pan Dickerson dostanie piwo „Miller High Life”.

W Wietnamie mawialiśmy: wódka martini z lodem, zatrzymaj wermut, zatrzymaj oliwkę, zatrzymaj lód.

Och, nigdy nie byłeś w Wietnamie?

Brzmi śmiesznie, ale ominęło cię prawdziwe doświadczenie. Nie żebym chciał wrócić. Chryste, nie. Prawdopodobnie byłeś po drugiej stronie, prawda? Bez obrazy, wszyscy jesteśmy teraz po tej samej stronie, Bóg działa w zabawny sposób. Ale dowodziłem słuszności z M-16, ha, ha.

Bobby Ortiz, działał w branży turystycznej.

Bill? Miło cię poznać, Bill. Tak, to długi lot, równie dobrze możemy się zaprzyjaźnić.

Jasne, wypiję jeszcze jedną wódkę i postawię jeszcze jedno piwo mojemu staremu kumpłowi Bilowi.

Ach, byłem w Pierwszym Korpusie, w pobliżu strefy zdemilitaryzowanej, w okolicach Hue.

Chcesz zobaczyć sztukę, której nauczyłem się w Wietnamie? Dobrze, na razie sobie daruję, lepiej później, spodoba ci się, zrobię ją później.

Bobby i Bill Dickerson posilali się w przyjacielskim milczeniu. Wskazówki zegarów wirowały jak szalone.

– Bawisz się w hazard? – zapytał Koko.

Dickerson spojrzał na niego z widelcem w połowie drogi do ust.

– Od czasu do czasu. Tylko trochę.

– Zainteresowany małym zakładem?

– Zależy od zakładu. – Dickerson włożył do ust kęs kurczaka.

– Och, nie chcesz tego robić. To zbyt dziwne. Zapomnijmy o tym.

– Śmiało – zachęcił go Dickerson. – Ty o tym wspomniałeś, więc teraz nie tchórz.

Och, Koko polubił Billy’ego Dickersona. Ładny niebieski lniany garnitur, ładne cienkie okulary, ładny duży rolex. Billy Dickerson grał w racquetballa, Billy Dickerson nosił opaskę na czole i miał piekielnie dobry bekhend, prawdziwy agresor.

– No cóż, myślę, że siedzenie w samolocie mi o tym przypomniało. To coś, co robiliśmy w Wietnamie.

Stary dobry Bill okazywał wyraźne zainteresowanie.

– Kiedy wchodziliśmy do SL.

– Strefy lądowania?

– Zgadza się. Wszystkie SL-e były inne, rozumiesz? Jedne mordercze, a inne takie, jakbyś wpadł w środek pikniku kościelnego w Nebrasce. Więc obstawialiśmy zakłady nieuchronności.

– Zakładaliście się, ilu ludzi zginie? Odwali kite, jak mówiliście?

Odwali kite. Och, skarbie.

– Bardziej czy ktoś zginie. Ile masz w portfelu?

– Więcej niż zwykle – odparł Billy.

– Pięć stów, sześć?

– Mniej.

– Niech będzie dwieście. Jeśli ktoś umrze na lotnisku w San Francisco, gdy będziemy w terminalu, zapłacisz mi dwie stowy. Jeśli nie, ja dam ci setkę.

– Dajesz mi dwa do jednego na czyjaś śmierć w terminalu, podczas gdy będziemy przechodzić przez odprawę, odbierać nasze torby i tak dalej?

– Taka umowa.

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś wykorkował na lotnisku – stwierdził Billy, z uśmiechem kręcąc głową. Miał zamiar przyjąć zakład.

– A ja tak – powiedział Koko. – Od czasu do czasu.

– No to stoi – oznajmił Billy i uściśnił sobie dłonie.

Po pewnym czasie Lady Dachau rozwinęła ekran filmowy. Większość światła w kabinie zgasła, Billy Dickerson zamknął „Megatrends”, odchylił oparcie i zasnął.

Koko poprosił Lady Dachau o kolejną wódkę i usiadł wygodnie, żeby obejrzeć film.

Dobry James Bond zobaczył Koko, gdy tylko pojawił się na ekranie. (Zły James Bond był zaspanym Anglikiem i trochę przypominał Petersa, sanitariusza, który zginął w zestrzelonym śmigłowcu. Dobry James Bond trochę przypominał Tinę Puma). Podeszedł prosto do kamery i powiedział:

– Wszystko w porządku, nie masz się o co martwić, każdy robi to, co musi, tego uczy wojna. – Obdarzył go lekkim półuśmiechem. – Dobrze sobie poradziłeś ze swoim nowym przyjacielem, synu. Zauważyłem to. Pamiętaj teraz...

Gotów po prawej? Gotów po lewej? Repetuj broń.

Dzień dobry, panowie, witamy w Republice Wietnamu Południowego. Mamy piętnastą trzydzieści, trzeciego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Zostaniecie przewiezieni do Centrum Zastępczego Long Binh, a tam zostaniecie przydzieleni do jednostek.

Pamiętajcie o zaciemnianiu namiotów. Pamiętajcie o metalowych szafkach. Pamiętajcie o moskitierze na teownikach. Pamiętajcie o błotnistym podłożu. Pamiętajcie, że namioty przypominają ociekające wodą grotty.

Panowie, jesteście częścią wielkiej maszyny do zabijania.

To wasza broń. Może uratować wam życie.

Szlachetność, wdzięk, powaga.

Koko zobaczył słonia kroczącego cywilizowaną europejską aleją. Słoń był ubrany w elegancki zielony garnitur i uchylał kapelusza wszystkim uroczym paniom. Koko uśmiechnął się do Jamesa Bonda, który wyskoczył ze swojego bajeranckiego samochodu i spojrzał mu prosto w oczy, po czym cichą wyraźną kursywą powiedział: „*Czas znowu zmierzyć się ze słoniem, Koko*”.

* * *

Długi czas później stali w przejściu z bagażem podręcznym i czekali, aż Lady Dachau otworzy drzwi. Koko miał na wprost oczu tył niebieskiej lnianej marynarki Billy’ego Dickersona, cały pocięty siatką dużych luzackich, zrobionych jakby od niechcenia zmarszczek, które sprawiały, że człowiek sam chciał się pomarszczyć, równie luzacko i od niechcenia. Koko uniósł wzrok i zobaczył jasne włosy Billy’ego Dickersona, nastroszone nad idealnym kołnierzem lnianego garnituru. Przyjemny zapach mydła i wody po goleniu emanował od starego dobrego Billa, który tego ranka zniknął w dziobowej toalecie na prawie pół godziny, gdy beczczas zmienił się w czas San Francisco.

– Słuchaj, Bobby, jeśli chcesz odwołać ten zakład, nie mam nic przeciwko – powiedział Dickerson, spoglądając na niego przez ramię. – Jest trochę szalony.

– Spełnij moją zachciankę – powiedział Koko.

Lady Dachau odebrała sygnał, na który czekała, i otworzyła drzwi.

Weszli w korytarz chłodnego ognia. Aniołowie machali płonącymi mieczami, każąc im iść naprzód. Koko usłyszał daleki huk moździerzy, znak, że nie dzieje się nic poważnego: Blaszyany Drwał właśnie wysłał kilku chłopców, żeby zużyli część przypadających na ten miesiąc pieniędzy podatników. Chłodny ogień, zamrożony we wzory jak kamień, kołysał się pod ich stopami. To znowu Ameryka. Aniołowie z płonącymi mieczami ślali im płomienne uśmiechy.

– Pamiętajsz, jak wspomniałem o tej sztuczce?

Dickerson skinął głową i uniósł brew, po czym razem poszli w kierunku strefy bagażowej. Anioły z płonącymi mieczami stopniowo traciły świętość i tajemniczość, stawały się stewardesami ciągnącymi za sobą walizki na kółkach. Płomienie wijące się w kamieniu stwardniały w sztywne, zimne wzory. Korytarz ciągnął się prosto przez jakieś dwadzieścia jardów, a potem skręcał w prawo.

Skręcili.

– Toaletą, dzięki Bogu – powiedział Dickerson, popędził przed siebie i otworzył drzwi ramieniem.

Uśmiechnięty Koko szedł za nim, wyobrażając sobie puste miejsce wyłożone białymi kafelkami.

Idąca przed nim kobieta w jasnożółtej sukience wydzielała gorący, krwawy aromat wiecznego świata. Przez chwilę w jej dłoni migotał jasny miecz. Koko pchnął drzwi męskiej toalety i musiał przesunąć walizkę na bok, żeby otworzyć drugie drzwi niemal tuż za pierwszymi.

Przy jednej z umywalk łysy mężczyzna mył ręce. Obok niego mężczyzna bez koszuli pochyłał się nad umywalką i niebieską plastikową golarką zeskrobywał pianę z twarzy. Koko poczuł skurcz w dołku. Dobry stary Billy stał daleko przy jednym z licznych pisuarów, z których ponad połowa była zajęta.

Koko zobaczył w lustrze swoją napiętą, nawiedzoną twarz. Skoczył ku sobie z własnych oczu. Podeszedł do pierwszego wolnego pisuaru i udawał, że sika, czekając, aż zostanie sam z Dickersonem. Coś

się w nim uwolniło, brzęczało pod żebrami i tak zawróciło mu w głowie, że aż się zachwiał.

Przez chwilę myślał, że jest już w Hondurasie, że jego praca jest albo ukończona, albo gotowa do rozpoczęcia od nowa. W blasku ogromnego słońca mali ludzie w kolorze cegły snuli się wokół komicznie prowincjonalnego lotniska z rozpadającymi się szopami, leniącymi się policjantami i drzemiącymi psami.

Dickerson zapiął zamek błyskawiczny, szybko podszedł do umywalki, przesunął ręce przez strumień wody i strumień powietrza, po czym zniknął niemal w tej samej chwili, w której Koko wrócił do męskiej toalety.

Wybiegł pośpiesznie za nim. Luźny przedmiot w jego klatce piersiowej boleśnie tłukł o zebra.

Dickerson szybko szedł do ogromnego pomieszczenia, w którym wrowały karuzele przypominające czarne wulkany, z walizkami sunącymi w dół żebrowanych boków. Prawie wszyscy z ich samolotu już zgromadzili się wokół drugiej karuzeli. Koko obserwował, jak Dickerson toruje sobie drogę wśród ludzi czekających na bagaże.

To coś w jego piersi zsunęło się do żołądka i jak rozwścieczona pszczoła wpadło do wnętrzości.

Pocąc się, Koko przemykał chyłkiem między ludźmi, którzy stali między nim a Dickersonem. Lekko, niemal z czcią musnął palcami lniany rękaw opinający jego lewą rękę.

– Hej, Bobby, nie czuję się dobrze, wiesz – powiedział Dickerson i schylił się, żeby zdjąć z pasa wielką walizkę od Vuittona.

Koko wiedział jedno: walizkę wybrała kobieta.

– W związku z pieniędzmi. Darujmy sobie ten pomysł, dobrze?

Koko żałośnie skinął głową. Jego poobijanej walizki nie było na karuzeli. Wszystko na skrajach lekko się rozmazywało, jakby w powietrzu wisiała delikatna mgiełka. Wysoka czarnowłosa kobieta, która była żywym mieczem, zdjęła z pasa małą walizkę i – zobaczył przez opadającą mgłę – uśmiechnęła się do Dickersona.

– Trzymaj się – powiedział Dickerson.

Umundurowany mężczyzna podszedł prosto do niego i przeprowadził go przez odprawę celną, zadając ledwie kilka pytań. Dickerson odszedł do okienka, żeby podbić paszport.

Oszołomiony Koko zobaczył, że jego walizka uderza w bok karuzeli i przemyka, zanim zdążył pomyśleć, by zdjąć ją z pasa. Patrzył, jak miarowo zmniejszająca się sylwetka Dickersona przechodzi przez drzwi z napisem wyjście-transport.

Przy odprawie celnej inspektor zwrócił się do niego per „pan Ortiz” i oderwał wyściółkę walizki w poszukiwaniu diamentów albo heroiny.

Podczas kontroli paszportowej Koko zobaczył płonące skrzydła wyrastające z umundurowanych ramion mężczyzny; mężczyzna podbił paszport i powitał go z powrotem w kraju. Koko zabrał swoją starą walizkę i torbę podręczną i popędził do najbliższej toalety. Rzucił bagaż tuż za drzwiami i wpadł do otwartej kabiny. Gdy tylko usiadł, jego wnętrzości otworzyły się raz i drugi. Kapał i tryskał z niego ogień. Przez chwilę miał wrażenie, że gruba igła przekłuwa mu żołądek; pochylił się i zwymiotował na podłogę. Siedział przez długi czas we własnym smrodzie, zapominając o bagażu, myśląc tylko o tym, co go czeka.

W końcu podtarł się, podszedł do umywalki, umył twarz i ręce, wsunął głowę pod zimną wodę.

Zabrał torby na zewnątrz i czekał, aż autobus transferowy zabierze go do terminalu, żeby mógł przesiąść do samolotu, którym poleci do Nowego Jorku. Powietrze pachniało chemikaliami i maszynierią; wszystko przed nim wyglądało na dwuwymiarowe i świeżo umyte, wyprane z kolorów.

W drugim terminalu znalazł bar i zamówił piwo. Czuł, że czas się zatrzymał – że czeka na niego, by znów obudzić się do życia. Oddech miał płytki i lekko przyśpieszony. Czoło wydawało się lekkie i puste, jakby właśnie ustąpił umiarkowany ból. Niewiele pamiętał z tego, co mu się przydarzyło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Pamiętał Lady Dachau.

Panowie, jesteście częścią wielkiej maszyny do zabijania.

Dziesięć minut przed wejściem na pokład Koko podszedł do bramki i stał, patrząc przez okno: nierzucający się w oczy mężczyzna, który widzi słońca w garniturze i kapeluszu, wynurzający się na dwóch nogach z szerokiej ciemnej kałuży krwi. Kiedy wezwano pasażerów pierwszej klasy, wszedł na pokład i zajął miejsce. Powiedział stewardesie, żeby nazywała go Bobby.

Później wszystko było naprawdę w porządku, znów ożyły w nim słodki ból i brzęczenie, bo pulchny mężczyzna po trzydziestce rzucił aktówkę na fotel od strony przejścia, ściągnął z ramion zielony plecak i położył go obok aktówki, zdjął kurtkę, odsłaniając pasiastą koszulę i ciemnoniebieskie szelki, po czym pstryknął palcami na dziewczynę, żeby ją zabrała. Wepchnął plecak do schowka nad głową, podniósł

aktówkę i wcisnął się na fotel. Łypnął na niego spod zmarszczonych brwi, po czym zaczął przetrząsać zawartość teczeki.

– Nie sądzę, żebyś lubił się zakładać – powiedział Koko.

Wspominając Smoczą Dolinę

1

Michael Poole stał w oknie pokoju hotelowego i z niemal alarmującym poczuciem wolności spoglądał na długą połąć Singapuru. Zaskakująco zielona, zaskakująco schludna sceneria rozciągała się ku wschodowi, jak sądził. W dali wysokie biurowce wznosiły się w czystym białym skupisku, które mogło być przeszczepioną częścią śródmieścia Nowego Jorku. Nic innego nawet trochę nie przypominało Manhattanu. Większość przestrzeni między nim a wysokimi białymi budynkami zapełniały drzewa o szerokich koronach, które wyglądały na równie jadalne jak warzywa, a ponieważ patrzył na nie z daleka i z wysoka, tworzyły nieprzerwany kobieriec. Pomiędzy szerokimi obszarami wypełnionymi przez korony drzew ciągnęły się szerokie jezdnie o gładkich nieskazitelnych nawierzchniach. Po tych idealnych jezdniach jeździły drogie auta, tyle samo jaguarów i mercedesów, co na Rodeo Drive. Tu i tam, widoczni w prześwitach między drzewami, mali ludzie chodzili po rozległych centrach handlowych. Bliżej hotelu na zielonych zboczach wzgórz stały kryte dachówką różowe i kremowe bungalowy z szerokimi werandami i kolumnami. Niektóre miały otwarte dziedzińce i na jednym z nich krępa kobieta w jasnożółtej szacie rozwieszała pranie. Na pierwszym planie, ani trochę nieprzesłonięte przez wszechobecne drzewa, baseny jego hotelu i wielu innych połyskiwały niczym leśne jeziora oglądane z samolotu. Baldachim z czerwonych i niebieskich pasów okalał najdalszy basen, w którym kobieta zawzięcie pływała od krańca do krańca; przy sąsiednim basenie barman w czarnej marynarce rozstawiał bar. Obok najbliższego basenu chiński chłopiec ciągnął stos grubych poduszek w kierunku rzędu pustych leżaków z sekwoi.

To luksusowe miasto zaskoczyło go, uspokoiło i podekscytowało bardziej, niż był skłonny przyznać. Michael oparł się o okno, jakby chciał przelecieć przez szybę. Wszystko w dole będzie ciepłe w dotyku. Singapur jego wyobraźni był połączeniem Hue i Chinatown uzupełnionym przez riksze i ulicznych sprzedawców żywności. Wyobrażał sobie wersję Sajgonu, miasta, które widział tylko przelotnie i którego nie lubił. (Sajgon nie podobał się większości znanych mu żołnierzy, którzy odwiedzili to miasto). Samo patrzanie na te gładkie dywany koron drzew, na schludne ząbkowane dachy, tropikalne bungalowy i lśniące baseny poprawiło mu samopoczucie.

Był w jakimś innym miejscu, bez wątplenia nowym: udało mu się wyjść ze swojego życia i do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo tego pragnął lub potrzebował. Chciał spacerować pod tymi zdrowymi drzewami. Chciał spacerować po rozległych centrach handlowych i wdychać nasycone przyjemnym aromatem powietrze, które pamiętał z przylotu na lotnisko Changi.

Zadzwoił telefon. Michael podniósł słuchawkę, wiedząc, że usłyszy Judy.

– Dzień dobry, panowie, witamy w Republice Singapuru – zabrzmiał głos Harry’ego Beeversa. – Wierny rolex wskazuje dziewiątą trzynastą. Macie stawić się w kawiarni, gdzie zostaną przydzielone wam zadania... Zgadnijcie, jakie?

Michael nic nie powiedział.

– Pobieżne przejrzenie singapurskiej książki telefonicznej wykazało, że nie figuruje w niej nikt o nazwisku Underhill.

* * *

Nieco ponad godzinę później szli Orchard Road. Poole niósł kopertę ze zdjęciami Underhilla z okładki, Beevers niósł kodaka instamatic w kieszeni marynarki i niezdarnie oglądał plan miasta wklejony w tylną okładkę Przewodnika po Singapurze Papineau, a Conor Linklater garbił się z rękami w kie-

seniach i niczego nie niósł. Przy śniadaniu uzgodnili, że spędzą poranek jak turyści i przejdą po mieście – „wyczuwając to miejsce”, jak powiedział Beevers.

Ta część Singapuru była równie nijaka i nieszkodliwa jak śniadanie w kawiarni. Doktor Poole z okna swojego pokoju nie zauważył, że miasto ma wiele wspólnego ze strefą wolnocłową dużego lotniska. Każda budowla, która nie była hotelem, była biurowcem, bankiem albo centrum handlowym. Dominowały te ostatnie, większość trzy- lub czteropiętrowa. Ogromny baner na najwyższym piętrze wysokiego budynku, wciąż w budowie, przedstawiał amerykańskiego biznesmena rozmawiającego z chińskim bankierem z Singapuru. W dymku nad głową Amerykanina widniały słowa: „Cieszę się, że dowiedziałem się o fantastycznym zysku z inwestycji w Singapurze!”. Na co chiński bankier odpowiada: „Dzięki korzystnemu programowi inwestycyjnemu dla naszych zagranicznych przyjaciół nigdy nie jest za późno, by wziąć udział w cudzie gospodarczym Singapuru!”.

Tu i teraz mogłeś wstąpić do sklepu z przeszkloną witryną i kupić aparaty fotograficzne i sprzęt stereo; po drugiej stronie sześciopasmowej ulicy mogłeś wejść po marmurowych schodach i wybierać spośród siedmiu sklepów sprzedających aparaty fotograficzne, sprzęt stereo, elektryczne maszyny do golenia i elektroniczne kalkulatory. Tu jest centrum handlowe Orchard Towers, a tam, po drugiej stronie ulicy, nieco podobne do zigguratu centrum handlowe Far East, z długim czerwonym transparentem gonghifachoy, bo właśnie minął chiński Nowy Rok. Obok centrum handlowego Orchard Towers stoi Hilton, gdzie Amerykanie w średnim wieku jedzą śniadanie na tarasie. Nieco dalej jest hotel Singapura Forum, przed którym krępy Malezyjczyk o twarzy Williama Bendixa polewa wodą z węża płyty chodnikowe. Daleko na wzgórzu ogrodnik trzusi się, żeby tereny Shangri-La były równie nieskazitelne jak kort centralny Wimbledonu. Przy Orchard Road jest też centrum handlowe Lucky Plaza, hotel Irana i hotel Mandarin.

– Myśle, że Walt Disney pewnego dnia zwiariował i powiedział: „Pierdolić dzieciaki, wymyślimy Singapur i róbmy forsz” – odezwał się Conor Linklater.

Gdy mijali zakład krawiecki Pomyślność, z wejścia wyskoczył uśmiechnięty człowieczek i siedł z nimi, próbując namówić ich do zakupu.

– Twardzi klienci! – powiedział w połowie kwartału. – Dostaniecie dziesięć procent zniżki. Najlepsza oferta w całym mieście.

Gdy przecięli duże skrzyżowanie na Claymore Hill, stał się bardziej natarczywy.

– Dobrze, rabat dwadzieścia pięć procent! Nie mogę zejść niżej!

– Nie chcemy garniturów – powiedział go Conor. – Nie szukamy garniturów. Odpuść sobie.

– Nie chcecie dobrze wyglądać? – zapytał krawiec. – Co się z wami dzieje? Lubicie wyglądać jak turyści? Chodźcie do mojego sklepu, dzięki mnie będziecie wyglądać jak wyrafinowani dżentelmeni, jedna czwarta zniżki.

– Już wyglądam na wyrafinowanego dżentelmena.

– Mogłoby być lepiej. To, co masz na sobie, kosztowało cię w Barneys trzysta, czterysta dolarów. Ja daję ci trzy razy garnitur za tę samą cenę.

Beevers przestał niecierpliwie kiwać się na chodniku. Wyraz zdziwienia na jego twarzy był dla Michaela Poole'a równie dobry jak prezent gwiazdkowy; przypuszczał, że dla Conora też.

– Sprawie, że będziesz wyglądać jak Savile Row – przekonywał krawiec, pięćdziesięcioletni Chińczyk o okrągłej twarzy, ubrany w białą koszulę i czarne spodnie. – Garnitur za sześćset pięćdziesiąt dolarów za trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów. Promocyjna cena pięćset, daję jedną czwartą zniżki. Trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów, tyle kosztuje kilka dobrych obiadów w Four Seasons. Jesteś prawnikiem? Stajesz przed Sądem Najwyższym, nie tylko wygrasz sprawę, ale wszyscy mówią: „Skąd masz ten garnitur? Na pewno z zakładu krawieckiego Pomyślność, właściciel Wing Chong!”.

– Nie chcę kupować garnituru – powiedział Beevers, teraz z przebiegłą miną.

– Potrzebujesz garnituru.

Beevers wyrwał z kieszeni aparat i pstryknął Chińczykowi zdjęcie, jakby do niego strzelał. Krawiec wyszczerzył zęby i pozował.

– Czemu nie przyczepisz się do któregoś z nich zamiast do mnie? Czemu nie wrócisz do swojego sklepu?

– Najniższe ceny – powiedział krawiec, drżąc z tłumionej wesołości. – Trzysta pięćdziesiąt dolarów. Schodzę niżej, nie zapłacę czynszu. Schodzę niżej, dzieci głodują.

Beevers schował aparat do kieszeni i spojrzał na Michaela z miną zwierzęcia w potrzasku.

– Ten facet wszystko wie. Może zna Underhilla? – powiedział Michael.

– Pokaż mu zdjęcie!

Michael wyjął spod pachy kopertę ze zdjęciami.

– Jesteśmy funkcjonariuszami policji z miasta Nowy Jork – oznajmił Beevers.

– Ty prawnik – powiedział krawiec.
– Chcemy wiedzieć, czy widziałeś tego człowieka. Pokaż mu fotkę, Mike!
Michael wyjął zdjęcie Tima Underhilla i pokazał je krawcowi.
– Znasz tego człowieka? – zapytał Beevers. – Widziałeś go kiedykolwiek wcześniej?
– Do tej pory nigdy nie widziałem tego człowieka – odparł krawiec. – Spotkanie z nim byłoby zaszczepieniem, ale nie mógłby zapłacić nawet najniższej ceny.
– Dlaczego nie? – zapytał Michael.
– Zbyt artystyczny.
Michael uśmiechnął się i już wsuwał zdjęcie z powrotem do koperty, gdy krawiec pochylił się i chwycił odbitkę.
– Dajesz mi zdjęcie? Masz dużo więcej?
– On kłamie – stwierdził Beevers. – Kłamiesz. Gdzie jest ten mężczyzna? Możesz nas do niego zaprowadzić?
– Zdjęcie gwiazdy – powiedział krawiec.
– Chce tylko zdjęcie – powiedział Michael do Beeversa.
Conor klepnął krawca po plecach i roześmiał się głośno.
– Co to znaczy, że chce tylko zdjęcie?
– Powiesić na ścianie – wyjaśnił krawiec.
Michael podał mu fotografię.
Krawiec wsunął ją pod pachę i uklonił się, chichocząc.
– Dziękuję ci bardzo.

Odwrócił się i ruszył w kierunku rozległego centrum handlowego. Dobrze ubrani Chińczycy obojga płci szli ku nim pod rozłożystymi drzewami. Mężczyźni w niebieskich garniturach, schludnych krawatach i okularach przeciwsłonecznych wyglądali jak bankier na banerze. Kobiety były szczupłe, ładne i ubrane w sukienki. Poole zdał sobie sprawę, że on, Beevers i Conor są trzyosobową mniejszością rasową. Daleko w centrum handlowym, obok plakatu przedstawiającego patrzącego spod łba Chucka Norrisa w kręgu skaczących płomieni i mnóstwa chińskich znaków, nastoletnia Chinka szła leniwym krokiem, z roztargnieniem spoglądając na witryny sklepów. Miała na sobie coś, co z pewnością było szkolnym mundurkiem: płaskie białe czółenka, biała bluzka z czarnym krawatem i luźna czarna spódniczka. Za jej plecami pojawiła się gromada podobnie ubranych dziewcząt, schludnych jak rząd kaczek. Po drugiej stronie ulicy, obok plakatu reklamującego hamburgery McDonald's, kwadratowa biała tablica zachęcała: mów po mandaryńsku – wspieraj swój rząd.

Nagle Poole poczuł w powietrzu zapach perfum, jakby wokół niego rozkwitły niewidzialne egzotyczne kwiaty. Poczuł się niedorzecznie szczęśliwy.

– Jeśli szukamy Boogey Street, o której mówił Underhill, to może weźmiemy taksówkę? – zaproponował. – To cywilizowany kraj.

2

Tina Pumo nagle obudził się w czymś, co z początku wydawało się zupełną ciemnością. Jego serce biło bardzo głośno. Przypuszczał, że zanim się obudził, musiał krzyknąć albo przynajmniej wydać jakiś dźwięk, Maggie jednak spała spokojnie obok niego. Uniósł rękę i spojrział na świecące wskazówki na tarczy zegarka. Trzecia dwadzieścia pięć.

Już wiedział, co zostało skradzione z jego biurka. Gdyby Dracula wszystkiego nie poprzekładała, od razu zauważyłby brak, a gdyby dwa dni po włamaniu były normalnymi dniami pracy, zauważyłby brak w chwili zajęcia miejsca przy biurku. Ale te dwa dni wcale nie były normalne – co najmniej połowę każdego z nich spędzał na dole z budowlancami, wykonawcami, stolarzami i tępicielami. Wydawało się, że w końcu pozbyli się z kuchni Sajgonu wszystkich robaków, ale tępicielem wciąż był w stanie bliskim euforii z powodu ich liczby, różnorodności i odporności. Co najmniej kilka godzin dziennie Pumo poświęcał na przekonywanie Molly Witt, architektki, że projektuje kuchnię i powiększoną jadalnię, a nie nowoczesną salę operacyjną. Resztę czasu spędzał z Maggie i mówił jej o sobie, zwierając się jak nigdy dotąd nikomu w swoim życiu.

Czuł się prawie tak, jakby Maggie go otworzyła. W ciągu dwóch dni przebyła długą drogę, żeby wyciągnąć go ze skorupy, w której, prawie sam o tym nie wiedząc, był zamknięty.

W pewnym sensie dopiero zaczynał rozumieć, że skorupa uformowała się w Wietnamie. Czuł się upokorzony przez tę nową wiedzę – Dracula przeraziła go, budząc w nim uczucia, których, jak fantazjował z lubością, a nawet z dumą, pozbył się wraz z mundurem. Wyobrażał sobie, że tylko inni pozwolili, by Wietnam ich zranił. Kiedyś czuł, że bezpieczna emocjonalna odległość dzieli go od wszystkiego, co mu się tam przydarzyło. Odszedł z wojska i żył dalej. Jak praktycznie każdy inny weteran, przeszedł przez okres bezcelowości i dezorientacji, gdy płynął tuż obok życia, ale ten czas dobiegł końca sześć lat temu, kiedy zaczął taniec z Sajgonem. Prawda, wciąż zmieniał dziewczyny jak rękawiczki, i im był starszy, tym dziewczyny stawały się młodsze, pozostając w tym samym wieku. Zakochiwał się w wykroju ich ust, kształcie przedramion albo płynności przejścia tydek w uda; zakochiwał się w tym, jak kołysały się ich włosy albo jak na niego patrzyły. Dopóki Maggie Lah nie sprawiła, że stanął jak wrzty, zakochiwał się we wszystkim, co dotyczyło osoby, z wyjątkiem rzeczywistej osoby.

– Myślisz, że istnieje prawdziwy punkt, w którym wtedy się zatrzymuje, a zaczyna się teraz? – zapytała go Maggie. – Nie wiesz, że w głębi duszy rzeczy, które ci się przydarzyły, tak naprawdę nigdy nie przestają ci się przydarzać?

Wpadło mu do głowy, że być może Maggie myśli w ten sposób, ponieważ jest Chinką, ale przemilczał tę teorię.

– Nikt nie może odejść od czegoś tak, jak myślisz, że odszedłeś od Wietnamu – powiedziała mu. – Widziałeś, jak ginęli twoi przyjaciele, a byłeś tylko chłopcem. Teraz, po względnie lekkim laniu, boisz się wind, metra, ciemnych ulic i Bóg wie czego jeszcze. Nie sądzisz, że jest jakiś związek?

– Chyba tak – przyznał. – Ale skąd o tym wiesz, Maggie?

– Wszyscy o tym wiedzą, Tina – powiedziała z naciskiem. – Z wyjątkiem zaskakująco dużej liczby Amerykanów w średnim wieku, którzy naprawdę wierzą, że można zacząć wszystko od nowa, że przeszłość umiera, a przyszłość jest nowym początkiem, i że te ich przekonania są moralne.

Teraz Pumo ostrożnie wstał z łóżka. Maggie nie poruszyła się, oddychała spokojnie i miarowo. Musiał spojrzeć na swoje biurko, żeby sprawdzić, czy miał rację odnośnie do tego, co zostało skradzione. Serce wciąż mu łomotało, a oddech wydawał się bardzo głośny. Ostrożnie szedł przez sypialnię w ciemności. Gdy położył rękę na kłame, nagle stanęła mu przed oczami Dracula przycajoną po drugiej stronie drzwi. Pot zrosił mu twarz.

– Tina? – Krystaliczny głos Maggie płynął z sypialni na płaskim strumieniu oddechu.

Stał w ciemnym, pustym korytarzu. Nikogo tam nie było, jakby Maggie pomogła rozwiązać zagrożenie.

– Wiem, czego brakuje – powiedział. – Muszę to sprawdzić. Przepraszam, że cię obudziłem.

– Nie ma sprawy.

W głowie mu dudniło i wciąż lekko drżały mu kolana. Jeśli będzie dłużej stać w tym miejscu, Maggie pozna, że coś jest nie w porządku. Może nawet dojdzie do wniosku, że powinna wstać z łóżka, by mu pomóc. Ruszył korytarzem do salonu i pociągnął za sznurek, zapalając górne światła. Podobnie jak większość pokoi używanych prawie wyłącznie w ciągu dnia, o tej późnej porze salon spowijała niesamowita aura, jakby wszystkie rzeczy zostały zastąpione wiernymi replikami. Pumo przeszedł przez pokój, wszedł po schodkach na podest i usiadł przy biurku. Nie widział tego, czego szukał. Zajrzał pod telefon i automatyczną sekretarkę. Odsunął książeczki czekowe na bok, podniósł stosy faktur i paragonów. Sprawdził za pudełkiem z recepturkami i przestawił pudełko chusteczek. Nic. Nie mogły tego ukryć buteleczki z witaminami obok elektrycznej temperówki ani dwa pudełka ołówków „Blackwing”. Miał rację: nie ma. Została skradzioną.

Dla pewności zajrzał pod biurko, później pochylił się nad blatem i spojrzął za nie, a następnie przetrząsnął kosz na śmieci. Kosz zawierał mnóstwo zwiniętych w kulkę chusteczek, stary egzemplarz „Village Voice”, papierek po batoniku „Muesli Quaker Oats”, listy z prośbami od organizacji charytatywnych, kupony spożywcze, kilka nieotwartych kopert z informacjami, że wygrał ceną nagrodę, oraz wacik i uszczelniacz z butelki witamin.

Kuając przy koszu, spojrzął w górę i zobaczył Maggie stojącą w wejściu do salonu. Miała opuszczone ręce i zasnęłą twarz.

– Wiem, że wyglądam na lekko stukniętego, ale miałem rację – powiedział.

– Czego brakuje?

– Powiem ci, gdy pomyślę nad tym przez kilka sekund.

– Tak źle?

– Jeszcze nie wiem. – Podniósł się.

Jego ciało było bardzo zmęczone, a umysł wcale. Zszedł z podwyższenia i podszedł do niej.

– Nic nie jest takie złe – powiedziała.

– Właśnie myślałem o niej jakimś M.O. Denglerze.

– Tym, który zginął w Bangkoku.

Ujął jej dłoń i otworzył ją jak liść na swojej ręce. Widziana w ten sposób dłoń wyglądała normalnie, wcale nie była guzowata. Przecinała ją mnóstwo drobnych zmarszczek. Palce były małe, smukłe jak papierosy, lekko zgięte.

– Bangkok byłby brudnym miejscem na śmierć – powiedziała. – Nienawidzę Bangkoku.

– Nie wiedziałem, że tam byłaś.

Odwrócił jej rękę. Wnętrze dłoni było prawie różowe, ale grzbiet miał ten sam złoty kolor, co cała reszta jej ciała. Może stawy były nieco większe, niż można by się spodziewać. Może wystawały kości nadgarstka.

– Niewiele o mnie wiesz.

Oboje wiedzieli, że powie jej, co zostało skradzione z biurka, i że ta rozmowa jest tylko czasem, który pozwoli mu przetrwać fakt straty.

– Byłeś w Australii?

– Wiele razy.

Spojrzała na niego z udawanym obrzydzeniem, zakamuflowanym jako brak wyrazu.

– Pewnie pojechałeś tam na urlop i przez siedem dni szukałeś seksualnego spełnienia w alkoholowym widzie.

– Jasne. Wykonywałem rozkazy.

– Możemy zgasić światło i pójść spać?

Pumo ziewnął, zaskakując tym samego siebie. Uniósł rękę i pociągnął sznurek, pograżając ich w ciemności. Maggie poprowadziła go wąskim korytarzem do sypialni. Po omacku przeszedł na swoją stronę łóżka i położył się. Bardziej poczuł, niż zobaczył, Maggie przewracającą się na bok i podpierającą się na łokciu.

– Opowiedz mi o M.O. Denglerze – poprosiła.

Zawałał się, a potem w jego umyśle pojawiło się w pełni uformowane zdanie. Gdy je wypowiedział, popłynęły następne, jakby z własnej woli.

– Byliśmy na jakimś podmokłym polu. Dochodziła szósta po południu, a wyruszyliśmy może o piątej rano. Byliśmy wkurzeni, bo zmarnowaliśmy cały dzień, i głodni, i wiedzieliśmy, że nowy porucznik nie ma pojęcia, co robi. Zjawił się dwa dni wcześniej i próbował zaimponować nam swoją bystrością. Był to Beever.

– Co ty powiesz?

– Zabrał nas na pustkowiu na całodzienne szukanie wiatru w polu. Stary porucznik, i tak to powinno wyglądać, kazałby nam pójść do strefy lądowania, rozejrzeć się, zobaczyć, czy jest do kogo strzelać, a potem wrócić i czekać na podwózkę. Jeśli coś się dzieje, wzywasz wsparcie powietrzne albo artylerię, albo strzelasz, cokolwiek uznasz za słuszne. Reagujesz. Właśnie po to tam byliśmy, żeby reagować. Wysyłali nas, żebyśmy sprowokowali wroga, odpowiedzieli ogniem i zabili jak najwięcej ludzi. To całkiem proste, gdy przychodzi co do czego.

Ale ten nowy facet, Beans Beever, zachowywał się jak... Każdy wiedział, że jesteśmy w dupie. Ponieważ, żeby reagować, musisz wiedzieć, na co reagujesz. Ten nowy, świeży po studium wojskowym w jakimś fikuśnym college'u, zachowuje się jakby grał w starym filmie. W głowie już jest bohaterem. Weźmie do niewoli Ho Chi Minha, zetrze z powierzchni ziemi całą wrogą dywizję, już jest przygotowany Medal Honoru z jego nazwiskiem na certyfikacie. Właśnie tak wygląda.

– Kiedy dotrzemy do M.O. Denglera? – zapytała cicho Maggie.

Pumo roześmiał się.

– Zaraz, jak sądzę. Chodzi o to, że nowy porucznik, wcale o tym nie wiedząc, wyprowadził nas poza nasz obszar. Był tak nakręcony, że źle czytał mapę i Poole ciągle wysyłał błędne współrzędne do bazy. Co gorsza, zgubiliśmy się, a coś takiego jest poniżej wszelkiej krytyki. Powinniśmy wracać do strefy lądowania, a tu nic wokół nas nie wygląda znajomo. Poole mówi: „Poruczniku, spojrzalem na mapę i sądzę, że jesteśmy w Smoczey Dolinie”. Beever na to, że absolutnie nie ma racji i że ma trzymać język za zębami, jeśli nie chce narobić sobie kłopotów. „Uważaj, Poole, bo wysłał cię do Wietnamu” – mówi Underhill, i wtedy porucznik naprawdę zaczyna się wkurzać.

Zamiast przyznać się, że dał plamę, rzucił na ten temat jakiś żart i zabrał nas stamtąd w cholere, co uratowałyby sytuację, Beever popełnia błąd i myśli. A niestety jest o czym myśleć. Tydzień wcześniej w Smoczey Dolinie zginęła cała kompania i podobno Blaszyński Drwal sztykował jakąś wspólną akcję. Beever decyduje, że skoro mamy sprowokować działanie i na nie reagować, i skoro zrzędzeniem opatrności znaleźliśmy się w miejscu, które może być idealne do działania, to powinniśmy trochę poprowokować. „Pójdziemy kawałek w głąb doliny” – mówi, a Poole go pyta, czy może ustalić nasze

prawdziwe współrzędne i przekazać je przez radio. „Cisza radiowa” – mówi Beevers, i każe mu się zamknąć. Poole ma wyjść na cykora, rozumiesz?

Beevers myśli, że wypatrzymy paru wietkongów, a może nawet mały oddział Armii Północnego Wietnamu, który niby ma tam być, i jeśli dopisze nam szczęście, rozwalimy ich, zaliczymy przyzwoitą liczbę ofiar i wrócimy z porucznikiem oznaczonym krwią. Cóż, zanim wróciliśmy, był zakrwawiony, to fakt. Każę nam dalej iść w dolinę i wszyscy oprócz niego wiedzą, że to czyste szaleństwo. Psychol Szpitalny pyta, jak długo będziemy tak łązić, a Beevers odkrzykuje: „Tak długo, jak będzie trzeba! To nie obóz dla skautów!”. Dengler mówi do mnie: „Kocham tego nowego porucznika” i widzę, że szczerzy się jak chłopiec z dużym kawalkiem ciasta. Dengler nigdy wcześniej nie widział niczego takiego jak ten nowy porucznik. Obaj z Underhillem rżną z uciechy.

W końcu dochodzimy do tego bagnistego pola. Ściemnia się. Powietrze jest pełne robaków. Żarty się skończyły. Wszyscy są skonani. Po drugiej stronie pola rosną drzewa, wyglądają jak początek dżungli. Na środku pola leży kilka nagich martwych pni i są tam pełne wody wielkie leje po pociskach.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie, gdy tylko spojrziałem na pole. Wyglądało jak śmierć. Inaczej nie umiem tego ująć. Wyglądało jak cholerny cmentarz. Miało ten zapach „gotuj się na śmierć”, może wiesz, co mam na myśli. Założę się, że jeśli pójdziesz do schroniska dla zwierząt i wejdiesz do pokoju, w którym zabijają niechciane psy, poczujesz ten sam zapach. Potem zobaczyłem wkładkę pod hełm leżącą obok leja. Nieco dalej zobaczyłem oderwaną kolbę M-16.

„Założmy, że przed powrotem do obozu zbadamy tę parcelę i zobaczymy, co jest po drugiej stronie” – powiedział Beevers. „Wygląda nieźle, prawda?”

„Poruczniku, myślę, że to pole jest zaminowane” – odezwał się Poole. Widział to, co ja, rozumiesz?

„Myślisz?” – zapytał Beevers. „W takim razie może pójdziesz tam pierwszy, Poole? Właśnie zgłosiłeś się na zwiaadowcę?”

Na szczęście nie tylko Poole i ja widzieliśmy podszewkę i kolbę. Nikt nie chciał pozwolić, żeby Poole poszedł sam, i nikt nie miał zamiaru tego robić.

„Myślisz, że to pole jest zaminowane?” – zapytał Beevers.

– Myślicie, że to pole jest zaminowane?! – wrzasnął porucznik Beevers. – Naprawdę myślicie, że dam się na to nabrać? To walka o dowodzenie i, czy się to komu podoba, czy nie, ja tu dowodzę.

Dengler z uśmiechem obrócił się w stronę Pumpy i szepnął:

– Czy nie podoba ci się styl, w jakim pracuje jego umysł?

– Dengler coś do mnie szepnął i wtedy Beevers eksplodował.

„Dobra!” – wrzasnął do Denglera. „Jeśli myślisz, że teren jest zaminowany, udowodnij mi to. Rzuć tam coś i traf w minę. Jeśli nic nie wybuchnie, wszyscy idziemy na pole”.

„Wedle rozkazu” – powiedział Dengler.

– Jak porucznik sobie życzy – powiedział Dengler i rozejrzał się w mroku.

– Rzuć porucznika – mruknął Victor Szpitalny.

Dengler zobaczył w błocie obok siebie spory kamień, poluzował go butem, schylił się i go podniósł.

– ...i podniósł kamień wielkości swojej głowy. Beevers z sekundy na sekundę robił się coraz bardziej wściekły. Kazał Denglerowi rzucić cholerstwo na pole. Poole poszedł do Denglera, żeby wziąć połowę ciężaru. Odliczyli raz-dwa-trzy i cisnęli go może na dwadzieścia jardów. Wszyscy oprócz porucznika padli na ziemię i zakryli twarze. Usłyszałem, jak kamień ląduje z łoskotem. Nic. Myślę sobie, że wszyscy spodziewaliśmy się, że odłamki miny naciskowej polecą we wszystkie strony. Gdy nic się nie stało, podnieśliśmy się. Beevers stał i uśmiechał się z wyższością. „Cóż, panienci” – powiedział. „Zadowolone? Potrzebujecie więcej dowodów?”. A potem zrobił coś zaskakującego – zdjął hełm i pocałował go. „Za nim, ma większe jaja niż wy” – powiedział, zamachnął się i jak najdalej rzucił hełm na pole. Wszyscy patrzyliśmy, jak frunie w górę. Gdy zaczął opadać, ledwie go widzieliśmy.

Patrzyli, jak hełm porucznika znika w szarym powietrzu i rojach owadów. Zanim uderzył w ziemię, był prawie niewidoczny. Eksplozja zaskoczyła wszystkich, przynajmniej w takim stopniu, w jakim cokolwiek mogło ich jeszcze zaskoczyć. Znowu wszyscy oprócz Beeversa padli w błoto. Kolumna czerwonego ognia trysnęła w górę i ziemia podskoczyła pod nimi. Zdetonowana wskutek defektu albo przez wibrację druga mina wybuchła po pierwszej i kawałek metalu przemknął obok twarzy Beeversa tak blisko, że poczuł jego ciepło. Padł umyślnie

lub z szoku obok Poole'a. Dyszał. Wszyscy w plutonie czuli gryzący smród dwóch eksplozji. Na chwilę wszystko zamarło. Tina Pumo uniósł głowę, na w pół spodziewając się wybuchu kolejnej miny, i gdy to zrobił, usłyszał, że owady znowu zaczynają brzęczeć. Tina przez chwilę miał wrażenie, że na drugim końcu zaminowanego pola przy skróconej gałęzi widzi cudownie nieuszkodzony hełm porucznika Beeversa. Potem zobaczył, że wewnątrz hełmu liście tworzą wzór oczu i brwi. Chwilę później zdał sobie sprawę, że to prawdziwe ręka i brwi. Hełm tkwił na głowie martwego żołnierza. Tym, co wziął za gałąź, była odcięta ręka w rękawie. Eksplozja odsłoniła na w pół pogrzebane rozczłonkowane zwłoki.

Na drugim końcu pola ktoś krzyknął coś po wietnamsku. Ktoś inny zaśmiał się skrzekliwie i odkrzyknął wesoło.

– Chyba mamy tu sytuację, poruczniku – szepnęła Dengler.

Poole wyjął mapę z mapnika i wodził palcami po szlakach, próbując ustalić, gdzie dokładnie się znajdują.

Patrząc na amerykańską głowę, która w swoim amerykańskim hełmie wypłynęła z trzewi pola, Poole dostrzegł serię nagłych, niewytłumaczalnych ruchów ziemi – jakby niewidzialne gryzonie burzyły rozmiękkłą glebę, rzucając włóczniami trawy. Coś zatrzęsło kłodą blisko przeciwnego końca pola i pchnęło ją w tył o kilka cali. W końcu zrozumieli, że pluton jest ostrzeliwany od tyłu.

– Było kilka eksplozji i wszędzie wokół nas rozległy się krzyki po wietnamsku. Myślę, że pozwolili nam się błąkać, w zasadzie nie mając pewności, gdzie tak naprawdę jesteśmy. Przynajmniej tyle dobrego dała nam zarządzona przez Beeversa cisza radiowa. Ci za nami zaczęli strzelać i prawdopodobnie jedynym, co uratowało nam życie, było to, że nie byli pewni, gdzie dokładnie jesteśmy. Strzelali tam, gdzie według nich byliśmy, na tym samym polu, na którym tydzień wcześniej rozwalili prawie całą kompanię. Ich ogień zdetonował może osiemdziesiąt procent min, które wcześniej zakopali razem z ciałami Amerykanów.

Wyglądało to tak, jakby pole niszczyły podziemne fajerwerki. Nastąpiła szokująca seria podwójnych eksplozji, na dudniący łoskot pocisku natychmiast odpowiadał płaski ostry trzask miny. Żółto-czerwone błyski pochłaniały pomarańczowo-czerwone błyski i oba tonęły w kłębach dymu i rzygach ziemi, wyrzucających klatkę piersiową, pas z plecionki, całą nogę nadal w nogawce i butcie.

– Dlaczego zastawili pułapki na zwłokach? – szepnęła Maggie.

– Bo wiedzieli, że ktoś po nie wróci. Zawsze wraca się po swoich zmarłych. To jedna z niewielu przyzwoitych rzeczy w wojnie. Zabierasz martwych ze sobą.

– Jak szukanie Tima Underhilla?

– Nie, wcale. Cóż, może. Chyba. – Wyciągnął rękę.

Maggie oparła na niej głowę i wtuliła się w niego.

– Dwóch facetów rozerwało na kawałki, gdy tylko weszliśmy na pole. Beevers kazał nam iść naprzód i miał rację, bo skoncentrowali ostrzał, żeby rozpieprzyć nas tam, gdzie przed chwilą byliśmy. Pierwszym był dzieciak Cal Hill, który niedawno do nas dołączył, a drugim Tattoo Tiano. Nie znalazłem jego prawdziwego imienia, ale był dobrym żołnierzem. Tattoo zginął na miejscu. Tuż obok mnie. Wybuch mało nie urwał mi głowy, gdy Tattoo detonował minę, i, przysięgam na Boga, przez sekundę powietrze było jasnoczerwone. Naprawdę był tuż obok mnie. Myślałem, że nie żyję. Nic nie widziałem ani nie słyszałem. Wokół mnie nie było niczego poza tą czerwoną mgłą. Potem usłyszałem drugi wybuch i wrzask Hilla. „Ruszać dupę, Pumo!”, wrzasnął Dengler. „Trzymasz się, dawaj!”. Norm Peters, nasz sanitariusz, jakoś dotarł do Hilla i próbował coś dla niego zrobić. W końcu zauważyłem, że jestem cały mokry, pokryty krwią Tattoo. Z przodu otworzono do nas lekki ogień, więc zdjeliśmy broń z pleców i odpowiedziliśmy ogniem. Pociski artyleryjskie zaczęły lądować na skraju dżungli, który właśnie opuściliśmy. Widziałem, jak Poole krzyczy do radia. Ostrzał się nasilił. Rozproszyliśmy się po polu i przypadliśmy za tym, co tylko udało nam się znaleźć. Wraz z kilkoma innymi rozpląszczyłem się za zwalonym drzewem. Widziałem, jak Peters bandażuje Cala Hilla, próbując zahamować upływ krwi, ale dla mnie wyglądało to tak, jakby Peters torturował Hilla i wyciskał z niego krew. Hill wrzeszczał na całe gardło. Byliśmy demonami, oni byli demonami, wszyscy byli demonami, nie było już ludzi na świecie, tylko demony. Hill jakby nie miał środka tam, gdzie powinien mieć żołądek, brzuch i kutasa, została tylko ta płaska czerwona kałuża. Hill widział, co się z nim stało, i nie mógł w to uwierzyć. Był w Wietnamie za krótko, żeby w to uwierzyć! „Uciszyć tego człowieka!” – wrzasnął Beevers. Ostrzał z przodu nasilił się, a potem usłyszeliśmy, jak ktoś krzyczy do nas stamtąd. „Rock 'n rycy!”, krzyczał

ten facet, „Rock ‘n ryczl!”. „Elvis”, powiedział Dengler i cała gromada zaczęła na niego wrzeszczyć i oddawała kilka strzałów. To był snajper, który mianował się naszym oficjalnym zabójcą. Powiem ci, był niesamowitym strzelcem. Podniosłem się i strzeliłem, ale wiedziałem, że to na nic. M-16 używały małych naboju 5,56 milimetra, nie 7,62, żeby było łatwiej nosić magazynki, jedenaście uncji zamiast ponad dwa razy więcej, ale pociski wirowały w powietrzu, kolebały się jak szalone, i miały niewielki zasięg. Pod pewnymi względami stary M-14 był lepszy – nie tylko miał większy zasięg, ale można było naprawdę z niego celować. Więc strzeliłem kilka razy, byłem jednak prawie pewien, że nawet gdybym widział starego Elvisa, nie dałbym rady go trafić. Ale przynajmniej miałbym satysfakcję, wiedząc, jak wygląda. Tak czy inaczej, tkwiliśmy na polu minowym między licznymi wietkongami, może kilkoma kompaniami, które zmierzały na południe, żeby dołączyć do tych w dolinie A Shau. Nie wspominając o Elvisie. A Poole nie mógł nikomu powiedzieć, gdzie jesteśmy, bo nie dosyć, że porucznik nas zgubił, to radio oberwało i padło. No więc tkwiliśmy w potrzasku. Następne piętnaście godzin spędziliśmy na polu pełnym trupów, z porucznikiem, który odchodził od zmysłów.

– Boże, Boże...

Pumo słyszał powtarzającego w kółko porucznika. Calvin Hill hałaśliwie umierał, wrzeszcząc, jakby Peters dźgał mu język gorącymi igłami. Inni też krzyczeli. Pumo nie wiedział, kim oni są, i wcale nie chciał wiedzieć. Z jednej strony miał ochotę wstać, dać się zabić i mieć to za sobą, z drugiej zaś bał się umierania równie mocno jak wszystkiego innego, co się działo. Dokonał interesującego odkrycia, że istnieją warstwy przerażenia, z których każda jest zimniejsza i bardziej paraliżująca niż poprzednia. Pociski moździerzowe lądowały na polu w regularnych interwałach, a karabiny maszynowe od czasu do czasu jazgotały z boków. Pumo i wszyscy inni kulili się w korytach, lejach lub bunkrach, które na wpół znaleźli, na wpół wygrzebali dla siebie. Pumo w końcu zobaczył zniszczony hełm porucznika: spoczywał na kolanie martwego żołnierza, którego wydobyla z ziemi wybuchająca mina. Rzepka, przyczepiona do łydki i do niczego innego, biała pod warstwą brudu, leżała na ziemi zaledwie kilka cali od głowy i ramion żołnierza, też z niczym innym niepołączonych. Martwy żołnierz patrzył na niego. Jego twarz była bardzo brudna. Miał otwarte oczy, wyglądał na głupiego i głodnego. Za każdym razem, gdy ziemia dudniła, a niebo pękało z nową eksplozją, głowa przechylała się nieco bardziej w jego stronę, a ramiona płynęły ku niemu.

Pumo rozplaszczył się na ziemi. Najzimniejsza, najgłębsza warstwa przerażenia mówiła mu, że kiedy martwy żołnierz w końcu podpłynie i go dotknie, umrze. Potem zobaczył Tima Underhilla czółgającego się w kierunku porucznika i zastanawiał się, dlaczego zawraca sobie tym głowę.

Niebo było pełne smug i eksplozji. W jednej chwili zapadła noc. Porucznik umrze. Underhill umrze. Wszyscy umrą. To była wielka tajemnica. Zdawało mu się, że słyszy M.O. Denglera mówiącego coś ze śmiechem do Poole’a. Śmiał się? Gdy świat pociemniał i omdlewał z zachwytu nad tym śmiechem, Pumo był dotkliwie świadomy zapachu krwi Tattoo Tiano. „Czyżby porucznik zesłał się w swoje ładne nowe spodnie?” – zapytał Underhill. „Mike, uruchom radio, dobra?” – powiedział Dengler bardzo rozsądnym tonem.

Potężna eksplozja wstrząsnęła Pumem, rozerwała niebo na kawałki. Powietrze zmieniło się z białego w czerwone i głęboką czerń. Kobiące krzyki dobiegły od strony żołnierza, którego Pumo natychmiast zidentyfikował jako Tony’ego Ortege, Spacemakera Ortege, dobrego, ale brutalnego żołnierza, który w cywilnym życiu przewodził gangowi motocyklowemu o nazwie Devilfuckers w północnej części stanu Nowy Jork. Ortega był jedynym przyjacielem Victora Spitalny’ego w plutonie i teraz Spitalny nie miał już przyjaciół. Pumo zdał sobie sprawę, że to nie ma znaczenia, bo przecież Spitalny zginie wraz z całą resztą. Krzyki Spacemakera Ortegi stopniowo tonały w ciemności, jakby był w nią unoszony. „Co mamy zrobić, co mamy zrobić? Boże, Boże...” – zawodził Beevers. „Boże, Boże, Boże, nie chcę umierać, nie chcę, nie mogę umrzeć”.

Peters odzwołał się od martwego Ortegi. W nagłym głośnieym rozbłysku światła Pumo zobaczył, jak zbliża się do podrygującego mężczyzny dziesięć czy dwanaście jardów dalej. Pumo nie słyszał eksplozji, ale wiedział, że wybuchła kolejna mina, bo ziemia zatrzęsa się i martwy mężczyzna podpłynął kilka cali bliżej. Żołnierz Teddy Wallace ogłosił, że załatwi tego skurwiela Elvisa, a jego przyjaciel, Tom Blevins, powiedział, że pójdzie za nim. Pumo zobaczył, że obaj podnoszą się i skuleni biegną przez pole. Wallace nie zdążył zrobić ośmiu kroków, wszedł na minę naciskową i został rozdarty od krocza po klatkę piersiową. Lewa noga wystrzeliła w bok i przez krótki czas zdawało się, że biegnie nad polem, zanim upadła.

Tom Blevins zrobił kilka kroków więcej i padł schłodnie, jakby potknął się o strunę fortepianu. „Rock’n rycz!” – krzyknął z drzew Elvis.

Nagle Pumo zdał sobie sprawę, że obok niego leży Dengler.

Szczerzył zęby.

– Nie sądzisz, że Bóg robi wszystko jednocześnie? – zapytał.

– Co?

Życie nie ma sensu, pomyślał Pumo, świat nie ma sensu, wojna nie ma sensu, wszystko jest tylko koszmarnym żartem. Śmierć była wielką tajemnicą leżącą u podstaw żartu, a demony obserwowały świat, brykały i śmiały się.

– W tej koncepcji podoba mi się to, że w zabawny sposób oznacza, że wszechświat faktycznie sam się stworzył, co z kolei oznacza, że tworzy się dalej, rozumiesz? Tak więc destrukcja jest częścią tego tworzenia, które trwa cały czas. A do tego prawdziwa niespodzianka, Pumo: destrukcja jest częścią tworzenia, które uważamy za piękne.

– Pierdol się – warknął Pumo.

Teraz połapał się, co robi Dengler: gada bzdury, żeby go rozruszać i uczynić zdolnym do działania. Dengler nie rozumiał, że demony stworzyły świat, i że śmierć jest ich wielką tajemnicą.

Pumo zdał sobie sprawę, że od długiego czasu nie powiedział słowa. Oczy miał pełne łez.

– Nie śpisz, Maggie? – szepnął.

Maggie oddychała spokojnie i cicho, jej idealnie okrągła głowa wciąż spoczywała na jego ramieniu.

– Łajdaczka ukradła mi książkę adresową – szepnął. – Do diabła, po co jej moja książka adresowa? Żeby mogła ukrąś radiobudziki i przenośne telewizory wszystkim tym, których znam?

Underhill powiedział donośnym głosem:

– Demony są ze wszystkich stron, a Dengler próbuje przekonać Puma, że śmierć jest matką piękna...

– Nie, wcale nie – szepnął Dengler. – Mylisz się, nie o to chodzi, piękno nie ma matki.

– Jezu – jęknął Pumo. Zastanawiał się, skąd Underhill wie o demonach. Z pewnością też je widział.

Kolejne wielkie światło eksplodowało na niebie i zobaczył ocalałych członków plutonu. Leżeli jak zamrożeni na fotografii, zwrócenii twarzami w stronę Underhilla, który wydawał się opanowany, spokojny i masywny jak góra. Była tu jeszcze jedna tajemnica, głęboka jak ta demonów, ale jaka? Ich martwi i martwi z tamtej drugiej kompanii, trupy-pułapki, leżeli rozrzucony po całym polu. Nie, demony są głębiej, pomyślał Pumo, ponieważ to nie tylko piekło, to jest gorsze niż piekło – w piekle jesteś martwy, a w tym piekle wciąż musimy czekać, aż inni ludzie nas zabiją. Norm Peters ganiał tam i z powrotem, zatykając świszczące rany w piersi. Potem znów otoczyła ich ciemność. Gdy kilka sekund później następne kolosalne światło rozświetliło niebo, Pumo zobaczył, że Dengler go zostawił i podąży za Petersem, pomagając mu. Uśmiechał się. Dengler zobaczył, że on na niego patrzy, wyszczerzył zęby i wskazał w górę. „Świeć”, chciał przez to powiedzieć. „Świeć dalej, pamiętaj wszystko, wszechświat właśnie się tworzy”.

Późną nocą wietkongi zaczęli wystrzeliwać 60-milimetrowe pociski z moździerzy M-2 zdobytych na amerykańskiej kompanii. Kilka razy w ciągu godziny przed świtem Pumo był pewien, że kompletnie mu odbiło. Demony wróciły i ze śmiechem błędziły po polu. W końcu zrozumiał, że śmieją się z niego i Denglera, bo jeśli nawet przeżyją tę noc, nic nie ocali ich przed bezsensowną śmiercią, a skoro wszystko dzieje się jednocześnie, ich śmierć już jest obecna, i pamięć to pokręcony żart. Widział, jak Victor Spitalny piłuje uszy Spacemakera Ortegi, byłemu władcy Devilfuckers, co sprawiło, że demony tańczyły i chichotały.

– Co ty, kurwa, robisz? – syknął. Podniósł grudę ziemi i rzucił w niego. – Był twoim najlepszym przyjacielem!

– Muszę mieć coś w zamian – odparł Spitalny, ale się poddał, wsunął nóż za pas i czmychnął niczym szakal zaskoczony podczas obżerania się padliną.

Kiedy wreszcie przybyły śmigłowce, kompania Wietkongu zniknęła z powrotem w dżungli. Cobry wysłały za nią sześć rakiet i usmażyły kilka małp, po czym zawróciły dostojnie i poleciały do Camp Crandall. Huey opadł na polanę.

Nigdy nie pamiętałeś, jak cichy jest UH1-B, dopóki nie znalazłeś się w nim ponownie.

– Prawdę mówiąc, jesteście policjantami z Nowego Jorku – powiedział Beevers do taksówkarza, wychudłego, bezzębnego Chińczyka, który zapytał, dlaczego chcą jechać na Boogey Street.

– Aha – mruknął kierowca. – Policjanci.

– Pracujemy nad sprawą.

– Nad sprawą. Bardzo dobrze. Dla telewizji?

– Szukamy Amerykanina, który lubił Boogey Street – wyjaśnił pośpiesznie Poole. Beevers poczerwieniał, jego usta zacisnęły się w cienką linię. – Wiemy, że przeprowadził się do Singapuru. Chcemy pokazywać jego zdjęcie na Boogey Street, żeby zobaczyć, czy ktoś go zna.

– Boogey Street nic dobrego dla was – powiedział taryfiarz.

– Wsiadam z tej taksówki – oznajmił Beevers. – Nie mogę już tego znieść. Zatrzymaj. Zjedź na bok. Wsiadamy.

Kierowca wruszył ramionami i posłusznie włączył kierunkowskaz, żeby zjechać przez trzy pasy do krawężnika.

– Dlaczego mówisz, że Boogey Street nie jest dla nas dobra? – zapytał Poole.

– Nic tam już nie ma. Pan Lee wszystko posprzątał.

– Posprzątał?

– Pan Lee kazał wszystkim dziewczynom-chłopcom wyjechać z Singapuru. Nigdy więcej, tylko zdjęcia.

– Co to znaczy tylko zdjęcia?

– Idziesz nocą Boogey Street, mijasz wiele barów – wyjaśnił cierpliwie taksówkarz. – Na zewnątrz barów widzisz zdjęcia. Kupujesz zdjęcia, zabierasz do domu.

– Cholera – burknął Beevers.

– Ktoś w jednym z tych barów zna Underhilla – powiedział Poole. – Może nie opuścił Singapuru tylko dlatego, że zrobili to transwestyci.

– Może?! – wrzasnął Beevers. – Kupiłbyś puzzle, gdyby brakowało najważniejszego kawałka?

– Zobacz ciekawe miejsca w Singapurze – rzekł kierowca. – Wieczorem Boogey Street. Teraz Ogrody Tygrysięgo Balsamu.

– Nienawidzę ogrodów – syknął Beevers.

– Nie ogród kwiatowy – powiedział kierowca. – Ogród rzeźb. Wiele stylów chińskiej architektury. Przedstawienia chińskiego folkloru. Ekscytujące sceny.

– Ekscytujące sceny – powtórzył Beevers.

– Pyton pożerający Kozę. Tygrys gotowy do ataku. Wniebowstąpienie Ducha Białego Węża. Dziki Człowiek z Borneo. So Ho Shang uwięziony w Gnieździe Pająka. Pająk Duch pod postacią Pięknej Kobiety.

– Dla mnie brzmi nieźle – stwierdził Conor.

– Najlepsza część, wiele scen tortur. Sceny w piekle przedstawiające kary wymierzane duszom po śmierci. Bardzo piękne. Bardzo pouczające. Bardzo straszne.

– Co myślicie? – zapytał Conor.

– Mnie martwi kara wymierzana duszom przed śmiercią – powiedział Poole. – Ale rzućmy okiem.

Kierowca natychmiast przejechał przez trzy pasy.

* * *

Wyrzucił ich na końcu szerokiego chodnika prowadzącego do bramy ze słowami haw par villa między zielono-białymi kolumnami. Strumienie ludzi płynęły w obu kierunkach. Powyżej wznosiło się zbocze z fioletowo-szarego betonu, które Poole'owi skojarzyło się z wycinkiem gigantycznego mózgu. Nieco dalej znajdowała się wyższa, bardziej krzykliwa brama w kształcie wielopoziomowej pagody. Chińczycy w koszulkach z krótkimi rękawami, Chinki w letnich sukienkach, chińskie nastolatki w obłędnie kolorowej odzieży, uczennice ubrane jak chłopcy z angielskiej prywatnej szkoły, starsze pary trzymające się za ręce, ostrzyżeni na jeża chłopcy podskakujący w krótkich spodenkach, wszyscy ci ludzie kłębili się na chodniku. Wydawało się, że co najmniej połowa z nich coś je. Biała farba na bramie skrzyła się w słońcu, głębokie czarne cienie kładły się na płytach chodnika. Poole otarł pot z czoła. Z każdą godziną dzień stawał się coraz gorętszy i już miał wilgotny kołnierzyk.

Przeszli przez drugą bramę. Tuż za wielką alegoryczną postacią przedstawiającą Tajlandię znajdowała się scena rodzajowa. Wieśniaczka leżała na polu z wywróconym koszykiem, z rękami wyciągnię-

tymi w prośbie o pomoc. Biegło ku niej dziecko, a wieśniak w krótkich spodenkach i stożkowym kapeluszu unosił rękę, żeby grozić albo pomóc. (Folder wyjaśniał, że oferuje kobiecie butelkę Tygrysiego Balsamu). W te dwa woły zwierzały się rogami.

Poole miał twarz zlaną potem. Przypomniał sobie błotniste pole na wietnamskim zboczach i Szpitalny'ego unoszącego karabin, żeby wziąć na cel kobietę drepzczącą w kierunku kręgu chat, za którymi pasły się chude woły. Jej jasnoniebieska piżama jaśniała żywo na tle brązowego pola. Komary. Drewniane nosidło z ciężkimi kubłami utrudniało ruchy kobiecie: Poole przypomniał sobie szok, gdy zrozumiał, że wiadra z wodą są dla niej równie ważne jak życie – nie zrzucił nosidła z ramion. Karabin Szpitalny'ego wypadł, nogi kobiety uniosły się i przez chwilę mknęła równoległe do ziemi, nie dotykając jej. Upadła w niebieskiej kałuży obok długiego zakrzywionego nosidła. Wiadra z klekotem turlały się po zboczach. Szpitalny strzelił jeszcze raz. Woły uciekły z wioski, biegnąc tak blisko siebie, że stykały się bokami. Ciało kobiety szarpnęło się do przodu, jakby pchnięte niewidzialną siłą, i bezwładnie potoczyło się w dół. Jej przedramiona unosiły się i opadały jak sprzysy zepsutego koła zamachowego.

Poole zwrócił się do Harry'ego Beevers, który zerknął na posągi na szczyście ściany-mózgu, a teraz wpatrywał się w dwie ładne Chinki, które chichotały w pobliżu pagodowej bramy.

– Pamiętasz, jak Szpitalny zastrzelił tę dziewczynę przed Ia Thuc? Tę w niebieskiej piżamie?

Beevers spojrzał na niego, zamrugał, po czym skierował wzrok na rzeźby wieśniaka i jego żony. Skinął głową i uśmiechnął się.

– Pewnie. Ale to było w innym kraju, a poza tym dziewczucha nie żyje.

– Tak, to była kolejna dziewczucha, a poza tym kraj umarł.

– Najwyraźniej była z Wietkongu – powiedział Beevers. Znow spojrzał na Chinki, jakby one też należały do Wietkongu i powinny zostać rozstrzelane. – Była tam, czyli była wietkoniem.

Dwie dziewczyny miały Beevers. Wyglądało to, jakby szły na palcach. Były szczupłe, z czarnymi włosami do ramion, ubrane w sukienki, które kiedyś nazywano rozkloszowanymi, pomyślał Poole. A może wciąż nosiły taką nazwę? Spojrzał na wzgórze i zobaczył kolejną grupę uczennic w mundurkach – ciemnych marynarkach i płaskich kapeluszkach.

– Całe to miejsce wchodziło do lat pięćdziesiątych – zauważył Beevers. – Nie chodzi mi o ogrody, mam na myśli Singapur. Tu jest mniej więcej tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty czwarty. Aresztują cię za nieprawidłowe przechodzenie przez jezdnię, śmiecenie i plucie na ulicy. Byłeś kiedyś w jednym z tych miast na Zachodzie, gdzie odtwarzają strzelaniny? Gdzie upadki są wyćwiczone, a broń nie ma kul i nikt nie zostaje ranny?

– Och, daj spokój – mruknął Conor.

– Mam wrażenie, że to Boogey Street – powiedział Beevers.

– Znajdźmy salę tortur – zaproponował Poole, a Conor roześmiał się głośno.

Na szczyście wzgórze, skąd rozpościerał się widok na tarasy i ozdoby ogrodu, stał olbrzymi móżg z sękatego, poskręcane niebieskiego gipsu. Czerwone litery na białym tle głośiły: sala tortur tutaj.

– Hej, nie wygląda tak źle – powiedział Beevers. – Powinienem zrobić zdjęcia. – Wyjął z kieszeni swojego instamatica i sprawdził numer na odwrocie. Następnie wszedł po niskich betonowych schodach i zniknął w wejściu. Conor mrugnął do Poole'a i podążył za nim.

Chłodne, zacienione wnętrza gipsowej groty zostało przedzielone na pół chodnikiem, z którego przez drucianą siatkę można było spoglądać na sekwencje dynamicznych scen. Kiedy Poole wszedł do środka, jego przyjaciele znacznie go wyprzedzali, Beevers z aparatem przy oku pstrykał zdjęcia po zdjęciu. Większość Chińczyków w Sali Tortur oglądała sceny z całkowitą obojętnością. Kilko dzieci paplało i wskazywało palcami.

– Świetne, naprawdę świetne – mruknął Beevers.

komnata gładów, informowała tabliczka przed pierwszą sceną, sąd pierwszy. Spomiędzy połówek olbrzymiego płaskiego gładu wystawały głowy, nogi, tułowia, ramiona wiecznie miażdżonych ludzi. Demony o szponiastych stopach ciągnęły piszczące dzieci w stronę gładu. w sądzie drugim rogate diabły nadziewały na widły grzeszników i trzymały ich nad płomieniami. Inny demon wyrwał żołądek i jelita udreżonemu człowiekowi. Jeszcze inne wrzucały dzieci w długą kałużę krwi. Niebieski demon obcinał język mężczyźnie przywiązанemu do pala.

Poole wędrował ścieżką między ekspozycjami, słysząc trzask aparatu Harry'ego Beeversa. Wyszczerezone diabły przecinały kobiety na pół, kroili mężczyzn na kawałki, gotowały krzyczących grzeszników w kadziach z olejem, grillowały ich na rozgrzanych do czerwoności słupach...

Świadomy – prawie świadomy – innego wspomnienia ukrytego pod tamtym Poole przypomniał sobie oddziały nagłych wypadków, gdzie podczas stażu spędził zbyt dużo czasu na podwiązywaniu naczyń krwionośnych i czyszczeniu ran, słuchaniu krzyków, jęków i przekleństw, opatrywaniu ludzi z twarzami pociętymi nożami albo szypami, ratowaniem tych, którzy omal nie zabili się narkotykami...

„Sprzedasz mi trochę tej pieprzonej morfiny, doktorze?” – zapytał go młody Portorykańczyk w prześiąkniętej krwią koszulce, gdy gorączkowo zszywał długą ranę szwami baseballowymi, pocąc się, gdy wokół niego rosła kałuża krwi narkomana...

...wszędzie krew, krew na betonowej płycie, krew na skałach, odcięte ręce i nogi na podłodze, wiszący nadzy mężczyźni rozpruci nożami wyrastającymi ze złego drzewa...

– Nie zasłaniaj mi, człowieku. – Poole usłyszał głos Conora. – Hej, Mikey, ci faceci naprawdę wierzyli w survival i fitness, no nie? – Survival i fitness? Po chwili zrozumiał, że Conorowi chodzi o selekcję naturalną⁴.

Po co Beeversowi zdjęcia tych okropieństw?

Słyszał wrzask od dawną nieżyjącego żołnierza Cala Hilla i słyszał zabawny, szyderczy głos ze Środkowego Zachodu, gdy Dengler mówił: „Nie sądzisz, że Bóg robi wszystko jednocześnie?”.

Dengler miał rację, Bóg robił wszystko jednocześnie.

Każdego dnia tamtych miesięcy Poole zmuszał się, żeby pójść do pracy. Zmuszał się, żeby wstać z łóżka, przetrwać mżawkę pod prysznicem, wciągnąć się w ubranie, ponuro uruchomić samochód, włożyć kitel w depresji tak głębokiej, że prawie niewidocznej. Przez wiele dni do nikogo się nie odzywał. Judy przypisywała jego przygnębienie, milczenie i pogrzebaną wściekłość stresowi i nieszczęściom na oddziale nagłych wypadków, ludziom umierającym dosłownie pod jego ręką, przekleństwom wylewającym się ze wszystkich wokół niego...

Pocąc się w chłodnym cieniu gipsowej jaskini, Poole przesunął się kilka kroków dalej. Kobieta z białym króliczym futerkiem na plecach i męczyzna okryty szorstką świńską skórą klęczeli przed władczym sędzią. Poole przypomniał sobie łagodne, piękne, pełne strachu oczy królika Erniego. Wokół tamtych krzątały się inne postacie. Potwór mierzył włócznią, skryba pisał na wiecznym zwoju. Prawie dokładnie rok później, podczas rezydentury pediatrycznej w Szpitalu Prezbiteriańskim w Nowym Jorku, Poole w końcu zrozumiał.

I oto znowu było, to miejsce, w gipsowym mózgu na szczycie wzgórze w Singapurze.

Dziesiąty Sąd.

Ludzkie dusze, które mają odrodzić się jako zwierzęta i inne niższe formy życia, sąd wyposaża w niezbędne okrycia, takie jak futro, skóra, pióra i łuski, zanim wejdą w wir losu, by wieczne dusze mogły przybrać określoną formę.

Poole usłyszał, jak Beevers śmieje się przed grotą. Otarł czoło i wyszedł na zewnątrz w podmuch żaru i oślepiający blask słońca. Harry Beevers stał przed nim, szczerząc w uśmiechu wszystkie zachodzące na siebie zęby. Nieco niżej na zboczu znajdował się ogromny dół wypełniony gipsowymi replikami gigantycznych niebiesko-zielonych krabów. Duże czarne ropuchy patrzyły nieruchomo przez siatkę. W innej grocie-mózgu po drugiej stronie ścieżki ogromna kobieta z głową kurczaka i białymi jak trup ramionami szarpała za ramię kaczogłowego męża. Poole widział mord w determinacji kobiety, trwogę męczyzny-kaczki. Małżeństwo jest morderstwem.

Beevers pstryknął kolejne zdjęcie.

– Jest świetne – powiedział i odwrócił się, żeby skupić uwagę na olbrzymim pomarszczonym mózgu, który właśnie opuścili, sala tortur tutaj.

– W Nowym Jorku są dziewczyny, które oszaleją, gdy zobaczą te zdjęcia – podjął Beevers. – Nie uważasz, że to prawda? W Nowym Jorku są dziewczyny, które obciągnęłyby Gabby'emu Hayesowi, gdyby pokazał im coś takiego.

Conor Linklater odszedł ze śmiechem.

– Myślisz, że nie wiem, o czym mówię? – Głos Beeversa był zbyt głośny. – Zapytaj Puma, on przesiaduje tam, gdzie ja, i wie.

4

Po opuszczeniu Ogrodów Tygrysięgo Balsamu szli przez długi czas, nie wiedząc dokładnie, gdzie są ani dokąd idą.

– Może powinniśmy wrócić do Ogrodów – zasugerował Conor. – Jesteśmy nigdzie.

Nigdzie było prawie dosłowne, choć spokojne. Szli pod górę gładką szarą drogą między wysoką skarpą porośniętą idealnie skoszoną trawą a długim zadrzewionym zboczem pocętkowanym przez stojące daleko od siebie bungalowy. Od wyjścia z ogrodów jedyną napotkaną przez nich istotą ludzką był umundurowany sofer w okularach przeciwsłonecznych, jadący pustym czarnym mercedesem 500 SEL.

– Na pewno przeszliśmy już ponad milę – powiedział Beevers. Wyrwał mapę z Przewodnika Papi-neau i obracał ją w dłoniach. – Sam zawróć, jeśli chcesz. Na szczycie tego wzgórza coś będzie. Już nie-długo Frankie Avalon i Annette Funicello przejadą tędy autem z bocznymi drewnianymi panelami. Cho-lera, na tej pieprzonej mapie nie mogę znaleźć, gdzie jesteśmy. – Niemal natychmiast zatrzymał się i wlepił wzrok w jakiś punkt na mapie. – Jebany Underhill.

– Dlaczego? – zapytał Conor.

– Boogey Street to nie Boogey Street. Ten głupek nie miał pojęcia, o czym mówi. To B-U-G-I-S. Boo-giss Street. Na pewno o to chodzi, nie ma niczego innego o choćby trochę podobnej nazwie.

– Ale myślałem, że taksówkarz...?

– To wciąż Boo-giss Street, tak jest tu napisane. – Spojrzał na nich dzikim wzrokiem. – Skoro Underhill nie wiedział, dokąd się wybiera, to niby jak się spodziewa, że go znajdziemy?

Poszli dalej pod górę i dotarli do skrzyżowania bez znaków drogowych. Beevers na pewniaka skręcił w prawo i pomaszerował przed siebie. Conor zaprotestował, że centrum miasta i ich hotel są w drugą stronę, ale Beevers szedł dalej, aż poddali się i dołączyli do niego.

Pół godziny później zdumiony taksówkarz zatrzymał się i ich zabrał.

– Hotel Marco Polo – powiedział Beevers. Oddychał ciężko, a twarz miał tak bardzo płamistą, że Poole nie umiał określić, czy jest różowa w białe cętki, czy biała w różowe. Tył jego marynarki przy-ciemniała plama potu w kształcie torpedy, wyciągająca wilgotną pletwę w dół krzyża. – Muszę wziąć prysznic i się zdrzemnąć.

– Dlaczego idziesz w przeciwną stronę? – zapytał taksówkarz.

Beevers odmówił udzielenia odpowiedzi.

– To taki mały zakład – odezwał się Conor. – Boo-giss Street czy Boogey Street?

– Jedno i to samo – odparł kierowca.

Spotkanie z Lolą w parku

1

Jeśli chodzi o Conora, cała ta sprawa z Bugis Street śmierdziała na odległość. Pięćdziesiąt stóp od początku ulicy, którą wskazał taksówkarz z restauracji, Bugis Street wyglądała w sam raz dla faceta takiego jak Underhill. Liczne migające światła, szyldy barów, neony, tłumy ludzi. Ale gdy już tam byłś i obejrzałeś sobie tych ludzi, wtedy wiedziałeś, że Tim Underhill trzymałby się od nich z daleka. Siwo-wołose damy z obwisłą, pomarszczoną skórą ramion trzymały się za ręce ze starszkami o żółwich twarzach, ubranymi w workowate szorty i pończochy przeciwzakrzepowe. Otaczała ich typowa dla wszystkich turystów aura dzieciennego zagubienia, jakby to, na co patrzyli, było nie bardziej realne niż reklama telewizyjna. Mniej więcej połowa ludzi, których Conor widział na Bugis Street, najwyraźniej przybyła autobusami jaśmin wycieczki po dalekim wschodzie zaparkowanymi przed wylotem ulicy. Wysoko nad głowami bładoniebieska flaga zwisała z czubka długiej tyczki, którą trzymała rozpromieniona młoda blondynka w wykrochmalonej marynarce w tym samym odcieniu błękitu.

Conor wiedział, że gdyby ta gromada przeciętniaków włączyła się po South Norwalk, nie byłby w stanie ich ignorować, jak to robiła druga połowa ludzi na Bugis Street. Osobnicy o chytrych oczach mijali się w drzwiach barów i sklepów. Dziwki w perukach i obcisłych sukienkach paradowały dwójkami po ulicy. Jeśli byłeś graczem w Singapurze, to przychodziłeś właśnie tu – Conor domyślał się, że ci wykształcili widzenie selektywne i już nie dostrzegali turystów.

Słyszał Jumping Jack Flash Stonesów przebijający się przez powolną kowbojską piosenkę Portera Waggonera, a oba utwory walczyły o lepsze z dziwną kocią muzyką czegoś, co musiało być chińską operą – piskliwe głosy wybijały melodię, która przyprawiłaby o ból głowy psa. Dźwięki dobiegały z głośników umieszczonych nad drzwiami barów, zwykle tuż nad przywołującym klientów portierem. Conorowi pękała głowa. Prawdopodobnie brandy po kolacji w Pine Cour też zrobiła swoje, nawet jeśli była XO, co według Harry’ego Beeversa oznaczało płynne złoto. Czując się tak, jakby czynele trzaskały tuż przy jego uszach, szedł za Beeversem i Mikiem Poole’em.

– Równie dobrze możemy zacząć tutaj – powiedział Mike, odwracając się ku pierwszemu barowi po ich stronie ulicy, Orient Song.

Portier wyprostował się, gdy podeszli, i zaczął machać rękami.

– Orient Song wasz bar! – wrzasnął. – Przyjdź do Orient Song! Najlepszy bar na Bugis Street! Wszyscy Amerykanie przychodzą tu!

Niedaleko drzwi poruszył się mały staruszek w brudnym białym fartuchu. Uśmiechnął się, pokazując nieliczne żółte zęby, i teatralnym gestem wskazał wystawkę oprawionych zdjęć.

Były błyszczące, czarno-białe, osiem na dwaście cali, z nazwiskami wydrukowanymi w białym pasku tuż nad dolną ramką. Dawn, Rose, Hotlips, Raven, Billie Blue... rozchyłone usta i wygięte szyje, przesiąknięte seksem orientalne twarze okolone miękkimi czarnymi włosami, wyskubane brwi nad wyrachowanymi oczami.

– Cztery dolary – wymamrotał starzec.

Harry Beevers złapał Conora za przedramię i wciągnął go przez ciężkie drzwi. Czując zimne klimatyzowane powietrze chłodzące pot na czole, Conor wyrwał się Beeversowi. Amerykanie, sparowani jak kaczki krzyżówki, odwrócili się ku nim, uśmiechając się ze swoich stanowisk w pobliżu baru.

– Nie mamy szczęścia – stwierdził Beevers. – To spelunka dla wycieczkowiczów. Te głupki tylko w pierwszym barze na ulicy czują się bezpiecznie.

– Mimo wszystko zapytajmy – zdecydował Poole.

Całą przednią połowę baru zajmowały amerykańskie pary po sześćdziesiątce i siedemdziesiątce. Conor jak przez mgłę słyszał akordy wybijane na pianinie. Przez ogólny gwar przebił się kobiecy głos wzywający jakiegoś Sona i pytający, gdzie jest jego plakietka z imieniem. W końcu zdał sobie sprawę, że kobieta zwraca się do niego.

– Musisz poczuć ducha, chłopcze, musisz nosić plakietkę. Jesteśmy fajną grupą! – Conor spojrział w dół na opaloną, mocno pomarszczoną twarz kobiety, która uśmiechała się do niego promiennie i miała identyfikator z napisem cześć! ethel to wesola jaśmina!

Conor popatrzył nad jej głową. Dwóch pierników w okularach bez oprawek, wyglądających jak lekarze z samolotu, przyglądało mu się znacznie mniej życzliwie – miał na sobie koszulkę Agent Orange i nie wyglądał na Wesolą Jaśminę.

Zobaczył Beeversa i Poole’a zbliżających się do baru, gdzie krępy mężczyzna w aksamitnej muszce podawał drinki, mył szklanki i mówił kącikiem ust. Przypominał mu Jimmy’ego Laha. Tył baru był innym światem. Po drugiej stronie wszystkich Jaśminów siedzieli Chińczycy, popijający brandy z dużych szklanek, przerzucający się dowcipami i beztrudnie zagadujący dziewczyny, które dryfowały wokół ich okrągłych stołów. Daleko z tyłu ubrani w smoking czarnowłose mężczyzna, ani Chińczyk, ani biały, siedział przy fortepianie buduarowym i śpiewał coś, czego Conor nie słyszał.

Przecisnął się obok kobiety, która bezustannie emitowała wesole bezsensowne dźwięki, i dotarł do baru w chwili, gdy Mikey wyjmował z koperty zdjęcie Underhilla.

– Napijmy się. Co ty na to? Daj mi wódkę z lodem.

Barman zamrugał i na barze pojawiła się pełna szklaneczka. Conor zauważył, że Beevers już ma swoją.

– Nie znam go – oznajmił barman. – Pięć dolarów.

– Może pamiętasz go sprzed lat – powiedział Beevers. – Zaczął tu przychodzić w sześćdziesiątym dziewiątym, mniej więcej w latach siedemdziesiątych.

– Za dawno. Byłem mały. Wciąż w szkole. U księży.

– Spójrz jeszcze raz.

Barman wyjął zdjęcie z palców Poole’a i rzucił je przez ramię.

– Jest księdzem. Ojciec Ballcock. Nie znam go.

Gdy tylko wyszli na wilgotną ulicę, Harry Beevers wyprzedził kolegów. Stanął przed nimi z rękami w kieszeniach i wyprężonymi ramionami.

– Nie obchodzi mnie to, tyle powiem. Odbieram złe wibracje z tego miejsca. Nie ma najmniejszych szans, żeby Underhill wciąż tu był. Przecucie mi mówi, żeby jechać do Tajpej, to bardziej jego miejsce. Uwierzcie mi na słowo.

Poole się roześmiał.

– Nie tak szybko, dopiero zaczęliśmy. Na tej ulicy jest jeszcze co najmniej dwadzieścia barów. Gdzieś po drodze ktoś go rozpozna.

– Tak, ktoś musi go znać – zgodził się z nim Conor. Po wypiciu wódki czuł się trochę pewniej.

– Ach, tylne rzędy doszły do głosu – zakpił Beevers.

– W Tajpej rznąłeś do upojenia, dlatego chcesz tam wrócić – powiedział Conor. – To takie kurewsko oczywiste.

Odskoczył, żeby uniknąć ciosu Beevera. Okrzyki „Najlepszy bar! Najlepszy bar!” wybuchały z gardeł portierów. Conor czuł, jak koszula przykleja mu się do pleców.

– Więc teraz Swingtime, tak? – Beevers ustawił się po drugiej stronie Mike’a Poole’a.

Conor miał przelotną satysfakcję: woli z nim nie zadzierać.

– Tak, spróbujmy w starym dobrym Swingtimie – powiedział.

Beevers z ironicznym uśmiechem pchnął drzwi i pozwolił, żeby tamci weszli do baru pierwszy.

* * *

Po barze Czas na Swing odwiedzili Pogromcę Wiatrów, po Pogromcy Wiatrów Ginzę, następnie Pływającego Smoka Wiadro Krwi. Wiadro Krwi to prawdziwe wiadro krwi, pomyślał Conor – tak jego ojciec nazywał każdą mordownię z rozklekotanymi stołkami i wyświechtanymi boksami, podłogą niewidoczną pod warstwą lepkiego brudu i wymiękłymi pijakami przy barze. Beevers jęknął, gdy jeden z powłóczących nogami pijaków wszedł za drugim do klitki, która była męską toaletą, i, sądząc po hałasie, zaczął wyrywać mu ręce ze stawów. Barman o płaskiej twarzy ledwie zerknął na fotografię Underhilla.

Conor rozumiał, dlaczego Wesola Jaśmina została na początku ulicy.

Harry Beevers miał taką minę, jakby chciał zaproponować kapitulację i powrót do hotelu, ale Poole kazał im przенosić się z jednego baru do drugiego. Conor podziwiał go za to, że parł dalej i nie dawał się zniechęcić.

W Bullfrog faceci siedzący przy stołach byli tak pijani, że wyglądali jak posągi. Na ścianach wisiały ruchoe obrazy wodospadów. W barze Cockpit Conor w końcu zauważył, że co najmniej połowa dziwek wcale nie jest kobietami. Miały kościste kolana i szerokie ramiona; to byli mężczyźni. Parsknął śmiechem – faceci z dużymi cyckami i ładnymi zadkami! – i opryskał piwem zniesmaczonego Harry'ego Beeversa.

– Znam tego faceta – powiedział barman. Ponownie spojrzął na twarz Underhilla i zaczął się uśmiechać.

– A widzisz? – zapytał Conor. – Teraz rozumiesz?

Beevers odwrócił się, wycierając rękaw.

– Przychodzi tu? – dociekał Mike.

– Nie, inny lokal, gdzie pracowałem. Rozrywkowy Hulaka. Stawiam wszystkim drinka!

– Jesteś pewien, że to ten sam człowiek?

– Jasne, to Undahill. Kręcił się tu przez parę lat, w dawnych czasach. Szastał forszą. Przychodził do Floating Dragon, zanim bar zmienił właściciela. Pracowałem wieczorami, widywałem go na okrągło. Mów, mów, mów. Pij, pij, pij. Prawdziwy pisarz! Pokazał mi książkę, coś o zwierzęciu...

– *Bestia na widoku.*

– Bestia, racja.

Poole zapytał, czy wie, gdzie jest teraz Underhill. Barman pokręcił głową i powiedział, że wszystko się zmieniło od dawnych czasów.

– Możesz zapytać w Mountjoyu, po drugiej stronie ulicy. Prawdziwy hardcore. Pewnie będzie tam ktoś, kto pamięta Undahilla z dawnych czasów, jak ja.

– Lubieś go, prawda?

– Przez długi czas – odparł barman. – Jasne, lubiłem Undahilla przez długi czas.

2

Conor poczuł się nieswojo, gdy tylko weszli do baru Lord i Lady Mountjoy, i nie mógł zrozumieć dlaczego. W lokalu panował spokój. Trzej mężczyźni w ciemnych garniturach i białych koszulach siedzieli w boksach pod ścianami albo przy kwadratowych stolikach ustawionych na śliskim parkiecie do tańca.

Nie było tam przelotnych dziwek, tylko faceci w garniturach i krawatach oraz jeden osobnik w błyszczącej bluzce, ze spryskanymi lakierem włosami i jakąś setką szalików zarzuconych na szyję, dochodzący do siebie przy tylnym stoliku.

– Wyluzuj, na litość boską – powiedział Beevers do Conora. – Masz spraczkę czy co?

– Nie znam go, nigdy go nie widziałem – oznajmił barman. Ledwie rzucił okiem na fotografię. Wyglądał jak młoda chińska wersja Curly'ego, łysego głupek z Three Stooges.

– Barman po drugiej stronie ulicy powiadomił nas, że ten człowiek tu bywał – powiedział Beevers, odpychając się od baru. – Jesteśmy detektywami z Nowego Jorku i znalezienie go jest ważne dla wielu osób.

– Barman gdzie? – Gdy barman usłyszał słowo „detektyw”, ołowiana tarcza zatrasnęła się na jego twarzy i teraz już nie wyglądał jak Curly.

– W Kokpicie – odparł Mike.

Spojrzał zezem na Beeversa, który wzruszył ramionami i zaczął bawić się popielniczką.

Barman też wzruszył ramionami.

– Jest tu ktoś, kto mógłby pamiętać tego człowieka? Ktoś, kto w tamtych czasach bywał na Bugis Street?

– Billy – odparł barman. – Jest tu, odkąd wybrukowali ulicę.

Conorowi zamarło serce. Dobrze wiedział, który z klientów to Billy, i naprawdę nie chciał z nim rozmawiać.

– W głębi – dodał barman, potwierdzając obawy Conora. – Postaw mu drinka, jest przyjazny.

– Tak, wygląda przyjaźnie – osądził Beevers.

Przy tylnym stoliku Billy wyprostował ramiona i poklepywał włosy. Gdy podeszli ze swoimi drinkami i podwójną chevas regal, opuścił ręce na kolana i uśmiechnął się do nich.

– Och, kupiliście mi drinka, jak miło.

Billy nie jest Chińczykiem, ale też nikim innym, pomyślał Conor. Może miał oczy w kształcie migdałów, ale trudno je było zobaczyć pod grubym makijażem. Miał bardzo bladą skórę i mówił z brytyjskim akcentem. Wszystkie gesty sugerowały, że w jego ciele jest uwieczona kobieta i dobrze się tam bawi. Podniósł szklankę do ust, upił łyk i ostrożnie odstawił ją na stół.

– Mam nadzieję, że dołączycie do mnie, panowie?

Mike Poole usiadł naprzeciwko Billy'ego, a Harry Beevers przyciągnął krzesło i zajął miejsce obok niego. Conor musiał usiąść na ławce przy Billym, który obrócił głowę i zatrzepotał rękami.

– Jesteście panowie nowi na Bugis Street? Może wasza pierwsza noc w Singapurze? Szukacie rzywki o egzotycznej naturze? Obawiam się, że w naszym mieście zostało ich niewiele. Nieważne, każdy może znaleźć to, czego chce, jeśli wie, gdzie szukać. – Spojrzał spod rzęs na wiercącego się Conora.

– Szukamy kogoś – powiedział Poole.

– Jesteśmy... – zaczął Beevers i w zdumieniu spojrzał na Poole'a, który nadepnął mu na nogę.

Poole powiedział:

– Młody człowiek za barem uznał, że możesz być naszą najlepszą szansą. Osoba, której szukamy, mieszała lub nadal mieszka w Singapurze i dziesięć, piętnaście lat temu spędzała dużo czasu na tej ulicy.

– Dawno. – Billy spuścił wzrok, przekrzywił głowę. – Ta osoba ma imię?

– Tim Underhill. – Poole położył zdjęcie przy jego drinku. Billy zamrugał. – Wygląda znajomo?

– Tak jakby.

Poole przesunął po stole singapurski banknot dziesięciodolarowy, a Billy go odsunął.

– Mam wrażenie, że znam tego dżentelmena. – Billy drobniawo przyglądał się fotografii. – Był homo, prawda?

– Jesteśmy jego starymi przyjaciółmi – powiadomił go Mike. – Uważamy, że może potrzebować naszej pomocy. Dlatego tu jesteśmy. Będziemy wdzięczni za wszelkie informacje, jakie możesz nam przekazać.

– Och, od tamtych czasów wszystko się zmieniło. Cała ulica... naprawdę, prawie nie do poznania. –

Przez chwilę ponuro wpatrywał się w fotografię. – Kwiaty. Był człowiekiem od kwiatów, prawda? Kwiaty to i kwiaty tamto. Był żołnierzem na wojnie.

Poole skinął głową.

– Poznaliśmy go w Wietnamie.

– Piękne miejsce, kiedyś. Beztróskie. – Zaskoczył Conora, pytając: – Widziałeś Sajgon, kochanie?

Gdy Conor skinął głową i wypił łyk wódki, Billy dodał:

– Pracowały tam niektóre z naszych najlepszych dziewczyn. Prawie wszystkie zniknęły. Wiatr się zmienił. Zrobiło się dla nich za zimno. Nie można ich winić, prawda?

Nikt nie powiedział.

– Cóż, nie można. Żyły dla przyjemności, rozkoszy, iluzji. Nie można ich winić za to, że nie chcą harować w jakiejś robocie, prawda? Więc się rozproszyły. Większość naszych najlepszych starych przyjaciółek pojechała do Amsterdamu. Zawsze były mile widziane w swoich bardzo eleganckich klubach, Kit Kat Club. Widzieli kiedyś panowie Kit Kat Club?

– A co z Underhillem? – zapytał Beevers.

– Wszędzie lustra, trzy sceny, kryształowe żyrandole, wszystko najlepsze. Często mi je opisywano. W Paryżu nie ma czegoś takiego jak Kit Kat, przynajmniej tak słyszałem.

Napił się szkockiej.

Conor nie wytrzymał.

– Słuchaj, wiesz, gdzie możemy znaleźć Underhilla, czy tylko marnujemy czas?

Billy rozciągnął usta w kolejnym jedwabistym uśmiechu.

– Niektóre artystki, które tu pracowały, wciąż są w Singapurze. Możecie wybrać się na występ Loli. Pracuje w dobrych klubach, nie w tych resztkach na Bugis Street. – Po chwili dodał: – Jest pełna życia. Spodoba wam się jej występ.

Cztery dni wcześniej Tinie przeszkodziło chichotanie Maggie Lah nad pierwszą stroną „New York Post”, gdy jedli razem śniadanie w La Grocerii. (Tina miał sentyment do restauracyjki, w której tak często i pilnie czytał ostatnią stronę „Village Voice”). Oboje kupili gazety w kiosku na Szóstej Alei i właśnie czytał recenzje restauracji w „Timesie”, gdy rozproszył go śmiech Maggie.

– Coś śmiesznego w tym szmatławcu?

– Mają takie świetne nagłówki. – Maggie obróciła tabloid w jego stronę: mord yuppie w toalecie. – Zmień kolejność. Co powiesz na toaleta w mordzie yuppie? W każdym razie zawsze miło poczytać o końcu japiszona.

Tina w końcu znalazł artykuł w sekcji miejskiej „Timesa”: „Clement W. Irwin, lat 29, bankier inwestycyjny z dochodami w górnej partii sześciu cyfr, uważany przez kolegów po fachu za »super-gwiazdę«, został zadżgany w męskiej toalecie w pobliżu stanowisk bagażowych Pan American na lotnisku JFK”. Gazeta zamieściła zdjęcie tłustej twarzy z małymi, szeroko rozstawionymi oczami za szklami ciężkich czarnych okularów. Twarz wyrażała w równej mierze apetyt i agresję. Podpis brzmiał: „Geniusz finansowy yuppie Clement W. Irwin”. Na wewnętrznych stronach znajdowały się fotografie kamienicy przy Wschodniej Sześćdziesiątej Trzeciej, rezydencji przy Mount Avenue w Hampstead w stanie Connecticut i niskiego dużego domu przy plaży na wyspie St Maarten. Artykuł w „New York Post”, ale nie w „Timesie”, zawierał spekulacje, że Irwin został zamordowany przez pracownika lotniska lub współpasażera, który leciał z nim z San Francisco.

4

Rankiem po wycieczce po barach na Bugis Street Conor Linklater połknął dwie aspiryny, popił je jedną trzecią butelki peptobismolu, wziął prysznic, ubrał się w dżinsy i koszulę z krótkimi rękawami, a następnie dołączył do pozostałych w kawiarni Marco Polo.

– Co cię zatrzymało? – zapytał Beevers.

Obaj z Michaeliem wsuwali tak dziwne śniadanie, jakiego Conor nigdy dotąd nie widział. Mieli tosty, jajka i takie tam, ale też miski lepkiej białej owsianki pełnej zielonkavo-żółtych glutów i tłustego czegoś, co wyglądałoby jak jajka, gdyby nie było zielone. Ślady wskazywały, że wzięli nie więcej niż parę kęsów tej substancji.

– Czuję się trochę niewyraźnie, więc chyba odpuszczę sobie śniadanie – powiedział. – Co to właściwie jest?

– Nie pytaj – burknął Beevers.

– Jesteś chory czy tylko masz kaca? – zapytał Mike.

– Chyba jedno i drugie.

– Biegunka?

– Wyżłopałem mnóstwo pepto-bismolu. – Podeszedł kelner i Conor zamówił kawę. – Amerykańską kawę.

Beevers uśmiechnął się do niego i położył na stole złożony numer „Straits Timesa”.

– Spójrz i powiedz mi, co myślisz.

Conor przejrzał nagłówki o nowych oczyszczalniach ścieków, o wzroście kredytów bankowych dla klientów pozabankowych, o spodziewanym przeciążeniu ruchu na mostach w święto Nowego Roku, aż wreszcie na środku strony zobaczył: podwójne zabójstwo w pustym bungalowie.

Przeczytał, że w bungalowie przy Plantation Road znaleziono martwego amerykańskiego dziennikarza, Roberta Ortiza, a także ciało młodej kobiety zidentyfikowanej jedynie jako malezyjska prostytutka. Lekarze sądowi zbadali zwłoki będące w stanie rozkładu i zdecydowali, że śmierć nastąpiła przed mniej więcej dziesięcioma dniami. Bungalow należał do profesora Li Lau Fenga, który nie korzystał z niego od roku, odkąd zaczął wykładać na uniwersytecie w Dzakarcie. Pan Ortiz zmarł z powodu ran postrzałowych, a następnie jego ciało zostało okaleczone. Niezidentyfikowana kobieta również zmarła od ran postrzałowych. Pan Ortiz był dziennikarzem i autorem dwóch książek, *Żebrak bliźnim twoim: Polityka Stanów Zjednoczonych w Hondurasie i Wietnam: Osobista podróż*. Podobno policja miała dowody łączące tę zbrodnię z kilkoma innymi popełnionymi w Singapurze w ciągu ostatniego roku.

– Jakie dowody? – zapytał Conor.

– Założę się, że znaleźli karty Koko – odparł Beevers. – W końcu zaczynają robić się podejrzliwi. Myślisz, że ujawniliby taki szczegół, gdyby wydarzyło się to w Nowym Jorku? Nie bądź głupi. Piszą, że

został okaleczony. O co chcesz się założyć, że miał wyłupane oczy i odcięte uszy? Underhill działa, moi przyjaciele. Przybyliśmy we właściwe miejsce.

– Jezu – jęknął Conor. – Więc co robimy? Myślałem, że zamierzamy e... poszukać tej, e...

– Zamierzamy – powiedział Poole. – Mam wszystkie foldery i przewodniki ze sklepu z upominkami i właśnie próbowaliśmy dowiedzieć się, gdzie ta Lola pracuje, o ile pracuje. Sprzedawcy w sklepie nie przyznają się, że kiedykolwiek słyszeli o kimś, kto ma na imię Lola, więc musimy to zrobić w ten sposób.

– Ale dziś rano uznaliśmy, że trzeba przyjrzeć się miejscom, gdzie znaleziono zwłoki – wrócił Beevers. – Bungalow, w którym znaleźli Martinsonów, i ten drugi, i hotel Goodwood Park.

– Może powinniśmy pogadać z policją? Dowiedzieć się, czy przy tych ostatnich były karty?

– Nie zamierzam oddawać Underhilla w ręce glin – zaznaczył Beevers.

– Nie? To znaczy... czy nie po to tu przybyliśmy?

– Wciąż nie wiemy, czy to Underhill – powiedział Poole. – Nawet nie wiemy, czy jeszcze jest w Singapurze.

– Nie sra się we własne gniazdo. Masz już to, Michael?

Poole przeglądał stronę po stronie „Straits Timesa”.

– Oto Underhill obecnie – powiedział Conor. – Nadal nosi tę odjechaną starą bandanę. Jest gruby jak wiewprz. Każdej nocy ępa do nieprzytomności. Jest właścicielem kwaciarni. Pracują dla niego sami młodzi kołesie i zanudza ich na śmierć, gdy opowiada o wszystkim, co zrobił w Wietnamie. Wszyscy kochają starego łachudrę.

– Śnij dalej – prychnął Beevers.

Poole wziął drugą gazetę i przewracał kartki z regularnością metronomu.

– Od czasu do czasu zamyka się w opuszczonym budynku i kogoś ukatrupia.

– Czy te jajka naprawdę mają sto lat? – zapytał Conor. Sięgnął po menu, kiedy Beevers mówił. – Co to za zielone gówno?

– Herbata – wyjaśnił Poole.

Dziesięć minut później Poole znalazł małą reklamę „Bajecznej Loli” w *Singapurze po zmierzchu*, jednym z zakupionych w sklepie z pamiątkami tanich przewodników po nocnym życiu Singapuru. Lola występowała w nocnym klubie o nazwie Peppermint City z ponad dziesięcioletnim numerem przy drodze zbyt odległej od centrum miasta, żeby zmieściła się na mapie Beeversa.

Wszyscy trzej wpatrzyli się w małą czarno-białą fotografię dziewczęcego Chińczyka z wyskubanymi brwiami i zaczesanymi do góry włosami.

– Już jest mi niedobrze – wymamrotał Conor.

Pozieleniał jak stuletnie jajo i Poole kazał mu obiecać, że spędzi dzień w swoim pokoju i odwiedzi hotelowego lekarza.

5

Michael nie miał pojęcia, czego mógłby dowiedzieć się na miejscach zbrodni – podobnie jak nie mógł przewidzieć, co powie Lola – ale może widok miejsc, w których nastąpiła śmierć, pomoże mu zobaczyć samą śmierć.

Wybrał się z Beeversem do oddalonej o niespełna dziesięć minut drogi willi na wzgórzu Nassim, gdzie znaleziono Martinsonów.

– Przynajmniej wybrał ładne miejsce – zauważył Beevers.

Otoczona drzewami willa stała na niewielkim wzniesieniu. Z czerwonymi dachówkami, złotym tynkiem i dużymi oknami mogła być jednym z ładnych domów, które Michael wczoraj rano widział z okna w hotelu. Nic nie sugerowało, że zamordowano tam dwie osoby.

Poole i Beevers przeszli między drzewami i osłonili oczy, żeby zajrzeć do pokoju przypominającego długą prostokątną jaskinię. Na środku drewnianej podłogi, pokrytej kłębkami kurzu, które wyglądały jak brudna bawełna, widniała szeroka ekscentryczna plama otoczona kropkami i bryźnięciami, jakby ktoś wychlusnął brązową farbę, a potem bez entuzjazmu próbował posprzątać.

Nagle Poole między odbiciem swojej twarzy i Beeversa spostrzegł trzecie cieniste odbicie. Podskoczył, czując się jak dziecko przyłapane na kradzieży.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział mężczyzna. – Nie chciałem pana przestraszyć.

Był to masywny Chińczyk w czarnym jedwabnym garniturze i błyszczących czarnych mokasynach z frędzelkami.

– Interesuje panów dom?

– Jest pan właścicielem? – zapytał Poole. Zdawało się, że facet pojawił się znikąd, jak dobrze ubrany duch.

– Jestem nie tylko właścicielem, jestem sąsiadem! – Mężczyzna machnął ręką w kierunku willi stojącej niedaleko na zboczu wzgórza, ledwie widocznej za drzewami. – Kiedy zobaczyłem, jak panowie podchodzą, pomyślałem o wandalach. Czasem młodzi ludzie przychodzą tutaj i grandzą w pustym budynku... Młodzi wszędzie są tacy sami, prawda? – Jego śmiech zabrzmiał jak seria płaskich głuchych szczeknięć. – Z bliska widzę, że panowie nie są wandalami.

– Oczywiście, nie jesteśmy wandalami – powiedział Beevers nieco cierpko. Spojrzał na Poole'a i zdecydował, że ty razem nie przedstawi ich jako detektywów z Nowego Jorku. – Przyjaźniliśmy się z ludźmi, którzy tu zmarli, a ponieważ przyjechaliśmy na wycieczkę, postanowiliśmy rzucić okiem na miejsce, gdzie się to stało.

– Bardzo niefortunne – powiedział mężczyzna. – Wasza strata jest moją stratą.

– Bardzo uprzejme – powiedział Poole.

– Mówię z handlowego punktu widzenia. Od czasu zdarzenia nikt nie chce oglądać domu. A gdyby nawet chcieli, nie moglibyśmy ich wpuścić, żeby go pokazać, bo policja go zapieczętowała! – Wskazał mokrą od deszczu żółtą tabliczkę i pieczęć na frontowych drzwiach. – Nie możemy nawet zmyć plam krwi! Och, przepraszam, nie pomyślałem! Przykro mi z powodu nieszczęścia, które spadło na pańskich przyjaciół, i podzielim wasz smutek. – Wyprostował się i zakłopotany cofnął się o kilka kroków. – W Saint Louis jest teraz zimno? Lubicie singapurską pogodę?

– Nic pan nie słyszał? – zapytał Beevers.

– Nie tamtej nocy. Poza tym słyszałem go wiele razy.

– Wiele razy? – zapytał Poole.

– Słyszałem go tygodniami. Nastolatek. Nigdy wiele hałas. Tylko jeden chłopak, który wślizgiwał się i wymykał nocą jak cień. Nigdy go nie złapałem.

– Ale widział go pan?

– Raz. Od tyłu. Przyszędłem z domu i zobaczyłem, jak idzie wśród hibiskusów. Zawołałem go, ale się nie zatrzymał. A kto by to zrobił? Był mały, po prostu chłopiec. Zadzwoniłem na policję, ale nie mogli go znaleźć. Zamknąłem dom, zawsze jednak znajdował jakieś wejście.

– Był Chińczykiem?

– Oczywiście. Przynajmniej tak założyłem. Widziałem go tylko od tyłu.

– Myśli pan, że to on popełnił morderstwa? – zapytał Poole.

– Nie wiem. Wątpię, ale nie wiem. Wydawał się taki nieszkodliwy.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że go słyszał? – spytał Beevers.

– Słyszałem, jak śpiewał.

– Co śpiewał? – zapytał Poole.

– Piosenkę w obcym języku – odparł mężczyzna. – To nie był żaden chiński dialekt, ani język francuski czy angielski... często się zastanawiałem, czy to nie polski! Szło tak... och... – Wybuchnął śmiechem. – Rip-a-rip-a-rip-a-lo. – Zaśpiewał te słowa niemal bez melodii i znów się roześmiał. – Tyle melancholii. Dwa lub trzy razy słyszałem piosenkę dochodzącą z tego domu, gdy wieczorem siedziałem u siebie na dziedzińcu. Zakradałem się tu jak najciszej, jednak zawsze mnie usłyszał i ukrywał się, dopóki nie odszedłem. – Umilkł na chwilę. – W końcu go zaakceptowałem.

– Zaakceptował pan włamywacza? – zdumiał się Beevers.

– Zacząłem myśleć o chłopcu jak o domowym zwierzaku. W końcu żył tu jak małe zwierzątko. Nie wyrządzał szkody i śpiewał swoją samotną piosenkę. Rip-a-rip-a-rip-a-lo.

Wyglądał trochę żałośnie. Poole próbował wyobrazić sobie amerykańskiego potentata, który wygląda żałośnie w czarnym jedwabnym garniturze i mokasynach z frędzelkami.

– Musiał wynieść się przed morderstwami. – Mężczyzna spojrzął na zegarek. – Coś jeszcze?

Pomachał ręką na pożegnanie, gdy schodzili z Nassim Hill, i wciąż machał, gdy skręcili w Orchard Road, by znaleźć taksówkę.

Zobaczyli, gdzie znaleziono ciało Clive'a McKenny, gdy tylko taksówkarz wskazał hotel Goodwood Park. Biały hotel stał na wznieśieniu, które górowało nad obrzeżami biznesowej dzielnicy miasta i opadało stromym zielonym zboczem. Po wyjściu z taksówki Poole i Beevers przeszli przez pas zarośli i spojrzeli w dół wzgórza. Zbocze porastały jakieś twarde ciemnozielone rośliny podobne do mirtu, poprzedzielane niskimi żywopłotami.

– Zwałbł go tutaj – powiedział Beevers. – Pewnie poznali się w barze. Wyjdźmy na świeże powietrze. Do gry wchodzi nóż. Żegnaj, Clive. Zastanawiam się... Zastanawiam się, czy w recepcji dowiemy się czegoś ciekawego. – Beevers mówił radosnym tonem, niemal jakby świętował morderstwo.

Wewnątrz zapytał:

– Czy pan Underhill był tu zameldowany w czasie, gdy zginął pan McKenna? – W dłoni trzymał złożony banknot dziesięciodolarowy.

Recepcjonista pochylił się i nacisnął klawisze terminala komputerowego pod ladą. Wprowadził Michaela Poole'a w stan konsternacji, informując, że pan Timothy Underhill był oczekiwany sześć dni przed odkryciem ciała Clive'a McKenny, ale nie przybył.

– Bingo! – powiedział Beevers, a recepcjonista wyciągnął rękę po banknot. Beevers odsunął pieniądze poza jego zasięg. – Masz adres Underhilla?

– Jasne – odparł mężczyzna. – Grand Street pięćdziesiąt sześć, Nowy Jork.

– Jak dokonał rezerwacji?

– Brak zapisów. Najpewniej przez telefon. Nie mamy numeru karty kredytowej.

– Nie ma zapisu, skąd dzwonił?

Recepcjonista pokręcił głową.

– Niedobrze. – Beevers schował banknot i uśmiechnął się z zadowolaniem do Michaela.

Wyszli z powrotem na słońce.

– Dlaczego miały podawać prawdziwe nazwisko, skoro płacił gotówką? – zapytał Michael.

– Michael, był na takim haju, że nie przejmował się duperełami. Idzie na żywioł, Michael, zabijanie ludzi nie jest logicznym zachowaniem. Ślina cieknie mu z ust, a ty chcesz wiedzieć, dlaczego posługuje się prawdziwym nazwiskiem! Widzisz, jak zaoszczędziłem dziesięć dolców?

Beevers skinął głową do portiera, który zagwizdał do szeregu oczekujących taksówek.

– Wiesz... – zaczął Poole – ...mam wrażenie, że słyszałem już wcześniej ten adres, Grand Street pięćdziesiąt sześć. Brzmi bardzo znajomo.

– Jezu, Michael.

– Co tam jest?

– Restauracja Puma, dumiu, Sajgon jest przy Grand Street pięćdziesiąt sześć. W mieście Nowy Jork w stanie Nowy Jork w Stanach Zjednoczonych.

* * *

Plantation Road zaczynała się od wysokiego hotelu na rogu ruchliwej sześciopasmowej drogi i niemal od razu stawała się enklawą wyższej klasy średniej z długimi, niskimi bungalowami za szerokimi pasami trawników i zamkniętymi bramami. Kiedy dojechali do numeru 72, Beevers kazał kierowcy czekać i wysiedli z taksówki.

Bungalow, w którym zginęli Roberto Ortiz i kobieta, w słońcu wyglądał jak różowy tort. Po obu stronach kwitły hibiskusy i ich cienie unosiły się nad ciemnym trawnikiem. Na bramie wisiała żółta tabliczka z informacją, że singapurski wydział policji zapieczętował dom z powodu śledztwa w sprawie zabójstwa. Przed bramą stały dwa ciemnoniebieskie radiowozy i Poole widział mundurowych poruszających się za oknami domu.

– Zauważyłeś już, jak urodziwe są policjantki w tym kraju? – zapytał Beevers. – Ciekawe, czy wpuszczą nas do środka.

– Dlaczego im nie powiesz, że jesteś detektywem z Nowego Jorku?

– Bo jestem urzędnikiem sądowym.

Poole odwrócił się i spojrzął na dom po drugiej stronie ulicy. Chinka w średnim wieku stała w oknie salonu, obejmując talię młodszej, wyższej kobiety, z prawą ręką na jej biodrze. Obie wyglądały na bardzo spięte. Poole zastanawiał się, czy słyszały młodego mężczyznę śpiewającego dziwną piosenkę, która brzmiała jak rip-a-rip-a-rip-a-lo.

* * *

Poole i Harry Beevers wrócili do Marco Polo i znaleźli rozmęczonego czerwonoookiego Conora Linklatera, który przywiódł Michaelowi na myśl Dwighta Frye'a z Draculi. Conor dostał w recepcji nazwisko lekarza przyjmującego w sąsiednim budynku, a Poole i Beevers pomogli mu wejść do windy i wyprowadzili go w światło dnia.

– Mogę wieczorem z wami jechać, Mikey – zadeklarował. – To naprawdę chwilowa sprawa.

- Dzisiaj zostajesz w domu – oświadczył Poole.
- Tak, mnie też możesz skreślić – powiedziała Beevers. – Jestem zbyt skonany, żeby ganiać do następnego baru dla pedałów. Zostanę w domu i opowiem Conorowi, co robiliśmy przez cały dzień.

Szli chwiejnie chodnikiem, Michael i Beevers po bokach Conora, który stawiał drobne posuwiste kroki, bojąc się ryzykować.

Beevers powiedział:

– Za kilka lat będziemy siedzieć w kinie i oglądać, jak to robimy. Połowa ludzi na świecie będzie wiedziała, że Conor Linklater miał szraczkę. Chciałbym, żeby Sean Connery był o dwadzieścia lat młodszy. Szkoda, że wszyscy odpowiedni aktorzy są już tacy starzy.

– Przypuszczam, że Olivier naprawdę jest za stary – powiedział Michael.

– Mam na myśli takich facetów jak Greg Peck, Dick Widmark, takich jak oni. Paul Newman jest za niski, a Robert Redford za mdły. Może powinni postawić na siłę wyrazu i wziąć Jamesa Woodsa. Mógłbym z tym żyć.

6

Taksówka kluczyła w drodze przez Singapur, aż wbiła się na obwodnicę, a potem jechała tak długo, że Poole zaczął się zastanawiać, czy nocny klub nie znajduje się w Malezji. Wkrótce jedynymi światłami w pobliżu były lampy łukowe nad sześciopasmową autostradą. Po obu stronach rozpościerała się ciemna, pusta kraina, tu i ówdzie urozmaicona małymi odizolowanymi skupiskami światła. Byli prawie sami na drodze i kierowca jechał bardzo szybko. Poole miał wrażenie, że koła nie stykają się z nawierzchnią.

– Nadal jesteśmy w Singapurze? – zapytał.

Kierowca nie odpowiedział.

W końcu zjechali z autostrady na drogę dojazdową do centrum handlowego, które płonęło w ciemności jak stacja kosmiczna – dłuższe, wyższe i bardziej wyszukane niż wszystkie inne przy Orchard Road. Otaczał je rozległy, prawie pusty parking. Po bokach zwisały ogromne pionowe banery z wysokimi na chłopa chińskimi literami. W białym sztucznym świetle stał szereg zamrożonych palm.

– To na pewno Peppermint City? – zapytał Poole.

Kierowca gwałtownie zahamował przed nieumarłymi palmami i siedział za kierownicą jak posąg. Gdy Poole z wahaniem powtórzył pytanie, zajazgotał po chińsku.

– Ile?

Mężczyzna wykrzyknął to samo słowo.

Poole podał mu banknot, którego nominału nie mógł zobaczyć, otrzymał zaskakująco dużą resztę i dał taksówkarzowi inny losowy banknot napiwku. Po odjeździe taryfy został sam.

Centrum handlowe wyglądało jak zbudowane z matowego szarego metalu. Przez wielkie okna na parterze Poole widział dwie albo trzy małe postacie chodzące przed zamkniętymi sklepami w drugim końcu budowli.

Szklane drzwi otworzyły się z szumem i owiało go chłodne powietrze. Drzwi się za nim zamknęły. Dostał gęsiej skórki na ramionach.

Przed nim korytarz prowadził do ogromnej przestrzeni o wysokim sklepieniu. Czuł się tak, jakby stanął w wejściu do pustego kościoła. Manekiny pozowały i przeciągały się w witrynach zamkniętych sklepów. Szumiały niewidzialne ruchome schody. Bóg poszedł do domu i katedra była pusta jak lej po bombie. Poole wszedł do wielkiej krypty i zobaczył kilka osób chodzących jak w transie po półpiętrze, mijających zaciemnione rzędy sklepów.

Błąkał się po parterze, przekonany, że kierowca przywiózł go w niewłaściwe miejsce. Przez długi czas nie mógł nawet znaleźć ruchomych schodów i pomyślał, że przez całą noc będzie snuł się obok Good Fortune Toys, Merlion Furniture i Mode O'Day, ubrania dla wybrednych kobiet. W końcu skręcił za restauracją Captain Steak i zobaczył pomarszczoną głowę starszego Chińczyka w czapce bejsbolowej, spływającą ku niemu nad stalowym bokiem ruchomych schodów.

Na trzecim poziomie rozbołały go stopy – podłoga była płaska, twarda jak kamień. W czarnym oknie wisiały czerwono-pomarańczowe bluzy, schwymane w pułapkę ptaki. Westchnął i szedł dalej. Czy złapie stąd taksówkę do miasta? Czuł, że nikt się do niego nie odezwie i już nigdy nie będzie w stanie z nikim się porozumieć. Rozumiał, dlaczego George Romero nakręcił *Świt żywych trupów* w centrum handlowym.

To był Singapur w swojej najbardziej sterylnej i doskonałej formie. Bezwzględnie wykluczono przypadkowość, brud i witalność. Michael chciałby być w Marco Polo, upijać się z Beeversem i oglądać programy finansowe i opery mydlane, które składały się na singapurską telewizję.

Na piątym poziomie szedł zniechęcony korytarzami jeszcze ciemniejszymi i bardziej pustymi niż te niższe. Tutaj nic nie było otwarte, ani jeden sklep, ani jedna restauracja. Tułk się po piątym piętrze podmiejskiego centrum handlowego, uwieszony wiele mil za miastem. Za zakrętem korytarza ciemne witryny sklepowe ustąpiły miejsca ścianom pokrytym małymi białymi płytkami, które połyskiwały w świetle nachylonych reflektorów. Przez otwór w ścianie zobaczył mężczyzn w garniturach, dziewczyny w obcisłych sukienkach koktajlowych, wszystkich palących w mglistym niebieskim świetle. Urodziwa hostessa stała przy biurku i uśmiechała się do niego, rozmawiając przez telefon. Tuż przed wejściem różowy neon błyskał eppermint city! obok bezlistnego drzewa, pomalowanego na biało i obwieszzonego maleńkimi białymi żarówkami.

Poole wszedł i centrum handlowe zniknęło. Przed nim i pod nim rozkładała się wachlarzem ogromna fantazja, jak scena z podwieczorku na plantacji w Missisipi. Po drugiej stronie biurka hostessy prowadziły pary do szeregu okrągłych białych stołów z fantazyjnie odlanego żeliwa i sadzały je na równie fantazyjnych białych żeliwnych krzesłach. Podłoga i ściany były pomalowane na czarno. Więcej stolików z krzesłami stało na antresoli i platformach po obu stronach zatłoczonego baru. Na środku podłogi, otoczony przez stoły, chłopiec w iluminowanej fontannie tryskał wodą z ust.

Hostessa zaprowadziła go do białego stolika na podwyższeniu za barem. Poole zamówił piwo. Młodzi homoseksualiści w garniturach, wyglądający jak absolwenci MIT, tańczyli na małym parkiecie przed sceną. Inne pary zajmowały większość miejsc w klubie – chłopcy w okrągłych okularach, trzymający papierosy i starający się nie wyglądać na skrępowanych. Michael wypatrzył kilku Anglików i Amerykanów, którzy poważnie rozmawiali ze swoimi chińskimi i eurazjatyckimi kochankami. Większość par piła szampana, większość chłopców piwo.

Kilka minut później cicha muzyka nagle ucichła. Chłopcy tańczący przed sceną uśmiechali się i klaskali, wracając na swoje miejsca. Bardzo głośno zadzwonił telefon, brzęknęła kasa i zabrzmiało kilka niefrasobliwie podniesionych głosów, a później zapadła cisza.

Na scenę wskoczyło czterech krępych Filipińczyków, jeden Euroazjata i szczupły Chińczyk. Po drugiej stronie pracownik pchnął okazałych rozmiarów syntezator i przetoczył go obok perkusji. Wszyscy muzycy poza Chińczykiem mieli jednakowe żółte koszule, obcisłe czerwone aksamitne kamizelki i spodnie. Wnieśli instrumenty – dwie gitary, bęben konga, elektryczną gitarę basową – i zagrali nijaką wersję Billie Jean, gdy tylko perkusista i klawiszowiec dotarli do swoich instrumentów. Euroazjata i klawiszowiec mieli krótkie kręcone włosy i okulary słoneczne jak Michael Jackson, a pozostali przyłizane fryzury, okrągłe okulary i chytre ukradkowe spojrzenia Johna Lenmona. Było jasne, że grali razem na długo przed tym, zanim Lola ich zatrudniła: Poole przypuszczał, że gdyby wrócił do Singapuru za dwadzieścia lat, zobaczyłby tych samych muzyków, starszych i bardziej brzuchatych, nie mniej mechanicznych i prawdopodobnie w tych samych ubraniach.

Był to rok Michaela Jacksona i Lola też miał afro i okulary przeciwsłoneczne, a także jedną białą rękawiczkę. Był ubrany w błyszczące rajstopy ze spandeksu, lśniąca wysokie czarne buty i luźną białą bluzkę odsłaniającą ramię. Ciężkie kolczyki połyskiwały w kędzierskich włosach i kilka grubych bransolet przesuwano się w górę i w dół jego ręki. Chłopcy przy stolikach przed sceną klaskali i gwizdali, a Lola z energią, ale bez życia, naśladował taneczne ruchy Michaela Jacksona. Z Billie Jean przeszli do Maniaca, a potem do MacArthur Park. Lola zmieniał kostiumy, za każdym razem witany oklaskami i gwizdaniem.

Poole podniósł złożoną winietkę, rozprostował ją i napisał: „Podoba mi się twój występ. Czy zechciałbyś porozmawiać ze mną o starym przyjacielu z Bugis Street?”. Podniósł rękę, kelnerka wzięła karteczkę i zeszła po schodkach, przemknęła między stolikami i podała kartkę Loli.

Śpiewając Cross My Heart, teraz w czerwonej bluzce z długimi rękawami i w naszyjniku z ciężkich fioletowych szklanych paciorków, Lola wyrwał kartkę z ręki kelnerki, zalotnie przewinał ją w palcach i dopiero potem rozłożył. Jego twarz znieruchomiała na nie więcej niż pół sekundy, po czym obrócił się, tupnął, wyciągnął ręce, potrząsnął bransoletami i zaśpiewał Cross my heart!

Po prawie godzinie Lola zszedł ze sceny, kłaniając się i przesyłając całusy. Chłopcy z MIT wstali i klaskali. Zespół zgiął się w niemal szyderczo niskim ukłonie.

Poole czekał na rachunek, gdy zapaliły się światła. Kilku młodych Chińczyków zgromadziło się przy drzwiach z boku sceny; od czasu do czasu ktoś je otwierał, wpuszczając i wypuszczając gości.

Kiedy chłopcy wyszli albo wrócili do stolików na drugi występ, Poole zapukał do cienkich czarnych drzwi. Otworzyły się. Wszedł do małego zadymionego salonu. Muzycy tłoczyli się na starej sofie i siedzieli na podłodze. Powietrze pachniało tytoniem, potem i makijażem. Lola na wpuł odwrócił się od

lustra i zerknął spod ręcznika na głowie. W jednej ręce trzymał płaskie pudełeczko czarnego pudru, a w drugiej pędzelek do brwi.

Poole wszedł do pokoju.

– Zamknij drzwi – polecił mu jeden z muzyków.

– Chcesz mnie zobaczyć? – zapytał Lola.

– Podobał mi się twój występ – powiedział Poole.

Zrobił krok do przodu. Grubas grający na kongu podciągnął nogi, robiąc mu miejsce na następny krok. Lola uśmiechnął się i ściągnął ręcznik z głowy.

Był niższy i starszy, niż wyglądał na scenie. Pod makijażem jego dziewczęcą twarz przecinała się drobnych zmarszczek, ostrych jak cięcia nożem. Oczy miał zmęczone i nieufne. Pot wciąż skrzył się w jego sprężystych włosach. Skinął głową, dziękując za komplement, i odwrócił się do lustra.

– Wysłałem liścik o Bugis Street – dodał Poole.

Lola odsunął rękę od oczu i leciutko obrócił głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Masz minutę?

– Nie pamiętam, żebym cię kiedykolwiek widział. – Angielski Loli był prawie bez zarzutu.

– To mój pierwszy raz w Singapurze.

– I coś niezwykle nagłego chodzi ci po głowie.

Jeden z muzyków zarechotał.

– Dowiedziałem się o tobie od człowieka imieniem Billy – powiedział Poole. Wydawało się, że coś mu umyka, jakiś sekret, który znali inni.

– A co robiłeś z Billym? Szukasz rozrywki? Mam nadzieję, że znalazłeś.

– Szukam pisarza Tima Underhilla – odparł Poole.

Lola zaskoczył go, uderzając pudełeczkiem w blat z wystarczającą siłą, by wzbila się brudna chmura pudru.

– Wiesz, myślałem, że jestem na to gotowy, ale nie, nie jestem.

Myślał, że jest na to gotowy? – powtórzył w duchu Poole.

– Billy wspomniał, że mogłeś znać Underhilla, a może nawet wiesz, gdzie on jest.

– Cóż, nie ma go tutaj. – Lola zrobił krok w jego stronę. – Nie chcę o tym rozmawiać. Zaraz mam występ. Daj mi spokój.

Muzycy przyglądali się im z dobronudną obojętnością.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział Poole.

– Kim jesteś, glina? A może jest ci winien pieniądze?

– Nazywam się Michael Poole. Jestem lekarzem. Byłem jego przyjacielem.

Lola przycisnął dłoń do czoła. Wyglądał tak, jakby chciał, żeby Poole był snem, który po prostu się skończy. Opuścił ręce i przewrócił oczami.

– O Boże. Niech ci będzie. – Zwrócił się do grającego na kongach. – Znałeś Tima Underhilla?

Konga pokręcił głową.

– Nie grałeś na Bugis Street na początku lat siedemdziesiątych?

– Wtedy wciąż byliśmy w Manili – wyjaśnił grający na kongach. – Byliśmy Cadillacami w siedemdziesiątym, graliśmy w Subic Bay.

– Grałem wszystkie taktory – wtrącił klawiszowiec.

– Cudowne czasy, człowieku. Miałeś wszystko, czego chciałeś.

– Danny Boy – powiedział klawiszowiec. – Danny Boy. Żeglarze mają Danny'ego Boya.

– Możesz mi powiedzieć, gdzie go znaleźć? – zapytał Poole.

Lola spostrzegł, że ma palce opylone czarnym proszkiem. Z niesmakiem przejrzał się w lustro, po czym wyjął chusteczkę z pudełka na stole. Nieśpiesznie wycierał palce, patrząc na siebie w lustro.

– Nie mam nic do ukrycia – powiedział do lustra. – Wręcz przeciwnie.

Znów spojrzął na Poole'a.

– Co zrobisz, kiedy go znajdziesz?

– Pogadam z nim.

– Mam nadzieję, że nie tylko. – Lola głośno wypuścił powietrze i lustro zaparowało. – Naprawdę jeszcze nie jestem na to gotowy.

– Podaj tylko czas i miejsce.

– Czas i miejsce – zaśpiewał klawiszowiec. – Podaj mi czas i miejsce.

– Subic Bay – wtrącił grający na kongach.

– Znasz park Bras Basah? – zapytał Lola.

Poole powiedział, że zdoła go znaleźć.

– Spotkamy się tam jutro o jedenastej, może.

Lola ponownie spojrzała na siebie w lustrze.

– Jeśli mnie tam nie będzie, zapomnij o wszystkim. Nie wracaj. W porządku?

Poole nie miał zamiaru spełnić tej prośby, ale skinął głową.

Perkusista zaczął śpiewać „Czy znasz drogę do parku Bras Basah” i Poole wyszedł z pokoju.

7

Następnego ranka, po półgodzinnym spacerze Poole zobaczył mały zielony trójkąt pomiędzy Orchard Road i Bras Basah Road. Był sam – Conor osłabiony atakiem jakiegoś bakcyła nie dałby rady przejść trzech mil do parku, a Beavers, który pojawił się w kawiarni z workami pod oczami i czerwoną rysą nad prawą brwią, doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli Michael samodzielnie „wymaca” wokaliste.

Poole rozumiał, dlaczego Lola wybrała na spotkanie park Bras Basah. Był to prawdopodobnie najbardziej publiczny park, jaki kiedykolwiek widział. Nic, co się tam wydarzy, nie będzie ukryte przed budynkami po drugiej stronie dwóch szerokich ulic ani przed kamerami przejeżdżających bez przerwy samochodów. Park Bras Basah był równie prywatny jak wysepka drogowa.

Przecinały go trzy szerokie, kręte ścieżki z bursztynowej cegły, zbiegające się na wąskim wschodnim krańcu, gdzie szersza alejka otaczała abstrakcyjną rzeźbę z brązu i biegła obok drewnianego znaku.

Poole szedł Orchard Road, aż dotarł do światła, które pozwoliły mu wejść do pustego parku. Zostało pięć minut do jedenastej.

Usiadł na jednej z ławek przy ścieżce znajdującej się najbliżej Orchard Road i powiodł wzrokiem dokoła, zastanawiając się, gdzie jest teraz Lola i czy obserwuje go z jednego z okien wychodzących na park. Wiedział, że piosenkarz każe mu czekać, i żałował, że nie pomyślał o zabraniu ze sobą książki.

Siedział na drewnianej ławce w ciepłym słońcu. Starzec kuśtykał o lasce i przejście przed ławką zajęło mu zdumiewająco dużo czasu. Poole patrzył, jak drepcze obok ławek, rzeźby, znaku i wreszcie wychodzi na środek Orchard Road. Minęło dwadzieścia pięć minut.

Oto siedział na ławce na słynnej wysepce drogowej w Singapurze. Nagle poczuł się monstrualnie samotny. Rozważał możliwość – nie, prawdopodobieństwo – że jeśli nigdy nie wróci do Westerholmu, najbardziej będzie za nim tęsknić mała dziewczynka, dla której nie mógł zrobić nic poza kupowaniem książek.

I dobrze. W porządku. Też tęskniłby za Stacy, równie mocno, gdyby zmarła pod jego nieobecność. To dziwne, pomyślał: na studiach medycznych cholernie dużo dowiedziałeś się o sprawach życia i śmierci, ale praktycznie niczego nie nauczyłeś się o żałobie. Nie nauczyli cię niczego o żalu. W owych dniach doktor Michael Poole uważał smutek za jedną z absolutnie podstawowych ludzkich emocji. Smutek był powiązany z miłością.

Poole wspominał, jak stał samotnie w pokoju hotelowym w Waszyngtonie, i patrzył, jak krzykliwa pomalowana furgonetka miażdży przód zakurzonego małego samochodu, wspominał, jak szedł w rześkim zimnym powietrzu wraz z wąsatymi weteranami w towarzystwie dublera Denglera i ducha Tima Underhilla. Przypomniał sobie Thomasa Stracka.

Zobaczył grube damy machające transparentami i zimne chmury przemykające w szarym powietrzu. Przypomniał sobie, jak nazwiska wyskoczyły z czarnej ściany, i gorzki, esencjonalny smak śmiertelności zalał mu usta.

– Dwight T. Pouncefoot – powiedział i usłyszał chwalebłą absurdalność tego nazwiska. Mgłą zasnęła mu oczy i zaczął niekontrolowanie chichotać.

Przez jakiś czas śmiał się i płakał jednocześnie. Niezwykła mieszanina uczuć parowała mu w piersi, wypełniając każdą szczelinę, zapalając każdą synapsę. Śmiał się i płakał, przepelniony smakiem śmiertelności i żalu, w równej mierze gorzkim i radosnym. Gdy emocje zaczęły opadać, wyciągnął chusteczkę z kieszeni, wytarł oczy i zobaczył obok siebie na ławce chudego mężczyznę w średnim wieku, wyglądającego jak chiński Roddy McDowall. Mężczyzna obserwował go z mieszaniną ciekawości i zniecierpliwienia. Był jednym z tych, którzy po czterdziestce wyglądają jak nastolatki, a potem nagle marszcza się i stają podstarzałymi chłopcami-mężczyznami.

Michael ogarnął wzrokiem brązowe spodnie i różową koszulę z kołnierzykiem starannie wyłożonym na kołnierz brązowej sportowej marynarki w szkocką kratę, spojrzała na skrupulatnie przyлизane włosy i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że to Lola po cywilnemu i bez makijażu.

– Przypuszczam, że ty też jesteś obłąkany – powiedział Lola bezbarwnym głosem bez akcentu. Skomplikowany wzór rys i zmarszczek pokrył jego twarz, gdy się uśmiechnął. – Ma sens, skoro jesteś

przyjacielem Underhilla.

– Po prostu myślałem, że tylko naprawdę straszna wojna mogła zabić niejakiego Dwighta T. Pouncefoota. Zgodzisz się ze mną? – Nazwisko wywołało kolejny spazm tych radykalnie sprzecznych uczuć i Poole zamknął usta, broniąc się przed atakiem obłąkańczego chichotu.

– Pewnie – odparł Lola.

Poole opuścił ręce na kolana i z lekkim szokiem ulgi i zaskoczenia zobaczył, że jego wybuch zrobił niewielkie wrażenie na Loli. Widział gorsze rzeczy.

– Byłeś w Wietnamie z Underhillem?

Poole skinął głową. Przypuszczał, że Lola nie potrzebował innego wyjaśnienia.

– Byliście bliskimi przyjaciółmi?

– Uratował wielu ludzi w miejscu zwanym Smoczą Doliną, po prostu każąc im zachować spokój. Myślę, że był świetnym żołnierzem. Lubił emocje związane z walką, lubił patrole, lubił przyływ adrenaliny. I był mądry.

– Nie widziałeś go od wojny?

Poole pokręcił głową.

– Wiesz, co myślę? – zapytał Lola i odpowiedział na swoje pytanie, gdy Poole czekał. – Myślę, że nie możesz pomóc Timowi Underhillowi. – Zerknął na niego, po czym odwrócił wzrok.

– Gdzie go poznajeś?

Lola znów spojrzał prosto na niego, jego usta poruszały się, jakby chciały znaleźć i wyrzucić irytującą nasionko.

– W Pieśni Orientu. Teraz jest zupełnie inaczej, przyjmują grupy wycieczkowe i płacą po kilka dolarów ludziom z Bugis Street, żeby siedzieli z tyłu i wyglądali na rozwiączych.

– Byłem tam – powiedział Poole, przypominając sobie Wesołą Jaśminę.

– Wiem, że byłeś. Wiem o każdym miejscu, które odwiedziłeś. Wiem wszystko, co robiliście ty i twój przyjaciele. Wiele osób do mnie dzwoniło. Nawet myślałem, że wiem, kim jesteś.

Poole milczał.

– Mówił o wojnie. Mówił o tobie. Michael Poole, prawda? – Gdy Poole skinął głową, Lola kontynuował: – Myślę, że może cię zainteresować, co o tobie mówił. Powiedział, że jest ci pisane zostać dobrym lekarzem, poślubić idealną sukę i zamieszkać na przedmieściach.

Poole odwzajemnił jego uśmiech.

– Powiedział, że w końcu znieawidzisz pracę, żonę i miejsce, w którym mieszkasz. Powiedział, że jest ciekaw, ile czasu zajmie ci osiągnięcie tego etapu i co potem zrobisz. Powiedział też, że cię podziwiał.

Poole musiał zrobić zaskoczoną minę, bo Lola dodał:

– Underhill powiedział mi, że masz siłę, by przez długi czas tolerować drugorzędne przeznaczenie. Podziwiał to, ponieważ sam nie mógł, sam znajdował przeznaczenie dziesiątego, dwunastego, setnego rzędu. Po tym, jak pisanie przestało mu wychodzić, twój przyjaciel wyruszył na poszukiwanie dna. A ludzie, którzy szukają dna, zawsze je znajdują. Ponieważ zawsze jest, prawda?

Poole chciał zapytać, co go tam posłało, ale Lola mówił dalej – szybko.

– Opowiem ci o Amerykanach, którzy przybywali tu podczas wojny wietnamskiej. Ci ludzie nie mogli przystosować się do życia we własnym kraju. Na Wschodzie czuli się lepiej. Wielu z nich lubiło Azjatki. Albo chłopców Azjatów, jak twój przyjaciel. – Gorzki uśmiech. – Wielu z nich chciało być tam, gdzie według nich było mnóstwo narkotyków. Większość pojechała do Bangkoku, niektórzy kupili bary w Patpong czy Chiang Mai, inni weszli w handel narkotykami. – Znów spojrzał na Poole'a.

– Co zrobił Underhill?

Twarz Loli zamieniła się w dzicz zmarszczek.

– Underhill był szczęśliwy ze swoją pracą. Mieszkał w maleńkim pokoju w starej chińskiej dzielnicy, z maszyną do pisania na skrzynce. Miał mały gramofon, wydawał pieniądze na płyty, książki, Bugis Street i narkotyki. Ale był chorym człowiekiem. Kochał destrukcję. Powiedzieliś, że był dobrym żołnierzem. Jak sądzisz, co sprawia, że ktoś jest dobrym żołnierzem? Kreatywność?

– Ale był kreatywny, nikt temu nie zaprzeczy. Tu napisał swoje najlepsze książki.

– Swoją pierwszą książkę napisał w głowie w Wietnamie. Musiał tylko to odłożyć na później. Siedział w swojej klitce, pisał na maszynie, wychodził na Bugis Street, podrywał chłopców, robił co robił, brał co brał, następnego ranka pisał trochę więcej. Wszystko szło jak z płatka. Myślisz, że nie wiem? Wiem, byłem tam. Kiedy skończył książkę, urządził wielką imprezę w Pływającym Smoku. Wtedy poznał się z Ong Pinem, moim przyjacielem. Później był gotów zacząć następną książkę. Powiedział mi, że wie wszystko o tym szaleńcu, zna go od środka, musi napisać o nim książkę. Coś wymyślił, był bardzo tajemniczy. Tajemniczy pod wieloma względami. Potrzebował pieniędzy, ale powiedział, że ma

plan, który ustawi go na całe życie. Ale zanim go zrealizuje, musi pożyczyć – potrzebuje pieniędzy, by utrzymać się na powierzchni. Pożyczał od wszystkich. Łącznie ze mną. Dużo pieniędzy. Obiecywał, że odda, oczywiście, że odda. Przecież jest sławnym autorem, prawda?

– Czy tak narodził się pomysł procesu?

Lola obrzucił go przenikliwym spojrzeniem i uśmiechnął się krzywo.

– Dla niego było to doskonałym rozwiązaniem. Liczył na setki tysięcy dolarów. Underhill miał jeden duży problem: nie mógł napisać niczego, co uważał za dobre. Po *Podzielnym człowieku* zaczął dwie czy trzy książki. Podarł je wszystkie. Oszalał, razem z Pinem zagrozili wydawcy procesem. Chciał zdobyć dużo pieniędzy od razu, spłacić wszystkie długi. Kiedy ten genialny plan nie wypalił, Underhill miał dość Ong Pina. Wyrzucił go ze swojego mieszkania, wszystkich odesłał. Pobił chłopca – wariactwo. A potem zapadł się pod ziemię. Nikt nie mógł go znaleźć. Później słyszałem o nim różne rzeczy. Mieszkał w hotelach i uciekał w środku nocy po nabiciu ogromnych rachunków. Kiedyś usłyszałem, że sypia pod pewnym mostem, więc wybrałem się tam z paroma osobami, żeby zobaczyć, czy da się wytrząsnąć z niego przynajmniej kilka dolarów, może go pobić, ale go nie zastaliśmy. Słyszałem, że spędzał całe dnie w palarni opium. Później usłyszałem, że jest jeszcze bardziej obłąkany niż wcześniej, mówi ludziom, że świat jest brudny, że ja jestem demonem, Billy jest demonem, Bóg nas zniszczy. Przestraszyłem się, doktorze. Kto mógł przewidzieć, co zrobi ten szalony człowiek? Nienawidził siebie, wiedziałem o tym. Ludzie, którzy nienawidzą siebie, którzy nie mogą znieść tego, za kogo się uważają, są zdolni do wszystkiego. Miał zakaz wstępu do barów w całym mieście. Nikt go nie widział, ale wszyscy słyszeli historie. Znalazł dno, dokonał tego.

Poole jęknął w duchu. Co się stało z Underhillem? Może zniszczyły go narkotyki, uniemożliwiający mu dobre pisanie.

Gdy Lola mówił, Poole rozpamiętywał noc w Waszyngtonie, kiedy wybrał się z prawniczką na koncert pianisty jazzowego Hanka Jonesa. Przyjechał do miasta, aby złożyć zeznania na przesłuchaniu w sprawie agent orange. Niewiele wiedział o jazzie, a teraz nie mógł sobie przypomnieć niczego, co grał Hank Jones. Ale zapamiętał wdzięk i radość, które wydawały się jednocześnie abstrakcyjne i fizyczne. Pamiętał, jak Hank Jones, czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku o siwych włosach i przystojnej, diabolicznej twarzy, pochylał głowę nad klawiaturą, reagując wyłącznie na przepływ inspiracji. Muzyka trafiła prosto do serca Michaela Poole'a. Namiętność tak lekka! Pasja tak śpiewna! Poole wiedział, że dzięki cudowi współodczuwania odbierał muzykę tak samo jak młoda prawniczka. Po koncercie, gdy Jones stał przy fortepianie i rozmawiał ze swoimi fanami, Poole widział bijącą od niego radość z tego, co zrobił. Radość jaśniała nawet w gracji jego ruchów i miał wrażenie, że patrzy na starego lwa przepęhionego esencją lwiego charakteru.

I wtedy przyszło mu do głowy, że ze wszystkich znanych mu ludzi prawdopodobnie tylko Tim Underhill znał tę promienną wewnętrzną pogodę.

Ale Underhill miał tylko kilka lat z tego, co Hank Jones najprawdopodobniej miał od dziesięcioleci. Pozbawił się reszty.

Nastąpiła długa pauza.

– Czytałeś jego książki?

Poole skinął głową.

– Są dobre?

– Pierwsze dwie były bardzo dobre.

Lola prychnął.

– Myślałem, że wszystkie będą okropne.

– Gdzie on teraz jest? Masz pojęcie?

– Zamierzasz go zabić? – Lola spojrział na niego spod zmrużonych powiek. – Cóż, może ktoś powinien to zrobić i zakończyć jego cierpienie, zanim on kogoś zabije.

– Jest w Bangkoku? W Tajpej? Z powrotem w Stanach?

– Ktoś taki jak on nie może wrócić do Ameryki. Udał się w jakieś inne miejsce, jestem tego pewien, jak obłąkane zwierzę czołgające się do bezpiecznej kryjówki. Zawsze myślałem, że pojedzie do Bangkoku. Bangkok byłby dla niego idealny. Ale kiedyś wspomniał o Tajpej, więc może tam się wybrał. Nigdy nie oddał mi długu, tyle mogę powiedzieć. – Teraz zmrużone oczy wyrażały czystą złośliwość. – Tym szaleńcem, o którym miał zamiar napisać, był on sam. Nawet tego nie wiedział, a ludzie nieświadomi siebie są niebezpieczni. Kiedyś myślałem, że go kocham. Kochałem go! Doktorze Poole, jeśli znajdziesz przyjaciela, mam nadzieję, że będziesz bardzo ostrożny.

Biblioteka

1

Michael Poole i Conor Linklater byli już w Bangkoku – a Harry Beevers w Tajpej – od dwóch dni, kiedy Tina Pumo dokonał odkrycia w prozaicznym otoczeniu czytelnik mikrofilmów głównej filii nowojorskiej Biblioteki Publicznej. Tam krępemu brodacowi po sześćdziesiątce w porządnym czarnym garniturze wyjaśnił, że pisze książkę o Wietnamie, koncentrując się przede wszystkim na sądzie wojennym po Ia Thuc.

Jakie gazety chce przejrzeć? Kopie dzienników z Nowego Jorku, Waszyngtonu, Los Angeles i St Louis oraz krajowych magazynów informacyjnych z listopada 1968 roku i marca 1969. Chciał zobaczyć również nekrologi ofiar Koko, więc poprosił o „London Timesa”, „Guardiana” i „Telegraph” z tygodnia po 28 stycznia 1982 roku i gazety z St Louis z tygodnia po 5 lutego 1982, a także dzienniki paryskie z tygodnia po 7 lipca 1982.

Brodacz powiedział, że zlokalizowanie i zebranie takiej ilości materiału zwykle zajmuje dużo czasu, ale ma dla niego zarówno dobre, jak i złe wieści. Dobra wiadomość: różne mikrofilmy dotyczące incydentu Ia Thuc już zostały skompletowane – było nawet kilka źródeł, długie artykuły w „Harper’s”, „The Atlantic” i „American Scholar”, które Tina przeoczył. Zła wiadomość: materiały wciąż czekają na redystrybucję, ponieważ ktoś inny zajmował się Ia Thuc. Dziennikarz Roberto Ortiz poprosił o te same mikrofilmy trzy dni wcześniej, przeglądał je dzień później i spędził wtorkowe popołudnie na ich ponownym badaniu, a dziś jest środa – dzień „Village Voice”, pomyślał odruchowo Pumo.

Nigdy nie słyszał o Robercie Ortizie i jego emocje sprowadzały się głównie do wdzięczności, że nie będzie musiał czekać całymi dniami na zlokalizowanie mikrofilmów. Tina powiedział sobie, że sprawdza przekazane przez Beeversa informacje po prostu dla pewności, i w ten sposób rekompensował sobie poczucie, że omija go coś ważnego, bo nie poleciał do Singapuru. Jeśli odkryje coś, o czym jego przyjaciele powinni wiedzieć, zadzwoni do nich do Marco Polo.

Zanim znalazł i skompletowano artykuły, przeczytał, co w magazynach informacyjnych i „New York Timesie” napisano o Ia Thuc. Siedział na plastikowym krześle przed plastikowym biurkiem; krzesło było niewygodne, a czytnik mikrofilmów zajmował tak dużą część blatu, że musiał położyć notes na kolanach. Po kilku minutach przestało to mieć znaczenie. To, co w nim zaszło w ciągu dziesięciu minut od rozpoczęcia lektury artykułu z „Newsweeka”, zatytułowanego „Ia Thuc: wstyd czy zwycięstwo?”, było bardzo podobne do tego, co przydarzyło się Conorowi Linklaterowi, gdy Charlie Daisy położył przed nim album ze zdjęciami specjalisty Cottona. Jakoś udało mu się zapamiętać, że tamte wydarzenie zostały szeroko nagłośnione.

Według „Newsweeka” porucznik Harry Beevers powiedział: „Bierzemy udział w tej wojnie, żeby zabijać wietkongów, a wietkongi mają różne kształty i rozmiary. Osobiście mam na koncie trzydziestu martwych żółtków”. zabójca dzieci? – pytał „Time”, który opisał porucznika jako „chudego, z zapadniętymi oczami i policzkami, zdesperowanego człowieka na krawędzi”. czy byli niewinni? – zapytał „Newsweek”; według tygodnika porucznik był „być może taką samą ofiarą Wietnamu, jak dzieci, które rzekomo zabił”.

Tina pamiętał Harry’ego Beeversa z Ia Thuc. „Mam na koncie trzydziestu martwych żółtków! Macie jaja? Przypnijcie mi medal”. Porucznik był w stanie euforii i gadał jak nakręcony, nie mógł się zamknąć. Gdy stałeś obok niego, prawie czułeś, jak krew skupia się wokół jego tętnic. Wiedziałeś, że poparzysz sobie palce, jeśli go dotkniesz. „Wojna sprawia, że wszyscy są w tym samym wieku!” – krzyknął do reporterów. „Dupki, myślicie, że w tej wojnie są dzieci, myślicie, że dzieci w ogóle istnieją

na tej wojnie? Wiecie, dlaczego tak myślicie? Jesteście ignoranckimi cywilami, oto dlaczego. Nie ma żadnych dzieci!”

Tamte artykuły niemal posyłały Beeversa na szubienicę, i Denglera razem z nim. „Time” napisał: „Zasługuję na cholerny medal!”. Zabawne, pomyślał Pumo, bo wspominając tamte wydarzenia, Beevers twierdził, że zawsze mówił, że reszta plutonu też zasłużyła na cholerne medale.

Otoczony bańką niezemińskiej ciszy Pumo przypomniał sobie, jak szeleni i napięci byli wtedy wszyscy, jak wąska granica dzieliła moralność i morderstwo. Byli niczym więcej jak nerwami podłączonymi do palców, którymi pociąga się za spust. Smród sosu rybnego i dym unoszący się z garnka. Na zboczach dziewczyna niczym zmięte niebieskie łachmany leży przed swoim drewnianym nosidłem. Jeśli wioska była pusta, to kto, do cholery, gotował? I dla kogo? Wszystko było nieruchome jak tygrys w trawie. Maciora chrząknęła i przekrzywiła łeb, i Pumo pamiętał, jak obrócił się na pięcie z bronią gotową do strzału i prawie przeciął brudne dziecko na pół. Ponieważ nie mogłeś wiedzieć, nigdy nie wiedziałeś, i śmierć mogła być małym uśmiechniętym dzieckiem z wyciągniętą ręką; to porażało twój mózg, smażyło go, i albo rozwalaleś wszystko w zasięgu wzroku, albo wtapiałeś się w to, co było za tobą. Jak tygrys w trawie, możesz ocalić życie, stając się niewidzialny.

Długo przyglądał się zdjęciom – porucznik Beevers, chudy jak młode drzewko, z wymizerowaną twarzą i świdrującym wzrokiem. M.O. Dengler – niezidentyfikowane, białe zmęczone oczy błyskające spod hełmu. Cała ta zieleń wokół nich, ta pulsująca, drżąca, wrzająca zieleń. Otwór jaskini – „jak pięść”, powiedział Victor Spitalny na sądzie wojennym.

Następnie przypomniał sobie, jak porucznik Harry Beevers wyciągał za kostki sześć-, siedmioletnią dziewczynkę z rowu, ubłocone nagie dziecko nacechowane specyficzną wietnamską kruchością, z drobnymi kośćmi, jak u kurczaka, w szyi i ramionach, a później kręcił nią jak indiańską maczugą. Usta miała wygięte w podkówkę, jej skóra marszczyła się w miejscach, gdzie liźnął ją ogień.

Pumo był cały mokry, boki miał zimne od potu. Wiedział, że musi wstać i odejść od czytelnika. Spróbował odsunąć krzesło i poruszył całym biurkiem. Przełożył nogi, poderwał się i wyskoczył na środek cytelnii.

W porządku, przeszli na drugą stronę. Koko narodził się po drugiej stronie granicy, tam, gdzie spotyka się słońca.

Małe uśmiechnięte dziecko wyłoniło się z czarnego bezkresu, trzymając śmierć w drobnych rączkach.

Niech facet o hiszpańskim nazwisku weźmie sobie Ia Thuc, pomyślał Tina, to będzie tylko kolejna książka. Dam ją Maggie na Boże Narodzenie, a ona mi opowie, co się tam wydarzyło.

Uniósł wzrok i drzwi się otworzyły. Wszedł chłopak ze skąpą bródką i z kolczykiem w uchu, niosąc w garściach szpulki z mikrofilmami.

– Pan Poma?

– Pumo – poprawił i wziął mikrofilmy.

Wrócił do swojego małego biurka, wyjął mikrofilm „Time’a” i załadował „St. Louis Post-Dispatch” z lutego 1982 roku. Przewijał strony druku, aż znalazł nagłówek dyrektor z żoną zamordowani na dalekim wschodzie.

Artykuł zawierał mniej informacji na temat zgonów, niż to, co Pumo już wiedział od Beeversa. Państwo Williamowie Martinsonowie z Breckinridge Drive 3642, szanowana para z wyższej klasy średniej, zginęli w tajemniczych okolicznościach w Singapurze. Ich ciała odkrył rzeczoznawca majątkowy, który wszedł do rzekomo pustego bungalowu w mieszkalnej części miasta. Podejrzewano motyw rabunkowy. Pan Martinson wiele podróżował po Dalekim Wschodzie jako viceprezes wykonawczy i dyrektor do spraw marketingu firmy Martinson Narzędzia i Sprzęt sp. z o.o., i często towarzyszyła mu żona, również zasłużona obywatelka Saint Louis.

Pan Martinson, lat sześćdziesiąt jeden, ukończył St Louis Country Day School, Kenyon College i Uniwersytet Columbia. Jego pradziadek, Andrew Martinson, założył firmę Martinson Narzędzia i Sprzęt w Saint Louis w 1890 roku. Ojciec, James, był prezesem firmy w latach 1935-1952 oraz prezesem St Louis Founders’ Club, Union Club i Athletic Club, a także zajmował eksponowane stanowiska w wielu radach obywatelskich, edukacyjnych i religijnych. Pan Martinson dołączył do firmy rodzinnej, obecnie kierowanej przez jego starszego brata, Kirkby’ego Martinsona, w 1970 roku; wykorzystując swoje doświadczenie zdobyte na Dalekim Wschodzie i umiejętności negocjacyjne, zwiększył roczne przychody firmy podobno o kilkaset milionów dolarów.

Pani Barbara Martinson, z domu Hartsdale, absolwentka Academie Francaise i Bryn Mawr College, od dawna odgrywała znaczącą rolę w sprawach obywatelskich i kulturalnych. Jej dziadek, Chester Hartsdale, kuzyn w drugiej linii poety T.S. Eliota, założył sieć domów towarowych Hartsdale, przez pięćdziesiąt lat dominującą na Środkowym Zachodzie, a po I wojnie światowej był ambasadorem

w Belgii. Śmierć Martinsonów pograżyła w żalu brata pana Martinsona Kirkby'ego i siostrę Emmę Beech z Los Angeles, braci pani Martinson, Lestera i Parkera, dyrektorów firmy zajmującej się dekoracją wnętrz La Bonne Vie w Nowym Jorku, oraz ich dzieci: Spensera, zatrudnionego przez Centralną Agencję Wywiadowczą, Arlington, Wirginia, Parkera, San Francisco, Kalifornia, i Arlette Monaghan, artystkę z Cadaques w Hiszpanii. Nie mieli wnuków.

Tina przyjrzał się zdjęciom dwojga przykładnych obywateli. William Martinson miał blisko osadzone oczy, siwą grzywkę i gładką, inteligentną twarz. Emanował aurą dostatnią, skrytą, borsuczą. Barbara Martinson uśmiechała się z zaciśniętymi ustami, prawie nieśmiało, spoglądając w bok. Miała taką minę, jakby właśnie myślała o czymś zabawnym i raczej sprostym.

Na trzeciej stronie widniał nagłówek sąsiedzi i przyjaciele wspominają martinsonów. Pumo zaczął przegłądać drobny druk na ekranie monitora, błędnie zakładając, że już poznał wszystkie istotne informacje o Martinsonach. Oczywiście Martinsonowie byli kochani i podziwiani. Oczywiście ich śmierć była tragiczną stratą dla społeczności. Byli przystojni, hojni i dowcipni. Mniej przewidywalne było to, że William Martinson wciąż był znany swoim najstarszym przyjaciółm jako „Puszek”. Często wspomniano, że pan Martinson wykazał się niezwykłymi zdolnościami biznesowymi po zrezygnowaniu z kariery dziennikarskiej i dołączeniu do rodzinnej firmy podczas kryzysu w Narzędziach i Sprzęcie.

Dziennikarstwo? – pomyślał Pumo. Puszek?

„Odnioś sukces w dwóch dziedzinach”, głosił podtytuł. William Martinson ukończył dziennikarstwo w Kenyon College i na Columbii. W 1948 roku dołączył do redakcji „St Louis Post-Dispatch” i wkrótce został uznany za reportera o wyjątkowym talencie. W 1964 roku, mając za sobą pracę na kilku innych prestiżowych stanowiskach dziennikarskich, został korespondentem „Newsweeka” w Wietnamie. Pisał dla tygodnika aż do upadku Sajgonu, a następnie został szefem biura. Nadal utrzymywał swój dom i przyjaźnie w Saint Louis, a w 1970 roku na jego cześć wydano uroczystą kolację w Athletic Club, za wkład w amerykańskie rozumienie wojny, zwłaszcza za pracę nad reportażem o tym, co początkowo wydawało się masakrą w wiosce... Pumo przestał czytać. Przez pewien czas niczego nie widział ani nie słyszał – Ia Thuc znowu niemiłe go zaskoczyło. Powoli uświadomił sobie, że jego ręce wyciągają z czynnika mikrofilm z Saint Louis.

– Cholerny Beevers – powiedział do siebie. – Ten cholerny głupiec.

– Uczisz się, człowieku – odezwał się ktoś płaskim kamiennym głosem za jego plecami.

Pumo próbował obrócić się na plastikowym krześle i uderzył się o oparcie tak mocno, że nabilił sobie siniaki. Potarł udo i spojrział na chłopaka z namiastką brody.

– Puma, zgadza się?

Pumo westchnął i skinął głową.

– Nadal pan to chce? – Wyciągnął kolejny stos pojemników z mikrofilmami.

Pumo wzięł je, odprawił chłopaka machnięciem ręki i wrócił do ekranu. Nie wiedział, na co patrzy, czego szuka. Czuł się jak żonaty piornur. Cholerny Harry Beevers, miał zbadać sprawę morderstwa Koko, a wcale się w nią nie zagłębił. Pumo poczuł, jak przewala się w nim kolejna fala skoncentrowanej wściekłości.

Uderzył w zmikrofilmowany londyński „Times” wystarczająco mocno, żeby zadrżało biurko. Odgłosy niezadowolenia, ewidentnie od jakiegoś czasu na niskim poziomie, dobiegły nieco głośniejsze zza przegrody oddzielającej go od sąsiedniego monitora.

Pumo przeszukiwał tekst, aż znalazł nagłówek i podtytuł: dziennikarz-powieściopisarz mckenna zamordowany w singapurze. Zyskał sławę podczas wojny wietnamskiej. Clive McKenna trafił na pierwszą stronę „Timesa” 29 stycznia 1982 roku, sześć dni po śmierci i dzień po odkryciu zwłok. Przez dziesięć lat pracował dla agencji Reuters News Service w Australii i Nowej Zelandii, a następnie został przeniesiony do biura Reutersa w Sajgonie, gdzie szybko stał się znany jako pewna siebie postać miary legendarnego Seana Flynna. Pan McKenna wyróżnił się tym, że jako pierwszy angielski dziennikarz relacjonował obłężenie Khe Sanh, masakrę w My Lai i walki w Hue podczas ofensywy Tet w 1968 roku, a także był jedynym angielskim dziennikarzem obecnym bezpośrednio po kontrowersyjnych wydarzeniach w wiosce Ia Thuc, których następstwem były sąd wojenny i ostateczne uniewinnienie dwóch amerykańskich żołnierzy. McKenna opuścił świat dziennikarstwa drukowanego w 1971 roku, kiedy wrócił do Anglii, by napisać pierwszy z serii międzynarodowych thrillerów, które szybko uczyniły go jednym z najwybitniejszych i najlepiej sprzedających się autorów w tym kraju.

– Był na pokładzie tego cholernego śmigłowca – powiedział głośno Pumo.

Clive McKenna był w śmigłowcu, który przywiózł reporterów do Ia Thuc, William Martinson był w śmigłowcu i bez wątpienia byli tam również francuscy reporterzy.

Pumo wyjął mikrofilm i zastąpił go tym z francuskiej gazety. Nie znał francuskiego, ale w artykule wyróżnionym czarną ramką na pierwszej stronie „L'Express” bez problemu znalazł słowa Wietnam i Ia

Thuc, pisane tak samo po angielsku i francusku.

Zza przegrody wyłoniła się kanciasta męska głowa o brązowych oczach za dużymi szarymi okularami.

– Przepraszam – powiedział Pumo.

Poniżej głowy ukazała się muszka w kropki.

– Jeśli nie może pan kontrolować siebie ani swojego słownictwa, będę zmuszony poprosić pana oopuszczenie czytelnia.

Pumo miał ochotę przywalić nadętemu dupkowi. Muszka przypomniała mu o Harrym Beeversie.

Skrępowany, świadom, że patrzy na niego większość ludzi w czytelnia, zabrał płaszcz i oddał firm przy biurku. We wściekłym pośpiechu zbiegł po schodach i wypadł przez duże drzwi biblioteki. Śnieg wirował wokół niego.

Skręcił w Piątą Aleję i maszerował z rękami w kieszeniach, w brązowym tweedowym kaszkiecie marki Banana Republic na głowie. Zimno mu pomogło. Wyżycie się na przypadkowym przechodniu jest znacznie mniej prawdopodobne, gdy każdy stara się jak najszybciej dotrzeć do domu.

Próbował przypomnieć sobie reporterów z Ia Thuc. Należeli do większej grupy, która przybyła do Camp Crandall z głębi prowincji Quang Tri, gdzie dowództwo przygotowało dla nich różne przerażające lekcje pogładowe. Gdy już sklecieli obligatoryjne artykuły, mogli, przynajmniej tak mówiła teoria wojskowa, udać się do mniej zagrożonych regionów i polować na nowe tematy.

Mniej więcej połowa z dużego kontyngentu stwierdziła, że ma to w dupie. Wrócili do Sajgonu, gdzie mogli pić na umór, palić opium i naśmiewać się z operacji Rolling Thunder oraz mającej ją zastąpić tak zwanej „linii MacNamary”. Wszyscy reporterzy telewizyjni udali się do Camp Evans, skąd mogli łatwo dostać się do Hue, by stanąć na ładnym moście z mikrofonem i pieprzyć bzdury typu „stoję na brzegu Rzeki Prochowej w liczącym setki lat mieście Hue”. Wielu innych zostało w Camp Evans, skąd mogli przelecieć kilka kilometrów na północ i pisać dramatyczne teksty o śmigłowcach lądujących w strefie Sue. Garstka postanowiła ruszyć w teren i zobaczyć, co się stało w wiosce o nazwie Ia Thuc.

Pumowi zostało nieprzemijające wrażenie gromady mężczyzn w starannie przemyślanych quasis-mundurach, otaczających perorującego Harry’ego Beevera. Przypominali sforę psów, na przemian ujadających i połykających rzucone ochłapy.

Spśród tych, którzy otaczali Harry’ego Beeversa tamtego popołudnia, czterech już nie żyło. Ilu pozostało przy życiu?

Pumo spuścił głowę, idąc szybko Piątą Aleją w suchym wirze niesionego przez wiatr śniegu, i próbował skupić się na liczbie mężczyzn stojących wokół Beeversa. Było ich mnóstwo, tak to zapamiętał, więc spróbował wyobrazić ich sobie podczas wysiadania ze śmigłowca.

Spanky Burrage, Trotman, Dengler i on wynosili worki ryżu z jaskini i układali je pod drzewami. Beevers był uradowany, między innymi dlatego, że pod ryżem odkryli skrzynki z rosyjską bronią, i kręcił się jak fryga. „Wyciągnijcie te dzieci!” – krzyczał. „Rzućcie je obok ryżu i połóżcie przy nich broń”. Wskazywał na śmigłowiec, który rozpląszczał trawę, opadając ku ziemi. „Dawać je! Dawać je tu!”. Mężczyźni zaczęli wyskakiwać z hueya iroquoisa.

W myślach widział, jak wyskakują i pochyleni biegną do wioski. Podobnie jak wszyscy inni, starali się upodobnić do Johna Wayne’a czy Errola Flynna, i było ich... Pięciu? Sześciu?

Jeśli Poole i Beevers dotrą do Underhilla na czas, może ocala przynajmniej jedno życie.

Pumo spojrzął przed siebie i zobaczył, że przeszedł całą drogę do Trzydziestej. Patrząc na tabliczkę z nazwą ulicy, w końcu wyraźnie zobaczył reporterów wyskakujących z hueya i biegnących przez trawę rozwichrzoną jak futro głaskanego pod włos kota. Za pierwszym podążało dwóch, za nimi samotny mężczyzna obwieszony aparatami, i następny, który biegł, jakby go bolały nogi, i jeszcze jeden, łysy. Jeden z reporterów zagadał miękko, płynną, grzechoczącą hiszpańszczyzną do żołnierza La Luza, który w odpowiedzi wymamrotał coś, co zawierało słowo *maricón*, i odwrócił się plecami. La Luz zginął miesiąc później.

Zimne cienie już rozlewały się po ulicy, a w nich unosiły się i wirowały warstwy martwego śniegu. Koko zwabił ich wszystkich do Singapuru i Bangkoku, tych reporterów, wykombinował jakiś sposób, żeby pociągnąć za sznurki i nakłonić ich do przyjazdu. Jest pajakiem. Jest małym uśmiechniętym dzieckiem z wyciągniętą ręką. Zapaliły się latarnie i przez sekundę środek pełnej taksówek i autobusów Piątej Alei wydawał się odbarwiony, wyblakły. Pumo poczuł na języku smak wódki i skręcił w Dwudziestą Czwartą Ulicę.

Dopóki Pumo nie dopił drugiego drinka, widział tylko rząd butelek za barmanem, rękę podającą mu szklankę i samą piękną szklankę, wypełnioną lodem i przezroczystym płynem. Pomyślał, że może nawet zamknął oczy. Teraz pojawił się przed nim trzeci drink, a on jeszcze nie oderwał się od przeszłości.

– Tak, poszedłem do AA – mówił mężczyzna obok niego, najwyraźniej kontynuując rozmowę, która trwała od jakiegoś czasu. – Ale wiesz, co powiedziałem? Jebać to. Tak powiedziałem.

Pumo słyszał, jak mężczyzna mówi, że wybrał piekło. Jak wszyscy, którzy wybrali piekło, polecał je bardzo gorąco. Piekło nie jest takie złe, jak się wydaje. Jego nowy przyjaciel miał obwisłą fioletową twarz i cuchnący oddech. Demony wbiły małe piątki i widelki w jego zwiędłe policzki i zapaliły żółte ognie w oczach. Położył ciężką, brudną dłoń na ramieniu Puma. Powiedział, że podoba mu się jego styl – lubi gościa, który przymyka oczy, gdy pije. Barman coś szczenił i wycofał się w głąb zadymionej jaskini.

– Zabiłeś kiedy kogoś? – zapytał nowy przyjaciel. – Udawaj, że jesteś w telewizji i musisz powiedzieć prawdę. Zabiłeś kogoś? Mój nos mi mówi, że tak.

Nacisnął na jego ramię.

– Mam nadzieję, że nie – powiedział Pumo i wypił jedną trzecią nowego drinka.

– No, no, no, no, nooo – wydyszał mężczyzna. Wewnątrz niego demony szaleńczo zabrały się do pracy, szturchając swoimi małymi widłami, tańcząc, podsycając żółte ognie. – Rozpoznaję tę odpowiedź, przyjacielu, to odpowiedź byłego wojownika. Mam rację? A może... Mam rację?

Pumo uwolnił się od jego ręki i odwrócił.

– Myślisz, że to się liczy? – zapytał mężczyzna. – Nie. Tylko w jeden sposób. Kiedy pytam, czy kogoś zabiłeś, chodzi mi o to, czy odebrałeś życie tak, jak pijesz albo sikasz. Pytam, czy jesteś mordercą. I wszystko się liczy, nawet jeśli zabiłeś w mundurze swojego kraju. Bo w takim razie, formalnie rzecz biorąc, jesteś zabójcą.

Pumo zmusił się, żeby ponownie obrócić się w stronę płonącej twarzy mężczyzny i smrodu jego ciała.

– Odejdź ode mnie. Zostaw mnie w spokoju.

– Bo co? Zabijesz mnie tak, jak zabijałeś w Wietnamie? Spójrz na to.

Człowiek-demon uniósł pięść. Wyglądała jak powgniatany szary kosz na śmieci.

– Kiedy zabiłem, zabiłem go tym tutaj.

Pumo poczuł, jak ściany jaskini skupiają się na nim niczym obiektyw aparatu. Dym i smród zaciemniały powietrze, płynąc ku niemu od demona-człowieka.

– Widzisz, gdziekolwiek jesteś, tam właśnie jesteś – mówił mężczyzna. – Nie jesteś bezpieczny. Wiem. Ja też jestem zabójcą. Myślisz, że możesz wygrać, ale nie możesz. Wiem.

Pumo wycofywał się w stronę drzwi.

– Roger – kontynuował mężczyzna. – Roger Wilco. Gdziekolwiek jesteś, rozumiesz?

– Wiem – powiedział Pumo i wyszarpnął banknoty z kieszeni.

* * *

Gdy wysiadł z taksówki, okna na piętrze były pełne światła. Maggie jest w domu, dzięki Bogu. Spojrzał na zegarek i zdziwił się, że dochodzi dziewiąta. Z jego dnia zniknęło wiele godzin. Ile czasu spędził w barze przy Dwudziestej Czwartej Ulicy i ile tam wypił? Przypomniawszy sobie demona-człowieka i pomyślał, że na pewno o wiele więcej niż trzy kolejki.

Opierał się o ścianę, wchodząc po wąskich białych schodach. Otworzył drzwi i wszedł w ciepłe, łagodne światło.

– Maggie? – Bez odpowiedzi. – Maggie?

Rozpiął grubą kurtkę i rzucił ją na jeden z kołków. Gdy sięgnął po tweedową czapkę z Banana Republic, dotknął czoła i nagle wyraźnie ujrzał nakrycie głowy leżące na siedzeniu w taksówce.

Wszedł z korytarza do głównego pokoju i od razu zobaczył Maggie siedzącą na podeście za jego biurkiem, z rękami złożonymi na telefonie. Jej brwi tworzyły linię prostą, a kreza żywych pięknych włosów lśniła. Usta miała zaciśnięte tak mocno, jakby więziła w nich jakieś stworzonko.

– Jesteś pijany – wycedziła. – Zadzwońłam do trzech szpitali, a ty byłeś w barze.

– Wiem, dlaczego ich zabił – powiedział Pumo. – Nawet ich widziałem, w Wietnamie. Pamiętam, jak wyglądali, gdy wyskakiwali ze śmigłowca. Wiedziałaś... to znaczy, wiesz, że cię kocham?

– Nikt nie potrzebuje twojej miłości – burknęła, ale zauważył, choć był pijany, że jej twarz złagodniała. Już nie wzięła stworzonka w ustach.

Zaczął opowiadać o Martinsonie i McKennie oraz o spotkaniu z demonem w piekle, ale ona już szła ku niemu. Rozebrała go. Nagiego złapała za penis i zaholowała korytarzem do sypialni.

– Muszę zadzwonić do Singapuru – powiedział. – Oni jeszcze nie wiedzą!

Wzłiznęła się do łóżka obok niego.

– Teraz pogodzimy się, zanim przypomnę sobie wszystkie złe rzeczy, o jakich rozmyślałam, czekając na ciebie, i znowu się zdenerwujemy. – Wyciągnęła ręce i wtuliła się w niego. Gwałtownie odsunęła głowę. – Faj! Dziwnie pachniesz. Gdzie byłeś? W płonącym koszu na śmieci?

– To był człowiek-demon. Jego zapach wsączył się we mnie w chwili, gdy położył rękę na moim ramieniu. Powiedział, że piekło wcale nie jest takie złe, bo z czasem się do niego przyzwyczajasz.

– Amerykanie nie mają pojęcia o demonach.

Po chwili Tina pomyślała, że skoro przy niej czuje się tak niecznie dobrze, to ona też musi być demonem. Dlatego tyle wiedziała o różnych rzeczach. Dracula jest demonem, i mężczyzna w barze jest demonem, i gdybyś umiał je rozpoznać, prawdopodobnie widziałbyś demony spacerujące po ulicach Nowego Jorku. Harry Beever to inny demon. Ale później demoniczne rzeczy, które robiła mu Maggie Lah, sprawiły, że nie mógł się skupić na niczym poza myślą, że po ślubie z Maggie życie byłoby bardzo interesujące, bo miałby demona za żonę.

Dwie godziny później Pumo obudził się z bólem głowy, ze słodkim, zbożowym smakiem Maggie w ustach i ze świadomością, że nie wykonał ważnego zadania. Dobrze znany lęk o restaurację wyparł wszystkie inne myśli i nie chciał odejść, dopóki nie przypomniał sobie, jak spędził popołudnie. Musi zadzwonić do Poole'a w Singapurze i powiedzieć mu, czego dowiedział się o ofiarach. Spojrzał na radiobudzik: za kwadrans jedenasta. W Singapurze jest za kwadrans jedenasta przed południem. Istniała szansa, że jeszcze złapie Poole'a w pokoju.

Wstał z łóżka i włożył szlafrok.

Maggie siedziała na kanapie, trzymając ołówek w dłoni jak pędzel, i przyglądała się czemuś, co narysowała w żółtym notesie. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

– Myślałam o twoim menu – powiedziała. – Skoro wprowadzasz tyle zmian, może warto popracować również nad menu?

– Co z nim nie w porządku?

– Hm – mruknęła i Pumo wiedział, że zaraz mu powie. Wszedł po schodkach na podest. – Po pierwsze, wydruk z drukarki igłowej wygląda brzydko. Wywołuje wrażenie, że twoją kuchnię kieruje komputer. Papier jest ładny, ale za szybko się brudzi. Potrzebujesz czegoś z większym połyskiem. Układ za mało przejrzysty i długie opisy dań wcale nie są potrzebne.

– Często się zastanawiałem, co jest nie tak z menu. – Pumo usiadł przy biurku i zaczął szukać numeru telefonu hotelu w Singapurze. – Gdy przychodzi burmistrz, lubi czytać te opisy na głos. Żeby się nimi delectować.

– Całość wygląda jak jajecznica. Mam nadzieję, że projektant nie zdarł z ciebie skóry.

Pumo oczywiście sam zaprojektował menu.

– Był niesamowicie drogi. A, mam. – Połączył się z centralą i wyjaśnił, że chce zadzwonić do Singapuru.

– Spójrz, o ile ładniejsze może być twoje menu. – Maggie podniosła notes.

– Jest tam coś napisane?

W końcu uzyskała połączenie z hotelem Marco Polo. Recepcjonista powiedział, że w rejestrze gości nie figuruje żaden doktor Michael Poole. Nie, to nie pomyłka. Nie, nie może być pomyłki. Nie ma też żadnego Harolda Beeversa ani Conora Linklatera.

– Muszą tam być. – Pumo znowu czuł, że ogarnia go rozpacz.

– Zadzwonił do jego żony – podsunęła Maggie.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

Recepcjonista wrócił na linię, zanim Pumo zdążył pomyśleć, jak odpowiedzieć na jej pytanie.

– Doktor Poole i pozostali mieszkali u nas, ale wymeldowali się dwa dni temu.

– Dokąd się udali?

Recepcjonista się zawahał.

– Wydaje mi się, że doktor Poole umawiał podróż za pośrednictwem biura konsjerża w holu.

Mężczyzna poszedł sprawdzić, czego może się dowiedzieć, a Maggie zapytała:

– Dlaczego nie możesz zadzwonić do jego żony?

– Nie mam książki adresowej.

- Dlaczego nie masz?
- Została skradziona.
- Nie bądź śmieszny. Jesteś wredny, bo skrytykowałam twoje menu.
- Choć raz się mylisz. Nie...

Recepcjonista wrócił i powiedział, że doktor Poole i pan Linklater kupili bilety lotnicze do Bangkoku, a pan Beevers zarezerwował lot do Tajpej. Ponieważ panowie nie skorzystali z usług konsjerża, żeby zarezerwować pokoje hotelowe w tych miastach, nie wiedział, gdzie się zatrzymali.

– Dlaczego ktoś miałby kraść twoją książkę adresową? Kto kradłby komukolwiek książkę adresową, skoro o tym mowa?

Umilkła i po chwili szeroko otworzyła oczy.

- Aha. Gdy wtedy wstałeś. Gdy opowiedziałeś mi tę straszną historię.
- Ona ją ukradła.
- Dziwne.

– Też tak mówię. W każdym razie nie mam numeru telefonu Mike'a.

– Wybacz, że powiem rzecz oczywistą, ale prawie na pewno podadzą ci go w informacji.

Pumo pstryknął palcami i zadzwonił do informacji w hrabstwie Westchester, by uzyskać numer telefonu Michaela Poole'a.

– Judy na pewno jest w domu – powiedział. – Rano musi iść do szkoły.

Maggie ponuro skinęła głową.

Pumo wykręcił numer Michaela. Po dwóch sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka i usłyszał głos przyjaciela: „W tej chwili nie mogę odebrać telefonu. Zostaw wiadomość, a oddzwonię, gdy tylko będę mógł. Jeśli potrzebujesz z kimś porozmawiać, zadzwoń pod numer 555-0032”.

To pewnie numer kogoś lekarza z jego grupy, pomyślał Pumo.

– Tu Tina Pumo. Judy, słyszysz mnie? – Pauza. – Próbuję skontaktować się z Mikiem. Mam informacje, które będzie chciał poznać, a wymeldował się z hotelu w Singapurze. Oddzwonisz, gdy tylko będziesz miała jego nowy numer? Muszę z nim porozmawiać, to ważne. Pa.

Maggie ostrożnie odłożyła notatnik i ołówkę na stolik.

– Czasami zachowujesz się tak, jakby kobiety po prostu nie istniały.

– Co?

– Gdy chcesz porozmawiać z Judy Poole, o czyj numer pytasz w informacji? Michaela Poole'a. I czyj numer masz? Michaela Poole'a. Nie wpadło ci do głowy, żeby poprosić o numer Judith Poole.

– Och, przestań. Są małżeństwem.

– Co wiesz o małżeństwach, Tina?

– Wiem o małżeństwach to, że nie ma jej w domu – odparł.

* * *

Wkrótce Tina zaczął myśleć, że może jednak Maggie ma rację. Oboje Poole'owie mieli wymagającą pracę, która obejmowała zebrania i nagłe wypadki, i posiadanie odrębnych linii telefonicznych było logiczne. Sprzeciwiał się temu pomysłowi, ponieważ sam na niego nie wpadł. Ale następnego ranka, gdy zadzierał stolarzy i z chorobliwym natręctwem szukał śladów karaluchów i pajaków w każdej nowej dziurze w którejś ze ścian, wciąż nie mógł znaleźć podstaw, by kwestionować swoje przekonanie, że wczorajszego wieczoru Judy Poole nie było w domu. Ludzie zwykle mają automatyczne sekretarki tam, gdzie mogą je słyszeć – zwłaszcza gdy je włączają, będąc w domu. Właśnie dlatego je włączają. Tym samym mógł usprawiedliwić natychmiastowe odrzucenie pomysłu Maggie – gdyby mieli dziesięć numerów i gdyby zadzwonił na wszystkie, wynik byłby identyczny.

Gdy Maggie zapytała, czy zamierza sprawdzić, czy Judy ma osobną linię, odpowiedział:

– Możliwe. Ale mam dzisiaj dużo roboty, więc to chyba może poczekać.

Maggie uśmiechnęła się i łypnęła chytrze. Wiedziała, że wygrała, i była za mądra, żeby pytać go po raz drugi.

Do siódmej wieczorem, dzień po odkryciu, że ofiarami Koko byli dziennikarze z Ia Thuc, czas płynął prawie normalnie. Puma spędził dzień z Maggie w taksówkach i metrze, w innych restauracjach oraz w biurze z litografiami Davida Salle'a i Roberta Rauschenberga, gdzie Lowery Hapgood, partner Molly Witt, flirtował z Maggie podczas objaśniania nowego system regałów. Do domu wrócili dopiero tuż przed siódmą. Maggie zapytała go, czy ma ochotę coś zjeść, i położyła się na długiej kanapie, a Tina opadł na krzesło przy stole i odparł, że tak.

– No to co zrobimy?

Tina podniósł ze stołu poranny egzemplarz „Timesa”.

- Jak rozumiem, wiele kobiet rozkoszuje się tworzeniem posiłków.
- Przyćpamy lekko i pójdziemy do Chinatown na kacze łapki. Mniam.
- Chcesz być na haju po raz pierwszy, odkąd tu mieszkasz.

Maggie ziewnęła, wyciągając ręce nad głowę.

– Wiem. Robię się taka nudna. Powiedziałem to z nostalgii za czasem, kiedy byłam interesująca.

– Zaczekaj – powiedział Pumo, wpatrując się w krótki artykuł w pierwszej kolumnie na trzeciej stronie.

Nagłówek oznajmiał: ortiz, dziennikarz, zamordowany w singapurze. „Wczoraj w pustym domu w dzielnicy mieszkalnej Singapuru policja znalazła zwłoki Roberta Ortiza, lat 47, wybitnego członka korpusu prasowego. Pan Ortiz i niezidentyfikowana kobieta zmarli od ran postrzałowych. Uważa się, że nie był to napad na tle rabunkowym. Roberto Ortiz, urodzony w Tegucigalpie w Hondurasie, wykształcony w prywatnej szkole i na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, należał do wpływowej rodziny właścicieli gazet w Ameryce Środkowej i został niezależnym reporterem, piszącym do wielu hiszpańsko- i anglojęzycznych czasopism. Lata 1964-1971 spędził w Wietnamie, Laosie i Kambodży, skąd relacjonował przebieg wojny wietnamskiej dla różnych periodyków, i na podstawie swoich doświadczeń napisał książkę *Wietnam: osobista podróż*. Był dobrze znany z poczucia humoru, ekstrawagancji i odwagi. Policja singapurska ujawniła informacje, że śmierć pana Ortiza może być powiązana z kilkoma niewyjaśnionymi zabójstwami w mieście”.

– Coś odciągnęło twoją uwagę od nastoletniej kochanki narkomanki – powiedziała Maggie.

– Przeczytaj to. – Pumo podszedł do kanapy i podał jej gazetę. Przeczytała połowę na leżąco, ale usiadła, żeby skończyć. – Myślisz, że to kolejny z nich?

Pumo wzruszył ramionami – nagle pożałował, że Maggie nie jest w jakimś innym miejscu, wyglądającą mądrze uwagi na temat narkotyków.

– Nie wiem. Coś w tym jest... coś w nim jest. Człowieku, który został zabity.

– Robercie Ortizie.

Pokiwał głową.

– Znałeś go?

– Do Ia Thuc przybył reporter mówiący po hiszpańsku. – Kłębiły się w nim mroczne uczucia. Nie mógł tego znieść, niczego – żadnego mieszkania, bałaganu na dole w restauracji, a teraz także Maggie.

– Dorwał ostatniego – powiedział z czymś, co uważał za ostatnie strzępy powściągliwości. Od tej pory ciągnął na oparach. – Do Ia Thuc przybyło pięciu reporterów, a teraz wszyscy nie żyją.

– Wyglądasz okropnie, Tina. Co chcesz robić?

– Daj mi spokój. – Pumo wstał i oparł się o ścianę. Bez udziału woli, jakby ręka sama postanowiła to zrobić, zacisnął pięść. Najpierw cicho, później z coraz większą siłą uderzał w ścianę.

– Tina?

– Powiedziałem, zostaw mnie w spokoju.

– Dlaczego walisz w ścianę?

– Zamknij się!

Maggie milczała przez długi czas, podczas gdy on wciąż tłukł pięścią w ścianę. W końcu zmienił rękę.

– Oni są tam, a ty jesteś tutaj.

– Genialne.

– Myślisz, że wiedzą o tym Ortizie?

– Oczywiście, że wiedzą! – Odwrócił się, żeby móc lepiej krzyczeć. Ręce miał obolałe i opuchnięte.

– Byli w tym samym mieście! – Czuł żądzę mordu. Maggie siedziała na kanapie, wpatrując się w niego dużymi kocimi oczami. – Co ty wiesz o czymkolwiek? Ile masz lat? Myślisz, że cię potrzebuję? Nie jesteś mi tu potrzebna!

– Dobrze – powiedziała. – W takim razie nie muszę być twoją pielęgniarką.

Wezbrała w nim fala czystej czerni. Przypomniał sobie, jak demon-człowiek, który cuchnął płonącymi śmieciami, położył szarą rękę na jego ramieniu i mówił mu, że jest zabójcą. Piekło jest całkiem miłe, pomyślał. Zdał sobie sprawę, że idzie w stronę szafek kuchennych, które zawiesił Vinh. Zobacz, co możesz zrobić w piekle. Otworzył pierwszą i niemal z zaskoczeniem ujrzał naczynia ustawione na półkach. Schludne talerze wyglądały dla niego zupełnie obco. Nienawidził talerzy. Wziął ten z wierzchu i przez chwilę trzymał go oburącz, zanim upuścił. Rozbił się na kilka kawałków, gdy uderzył w podłogę. Widzisz, co możesz zrobić, gdy żyłeś w piekle? Wziął drugi talerz i rzucił. Kawałki porcelany wśliznęły się pod stół. Brał kolejne talerze, czasami upuszczał tylko jeden, innym razem dwa albo trzy. Ostatni upuścił z wielką rozwagą, jakby przeprowadzał eksperyment naukowy.

– Biedaku – powiedziała Maggie.

– Dobrze, dobrze. – Pumo przycisnął dłonie do oczu.
– Chcesz jechać do Bangkoku i zobaczyć, czy uda ci się ich znaleźć? To nie może być zbyt trudne.
– Nie wiem – odparł.
– Jeśli tutaj jest ci tak źle, powinieneś jechać. Mogę zarezerwować bilety.
– Już mi lepiej. – Przeszedł przez pokój i usiadł w fotelu. – Ale może pojedę. Czy restauracja naprawdę mnie potrzebuje?

– Potrzebuje?

Rozmyślał przez chwilę.

– Tak. Dlatego nie pojechałem. – Spojrzał na skorupy talerzy. – Kto narobił bałaganu, powinien zostać stracony. – Kiedy się uśmiechnął, jego twarz wyglądała upiornie. – Wycofuję to.

– Chodźmy do Chinatown na zupę – zaproponowała Maggie. – Jesteś osobą, która bardzo potrzebuje zupy.

– Pojedziesz ze mną do Bangkoku, jeśli się zdecyduję?

– Nienawidzę Bangkoku. Jedźmy zamiast tego do Chinatown.

Złapała taksówkę na West Broadway i Maggie wskazała drogę do Bowery Arcade, między ulicami Canal i Bayard.

Piętnaście minut później rozmawiała z kelnerem po kantońsku, w małym, obskurnym pomieszczeniu, wyklejonym zwojami ręcznie wypisanego menu. Kelner miał około sześćdziesięciu lat i był ubrany w brudny żółty uniform, niegdyś biały. Powiedział coś, co skłoniło Maggie do uśmiechu.

– Co powiedział?

– Nazwał cię starym cudzoziemcem.

Pumo spojrzął na zgięte plecy powłóczęgo nogami kelnera i stalowoszarą szczecinę pokrywającą jego głowę.

– To takie wyrażenie.

– Może powinienem jechać do Bangkoku.

– Powiedz tylko słowo.

– Jeśli wiedzieli, że ten dziennikarz, ten Ortiz, został zabity w Singapurze, po co mieliby jechać do Bangkoku?

Kelner postawił przed nimi miski kremowej owsianki, bardzo podobnej do tej, którą Michael Poole jadł na śniadanie w Singapurze.

– Chyba że dowiedzieli się, że Tim Underhill wyjechał z miasta.

– A Harry Beevers pojechał do Tajpej? – Maggie uśmiechnęła się, najwyraźniej uznając, że to śmieszne.

Pumo skinął głową.

– Musieli się dowiedzieć, że Underhill przebywa w jednym z tych dwóch miejsc, i rozdzielili się, by go znaleźć. Tylko dlaczego nie zadzwonili najpierw do mnie? Jeśli dowiedzieli się o wyjeździe Underhilla z Singapuru po przeczytaniu o Ortizie, to przecież muszą wiedzieć, że jest niewinny.

– Cóż, z Singapuru do Bangkoku leci się około godziny – powiedziała Maggie. – Jedz zupę i prześtań się zamartwiać.

Pumo spróbował zupy. Jak wszystkie potrawy, do których namawiała go Maggie i które wyglądały naprawdę dziwnie, zupa też okazała się rewelacyjna. Wcale nie była kremowa, miała smak pszenicy, esencji wieprzowej i czegoś, co smakowało jak kolendra, ale nie mogło być kolendrą. Zastanawiał się, czy nie umieścić odmiany tej zupy w nowym jadłospisie. Mógłby nadać jej nazwę typu „siła dwóch wołów” i podawać ją w czarkach z trawą cytrynową. Burmistrz byłby zachwycony.

– Jesienią, przed Halloween, widziałam cudnego Harry’ego Beeversa – powiedziała Maggie. – Zrobiłam głupstwo, żeby go podrajkować. Łaził za mną po monopolowym i w swojej arogancji myślał, że go nie widzę. Byłam z Perrym i Jules’em, wiesz, moimi kumplami z centrum.

– Roberto Ortiz – mruknął Pumo, w końcu przypomniawszy sobie szczegóły, które dręczyły go od siódmej. – O mój Boże.

– Są mili, tylko wiecznie bez pracy, dlatego ich nie znosisz. Tak czy inaczej, zobaczyłam, że Harry się za mną snuje, i na jego oczach ukradłam butelkę szampana. Czuję się pokuszenie.

– Roberto Ortiz – powtórzył Pumo. – Jestem pewien, że tak się nazywał.

– Niemal boję się zapytać, o czym mówisz.

– Gdy przeglądałam gazety w czytelnicy mikrofilmów, bibliotekarz powiedział mi, że wszystkie te artykuły zostały zebrane dla kogoś innego, kto szukał informacji do książki o Ia Thuc. Powiedział, że facet nazywa się Roberto Ortiz. – Tina dosłownie wybałuszał oczy, patrząc na Maggie. – Rozumiesz? W tym czasie Roberto Ortiz nie żył już od około tygodnia. Muszę zadzwonić do Judy Poole i sprawdzić, czy wie, gdzie jest Michael.

– To nadal nie ma sensu, Tina.

– Myślę, że Koko zabił ostatniego dziennikarza, a później wsiadł do samolotu i przyleciał do Nowego Jorku.

– Może w bibliotece był Roberto Gomez albo Umberto Ortiz, albo ktoś o zupełnie innym nazwisku. A może reporter Ernie Anastos. JJ Gonzales. David Diaz. Fred Noriega. – Zastanawiała się, próbując przypomnieć sobie innych latynoskich reporterów z nowojorskiej telewizji, ale nikt więcej nie przychodził jej na myśl.

– I szukał artykułów o Ia Thuc?

Pumo nerwowo dojadł zupę.

Gdy tylko odwiesił płaszcz w mieszkaniu, włączył światło i podszedł do biurka. Maggie, wciąż w pachowej kurtce, weszła za nim do pokoju.

Tym razem Pumo poprosił informację w Westchesterze o numer Judith Poole w Westerholmie. Podany numer wydał mu się ponuro podobny do tego, który Michael nagrał na sekretarce. Wybrał go i Judy odebrała po kilku sygnałach.

– Pani Poole, słucham.

– Judy? To ja, Tina Pumo.

Pauza.

– Cześć, Tina.

Kolejna celowa pauza.

– Wybacz, że pytam, ale czy mógłbyś powiedzieć, dlaczego dzwonisz? Robi się późno, możesz zostawić wiadomość na sekretarce Michaela, jeśli masz coś dla niego.

– Nagrałem się na jego sekretarce. Przepraszam, że niepokoję o tej porze, ale mam dla Mike’a kilka ważnych informacji.

– Och.

– Zadzwoń do niego do hotelu w Singapurze i powiedziano mi, że się wymeldowali.

– Tak.

Do diabła, co jest grane? – zastanawiał się Pumo.

– Miałem nadzieję, że podasz mi ich aktualny numer. Michael od dwóch, trzech dni jest już w Bangkoku.

– Wiem, Tina. Dałabym ci jego tamtejszy numer, ale go nie mam. Nie podał mi go.

Tina jęknęła.

– A jak nazywa się hotel?

– Nie sądzę, żeby mi powiedział. Jestem pewna, że nie pytałam.

– Czy wobec tego mogę ci przekazać wiadomość dla niego? Musi wiedzieć o paru rzeczach, które odkryłem w ciągu ostatnich kilku dni.

Kiedy Judy nic nie powiedziała, Pumo kontynuował:

– Chciałbym, żebyś mu przekazała, że ofiary Koko, McKenna, Ortiz i inni, byli dziennikarzami z Ia Thuc, i że moim zdaniem Koko być może jest w Nowym Jorku i podaje się za Roberta Ortiza.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz. O co chodzi z tymi ofiarami? Co masz na myśli, mówiąc „ofiary”? I co to za Koko?

Michael spojrzał na Maggie, która przewróciła oczami i wysunęła język.

– Do licha, Tina, co się święci?

– Judy, chciałbym, żebyś poprosiła Michaela, żeby zadzwonił do mnie jak najszybciej po tym, jak z tobą porozmawia. Albo ty do mnie dryndnij i powiedz, gdzie on jest.

– Nie możesz mi mówić takich rzeczy, a później po prostu się rozłączać! Chcę coś wiedzieć, Tina. Może ty mi wyjaśnisz, kto wydzwaniał do mnie o różnych porach dnia i nocy i nic nie mówi?

– Judy, nie mam pojęcia, kto to może być.

– Przypuszczam, że Michael nie prosił cię, żebyś dzwonił od czasu do czasu, żeby mnie sprawdzić?

– Och, Judy – westchnęła Pumo. – Jeśli ktoś cię nęka, powiadom policję.

– Mam lepszy pomysł – burknęła i odłożyła słuchawkę.

Pumo i Maggie wcześniej poszli spać. Maggie objęła go, zahaczyła stopami o tył jego nóg i mocno go trzymała.

– Co mam zrobić? – zapytał. – Obdzwonić wszystkie hotele w mieście z pytaniem, czy jest u nich Robert Ortiz?

– Przystań się zamartwiać – poradziła mu Maggie. – Nikt cię nie skrzywdzi, dopóki tu jestem.

– Prawie ci wierzę. – Zaśmiał się. – Może faktycznie pomyliłem się co do nazwiska. Może to był Umberto Diaz czy którykolwiek z tych, których wymieniał.

– Umberto nie skrzywdziłby muchy.

– Jutro pogadam z tym facetem z biblioteki.

Maggie zasnęła zaraz po tym, jak skończyli się kochać, a Pumo przez długi czas testował swoją pamięć, nie tracąc przy tym pewności, że bibliotekarz podał nazwisko Roberta Ortiza. W końcu zasnął.

I po kilku godzinach obudził się nagle, jakby szturchnięty ostrym kijem. Wiedział coś strasznego, wiedział to z absolutnym i całkowicie niezachwianym przekonaniem, z jakim w ciemności nocy rozumie się najgorsze rzeczy. Zdawał sobie sprawę, że gdy nadejdzie dzień, zacznie w to powątpiewać. Po wschodzie słońca najgorsza rzecz już nie będzie wydawać się racjonalna ani przekonująca. Jego czujność będzie uśpiona, zaakceptuje pocieszające wyjaśnienia Maggie. Ale obiecał sobie, że nie zapomni tego, co czuł w tej chwili. Wiedział, że to nie Dracula ani żaden inny przestępca włamał się do jego mieszkania. Wszedł tu Koko. Koko ukradł książkę adresową. Potrzebował adresów, żeby ich wytropić, i teraz je miał.

Później kolejna część układanki wpasowała się na swoje miejsce. Koko zadzwonił pod numer Michaela Poole'a, automatyczna sekretarka podała mu numer Judy, i od razu go wybrał. I ciągle go wybierał.

Pumo długo nie mógł zasnąć. W końcu do innych dołączyła myśl – wiedział, że jest paranoiczna – że Koko zamordował bankiera inwestycyjnego, Clementa W. Irwina, na lotnisku, i ta myśl, pomimo całej swojej oczywistej irracjonalności, nie pozwalała mu zasnąć przez bardzo długi czas.

3

Po śniadaniu Maggie wybrała się do Jungle Red, żeby podciąć włosy, a Pumo zszedł na dół, by porozmawiać z Vinhem. Nie, Vinh nie widział nikogo kręcącego się na zewnątrz budynku. Oczywiście ze wszystkimi tymi robotnikami mógł coś przeoczyć. Nie, nie pamiętał żadnych niezwykłych telefonów.

– Czy dzwonił ktoś, kto się rozłączył, gdy tylko odebrałeś?

– Oczywiście – powiedział Vinh i spojrział na niego jak na wariata. – Ciągłe mamy takie telefony. Jak myślisz, gdzie jesteś? To Nowy Jork!

Później Pumo pojechał taksówką do biblioteki przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Wszedł przez drzwi na szczycie szerokich schodów, minął ochroniarzy i wrócił do biurka, przy którym rozpoczął swoje poszukiwania. Nigdzie nie widział krępego brodacza. Za biurkiem stał blondyn o pół stopy wyższy od niego, ze słuchawką przy uchu. Spojrzył na Puma i odwrócił się do niego plecami, żeby kontynuować rozmowę. Gdy odłożył słuchawkę, powoli podszedł do biurka.

– W czym mogę pomóc?

– Dwa dni temu przeglądałem tu pewne materiały i chciałem coś sprawdzić. Zna pan człowieka, który miał wtedy dyżur?

– Byłem tu dwa dni temu – odparł blondyn.

– Mężczyzna, z którym rozmawiałem, był starszy, około sześćdziesiątki, mniej więcej mojego wzrostu, z brodą.

– Mógł tu być milion ludzi.

– A czy mógłby pan kogoś zapytać?

Blondyn uniósł brwi.

– Widzi pan tu kogoś oprócz mnie? Nie wolno mi odchodzić od biurka.

– No dobrze – mruknął Pumo. – W takim razie może poda mi pan pewne informacje?

– Jeśli chce pan konkretny mikrofilm i był pan tu wcześniej, wie pan, jak wypełnić formularze.

– Nie takie informacje. Gdy poprosiłem o artykuły na pewien temat, mężczyzna, który tu pracował, powiedział mi, że niedawno zamówił je ktoś inny. Chciałbym poznać nazwisko tego człowieka.

– Nie mogę udzielać takich informacji. – Blondyn wygiął plecy w łuk i spojrzył na niego tak, jakby stał nad nim, na półce skalnej.

– Ale tamten pracownik to zrobił. To było hiszpańskie nazwisko.

Blondyn już kręcił głową.

– Niemożliwe. Tu nikt nie papie jak na zapleczu księgarni.

– Opisałem tego drugiego urzędnika. Nie rozpoznaje go pan?

– Nie jestem urzędnikiem. – Na kościach policzkowych blondyna wystąpiła prosta czerwona linia. – Jeśli nie chce pan zamówić mikrofilmów, marnuje pan czas kilku osób, które chcą to zrobić.

Znacząco spojrzył nad jego ramieniem. Pumo, który od jakiegoś czasu miał wrażenie, że ktoś mu się przygląda, też zerknął za siebie. Za nim stały cztery osoby i żadna nie patrzyła na nic w szczególności.

– Słucham? – powiedział bibliotekarz i wskazał podbródkiem jak pałąk w stronę mężczyzny tuż za nim.

Pumo poszedł w stronę stanowisk z czytnikami, żeby zobaczyć, czy nie pojawi się brodaty mężczyzna. Przez dwadzieścia minut blondyn pomagał klientom, rozmawiał przez telefon albo mizdrzył się za biurkiem. Ani razu nawet nie zerknął na Puma. Dwadzieścia po jedenastej spojrział na zegarek, uniósł kłapę w biurku i wyszedł z czytelni. Jego miejsce zajęła młoda kobieta w czarnym welnianym swetrze. Pumo wrócił do biurka.

– O rany, tak naprawdę nikogo tu nie znam – powiedziała do niego. – To mój pierwszy dzień, skończyłam staż zaledwie dwa tygodnie temu i od tamtej pory większość czasu spędziłam w Inkunabułach. – Ściszyła głos. – Kochałam Inkunabuły.

– Zna pani nazwiska dobrze ubranych, brodatych sześćdziesięciolatek z tej biblioteki?

– Jest pan Vartanian – odparła z uśmiechem. – Ale nie sądzę, żeby widział go pan przy tym biurku. Jest pan Harnoncourt. I pan Mayer-Hall. Może nawet pan Gardener. Ale nie wiem, czy któryś z nich kiedykolwiek obsługiwał Mikrofilmy, rozumie pan.

Pumo podziękował jej i opuścił czytelnię. Pomyślał, że może zobaczy brodatego mężczyznę, jeśli przejdzie się po bibliotece i będzie zaglądać do biur.

Ruszył korytarzem, patrząc na ludzi, którzy zapełniali górne piętra wielkiej biblioteki. Mężczyźni w rozpinanych swetrach albo sportowych marynarkach chodzili od wind do drzwi biur, kobiety w sweterkach i dzinsach albo sukienkach śpieszyły szerokim korytarzem. Dandys w eleganckim garniturze, z nastroszoną brodą i w połyskujących okularach przemknął przez drzwi, a wszyscy członkowie personelu kiwali do niego głowami albo mówili „dzień dobry”. Był wyższy niż bibliotekarz, z którym tamtego dnia rozmawiał Pumo, i miał lśniąca czerwonobrazową brodę, nie szpakowatą.

Ludzie korzystający z biblioteki byli ubrani w kurtki, jak on, i wyglądali na mniej pewnych miejsca przeznaczenia. Dandys sunął wśród nich niczym parowiec, który płynie przez skupisko łodzi wiosłowych, dotarł do końca korytarza i skręcił za róg.

Pumo siedł za nim z wrażeniem, że jest obserwowany, jak wcześniej w czytelni mikrofilmów. Spojrzał przez ramię i zobaczył rozprasający się tłum, jedni wchodzili do czytelni mikrofilmów, drudzy do innych pomieszczeń. Jeszcze inni wsiedli do windy. Wszyscy pracownicy biblioteki zniknęli w biurach, z wyjątkiem dwóch kobiet zmierzających do damskiej toalety. Pumo skręcił za róg i pomyślał, że zgubił wysokiego dandysa, jeszcze zanim zdał sobie sprawę, że zdecydował się go śledzić. Nagle zobaczył mignięcie czarnego lakiernika za kolejnym zakrętem.

Pobiegł korytarzem, słysząc, jak podeszwy jego butów stukają o brązowy marmur. Gdy szybko wyszedł zza rogu, dandysa nie było w zasięgu wzroku, ale w połowie pustego korytarza właśnie zamykały się drzwi z napisem schody. W drugim końcu korytarza pojawiły się dwie młode Chinki niosące po dwie czy trzy książki najeżone zakładkami. Pumo patrzył, jak idą ku niemu po marmurowej podłodze, jedna z kobiet spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Pumo otworzył drzwi na schody i wszedł na podest. Na ścianie przed nim widniała namalowana duża czerwona cyfra 3. Gdy tylko drzwi się zamknęły, usłyszał kroki, cichsze niż jego własne: ktoś nadchodził korytarzem, idąc w ślad za nim. Na cementowych schodach powyżej rozbrzmiewały kroki dandysa. Ruszył na górę. Wydawało mu się, że kroki w korytarzu ucihnya przed drzwiami na klatkę schodową, ale mógł być pewien tylko tego, że już ich nie słyszy. Dandys wchodził na piąte piętro.

Drzwi pod nim otworzyły się z trzaskiem. Pumo spojrział w dół dopiero wtedy, gdy stanął na podeście, gdzie schody zmieniały kierunek. Podeszedł do balustrady i pochylił się, żeby zobaczyć osobę, która właśnie weszła z korytarza. Widział tylko balustradę i wijące się pod nią kliny schodów. Ktokolwiek tam był, przestał się poruszać. Pumo wciąż słyszał głuchy tupot nóg wysokiego dandysa.

Odsunął się o krok od balustrady i spojrział w górę.

Ktoś będący pod nim zaczął wchodzić po schodach.

Wrócił do balustrady i spojrział w dół. Kroki od razu ucihnya. Ktokolwiek zbliżał się do niego, cofnął się pod osłonę schodów.

Żołądek Puma przemienił się w bryłę lodu.

Znow otworzyły się drzwi na trzecim piętrze i dwie Chinki weszły na klatkę schodową. Widział czubki ich głów i słyszał, jak trąkoczą po kantonisku. Powyżej drzwi na piąte piętro zamknęły się z trzaskiem.

Pumo rozmroził się i puścił poręcz.

Otworzył drzwi z napisem tylko dla personelu na podeście piątego piętra i wszedł do ogromnej ciemnej przestrzeni pełnej książek. Wysoki dandys zniknął w jednym z przejść między regałami. Jego ciche kroki dochodziły jak gdyby zewsząd w ogromnym pomieszczeniu. Tina nie słyszała żadnych

dźwięków z drugiej strony drzwi prowadzących na klatkę schodową, ale nagle wyobraził sobie mężczyźną wchodzącego po ostatnich kilku stopniach.

Szybko wszedł między wysokie stalowe regały i znalazł się w długim, pustym, szerokim może na jard przejściu. Wiszące wysoko w górze słabe żarówki pod stożkowymi kłozami rzuciły na podłogę niki, ale wyraźne kałuże światła. Kroki wysokiego mężczyzny nie były już słyszalne.

Pumo zmusił się, żeby iść wolniej. Gdy tylko dotarł do szerokiego środkowego przejścia, usłyszał szcęk drzwi dobiegający od strony schodów. Ktoś wślizgnął się do magazynu i zamknął drzwi za sobą.

Pumo praktycznie słyszał, jak osoba, która właśnie weszła, zastanawia się, które przejście wybrać. Nie mógł powstrzymać drżenia spowodowanego strachem.

Dobiegł go odgłos powolnych kroków daleko po lewej stronie. Ruszył w ślad za dandysem i usłyszał, że ten, kto właśnie wszedł między regały, idzie w głąb wąskiego przejścia. Stopy odmierzały miękki powolny rytm starego dobrego „spaceru po dżungli”.

Pomyślał, że albo wpadł w całkowitą paranoję, albo Koko tropi go w tym magazynie książek. Koko ukradł jego książkę adresową, dowiedział się, że inni wyjechali z miasta, i miał zamiar rozpocząć swoją chwalebłą pracę w Ameryce od niego, Tiny Puma. Nakręcił się czytaniem o Ia Thuc i umieścił go na pierwszym miejscu swojej amerykańskiej listy.

Ale oczywiście osobą, która właśnie weszła do składnicy na czwartym piętrze, mógł być bibliotekarz. Na drzwiach widnieje napis tylko dla personelu. Pumo pomyślał, że jeśli skręci i na niego wpadnie, facet okaże się niskim grubasem w butach hush puppies i zapiętej pod szyję koszuli. Szedł bezszelstnie środkowym przejściem, też odstawiając całkiem niezły spacer po dżungli. Trzy regały od końca zatrzymał się, żeby posłuchać.

Z lewej strony dobiegały szybkie ciche kroki, z pewnością dandysa. Jeśli ktoś inny szedł przez magazyn, to zbyt cicho, żeby go słyszeć. Pumo zerknął w głąb długiego przejścia. Kałuże światła zalegały między regałami.

Wydawało się długie jak boisko do piłki nożnej, zwięzające się, tunel widziany przez niewłaściwy koniec lunety. Pumo cicho szedł w głąb wąskiego przejścia. W dziwnym halucynacyjnym złudzeniu ontycznym grzbiety i tytuły książek zdawały się pełznąć obok niego, jakby to one się poruszały, a on stał w miejscu. W.M. Thackeray, *Pendennis*, tom. 1. W.M. Thackeray, *Pendennis*, tom. 2. W.M. Thackeray, *The Newcomers. The Virginians. The Yellow-plush Papers, ETC.*, oprawione w różową tekturę ze złotymi literami, opublikowane przez Smith, Elder & Co. Lovel the Widower, ETC., w pasującym różu i złocie od Smitha, Eldera. Pumo zamknął oczy i usłyszał, jak w sąsiednim przejściu mężczyzna cicho pokasłuje w pięść. Otworzył oczy i tytuły książek stopiły się w jeden wspinający arabski napis na różowym tle. Przypuszczał, że jest bliski omdlenia.

Kaszlący mężczyzna zrobił prawie bezgłośny krok do przodu. Pumo stał nieruchomo jak posąg, bojąc się oddychać, chociaż człowiek w sąsiednim przejściu mógł być tylko bibliotekarzem w butach hush puppies. Ktokolwiek to był, zrobił trzy szybkie posuwiste kroki.

Gdy Pumo uznał, że mężczyzna odszedł wystarczająco daleko w stronę środkowego przejścia, ruszył ku drzwiom.

W tym momencie, jakby dał sygnał, ktoś zaczął gwizdać Body and Soul daleko w lewej części składnicy – mistrzowskie wykonanie pełne ozdobników, tryków i vibrato.

Pumo usłyszał, że człowiek w sąsiednim przejściu zaczyna z mniejszą ostrożnością zbliżać się do gwizdającego. Ktoś zabrał kilka książek z półki – dandys znalazł w magazynie to, czego szukał. Mężczyzna z sąsiedniego przejścia skręcił w środkowe. Pumo zdał sobie sprawę, że gdyby rozsunął tomy Thackeraya, zobaczyłyby jego twarz. Serce łomotało mu w piersi.

W chwili, gdy mężczyzna przechodził za wylotem jego przejścia, Pumo już je opuścił i tylko kilka kroków dzieliło go od wyjścia na klatkę schodową. Przyćmione osłonięte światło paliło się nad drzwiami. Zrobił krok w ich stronę.

Gałka poruszyła się i serce mu zamarło. Gałka się obróciła, drzwi otworzyły się, wpuszczając bąbel rozmowy i nagłą falę światła.

Ciemne postacie szły ku niemu. Pumo zastygł w bezruchu; one też się zatrzymały. Piskliwa rozmowa ucichła. Wtedy zobaczył, że to Chinki, które widział w korytarzu na trzecim piętrze.

– Och! – szepnęły unisono.

– Przepraszam – odszepnął Pumo. – Chyba się zgubiłem.

Wskazały mu wyjście, już uśmiechnięte, gdy otrząsnęły się z zaskoczenia. Pumo minął je w drodze do drzwi i wyszedł na bezpieczny podest.

Wieczorem w mieszkaniu na poddaszu Pumo powiedział Maggie tylko tyle, że nie udało mu się potwierdzić, iż druga osoba przeglądająca materiały o Ia Thuc posługiwała się nazwiskiem zamordowanego dziennikarza. Nie chciał opisywać, co wydarzyło się w magazynie, bo tak naprawdę nic się nie wydarzyło. Po długiej kolacji i butelce *bonnes mares* w dobrej restauracji po drugiej stronie ulicy za bardzo wstydził się swojej paniki. Wyobraźnia płatała paskudne figle jego pamięci i Maggie miała rację: wciąż próbował uporać się z doświadczeniami z Wietnamu. Brodacz podał mu inne nazwisko, może Roberto Diaz, a reszta była tylko fantazją. Współpasażer albo nafaszerowany koką pracownik lotniska zabił yuppie na JFK. Maggie wyglądała tak pięknie, że patrzył na nią nawet znudzony kelner z SoHo, a wino miało subtelny bukiet i smak. Spojrzał na jej promienną twarz po drugiej stronie stołu i wiedział, że dopóki wystarczy zdrowia i pieniędzy, dopóty świat będzie przy zdrowych zmysłach.

* * *

Nazajutrz rano ani Pumo, ani Maggie nie zajrzeli do „New York Timesa”, żadne z nich nie przysta-
nęło, żeby spojrzeć na nagłówki tabloidów w kioskach, które mijali w trakcie załatwiania różnych
spraw. „Post” z niedoskonałą dokładnością informował: dyrektor biblioteki nie żyje. „News” dał tytuł
w stylu Agathy Christie: morderstwo w bibliotece. Oba brukowce poświęciły połowę pierwszych stron
zdjęciom portretowym doktora Antona Mayer-Halla, wysokiego brodatego mężczyzny w dwurzędowym
garniturze. Doktora Mayer-Halla, dyrektora Projektów Nowojorskich Bibliotek Publicznych i od
dwudziestu czterech lat pracownika biblioteki, znaleziono w zarezerwowanym dla personelu magazynie
na piątym piętrze. Spekulowano, że szedł na skrót do swojego biura, gdzie miał umówione spotkanie
z dyrektorem do spraw reklamy biblioteki, Mei-lan Hudson. Pani Hudson i jej asystentka Adrien Lo,
korzystające z tego samego skrótu, zatrzymały i wypytały intruza w tej samej części biblioteki, w której
doktor Mayer-Hall został zamordowany ledwie kilka minut przed znalezieniem ciała. Intruz, którego
opis znajdował się teraz w rękach policji, był poszukiwany w celu przesłuchania. „Times” zaoferował
swoim czytelnikom mniejsze zdjęcie i szczegółową mapę ze strzałkami i znakiem X w miejscu, gdzie
leżały zwłoki.

4

Czego się boisz?

Boję się, że go wymyśliłem. Że podsunąłem mu wszystkie jego najlepsze pomysły.

Boisz się, że jest pomysłem, który ożył?

Jest swoim własnym pomysłem, który ożył.

Jak Victor Szpitalny dostał się do Bangkoku?

To proste. Znalazł na lotnisku żołnierza chętnego zamienić się na identyfikatory i dokumenty
podróżne, żeby zamiast do Bangkoku polecieć do Honolulu. Wszystko wskazywało na to, że szeregowy
Szpitalny poleciał do Honolulu lotem 206 Air Pacific – nie tylko bilety, ale także formularze odpraw,
listy pasażerów, plany lotów i karty pokładowe. Można ponad wszelką wątpliwość wykazać, że szere-
gowy Victor Szpitalny spędził sześć nocy w jednoosobowym pokoju w hotelu Lanai (za równowartość
dwudziestu dolarów amerykańskich za dobę), a następnie lotem 207 Air Pacific wrócił do Wietnamu 7
października 1969 roku o godzinie 21.00. Bezsporne jest również to, że szeregowy Szpitalny przebywał
w Honolulu w czasie, kiedy zniknął w środku ulicznych zamieszek w Bangkoku.

Szeregowy Michael Warland, który początkowo twierdził, że zgubił wszystkie swoje dokumenty,
w końcu przyznał, że rankiem 2 października 1969 roku spotkał się i rozmawiał z szeregowym Victo-
rem Szpitalnym. Szeregowiec Szpitalny zaproponował zamianę miejsc urlopowych, na co szeregowy War-
land się zgodził. Kiedy po powrocie z Honolulu 8 października nie zastał na lotnisku szeregowego Spi-
talny’ego, schował jego rzeczy w szafce i udał się do swojej jednostki. Gdy oszustwo wyszło na jaw,
nazwisko szeregowego Szpitalny’ego trafiło na listę nieobecnych bez zezwolenia.

Co zyskał Szpitalny?

Tygodnie.

Dlaczego chciał jechać do Bangkoku z Denglerem?

Już miał wszystko zaplanowane.

Co się stało z dziewczynką?

Dziewczynka zniknęła. Wbiegła w rozwścieczony tłum w Patpongu, pokazując na dłoniach krew przelaną w wietnamskiej jaskini, i latami biegała niewidzialna po świecie, dopóki jej nie zobaczyłem. Wtedy zaczęło mi świtać.

Co?

Wróciła, bo on wrócił.

Więc dlaczego ją pobłogosławiłeś?

Bo gdy ją zobaczyłem, wtedy ja też wróciłem.

Koko

Na West End Avenue starsza pani skinęła mu głową z okna w budynku po drugiej stronie ulicy, a on pomachał do niej ręką. Portier w strojnym niebiesko-szarym uniformie ze złotymi epoletami też na niego patrzył, ale w znacznie mniej przyjazny sposób: znał Roberta Ortiza i nie chciał go wpuścić, mimo że on musiał tam wejść. Wciąż miał przed oczami oglądane w bibliotece zdjęcia Iá Thuc i ciemność pośrodku tych zdjęć wprawiała go w drzenie, pchała go do wewnątrz, do przystani, która była wewnątrz.

„Zwariowałeś?” – burknął portier. „Rozum ci odejęło? Nie możesz tam wejść”.

„Muszę tam wejść”.

Świat dał mu Puma Pumę, stojącego w czytelni mikrofilmów niczym spełnienie modlitwy. Koko pstryknął włącznikiem niewidzialności i podążył za Pumem Pumą korytarzem i w górę po schodach, do ogromnego pomieszczenia z rzędami wysokich regałów. Później wszystko poszło nie tak, świat go oszukał, dzoker wyskoczył z talii, chichocząc i tańcząc – zginał inny mężczyzna, nie Pumo Puma, i znowu był to Bill Dickerson. Wydostać się. Uciec. Zatem Koko musiał się ukryć, świat był śliski i dziki, odwrócił się do ciebie plecami. Na Broadwayu rzucały się na ciebie obłąkane stare sylwetki w lachmanach, z bosymi obrzmiałymi stopami, mówiące językami, z czarnymi ustami, bo ziały ogniem. Poszarpane, szalone kształty wiedziały o dzokerze, ponieważ też go widziały, i wiedziały, że Koko zbłądził, zbłądził, i wiedziały o jego błędzie w bibliotece. Tym razem ponownie wygrał zakład, ale był to niewłaściwy zakład, ponieważ człowiek był niewłaściwy. Później Puma się rozpułynał. Gdy obłąkani obdarcy włóczędzy mówili językami, powiedzieli: „Popelniasz błędy! Poważne błędy! Nie należysz do tego miejsca!”.

„Nie mogę cię wpuścić” – powiedział portier. „Mam wezwać gliny? Odejdź albo zadzwonię na policję, zabieraj stąd dupę”.

Koko stał na rogu West End Avenue i Zachodniej Siedemdziesiątej Ósmej, stopionego centrum wszechświata, patrząc w górę na budynek, w którym mieszkał Roberto Ortiz. Żyła wystąpiła mu na szyi, chłód kąsał go po twarzy.

Starsza pani mogłaby zejść i wprowadzić go do budynku, pomyślał. Tam mógłby jeździć w górę i w dół windami i już zawsze nosić ubrania Roberta Ortiza. W ciepłe i bezpieczeństwie. Teraz był w niewłaściwym świecie i w niewłaściwym świecie nic nie było właściwe.

Jedno wiedział na pewno: nie będzie mieszkać w małym pustym pokoju w hostelu Christians' Association obok szaleńca.

Książka adresowa leżała na stoliku. Zakreślił nazwiska i adresy.

Ale Harry Beevers nie odebrał telefonu.

Ale Conor Linklater nie odebrał telefonu.

Automatyczna sekretarka Michaela Poole'a przemówiła głosem Michaela Poole'a i podała inny numer, pod którym odpowiedziała kobieta. Kobieta miała surowy, bezlitosny głos.

Koko przypomniał sobie: zawsze lubiłem zapach krwi.

Koko poczuł zimne łzy na twarzy. Odwrócił się od okna starej kobiety i poszedł dalej West End Avenue.

Włosy szaleńca były linami i jego oczy były czerwone. Mieszkał w pokoju obok i wszedł, zaśmiał się i powiedział: „Co to za gówno na ścianach, chłopcze? Zabijanie jest grzechem”. Szalony mężczyzna był czarny i nosił ubranie skonanego czarnego mężczyzny.

Wszystko działało się szybko i Koko szedł szybko West End Avenue. Zamarznęte krzaki stały w płomieniach, a po drugiej stronie ulicy wysoka rudowłosa kobieta szepnęła: „Gdy ich zabijesz, zawsze będziesz za nich odpowiedzialny”.

Kobieta o twardym głosie o tym wiedziała.

Z szerokiej i zatłoczonej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy przeszedł na Broadway.

Bo oto ciemność okrywa ziemię. Jeszcze raz wstrząsnę nie tylko ziemią, ale i niebem. Albowiem On jest jak ogień złotnika. Gdyby powiedział to kobiecie, czy wiedziałaby, jak czuł się w toalecie po odejściu Billa Dickersona? W bibliotece, kiedy Dżoker wyskoczył z talii, podskakiwał i płażał między książkami?

„Nie wszedłem w ten interes, żeby akceptować substytuty” – powiedział sobie. „Mogę jej to powiedzieć”.

Czas jest igłą, a na końcu igły jest ucho. Kiedy przeszedłeś przez igłę – kiedy przeciągnąłeś za sobą igłę przez jej własne ucho igielne – byłeś człowiekiem smutku i obeznanym z żalem.

Mężczyzna w złotym futrze wpatrywał się w Koko, a on odwzajemniał spojrzenie. Nie niepokoją mnie wrogie spojrzenia obcych, jestem wzgardzony i odepchnięty przez ludzi. „Jestem wzgardzony i odepchnięty przez ludzi”, powiedział do gapiącego się mężczyzny, który już odwrócił się plecami i odchodził.

Koko, spięty i udręczony, przemierzał Ósmą Aleję. Wszystko między West End Avenue a oddaloną o dwadzieścia przecznic na północ Ósmą Aleją minęło w rozmytej chwili. Świat połyskiwał, tak jak połyskuje zimna rzecz. Koko był na zewnątrz, nie wewnątrz, a w okropnym pokoju czarny mężczyzna czekał, żeby powiedzieć mu o grzechu.

Wyszczерzone demony kochały mężczyzn i kobiety, których eskortowały przez wieczność – demony miały wielką tajemnicę: one też zostały stworzone po to, żeby kochać i być kochane.

– Mówisz do mnie? – spytał starzec o wypolerowanej twarzy pod brudnym czarnym beretem. Nie był jednym z obdartych kształtów wysłanych po to, by go torturować: mówił po angielsku, nie językami. Klejnot smarków zwiślał mu z nosa. – Nazywam się Hansen.

– Jestem agentem biura podróży – powiedział Koko.

– Cóż, witamy w Nowym Jorku. Chyba jesteś tu gościem.

– Nie było mnie tu przez długi czas, wciąż każą mi podróżować. We wszystkich kierunkach.

– To dobrze! – Stary człowiek zachichotał. Był zachwycony, że ktoś z nim rozmawia.

Koko zapytał, czy postawić mu drinka, a Hansen zgodził się z pełnym wdzięczności uśmiechem. Poszli do meksykańskiej knajpki przy Osmej Alei blisko Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Gdy Koko zamówił „meksykańskie drinki!”, barman po chwili postawił przed nimi dwa musujące, spienione i żupowate drinki. Barman miał kręcone czarne włosy, oliwkową cerę i obwisłe czarne wąsy, i Koko bardzo go polubił. Bar był ciepły i ciemny; spodobały mu się cisza i miski ze słonymi chipsami stojące przy czerwonym sosie. Starzec wciąż mrugał, patrząc na niego, jakby nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

– Jestem weteranem – powiedział Koko.

– A tak – powiedział starzec. – Ja nie służyłem.

Starzec zapytał barmana, co myśli o facecie w bibliotece.

– Był pomyłką – powiedział Koko. – Bóg mrugnął.

– Jakim facecie? – zapytał barman.

Starzec sapnął i wyjaśnił:

– Gazety nurzają się w tym gównie.

Do barmana i starca Koko powiedział:

– Jestem wzgardzony i odepchnięty przez ludzi, mąż bóleści, oswojony z cierpieniem.

– Ja również – powiedział barman.

Stary Hansen podniósł kieliszek i wznosił toast. Nawet mrugnął.

– Chcesz posłuchać pieśni mamutów? – zapytał Koko.

– Zawsze lubiłem słonie – powiedział Hansen.

– Ja również – powiedział barman.

Koko zaśpiewał piosenkę mamutów, piosenkę tak starą, że nawet słonie zapomniały jej znaczenia, a stary Hansen i meksykański barman słuchali w pełnym szacunku milczeniu.

Część czwarta

W podziemnym garażu

Kroki do nieba

1

Dwa dni wcześniej Michael Poole stał w oknie pokoju hotelowego, patrząc w dół na Surawong Road do tego stopnia zatłoczoną przez ciężarówkę, taksówki, samochody osobowe i małe zadaszone motoriksze zwane tuk-tuk, że pojazdy zlewały się w jednolitą całość. Po drugiej stronie Surawong Road leżała dzielnica Patpong, gdzie dopiero zaczynały powstawać bary, sekskluby i salony masażu. Klimatyzator w pokoju szumił grzechotliwie, mieląc szare, niemal ziarniste powietrze. W Hongkongu było cieplej i bardziej wilgotno niż w Singapurze tego ranka. Conor Linklater za plecami Poole'a przypominał klimatyzator i ruch uliczny, krążył po pokoju, podnosił książkę gości, patrzył na meble, sprawdzał pocztówki w szufladzie biurka i przez cały czas mówił do siebie. Nadal był podekscytowany tym, co powiedział im taksówkarz.

– Od razu – mruknął Conor. – Dasz wiarę? To znaczy... można tam sobie poużywać?

Kierowca powiadomił ich, że hotel jest zlokalizowany w dogodnym miejscu, na obrzeżach Patpongu, po czym zrobił trwałe wrażenie na Conorze zarówno sobą, jak i miastem Bangkok, pytając, czy panowie chcieliby przed jazdą do hotelu wstąpić do salonu masażu. Nie jakiegoś zwykłego salonu masażu z chudymi wiejskimi dziewczuchami, które nie umieją się zachować, ale do luksusowego przybytku: prawdziwe wyrafinowanie, porcelanowe wanny, eleganckie pokoje, masaże całego ciała, dziewczyny piękne jak księżniczki, gwiazdy filmowe, z rozkładówki „Playboya”, dziewczyny tak zmysłowe i uległe jak dziewczęta w snach, dziewczyny z udami mażorettek, piersiami indyjskich bogiń, twarzami dziewczyn z okładek, jedwabistą skórą kurtyzan, subtelnymi umysłami poetów-dyplomatów, zwinnością gimnastyczek, mięśniami pływaczek, figlarnością małp, wytrzymałością górskich kozic, a co najłepsze...

– Najlepsze – dumiał Cono. – Najlepsze ze wszystkiego. Zero feminizmu. Co ty na to? Sam nie mam nic przeciwko feminizmowi. Każdy na tym świecie jest wolnym człowiekiem, łącznie z dziewczynami, i znam wiele kobiet, które są lepszymi facetami niż większość mężczyzn. Ale ile trzeba o tym słuchać? Zwłaszcza w sypialni? Większość z nich już zarabia dwa razy więcej niż ja, obsługują komputery, kierują biurami, prowadzą firmy, w pubie Donovan's jest ich pełno, nie wolno ci postawić im drinka, krzywią się, gdy otwierasz przed nimi drzwi, w sumie może powinniśmy zrobić to, o czym mówił ten facet...

– Hm... – mruknął Poole.

Conor sam prawie nie zwracał uwagi na swój monolog, więc każda reakcja była dobra.

– ...zrobić to później, nieważne, słuchaj, w tym hotelu mają dwie restauracje, i fajny bar, założę się, że jest tu ładniej niż tam, gdziekolwiek jest teraz Zagubiony Szeff, kręci się i mówi wszystkim, że jest glina, tajnym agentem albo biskupem Nowego Jorku.

Poole roześmiał się głośno.

– No właśnie! To znaczy ręka rękę karmi, ale z tym facetem...

Jeśli o czwartej po południu cały Bangkok wydawał się zatłoczony, to kilka kwartałów, które tworzyły Patpong, było kompletnie zakorkowanych. Pojazdy ślimaczyły się na jezdniach, a na chodniku panował taki tłok, że Poole prawie go nie widział. Ludzie kręcili się przed barami i seksklubami, płynęli w obie strony po zwyczajnych schodach i po zewnętrznych schodach ewakuacyjnych. Wokół nich skrzyły się i błyskały neony: missisipi, stokrotkowy wianek, gorący seks, whiskey, montmartre, sex, sex i wiele innych, słotczonych i dopominających się o uwagę.

– Dengler tam zginał – powiedział Conor, spoglądając w dół na Phat Pong Road.

– Zgadza się – potwierdził Michael. – Wygląda jak cholerna małpiarnia.

Poole się roześmiał. Rzeczywiście tak to wyglądało, racja.

– Myślę, że go znajdziemy, Mikey.

– Ja też – powiedział Poole.

2

Gdy wieczorem wrócili do hotelu, Michael czekał, aż tajlandzki telefonista w centrali połączy go z Westerholmem w stanie Nowy Jork. W końcu miał coś pozytywnego do powiedzenia o tym, co Beevers nazywał swoją „misją”. Zobaczył w księgarni coś, co potwierdziło jego wrażenie, że razem z Conorem znajdą Underhilla w Bangkoku. Jeśli poszukiwania zajmą im dwa dni, może dwa dni później wrócą do domu – z Underhillem albo nie, to się dopiero okaże. Michael chciał znaleźć jakąś klinikę odwykową, gdzie Underhill będzie mógł doprowadzić się do porządku i odpocząć, czego z pewnością potrzebował. Każdy, kto przez długi czas mieszkał w Bangkoku, potrzebował porządnego odpoczynku. Jeśli Underhill popełnił morderstwo, Poole znajdzie świetnego prawnika i każe mu oprzeć obronę na szaleństwie, co przynajmniej uchroni go przed więzieniem. Może takie zakończenie nie będzie wystarczająco dramatyczne, żeby nakręcić miniseriał, ale byłoby najlepsze dla Underhilla i każdego, komu na nim zależało. To, co zobaczył w najbardziej nietypowym miejscu w Patpongu, ogromnej, jasnej księgarni o nazwie Patpong Books, dało mu pośredni dowód na niewinność Underhilla i jego obecność w Bangkoku. Wszedł z Conorem do księgarni, żeby na chwilę uciec od upału i tłumów. Miejsce okazało się chłodne i niezatłoczone, i Michael był miło zaskoczony, gdy zobaczył, że dział beletrystyki zajmuje co najmniej jedną trzecią sklepu. Może znajdzie coś dla siebie i coś na prezent dla Stacy Talbot. Wędrował alejkami, nie zdając sobie sprawy, że szuka nazwiska Tima Underhilla, dopóki nie znalazł całej półki zapelnionej jego powieściami. Stało tam po cztery, pięć egzemplarzy każdej powieści, twarde okładki przeplatały się z miękkimi, od *Bestii na widoku* po *Krwawą orchideę*.

Czy to nie oznaczało, że Underhill tu mieszka? Że jest klientem Patpong Books? Półka z powieściami przypominała Poole’owi półkę „Lokalni autorzy” w All Booked, najlepszej księgarni w Westerholmie – była równie dobra jak podpisane oświadczenie, że Underhill bywa w tym sklepie. A jeśli to robi, to czy również wychodzi zabijać ludzi? Poole niemal wyczuwał jego obecność przy tej dobrze zaopatrzonej półce. Gdyby tu nie przychodził, czy byłoby tu tyle książek mało znanego pisarza?

To miało sens, przynajmniej dla niego, i stało się jasne również dla Conora, gdy mu o tym powiedział.

* * *

Kiedy wcześniej tego dnia razem wyszli z hotelu, pierwsze wrażenie Poole’a było takie, że Bangkok to Kalkuta Tajlandii. Wydawało się, że całe rodziny mieszkają i pracują na ulicach: kobiety kucaly na splekanym chodniku, karmiąc kręcące się wokół nich dzieci, i młotkami w wolnych rękach tłukły beton. Pośrodku każdego chodnika siedział rząd kobiet żłobiących rów młotkami i kilofami. Dym z ognisk snuł się z otworów na wpuł zbudowanych budynków. W siwym powietrzu unosiły się klujące skórę twarde drobinki, gipsowy pył, dym, tłuszcz i spaliny. Poole czuł, jak przepuszczalna błona powietrza osiada na jego skórze niczym pajęczyna.

Tu wielki czerwony szyld ogłaszał niebiański masaż, a tam na pomalowanych w niebieskie gwiazdy betonowych schodach, wśród stosu toreb, butelek i paczek przewiązanych szpagatem, siedziała bosa, chuda jak szczapa kobieta i z ponurem wyrazem twarzy biła wrzeszczące dziecko. Jej dłoń uderzała w twarz, pięść uderzała w klatkę piersiową. Schody prowadziły do szerokiego baldachimu reklamującego klub nocny garniec miodu i restaurację. Kobieta spojrzała na przestrzał przez doktora Poole’a, a jej wzrok mówił: „To moje dziecko, to moje mieszkanie, jesteś dla mnie niewidzialny”.

Przez sekundę kręciło mu się w głowie; otoczyła go szara kraina cieni, świat zmieniających się wymiarów i nagłych otchłani, gdzie rzeczywistość była jedynie kolejną iluzją. Nagle przypomniał sobie kobietę w niebieskim ubraniu, toczącą się po mokrym zielonym zboczcu wzgórza, i wiedział, że wdryga się na myśl o własnym życiu.

Wdzykanie się nie było mu obce. Kiedyś namówił Judy, żeby pojechała z nim do Nowego Jorku na *Tracers*, sztukę napisaną i wykonywaną przez weteranów z Wietnamu. Uważał, że to wspaniała sztuka. Umieszczała widza bardzo blisko Wietnamu i praktycznie w każdej minucie przywoływała obrazy

i echa tamtych czasów. Śmiał się i płakał, rozbity przez niekontrolowane uczucia, jak wtedy na ławce w parku Bras Basah. (Judy uznała sztukę za sentymentalną formę terapii dla aktorów). W różnych momentach przedstawienia mężczyzna grający Dinky Dau celował z M-16 prosto w jego głowę. Prawdopodobnie go nie widział – siedział w ósmym rzędzie – a broń nie była naładowana, ale gdy lufa zwracała się w jego stronę, kręciło mu się w głowie i czuł się bliski omdlenia. Bezradny wciskał się w fotel i mocno ścisnął podłokietniki. Miał nadzieję, że nie wyglądał na tak przestraszonego, jak się czuł.

Bangkok wzbudził w nim takie same uczucia jak karabin Dinky Dau. Wtedy przy pomniku weteranów czternaście lat jego życia po prostu przepadło. Był odsłoniętym nerwem, znów chłopcem-żołnierzem, niewidocznym wewnątrz miłego, wyluzowanego, ludzkiego doktora Poole'e. Wyglądało na to, że miły wyluzowany doktor Poole był tylko rusztowaniem wokół tego odsłoniętego nerwu.

Jak dziwnie było być niewidzialnym, ze swoimi prawdziwym ja niewidzialnym dla innych. Michael żałował, że Conor i Pumo nie wybrali się z nim na *Tracers*.

Michael i Conor przeszli obok zakurzonego okna pełnego pasów przepuklinowych i zgiętych w kolanie protez, które wyglądały jak amputowane nogi.

– Wiesz, tęsknię za domem – odezwał się Conor. – Chcę zjeść hamburgera. Chcę napić się piwa, które nie smakuje tak, jakby zostało zrobione z rzeczy zmiecionych z ulicy. Chcę znów porządnie się wysrać, bo to gówno, które dostałem od lekarza, ścisnęło mi dupę tak mocno, jakby została zszyta. Chcesz usłyszeć najgorsze? Chcę znowu podnieść moją skrzynkę z narzędziami. Chcę wrócić z pracy do domu, ogarnąć się i wyskoczyć do mojego starego dobrego baru. Nie tęsknisz za takimi rzeczami, Mikey?

– Niezupełnie – odparł Poole.

– Nie tęsknisz za pracą? – Conor uniósł brwi. – Nie tęsknisz za noszeniem tego... Jak mu tam? Stetoskopu? Za mówieniem dzieciakom, że tylko trochę zaboli?

– Naprawdę nie tęsknię za tą stroną. Co więcej, ostatnio nie byłem zbyt zadowolony z mojej praktyki.

– Niczego ci nie brakuje?

Tęsknię za dziewczynką w szpitalu Świętego Bartłomieja, pomyślał Michael, ale w końcu powiedział:

– Chyba niektórych moich pacjentów.

Conor spojrział na niego podejrzliwie i zaproponował, żeby zawrócić i rozejrzeć się po Patpacie, zanim nabawią się pylicy. Przebyli prawie całą drogę do Charoen Krung Road, hotelu Oriental i rzeki.

– Po Patpongu – poprawił Michael. – Gdzie zginął Dengler.

– Aha, tym Patpongu – powiedział Conor.

* * *

Jeśli Patpong miał dla nich niespodziankę, to tylko taką, że okazał się nie większy niż to, co Poole widział z okna. Dzielnica Bangkoku, która przyciągała turystów płci męskiej z całej Ameryki, Europy i Azji, składała się ledwie z trzech ulic. Poole wyobrażał sobie, że podobnie jak hamburska St. Pauli sięga przynajmniej kilka przecznic dalej. O piątej po południu neony rozbłysły nad głowami tłumów mężczyzn wchodzących i wychodzących z barów i salonów masażu. 123 mokre dziewczyny. palenie. Naganiacz stojący na dole schodów zagwizdał na Poole'a i wsunął mu w ręce broszurę z wykazem specjalności domu.

1. Piękne hostessy – bezustanny show!
2. 1 darmowy drink na klienta
3. Wszystkie języki, międzynarodowa klientela
4. Piłeczki pingpongowe
5. Palenie
6. Magiczny marker
7. Coca-Cola
8. Striptiz
9. Kobieta-kobieta
10. Mężczyzna-kobieta
11. Mężczyzna-kobieta-kobieta
12. Pokój do użytku i obserwacji

Kiedy Poole czytał, między niego a Conora wcisnął się mały Taj.

– Jesteś w dobry czas. Późno jest za późno. Wybierać teraz, dostać najlepsze. – Wyjął z kieszeni marynarki grube harmonijkowe etui na karty kredytowe i rozłożył je, ukazując fotografie około sześćdziesięciu nagich dziewcząt. – Wybierz teraz, późno jest za późno. – Uśmiechnął się, pokazując lśniące złote siekacze, cudownie pogodzony ze sobą, swoim produktem i przesłaniem.

Podniósł wstążkę zdjęć do twarzy Conora.

– Wszystkie dostępne! Iść szybko!

Michael zobaczył, że Conor czerwienieje, i pociągnął go w głąb ulicy, drugą ręką odpędzając naganacza salonu masażu.

Mężczyzna kołysał zdjęciami w powietrzu.

– Chłopcy też. Ładne chłopcy, duże i małe. Później za późno, zwłaszcza na chłopcy. – Z innej kieszeni wyciągnął kolejny zwitek zdjęć. Te też wypuścił z dłoni jak kaskadę. – Piękne, gorące, obciążną ty, przetrzną ty...

– Telefon – powiedział Poole, myśląc, że przeczytał słowo w menu seksklubu.

Naganiacz zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Nie ma telefon. Ty na wycieczka śmierci? – Zaczął składać zdjęcia, odsuwając się od nich. Przez chwilę przyglądał się im obu bardzo przenikliwie. – Wy dwa na prawdziwy wycieczka śmierci? Prawdziwy perwersja? Trzeba być bardzo, bardzo ostrożny.

– Co jest z tym facetem? – rzucił Conor. – Pokaż mu zdjęcie.

Mały naganiacz nerwowo zerkał na boki. Schował swój towar do kieszeni marynarki. Poole wyjął jedno zdjęcie z szarej koperty. Naganiacz obliznął usta długim bezbarwnym językiem. Cofnął się, błysnął do nich pustym uśmiechem i przeniósł uwagę na wysokiego białego chłopaka w koszulce Twisted Sister.

– Nie wiem jak tobie, ale mnie przydałoby się piwo – powiedział Conor.

Poole skinął głową i poszedł za nim po schodach do baru Montparnasse. Conor zniknął za zasłoną z niebieskich plastikowych pasków. Michael wszedł za nim do małego, słabo oświetlonego pomieszczenia z rzędami krzeseł pod ścianami. Z jednej ściany wystawał małeńki bar, za którym stał ogromny Samoanczyk w obcisłej czerwonej koszulce. Front pomieszczenia zajmowała niewielka podwyższona drewniana scena. Conor podawał banknoty otylej kobiecie siedzącej przy biurku tuż za drzwiami.

– Wstęp dwadzieścia bahtów – wychrypiąła do Poole'a.

Poole spojrzął w stronę sceny, gdzie kępca Tajka w staniku robiła coś, co wymagało od niej pochylenia się nad rozsuniętymi kolanami. Dwanaście rozebranych dziewcząt przyjrzało się im obu. Poza nimi jedynym mężczyzną w barze był pijany Australijczyk, ubrany w opiętą poplamioną potem brązową marynarkę i ściskający wysoką puszkę piwa „Foster”. Dziewczyna na jego kolanach bawiła się jego kratem i szeptała mu do ucha.

– Wiesz, o czym próbowałem myśleć na ulicy? – zapytał Michael. – O paleniu.

– Mam nadzieję, że nie mają tu fajek – mruknął Conor.

Dziewczyna na scenie błysnęła szerokim uśmiechem i złożyła dłonie tuż pod waginą. Z fałd wyłoniła się piłeczka pingpongowa, z powrotem zniknęła w jej wnętrzu, po czym w końcu spadła na dłoń. Ukazała się następną piłeczką.

Wokół nich pojawiły się cztery uśmiechnięte i gruchające dziewczyny. Dwie usiadły na krzesłach po obu stronach, a dwie uklęknęły przed nimi.

– Ty bardzo przystojny – powiedziała dziewczyna przed Poole'em. Zaczęła głaskać jego kolano. – Ty być mój mąż?

– Hej – odezwał się Conor. – Jeśli potrafia robić takie rzeczy z piłeczkami do ping-ponga...

Zamówili drinki dla dwóch dziewcząt i pozostałe odeszły. Na scenie piłeczki śmigały z prędkością drzwi obrotowych.

Dziewczyna obok Poole'a szepnęła:

– Już twardy? Ja robić twardy.

Kolejna uderzająco ładna dziewczyna wyszła przez zasłonę z pasków obok sceny. Była naga i według Poole'a miała nie więcej niż piętnaście lat. Uśmiechnęła się do mężczyzn i kobiet, zaprezentowała papierosa trzymanego końcami palców jak małeńką pałkę i zapaliła go różową jednorazową zapalniczką.

Odchyliła się płynnym ruchem akrobatki, wysuwając smukłe nogi i łono w stronę widowni, i oparła rękę na podłodze. Drugą ręką sięgnęła między uda i włożyła papierosa do pochwy.

– Robi się ciekawie – mruknął Conor.

Koniuszek papierosa rozjarzył się i przemienił w wałeczek popiołu. Dziewczyna wyjęła papierosa. Z jej pochwy wyleciał kłęb dymu. Powtórzyła tę sztuczkę kilka razy. Dziewczyna Poole'a zaczęła gładzić wnętrze jego uda i opowiadać mu o dorastaniu na wsi.

– Moja mama biedna – powiedziała. – Moja wieś biedna, biedna. Wiele dni bez jedzenia. Zabierze mnie do Ameryki? Ja być twoja żona. Być dobra żona.

– Mam już żonę.

– Okej, być żona numer dwa. Numer dwa być najlepsza żona.

– Nie zdziwiłbym się – powiedział, patrząc na dołeczki w jej policzkach. Dopił piwo. Czuł się bardzo zmęczony i w towarzyskim nastroju.

– W Tajlandia dużo mężczyzn ma żona numer dwa.

Nastolatka na scenie wypuściła z pochwy idealne kółko dymu.

– Cipka wydmuchuje fraktale! – wrzasnął Australijczyk. – Z kolekcjonerami płył zawsze jest wesoło, krykcieści wymachują wielkimi kijami, ale matematycy są najlepsi!

– Masz dużo telewizory? – zapytała dziewczyna.

– Dużo.

– Masz pralka-suszarka?

– Pewnie.

– Gaz czy prąd?

Poole zastanowił się.

– Gazowa.

Dziewczyna zacisnęła usta.

– Masz dwa samochody?

– Oczywiście.

– Masz samochód dla mnie?

– W Ameryce każdy ma samochód. Nawet dzieci mają własne samochody.

– Masz dzieci?

– Nie.

– Daję dzieci – oznajmiła dziwka. – Ty miły człowiek. Dwa dzieci, trzy dzieci, ile chce. Daje amerykańskie imiona. Tommy. Sally.

– Ładne dzieciaki. Już za nimi tęsknię.

– Mamy najlepszy seks, całe twoje życie. Nawet seks z żoną stawać się lepszy.

– Nie uprawiam seksu z żoną – powiedział Poole, zaskakując samego siebie.

– W takim razie mamy dwa razy dużo seks, nadrabiać.

– Cipka pali fajkę, teraz gada telefon – powiedział Australijczyk. – Cipka, zadzwoń na uniwersytet w Queensland i powiedz im, że się spóźnię.

Nimfetka na scenie wyprostowała się i ukloniła. Wszystkie dziewczyny, Australijczyk i Poole głośno klaskali. Gdy odeszła, zza zasłony wyszła wysoka naga młoda kobieta z dużą kartką papieru i garścią markerów.

Poole dopił piwo i patrzył, jak dziewczyna umieszcza dwa markery w pochwie, kuca nad kartką i rysuje bardzo udanego konia.

– Gdzie chodzą geje w Bangkoku? – zapytał Poole. – Szukamy naszego przyjaciela.

– Patpong trzy. Dwa ulica dalej. Geje. Ty nie gej?

Poole pokręcił głową.

– Wróć ze mną. Obciągać ci. – Zarzuciła mu rękę na szyję. Rozkosznie pachniała jabłkami, natartą olejem skórą i goździkami.

Poole i Conor wyszli, gdy artystka na scenie uzupełniała obrazek górami, plażą i palmami, żaglówkami i promieniami słońca.

Niedaleko za Montparnasse dwa ciemne stopnie prowadziły do otwartych drzwi i tablicy z napisem patpong books. Podczas gdy Poole odkrywał rząd powieści Underhilla, Conor poszedł obejrzeć czasopiśma. Poole zapytał sprzedawcę i kierownika, czy znają albo kiedykolwiek widzieli Tima Underhilla, ale żaden nie znał nawet jego nazwiska. Kupił *Podzielonego człowieka* w twardej oprawie i poszedł z Conorem na piwo do Królowej Missisipi.

– Do diabła, sam podpisałem jedną z tych kart Koko – powiedział Conor przy barze.

– Ja też – powiedział Poole. – Kiedy to zrobiłeś? – Nigdy nie zakładał, że tylko jeden członek plutonu odciął uszy i napisał Koko na karcie pułkowej, ale wyznanie Conora przepełniło go mieszkanką zaskoczenia i przyjemności.

– Dzień po urodzinach Ho Chi Minha. Musieliśmy wyruszyć na jakiś cholernie skoordynowany patrol z dwoma plutonami. Zupełnie jak w urodziny Ho. Tyle że tym razem wietkongi zaminowały teren i jeden z czołgów wjechał na minę. Co wszystko spowolniło. Pamiętasz zwołanie się wzdłuż drogi i szukanie min? Ramię w ramię? W każdym razie później Underhill wypłoszył ich zwiadowcę z krzaków, a resztę mieliśmy w polu rażenia.

– Jasne – powiedział Poole.

Pamiętał, jak widział północnowietnamskich żołnierzy sunących wzdłuż drogi jak duchy, jak jelenie. Nie byli chłopcami. Byli mężczyznami po trzydzieste i czterdzieste, żołnierzami przez całe życie na wojnie. Bardzo chciał ich zabić.

– Więc kiedy było po wszystkim, wróciłem i zająłem się zwiadowcą. – Drobną dziewczyna w czarnym skórzanym staniu i czarnej skórzanej mikrospódniczce zajęła stołek obok Conora, nachyliła się nad barem i uśmiechała do niego, żeby przyciągnąć jego uwagę. – To znaczy pamiętam, że odciąłem mu uszy. To było trudne, człowieku. Całe ucho jest jak chrząstka. Kończy się na tym, że odcinasz tylko górną część i to wcale nie wygląda jak ucho. Było tak, jakbym nie myślał, jakbym nawet nie był sobą. Piłowałem w tę i we w tę. A kiedy przeciąłem, jego głowa upadła w błoto, a ja trzymałem ucho. Potem musiałem go przekręcić i zacząć od nowa.

Dziewczyna, która uważnie przysłuchiwała się tej wypowiedzi, odepchnęła się od baru i przeszła przez dużą salę, żeby zaszeptać do drugiej dziewczyny.

– Co zrobiłeś z uchem? – zapytał Poole.

– Cisnąłem w drzewa. Nie jestem zboczeńcem.

– Racja – zgodził się Poole. – Zachowanie uszu byłoby chore.

– Cholerna racja – powiedział Conor.

3

Telefon najpierw brzęczał, później zapadła martwa cisza, a po niej rozległ się wysoki gwizd. Conor odewrał wzrok od zdjęć nagich dziewczyn w czasopiśmie, które kupił w Patpong Books.

– Kiedy zrobiłeś swoją? – zapytał Conor.

– Co moją?

– Kartę Koko.

– Mniej więcej miesiąc po ogłoszeniu sądu wojennego. Po patrolu w dolinie A Shau.

– Koniec września – powiedział Conor. – Pamiętam to. Zbierałem ciała.

– Tak, racja.

– W tunelu, gdzie była druga duża skrytka. Ryżowa skrytka.

– To tam – powiedział Poole.

– Stary Mikey, jesteś zwierzęciem, człowieku.

– Wciąż nie wiem, jak to zrobiłem. Przez lata miałem koszmary.

Telefonista wyciszył gwizd i powiedział:

– Łączę, proszę pana.

Michael Poole przygotował się do rozmowy z żoną, wciąż mając przed sobą uwolnione po długim internowaniu świeże wspomnienie, jak swoim ka-barem piłował uszy zwłokom opartym o pięćdziesięciofuntowy worek ryżu. I mroczniejsze wspomnienie, jak używał noża, żeby wyłuskać oczy trupa.

Victor Szpitalny pierwszy zobaczył ciało i wypadł z tunelu, rycząc: „Dobra nasza!”.

Cisza pogłębiła się i zmieniła fakturę. Zabrzęziały dwa niskie dudniące stuknięcia, kojarzące się z połączeniem modułów w głębokim kosmosie.

Poole spojrział na zegarek. Siódma wieczorem w Bangkoku, siódma rano w Westerholmie w stanie Nowy Jork.

Po długim czasie usłyszał znajomy jak kołysanka dźwięk amerykańskiego tonu wybierania, który nagle ucichł. Zapadła głęboka cisza, a po niej rozległ się stłumiony sygnał.

Telefon przestał dzwonić z brzdękami, który oznaczał, że automatyczna sekretarka jest włączona. O siódmej rano Judy była jeszcze w sypialni albo w kuchni.

Michael przeczekał jej nagraną wiadomość. Kiedy usłyszał sygnał dźwiękowy, powiedział:

– Judy? Jesteś w domu? To ja, Michael.

Czekał przez trzy, cztery, pięć uderzeń serca.

– Judy? – Już miał się rozłączyć, gdy usłyszał głośny trzask.

– Więc to ty – powiedziała jego żona bezbarwnym głosem.

– Cześć. Cieszę się, że odebrałaś.

– Chyba też się cieszę. Dzieci bawią się na słońcu?

– Judy...

– Bawią się?

Mignęło mu szybkie, przesycone winą wspomnienie dziewczyny, która pocierała jego krocze.

– Przypuszczam, że można to nazwać zabawą. Nadal szukamy Tima Underhilla.

– Miło z waszej strony.

– Dowiedzieliśmy się, że wyjechał z Singapuru, więc Beevers poleciał do Tajpej, a Conor i ja jesteśmy w Bangkoku. Sądzę, że znajdziemy go w ciągu kilku dni.

– Super. Jesteś w Bangkoku, przeżywasz na nowo weneryczną młodość, a ja pracuję w Westerholmie, gdzie jest twój dom i praktyka medyczna. Mam nadzieję, że pamiętasz, że nie byłaś zachwycona, kiedy ogłosiłeś zamiar udania się w tę waszą podróż?

– Niezupełnie ogłosiłem w tym sensie, Judy.

– Kiepska pamięć, a nie mówiłam?

– Myślałem, że się ucieszysz, że zadzwoniłem.

– Nie życzyć ci źle, bez względu na to, co myślisz.

– Nigdy tak nie myślałem.

– W pewnym sensie prawie się cieszę, że wyjechałaś, bo to daje mi czas na od dawna odkładane przemyślenie naszego związku. Naprawdę się zastanawiam, czy robimy dla siebie wzajemnie coś dobrego.

– Chcesz teraz o tym porozmawiać?

– Powiedz mi tylko jedno. Czy poprosiłeś kogoś ze swoich koleżków, żeby od czasu do czasu dzwonił do mnie, by sprawdzić, czy jestem w domu?

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Mówię o małym skrzacie, który tak bardzo uwielbia dźwięk mojego głosu na automatycznej sekretarce, że dzwoni dwa albo trzy razy dziennie. A tak przy okazji, nie obchodzi mnie, czy już mi nie ufasz, bo jestem osobą, która bierze odpowiedzialność za siebie, Michael, i zawsze taka byłam.

– Dostajesz głuche telefony? – zapytał rad, że zna powód wrogości żony.

– Jakbyś nie wiedział.

– Och, Judy – powiedział z wyraźnym bólem i żalem w głosie.

– W porządku. W porządku.

– Zawiadom policję.

– Co to da?

– Jeśli będzie często dzwonić, zdołają go namierzyć.

Zapadła długa cisza, którą Michael uznał za prawie niekrępującą, małżeńską.

– Marnowanie pieniędzy – powiedziała Judy.

– To pewnie żart jakiegoś ucznia. Musisz trochę odpocząć, Judy.

Zawahała się.

– Cóż, Bob Bunce zaprosił mnie na kolację jutro wieczorem. Miło będzie wyjść z domu.

– Ekspert od os? Dobre.

– O czym mówisz?

Dwa lata wcześniej na szkolnym przyjęciu Michael opowiedział kilku osobom o Victorze Spitalnym, który wybiegł z jaskini Ia Thuc i krzyczał, że pokąsały go miliony os. Mógł mówić tylko o tej części Ia Thuc: była nieszkodliwa i w tej historii nikt nie zginął. Victor Spitalny wypadł z jaskini, drapał twarz paznokciami i krzyczał, dopóki nie został owinięty brezentową płachtą. Odwinął go, gdy się uspokoił. Twarz i dłonie Spitalny'ego były pokryte szybko zanikającymi czerwonymi pręgami. „W Wietnamie nie ma os, braciszku” – powiedział specjalista Cotton, fotografując Spitalny'ego, gdy był na wpół owinięty. „Są wszelkie możliwe robale, ale nie osy”.

Wysoki na sześć stóp i trzy cale nauczyciel angielskiego, Bob Bunce, który miał opadające na czoło blond włosy, szczerpł twarz patrycjusza i nosił piękne tweedowe garnitury, powiedział Michaelowi, że skoro osy występują na całej półkuli północnej, to muszą być również w Wietnamie. Michael uważał Bunce'a za zadowolonego z siebie wszytkowiedzącego zarozumialca. Podobno pochodził z zamożnej rodziny z Main Line w Filadelfii i uczył angielskiego, bo miał do tego kapłańskie powołanie. Był mokrym snem liberała. Dodał, że ponieważ Wietnam jest krajem podzwrotnikowym, osy będą rzadkością, a poza tym większość os we wszystkich częściach świata to samotnicy. „I czy nie ma ciekawszych pytań dotyczących Ia Thuc, Michael?” – zapytał znacząco.

– Mniejsza z tym – powiedział teraz Michael do Judy. – Dokąd się wybieracie?

– Nie powiedział mi, Michael. To, dokąd mnie zabiera, nie jest najważniejsze. Nie proszę o czterogwiazdkową kolację, wiesz, zależy mi tylko na towarzystwie.

– Świetnie.

– Ty nie pragniesz towarzystwa, prawda? Ale sądzą, że w Westerholmie też są salony masażu.

- Nie sądzę. – Zaśmiał się.
- Nie chcę już rozmawiać – powiedziała szybko Judy.
- W porządku.

Kolejna długa cisza.

- Miłej kolacji z Bunce'em.

- Nie masz prawa tak mówić – powiedziała Judy i rozłączyła się bez pożegnania.

Michael delikatnie odłożył słuchawkę. Conor chodził po pokoju, wyglądał przez okno, podskakiwał na piętach, unikając jego wzroku. W końcu odchrząknął.

- Kłopoty?

- Moje życie staje się śmieszne.

Conor roześmiał się.

- Moje życie zawsze było śmieszne. Śmieszne nie jest takie złe.

– Może nie – powiedział Michael i uśmiechnęli się do siebie. – Chyba dzisiaj wcześniej się położę. Dasz sobie radę sam? Jutro możemy sporządzić listę miejsc, do których warto zajrzeć, i naprawdę zabierzemy się do pracy.

Conor zabrał ze sobą kilka zdjęć Tima Underhilla i wyszedł.

4

Zadowolony, że jest sam, Michael zamówił prosty posiłek do pokoju i wyciągnął się na łóżku z egzemplarzem *Podzielnego człowieka*, który kupił tego popołudnia. Nie czytał tej najbardziej udanej książki Underhilla od lat i był zaskoczony, jak szybko go wciągnęła, jak odwróciła jego uwagę od zmartwień związanych z Judy.

Hal Esterhaz, bohater *Podzielnego człowieka*, był detektywem z wydziału zabójstw w Monroe w stanie Illinois, średniej wielkości mieście pełnym odlewni, warsztatów samochodowych i ogrodzonych pustych parceli. Służył jako porucznik w Wietnamie i po powrocie do domu ożenił się i również szybko rozwiódł ze swoją dziewczyną ze szkoły średniej. Dużo pił, ale od lat był szanowanym policjantem z niewygodną tajemnicą: był biseksualistą. Poczucie winy z powodu pociągu seksualnego do mężczyzn było przyczyną nie tylko pijaństwa, ale również brutalności wobec aresztowanych przestępców. Esterhaz pilnował się i bił tylko tych, którymi najbardziej pogardzali inni policjanci – gwałciciele i pedofili.

Michael nagle zaczął się zastanawiać, czy postać Esterhaza jest wzorowana na Harrym Beeversie. Nie przyszło mu to do głowy, kiedy po raz pierwszy czytał książkę, ale teraz, chociaż detektyw był twardszy i bardziej zagadkowy niż Beevers, praktycznie widział go z twarzą Zgubionego Szefa. O ile się orientował, Beevers nie był biseksualny, chociaż nie byłby zaskoczony, gdyby wyszła na jaw jego ogromna skłonność do sadyzmu.

Michael dostrzegł także inne prawdopodobieństwo, które umknęło mu podczas pierwszej lektury. Monroe w stanie Illinois, surowe brutalne miasto, w którym Hal Esterhaz rozwiązywał zagadkę *Podzielnego człowieka*, bardzo przypominało Milwaukee w stanie Wisconsin, często opisywane przez M.O. Denglera. W Monroe mieli wielu Polaków na południowej stronie, duże czarne getto na północy i pierwszoligową drużynę piłkarską. Rezydencje bogatych stały wzdłuż trzech lub czterech ulic w pobliżu jeziora. Przez obskurne śródmieście płynęła ciemna, zanieczyszczona rzeka. Były tam papiernie i garbarnie, księgarnie dla dorosłych, kręgielnie, okropne zimy, liczne bary i szynki, baryłkowane kobiety w chustkach czekające na przystankach autobusowych. Tak wyglądał krajobraz dzieciństwa Denglera.

Wkrótce akcja pochłonęła go do tego stopnia, że minęła ponad godzina, zanim z opóźnieniem ołśniło go po raz trzeci: *Podzielony człowiek* jest praktycznie medytacjami o Koko.

Bezrobotny pianista zostaje znaleziony z poderżniętym gardłem w swoim pokoju w obskurnym hotelu St Alwyn w centrum miasta. Obok ciała leży kartka z wypisanymi ołówkiem słowami „Błękitna Róża”. Hal Esterhaz zostaje przydzielony do sprawy i rozpoznaje ofiarę jako stałego klienta jednego z gejowskich barów w Monroe. Kiedyś uprawiał z nim seks. Oczywiście w raporcie zataja informacje o swojej przelotnej relacji z ofiarą.

Następna ofiara to prostytutka, znaleziona z poderżniętym gardłem w zaułku za St Alwyn, i znów jest karteczka: „Błękitna Róża”. Esterhaz dowiaduje się, że dziewczyna też mieszkała w hotelu i była

przyjaciółką pianisty; podejrzewa, że była świadkiem morderstwa lub wiedziała o czymś, co doprowadziłoby policję do zabójcy.

Tydzień później młody lekarz zostaje zamordowany w swoim jaguarze, zaparkowanym w garażu rezydencji nad jeziorem, gdzie mieszkał sam z gospodynią. Esterhaz stawia się na miejsce zdarzenia żałośnie skacowany, we wczorajszym ubraniu, w zasadzie nie pamiętając nocy. Wpadł do baru o nazwie Dom Poprawczy, pamięta zamawianie drinków, rozmowy, pamięta wkładanie płaszcza, kłopoty z rękawami... potem wszystko jest czarne, aż do telefonu z komisariatu, który wyrwał go ze snu na kanapie. Znacznie gorsze od kaca jest to, że jakieś pięć lat wcześniej młody lekarz przez ponad rok był jego kochankiem. Nikt o tym nie wiedział, nawet gospodyni lekarza. Esterhaz przeprowadza kompetentne śledztwo na miejscu zbrodni, znajduje kartkę z napisem „Błękitna Róża”, przesłuchuje gospodynię, pakuje do torebek i opisuje wszystkie dowody rzeczowe, a po skończeniu oględzin przez lekarza sądowego i zabranii ciała wraca do Domu Poprawczego. Kolejny urwany film, kolejny poranek na kanapie z na wpół pustą butelką i ryczącym telewizorem.

W następnym tygodniu zostaje odkryte następne ciało. Ofiara to kanciarz i narkoman, jeden z informatorów Esterhaza.

Kolejną ofiarą jest fanatyk religijny, rzeźnik, który głosił kazania do wiernych w pomieszczeniu na parterze od ulicy w centrum miasta. Esterhaz nie tylko go znał, ale też nienawidził. Rzeźnik i jego żona byli najbardziej brutalnymi z szeregu rodziców zastępczych, u których się wychowywał. Bili go i maltretowali prawie codziennie, nie puszczali go do szkoły i kazali mu pracować na zapleczu sklepu mięsnego – jest grzesznikiem, musi pracować, aż krew zaleje mu ręce, musi uczyć się Pisma na pamięć, aby ocalić duszę – był przeklęty bez względu na to, ile Pisma zapamiętał, więc zasługiwał ma więcej bicia. Zabrano go z domu rzeźnika dopiero po niezapowiedzianej wizycie pracownicy socjalnej, która odkryła, że cały posiniaczony siedzi zamknięty w chłodni i „pokutuje”.

Co więcej, w rzeczywistości Hal Esterhaz wcale nie nazywa się Hal Esterhaz – tak nazwali go pracownicy socjalni. Jego tożsamość i pochodzenie, a nawet dokładny wiek, okrywa tajemnica. Wie tylko to, że znaleziono go w połowie grudnia, gdy w wieku trzech lub czterech lat błąkał się, oblepiony zamrzniętym błotem, po ulicach w pobliżu rzeki. Nie umiał mówić, był zagłodzony prawie na śmierć.

Nawet teraz Esterhaz nie przypomina sobie długich okresów swojego nieszczęsnego dzieciństwa i nie pamięta niczego z życia sprzed czasu, gdy naleziono go, nagiego i głodnego, na ulicy nad rzeką Monroe.

Jego sny o tamtych czasach dotyczyły złotego świata, w którym olbrzymy głaskały go, karmiły i nazywały imieniem, jakiego nigdy nie słyszał.

Hal Esterhaz dwukrotnie rzucił szkołę, miał kłopoty z prawem, okres dojrzewania spędził w dusznej unieczystwiającej nienawiści do wszystkiego, co go dotyczyło. Zaciągnął się do wojska w napadzie pijackiej nienawiści do samego siebie i armia go uratowała. Wszystkie jego najprzyzwoitsze, najbardziej niezawodne wspomnienia praktycznie zaczynały się od unitarki. Było tak, myślał, jakby urodził się trzy razy: najpierw w złotym świecie, potem w zamrzniętym zgorzkniałym Monroe, wreszcie w mundurze. Przełożeni szybko poznali się na jego wrodzonych zdolnościach i wysłali go do szkoły dla kandydatów na oficerów. W zamian za kolejne cztery lata służby – i tak chętnie by służył – przeszedł szkolenie i pojechał na swoją drugą turę do Wietnamu w stopniu porucznika.

Po śmierci rzeźnika Esterhaz zaczyna śnić, że stoi spocony i przerażony nad zlewem, bez koszuli, z czerwoną plamą na piersi, i zmywa krew z rąk, trzyma zakrwawione ręce w czerwonej strudze wody... śni, że otwiera drzwi do ogrodu chorych róż, róż o nienaturalnej barwie jasnego chemicznego błękitu. Śni, że jedzie samochodem w głęboką ciemność, że znajomym trupem na siedzeniu obok siebie.

W tym momencie Michael doszedł do przekonania, że pamięta, jak M.O. Dengler kiedyś w swą opowieść o bajecznym Milwaukee – o znalezieniu chorego anioła w drewnianej skrzynce i karmieniu go popcornem i orzeszkami w polewie karmelowej, dopóki znów nie mógł latać, o człowieku, który zapalał lód oddechem, o słynnym zbrodniarzu z Milwaukee, z którego ust zamiast słów wylatywały szczyry i owady – wplótł coś o tym, że jego rodzice są tylko połową jego rodziców, cokolwiek to miało znaczyć.

Poole zasnął z książką na piersi, nie dalej niż sto jardów od miejsca na Phat Pong Road, gdzie Dengler wykrwawił się na śmierć.

Jak zginął Dengler?

1

Według Armii Stanów Zjednoczonych starszy szeregowy Dengler padł ofiarą morderczego ataku dokonanego przez osobę lub osoby nieznaną. Wspomniany atak nastąpił podczas jego urlopu w Bangkoku w Tajlandii. Szeregowy Dengler doznał licznych urazów czaszki, złożonych złamań prawej i lewej kości piszczelowej i strzałkowej, złamania kości krzyżowej, pęknięcia śledziony, pęknięcia prawej nerki i ran kłutych w górnych partiach płuc. Odcięto mu osiem palców i wyłamano obie ręce. Miał zgruchotane nos i szczękę. Skóra denata została poważnie starta i napastnicy zerwali większą część twarzy. Identyfikacji dokonano na podstawie nieśmiertelników ofiary. Armia uznała za niemądre lub niepotrzebne spekulowanie na temat przyczyn ataku na starszego szeregowego Denglera, ograniczając komentarze do rozważania napięć, które narosły między członkami amerykańskich sił zbrojnych a rdzenną ludnością.

2

W świetle zdarzeń dotyczących sierżanta Khoffiego (1967) i starszego szeregowego Springwatera (1968) w Bangkoku zalecono utworzenie komisji, która rozważy ograniczenie urlopów w Bangkoku do personelu rangi oficerskiej. (Zwrócono również uwagę na mniej poważne incydenty w Honolulu i Hongkongu oraz na istniejący w tych miastach trójkąt wojsko-cywilno-policja).

„Dajcie nam dane”, błagała armia, „dajcie nam Komisję”. (Prośba została odnotowana, rozpatrzona i odłożona na półkę). „Zalecamy przeprowadzenie badania na miejscu”. (Zalecenie odłożone na półkę). „Konieczna jest dobra współpraca z lokalną policją, sugerujemy przydzielenie funkcjonariuszy z przeszkoleniem policyjnym do wydziałów policji w rejonach urlopowych, gdzie zdarzenia takie jak powyżej okazały się prawdopodobne”. (To zalecenie, oferowane jako pomoc dla Wydziału Policji Miasta Bangkok, nigdy nie poszło dalej). Zalecono, by Żandarmeria Wojskowa nawiązała współpracę z tamtejszym wydziałem policji w celu zidentyfikowania i zlokalizowania świadków ataku na starszego szeregowego Denglera, zidentyfikowania i zatrzymania żołnierza widzianego w towarzystwie Denglera tuż przed zdarzeniem, oraz aresztowania wszystkich odpowiedzialnych za zabójstwo Denglera. Trzy tygodnie później okazało się, że niezidentyfikowanym żołnierzem, którego widziano z Denglerem, był starszy szeregowy Victor Spitalny, wysłany na urlop do Honolulu.

3

W dokumentach medycznych starszego szeregowego Denglera jako przyczynę zgonu podano utratę krwi w wyniku rozległych obrażeń ciała. Rodziców poinformowano, że zginął bohaterską śmiercią i że będzie go bardzo brakować innym żołnierzom – Beevers pisał list na wpół z urazą, napompowany bimbrem z prywatnego zapasu Manly’ego. Później armia wstrzymała oddech. Policja nie wywękła Victora Spitalny’ego z Niebiańskiego Salonu Masażu ani z Królowej Missisipi w Bangkoku; amerykańscy żan-

darmi wojskowi nie wyciągnęli go z rynsztoka w Patpongu. Policja w Milwaukee w stanie Wisconsin – gdzie, co dość zaskakujące, przyszedł na świat starszy szeregowy Szpitalny – nie zlokalizowała zaginionego żołnierza – w tym czasie już oskarżonego o dezercję – ani w domu rodziców, ani w domu jego byłej dziewczyny, ani w barach Sportowa Gospoda, U Sama i Aggie i Pepitka, gdzie dezertier lubił przeżywać przed rozpoczęciem służby wojskowej.

Nikt w Bangkoku, Camp Crandall ani w Pentagonie nie wspomniał o małej dziewczynce, która biegła zakrwawiona po Phat Pong Road, nikt nie wspomniał o krzykach i płaczu, które cichły w zanieczyszczonym powietrzu. Dziewczynka przez jakiś czas żyła w plotkach i fikcji, a potem zniknęła zupełnie, jak trzydzieścioro dzieci z jaskini w la Thuc, i w końcu armia, zajęta innymi sprawami i innymi problemami, zapomniała o wstrzymywaniu oddechu.

4

Jak to było iść na urlop?

To było jak pobyt na innej planecie. Jak przybycie z innej planety.

Dlaczego jak przybycie z innej planety?

Bo nawet czas płynął inaczej. Wszyscy poruszali się z wielką nieświadomą powolnością, mówili powoli, wolno się uśmiechali i wolno myśleli.

Czy to była jedyna różnica?

Największą różnicą byli ludzie. To, co uważali za ważne, co ich uszczęśliwiało.

Czy to była jedyna różnica?

Wszyscy zarabiają pieniądze, a ty nie. Wszyscy wydają pieniądze, a ty nie. Każdy ma dziewczynę. Każdy ma suche stopy i każdy je prawdziwe jedzenie.

Czego ci brakowało?

Brakowało mi prawdziwego świata. Brakowało mi Wietnamu. Gdzie jest zupełnie inna topowa dziesiątka.

Topowa dziesiątka?

Dźwięki, które sprawiają, że czujesz się chory z podniecenia. Chcesz piosenek ze swojej własnej planety.

Opowiesz mi o dziewczynce?

Wybiegła z krzyków, jak ptaki wylatują z chmur. Była obrazem – to pierwsze, co pomyślałem. Że trzeba ją zobaczyć, że musi się prezentować. Pochodziła z mojego świata. Wyzwoliła się. Tak jak wyzwolił się Koko.

Jak myślisz, dlaczego krzyczała?

Pomyślałem, że krzyczy z powodu bliskości rzeczy ostatecznych.

Ile miała lat?

Mogła mieć dziesięć lub jedenaście lat.

Jak wyglądała?

Była półnaga, a jej górna część ciała pokrywała krew. Miała krew nawet we włosach. Wyciągała ręce przed siebie, też czerwone od krwi. Mogła być Tajką. Mogła być Chinką.

Co zrobiłeś?

Stałem na chodniku i patrzyłem, jak mnie mijają.

Czy ktoś jeszcze ją widział?

Nie. Jakiś staruszek zamrugał i wyglądał na zatroskanego. Nic więcej.

Dlaczego jej nie zatrzymałeś?

Była obrazem. Była przedziwna. Umarłaby, gdybyś ją powstrzymał. Może ty też byś umarł. Po prostu stałem w tłumie i patrzyłem, jak przebiega obok mnie.

Co czułeś, gdy ją zobaczyłeś?

Kochałem ją.

Czułem, że widziałem w jej twarzy, w jej oczach wszystko, co było prawdą. Nic nie jest zdrowe, to właśnie widziałem, nic nie jest bezpieczne, przerażenie i ból kryją się pod wszystkim – myślę, że Bóg widzi w ten sposób, tylko przez większość czasu nie chce, żebyśmy też tak widzieli.

Miałem uczucie Pana. Czułem się tak, jakby spaliła mi mózg. Jakby spłonęły mi oczy. Biegła w głąb jasnej ulicy pośród zgiełku, pokazując światu zakrwawione ręce, i zniknęła. Panika. Bliskość rzeczy ostatecznych.

Co zrobiłeś?

Poszedłem do domu i pisałem. Poszedłem do domu i płakałem. Później napisałem więcej.

Co napisałeś?

Napisałem opowieść o poruczniku Harrym Beeversie, którą zatytułowałem *Błękitna Róża*.

Telefon

1

Michael Poole i Conor Linklater rozdzielili się drugiego dnia w Bangkoku.

Conor odwiedził kilkanaście gejowskich barów w Patpong 3, pytając o Tima Underhilla zdumionych, ale uprzejmych japońskich turystów, którzy zwykle proponowali mu drinka, nerwowych Amerykanów, którzy zwykle udawali, że go nie widzą ani nie słyszą, oraz różnych uśmiechniętych Tajów, którzy zakładali, że szuka kochanka, i oferowali usługi młodych mężczyzn, z obietnicą, że szybko uleczą jego złamane serce. Conor zapomniał zabrać zdjęcia z pokoju w hotelu. Patrzył na ładnych chłopców w sukienkach i myślał o Timie Underhillu, jednocześnie żałując, że te zwiewne istoty nie są dziewczynami, które tak bardzo przypominają. Barman w barze dla transwestytów o nazwie U Mamy sprawił, że przestał oddychać na kilka sekund: mężczyzna zamrugał, gdy usłyszał nazwisko Underhill, i stał, patrząc na niego i z uśmiechem gładząc się po brodzie. W końcu zachichotał i powiedział:

– Nigdy nie widziałem go tutaj.

Conor uśmiechnął się do mężczyzny, który miał taką minę, jakby topił na języku grudkę czegoś pysznego, czekolady lub masła.

– Zareagowałeś tak, jakbyś go znał.

– Nie mam pewności – powiedział barman.

Conor westchnął, wyjął z kieszeni dziesięć dwadzieścia bahtów i przesunął po barze. Mężczyzna schował banknot do kieszeni i znowu pogładził się po brodzie.

– Może, może. Undahill. Timofy Undahill.

Spojrzał na Conora i pokręcił głową.

– Przepraszam, pomyliłem się.

– Ty mały dupku. – Conor usłyszał swój głos. – Ty zasańcu, wzięłeś moją forszę.

Nie planując tego w żaden sposób i nawet nie zdając sobie sprawy, że wpadł we wściekłość, zgrzytnął zębami i sięgnął nad barem.

Barman cofnął się z obłąkańczym chichotem, a on rzucił się na niego i zacisnął ręce na białej koszuli.

– Zarób na swoje pieniądze, cholera. Jak myślisz, kto to był? Ktoś, kto tu przyszedł?

– Pomyłka, pomyłka! – krzyknął barman.

Podeszło do nich kilku mężczyzn, którzy pili przy barze. Jeden z nich, Taj w jasnyniebieskim jedwabnym garniturze, poklepał Conora po ramieniu.

– Uspokój się – powiedział.

– Uspokój się, akurat – warknął Conor. – Ten dupek zabrał moją forszę i nie chce gadać!

– Tu są pieniądze – wycharczał barman, wciągając na wdech leżący na barze. – Wypij darmowego drinka. Proszę. A potem wyjdź, proszę. – Wyjął banknot z kieszeni i rzucił go na bar.

Conor puścił mężczyznę.

– Nie chcę pieniędzy. Zatrzymaj te cholerne pieniądze. Chcę tylko dowiedzieć się czegoś o Underhillu.

– Szukasz niejakiego Tima Underhilla? – spytał wytworny mały Taj w niebieskim jedwabnym garniturze.

– Jasne, że tak! – powiedział Conor zbyt głośno. – A niby co innego robię? Jestem jego przyjacielem. Nie widziałem go od czternastu lat. Mój przyjaciel i ja przybyliśmy tutaj, żeby go znaleźć. – Gwałtownie pokręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się z potu. – Nie chciałem, żeby wyszło tak ostro i w ogóle. Przepraszam, że cię szarpnąłem.

– Nie widziałeś tego człowieka od czteremastu lat, a teraz szukasz go razem ze swoim przyjacielem.

– Zgadza się.

– A jednak dałeś się ponieść emocjom! Grozisz temu człowiekowi przemocą!

– Hej, okiwał mnie. I przepraszam, ale to nie znaczy, że komuś tu groziłem, w każdym razie jeszcze nie. – Conor wbił ręce w kieszenie džinsów i odsunął się od baru. – Po pewnym czasie szukanie faceta, którego nikt nie zna, robi się frustrujące. Słuchaj, może jeszcze kiedyś się zobaczymy.

– Nie zrozumiałeś! – powiedział Taj. – Amerykanie zawsze są tacy szybcy!

Ku ogromnemu zakłopotaniu Conora wszyscy wybuchli śmiechem.

– Chodzi mi o to, że możemy ci pomóc.

– Wiedziałem, że ten gnojek o nim słyszał. – Spojrzał groźnie na barmana, który uspokajająco uniósł ręce.

– Będzie twoim przyjacielem, nie wyzywaj go – poradził mu Taj. – Prawda?

Barman zagadał po tajsku, co dla Conora brzmiało jak „Kumkwat kupa kopa kopa kumkwat kupa kupa”.

– Kaka kumkwat telefon kupa kopa krop krop – rzekł człowiek w niebieskim garniturze.

– Hej, dajcie spokój – powiedział Conor. – On nie żyje czy co?

Barman wzruszył ramionami i odszedł. Zapalił papierosa i obserwował mężczyznę w niebieskim garniturze.

– Obaj sądzimy, że możemy go znać – powiedział mężczyzna w niebieskim garniturze. Wziął banknot Conora i trzymał go pionowo, jak świecę.

– Kupa kopa kopa koka krop – zagadał barman, odwracając się.

– Nasz przyjaciel jest niespokojny. Uważa, że to pomyłka. Myślę, że tak nie jest. – Wsunął banknot do kieszeni.

– Kupa kopa kopa – powiedział barman.

– Underhill mieszkał w Bangkoku – powiedział Taj w niebieskim jedwabnym garniturze. – Jestem pewien, że nadal tu mieszka.

Barman wzruszył ramionami.

– Przychodził tu. Przychodził do Różowej Szparki. Przychodził do Mustanga. – Mężczyzna w niebieskim garniturze pokazał wszystkie zęby w uśmiechu. – Znał mojego przyjaciela, Chama. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Cham bardzo zły. Bardzo zły człowiek. Znasz telefon? Cham jak telefon. Znał go. – Postukał w bar długim paznokciem lśniącym od lakieru.

– Chcę poznać tego faceta, Chama – powiedział Conor.

– To niemożliwe.

– Wszystko jest możliwe. Pomoc ci się opłaci. Gdzie ten facet bywa? Pójdę tam. Ma numer telefonu?

– Obskoczmy kilka barów – powiedział mu jego nowy przyjaciel. – Zaopiekuję się tobą, rozumiesz. Znam każdy lokal.

– On zna każdy lokal – potwierdził barman.

– A znałeś Underhilla?

Mężczyzna skinął głową, przemieniając twarz w maskę komicznej wszechwiedzy.

– Bardzo dobrze, znam go, bardzo dobrze. Chcesz dowodu?

– Dobra, daj mi dowód – powiedział Conor, zastanawiając się, co ma zrobić.

Mały Taj zbliżył twarz do jego twarzy. Silnie pachniał anyżem. Na zewnątrz kącioków oczu miał maleńkie białe blizny, przypominające zwapniałe ślady po brzytwie.

– Kwiaty – powiedział i roześmiał się.

– Zgadza się. Masz rację.

– Najpierw musimy się napić – zarządził mężczyzna w niebieskim garniturze. – Trzeba się przygotować.

2

Podczas przygotowań wypili kilka drinków. Elegancki mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kopertę i wieczne pióro i oświadczył, że muszą sporządzić listę ulubionych lokali Underhilla oraz barmanów i klientów, którzy najprawdopodobniej wiedzą, gdzie go znaleźć. Były bary w Patpong 3, bary w okolicy Soi Cowboy przy Sukhumvit Road, bary w hotelach, bary w porcie Klang Toey, chińskie

herbaciarnie przy Yaowaraj Road i dwie kawiarnie – Termy i druga w hotelu Grace. Underhilla znano we wszystkich tych lokalach.

– To wszystko kosztuje – powiedział nowy przyjaciel Conora, wkładając kopertę do bocznej kieszeni marynarki.

– Mam dość pieniędzy, żeby obskoczyć kilka barów. – Conor dostrzegł wyraz nerwowej podejrzliwości na jego twarzy. Dodał: – I coś dla ciebie za fatygę.

– Za fatygę, bardzo dobrze. Wezmę teraz moją działkę za fatygę!

Conor wyciągnął z kieszeni zwitek pomiętych banknotów i mężczyzna wybrał fioletowy o nominale pięćciuset bahtów.

– Teraz idziemy.

Zajrzeli do wszystkich pozostałych barów w Patpong 3, ale nowy przyjaciel Conora nie zobaczył tam niczego, co by go zadowoliło.

– Łapiemy taksówkę – powiedział. – Objedziemy miasto, zajrzemy do najlepszych lokali, najbardziej ekscytujących, i właśnie tam go znajdziemy!

Wyszli na zatłoczoną ulicę i zatrzymali taksówkę. Conor siedział z tyłu, podczas gdy niski mężczyzna długo rozmawiał z kierowcą. Machnął ręką i uśmiechnął się.

– Kupa kopa katoey kupa kopa kopa bath mai kupa.

Podał kierowcy kilka banknotów.

– Wszystko załatwione – oznajmił, siadając obok Conora.

– Nawet nie znam twojego imienia – powiedział Conor i wyciągnął rękę.

Mężczyzna uśmiechnął się i energicznie potrząsnął jego ręką.

– Jestem Cham. Dziękuję ci.

– Myślałem, że Cham jest twoim przyjacielem. Który znał Tima.

– On jest Cham, ja Cham. Prawdopodobnie naszym miłym kierowcą też jest Cham. Ale mój przyjaciel jest zły, zbyt zły. – Znowu zachichotał.

– A co to jest „katoey”? – zapytał Conor, cytując jedno ze słów, które słyszał w prowadzonych po tajsku rozmowach i które nie brzmiało jak dowcip z kibla.

Cham uśmiechnął się.

– „Katoey” to chłopiec, który przebiera się za dziewczynę. Widzisz? Nie zwodzę cię. – Na sekundę zacisnął dłoń na kolanie Conora.

O kurwa, pomyślał Conor, ale tylko odsunął się kawałeczek na siedzeniu samochodu.

– A o co chodzi z telefonem? – zapytał.

– O co chodzi? – Twarz Chama uległa subtelnej zmianie. Jego uśmiech stał się wymuszony, poły-skiwy.

Pędzili w rzece pojazdów, podskakiwali na torach tramwajowych, jadąc wiele mil od centrum miasta, przynajmniej tak się wydawało Conorowi.

– Telefon. Mówiłeś coś o tym U Mamy.

– Och, och. – Cham wrócił do normalnego stanu. – Telefon. Myślałem, że powiedziałaś inne słowo. Nie ma z tobą nic wspólnego. Telefon to słowo z Bangkoku. Wiele, wiele znaczeń. – Zerknął na niego z ukosa. – Jedno znaczenie, ssać. Rozumiesz? Telefon. – Klasnął w małe dłonie i zamknął oczy jakby z rozbawienia.

Conor i Cham spędzili następne dwie godziny w barach pełnych dziewczyn, które wyglądały na głodne, i eleganckich chłopców poszukujących zdobyczy; Cham przeprowadził długie, pełne okrzyków i śmiechu dyskusje z kilkunastoma barmanami, ale nic z tego nie wynikało poza przechodzeniem banknotów z ręki do ręki. Conor początkowo pił ostrożnie, kiedy jednak zauważył, że podniecenie związane z tropieniem Underhilla minimalizuje działanie alkoholu, zaczął pić jak w Donovan's.

– Dawno go tu nie było. – Cham zwrócił się do niego ze swoim radosnym uśmiechem. Conor ponownie zwrócił uwagę na białe drobne blizny wokół jego oczu i ust. Wyglądało to tak, jakby lekarz usunął prawdziwą twarz Chama i zastąpił ją tą gładką, chłopięcą maską. Mężczyzna położył schludną dłoń w kolorze piasku na jego ręce. – Nie martw się. Wkrótce go znajdziemy. Masz ochotę na kolejną wódkę?

– Do diabła, tak. W następnym barze.

Wyszli w zapadający zmierzch, ręka Chama spoczywała między jego łopatkami. Conor zastanawiał się, czy powinien zadzwonić do Michaela Poole'a do hotelu, gdy nagle stanął jak wrośnięty w chodnik, myśląc, że widzi go wsiadającego do taksówki przed jasno oświetlonym lokalem o nazwie Zanzibar po drugiej stronie ulicy.

– Hej, Mike! – wrzasnął.

Mężczyzna zamknął drzwi taksówki.

– Mike! Tutaj!

Cham przyłożył czubki palców do ust.

– Zjemy coś?

– Właśnie widziałem mojego przyjaciela. Tam.

– On też szuka Tima Underhilla?

Conor skinął głową.

– W takim razie szukanie w Soi Cowboy nie ma sensu.

Kilka minut później pełzli zakorkowanymi lśniącymi ulicami, mijając błyskające znaki. Obok nich przemykały gromady chłopaków na motorowerach. Ludzie wylewali się z nocnych klubów.

Conor przerwał rozmowę z Chanem i zobaczył zaglądającą przez okno taksówki wychudzoną, porażoną, bezpieczną twarz ducha, pozbawioną wszystkiego oprócz głodu.

– Mogę cię o coś spytać? – Conor usłyszał własny głos i był to głos pijanego człowieka. Zdecydował, że tak naprawdę wcale go to nie obchodzi. Mały facet był jego przyjacielem.

Cham poklepał go po kolanie.

– Skąd masz te wszystkie cholerne blizny na twarzy? Zderzyłeś się z fabryką haczyków na ryby czy coś? – Ręka Chama zastygła na jego nodze. – To musi być piekielna historia.

Cham pochylił się i zagadał do kierowcy:

– Kupa kupa kupa klang toey.

– Kupa kupa kupa – odpowiedział taksjarsz.

– Katoey? – zapytał Conor. – Mam dość tych facetów.

– Klang Toey. Obszar portu.

– Kiedy tam dotrzemy?

– Już jesteśmy – odparł Cham.

Conor wysiadł z taksówki na końcu świata. Powietrze wypełniał ostry rybi zapach morskiej wody. Twarz czaszki przyciśnięta do okna taksówki wypłynęła w jego umyśle.

– Telefon! – wrzasnął. – Pierwszy Korpus! Co z tym?!

Cham odciągnął go od dalekiego widoku rzeki w kierunku baru Wenus. Pili drinki w Wenus, U Jimmy'ego i w Klubie Hung; pili w miejscach bez nazw. Conor zorientował się, że opiera się o Chama lub Cham opiera się o niego, gdy taksówka skręcała. Spojrzał w bok, zdjął rękę Chama z nogi i znów zobaczył kościstą, zapadniętą twarz spoglądającą przez okno martwymi oczami. Przebiegł go dreszcz, jakby stał mokry i nagani na zimnym wietrze. Krzyknął, a twarz zamigotała i zniknęła.

– Nic – powiedział Cham.

Weszli po schodach do ciemnych pokoi pachnących kadzidłem, gdzie w głowach pustych otoman leżały ceramiczne poduszki, a Chińczycy przerywali grę w madzonga na czas dość długi, żeby odpowiedzieć na pytania o Underhilla. W pierwszym pokoju marszczyli brwi i kiwali głowami, w drugim pokoju marszczyli brwi i kiwali głowami, w trzecim pokoju marszczyli brwi i kiwali głowami.

– Znali go tutaj? – zapytał Conor.

– Wyrzucili go stąd – odrzekł Cham.

Conor znalazł się przy nakrytym serwetą stole w holu hotelu. Daleko od niego młody Taj w niebieskiej marynarce czytał książkę w miękkiej oprawie za biurkiem recepcji. Filiżanka kawy parowała przed Conorem; podniósł ją i pociągnął łyk. Przy każdym stole siedzieli młodzi mężczyźni i kobiety, a dziewczyny krzyżowały nogi na kanapach pod ścianami. Kawa wyparzyła mu usta.

– Czasami tu przychodzi – powiedział Cham. – Wszyscy czasami tu przychodzą.

Conor pochylił się, żeby siorbnąć łyk kawy. Kiedy spojrzał w górę, holu już nie było, a on ścisnął klamkę drzwi na tylnym siedzeniu taksówki.

– Twój przyjaciel był zły, bardzo zły – mówił Cham. – Już nigdzie nie jest mile widziany. Jest zły czy tylko chory? Powiedz mi, proszę. Chcę coś wiedzieć o tym człowieku.

– Był świętym pieprzonym facetem – powiedział Conor. Temat świętności Underhilla wydawał się niewymownie ogromny, zbyt rozległy, żeby ogarnąć go samymi słowami.

– Ale jest bardzo głupi.

– Ty też.

– Ale ja nie opróżniam żołądka w miejscach publicznych. Nie wywołuję wokół siebie konsternacji i rozpacz. Nie straszę i nie obrażam tych, którzy mają nade mną jakkolwiek władzę.

– Opis pasuje do Underhilla, zgadza się – wymamrotał Conor i zasnął.

Przez chwilę śniła mu się upiorna twarz przyciśnięta do szyby. Zbudził się z drgnieniem, gdy uświadomił sobie, że twarz należała do Underhilla. Był sam na tylnym siedzeniu.

– Co? – powiedział.

– Kupa kopa kopa kopa – zagadał kierowca, pochylił się nad oparciem fotela i wyciągnął złożoną kartkę.

– Gdzie są wszyscy? – Conor wziął kartkę i spojrział w okno.

Taksówka stała w szerokiej uliczce między wysoką betonową budowlą, która wyglądała jak garaż, a parterowym budynkiem bez okien, również z betonu. Lampa sodowa malowała beton i nawierzchnię ostrym żółtym światłem.

– Gdzie jesteśmy?

Kierowca wskazał kartką jego nogę. Conor z zakłopotaniem spojrział w dół i zobaczył leżącego na prawym udzie penisa, białego jak makrela w ciemności taksówki. Pochylił się, żeby osłonić się przed wzrokiem kierowcy, i wcisnął go w dżinsy. Serce mu waliło, bolała go głowa. Już nic nie miało sensu.

W końcu Conor wziął od kierowcy złożony papier. Przeczytał kilka linijek koślawego czarnego pisma. „Wypiełeś za dużo. Twój przyjaciel może tu być. Uważaj, jeśli wejdiesz. Kierowca został dobrze opłacony”. Poniżej widniał numer telefonu. Conor zmiął kartkę i wysiadł z taksówki.

Kierowca okrążył go, włączając światła.

Conor rzucił zmiętą kartkę i kopnął. Sześciu mężczyzn w obcisłych tajlandzkich garniturach zmateriałizowało się przed mniejszym betonowym budynkiem i powoli dryfowało w jego stronę. Conor miał ochotę uciec – posępni mężczyźni przypominali mu smukłe rekiny. Ledwie trzymał się na nogach. Reflektory krążącej taksówki raziły go w oczy. Chciał się napić.

– Wchodzisz? – Najbliższy Taj uśmiechał się jak trup podszycowany przez przedsiębiorcę pogrzebowego. – Cham z nami rozmawiał. Czekał na ciebie.

– Cham nie jest moim przyjacielem – oznajmił Conor. Wszyscy mężczyźni przywoływali go do pozbawionego okien betonowego budynku. – Nie wejdź tam. Co tam w ogóle jest?

– Sex show – odparł trupia główka.

– Och, pał diabli – mruknął Conor i pozwolił, żeby pchnęli go ku drzwiom. – To wszystko?

W środku zapłacił trzysta bahtów kobiecie w ciemnych okularach, z kolczykami w kształcie cya-cych butelek coca-coli.

– Uwielbiam te kolczyki – powiedział. – Znasz Tima Underhilla?

– Jeszcze nie tu – odparła. Cycate butelki kołysały się jak wisielcy.

Conor podążył za jednym z mężczyzn długim, ciemnym korytarzem do dużego pomieszczenia z niskim pomalowanym na czarno sufitem. Nad rzędami krzesel biwakowych paliły się przyćmione czerwone światła, a czerwone reflektory celowały w dwie sceny, jedną wprost przed krzesłami, drugą obok zatłoczonego baru. Na każdej tańczyła naga dziewczyna, przerzucając włosy i pstrykając palcami. Obie miały podskakujące drobne piersi, wąskie biodra i włosy łonowe jak małe czarne odznaki. W czerwonym świetle ich usta wydawały się czarne. Większość klientów siedzących na krzesłach i stojących przy barze stanowili Tajowie, ale w tłumie było kilku pijanych jak on białych mężczyzn, a nawet kilka białych par w amerykańskich ubraniach. Conor na w pół usiadł, na w pół runął na krzesło z tyłu sali i zamówił piwo za sto bahtów u półnagiej dziewczyny, która wyrosła obok niego jak spod ziemi.

Ten drań wyciągnął mi fiuta ze spodni, pomyślał. Chyba mam szczęście, że go nie odciął i nie zabrał do domu w butelce.

Wypił piwo, a potem kolejne, gdy dziewczyny na scenie zamieniały twarze i ciała, krótkie włosy na długie, piersi baseballowe na piersi futbolowe, miękkie biodra na biodra charta. Wydmuchiwały dym i uśmiechały się jak dziewczyny na randkach. Conor stwierdził, że je lubi. Jedna z nich otworzyła pochwał butelkę coca-coli – kapsel odpadł z głośnym trzaskiem. Twarz tej dziewczyny była dziwnie szorstka i miała tęsny wyraz, z precyzyjnie wyrysowanymi kośćmi policzkowymi i lśniącymi oczami. Po otworzeniu butelki usiadła pod ścianą sceny, uniosła ładne nogi i wessała w siebie napój. Kiedy wstała, wypuściła syczący strumień pynu z powrotem do butelki. O ile Conor wiedział, ani jedna dziewczyna w Donovan's nie zrobiłaby takiej sztuczki.

Uświadomił sobie, że osiągnął ten żelazny etap pijaństwa, na którym może spokojnie wypić jeszcze dziesięć drinków.

Spojrzał na boczną scenę i poczuł, że jego twarz robi się czerwona, a uszy mu płoną. Szczupła, młoda istota wysunęła się z sukienki, odsłaniając drobne ładne piersi i wyprężonego kutasa. Drugi szczupły katoey ukląkł i wziął penisa do ust. Conor skierował wzrok z powrotem na centralną scenę, gdzie dziewczyna o opanowanej twarzy kochanki dyktatora szykowała się do zrobienia czegoś z dużym rudawym psem.

– Daj mi whisky – powiedział do kelnerki.

Kiedy kochanka dyktatora i pies opuścili scenę, zjawił się niski muskularny Taj z dziewczyną z włosami do pasa. Wkrótce zwarli się w stosunku, zmieniając pozycje, podciągając kolana i obracając się, jakby byli zawieszani w powietrzu. Jeden z katoeów siedzących obok Conora westchnął i wygiął w łuk

dziewczęce plecy. Conor zamówił kolejną whisky. U jego boku siedział widmowy Tim Underhill i bił brawo.

Nagle Conor nie był w stanie powiedzieć, które z osób na scenie są mężczyznami, a które kobietami. Byli tam mężczyźni z piersiami, kobiety z erekcją. Stopili się – mignął uśmiech dziewczyny, pulchne pośladki, szerokie udo. Później cała czwórka wstała i kłaniała się jak aktorzy, młoda kobieta miała delikatne rumieńce nad piersiami. Conorowi wydawało się, że czworo ludzi na scenie jest zamkniętych we wspomnieniach rozkoszy, różniąc się od oklaskujących ich widzów jak Marsjanie, nietykalni jak aniołowie.

Otóż to! – pomyślał. Nagle doznał objawienia: zaświtało mu, że właśnie przeminęła chwila całkowitej klarowności i prawdy. Ujrzał siebie stojącego przed wielkim oślepiającym jasnym murem, przed nieprzeniknionym, niepoznawalnym królestwem, gdzie płcie się stapiają, język jest muzyką, a wszystko porusza się tak szybko i jasno, że rani oczy.

Później wrócił mu chłodny rozsądek. Wykonawcy, teraz odziani w szaty i schodzący ze sceny w pustoszającym klubie, są narkomanami i dziewczkami z ruder nad rzeką, a on jest pijany. Tim Underhill był nabuzowanym wrakiem, zupełnie jak on. Conor szukał po omacku tamtej chwili jasności, by całkowicie ją odrzucić, ale znalazł tylko wspomnienia, jak siedział w barach i taksówce w trakcie polowania tak bezowocnego, że równie dobrze mógł tropić jednorozca, nie człowieka.

Pomyślał, że całe jego życie jest historią nierozumienia tego, co się, do cholery, dzieje – historią niepojmowania.

Wytarł ręce w dzinsy i z przygnębieniem poszedł za ostatnimi klientami w głąb ciemnego korytarza i na zewnątrz w ciepłą noc.

Garstka mężczyzn z klubu kierowała się w stronę garażu. Wszyscy byli ubrani w dopasowane tajskie garnitury i przypominali najemnych żołnierzy na urlopie. Jeden nosił ciemne okulary. Conor wahał się przed drzwiami klubu, wyczuwając, że czekają, aż się stamtąd wyniesie.

Nagle stało się dla niego jasne, że to, co widzieli w klubie, było tylko wstępem do prawdziwego wydarzenia nocy. Nie byli zadowoleni z tego, co zadowolilo wszystkich innych. Ja też nie, pomyślał, przypominając sobie, co czuł, gdy wykonawcy się kłaniali. Jest więcej – o wiele więcej. I coś jeszcze sprawiło, że ruszył w stronę czekających mężczyzn. Underhill poszedłby z nimi. Dlatego Cham go tutaj przyprowadził. To, na co czekali mężczyźni, było prawdziwym ostatnim aktem przedstawienia, które zaprowadziło go tak daleko.

Gdy zbliżał się do mężczyzny. Taj w ciemnych okularach mruknął coś do swoich kolegów i wyszedł mu naprzeciw. Uniósł rękę jak policjant zatrzymujący ruch, po czym wykonał gest zamiatania.

– Przedstawienie skończone. Musisz iść.

– Chcę zobaczyć, co jeszcze macie – powiedział Conor.

– Nic więcej. Musisz teraz wyjść. – Mężczyzna powtórzył gest.

Conor nie widział, żeby się poruszyli, ale pozostali mężczyźni stali teraz znacznie bliżej. Poczuł zamyjomy przypływ podniecenia i oczekiwania w bliskości niebezpieczeństwa. Przemoc spowijała tych mężczyzn jak mgła.

– Tim Underhill kazał mi tu przyjechać – powiedział głośno. – Znacze go, prawda?

Za mężczyzną w okularach rozległ się szmer cichej rozmowy. Conor usłyszał coś, co brzmiało jak „Underhill”, a następnie stłumiony śmiech. Odprężył się. Ten w okularach spojrział na niego z niemym rozkazem zachowania milczenia. Mężczyźni znowu rozmawiali, a jeden powiedział coś, co musiało być żartem, bo nawet Okularnik się uśmiechnął.

– Zobaczymy, co tu macie – powiedział.

– Kupa kopa kupa! – krzyknął jeden z nich, a pozostali błysnęli żółtymi uśmiechami.

Okularnik szedł ku niemu dumnym krokiem oficera.

– Wiesz, gdzie jesteś?

– W Bangkoku. Jezu, nie jestem aż tak pijany. Bangkok, Tajlandia. Cholerne królestwo Syjamu.

Szeroki żółty uśmiech i kręcenie głową.

– Na jakiej ulicy? W jakiej dzielnicy?

– Mam to w dupie.

Przynajmniej kilku musiało go zrozumieć, bo drwiąco zakrzyknęli do Okularnika. Conor usłyszał w ich tonie cyniczną nutę końca świata, niesłyszaną od czterech lat. Mogli mówić: „Zabij go i ruszajmy” albo „Niech ten dupek Amerykanin idzie z nami”.

Okularnik zmrużył oczy i spojrział na niego z mieszaniną wątpliwości i rozbawienia.

– Tysiąc dwieście bahtów – oznajmił w końcu.

– Lepiej, żeby ten program był cztery razy lepszy od tamtego – mruknął Conor i wyciągnął z kieszeni zwitek pogniecionych banknotów.

Grupa mężczyzn już szła w stronę wysokiego betonowego garażu, a on ruszył za nimi, starając się iść w linii prostej.

Mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych wyprzedził pozostałych i otworzył drzwi obok wyjazdu z parkingu. Weszli na słabo oświetloną klatkę schodową. Okularnik zatrzepotał dłonią w powietrzu i syknął, zachęcając go do wejścia.

– Jestem – powiedział Conor i pośpieszył za nimi.

3

Nazajutrz Conor powiedział sobie, że nie jest pewien, co się stało, gdy zszedł za innymi mężczyznami na dolne poziomy garażu. Wypił tak dużo, że się zataczał. W seksklubie miał wizję – czego? aniołów? wspaniałości? – i ta wizja namieszała mu w mózgu. W garażu rozumiał nie więcej niż jedno wypowiedziane słowo i nawet tego nie mógł być pewien. Był na tyle zamroczony, że słyszał niewypowiedziane słowa i widział wymyślone rzeczy; czuł, że był zamroczony w pewien sposób od chwili, gdy wraz z Mikeyem i Beeversem wszedł na pokład samolotu Singapore Airlines w Los Angeles. Od tamtej pory rzeczywistość w jakiś niezwykły sposób wygięła się w tył, umieszczając go w świecie, w którym ludzie oglądali sceny z piekła, pulchne dziewczynki wypuszczały kółka dymu z cipek, mężczyźni zamieniali się w kobiety, a kobiety w mężczyzn. Mikey powiedział, że zbliżają się do Tima Underhilla, i Conor czuł tę bliskość za każdym razem, gdy zachodził w głowę, co wydarzyło się w garażu. Zbliżanie się do Underhilla prawdopodobnie oznaczało wkraczanie na terytorium, gdzie z natury wszystko stoi do góry nogami, gdzie nie można ufać własnym zmysłom. Underhill lubił takie miejsca – lubił Wietnam. Underhill był jak nietoperz, czuł się komfortowo do góry nogami. I Conor przypuszczał, że Koko też.

* * *

Następnego dnia postanowił nie mówić nikomu o tym, co widział lub czego nie widział, nawet Mike'owi Poole'owi.

* * *

Conor po ciemku schodził za mężczyznami po betonowych schodach, myśląc, że cywile zawsze mylą się co do przemocy. Uważają, że przemoc to działanie: jeden facet uderza drugiego, chrzęszczą kości i tryska krew – zwykli ludzie myślą, że przemoc można zobaczyć. Myślą, że można jej uniknąć, nie patrząc na nią. Ale przemoc nie jest działaniem. Przede wszystkim jest uczuciem, lodową powłoką spowijającą ciosy, noże i broń. To uczucie nie jest nawet tak naprawdę związane z używaniem broni – ludzie po prostu umieszczają swoje umysły w tej powłoce. W niej robią to, co konieczne.

To zimne, oderwane uczucie otaczało go, gdy schodził coraz niżej.

Wkrótce stracił rachubę podestów. Sześć poziomów w dół, siedem albo osiem... betonowe stopnie kończyły się dwa poziomy poniżej tego, na którym widzieli ostatni zaparkowany samochód. Szeroki stopień prowadził na nierówne szare podłoże, które wyglądało jak grudkowaty cement, ale okazało się ubitą ziemią. Gęste powolne światło z lampy u podnóża schodów sześć czy osiem metrów dalej przechodziło w mroczną szerokość przechodzącą w głęboką czerń, która nie miała kresu. Powietrze było zimne, stęchłe i lepkie.

Jeden z mężczyzn wykrzyknął pytanie.

Rozległ się szelest i daleko w głębi piwnicy zapaliło się światło. Pod nim, opuszczając rękę od sznurka włącznika, stał mniej więcej sześćdziesięcioletni Tajlandczyk z bardzo niepewnym uśmiechem. Na długim stole przed nim stały wysokie i niskie szklanki, wiaderka z lodem i podwójny rząd butelek. Mężczyzna powoli wyciągnął ręce i oparł się o bar. Czubek jego głowy połyskiwał w blasku.

Tajowie ruszyli ku niemu. Mówili ściszonymi głosami, w których Conor wciąż słyszał ton pola bitwy. Okularnik przywołał go władczco do baru.

Zamówił whisky z myślą, że ciepły alkohol będzie go wspierać i podtrzymywać, zamiast podciąć mu kolana, jak zrobiłoby coś zimnego.

– Wrzuc trochę lodu, człowieku – powiedział barmanowi z łysiną pokrytą maleńkimi kropelkami potu, regularnie jak jajka w kartonie.

Whisky typu single malt o niewymawialnej szkockiej nazwie zaskakująco smakowała smołą, starymi linami, mgłą, dymem i zwęglonym drewnem. Picie kojarzyło się ze spożywaniem wysepki u wybrzeży Szkocji.

Okularnik lekko skinął głową i wziął drinka z tej samej butelki.

Kim są ci faceci? W swoich gładkich opiętych garniturach mogli być gangsterami; równie dobrze mogli być bankierami i dyrektorami ubezpieczeniowymi. Cechowała ich pewność siebie ludzi, którzy nigdy nie musieli martwić się o pieniądze.

Harry Beevers, pomyślał. Siedzą i patrzą, jak pieniądze wracają do domu przez drzwi.

Okularnik odsunął się od pozostałych, unosił rękę i skinął ku drugiemu końcowi piwnicy.

Z ciemności dobiegły ciche kroki. Conor wypił jeszcze trochę cudownej whisky. Na skraju światła pojawiły się dwie postacie. Mały Taj w garniturze khaki, łysy jak kula, z głębokimi zmarszczkami i dziobami po ospie na policzkach, bez uśmiechu szedł w stronę grupy mężczyzn skupionych przy barze. Jedną ręką trzymał za łokieć piękną Azjatkę, która miała na sobie tylko luźną czarną szatę o kilka rozmiarów za dużą. Kobieta wydawała się oszołomiona światłem. Nie jest Tajką, pomyślał Conor – jej twarz miała inny kształt. Mogła być Chinką, mogła być Wietnamką. Mężczyzna musiał lekko naciskać na jej łokieć, żeby utrzymać ją w ruchu. Zwiesiła głowę, jej usta rozchyliły się w półuśmiechu.

Mężczyzna podprowadził ją kilka kroków. Conor zauważył, że nosi lekko przyciemniane okulary w druczanych oprawkach. Znał ten typ – zdecydowanie wojskowy. Człowiek z głową jak kula nie był bogaty, ale cechował go instynktowny autorytet generała.

Conor pomyślał, że jeden z Tajów obok niego szepnął „telefon”. Gdy znaleźli się w pełnym świetle, niski mężczyzna puścił łokieć kobiety. Zakołysała się delikatnie, po czym ustabilizowała pozycję, rozsuwając nogi i prostując ramiona. Spojrzała spod na wpół przymkniętych powiek, uśmiechając się mistycznie.

Generał stanął za nią i zsunął szatę z jej ramion. Teraz w tajemniczy sposób wydała się większa, groźniejsza, mniej zniewolona. Miała szczupłe barki, a jej krągłe smukłe przedramiona wyglądały wzruszająco bezbronne, gdy przekreśliła ręce, odsłaniając niebieskawą skórę w zgięciu łokci, jakby musnięcie pędzlem, ale całe jej ciało, nawet nogi tuż nad kostkami, cechowała wypolerowana idealna krągłość, dzięki czemu naga kobieta wydawała się równie solidna jak brązowa tarcza. Jej ciemnozłota skóra, przypominająca mokry piasek na plaży, w końcu przekonała Conora, że jest Chinką, nie Tajką: mężczyźni obok niej mieli ziemistą cerę.

Jego pierwszym odruchem w obliczu pięknego nieświadomego buntu kobiety było owinięcie jej w szatę i zabranie do domu. Następnie ponownie umocniły się cztery dekady szkolenia jako amerykańskiego mężczyzny. Została lub zostanie dobrze opłacona; wygląda o wiele zdrowiej niż dziewczyny z seksklubu po drugiej stronie uliczki, ale oznacza to tyle, że zarabia wiele razy więcej za udział w gang bangu z sześcioma szanowanymi obywatelami Bangkoku. Conor wcale nie miał ochoty przyłączać się do nich, ale też nie sądził, żeby kobieta potrzebowała ochrony. Jej wyjątkowa uroda była niczym więcej jak tylko atutem zawodowym.

Spojrzała na otaczających go mężczyzn. Tworzyli klub i to był ich rytuał. Mniej więcej co tydzień zbierali się w jakimś niewygodnym i sekretnym miejscu, gdzie jeden po drugim uprawiali seks z odurną pięknością. Mówili o kobietach tak, jak koneserzy win mówią o winie. Cała sprawa przyprawiała o ciarki. Poprosił barmana o kolejnego drinka i obiecał sobie, że wyjdzie, gdy tylko wszyscy będą zajęci.

Jeśli takie rzeczy robił Underhill, gdy naszła go ochota zaszaleć, to był grzeczniejszy niż kiedyś. Ale dlaczego miałyby dołączyć do facetów, którzy chcą uprawiać grupowy seks z dziewczyną? Jeśli zaczną kopulować ze sobą, pomyślał, spadam stąd.

Potem ucieszył się, że wypił kolejnego drinka, bo generał stanął przed kobietą, zamachnął się prawą rękę i uderzył ją mocno, aż zatoczyła się do tyłu. Krzyknął kilka słów – „Kupa, kupa!” – a ona wyprostowała się i zrobiła krok do przodu, wciąż z uśmiechem na twarzy nachylonej jak tarcza. Czerwona plama w kształcie dłoni pokrywała jej cały lewy policzek. Conor pociągnął porządny, otepiający łyk alkoholu. Generał znów ją spoliczkował, a Chinka cofnęła się, wyprostowała i upadła. Łzy wyrysowały śchludne szlaczki na jej policzkach.

Generał wymierzył prawy prosty w bok podbródka i kobieta padła płasko na ziemię. Mruknęła i obróciła się, pokazując im zakurzone pośladki i długą rysę na pokrytych kurzem złotych plecach. Kiedy zdołała podnieść się na ręce i kolana, jej włosy rozlały się po ubitej ziemi. Generał bardzo mocno kopnął ją w biodro. Kobieta stęknęła i upadła. Generał podszedł do niej energicznie i wymierzył jej słabszego kopniaka w bok tuż pod żebrami. Odpelzła w cień, a on wyciągnął rękę i dość delikatnie pomógł jej wczołgać się z powrotem w krąg najlepszego światła. Z wielką determinacją kopnął ją

w udo, gdzie niemal natychmiast pojawił się siniak wielkości talerza do sałatek. Krążył wokół niej, zadając serię kopniaków.

Conor zrozumiał, że to zupełnie jak seksklub – z tym, że sekskluby są na planie miasta. Natomiast tylko tam, gdzie kawałek planu został wydarty, mogłeś patrzeć, jak brutalny kurdupel bije kobietę na oczach innych mężczyzn. Tak się bawiłeś. Tu, na dole, w garażu, jest twój najwspanialszy seksklub.

W każdym razie to nadawało sens przemocy, która w nim narastała.

Generał przez chwilę przyglądał się leżącej skulonej kobiecie, po czym przyjął drinka od Okularnika. Pociągnął duży haust, przepłukał usta i przelknął. Stał i patrzył na swoje dzieło, z nieświadomą sztywnością trzymając na w pół pustą szklankę w zgiętej ręce. Wyglądał jak człowiek, który z satysfakcją odpoczywa w trakcie ciężkiej pracy, wiedząc, że jak dotąd spisał się znakomicie.

Conor zapragnął się stamtąd wydostać.

Generał odstawił szklankę i pochylił się, by pomóc kobiecie wstać. Niełatwo było ją podnieść. Utrudniał jej to ból, ale chętnie ujęła rękę generała. Jej ciemnozłota skóra zrobiła się fioletowo-czarna, a duży obrzęk zniekształcał zarys podbródka. Uklęka i odpoczywała, oddychając cicho. Była żołnierzem, była piechurzem. Generał tracił mokasynem pulchne pośladki kobiety, a następnie wymierzzył jej mocnego kopniaka.

– Kupa, kupa, kopa – mruknął, jakby zawstydzony, że inni go słyszą.

Kobieta zadarła twarz ku światłu i Conor zobaczył, jak daleko jest gotowa się posunąć. Nie mogą jej zatrzymać. Nie mogą jej nawet tknąć. Jej twarz znów była tarczą, a ten kącik ust, który nie spuchł, drżał w echu jej wcześniejszego uśmiechu.

Generał grzbietem dłoni uderzył ją w skroń. Przechyliła się, podparła wyciągniętą ręką i wyprostowała. Westchnęła. W kąciku oka pojawiła się smuga czerwieni. Wargi generała poruszyły się w niemym rozkazie, kobieta wyraźnie skupiła się i podniosła na kolano. Wyprostowała się. Conor miał ochotę zaklaskać. Jej oczy jaśniały.

Z siłą oszalałego ptaka uciekającego z gardła z jego ust wyrwało się głośne beknięcie o posmaku dymu i smoły. Większość mężczyzn parsknęła śmiechem. Conor był zdumiony, że kobieta im zawtórowała.

Generał sięgnął pod marynarkę swojego tajlandzkiego garnituru i wyjął zza paska rewolwer. Wsunął palec w kabłak spustu i pokazał broń. Miała efektowny chwyt obłożony rzeźbioną okładziną z jakiegoś mlecznego materiału, może kości słoniowej albo masy perłowej, i filigranowe spirale z boku pod bębniem. Misterny grawerunek pokrywał lufę. Conor niezbyt znał się na broni, ale poznał, że to tak zwany pimp gun.

Zrobił jeden, potem drugi krok do tyłu. W końcu jego mózg dogonił ciało. Przecież nie może stać i patrzeć, jak generał do niej strzela – nie zdoła jej uratować i miał okropne przeczucie, że jeśli spróbuje, kobieta będzie z nim walczyć, bo nie zależy jej na ocaleniu. Cofał się jak najciszej.

Generał zaczął coś mówić. Wciąż pokazywał rewolwer na dłoni. Jego miękki głos jednocześnie naglił, przekonywał, koił i zniewalał. Według Conora brzmiał po generalsku. „Kupa krop kupa kupa krop krop kupa krop krok krop kupa” – intonował generał. Dajcie mi tylko swoich biednych tłumy całe ę. O chwała nam, chwała. „Kopa kopa kopa kopa kupa”. Panowie, zebraliśmy się tu dzisiaj. Conor cofnął się głębiej w ciemność. Barman spojrział na niego, ale mężczyźni się nie poruszyli. „Krop krop”. Chwała chwała niebo niebo miłość miłość niebo niebo chwała chwała.

Kiedy Conor uznał, że jest wystarczająco blisko schodów, odwrócił się. Mniej niż dwa jardy dzieliły go od najniższego stopnia.

„Kupa kopa krop krop”. Zabrzmiał charakterystyczny metaliczny trzask, który oznaczał odbezpieczenie mechanizmu spustowego.

W piwnicy poniósł się głośny huk. Conor skoczył ku schodom, trafił stopą na najniższy stopień i pognął na górę, już nie dbając o hałas. Na pierwszym podejście usłyszał kolejny strzał, przytłumiony przez strop piwnicy. Tym razem wiedział, że generał nie strzela do niego, ale dalej biegł po schodach, aż dotarł na poziom gruntu i wypadł na zewnątrz. Brakowało mu tchu, nogi mu się trzęsły. Zataczając się w gorącym wilgotnym powietrzu, wyszedł z uliczki na główną drogę.

Uśmiechnięty jednoręki mężczyzna zatrąbił klaksonem tuktuka i skierował rozklekotany pojazd prosto na niego. Zatrzymał się, pokiwał głową i zapytał:

– Patpong?

Conor skinął głową i wsiał, wiedząc, że stamtąd dojdzie do hotelu.

Na Phat Pong Road dobrnął przez tłumy do hotelu, poszedł do swojego pokoju i padł na łóżko. Na leżącą zbuty i zobaczył posiniaczoną nagą kobietę i małego generała z jego fikuśnym rewolwerem. W końcu wypłynął na morze głębokiego snu, niesiony na fali zrozumienia, że dowiedział się, co oznacza „telefon”.

Taras nad rzeką

1

Michael Poole ujrzał słonia krótko po tym, jak Conor widział go wsiadającego do taksówki przed barem w Soi Cowboy. W tym czasie miał za sobą dwie porażki (dla Conora cały dzień miał być porażką) i widok słonia zaskoczył go tak bardzo, że natychmiast uznał go za dobrą wróżbę. Potrzebował tej zachęty. W Soi Cowboy pokazał zdjęcie Underhilla dwudziestu barmanom, pięćdziesięciu klientom i kilku wykidajłom; nikt nie raczył uważnie popatrzeć na fotografię, każdy odwracał się, wzruszywszy ramionami. Później go natchnęło, by rozejrzeć się po targu kwiatowym. „Bang Luk”, powiedział mu jeden z barmanów, i taksówka zabrała go przez miasto na Bang Luk, wąską brukowaną ulicę w pobliżu rzeki.

Hurtownicy kwiatów wystawiali swoje towary w szeregu pustych garaży po lewej stronie uliczki, a także na wózkach i stołach przed garażami. Furgonetki wjeżdżały i wyjeżdżały. Po prawej stronie uliczki na parterze dwupiętrowych kamienic z oknami francuskimi i wąziutkimi balkonami mieściły się sklepy. Przed połową otwartych okien wisiało pranie, a trzeci z tych balkoników, nad sklepem Jimmy Siam, ugiął się pod ciężarem zielonych roślin i krzewów w glinianych doniczkach.

Michael nieśpiesznie szedł po bruku, wdychając zapach tysiąca kwiatów. Mężczyźni obserwowali go zza tacek pełnych strelcji i wózków obladowanych karłowatymi hibiskusami. Nie był to Bangkok turystyczny i ktoś, kto wyglądał jak on – wysoki biały mężczyzna w dżinsach i białej bluzie safari z krótkimi rękawami od Brooks Brothers – zdecydowanie tu nie pasował. Nie czuł się w żaden sposób zagrożony, czuł się wyjątkowo niemile widziany. Mężczyźni ładujący skrzynki z kwiatami do furgonetki w kolorze musztardy obrzucili go przelotnym gniewnym spojrzeniem i wrócili do pracy; inni przyglądali mu się tak uporczywie, że czuł ich wzrok na sobie długo po tym, jak ich minął. W ten sposób dotarł do końca ulicy i zatrzymał się, żeby spojrzeć nad niskim betonowym murkiem na mulistą rzekę Chaophraya, burzącą się z nadchodzącym przypływem. W dół rzeki płynęła powoli długa biała dwupokładowa łódź z napisem hotel orient.

Odwrócił się i kilku obserwujących go mężczyzn powoli zabrało się do pracy.

Wracał na Charoen Krung Road chodnikiem naprzeciwko straganów z kwiatami i zaglądał do każdego mijanego sklepu, licząc na dostrzeżenie Tima Underhilla. W obskurnej kawiarni Tajowie w brudnych dżinsach i koszulkach pili kawę przy ladzie; w Złotym Polu, spółka komandytowa, recepcjonistka przyglądała mu się zza parawanu paproci; w Bangkok Exchange, spółka z o.o., dwóch mężczyzn rozmawiało przez telefony przy dużych, ciemnych biurkach; w Jimmy Siam znudzona dziewczyna za ladą pełną ciętych róż i lilii przechylała głowę i patrzyła w przestrzeń; w Bangkok Fashions samotna klientka kołysała niemowlęciem na biodrze i przesuwiała wieszaki z sukienkami. Ostatnim budynkiem w rzędzie był bank z łańcuchami na drzwiach i prostokątami tektury w oknach. Michael minął znak stopu i wrócił na Charoen Krung Road, nie widząc Underhilla ani nawet nie wyczuwając cienia jego obecności. Był pediatrą, nie policjantem, i wszystko, co wiedział o Bangkoku, wyczytał w przewodnikach. Spojrzał w labirynt ulic. Wtedy jego uwagę przyciągnęło coś, co poruszało się ociężale w bocznej uliczce po drugiej stronie drogi. Skupił wzrok i stwierdził, że patrzy na słonia, roboczego słonia.

Stary słoń, doświadczony robotnik, niósł w trąbie sześć kłód z taką łatwością, jakby to były papierosy. Stał w środku ulicy, mijając niezwracających na niego uwagi ludzi. Michael Poole był oczarowany, urzeczony jak dziecko na widok mitycznego stworzenia. Poza ogrodami zoologicznymi słonie były mityczne: w tym widział to, co miał nadzieję zobaczyć. Słoń wędrujący po ulicach miasta: przypominał sobie ilustrację z *Babara*, jednej ze świętych ksiąg Robbiego, i znów skinął na niego ten stary głęboki smutek.

Michael patrzył na słonia, aż zniknął za podrygującym tłumem i ścianą sztyldów sklepowych z enigmatycznymi tajskimi napisami.

Skręcił na południe i przemierzył ze dwie przecznice. Turystyczny Bangkok – jego hotel i Patpong – równie dobrze mógłby leżeć w innym kraju. Może na targu kwiatowym widywano już białych mężczyzn, ale tutaj byli oni nieznanymi. W bluzie safari z krótkimi rękawami, stroju Białego Człowieka w Tropikach, Michael był wścibskim duchem. Niscy ciemnoskórzy ludzie wpatrywali się w niego, gdy przechodził. Po drugiej stronie ciągnęły się magazyny ze spadzistymi blaszanymi dachami i wybitymi oknami; po jego stronie ciągnęły się zakurzone sklepiki. Kobiety objuczone dziećmi i torbami na zakupy obrzucały go ostrymi, niespokojnymi spojrzeciami; dzieci wytrzeszczały oczy. Poole lubił dzieci. Zawsze lubił dzieci, a te były tłusciutkie, bystrookie i ciekawskie. Jego ramiona pediatry marzyły, żeby je trzymać.

Poole szedł obok drogerii z jajami węży i włosami na wystawie, obok restauracyjek, w których było mniej ludzi niż much. Gdy mijał szkołę, która przypominała blok komunalny, pomyślał o Judy z odnowionym dawnym przygnębieniem. Pomyślał: nie szukam Underhilla, po prostu uciekam od żony na kilka tygodni. Jego małżeństwo wydawało się więzieniem. Wydawało się głębokim dołem, w którym oboje bez końca krążyli z nożami w rękach wokół okrytej całunem milczenia śmierci Robbiego.

Wypij to, wypij to.

Poole przeszedł pod wiaduktem autostrady i dotarł do mostu nad niewielką strugą. Na drugim brzegu leżała wioska teksturowych pudeł, gniazd gazet i śmieci. Ten labirynt śmierdział znacznie gorzej niż wypełniająca resztę miasta woń benzyny, ekskrementów, dymu i umierającego powietrza. Na jego nos cuchnął chorobą, cuchnął jak ropiejąca rana. Stanął na chybottliwym mostku i zajrzał do papierowych slumsów. Przez otwór w dużym kartonie zobaczył patrzącego w nicość mężczyznę, który leżał w wiewiórczym gnieździe zmiętego papieru. Smużka dymu snuła się za tym śmietniskiem. Krzyknęło dziecko. I znowu. Krzyk złości i przerażenia – i krzyk ucichł jak ucięty nożem. Poole niemal widział dłoń zakrywającą usta dziecka. Chciał przebrnąć przez strumień i leczyć – chciał tam wejść i być lekarzem.

Jego wypieszczona, luksusowa praktyka również wydawała się ograniczającą go jamą. Tam głaszał głowę, robił zastrzyki, pobierał wymazy z gardła, pocieszał dzieci, z którymi naprawdę nie działo się nic złego, i uspokajał te matki, które w każdym symptomie widziały zwiastun poważnej choroby. Było to jak życie wyłączanie na śmietankowo-waniliowych lodach z karmelową posypką. Dlatego nie pozwolił, żeby Stacy Talbot, którą pokochał, zniknęła całkowicie pod skrzydłami innych lekarzy: przyniosła mu prawdziwy czysty surowy smak medycyny. Kiedy trzymał ją za rękę, konfrontował się z ludzką zdolnością do znoszenia bólu i ze stojącymi za bólem kamiennymi pytaniami. Torował drogę. Dotarł najdalej, jak tylko można, co jest dla lekarza głębokim, uczącym pokory przywilejem. W tej chwili to nienaukowe podejście było pełne soli i smaku, prawdziwego smaku rzeczywistości.

Później Poole znów wychylił tajemnicze tchnienie z tego ludzkiego ścieku i wiedział, że ktoś umiera, wdychając dym i wydychając śmiertelność z powrotem w rumowisko opakowań, dymiących ognisk i ciał zawiniętych w gazety. Jakis Robbie. Dziecko sapało i krzyczało, tłusta smuga dymu rozplątała się w skwarze. Zaciśnął dłonie na drewnianej balustradzie. Nie miał lekarstw ani żadnych narzędzi medycznych, i nie były to ani jego kraj, ani jego kultura. Posłał wąż modlitwą niewierzącego o miłosierdzie dla osoby konającej w bólu i smrodzie, wiedząc, że jakiegokolwiek dobrodziejstwo byłoby dla niej cudem. Tu nie mógł pomóc. I w Westerholmie też nie. Westerholm był unikiem od wszystkiego, przeciwko czemu kierował swoją biedną wąż modlitwą. Poole odwrócił się od świata za strugą.

Nie mógł znieść myśli o całym życiu pracy w Westerholmie. Judy nie zносиła jego zniecierpliwienia praktyką, a on nie znosił swojej praktyki.

Zanim zszedł z mostu, wiedział, że jego podejście do tych spraw uległo nieodwołalnej zmianie. Jego wewnętrzny kompas obrócił się jakby sam z siebie – nie mógł już postrzegać swojego małżeństwa ani praktyki lekarskiej jako obowiązków nałożonych na niego przez nieustępliwie bóstwo. Teraz gorszą zdradą niż ta wobec wyobrażeń Judy o sukcesie – będących wyobrażeniami Westerholmu – była zdrada samego siebie.

Coś postanowił. Więzi z jego zwykłym życiem się poluzowały. Aby pozwolić na coś takiego, i pozwolić Judy zrobić, co może, przystał na absurdalną propozycję Harry'ego Beeversa, żeby spędzić parę tygodni na włóczędce po nieznanych miejscach w poszukiwaniu pewnego człowieka, chociaż nie miał pewności, czy chce go znaleźć. Zobaczył słonia na ulicach miasta i coś postanowił.

Poostanowił naprawdę być sobą w odniesieniu do swojego starego życia, żony i wygodnej pracy. Jeśli naprawdę będzie sobą narazi jego dawne życie na ryzyko, uzna ryzyko za możliwe do zniesienia. Pozwoli sobie spojrzeć we wszystkich kierunkach. To najlepsza wolność i dzięki powzięciu decyzji poczuł się naprawdę wolny.

Jutro wracam, powiedział sobie. Inni mogą szukać dalej. Koko należy do przeszłości, Judy miała rację; życie, które opuścił, upomniało się teraz o niego.

Michael już się odwrócił, żeby przejść przez rozchybotany mostek, jechać do hotelu i zarezerwować na jutro lot do Nowego Jorku, ale zmienił zamiar. Przespaceruje się kawałek na południe szeroką ulicą biegnącą równoległe do rzeki. Chciał wchłonąć w siebie wszystko, obcość Bangkoku i obcość swojej nowej wolności.

Jakiś czas później natknął się na zatłoczone małe wesołe miasteczko za płotem na parceli między dwoma wysokimi budynkami. Z ulicy najpierw zobaczył szczyt diabelskiego młyna i usłyszał jego muzykę konkurującą z muzyką katarynki, dziecięce piski rozkoszy i coś, co brzmiało jak ścieżka dźwiękowa z horroru puszczana przez bardzo kiepski system nagłośnienia. Przeszedł kilka kroków do przewry w ogrodzeniu.

Dziątka, nie większa niż pół kwartału, była mieszaniną hałasu, kolorów i ruchu. Wszędzie stały stragany i stoły. Mężczyźni grillowali mięso i podawali je dzieciom, cukiernicy oferowali papierowe kubki z lepкими cukierkami, inni sprzedawali komiks, zabawki, znaczki, magiczne sztuczki. W głębi dzieci i dorośli ustawiali się w kolejce do diabelskiego młyna. Po prawej stronie dzieci pisały z radości lub jechały skamieniałe ze strachu na drewnianych koniach karuzeli. Daleko po lewej stronie wznosił się wielki fronton zamku z płyt kartonowo-gipsowych, pomalowany tak, by przypominał czarny kamień, ozdobiony małymi zakratowanymi okienkami. Nagle Michael pomyślał o oknach w szpitalu św. Bartłomieja; cała fałszywa fasada przypominała mu szpital. Patrząc w górę, mógłby wskazać okno, za którym siedział i spiskował doktor Sam Stein, i okno pokoju, w którym leżała Stacy Talbot, czytając *Dziwne losy Jane Eyre*.

Z boku zamku ogromna głodna twarz wampira rozdziawiała najeżone ostrymi kłami czerwone usta. Zza płyt z regipsu dochodziły wybuchy rehotliwego śmiechu i tony niesamowitej muzyki. Konwencja horroru wszędzie była taka sama. W domu strachów szkielety wyskakiwały z ciemnych zakamarków, a obłąkane twarze dawały młodym powód do obejmowania się ramionami. Czarownice z brodawkami na nosie, podskakujące sadystyczne diabły i złośliwe duchy parodiowały choroby, śmierć, obłąd i zwykle bezbarwne ludzkie okrucieństwo. Śmiałeś się, krzyczałeś i wychodziłeś z drugiej strony, gdzie żyły wszystkie prawdziwe lęki i koszmary.

Po wojnie Koko uznał, że po drugiej stronie jest zbyt przerażająco, więc schował się z powrotem w domu strachów z duchami i demonami.

W dalekim krańcu wesołego miasteczka Poole dostrzegł wysoką kobietę z Zachodu, siwiejącą blondynkę z włosami splecionymi w warkocz, z pewnością na wysokich obcasach, bo miała jakieś sześć stóp wzrostu. Nagle zwrócił uwagę na szerokość jej barków i zrozumiał, że to mężczyzna. Oczywiście. Siwizna we włosach, luźna haftowana płócienna koszula i długi warkocz sugerowały, że jest hipisem, który zawędrował na wschód i nigdy nie wrócił do domu. On też został w domu strachów.

Kiedy mężczyzna odwrócił się, żeby obejrzeć coś na straganie, Poole zobaczył, że jest trochę starszy od niego. Miał zakola i jasny posiwiały zarost. Nieświadomy dzwonek alarmowych dźwięczących w układzie nerwowym obserwował mężczyznę od niechcenia – zauważył głębokie bruzdy na czole, zmarszczki przecinające wymizerowane policzki. Pomyślał tylko, że wygląda dziwnie znajomo: pomyślał, że musi być kimś, kogo znał przelotnie podczas wojny. Spotkali się w domu strachów. Mężczyzna był weteranem z Wietnamu – tyle powiedział mu jego stary radar. Nagle narosło w nim wrażenie bólu i radości. Wysoki ogorzały mężczyzna po drugiej stronie wesołego miasteczka uniósł badany przedmiot na wysokość twarzy. Była to gumowa maska uosabiająca kocią twarz demona. Mężczyzna uśmiechnął się do wykrzywionej maski. Michael Poole w końcu zrozumiał, że patrzy na Tima Underhilla.

2

Poole chciał unieść rękę i wykrzyknąć imię Underhilla, ale zmusił się, by stać cicho między sprzedawcą grillowanego mięsa a kolejką nastolatków czekających na wejście do domu strachów. W końcu poczuł łomotanie serca. Kilka razy odetchnął głęboko i powoli, żeby się uspokoić. Do tej chwili nie był tak naprawdę pewien, czy Underhill żyje. Twarz Underhilla miała kolor martwej bieli, co oznaczało, że bardzo mało czasu spędzał na słońcu. A jednak wyglądał dobrze. Miał idealnie czystą koszulę, uczesane włosy, przystryżoną brodę. Jak wszyscy ocalali, sprawiał wrażenie czujnego. Stracił sporo na wadze i Poole domyślał się, że stracił również wiele zębów. Ale lekarz Poole uważał, że najbardziej widoczne

w mężczyźnie po drugiej stronie wesołego miasteczka jest to, że dochodzi do siebie po wielu zadanych sobie ranach.

Underhill zapłacił za gumową maskę, zwinął ją i wsunął do tylnej kieszeni. Poole jeszcze nie był gotowy, żeby się pokazać, więc cofnął się w cień domu strachów. Underhill powoli przeciskał się przez tłum, od czasu do czasu przystawał, żeby popatrzeć na zabawki i książki ułożone na stołach. Kiedy obejrzał z podziwem i kupił małego metalowego robota, po raz ostatni obrzucił zadowolonym, rozba-wionym spojrzeniem otaczające go atrakcje, po czym odwrócił się plecami do Poole'a i ruszył przez tłum w kierunku chodnika.

Czy właśnie to robił Koko, wędrował po wesołym miasteczku i kupował zabawki?

Nawet nie zerkając w stronę przeciwnego brzegu, Poole przemknął po rozklekotanym mostku za Underhillem. Zmierzała w stronę centrum Bangkoku. Ściemniało się, w małych knajpkach paliły się przyćmione światła. Underhill szedł lekkim krokiem i wkrótce wyprzedził Poole'a o jedną przecznicę. Jego wzrost i olśniewająca biel koszuli sprawiały, że łatwo było go dostrzec w zamęcie i tłoku.

Poole przypomniał sobie, jak tęsknił za Timem Underhillem w dniu odsłonięcia pomnika. Tamten Underhill został utracony, a tutaj był ten Underhill, wyniszczony mężczyzna z bielejącym warkoczem, właśnie przechodzący pod hałaśliwą betonową estakadą.

3

Underhill wydłużył krok, gdy zbliżał się do zakrętu prowadzącego na Bang Luka. Poole zobaczył go za rogiem przy zamkniętym banku: wyglądał jak człowiek śpieszący do domu, truchtający przez ciemność i tłum Tajów na chodniku. Przetapiał się przez wszystkich tych ludzi, natomiast on musiał zeskokoczyć na jezdnię, żeby za nim nadążyć. Ryknęły klaksony, światła mrugały na niego. Ruch nasilał się i zagęszczał, przechodząc w wieczny korek nocy w Bangkoku.

Poole zignorował trąbienie i pobiegł. Obok niego przemknęła taksówka, potem autobus pełen stojących w ścisłu ludzi, którzy uśmiechali się i wołali do niego. W ciągu kilku sekund dotarł do rogu i kłusował po bruku Bang Luka.

Mężczyźni nadal ładowali skrzynki z kwiatami do furgonetek i ciężarówek; z witryn sklepowych wylewało się światło. Falująca koszula mignęła jak duch i Poole zwolnił do marszu. Underhill otwierał drzwi między Jimmym Siamem a kantorem Bangkok. Jeden z hurtowników kwiatów przy opróżnionej taczce zawałał do niego, a on roześmiał się i odwrócił, żeby odkrzyknąć coś po tajsku. Pomachał ręką do sprzedawcy, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Poole stanął naprzeciwko pierwszego garażu. Po kilku minutach za okiennicami nad Jimmym Siamem zapaliło się światło. Teraz Poole wiedział, gdzie mieszka Underhill; godzinę wcześniej nie sądził, że kiedykolwiek go znajdzie.

Sprzedawca wyszedł z garażu i spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi. Podniósł doniczkę z dużym drzewkiem szczęścia i wniósł ją do środka, wciąż z grymasem.

Okiennice otworzyły się nad Jimmym Siamem. Przez otwarte francuskie okna Poole widział łuszczący się biały sufit, ociekający cieniutkimi stalaktytami farby. Chwilę później pojawił się Underhill z okazałym drzewkiem szczęścia, bardzo podobnym do tego, które zabrał podejrziwy sprzedawca. Postawił roślinę na wąskim balkonie i wrócił do pokoju, nie zamykając okna.

Sprzedawca wyskoczył z drzwi garażu i gniewnie spojrzał na Poole'a. Po chwili wahania ruszył w jego stronę, mówiąc szybko po tajsku.

– Przepraszam, nie mówię w twoim języku – powiedział Poole.

– Idź, szumowino – rzucił mężczyzna.

– W porządku. Nie ma potrzeby się unosić.

Mężczyzna wypowiedział długie zdanie po tajsku i splunął na ziemię.

Światło u Underhilla zgasło. Poole spojrzał w okna. Krępy niski sprzedawca kwiatów zbliżył się o kilka kroków i machał rękami. Poole cofnął się. Underhill, widziany jako sylwetka, zamykał okno.

– Nie zwracać głowy! – krzyknął mężczyzna. – Nie wkurzać! Iść stąd!

– Na litość boską – mruknął Poole. – Za kogo ty mnie bierzesz?

Sprzedawca zrobił jeszcze kilka kroków, ale pomknął z powrotem do garażu, gdy tylko Underhill pojawił się w drzwiach od ulicy. Poole wystrzelił z powrotem w ciemność pod ścianą. Underhill przebrał się w zachodnią białą koszulę i workową marynarkę z kory, trzepocząc wokół niego, gdy szedł.

Underhill skręcił w Charoen Krung Road i pomaszerował w tłumie na chodniku. Poole utknął za grupami mężczyzn i całymi rodzinami, które tarasowały chodnik i nie zamierzały ustąpić. Dzieci skakały i krzyczały; tu i tam chłopcy bawili się pokrętłami radia. Głowa Underhilla unosiła się nad innymi, gdy sunął z łatwością i miarowo w kierunku Surawong Road.

Wybierał się do Patpong 3. To długi spacer, ale pewnie chciał zaoszczędzić kilka bahtów na tuk-tuku.

Nagle Poole stracił go z oczu. Wyglądało to tak, jakby wysoka postać zniknęła niczym Biały Królik w norce. Nigdzie nie było go widać na długim odcinku chodnika. Poole spojrzął na zakorkowaną ulicę i tam też go nie dostrzegł – tylko kapłan w szafranowej szacie kluczył spokojnie między jadącymi pojazdami.

Poole podkoczył, ale nie zobaczył wysokiego siwego białego mężczyzny przedzierającego się przez tłum. Gdy tylko pięty opadły na chodnik, puścił się biegiem.

O ile Underhill nie zapadł się pod ziemię, musiał albo wejść do sklepu, albo skręcić w boczną uliczkę. Kiedy przebiegał obok wszystkich małych firm, które wcześniej mijał w drodze do chwijnego mostka i wesołego miasteczka, zaglądał do każdego okna. Większość kawiarni i sklepów była już zamknięta.

Zaklął pod nosem. Zgubił Underhilla; ziemia go pochłonęła; wiedział, że jest śledzony, i wślizgnął się do tajemnej jaskini, legowiska. W legowisku ubrał się w futro i pazury i stał się Koko – stał się tym, co Martinsonowie i Clive McKenna widzieli w ostatnich minutach swojego życia.

Poole zobaczył ciemną jaskinię w kształcie pięści otwierającą się wśród podupadłych sklepików.

Biegł przez tłum, rozpychając ludzi, spocony, irracjonalnie przekonany, że Beevers od początku miał rację i że Underhill zniknął w swojej jaskini. Rogi pączkowały w jego przerzedzonych włosach.

Po kilku krokach Poole zobaczył, że przecznice dalej budynki rozstępują się i wąska ulica schodzi ku rzece.

Rzucił się w wąski korytarz obstawiony straganami pełnymi jedwabnych i skórzanych toreb oraz obrazów słoni maszerujących po polach niebieskiego aksamitu. Jak było do przewidzenia, z jednej strony plemię kobiet i dzieci kucało pod ścianą, kopiąc swój odwieczny rów. Poole niemal od razu zobaczył Tima Underhilla, daleko przed sobą, idącego wydłużającym się krokiem przez szeroką pustą przestrzeń, gdzie boczna droga skręcała w prawo, odbijając od pobliskiej rzeki. Za zakrętem ujrzał niewysoki mur i biały budynek; Underhill minął jedno i drugie, idąc pod górę.

Poole pobięł obok sprzedawców i niezupełnie go widząc, minął napis hotel oriental na ścianie. Na końcu wąskiej drogi spojrzął w prawo i zobaczył, że Underhill przechodzi przez duże szklane drzwi ogromnej białej budowli, która ciągnęła się do wjazdu na częściowo widoczny parking.

Poole wskoczył na chodnik i pobięł obok starszego skrzydła hotelu w stronę wejścia. Duże okna zapewniały widok na cały hol. Underhill przechodził obok kwaciarni i księgarni, najwyraźniej zmierzając w stronę baru koktajlowego.

Dotarł do drzwi obrotowych i został powitany w holu przez szerokie uśmiechy Tajów w szarych uniformach. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wszedł za Underhillem do hotelu. Koko popełnił trzy morderstwa w hotelach. Poole zwolnił.

Underhill minął wejście do baru i żwawym krokiem wyszedł przez drzwi z napisem wyjście – gdy je otworzył, Poole'owi mignęła ciemność rozświetlona przez latarnię na wysokim słupie. Underhill wyszedł na teren za hotelem.

Zwłoki Clive'a McKenny znaleziono na terenie hotelu Goodwood Park.

Poole podążył za swoim rogatym potworem do wyjścia i bardzo powoli uchylił drzwi. Z zaskoczeniem znalazł się na żywirowej ścieżce, która prowadziła w dół, obok wysokich latarni i ogrodu przy basenie do szeregu opadających tarasów ze stolikami, na których paliły się świeczki. Za stolikami mieniła się rzeka, odbijająca światła restauracji na przeciwległym brzegu i światła niewielkich statków. Kelnerzy i kelnerki w uniformach obsługiwali ludzi jedzących i pijących przy stołach. Scena tak bardzo odbiegała od plugawego widoku, jakiego się spodziewał, że dopiero po chwili wypatrzył wysoką sylwetkę Underhilla, który właśnie schodził na niższe tarasy.

W końcu po prawej stronie dostrzegł restaurację z jarzącymi się złotem oknami.

Tim Underhill zmierzał do jednego z nielicznych pustych stolików na długim płaskim tarasie bezpośrednio przed rzeką. Usiadł i zaczął rozglądać się za kelnerem. Na dolnych tarasach po drugiej stronie hotelu strużka ludzi płynęła chodnikiem obok basenu. Młody kelner podszedł do stołu Underhilla i przyjął coś, co musiało być zamówieniem na drinka. Underhill mówił w uśmiechem i na chwilę położył dłoń na ramieniu kelnera, a ten się uśmiechnął i rzucił jakiś żart.

Święty potwór kurczył się zarumieniony ze wstydu. O ile Underhill nie umówił się z kimś na spotkanie, to przybył do tego eleganckiego miejsca, żeby w miłej scenerii wypić drinka i poflirtować z kelne-

rami. Gdy tylko kelner odszedł, wyjął z kieszeni marynarki książkę w miękkiej oprawie, obrócił krzesło ku rzeczce, oparł łokieć o stół i zaczął czytać z typową dlań koncentracją.

Tutaj rzeka nie miała tego chwastowego, roślinnego smrodu, który Poole czuł na końcu targu kwiatowego. Ten odcinek pachniał tylko rzeką. Ten zapach był jednocześnie rzeński i nostalgiczny, przywodził na myśl ruch, przypominając mu, że wkrótce wróci do domu.

Powiedział młodemu człowiekowi z obsługi, że chce wypić drinka na tarasie, i młody człowiek wskazał mu schody oświetlone pochodniami. Poole zszedł na najniższy taras i zajął miejsce przy ostatnim stoliku w rzędzie.

Trzy stoły dalej, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, Tim Underhill siedział przodem do rzeki i od czasu do czasu unosił wzrok znad książki, żeby spojrzeć na wodę. Tutaj zapach rzeki zawierał mocną nutę mułu i coś prawie korzennego. Woda rytmicznie pluskała o pale pomostów. Underhill westchnął z zadowoleniem, pociągnął łyk alkoholu i wrócił do swojej książki. Siedzący trzy stoliki dalej Poole poznał, że to powieść Raymonda Chandlera.

Poole zamówił kieliszek białego wina u tego samego młodego kelnera, z którym flirtował Underhill. Rozmowy płynęły i skrzyły się przy stolikach na tarasie. Mała biała łódź motorowa przewoziła gości z mołu poniżej tarasu do restauracji na wyspie w połowie rzeki. Co jakiś czas po czarnej wodzie przełykały drewniane łodzie ze światłami na dziobie i rufie, mające dziwne sylwetki, jak łodzie ze snów: łodzie ze smoczymi szyjami, łodzie z okrągłymi spuchniętymi brzuchami i dziobami jak ptaki, długie płaskie łodzie mieszkalne obwieszone praniem; dzieci na ich pokładach patrzyły na Poole'a z poważnymi, nieobecnymi twarzami. Ciemność pogłębiła się, a głosy z innych stolików stały się głośniejsze.

Gdy Poole zobaczył, że Underhill zamawia kolejnego drinka u młodego kelnera, znów kładąc rękę na jego rękawie i mówiąc coś, co wywołało uśmiech, wyjął długopis i napisał wiadomość na serwetce koktajlowej. „Czy nie jesteś sławnym gawędziarzem z Ozone Park? Siedzę przy ostatnim stoliku na prawo od ciebie”. Chłopak dryfował teraz wzdłuż rzędu stołów i Michael, jak wcześniej Underhill, zlapał go za rękaw.

– Mógłbyś przekazać ten liścik mężczyźnie, od którego właśnie przyjąłeś zamówienie?

Chłopak uśmiechnął się, interpretując tę prośbę po swojemu, i natychmiast cofnął się wzdłuż rzędu stołów. Gdy dotarł do Underhilla, położył przy jego łokciu złożoną na pół serwetkę.

– Och? – mruknął Underhill, odrywając wzrok od Raymonda Chandlera.

Poole patrzył, jak kładzie na stoliku otwartą książkę i podnosi serwetkę. Przez chwilę jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, poza tym, że była niezwykle skupiona. Cały wewnętrzny człowiek stanął na baczność. Był skoncentrowany bardziej niż wcześniej na książce. W końcu zmarszczył brwi i popatrzył na serwetkę – marszczył brwi z powodu intensywnego wysiłku umysłowego, nie z niezadowolenia. Powstrzymał się od spojrzenia w prawo, dopóki w pełni nie rozważył wiadomości. Teraz spojrzął i jego wzrok szybko odnalazł Poole'a.

Underhill obrócił krzesło i pozwolił, by uśmiech powoli rozlał się w jego brodzie.

– Lady Michael, nie masz pojęcia, jak dobrze znowu cię widzieć – powiedział. – Przez chwilę myślałem, że mogę mieć kłopoty.

Przez chwilę myślałem, że mogę mieć kłopoty.

Kiedy Michael Poole usłyszał te słowa, rogaty potwór w ciele Underhilla skurczył się na dobre: Underhill był równie niewinny morderstw popełnionych przez Koko jak każdy, kto obawiał się, że zostanie następną ofiarą. Zerwał się z krzesła, zanim zdał sobie z sprawę, co robi, i ruszył obok dzielących ich stolików, żeby objąć Underhilla pod jasno płonąca pochodnia.

Victor Spitalny

1

Nieco ponad dziesięć godzin przed spotkaniem doktora Michaela Poole'a i Tima Underhilla na tarasie nad rzeką za hotelem Oriental Tina Pumo obudził się poruszony i pełen niepewności. Miał do zrobienia w ciągu jednego dnia więcej, niż ktokolwiek przy zdrowych zmysłach poważiłby się spróbować. Czekają go spotkania nie tylko z Molly Witt i Lowerym Hapgoodem, jego architektami, oraz Davidem Dixonem, prawnikiem, z którym miał nadzieję wypracować żelazny sposób na zdobycie dla Vinha dokumentów naturalizacyjnych, ale też zaraz po lunchu miał wraz z Dixonem udać się do banku, żeby negocjować pożyczkę na pokrycie pozostałych kosztów budowy. Inspektor z sanepidu zapowiedział, że ma zamiar „przeprowadzić rekonesans o szesnastej”, dla pewności, czy problem z insektami został w końcu „doprowadzony do poziomu zerowego”. Inspektor, weteran wojny wietnamskiej ze Środkowego Zachodu, posługiwał się mieszkanką wojskowego żargonu, języka yuppie i przestarzałego slangu, brzmiając na przemian absurdalnie lub groźnie. Po tych spotkaniach, które będą drogie, frustrujące albo onieśmielające, Pumo planował udać się do swojego dostawcy wyposażenia na obrzeżach Chinatown po dziesiątki garnków, patelni i sztućców, żeby zastąpić te, które zawieruszyły się w trakcie remontu. Czasami miał wrażenie, że tylko największe woki zostały tam, gdzie powinny.

Otwarcie Sajgonu przewidziano za trzy tygodnie i pod wieloma względami wyrobienie się w terminie zależało od bankierów. Restauracja będzie musiała pracować niemal w pełnej wydajności przez określoną liczbę dni, nim zacznie ponownie zarabiać. Dla niego Sajgon był domem, żoną i dzieckiem, ale dla bankierów wątpliwie wydajną maszyną do przekształcania żywności w pieniądze. Wszystko to sprawiło, że czuł się rozgorączkowany, niespokojny, zestresowany, ale największą przyczyną jego niepewności była Maggie Lah, wciąż śpiąca po drugiej stronie łóżka.

Nie mógł nic na to poradzić; ubolewał nad tym uczuciem i wiedział, że w jakiejś żalostnej przyszłej godzinie będzie go nienawidził, ale Maggie irytowała go, rozpostarta na jego łóżku, jakby było jej własnością. Nie może podzielić swojego życia na dwoje i wyrzec się połowy. Samo skupianie się na codziennych szczegółach zabierało mu tyle energii, że oczy zamykały mu się przed jedenastą. Gdy budził się rano, Maggie była tam; gdy śpieszył na lunch, była tam; gdy oglądał plany, analizował prognozę zysków i strat, a nawet czytał gazetę, była tam. Włączył ją w tak wiele aspektów swojego życia, że teraz odnosił wrażenie, że uczestniczy w nich wszystkich. Maggie uważała, że ma prawo przebywać w gabinecie prawnika, w kamienicy architektki, w magazynie dostawcy. Maggie przekształcała stan przejściowy w zmianę na całe życie i chyba zapomniała, że jest odrębną osobą.

Uznała za pewnik, że co noc może zajmować połowę jego łóżka. Wtrącała swoje trzy grosze w rozmowy z Molly Witt, sugerując zmiany kafelków podłogowych i wyposażenia. (Molly zgodziła się ze wszystkimi jej sugestiami, ale to nie miało znaczenia). Powiedziała mu, że jego stare menu jest niezbyt dobre, wymyśliła jakiś głupi nowy projekt i oczekiwała, że przyjmie go bez zmruczenia oka. Ludziom podobały się jego opisy potraw. Wielu nawet ich potrzebowało.

Pumo nie mógł zapomnieć, że kocha Maggie, ale już nie potrzebował pielęgniarki, i przez nią zapomniał, jaki był wtedy, kiedy był normalny. Sama też zapomniała się do tego stopnia, że straciła wyczuć czasu.

Dzisiaj będzie musiał zabrać ją ze sobą. Partner Molly będzie z nią flirtować. David Dixon, dobry prawnik, ale poza tym dorosły nastolatek, myślący wyłącznie o pieniądzach, seksie, sporcie i zabytkowych samochodach, z rozbawieniem będzie tolerować jej obecność i zerkać na niego znacząco. Bankier ją zobaczy, uzna go za wariata i odmówi kredytu. Stary chiński dostawca w Arnold Leung's będzie

popatrywać na nią żalosnym, rozpaczliwym wzrokiem i zacznie ukradkiem ją przekonywać, że marnuje sobie życie ze „starym cudzoziemcem”.

Maggie otworzyła oczy. Zerknęła na pustą poduszkę Tiny, a potem odwróciła głowę i oszacowała go jednym spojrzeniem. Nie mogła nawet budzić się jak inni ludzie. Jej twarz była gładka i śniada, białka oczu połyskiwały. Nawet jej pełne usta wyglądały elegancko.

– Rozumiem – powiedziała z lekkim westchnieniem.

– Co rozumiesz? – zapytał.

– Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli dzisiaj z tobą nie pojedę? Muszę skoczyć na Sto Dwudziestą Piątą i zobaczyć się z generałem. Zaniedbałam obowiązki. On jest bardzo samotny.

– Aha.

– Poza tym wyglądasz na naburmuszonego.

– Nie... jestem... naburmuszony.

Maggie obrzuciła go kolejnym szacującym spojrzeniem i usiadła na łóżku. Jej skóra wydawała się bardzo ciemna w półmroku.

– Ostatnio nie czułem się dobrze. Martwi się, że dostanie wypowiedzenie najmu.

Wyskoczyła z łóżka i pomknęła do łazienki. Przez chwilę łóżko wydawało się zdumiewająco puste. Pumo usłyszał szum spłukiwanej toalety, dudnienie w rurach. Czuł, jak Maggie energicznie szczotkuje zęby, zużywając całą energię i powietrze w łazience, wysączając prąd z gniazdka golarki i lamp, sprawiając, że ręczniki wędły na wieszaku.

– Nie masz nic przeciwko, prawda?! – zawołała radośnie. Jej ton był wodnisty od pasty do zębów. – Tina?

– Nie mam nic przeciwko – odparł głosem starannie obliczonym na to, żeby był dla niej prawie niesłyszalny.

Wyszła z łazienki i obrzuciła go kolejnym zamyślnym spojrzeniem.

– Och, Tina.

Minęła go w drodze do szafy i zaczęła się ubierać.

– Muszę być sam przez jakiś czas.

– Nie musisz mi mówić. Mam wrócić dziś wieczorem?

– Rób, co chcesz.

– W takim razie zrobię, co chcę. – Szybko włożyła ciemny wełniany strój, który miała na sobie, kiedy przywiózł ją z mieszkania generała.

Później niewiele rozmawiali. Oboje opuścili mieszkanie i zeszli schodami na Grand Street. Ubrani w grube zimowe kurtki stali razem na mrozie. Śmieciarka na końcu ulicy hałaśliwie miażdżyła jakiś drewniany przedmiot, który pękał i trzaskał jak ludzkie kości.

Maggie wyglądała na zwodniczo małą, gdy stała obok niego w pikowanej kurtce – mogła być dziewczyną chodzącą do szkoły średniej. Wpadło mu do głowy, że nie mieliby żadnych problemów, gdyby nie musieli wstawać z łóżka. Wspomnienie zgrzyliwego głosu Judy Poole w telefonie sprawiło, że powiedział:

– Kiedy Mike Poole i pozostali wrócą...

Maggie wyczekująco przekrzywiła głowę, a on zastanawiał się, czy to, co zamierzał powiedzieć, nie jest bardziej skomplikowane, niżby sobie życzył. Maggie ani drgnęła.

– Chyba powinniśmy częściej go widywać, to wszystko.

Posłała mu ponury, smutny uśmiech.

– Zawsze będę miła dla twoich przyjaciół, Tina.

Machnęła dłonią w rękawiczce – smutek gestu dorównywał smutkowi uśmiechu – i ruszyła ku stacji metra. Patrzył za nią, ale się nie obejrzała.

2

Pod wieloma względami poranek i wczesne popołudnie przebiegały łatwiej, niż Pumo się spodziewał. Molly Witt i Lowery Hapgood dali mu dwie mocne kawy i pokazali swoje najnowsze innowacje, które, jak zauważył, były sprytnymi adaptacjami pomysłów Maggie sprzed kilku dni. Te innowacje można będzie bezboleśnie wprowadzić w trakcie pozostałej do wykonania pracy, jedyny problem polegał na zmianie kolejności szafek. Ale skoro jeszcze nie dotarło nowe wyposażenie... I czy nie sądzi, że w ten sposób wszystko będzie „skomponowane”? Tak, sądzi. I to nie ich zmartwienie, jeśli jednak przemysł

menu w świetle tych zmian i nada mu nowoczesny wygląd... Krótko mówiąc, przyjęli większość pomysłów Maggie dotyczących jadłospisu, łącznie z „odchudzeniem” jego ukochanych opisów potraw. Po spotkaniu David Dixon żonglował garścią prawnych pitek w rześkiej, radosnej atmosferze swojego gabinetu i ubolewał, że nie towarzyszy mu jego „słodka mała kumpelka”. W porze lunchu wrócił do tego tematu.

– Nie zamierzasz tego też schrząnąć, prawda, bracie? – zapytał. Jego oczy skrzyły się w rumianej twarzy byłego sportowca, gdy przeglądał kartę dań w Smith & Wollensky’s. – Nie chciałbym, żebyś stracił tę piękną Chincezkę.

– Czemu się z nią nie ożenisz, Davidzie? – rzucił kwaśno Pumo.

– Rodzina by mnie zabiła, gdybym przywiózł do domu skośnooką. Co miałbym im powiedzieć? Że nasze dzieciaki będą świetne z matmy? – Dixon wciąż patrzył na niego roziskrzonym wzrokiem, pewny swojego uroku.

– I tak nie jesteś dla niej dość mądry. – Pumo tylko częściowo udobruchał Dixona, dodając: – Tyle mamy wspólnego.

Spotkanie w banku przebiegało w atmosferze chłodnej formalności, co chyba martwiło bankiera; wydawało się, że liczył na zwykły żartobliwy ton Dixona – należeli do tej samej grupy w Princeton i byli szczęśliwymi kawalerami po czterdziestce. Oczywiście nie pojechali do Wietnamu. Byli prawdziwymi Amerykanami. (Tak to widzieli).

– Nie martw się, sprawa załatwiona – powiedział Dixon, gdy wyszli z powrotem na ulicę. – Ale pozwól, że dam ci radę, stary druhu. Musisz wrzucić na luz. Człowieku, tego kwiatu jest pół świata. Nie możesz pozwolić, żeby jedna mała orientalna cipka pociągnęła cię w dół tylko dlatego, że trzasnęła drzwiami. – Zaśmiał się i długi biały szal pary wysnuł się z jego ust. – Mam rację? Do diabła, wyrzuciłeś ją!

– Dam ci znać za parę tygodni – powiedział Tina, zmusił się do uśmiechu i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Po nacisku dłoni prawnika poznał, że obaj są równie zadowoleni z rozstania.

Dixon odszedł z czerwoną twarzą i czarującym krzywym starym uśmiechem rodem z Princeton, idealny w lśniącym gorsie koszuli, krawacie w paski, ze schludną ciemną czupryną i w eleganckim ciemnym palcie. Pumo przez chwilę patrzył za nim, jak wcześniej tego dnia za Maggie. Co jest z nim nie tak, że odpycha od siebie ludzi? Niewiele łączyło go z Dixonem, ale facet był hultajem, a hultaje zwykle są dobrymi kompanami.

Podobnie jak Maggie, Dixon nie obejrzał się. Przywołał taksówkę i wślizgnął się do środka. Hultaje mieli talent do zatrzymywania taksówek. Tina patrzył, jak taksówka z jego prawnikiem jedzie Broad Street w żółtej fali zajętych taksówek. Nagle poczuł, że tak jak on obserwował ucieczkę Dixona, tak ktoś obserwuje jego. Włoski zjeżyły mu się na karku. Odwrócił się, żeby zobaczyć, kto na niego patrzy. Oczywiście nikt nie patrzył. Powiódł wzrokiem po tłumie maklerów i bankierów śpieszących Broad Street. Niektórzy, siwe szczwane lisy, wciąż kojarzyli mu się z tymi profesjami, ale wielu więcej było w wieku jego i Dixona, a równie liczni mieli po dwadzieścia, trzydzieści kilka lat. Wyglądali jednocześnie nienagannie i ponuro, ludzkie kalkulatory. Hultaje tacy jak Dixon zajmowali się ich problemami i dogadzali im, natomiast on ich karmił i patrzył, jak się upijają. Zwrócił uwagę, że plemię przemierzające Broad Street nie poświęciło mu nawet jednego zaciekawionego spojrzenia. Byli skupionymi ludźmi. A może on był przezroczyście? Dzień wydał się jeszcze chłodniejszy, niebo nad latarniami pociemniało. Pumo podszedł do krawężnika i uniósł rękę.

Złapanie taksówki zajęło mu piętnaście minut i wrócił na Grand Street o szesnastej dziesięć. Wszedł do restauracji i zastał tam inspektora Briana Mecklenberga, który krążył po kuchni, stukał długopisem w siekacze i stawał patzki na kartce przypiętej do podkładki.

– Zyskał pan kilka jardów od naszego ostatniego spotkania, panie Pumo.

– I jeszcze długa droga przed nami. – Pumo rzucił kurtkę na krzesło. Tego dnia czekała go jeszcze wizyta w magazynie Arnolda Leunga.

– Tak? – Mecklenberg okazywał mu tyle samo zainteresowania, co każdy inny inspektor sanitarny swoim ofiarom. – Czy powiedziała by pan, że nasz cel został osiągnięty?

– Pozbycie się robactwa?

– Potwierdzam, zwalczanie plagi. O co innego miałyby mi chodzić?

Mecklenberg trochę sam wyglądał jak robak, ubrany w szkaradną sportową marynarkę w żółto-czarno-oliwkową kratę, z brązowym krawatem mocno przypiętym do koszuli rzucającą się w oczy szpilką.

– O dokończenie kuchni, otwarcie biznesu, utrzymanie go, ściąganie ludzi z ulicy, tego typu rzeczy – dodał Pumo. – Prowadzenie spokojnego, uporządkowanego, satysfakcjonującego życia, które bywa

również interesujące. Poukładanie mojego życia miłosnego.

Przypomniał sobie rumianą twarz i krzywy uśmiech Davida Dixona i w jego mózgu zapaliło się szalone światło.

– Chcesz pan porozmawiać o celach, Mecklenberg? Likwidacja broni jądrowej i zaprowadzenie pokoju na świecie. Sprawienie, żeby wszyscy zobaczyli, że wietnamskie jedzenie jest równie dobre jak francuskie. Postawienie pomnika wojny wietnamskiej w każdym większym mieście. Znalazienie bezpiecznego sposobu na pozbycie się wszystkich toksycznych odpadów. – Umilkł, żeby zaczerpnąć tchu, świadom, że Mecklenberg wpatruje się w niego z otwartymi ustami.

– Hej, co do energii jądrowej, hej... – zaczął inspektor.

– Wycofanie się z tego niedorzecznego projektu Star Wars. Modernizacja szkół publicznych. Sprawdzenie religii z powrotem do kościołów, gdzie jej miejsce.

– Popieram.

Pumo podnosił głowę.

– Odebranie cholery broni cywilom. – Mecklenberg próbował mu przerwać, ale Pumo zaczął krzyczeć. Szalone światło płonęło już bardzo jasno. Inspektor nie usłyszał jeszcze połowy celów, które miał usłyszeć. – Wybieranie na stanowiska ludzi, którzy rzeczywiście wiedzą, co robią, zamiast tych, którzy tylko dobrze wyglądają i udają, że wiedzą, co robią! Odebranie radia cholernym nastolatkom i przywrócenie porządnej muzyki! Zniesienie telewizji na pięć lat! Odcinanie palca każdemu urzędnikowi publicznemu, który zostanie przyłapany na choćby jednym publicznym kłamstwie, i odcinanie kolejnego palca za każdym razem, gdy zostanie złapany! Wyobraź pan sobie, co zrobiłoby to dla nas w Wietnamie! Hej, Mecklenberg, jesteś w stanie to pojąć?

– Ma pan jakiś kłopot? Na pewno nic panu nie jest? To znaczy... – Inspektor schował długopis do kieszeni koszuli, gdzie rozkwitała rozmyta niebieska plama. Schylił się, otworzył teczkę i wsunął do niej podkładkę. – Sądzę...

– Musisz poszerzyć swoje horyzonty, Mecklenberg! Pomyślmy o zlikwidowaniu biurokracji! O zmniejszeniu marnotrawstwa w rządzie! Wprowadźmy sprawiedliwe podatki! Raz na zawsze zniesmy karę śmierci! Zreformujmy system więzienny! Przyjmijmy do wiadomości, że aborcje były i będą, i miejmy trochę zdrowego rozsądku! A co z narkotykami? Wymyślmy politykę, która ma sens, zamiast udawania, że prohibicja spełniła swoje zadanie, dobrze?

Pumo wyciągnął rękę i wycelował palcem wskazującym w biednego inspektora. Wymyślił wspinały nowy cel.

– Mam świetny pomysł, Mecklenberg. Zamiast zabijać, weźmy takiego gościa jak Ted Bundy, zapakujmy go do szklanej klatki i wystawmy w Epcot Center. Łapiesz? Niech zwyczajne amerykańskie rodziny wpadają na pogawędkę z Tedem, jedna rodzina co piętnaście minut. Widzicie? Oto jeden z nich, mówimy im, oto jak wygląda, jak mówi, jak myje zęby i wydmuchuje nos. Rzućcie okiem, przyjrzyjcie się z bliska. Chcecie zobaczyć zło? Oto sukinyś!

Mecklenberg z niejakim trudem wsunął ręce w rękawy płaszczka i teraz cofał się w stronę wahadłowych drzwi do jadalni, gdzie gromada robotników odłożyła narzędzia, żeby słuchać tyrady Puma. Ktoś tam krzyknął: „Święte słowa!”, ktoś inny się śmiał.

– Myślisz, że robaki są złe, Mecklenberg? – zagrzmiął Pumo. – Na litość boską, tylko... – Ścisnął głowę i rozejrzał się za czymś do siedzenia.

Inspektor śmignął do wahadłowych drzwi. Pumo miał schyloną głowę i dzięki temu zobaczył robaka ostrożnie wypelzającego spod kuchni „Garland”. Był ogromny. Nigdy nie widział niczego takiego, nawet w szczytowym momencie „plagi”, kiedy wydawało się, że każdy centymetr kwadratowy ścian zajmują ohydne pelzaczki wszelakiej maści. Gdy stwór wylazł spod pieca, był prawie wielkości jego stopy.

Mecklenberg trzasnął frontowymi drzwiami, a robotnicy w restauracji pozęgnali go radosnym okrzykiem.

Pumo pomyślał, że zaraz zemdleje – albo już zemdlął, i to stworzenie było wytworem rozpalonej wyobraźni. Długie, smukłe i brązowe, z czułkami z miedzianego drutu, przypominało pocisk artyleryjski. Wydawało się wypolerowane, prawie lśniło. Jego odnóża głośno stukwały o posadzkę.

Pumo powiedział sobie: to się nie dzieje. Nie ma potworów, a karaluchy nie mają swojego King Konga.

Ogromny karaluch nagle go zobaczył. Zamarł. Potem szybko czmychnął z powrotem pod piec. Przez kilka sekund Pumo słyszał stukanie jego kopytek, a później zapadła cisza.

Przez chwilę stał w ciszy, bojąc się schylić i zajrzeć pod piec. Stwór mógł się przyczołgać, żeby go zaatakować. Czego użyć przeciwko robalowi tej wielkości? Nie można go rozdeptać. Trzeba go zastrze-

lić, jak rosomaka. Pumo pomyślał o hektolitrach trucizny, którą tępicieł rozpyłał za ścianami, nasączając drewniane legary i betonowe fundamenty.

Osunął się na kolana, żeby zająrzeć pod piec. Ponieważ podłoga została świeżo ukończona, pod piecem nie było nawet kurzu, leżał tam tylko wyrzucony przez elektryka kawałek kabla.

Czułek? – zastanowił się Pumo. Spodziewał się zobaczyć, jeśli nie karaluszego King Konga, to przynajmniej dziurę wielkości ludzkiej głowy w listwie przypodłogowej; nie tylko nie było dziury, nie było też listwy – przepisy przeciwpożarowe nakazywały zainstalowanie blachy stalowej za piecem.

Świat wydawał się pełen luk i kamiennych przepaści. Pumo wyszedł z kuchni, a robotnicy powitali go okrzykami i klaskaniem.

3

Arnold Leung dekady temu ulokował swoje ogromne, mroczne magazyny przy wysuniętym najdalej na wschód krańcu Prince Street, gdzie stapały się dzielnice Little Italy, Chinatown i SoHo, i miał aurę pioniera – okolica jeszcze nie została zupełnie wchłonięta przez Chinatown, ale w ciągu ostatnich pięciu lat miejsce kilku włoskich piekarni zajęły sklepy z chińskimi literami wymalowanymi na szybach i hurtownie chińskich produktów. W innych miejscach powstały restauracje o nazwach Golden Fortune i Soon Luck. Pod koniec zimnego lutowego popołudnia jedynymi osobami, które Pumo widział na wąskiej ulicy, były dwie opatulone Chinki o szerokich twarzach częściowo ukrytych pod grubymi ciemnymi chustami. Szedł do magazynów Arnolda Leunga.

Leung był jednym z jego największych odkryć. Miał ceny o dwadzieścia procent niższe niż każdy inny dostawca ze śródmieścia i natychmiast realizował zamówienia – jego zięć podrzucał furgonetką opłacony karton pod drzwi frontowe, nie dalej, bez względu na to, czy był, czy nie był obecny. Cena i szybkość dostawy sprawiały, że Pumo bardziej niż chętnie przyrywał oko na gburowatość zięcia.

Na końcu uliczki znajdowała się jedna z anomalii miasta, pusta parcela od przecznic do przecznic między tyłami budynków. Latem pachniała śmieciami, a zimą hulający tam wiatr podrywał z ziemi różnorakie drobinny, które grzechotały jak śrut o blaszane magazyny Leunga. Tina bywała tylko w pierwszym z nich, gdzie Leung miał swoje biuro. Tam właśnie, nad jego biurkiem, znajdowało się jedyne okno we wszystkich czterech magazynach.

Pumo otworzył drzwi i wśliznął się do głównego budynku. Wiatr lub ciśnienie powietrza wyrwały mu z rąk cienkie aluminiowe drzwi i gwałtownie je zatrasnęły. Słyszał, jak Leung prowadzi jednostronną rozmowę po chińsku, zapewne przez telefon. Rozmowa urwała się w momencie, gdy drzwi huknęły o framugę. Właściciel wyjrzał z biura, odziany w coś, co wyglądało na kilka warstw dresów, zerknął na niego i z powrotem zniknął w kantorku. W drugim końcu magazynu czterej mężczyźni, którzy siedzieli na skrzynkach wokół planszy, spojrzeli na Puma i wrócili do gry. Poza biurem całe wnętrze było labiryntem spiętrzonych do sufitu skrzyń i pak, między którymi pracownicy Leunga jeździli na wózkach elektrycznych. Jedyne oświetlenie zapewniały słabe gołe żarówki na przewodach.

Pumo pomachał do mężczyzn, którzy go zignorowali, i skreślił do drzwi biura. Zapukał, Leung wyjrzał, zmarszczył brwi, powiedział kilka słów do telefonu i otworzył drzwi na tyle szeroko, żeby Pumo mógł się przez nie prześlizgnąć.

Leung w końcu odłożył słuchawkę.

– Czego dziś potrzebujesz?

Pumo wyjął listę.

– Za dużo – powiedział Leung po rzuceniu okiem. – Nie mogę teraz tego wszystkiego zrealizować. Wiesz, co się dzieje? Empire Szechuan, oto co. Co tydzień powstaje nowy lokal, nie zauważyłeś? Trzy nowe na Upper West Side, jeden w Village. Mam zamówienia na dwa-trzy miesiące w przód, trzymam towar tylko po to, żeby mieć coś na stanie. Mówię im: otwórzcie jedną restaurację naprzeciwko, żebym mógł przynajmniej posłać po dobre jedzenie.

– Wyślij mi, co możesz – powiedział Pumo. – Potrzebuję wszystkiego za dwa tygodnie.

– Zapomnij. A w ogóle po co ci te rzeczy? Masz już wszystko!

– Kiedyś miałem. Podaj mi jakieś ceny.

Nagle Pumo znów poczuł się obserwowany. Tutaj miało to jeszcze mniej sensu niż na Broad Street, bo jedyną osobą, która na niego patrzyła, a przy tym z pewną niechęcią, był Arnold Leung.

– Wyglądasz na zdenerwowanego – zauważył Leung. – I powinieneś. Wszystkie wymienione tu noże będą kosztować sto pięćdziesiąt, sto sześćdziesiąt dolarów. Może więcej, w zależności od tego, co

mam na stanie.

Dobra, powiedział sobie Pumo. Teraz rozumiem. Leung zamierza zdrzeć z niego skórę. Może nawet ukarać go za przyprowadzenie tu Maggie Lah; Tina raz słyszał, jak Leung nazywa go lo fang. Nie wiedział, co to znaczy, ale prawdopodobnie coś w rodzaju „starego cudzoziemca”.

Pumo poruszył się, by wyjrzeć przez brudne okno biura. Sięgał wzrokiem przez cały zimny wietrzny zaułek do ulicy, wycinka jasności zapehnionego smugą ruchu. W oknie nie było szyb, tylko arkusze jakiegoś nieregularnie przejrzystego plastiku, który tu i ówdzie pociemniał ze starości. Cała jedna strona uliczki była tylko brązową plamą.

– Pogadajmy o żeliwnych patelniach – powiedział i już miał się odwrócić, żeby zobaczyć minę Leunga sięgającego po wierne liczydło, gdy dostrzegł niewyraźną zbliżającą się czarnowłosą sylwetkę. Natychmiast targnęły nim sprzeczne uczucia: ulga, że Maggie dowiedziała się od Vinha o jego miejscu pobytu i przyjechała do niego, oraz głęboka irytacja, że bez względu na to, co powie lub zrobi, nie może się jej pozbyć.

Gdy Leung ją zobaczy, ceny prawdopodobnie skoczą o kolejne pięć procent.

– Żaden problem – powiedział Leung. – Chcesz pogadać o żeliwnych patelniach? Pogadajmy o żeliwnych patelniach. – Kiedy Pumo się nie odezwał, zapytał: – Chcesz kupić też moje okno?

Sylwetka przestała się poruszać i Pumo poznał, że to nie Maggie Lah. To mężczyzna. Mężczyzna w zaułku zaczął się cofać w sposób, który przywiódł mu na myśl gigantycznego karalucha chowającego się pod piecem.

– Poczekaj chwilę, Arnoldzie – poprosił.

Rzucił mu uspokajające spojrzenie, które spotkało się z nieubłaganą chińską obojętnością. Tyle dla starych klientów. Biznes to biznes.

– Wiesz o żeliwnych patelniach? – zapytał Leung. – Produkcja spada, gdziekolwiek spojrzysz.

Tina odwrócił się z powrotem ku oknu. Mężczyzna przesunął się bliżej środka zaułka i cofał się bardzo powoli.

– Miałeś kiedyś wrażenie, że ktoś cię śledzi? – spytał Pumo.

– Mam cały czas – odrzekł Leung. – Ty też?

Mężczyzna cofał się w jasność ulicy.

– Przywykniesz – dodał Leung. – Żaden problem.

Pumo zobaczył zamazaną twarz, strzechę czarnych włosów, szczupłe ciało w nijakim ubraniu. Zrozumiał, że to ktoś, kogo zna, i sekundę później wiedział, kto to. Przez chwilę kręciło mu się w głowie. Odwrócił się.

– Po prostu dostarcz towar i wyślij mi rachunek – powiedział.

Leung wzruszył ramionami.

Mężczyzną w zaułku był Victor Spitalny i Pumo teraz miał pewność, że uczucie, że jest obserwowany i śledzony, nie było bezpodstawne. Spitalny prawdopodobnie śledził go od kilku dni. Kręcił się nawet przed restauracją, gdzie widział go Vinh.

– Może uda mi się załatwić te żeliwne patelnie – powiedział Leung.

Normalnie Tina rozpoczęłaby negocjacje, czego Leung się spodziewał, ale on tylko zapiął płaszcz, przeprosił zdumionego hurtownika i pośpiesznie wyszedł z biura. Chwilę później zamykał za sobą aluminiowe drzwi.

Zobaczył, jak niski ciemnowłosy mężczyzna przemyka na końcu alejki. Zmusił się, żeby iść umiarkowanym krokiem w stronę ulicy – Spitalny nie wie, że został zauważony, i Tina nie chciał go sponzyczyć. Przede wszystkim musi się upewnić, że to naprawdę Victor Spitalny – tylko mignęła mu rozmazana twarz. Z szokiem zdał sobie sprawę, że to Victor Spitalny włąła się do jego mieszkania.

Spitalny prawie osaczył go w bibliotece i będzie go tropił, dopóki go nie zabije. Spitalny zabił Denglera albo w najlepszym wypadku zostawił go na pewną śmierć, a teraz był na światowej wyprawie myśliwskiej.

Pumo dotarł do końca zaułka i skręcił pod wiatr w kierunku, w którym odszedł Spitalny. Oczywiście już go nie było w zasięgu wzroku. Świat wydawał się teraz bardzo bliski i ciemny. Spitalny nie umarł, nie dał się pokonać narkotynom ani chorobom, nie wyszedł na prostą i nie został przyzwoitym facetem. Czekał na swój czas i tykał.

Cała przestrzeń jezdni i chodnika była prawie pusta. Kilka Chinek szło do swoich mieszkań, daleko przy przecznicy mężczyzna w długim czarnym płaszczu wszedł po schodach i zniknął w budynku. Pumo wędrował ulicą w ziemie, obawiając się, że jego obląkana nemezis może się skrywać za drzwiami każdego sklepu.

Dotarł do przecznicy, nim zaczął w siebie wątpić. Przecież teraz nikt go nie śledził, a gdyby ktoś chciał wyskoczyć nań przez drzwi, miał ku temu mnóstwo okazji. Chwila pewności, oparta na spojrze-

niu przez zatłuszczone okno, była jedynym dowodem, że Victor Spitalny go śledzi. Trudno było sobie wyobrazić, że taki prostak jak on udaje dziennikarza w czytelni mikrofilmów – może Maggie miała rację i hiszpańskie nazwisko to tylko zbieg okoliczności. Godzinę wcześniej mógłby przysiąc, że widział gigantycznego karalucha. Znowu rozejrzył się po pustej ulicy i zaczął się odprężać.

Tina postanowił wrócić do domu i zadzwonić do Judy Poole. Jeśli rozmawiała z Michaeliem, ten będzie już w drodze do domu.

* * *

Pumo wrócił na Grand Street tuż po wpół do szóstej, kiedy robotnicy pakowali narzędzia i ładowali ciężarówkę. Brygadzista powiedział, że Vinh wyjechał godzinę wcześniej – na czas remontu jego córkę przygarneła jedna z jego krewnych, kuzynka mieszkająca przy Canal Street. Sam Vinh nocował tam co drugi dzień. Gdy furgonetki i pickupy robotników odjechały w kierunku West Broadway, Pumo długo spoglądał w obie strony ulicy.

Grand Street nigdy nie była pusta i o tej porze na chodnikach wciąż tłoczyły się zamożne osoby w średnim wieku z New Jersey albo Long Island, lubiące wydawać pieniądze w SoHo. Wśród przyjeżdżających spacerowali mieszkańcy Grand Street i West Broadway, Spring Street i Broome Street. Niektórzy kiwali do niego, a on odwzajemniał gest. Znajomy malarz, który wchodził po schodach do La Gamal na drinka, machał ręką i wykrzykiwał przez ulicę pytanie, jak szybko znowu się otworzy.

– Za parę tygodni! – odrzyknął Pumo, modląc się, żeby to była prawda.

Malarz wszedł do La Gamal, a Pumo wszedł do Sajgonu. Bar, w którym Harry Beevers spędził tyle godzin, które powinien poświęcać kancelarii Caldwell, Moran, Morrissey, został przedłużony i wyłożony najpiękniejszym płatem czarnego orzecha, jaki kiedykolwiek widział; dalej znajdowała się pusta jadalnia, nadal w stanie surowym. Pumo przeszedł w ciemności do kuchni i zapalił światła. Padł na kolana i zajrzał pod piec i lodówkę, za zamrażarki i półki magazynowe, a także zlustrował każdy cal podłogi. Nie dostrzegł żadnego insekta.

Wszedł do małego pokoju Vinha. Łóżko było starannie zaścienione. Książki Vinha – poezja, powieści, opowiadania i książki kucharskie w języku francuskim, angielskim i wietnamskim – stały na wykonanych przez niego półkach. Pumo zajrzał pod łóżko i małą komodę, nie zobaczył ani jednego gigantycznego robaka.

Nie słyszał kopytek stukających o nowe płytki.

Zamknął restaurację i poszedł na górę do mieszkania. Tam w końcu zdjął płaszcz, wszedł do sypialni i nie zapalając światła, spojrział w dół na Grand Street. Coraz więcej ludzi wchodziło do La Gamal, niektórzy przyszlizy do Sajgonu z pustymi brzuchami i nabitymi portfelami. Przechodnie przemieszczali się w szybkim tempie, nikt nie wałęsał się ani nie ociągał, nikt nie gapił się w jego okno. Maggie zdecydowała, czy zjawi się dziś wieczorem. Pewnie zostanie na przedmieściach. Sytuacja wydawała się bardzo znajoma. Maggie nie da znaku życia przez wiele dni, jemu znacznie odbijać, w „Voice” pojawiają się zagadkowe ogłoszenia, wszystko zacznie się od nowa. „Papukocie tęskni Półksiężyc”. Może tym razem nie będzie musiał dać się na wpół zabić, żeby ściągnąć ją z powrotem – może tym razem będzie miał więcej rozsądku. Ale dziś wieczorem będzie lepiej, gdy Maggie zostanie na przedmieściach. Pumo znał swoją starą potrzebę samotności; będąc sam, nie zarazi innych swoimi problemami.

Zrobił sobie drinka przy barku za biurkiem i usadowił się ze szklaneczką na kanapie, żeby czekać na powrót Vinha.

Kiedy zadzwonił brzęczyk na dole, pomyślał, że szef kuchni poszedł na Canal Street bez kluczy. Już miał nacisnąć mały przycisk, żeby go wpuścić bez odzywiania się do domofonu. Po namyśle pochylił się w stronę urzędzenia i zapytał:

– Kto tam?

– Dostawa. – Usłyszał w odpowiedzi.

Zięć z furgonetką pełną żeliwnych naczyń kuchennych i dwiema albo trzema skrzynkami noży. Skoro Leung wysłał je bez czekania na jego instrukcje, to z pewnością daje starą cenę.

– Zaraz będę – powiedział i nacisnął przycisk, żeby otworzyć drzwi i odebrać dostawę.

– Więc myślisz, że powinnam do niego wrócić dziś wieczorem? – Maggie szła tuż za generałem, jakby czerpała ciepło i siłę z jego szerokich żołnierskich pleców. Teraz nie lewitowała.

– Tego nie powiedziałam. – Generał wszedł do nawy swojego improwizowanego kościoła, żeby poprawić krzesło.

Wszystko wokół nich – czerwone winylowe siedzenia, tanie jasne drewno ołtarza, żółte ściany z krzykliwymi obrazami z uczesaniem w kucyk Jezusem walczącym z demonami na tle przymglonego chińskiego krajobrazu – lśniło, skrzyło się i połyskiwało w ostrym jasnym świetle, które generał i jego wierni woleli od bardziej stonowanego oświetlenia. Rozmawiali po kantonisku, w równej mierze twardej i lekkim języku, w którym odprawiał nabożeństwa.

Stojąc przed zamkniętym oknem w Harlemie, Maggie wyglądała na prawie osamotnioną.

– W takim razie przepraszam. Nie rozumiałam.

Generał wyprostował się i z aprobatą skinął głową. Ominął ją i ruszył ku ołtarzowi za balustradą.

Maggie podeszła za nim do balustrady. Generał skrupulatnie poprawił biały obrus na ołtarzu i wreszcie spojrzał na nią ponownie.

– Zawsze byłaś inteligentną dziewczyną. Po prostu nigdy nie rozumiałaś siebie. Ale to, co robisz! Jak żyjesz!

– Nie żyję źle – powiedziała.

Wyglądało to na kolejną powtórkę starej sprzeczki i nagle zapragnęła wyjść, pojechać do centrum i zatrzymać się u Jules'a i Perry'ego w jednej z ich rozklekotanych czynszówek w East Village, uciec w ich bezmyślne włóczęgi po klubach i ich bezmyślną akceptację jej.

– Chodzi mi o życie w niewiedzy o sobie – powiedział łagodnie generał.

– Co w takim razie mam zrobić? – zapytała, nie mogąc powstrzymać ironii, która zakradła się do jej głosu.

– Jesteś opiekunką. Jesteś osobą, która idzie tam, gdzie jej potrzebują. Twój przyjaciel bardzo potrzebował twojej pomocy. Przywróciłaś go do zdrowia tak skutecznie, że twoja pomoc, twoja opieka przestała mu być potrzebna, i wróciły do niego wszystkie jego zwykłe problemy. Znam takich mężczyzn jak on. Miną lata, nim otrząśnie się z tego, co wyrządziła mu wojna.

– Myślisz, że Amerykanie są zbyt sentymentalni, by być dobrymi żołnierzami? – zapytała, naprawdę ciekawa jego opinii.

– Nie jestem filozofem. – Generał wszedł do schowka za ołtarzem i po chwili wrócił ze stosem śpiewników. Wiedząc, czego od niej oczekuje, Maggie podeszła i wzięła je od niego. – Ale być może ty byłabyś lepszym żołnierzem niż twój przyjaciel. Znałem kilku opiekunów, którzy byli znakomitymi oficerami. Twój ojciec miał w sobie dużo z opiekuna.

– Czy szedł tam, gdzie był potrzebny?

– Często chodził tam, gdzie ja go potrzebowałam – odrzekł generał.

Szli równoległymi przejściami, kładąc śpiewniki na krzesłach.

– Przypuszczam, że chcesz, żebym ja też gdzieś poszła – powiedziała w końcu.

– Obecnie nic nie robisz, Maggie. Pomagasz mi w moim kościele. Mieszkasz ze swoim starym żołnierzem. Jestem pewien, że robisz wiele rzeczy dla jego restauracji.

– Staram się.

– A gdybyś mieszkała z malarzem, szukałabyś najlepszych pędzli w mieście, przygotowywała płótna w taki sposób, w jaki nigdy wcześniej nie były przygotowywane, i w końcu wciśkała go do słynnych galerii i muzeów.

– Zgadza się – powiedziała zaskoczona tą wizją.

– Więc albo wyjdiesz za jakiegoś mężczyznę i będziesz żyć jego życiem, jako jego partnerka, jeśli pozwoli, albo będziesz miała własne życie.

– Na Tajwanie – powiedziała, bo w końcu i tak do tego dojdą.

– Jest równie dobry jak każde inne miejsce i lepszy dla ciebie. Zapomnę o twoim bracie. Jimmy wszędzie byłby taki sam, więc równie dobrze może zostać tutaj. Ale ty mogłabyś pójść w Tajpej do college'u, a później szkolić się do zawodu.

– Jakiego?

– Medycznego – odparł i szczerze spojrzał jej w oczy. – Mogę opłacać czesne.

Prawie roześmiała się ze zdumienia, a potem spróbowała obrócić to w żart.

– Przynajmniej nie powiedziałeś o pielęgniarstwie!

– Też o tym myślałem. – Dalej rozkładał śpiewniki. – Zająłoby to mniej czasu i kosztowało znacznie mniej pieniędzy. Ale czy nie wolałabyś być lekarzem?

Pomyślała o Pumie i krzyknęła:

– Może powinnam zostać psychiatrą!

– Może powinnaś – zgodził się. Maggie poznała, że generał doskonale wie, o czym myślała. – Wieczna opiekunka. Pamiętasz, jak matka czytała ci *Babara*? Książkę o słoniu?

– Książki – poprawiła, bo dobrze pamiętała serię francuskich książeczek dla dzieci, które rodzice czytali jej we wczesnym dzieciństwie.

– Przypomniało mi się zdanie z jednej z nich, coś, co mówi król Babar. „Naprawdę niełatwo wychować rodzinę”.

– Och, ty dobrze się spisałeś – powiedziała Maggie.

– Chciałbym zrobić to lepiej.

– No cóż, byłam tylko maciupenią rodziną. – Maggie uśmiechnęła się nad krzesłami i poklepała go po mocnej starej dłoni. – Od lat nie myślałam o tych książkach. Gdzie one są?

– Mam je.

– Chciałabym je odzyskać pewnego dnia. – Teraz oboje się uśmiechali. – Zawsze lubiłam Starszą Panią.

– Widzisz? Kolejna pielęgniarka.

Maggie roześmiała się głośno i gdyby Pumo zobaczył ją w tym momencie, powiedziałyby, że znów zaczęła lewitować.

– Nigdy nie zmuszałbym cię do realizowania moich pomysłów. Jeśli postanowisz wyjść za swojego starego żołnierza, będę szczęśliwy. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że będziesz zarówno jego żoną, jak i opiekunką.

To było dla niej zbyt wiele, więc wróciła na bezpieczniejszy grunt.

– Mogłabym mu zaśpiewać piosenkę słoni. Pamiętasz ją?

Generał przechylił ogoloną głowę. Maggie była bardzo wdzięczna, że przynajmniej spotkał się z Tiną Pumem, i obiecała sobie, że przyprowadzi do niego na inspekcję każdego mężczyznę albo mężczyzn, którzy będą dla niej ważni.

– Pamiętam tylko to, że miała być bardzo stara. – Uśmiechnął się. – Z dni mamutów – dodał takim tonem, jakby sam był dość stary, żeby widzieć je na własne oczy.

Maggie zaśpiewała piosenkę z Króla Babara:

– Patali di rapato, cromda cromda ripalo, pata pata, ko ko ko. – To pierwsza zwrotka. Nie pamiętam dwóch pozostałych, ale kończą się tak samo, Pata pata, ko ko ko. – Gdy tylko zaśpiewała te słowa, wiedziała, że wróci na Grand Street.

5

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Tina Pumo nacisnął przycisk, żeby otworzyć drzwi od ulicy, a Maggie Lah szła po schodach na stację metra przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy i zastanawiała się, czy Tina wciąż będzie w swoim infantylnym nastroju, Judy Poole zadzwoniła do Pat Caldwell, żeby przeprowadzić poważną rozmowę. Przypuszczała, że Pat Caldwell jest prawdopodobnie najbardziej satysfakcjonującą osobą na świecie, z którą można poważnie porozmawiać. Pat nie oceniała innych w sposób, w jaki robiła to większość jej znajomych i ona sama. Judy przypisywała tę cechę wyzwalającemu efektowi urodzenia się w zamożnej rodzinie i wyrośnięcia na swego rodzaju wysiedloną księżniczkę, która udaje biedną. Pat Caldwell przyszła na świat bogatsza nawet niż Bob Bunce i Judy wyobrażała sobie, że gdyby sama urodziła się w równie wielkim czepku, też mogłaby opanować bezpretensjonalną sztukę ukrywania tego faktu. Jedynie naprawdę bogaci ludzie są przekonującymi liberałami. Judy Poole знаła Pat Caldwell od ponad dziesięciu lat, odkąd Michael i Harry Beevers odeszli z wojska, i tworzyli idealną czwórkę, jak myślała. Albo byłaby idealna, gdyby Harry Beevers nie był tak niepewny. Harry prawie zniszczył ich przyjaźń. Nawet Michael go znieubił.

– Wszystko przez Ia Thuc – powiedziała do Pat w trakcie rozmowy. – Wiesz, kogo mi przypominają? Tych, którzy zrzucili bombę na Hiroszimę, a później rozsypali się i rozpiłi. Pozwolili, żeby to ich przerosło, jakby spodziewali się, że zostaną ukarani.

– Harry nigdy nie spodziewał się, że poniesie karę za Ia Thuc – stwierdziła Pat. – Ale też nigdy nie spodziewał się, że poniesie karę za cokolwiek. Nie bądź zbyt surowa dla Michaela.

– Kiedyś starałam się nie być. Nie jestem już pewna, czy warto się jeszcze trudzić.

– Nie mów.

– Cóż, ty się rozwiodłaś.

– Miałam ku temu powody. Powody na powodach. Powody wewnątrz powodów. Nie chcesz o tym wszystkim wiedzieć.

Judy chciała wiedzieć – Michael wspomniał, że uważa Beeversa za damskiego boksera – ale czuła, że nie może zapytać wprost.

– Michael dzwonił z Bangkoku – powiedziała po chwili. – I byłam dla niego okropna. Nie lubię siebie, kiedy zachowuję się w ten sposób. Nawet mu powiedziałam, że się z kimś umawiam.

– Rozumiem. Kiedy kota nie ma...?

– Bob jest bardzo miłym, bardzo oddanym, bardzo stabilnym człowiekiem – powiedziała Judy nieco defensywnie. – Michael i ja nie byliśmy ze sobą blisko od śmierci Robbiego.

– Rozumiem – powtórzyła Pat. – Czy to znaczy, że poważnie traktujesz swojego przyjaciela?

– Mogłabym. Jest zdrowy. Nigdy nikogo nie zastrzelił. Żegluję. Gra w tenisa. Nie ma koszmarów. Nie nosi w sobie trucizny i choroby... – Judy zaskoczyła samą siebie, wybuchając płaczem. – Jestem samotna... przez Michaela czuję się samotna. Chcę być zwykłą osobą i wieść zwyczajne życie osoby z klasy średniej, to wszystko, czego pragnę. – Znowu zapłakała i uspokojenie się zajęło jej dłuższą chwilę. – Czy to wygórowana prośba?

– Zależy, kto prosi – zaznaczyła rozsądnie Pat. – Ale najwyraźniej ty tak nie uważasz.

– Nie – jęknęła Judy. – Ciężko pracowałam przez całe życie! Wiesz, że nie urodziłam się w Westerholmie. Jestem dumna z mojego domu i moich osiągnięć, moich dokonań, z tego, jak żyjemy! To się liczy. Nigdy nie prosiłam o jałmużnę, nigdy nie korzystałam z zapomogi. Uwiłam sobie gniazdko w jednym z najbardziej ekskluzywnych, najdroższych miast w całym kraju. To coś znaczy.

– Nikt tego nie kwestionuje – powiedziała Pat kojącym tonem.

– Nie znasz Michaela. Jest gotów rzucić to wszystko. Sądzę, że nienawidzi Westerholmu. Chce wszystko rzucić i zamieszkać w slumsach, jakby chciał posypać głowę popiołem, nie może znieść niczego miłego...

– Jest chory? Mówiłaś coś o truciznie i chorobie...

– Wojna weszła w niego, nosił w sobie śmierć, widzi wszystko do góry nogami, myślę, że jedyną osobą, którą naprawdę tu lubi, jest umierająca na raka dziewczynka, kocha ją, daje jej książki do czytania i znajduje wymówki, żeby się z nią zobaczyć, to straszne, bo umiera, jest jak Robbie, jest bystrym Robbiem... – Judy znów zalewała się łzami. – Ach, kochałam to biedne dziecko. Ale gdy umarło, pochowałam jego rzeczy i byłam zdecydowana zostawić to wszystko za sobą i żyć dalej... Och, pewnie nigdy mi nie wybaczysz, że tak się rozkleiłam.

– Oczywiście, że ci wybaczam, zresztą nie ma tu czego wybaczać. Jesteś smutna. Ale czy sugerujesz, że Michael cierpi na chorobę spowodowaną przez agent orange?

– Mieszkałaś kiedyś z lekarzem? – Judy zaśmiała się nieprzyjemnie. – Wiesz, jak trudno nakłonić lekarza do wizyty u lekarza? Michael nie jest zdrowy, tyle wiem. Nie robi badań, jest jak jakiś prymitywny stary dziad i czeka, aż samo przejdzie... ale ja wiem, co to jest! To Wietnam, to Ia Thuc! Połknął Ia Thuc, zjadł w całości, wypił tak, jak pije się truciznę, i to go zżera od środka. O ile wiem, obwinia mnie o wszystkie swoje problemy. – Umilkła i ochłonęła. – Jakby tego było mało, są te głuche telefony. Miałaś kiedyś taki?

– Miałam kilka nieprzyzwoitych telefonów – odparła Pat. – I Harry do mnie dzwonił, gdy kazałam mu wyprowadzić się z mojego mieszkania. Nigdy się do tego nie przyznał, ale trzymał słuchawkę i tylko oddychał, może z nadzieją, że się przestraszą albo że zrobi mi się go żal.

– Może Harry do mnie wydzwania! – Judy wydała stłumiony dźwięk, który mógł być śmiechem.

6

Przecucia, że coś jest nie w porządku, towarzyszyły Maggie przez całą drogę do drzwi Puma. Gdy tylko wyszła ze stacji metra, otoczyła ją gromada wyrostków, tańczyli blisko niej i przezywali ją „małą chinolką”. „Chodź, mała chinolko, zabawimy się”. Wiedziała, że są tylko pozbawionymi celu znużonymi nastolatkami, zbyt bojącymi się kobiet, żeby zaczepiać je pojedynczo, ale nagle przestraszyła się ich zbyt mocno, żeby zaryzykować zrobienie czegokolwiek poza włożeniem rąk do kieszeni, odwróceniem głowy i pójściem prosto przed siebie. Zapach marihuany otaczał chłopców jak chmura. Gdzie jest Pumo? Dlaczego nie odebrał telefonu? „Spójrz na mnie, spójrz na mnie, spójrz na mnie” – błagał jeden z chłopaków. Maggie uniosła podbródek i obrzuciła go tak miażdżącym spojrzeniem, że stanął jak wryty.

Reszta chłopców szła za nią przez prawie kwartał, powarkując i rycząc jak zwierzęta. Zrobiło się bardzo zimno i wiatr palił jej twarz. Latarnie rzucały chorobliwie żółty blask.

Potrzebowała czasu, żeby rozważyć propozycję generała. Nie odrzucił jej bez namysłu, a może wcale. Możliwe, że z czasem generał przystanie na naukę w szkole medycznej w Nowym Jorku, jeśli taka szkoła ją przyjmie. Jeśli zostanie studentką medycyny z własnym pokojem w Washington Heights albo na Brooklynie, jeśli będzie bardziej zajęta niż czterech restauratorów, jeśli Tina zobaczy, że ma własne życie... wtedy nie będzie mógł jej zarzucić, że przysparza mu problemów.

Fantazjowanie o tej przyjemnej możliwości przerwał widok najgorszego jak dotąd znaku, że coś jest nie w porządku. Będąc na początku kwartału, Maggie dostrzegła smugę żółtego światła przy wejściu do Sajgonu i założyła, że to odbicie w tafli szkła albo arkusza wypolerowanego metalu czekającego na wniesienie do holu. Teraz zdała sobie sprawę, że przecież robotnicy skończyli pracę co najmniej pół godziny temu. W tej okolicy nigdy nie zostawiali niczego na zewnątrz na noc.

Gdy zbliżyła się do restauracji, zobaczyła, że drzwi są uchylone na pół cała i światło ze schodów wylewa się na chodnik. To nie była tylko zapowiedź ewentualnych kłopotów. W głowie Maggie rozległ się dźwięk dzwonka alarmowego. Pumo za skarby świata nie zostawiłby otwartych drzwi. Maggie podbiegła ku strużce światła.

Położyła rękę na drzwiach i nagle uświadomiła sobie, że skoro Pumo nie zostawił otwartych drzwi, musiał to zrobić ktoś inny. Nacisnęła brzęczyk domofonu i cofnęła rękę, zanim urządzenie zdążyło wysłać coś więcej niż kropkę alfabetu Morse'a.

Przez chwilę stała przed drzwiami, posapując z niezdecydowania. Przeszła kilka kroków w bok i nacisnęła dzwonek restauracji z myślą, że może jest tam Vinh. Nacisnęła znowu i tym razem przytrzymała przycisk, ale nie doczekała się odpowiedzi. Vinh nie było.

Za rogiem na West Broadway stała budka telefoniczna. Maggie odeszła, żeby wezwać policję. Ale może Pumo po prostu zostawił otwarte drzwi i siedzi na górze, strasznie zdołowany.

A może Dracula wróciła, żeby splądrować mieszkanie. Wspomnienie Puma leżącego na prześcieradle sztywnym od zasychającej krwi przeniosło ją z powrotem pod drzwi. Nacisnęła przycisk i trzymała go dłużej niż ten przy drzwiach restauracji. Nasłuchiwała hałasu dochodzącego z poddasza i ze schodów.

– Patrz, Maggie się przycaiła. Założę się, że kogoś szpieguje.

Spojrzała przez ramię i zobaczyła Perry'ego, swojego przyjaciela z East Village, stojącego tuż za nią z długą czarną tęczką pod pachą. Obok niego Jules krzywił się z miną, która praktycznie mówiła: „Czy to nie straszne, czy to nie zabójcze?”. Najwyraźniej wyszli z biurowca po drugiej stronie Sajgonu, gdzie mieściło się wiele galerii sztuki i gdzie z pewnością chcieli coś sprzedać.

– Pospieszmy z nią – zaproponował Jules. – Wszystko będzie fajniejsze niż wkurzanie się w tych dupkach z galerii. – Perry był Anglikiem i Jules już dawno przyswoił sobie jego akcent.

– Chętnie trochę pospieszuję – powiedział Perry. – Na kogo mamy luknąć? Wroga publicznego? Ernsta Stavra Blofelda? Włoskich postekspresjonistów?

– Nikogo nie szpieguję – powiadomiła ich Maggie. – Po prostu czekam na przyjaciela.

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie poprosić, żeby poszli z nią na górę, ale zbyt dobrze wiedziała, jak Perry zachowa się w mieszkaniu Puma. Będzie się kręcił, przewracać różne rzeczy i wypije cały alkohol, jaki zdoła znaleźć, bezlitośnie przy tym krytykując gust i poglądy polityczne Tiny.

– Masz zabawny sposób czekania – zauważył Perry. – Jakiego przyjaciela? Tego starego zgreda, który w zeszłym roku łąził za nami po monopolowym i wybałuszał gały?

– To nie on, tylko ktoś, kogo zna – odparła Maggie.

– Chodź z nami – powiedział Jules. Był to gest w kierunku ich dawnej przyjaźni. – Odniesiemy obrazy i pokażemy ci świetny nowy klub.

– Nie mogę.

– Nie możesz? – Perry uniósł brew. – Jestem pewien, że nigdy nie zabiliśmy ani jednego azjatyckiego dziecka w żadnej wojnie ani nic. Spadajmy, Jules. – Odwrócił się, a Jules nawet na nią nie spojrział, przechodząc obok.

Maggie patrzyła, jak idą ciemną ulicą w świetle latarni, chulikańsko-królewscy w swoich podartych ubraniach. Wiedziała, że nigdy jej nie wybaczą, że do nich nie dołączyła. Ludzie tacy jak Jules i Perry wiedzieli, że w przeciwieństwie do wszystkich innych tylko oni są przy zdrowych zmysłach, a ona właśnie przekroczyła granicę krainy szaleńców.

Cała ta refleksja zabrała parę sekund. Maggie otworzyła drzwi na całą szerokość i stanęła na progu. Ze szczytu schodów spływała cisza.

Maggie weszła i zamknęła za sobą drzwi. Chwyliła poręcz i powoli, po cichu ruszyła po schodach na górę.

Koko chodził w chwale, jego jarzmo było wygodne i jego ciężar był lekki.

Ponieważ bowiem przez człowieka przyszła śmierć, przez człowieka też dokona się zmartwychwstanie.

Trzeba zapłacić za trzydzieści istnień. Pumo był dziesiąty, i gdyby była z nim kobieta, byłyby jedenaście.

Żadna część zwierzęcia nie została zmartnowana. Dżoker zamknął oczy i spał w talii.

Kiedy Pumo Puma otworzył drzwi i spojrział mu w twarz, wiedział, rozumiał. Anioły prowadziły go tyłem po schodach, anioły cofnęły go do jego wielkiej jarzącej się jaskini. Łzy spłynęły z oczu Koko, bo prawdą było, że Bóg robi wszystko jednocześnie, i jego serce wezbrało dla Puma, który rozumiał, który wzbił się w powietrze, gdy jego dusza wleciała i odplynęła, pozęgłowała do domu.

Oczy, uszy, Karta Słonia w ustach.

Nagle Koko usłyszał gromiące brzęczenie, hałas niecierpliwego świata łaknącego nieśmiertelności, i szybko pociągnął za sznurek, gasząc wszystkie górne światła w pokoju. Jaskinię spowiła ciemność. Koko szybko wyszedł na korytarz i tam też wyłączył światło.

Wrócił do salonu i czekał.

Na zewnątrz samochody ryczały jak wielkie bestie w dżungli. Ojciec pochylił się w jego stronę i powiedział: „Pracuj za szybko, a nigdy nic nie osiągniesz”. Brzęczyk znów hałasował, aż znalazł swój prawdziwy głos i stał się gigantycznym owadem zataczającym wielkie kręgi pomiędzy ścianami. W końcu osiadł na ciebie Puma i złożył swoje duże mocne skrzydła.

Koko podniósł nóż z kanapy i wsunął się w kąt tuż przy wejściu z korytarza do jaskini. Stał się niewidzialny, nieruchomy i cichy. Jego ojciec i przyjazny demon czekali razem z nim, w milczeniu wyrażając aprobatę. Koko wślizgnął się do koszmarnego świata, który znał przez całe życie. Jego kroki sprawiły, że ziemia stała się czarna, a trzydzieścioro dzieci weszło do jaskini i nigdy nie wyszło, i trzech żołnierzy weszło do jaskini i wyszło dwóch. Panowie, jesteście częścią wielkiej maszyny do zabijania. Wreszcie Koko zobaczył zbliżającego się słonia, w szatach z gronostajów i jedwabiu, i Starsza Pani powiedziała: „Panowie, czas znowu zmierzyć się ze słoniem”.

Jego uszy wchłonęły stłumione, prawie bezgłośnie szczęknięcie drzwi, a ciało poczuło lekki ruch powietrza i teraz słyszał, jak ręka zaciska się na poręczy i stopy przenoszą się ze stopnia na stopień z cymś, co dla cywila byłoby najstrasliwszą ostrożnością.

Maggie dotarła do szczytu schodów i od razu zobaczyła, że drzwi na poddasze są otwarte – wyglądało to tak, jakby ktoś łokciem pociągnął je za sobą, gdy wynosił swój łup na zewnątrz. A może nie domknął ich ktoś wchodzący. Dotknęła gałki i pchnęła ją opuszkami palców. Światło z klatki schodowej zalało przedpokój z mnóstwem płaszczki i czapek na haczykach.

Przedpokój zawsze wyglądał tak, jakby Pumo urządzał przyjęcie.

W najgorszym wypadku, pomyślała, znowu go okradziono i trzeba będzie wyciągać go z kolejnego dołka. Intruz już dawno zniknął. Przestąpiła próg, zapaliła światło i ruszyła w głąb krótkiego korytarza. Kiedy dotarła do sypialni, sięgnęła do środka i zapaliła światło. Nic nie zmieniło się od ich nieszczonego poranka. Tina nie zasłał łóżka, co stanowiło pewny znak, że przeżywa kryzys.

Mieszkanie przepelniał jakiś wszechobecny zapach, ale Maggie postanowiła to zbadać dopiero wtedy, gdy sprawdzi, czy nie było włamania albo czy włamywacz, który zostawił otwarte drzwi, nie narobił zbyt wielu szkód. Wyszła z sypialni, żeby zajrzeć do łazienki, gdzie też nie zobaczyła niczego niezwykłego. Poszła do salonu.

Zamarła kilka kroków za progiem. W przyćmionym blasku padającym z korytarza widziała cienistą sylwetkę mężczyzny siedzącego na jednym z krzeseł zwykle stojących wokół stołu. Jej pierwszą myślą było to, że wpadła w pułapkę zastawioną przez działającego z zimną krwią włamywacza, i serce podeszło jej do gardła. Gdy jej oczy wciąż przyzwyczajały się do ciemności, niemal podświadomie rozpoznała, że mężczyzną na krześle jest jej kochanek. Ruszyła gotowa go zbesztać, później się z nim podrożyć, a na koniec go udobruchać. Gdy otworzyła usta, by wypowiedzieć jego imię, w końcu rozpoznała

zalegający w mieszkaniu zapach. Był to zapach krwi. Zrobiła następny niepewny krok i zobaczyła, że pierś Tiny jest pomalowana krwią, a nogi krzesła stoją w szerokiej czerwonej kałuży. Z jego ust wystawało coś białego, jak metka.

Zamiast krzyknąć albo odwrócić się na pięcie, co niemal natychmiast skończyłoby się jej śmiercią, Maggie przesuwała się w prawo, w najciemniejszą część pokoju. Ta czysto odruchowa reakcja nastąpiła jakby bez udziału jej woli, jakby jakaś siła pchnęła ją w bok, żeby wyostać ją z prostokąta światła, który był wejściem z korytarza. Skuliła się pod stołem w kącie pokoju, zbyt przerażona tym, co zobaczyła, i zbyt zaskoczona swoją reakcją, by zrobić cokolwiek poza patrzeniem z tego punktu obserwacyjnego na resztę pokoju.

Strach wyostrzył jej zmysły. W pierwszych sekundach, gdy znalazła się pod stołem, słyszała każdy niuans odgłosów ulicy, szczęście w wołających do siebie głosach, pisk bębna hamulcowego, nawet stukanie laski o chodnik. Na tle tych dźwięków brzmiał miarowy plusk kropli spadających do kałuży wokół stóp Puma. Odgłosem towarzyszył słodki, mdły, klarowny zapach: woń skoncentrowanej rozpaczy.

– Wyjźdź, Dawn – szepnął mężczyzna, a Maggie znów poczuła zapach krwi. – Chcę z tobą porozmawiać.

Kolumna ciemności oderwała się od drzwi i weszła do pokoju. Część światła z korytarza nadała jej kształt drobnego mężczyzny w trochę za dużym ciemnym płaszczu. Twarz była tylko bladą plamą, a włosy musiały mieć równie czarne jak ona, ponieważ były zupełnie niewidoczne na tle ciemności za jego plecami.

Mężczyzna zaskoczył ją, gdy zachichotał.

– Popełniłem błąd. Nie możesz być Dawn. Nie złość się na mnie.

Płynn timercho przebył kolejny jard w głąb pokoju. W dłoni trzymał złowrogi nóż o czarnej rękojeści. Przesunął się kawałek w bok, w cień, i czekał.

Maggie powoli przepęzła pod stołem na rękach i kolanach i przygotowała się do skoku w stronę drzwi.

– Wyjźdź i porozmawiaj ze mną – podjął mężczyzna. – Wszystko ma swój powód i jest powód ku temu. Wiesz, nie jestem wariatem działającym w próżni. Przebyłem tysiące mil, żeby stanąć tu teraz, w środku świata, właśnie tutaj. Ważne, żebyś to zrozumiała. – Zawahał się. – Jestem człowiekiem, który zawsze wie, kiedy coś się wydarzy, i to się wydarzy. Wstaniesz i podejdiesz do mnie. Boisz się. Czujesz krew. Z czegoś, co już wydarzyło się dawno temu, a ty jesteś tutaj i musisz zobaczyć, że to, co się wtedy stało, było częścią ogólnego wzoru i że ty też jesteś w tym wzorze. Baranek zabity jest godzien, godzien. On był wojownikiem, i ja byłem wojownikiem, i zostałem wezwany z powrotem. – Mężczyzna stanął bliżej środka pokoju. – Więc musisz się to stać. Wstań i chodź do mnie.

Gdy mówił, Maggie zsunęła kurtkę z ramion i upuściła ją na podłogę. Cofnęła się wzdłuż stołu, przeczekała się wokół krzesła po drugiej stronie, bardzo powoli i cicho weszła na podwyższenie.

Mężczyzna zaskoczył ją, robiąc krok w jej stronę.

– Wiem, gdzie jesteś. Pod stołem. Mogę podejść i cię wyciągnąć. Nie zrobię tego. Dam ci szansę wyjść z ukrycia. Gdy mi się pokażesz, będziesz mogła odejść. Widzisz, gdzie jestem. W głębi pokoju. Obiecuje, że nie rusze się z miejsca. Chcę zobaczyć twoją twarz, chcę cię poznać.

Maggie widziała, jak przekłada nóż w dłoni. Trzymał szpic palcami, rękojeść zwiślała ku podłodze.

– Oto Słoń – powiedział. – Sprawiedliwość nie istnieje w systemie świata. Uczciwość jest wynalazkiem człowieka. Świat brzydzi się tylko marnotrawstwem, marnotrawstwo jest zakazane, i kiedy marnotrawstwo zostanie wyeliminowane, dozwolona będzie miłość. Oto zdradzam ci tajemnicę: jestem mężem bólesci i kochałem Puma Pumę.

Maggie cofała się z większą ostrożnością. Była bardzo blisko biurka i gdy dotknęła go wyciągniętą do tyłu ręką, zmusiła się do jeszcze wolniejszego poruszania, aż namacała bok glinianej donicy. Kiedyś rósł w niej mały hibiskus, prezent od niej dla Puma; kiedy drzewko umarło z powodu braku światła i inwazji roztoczy w czasie, gdy w kuchni pojawił się problem z robactwem, Pumo wyrzucił je i zachował donicę, obiecując, że postara się o nowe. Od tamtej pory donica stała pusta obok jego biurka.

– Za chwilę się spotkamy. W tej minucie albo w następnej, albo w następnej...

Stał tam, jakieś pięć stóp od niej, jak zawsze przygotowany rzucić nożem w jej plecy. Maggie chwyciła donicę, wstała płynn timercho i uniosła ją nad głowę.

Mężczyzna spojrział przez ramię i już reagował. Maggie zrobiła krok do przodu i opuściła donicę z niedoskonałą celnością. Szłochoła z przerażenia. Zgubił go refleks. Uchylając się, znalazł się wprost pod ciężką donicą, która zderzyła się z bokiem jego głowy. Rozległ się głuchy łoskot, zaraz potem huk donicy pękającej na podłodze i głośny trzask, gdy zabójca Tiny upadł na stolik i przełamał szklany blat na pół jak tafle lodu.

Maggie zeskoczyła z platformy i przemknęła przez pokój, zanim zabójca Puma pozbiierał się z rumowiska. Gwałtownie otworzyła drzwi i rzuciła się na łeb na szyję w dół schodów.

Jakby jej pole widzenia rozszerzyło się do trzystu sześćdziesięciu stopni, widziała swój ogromny cień na ścianie obok siebie i ciemniejszy kształt wypełniający otwór na szczycie schodów. Szybowała, jednak poruszała się z przerażającą powolnością, jakby czas był ograniczony mięśniami. Mężczyzna musiał opuścić nóż, bo nim nie rzucił. Maggie wypadła przez drzwi na ulicę, słysząc dudnienie kroków na schodach.

Znowu szybowała, teraz w stronę hałasu, światła, ludzi. Zupełnie nie czuła zimna.

Tuż przed rogiem West Broadway zaryzykowała spojrzenie przez ramię. Wszystko za nią wydawało się płaskie i sztuczne jak scenografia. Światło wylewało się z otwartych drzwi na chodnik i stapało z kręgiem blasku ulicznej latarni. Kilka osób odwróciło się, żeby na nią spojrzeć, gdy przebiegała. W całym tym świetle i ruchu na Grand Street sunął cień, mężczyzna płynący za nią niewidzialnie, używający innych ludzi jako osłony. Maggie obróciła głowę, z oddechem zamarzającym w gardle, i zrobiła, co w jej mocy, by zwięzić się do małej czarnej linii pędzącej nad chodnikiem.

Biegła, poruszając rękami w cienkich rękawach koszuli, jej kolana urosły się i opadały. „Śpiesz, dziewczyno” – zachęcił ją czarny mężczyzna, bo jej szeroka, gładka twarz nie wyrażała przerażenia. Rozgrzana do czerwoności kłamra wbiła się w jej bok, a gdy zaczęła biec niezgodnie z rytmem oddechu, usłyszała gładki rytmiczny tupot stóp prześladowcy. Zmniejszyła dystans.

Stacja metra znajdowała się przy następnej przecznicy. Pot zalewała jej oczy i kłamra paliła ją w bok, ale nie zwolniła. Chłopcy, którzy wciąż stali na środku chodnika, zobaczyli ją pędzącą w ich stronę i zwariowali.

– Chinolka!

– Kochanie, wróciłaś!

Szeroko uśmiechnięty chłopak w bluzie fity tańczył przed nią, przywoływał ją szerokimi gestami. Na jego piersi podskakiwał złoty łańcuszek z literami dużymi jak jego przednie zęby. Maggie krzyczała, a oni zbliżali się do niej, kiedy jednak dzieliło ich kilka jardów, chłopak zobaczył jej twarz i się cofnął.

– Morderstwo! – krzyknęła. – Zatrzymajcie go!

Nie gubiąc kroku, spływała po schodach, jakby nie podlegała prawom grawitacji. Z góry doścignęły ją krzyki i odgłos czyjegoś upadku. Zanim dotarła na dół, usłyszała wjeżdżający na stację pociąg. Biegła. Na stacji było może piętnaście osób i tyle samo na peronie. Głosy wciąż dochodziły ze szczytu schodów. Pociąg stanął i drzwi otworzyły się z piskiem.

Maggie kluczyła między ludźmi, a gdy dotarła do bramki, udała, że wrzuca żeton, po czym szybko i niepostrzeżenie przemknęła pod nieruchomą poprzeczką.

Kiedy minęła bramkę, zaryzykowała kolejne spojrzenie przez ramię i zobaczyła ścianę ludzi zbliżającą się do pociągu. Szary cień skrył się za mężczyzną w czarnym płaszczu i dostrzegła sugestię uśmiechu, gdy płynął w jej kierunku. Cicho, radośnie zbliżał się do niej. Maggie biegiem pokonała ostatnie kilka metrów do czekającego pociągu.

Wpadła do wagonu i przyskoczyła do najbliższego okna, gdy drzwi się zamknęły. Mężczyzna w czarnym płaszczu właśnie zbliżał się do bramki, a za nim coś innego roztopiło się i popłynęło między mężczyznami i kobietami czekającymi na peronie, uśmiechnęło się do niej i tańczyło, prawie niewidzialne, widząc ją, choć niewidoczną, gdy pociąg odjeżdżał ze stacji.

Maggie opadła na siedzenie. Po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że drży.

– Zabił go – powiedziała do siebie.

Gdy powtórzyła te słowa, kilka osób wokół niej wstało i przesunęło się w głąb wagonu. Miała wrażenie, że ścigający ją na stacji morderca kochanka nie był człowiekiem – był nadprzyrodzoną siłą, szczerzącą zęby złą istotą, która może zmieniać kształt i stawać się niewidzialna. Jedynymi dowodami jego człowieczeństwa było to, że padł, uderzony donicą, i rozbił szklany stolik Puma. Wezbrała w niej fala młodości i niedowierzania. Przeszła szlochać i otarła oczy. Pochyliła się i obejrzała buty. Nie były poplamione krwią, nawet podeszwy. Trzęsąc się, przeplakała bezgłośnie całą drogę na przedmieścia. Łzy spływały jej po twarzy, gdy przesiadała się do drugiego pociągu. Czuła się jak zbite zwierzę wracające do domu. Od czasu do czasu podskakiwała z krzykiem, myśląc, że dostrzegła szalonego mrocznego zabójcę Tyny za plecami stojących przed nią, trzymających się uchwytyw ludzi, ale gdy rozstępowali się i wysiadali, nikogo tam nie było – znowu się roztopiał.

Na Ulicy Sto Dwudziestej Piątej zbiegła po schodach, krzyżując ręce na piersi, żeby się ogrzać. Pomyślała, że jej łzy zamarzną i zostanie uwięziona w lodowej masce na twarzy.

Otworzyła dwuskrzydłowe drzwi kościoła generała i jak najciszej wślizgnęła się do środka. Natychmiast otoczyły ją ciepło i zapach palących się świec. Omal nie upadła. Wierni siedzieli na krzesłach; ona stała z tyłu, drżąc i ściskając ramiona, niepewna, co zrobić. Nie była nawet pewna, dlaczego wróciła

do jasnego kościółka. Łzy spływały jej po twarzy. Generał w końcu ją dostrzegł i uniósł brew w życzliwym, pytającym spojrzeniu, w którym nie brakowało również zaniepokojenia. Nie wie, pomyślała, obejmując się rękami, wciąż drżąc i płacząc bezgłośnie. Skąd miałyby wiedzieć? Wtedy zdała sobie sprawę, że Tina Pumo wciąż siedzi martwy w swoim mieszkaniu i że nie wie o tym nikt oprócz niej i jego mordercy. Musi zadzwonić na policję.

Nie wiedząc jeszcze o tych wydarzeniach, które wkrótce sprowadzą go z powrotem do Nowego Jorku, Michael Poole po raz drugi tego dnia wyszedł z Bang Luk, uliczki, przy której Tim Underhill mieszkał nad targiem kwiatowym, i skręcił na północ w Charoen Krung Road. Minęło w pół do pierwszej w nocy. Na ulicach panował tłok większy niż wcześniej i w normalnych okolicznościach nawet zapalony spacerowicz jak on bez wątpienia podszedłby do krawężnika, uniósł rękę i wsiadł do pierwszego pojazdu, który by się zatrzymał. Upał nie odpuścił, do hotelu dzieliły go dwie albo trzy mile, a Bangkok to nie miasto na długie spacerowicz. Ale okoliczności nie były normalne i doktor Poole nie brał pod uwagę zamykania się w taksówce na czas podróży powrotnej. Tak czy inaczej, nie śpieszyło mu się do łóżka – wiedział, że nie będzie mógł zasnąć. Właśnie skończył nieco ponad siedmiogodzinne spotkanie z Timothyem Underhillem i potrzebował czasu zarówno na myślenie, jak i na bezmyślny ruch. W zasadzie niewiele się wydarzyło w ciągu tych siedmiu godzin: dwaj mężczyźni rozmawiali przy drinkach na tarasie; wciąż rozmawiając, pojechali tuk-tukiem do Złotego Smoka przy Sukhumvit Road i jedli wyborne chińskie dania, kontynuując rozmowę; innym tuk-tukiem pojechali na Bang Luk, poszli do małych pokoi nad sklepem Jimmy Siam i rozmawiali, rozmawiali, rozmawiali. Michael Poole wciąż słyszał w uszach głos Tima Underhilla – czuł się tak, jakby szedł w rytmie wypowiedzianych przez niego zdań.

Underhill był cudownym człowiekiem. Był cudownym człowiekiem z okropnym życiem, cudownym człowiekiem o okropnych nawykach. Był okropny i cudowny. (W ciągu tych siedmiu godzin Michael wypił więcej, niż miał w zwyczaju; alkohol rozgrał go i rozkojarzył). Dawny towarzysz wzruszył go, wstrząsnął nim, nawet w pewnym sensie wzbudził jego nabożny podziw – tym, co zaryzykował i co przewyciężył. Co więcej, Underhill go przekonał. Stało się dlań oślepiająco jasne, że Underhill to nie Koko. Cała późniejsza rozmowa potwierdziła pierwsze wrażenie, które Poole odniósł po wysłuchaniu pierwszych słów Underhilla na tarasie.

W całym swoim burzliwym życiu Tim Underhill właściwie nigdy nie rozstawał się z myślą o Koko, nie przestawał dumać i zastanawiać się nad tą postacią anarchicznej zemsty – w tym względzie nie tylko wyprzedził Harry'ego Beevera, ale także dowiódł płytkości jego metod. Poole siedł na północ w ciemnym, parującym mieście, otoczony przez śpieszących się, obojętnych mężczyzn, i czuł, że całkowicie stoi po stronie Underhilla. Osem godzin wcześniej przekroczył rozklekotany most i poczuł, że wchodzi w nowy układ ze swoją pracą, z małżeństwem, a przede wszystkim ze śmiercią. Było prawie tak, jakby w końcu spojrzął na śmierć z wystarczającym szacunkiem, żeby ją zrozumieć. Stał przed nią z szeroko otwartą duszą, w bardzo nielekarski sposób. Respekt, strach były konieczne – wszystkie takie chwile entuzjastycznego zrozumienia mijają, pozostawiając po sobie jedynie rosę, ale Poole pamiętał ostry, stony, żywy smak rzeczywistości, a także wcześniejszą pokorę. Tym, co przekonało go do Tima Underhilla, było wrażenie, że przez lata, książka po książce, naprawdę wspiął się na balustradę i przekroczył strumień. Szeroko otworzył swoją duszę. Nie szczędził starań, by wlecieć, i Koko praktycznie dał mu skrzydła.

Underhill szybował najdalej, jak mógł, i jeśli się rozbił, twarde lądowanie mogło być jedną z konsekwencji lotu. Celem całego tego odurzania się alkoholem i narkotykami, celem wszystkich jego ekscesów wcale nie było wspomnienie się w locie – jak z miejsca założyłyby Beever i jemu podobni – wszystko to miało odretwić i rozproszyć człowieka, gdy dotarł najdalej, jak mógł, i mimo to zawiódł. Underhill dotarł dalej niż doktor Poole, który wykorzystał swój umysł, pamięć i miłość do Stacy Talbot, owinięte niczym warstwa bandaży wokół swej dawnej miłości do Robbiego: Underhill wykorzystał całą wyobraźnię, a wyobraźnia jest wszystkim.

Te kwestie, i znacznie więcej, kotłowały się na tarasie podczas kolacji w hałaśliwej, jasnej, ogromnej chińskiej restauracji, a później w niewiarygodnie zabałaganionym mieszkaniu Underhilla. Prawie nic nie zostało wyjaśnione po kolei, a nieszczęśliwe szczegóły z życia autora często odciągały uwagę Poole'a od Koko. Życie Tima w zarysie składało się z serii lawin, obecnie jednak żył spokojnie i starał się znowu pracować. „Jakbym na nowo uczył się chodzić” – powiedział Poole'owi. „Zatoczyłem się

i upadłem. Wszystkie mięśnie się skurczyły, nic nie działało prawidłowo. Przez osiem miesięcy, jeśli w ciągu sześciu godzin pracy udało mi się napisać jeden akapit, uważałem ten dzień za dobry”.

Napisał dziwną nowelę zatytułowaną *Błękitna róża*. Napisał jeszcze dziwniejszą, *Drzewo jałowca*. Teraz pisał dialogi ze sobą, pytania i odpowiedzi, i był w połowie kolejnej powieści. Dwukrotnie widział dziewczynkę biegnącą ulicą w jego kierunku, zakrwawioną, krzyczącą niezwykłym głosem. Dziewczynka jest częścią odpowiedzi, powiedział, dlatego ją widział – dziewczynka zapowiada bliskość rzeczy ostatecznych. Koko był jego sposobem na powrót do la Thuc, podobnie jak wizja dziewczynki biegnącej w panice po ulicy miasta i jak wszystko, co pisał.

„Najgorsze ze wszystkiego jest to, że Koko to zwyrodniały zwyrodnialec, Victor Spitalny” – powiedział Underhill.

– Rozpracowałem to wszystko – powiedział w Złotym Smoku. – Ja zrobiłem jeden z tych numerów Koko, ty zrobiłeś jeden i myślę, że Conor Linklater zrobił jeden...

– Tak – przerwał mu Michael. – Ja też, masz rację.

– Bez żartów. Myślisz, że nie było tego po tobie widać? Nie jesteś typem okrutnika, Michael. Wykombinowałem, że to może być tylko Spitalny. O ile nie ty, oczywiście, albo Dengler, ale obaj byliście równie mało prawdopodobnymi kandydatami. Przyjechałem do Bangkoku, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o ostatnich dniach Denglera, bo myślałem, że może dzięki temu znów zacznę pisać. A potem, mój przyjacielu, rozpałało się piekło. Dziennikarze zaczęli umierać. Jak zauważyliście z Beeverssem.

– Co masz na myśli, mówiąc o dziennikarzach? – zapytał niewinnie Michael.

Underhill przez chwilę wpatrywał się w niego z otwartymi ustami, po czym wybuchnął śmiechem.

Poole dotarł do szerokiego, zagmatwanego skrzyżowania Charoen Krung Road z Surawong Road i przez moment stał nieruchomo w gęstej upalnej nocy. Korzystając z zasobów kilku prowincjonalnych bibliotek i księgarni w Bangkoku, Underhill odkrył to, czego nie odkrył Harry Beevers, mający do dyspozycji asystenta i rozległy system biblioteczny. Zaparło mu dech na myśl, że Beevers przeoczył powiązanie między ofiarami, a nawet mu zaprzeczał.

Ponieważ to powiązanie narażało ich wszystkich na niebezpieczeństwo. Underhill był pewny, że Spitalny tropił go w Singapurze i Bangkoku.

Dostrzegał tylko mignięcia. Miał wrażenie, że jest obserwowany i śledzony. W Złotym Smoku powiedział Michaelowi: „Kilka tygodni po znalezieniu zwłok w Singapurze wyszedłem na ulicę i ogarnęło mnie uczucie, że coś naprawdę złego, ale coś, co należy do mnie, ukrywa się gdzieś i mnie obserwuje. Jakbym miał chorego, złego brata, który wrócił po długiej nieobecności i zamierza obrócić moje życie w piekło, zanim ponownie odejdzie. Rozejrzałem się, nie zobaczyłem jednak niczego poza sprzedawcami kwiatów, i gdy tylko ruszyłem z miejsca, uczucie przeminęło”. A w swoim zabałaganionym pokoju, z maskami demonów przybitymi do ściany, brudnym lustrem i słomką z kości słoniowej na stole, powiedział: „Pamiętasz, jak opowiadałem o tym, jak wyszedłem na zewnątrz i poczułem, że wróciło po mnie coś złego? Oczywiście pomyślałem, że to Spitalny. Ale nic się nie stało. Po prostu się rozplynął. Może dwa dni później, kilka dni po śmierci Francuzów, to samo uczucie opadło mnie na Phat Pong Road. Tym razem było znacznie silniejsze. Wiedziałem, że ktoś tam jest. Odwróciłem się, prawie pewien, że jest tuż za mną i że go zobaczę. Określiłem się na pięcie. Nie było go za mną – nie było nawet za ludźmi idącymi za mną. Nigdzie nie widziałem. Ale wiesz, widziałem coś dziwnego. Trudno ująć to w słowa, nawet mnie, ale gdzieś daleko na ulicy coś jakby cień dryfowało tam i z powrotem za ludźmi, którzy byli znacznie lepiej widoczni, nie, nie dryfowało, ponieważ było o wiele bardziej ożywione, tańczyło w tę i w tę za tymi wszystkimi ludźmi, uśmiechając się do mnie. Mignął mi ktoś poruszający się beczelnie szybko, ktoś pękający ze złośliwej radości... a potem zniknął. Prawie zymiotowałem”.

– I co chcesz teraz zrobić? – zapytał Poole. – Wrócisz do Ameryki? Jestem niemal moralnie zobowiązany powiadomić Conora i Beeversa, że cię spotkałem, ale nie wiem, co o tym sądzisz.

– Rób, co chcesz – odparł Underhill. – Chociaż czuję, że masz zamiar wywlec mnie za włosy z mojej jaskini, a nie jestem pewien, czy chcę ją opuścić.

– Więc tego nie rób!

– Ale może zdołamy wzajemnie sobie pomóc.

– Mogę zobaczyć się z tobą jutro?

– Możesz robić, co chcesz – odparł Underhill.

Przez ostatnie dwieście jardów dzielące go od hotelu Michael Poole zastanawiał się, co by zrobił, gdyby szaleniec tańczył jak ruchliwy cień na gorącej, zatłoczonej ulicy za jego plecami. Czy miałby wizję, jak Underhill? Odwróciłby się i próbował go złapać? Victor Spitalny, zwyrodniały zwyrodnialec, zmienił wszystko. Chwilę później Michael zdał sobie sprawę, że Harry Beevers może jednak będzie

miął swój miniseriał – Spitalny dodał kilka barwnych nowych wątków do jego historii. Ale czy po to wyruszył z Westerholmu na drugi koniec świata?

Było to jedno z najłatwiejszych pytań, jakie kiedykolwiek sobie zadał, i gdy wchodził po schodach hotelu, postanowił przez jakiś czas nie ujawniać, że znalazł Tima Underhilla. Da sobie dzień, zanim pogada z Conorem i wezwie Beeversa. W każdym razie, mijając biurko, zobaczył, że Conor jeszcze nie wrócił. Miał nadzieję, że dobrze się bawi.

Część piąta

Morze zapomnienia

Robbie, z latarnią

1

Dwa dni później Poole miał wrażenie, że świat wywrócił się na nice. Nagłość wypadków i pośpiech przygotowań zaparły mu dech w piersi. Niosąc dwie butelki piwa „Singha” do stolika w barze na lotnisku, do patrzącego na niego i mrugającego Conora, w dalszym ciągu nie był pewien, jak ma to wszystko rozumieć.

Underhill zgodził się lecieć z nimi. Spojrzenie Conora, gdy Poole szedł ku niemu przez zatłoczony bar dla pasażerów, wyrażało narastające wątpliwości, czy pisarz zdąży w porę na lotnisko. Conor nic nie powiedział, gdy Michael postawił piwo i zajął miejsce obok niego. Pochylił się, jakby chciał obejrzeć podłogę. Wciąż był błądy z szoku spowodowanego tym, co wydarzyło się w Nowym Jorku, podczas gdy oni w pojedynkę wędrowali po Bangkoku. Wyglądał tak, jakby właśnie zbudził go głośny hałas.

Michael zadowolił się łykiem mocnego, zimnego gorzkiego tajskiego piwa. Wiedział, że coś przytrafiło się Conorowi dwie noce wcześniej, on jednak nie chciał o tym rozmawiać. Miał taką minę, jakby przypominał sobie niektóre zdania Underhilla z jego dialogów z samym sobą. Poole domyślał się, że te pytania i odpowiedzi były sposobem na zapuszczenie od dawna nieużywanego silnika: Underhill ponownie uczył się pracować. W trakcie opowieści o sobie opisał to, co nazywał uczuciem Pana. Według niego miało ono związek z „bliskością rzeczy ostatecznych”.

– O czym myślisz, Mikey? – zapytał Conor.

Poole tylko pokręcił głową.

– Rozprostuję nogi. – Conor zerwał się i poszedł ku bramkom, przez które przechodzili pasażerowie na międzynarodowe nocne loty.

Zostało pięćdziesiąt minut do planowego startu, opóźnionego o godzinę, jak poinformował ich pracownik linii lotniczych. Conor kołysał się na piętach i przypatrywał ludziom przechodzącym przez bramkę, aż w końcu, zdenerwowany nieobecnością Underhilla, odwrócił się i odbył szybką wycieczkę przed witrynami sklepów z upominkami. Przy wejściu do sklepu z alkoholem wolnocłowym spojrzął na zegarek, jeszcze raz rzucił okiem na nowo przybyłych i wskoczył do środka.

Kilka minut później wyłonił się z żółtą foliową torbą i opadł na miejsce obok Poole’a.

– Myślałem, że jeśli tam wejdem, to się zjawią.

Conor ze smutkiem przyglądał się Tajom, Amerykanom, Japończykom i Europejczykom wchodzącym do hali odlotów międzynarodowych.

– Miejmy nadzieję, że Beevers zdążył na samolot.

Harry Beevers miał lecieć z Tajpej do Tokio, przesiąść się do samolotu Japan Airlines i wylądować na lotnisku w San Francisco godzinę po nich. Stamtąd wszyscy razem mieli lecieć do Nowego Jorku. Natychmiastową reakcją Beevers na wiadomość o śmierci Tyny była uwaga, że dupek by żył, gdyby pojechał z nimi, zamiast uganiać się za swoją dziewczyną. Zadawał krótkie niecierpliwe pytania, kiedy będą w San Francisco i dlaczego nie mogą czekać na niego w Bangkoku. Był wkurzony, uważał, że to niesprawiedliwe, że oni znaleźli Tima Underhilla: on wpadł na pomysł, on powinien go znaleźć. „Dopił-nujcie, żeby wsiadł do samolotu” – powiedział. „I nie dajcie mu się okłamać”.

Poole zaznaczył, że Underhill nie mógł zabić Tyny Puma. „Tina mieszkała w SoHo” – powiedział Beevers. „Otwórz oczy, dobrze? Działał w branży restauracyjnej. Jak myślisz, ilu dilerów koki mieszka w SoHo? Nie wszystko jest takie, na jakie wygląda”.

Conor dopił piwo, poszedł przyjrzeć się napływającym pasażerom i wrócił. W tym czasie wszystkie krzesła w hali odlotów były już zajęte, więc nowo przybyli sadowili się na podłodze albo snuli się po szerokich alejkach przed sklepami wolnocłowymi. Hol zaczął przypominać sam Bangkok: ludzie sie-

dzieli na krzesłach i leżeli na podłodze, powietrze wydawało się gorące i zadymione, zewsząd niosły się głosy „Kupa kupa kopa kopa!”.

Po długim trzeszczącym komunikacie po tajsku z głośnika – Poole miał wrażenie, że usłyszał słowa „San Francisco” – Conor ponownie wstał, żeby sprawdzić tablicę odlotów. Ich lot znów został przełożony, start przewidywano za pięćdziesiąt pięć minut. Jeśli nie będzie dalszego opóźnienia, wylądują w San Francisco w tym samym czasie co Beevers, który nigdy im nie wybaczy, że dali się wywieść w pole. Będzie nalegać na natychmiastowy powrót do Bangkoku. Urządzi pościg po ulicach, z policyjnymi syrenami i bieganiami po dachach, zakończony triumfalnym zakuciem złoczyńcy w kajdanki oraz zdumiewającym wyjaśnieniem, w jaki sposób Underhill zabił dziennikarzy i zaaranżował morderstwo Puma. Beevers widział rzeczywistość jak film pełen pościgów samochodowych i ze sztampowym zakończeniem.

Poole był bardzo zmęczony. Zeszłej nocy niewiele spał. Zadzwoił do Judy, która zwięźle przekazała mu wiadomość o śmierci Tiny.

– Ktokolwiek to zrobił, prawdopodobnie zabił również mężczyznę w bibliotece. Och, jeszcze o tym nie słyszałeś? – Nie mogą ukryć satysfakcji, przedstawiła okoliczności śmierci doktora Mayer-Halla.

– Dlaczego myślą, że to ten sam facet?

– Dwie Chinki widziały Tinę w magazynie kilka minut przed odkryciem ciała. Rozpoznały go na zdjęciu, kiedy dziś zobaczyły poranne gazety. Wszystko jest w wiadomościach. Tina był podejrzanym, którego szukali, kobiety widziały go, gdy wychodził z magazynu. To oczywiste, co się stało.

– Co się stało?

– Tina zgubił się w magazynie, Bóg jeden wie, co robił w bibliotece, i przypadkiem widział, jak ten szaleniec zabija bibliotekarza. Uciekł, ale zabójca wytrpił go i zabił. To oczywiste. – Umilkła na chwilę. – Przykro mi, że skracam ci zabawę.

Zapytał, czy nadal odbiera anonimowe telefony.

– Ostatnio mówił, że nie ma substytutu masła czy coś takiego. Kasuję nagrania, gdy tylko kończą swoją kwestię. W dzieciństwie ktoś od rana do wieczora nabijał mu głowę bzdurami. Założę się, że był maltretowany.

Niedługo później zakończyli rozmowę.

Michael Poole przez chwilę widział przed sobą Victora Spitalny'ego: drobny mężczyzna o spadzi-
stych ramionach, ciemne włosy, ciemne rozbiegane oczy pod wąskim czołem w wdowim szpicem, wilgotne drobne usta i spiczasty podbródek. W wieku osiemnastu lat Victor Spitalny wznosił wokół siebie mur psychiczny. Gdy widział, że się do niego zbliżasz, przystawał i czekał, aż odejdziesz na tyle daleko, żeby znów poczuł się bezpieczny. Prawdopodobnie postanowił kogoś zabić i zdezerterować wkrótce po wysłuchaniu opowieści Tima Underhilla o uciekającym piechurze.

Być może z powodu czegoś, co powiedziała mu żona, Poole po raz pierwszy pomyślał, że ciekawie byłoby jechać do Milwaukee i zobaczyć, gdzie dorastał Victor Spitalny.

Poza tym Milwaukee było Monroe w stanie Illinois, gdzie Underhill osadził akcję swojej powieści, w której Hala Esterhaza niszczy jego własne przeznaczenie. Jeśli Underhill zjawi się na lotnisku, może zechce wziąć udział w tej fantastycznej podróży i przyjrzeć się dzieciństwu jednej ze swoich postaci.

Nagle usłyszał sapanie Conora i chwilę później wszystko to wyleciało mu z głowy. Tim Underhill biegł w ich stronę, niosąc pod pachą pudełko przewiązane sznurkiem, w jednej ręce skórzaną torbę, a w drugiej walizkę ze starą maszyną do pisania i foliową reklamówkę. Wokół niego łopotała luźna marynarka z kory. Wyglądał zaskakująco inaczej – w następnej chwili Michael zrozumiał, że ściął włosy.

– Udało ci się – powiedział.

– Dopóki nie skończę książki, będzie brakować mi kasy – wysapał Underhill. – Czy któryś z panów mógłby postawić mi colę?

Conor zerwał się i podszedł do baru.

2

To wyglądało jak parodia ich podróży w tamtą stronę – Tim Underhill na miejscu przy oknie zamiast Harry'ego Beevers, Conor w środku, Michael przy przejściu w samolocie pełnym turystów. Michael tęsknił za dołeczkami i lśnącymi włosami Pun Yin: te linie były amerykańskie, wysokie stewardesy miały profesjonalnie roztargnione miny. Pozostali pasażerowie nie byli pediatrami. Kabinę zapełniali

przede wszystkim młodzi ludzie podzieleni na dwie kategorie: pracownicy międzynarodowych korporacji, pogrążeni w lekturze Megatrendów i Jednominutowego menedżera, oraz małżonkowie z dziećmi lub bez dzieci, ubrani w dzinsy i koszule. Michael w ich wieku czytałby Hermanna Hessego i Carlosa Castanedę – ich grube książki, które wydobyli z plecaków, wyszły spod pióra Judith Krantz i Sidney Sheldon albo dam o trzech imionach, a na okładkach widniały mgliste zamki i tęsknie patrzące w dal jednorozce. W 1983 roku bohema, jeśli reprezentowali ją ci ludzie, niezbyt się znała na literaturze. I dobrze, pomyślał. Sam też czytał samolotowe książki. Conor w ogóle nie czytał. Underhill położył na swojej tacce opasył tom, który wyglądał tak, jakby przed nim czytały go trzy osoby.

Michael wyjął z torby podręcznej *Ambasadorów*, powieść Henry’ego Jamesa wciśniętą mu przez Judy. W Westerholmie cieszył się z niej, ale gdy tylko wziął książkę do ręki, zdał sobie sprawę, że nie ma ochoty czytać. Teraz, kiedy byli już w powietrzu, nie potrafił wyobrazić sobie tego, do czego wracał.

Niebo za małymi oknami było czarne, urozmaicone agresywnymi, nieziemskimi smugami czerwieni i fioletu. Takie niebo było odpowiednie: wciągało ich w świat Koko, gdzie żaden gest nie mógł być zwyczajny, gdzie anioły śpiewały, a demony uciekały w głąb długich korytarzy.

Conor zapytał stewardesę, czy puszcza film.

– Gdy tylko uprzątniemy po obiedzie. *Nigdy nie mów nigdy*, nowy film o Jamesie Bondzie. – Stewardesa zrobiła urażoną minę, gdy Conor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To przez naszego znajomego – wyjaśnił jej Poole. Nie miał ochoty nazywać Beeversa przyjacielem, nawet gdy mówił do stewardesy, która go nigdy nie pozna.

– Hej... – rzucił kpiąco Conor. – Jestem detektywem z wydziału zabójstw w Nowym Jorku, jestem grubą rybą, jestem następnym dwa zera siedem.

– Pański przyjaciel jest detektywem z wydziału zabójstw w Nowym Jorku? – zapytała dziewczyna. – Ostatnio musi mieć pełne ręce roboty. Parę tygodni temu na JFK zadżgano faceta. – Spozrzęła, że nagle jej słowa przykuły ich uwagę, i dodała: – Jakiegoś kombinatora, który latał naszymi liniami. Moja przyjaciółka często obsługuje pierwszą klasę na trasie San Francisco-Nowy Jork, i powiedziała, że był regularnym pasażerem. – Umilkła. – Myślę, że był prawdziwym palantem. – Kolejna pauza. – Gazety nazywały go yuppie, ale tylko dlatego, że był młodym facetem z mnóstwem pieniędzy.

– Co to jest yuppie? – zapytał Underhill.

– Młody facet z mnóstwem pieniędzy – wyjaśnił Poole.

– Dziewczyna w szarym flanelowym garniturze i reebokach – dodał Conor.

– Co to są reeboki? – zapytał Underhill.

– Zginął na JFK po tym, jak przyleciał samolotem z San Francisco? – zapytał Poole.

Stewardesa skinęła głową. Była wysoką blondynką z imieniem Marnie na plakietce i oczami o przejętym, żartobliwym spojrzeniu.

– Moja przyjaciółka Lisa widywała go kilka razy w miesiącu. Trzymałyśmy się razem i robiłyśmy różne szalone rzeczy, ale w zeszłym roku przeprowadziła się do Nowego Jorku i teraz rozmawiamy tylko przez telefon. Ale powiedziała mi o tym wszystko. – Obrzuciła Conora zaciekawionym spojrzeniem. – Mogę panu coś powiedzieć? Chcę panu coś powiedzieć.

Conor skinął głową. Marnie pochyliła się i szepnęła mu do ucha.

Poole usłyszał, że Conor prawie zachłysnął się ze zdumienia, po czym parsknął śmiechem tak głośno, że siedzący przed nimi ludzie przerwali rozmowę.

– Do zobaczenia później – powiedziała Marnie i pchnęła wózek wzdłuż przejścia.

– O co chodziło? – spytał Michael.

Conor zacerwienił się po korzonki włosów. Tim Underhill spojrział na Poole’a z uśmiechem jaszczurki i w tej chwili upodobił się do Williama Burroughsa, bardzo mądry i suchy niczym pustynia.

– Nic.

– Leci na ciebie?

– Niezupenie. Daj spokój.

– Stara dobra Marnie – mruknął Underhill.

– Zmieńcie temat. Opuśćcie.

– Dobra, posłuchaj tego – powiedział Michael. – Pasażer samolotu z San Francisco został zabity po wylądowaniu w Nowym Jorku. Szpitalny mógł wylądować w San Francisco, jak my, i stamtąd polecieć do Nowego Jorku, jak my.

– Naciągana teoria – skomentował Underhill. – Ale bardzo interesująca. Jak miała na imię przyjaciółka stewardesy? Ta, która znała denata?

– Lisa – odparł Conor, wciąż zarumieniony. – Zastanawiam się, czy Lisa zauważyła, że ktoś rozmawiał z tym facetem.

Na początku *Nigdy nie mów nigdy* James Bond został wysłany do kliniki. Co dziesięć minut ktoś nowy próbował go zabić. Ładne pielęgniarki chodziły z nim do łóżka. Piękna kobieta zdjęła węża z szyi i wrzuciła go przez okno do samochodu.

Kiedy Marnie wróciła, Poole zapytał:

– Jak nazywa się pani przyjaciółka Lisa?

– Majo. Jak hrabstwo w Irlandii. Jak w Hellman's.

Teoria była naciągana, ale Bangkok również. Podobnie jak Westerholm. Życie generalnie było naciągane.

– Wiedzieliście, że w Bangkoku można dać facetowi jakieś sześćdziesiąt dolców, zejść do piwnicy i zobaczyć, jak facet zabija dziewczynę? – mówił Underhill. – Najpierw ją bije. Później ją zabija. Patrzysz, jak umiera, i wracasz do domu.

Conor zdjął słuchawki i wlepił w niego wzrok.

– Przypuszczam, że wiesz, o czym mówisz.

– Co, byłeś tam?

Conor milczał.

– A ty? – zapytał w końcu.

Underhill pokręcił głową.

– Nie ściemniaj – powiedział Conor.

– Nigdy. Tylko o tym słyszałem.

– Nie okłamuj mnie, stary.

– Nie kłamie.

Conor zmarszczył brwi.

– Mam wrażenie, że spotkałeś kilku interesujących ludzi – stwierdził Underhill. – Chcę wam coś powiedzieć.

3

Jak zmarł Dengler (2):

Musisz zobaczyć kapitana Batchittarayana, musisz zobaczyć jego biurko, jego biuro, jego twarz...

Wszystko było twarde, podziobane, podejrzane – wszystko pachniało śmiercią i lizolem. Jedna żarówka w kloszu z matowego metalu początkowo świeciła na jego schludne brązowe dłonie na porośniętym pustym metalowym blacie biurka; później, jakby sama z siebie, uniosła się, rażąc mnie w oczy.

Tak, to jego ludzie tamtego dnia zareagowali na prawie-zamieszki, tak to nazwali, „prawie-zamieszki” w rejonie Patpongu, to on, wówczas sierżant Batchittarayan, nadzorował transport zmasakrowanego ciała do miejskiej kostnicy. To on wyciągnął nieśmiertelniki z papki na piersi mężczyzny. To napawało obrzydzeniem: to było obrzydliwe, a wspomnienie zwłok białego Amerykanina wciąż prześlągnięte smutkiem. I człowiek przed nim był obrzydliwy ze względu na związek ze sprawą i posiadanie tajemnicy.

Byli inni – inni Amerykanie, którym odbijało na urlopie. Dwa lata przed śmiercią starszego szeregowego Denglera sierżant Walter Khoffi zarabiał kilku klientów baru Sex-Sex, po czym wyszedł na ulicę i zabił naganiacza salonu masażu, a cichy chłopak z Oklahomy, cytujący *Biblię* Marvin Springwater, zadźgał nożem trzech małych chłopców, zanim został rozjechany na Sukhumvit Road.

Niesmak oficera miał więc pewne uzasadnienie.

Interesowało go, czy ktoś wie o dziecku. Dziecko istniało, ale nigdy nie zostało znalezione ani zidentyfikowane.

Nie pytaliście o dziecko?

Pytania o dziecko wzbudziły zainteresowanie kapitana.

Na szczęście dziewczynka krzyczała, to nieznanne dziecko. Dwaj mężczyźni byli z nią w wąskiej uliczce. Jej krzyki ściągnęły na nich uwagę. Nie przestała krzyczeć, kiedy wypadła z zaułka.

Nikt nie znał dziewczynki. Była obca. Tego należało się spodziewać, Patpong jest przeciwieństwem osiedla mieszkaniowego. Uzgodniono jednak dwa punkty. Nie była barmanką ani pracownicą salonu masażu – to było jasne dla wszystkich, którzy widzieli ją, gdy wyłoniła się z zaułka i z krzykiem biegła ulicą. I nie była Tajką. Może była Kambodżanką, Chinką albo Wietnamką.

Nie przypuszczano, żeby młodzi żołnierze mieli o tym jakieś pojęcie. Przypuszczano, że dla młodych żołnierzy wszystkie młode Azjatki wyglądają podobnie.

I tak oto tłum mężczyzn, którzy tego popołudnia przebywali na tym szczególnym odcinku Phat Pong Road, rzucił się na amerykańskiego żołnierza – rzucił się na obu – i jeden uciekł, a drugi został rozszarpany.

Czy wiesz, kto był niewinny? – zapytał kapitan. Dziewczynka była niewinna. I tłum był niewinny.

Zatem jeden żołnierz padł ofiarą niewinnego tłumy. Albo obaj. Świadkowie wypowiadali się najasno. Świadkowie widzieli tylko biegnącą dziewczynkę, oczywiście nie brali udziału w napaści.

Tysiąc lat temu ta historia stałaby się wielkim eposem (powiedział kapitan). Niewinna dziewczynka, jej napastnik rozszarpany na kawałki przez sprawiedliwy tłum. Cztery lata temu stałaby się legendą opowiadaną w pieśni i każde dziecko w południowej Tajlandii znałoby tę pieśń. Znikająca dziewczynka – mogłaby zniknąć w legendzie. Teraz nie ma o niej nawet powieści, nawet rock'n'rollowej piosenki, nawet kreskówki.

* * *

Miesiąc przed rozmową z kapitanem Timothy Underhill stał na Phat Pong Road i ujrzał dziewczynkę biegnącą środkiem ulicy w jego stronę. Od mniej więcej dziewięciu tygodni był zupełnie czysty. Próbował pisać – znów powieść, wreszcie, powieść o czymś, co wciąż ożywało w jego umyśle, o chłopcu wychowywanym w szopie za swoim domem jak zwierzę. Był trzeźwy od trzech miesięcy. Słyszał krzyki, które brzmiały tak, jakby dziewczynka miała w gardle mikrofon. Widział jej zakrwawione dłonie i zbryzgane krwią włosy. Biegła ku niemu z wyciągniętymi rękami i otwartymi ustami. Nikt poza nim jej nie widział.

Underhill płakał na chodniku, niezauważony przez przepychających się wokół niego mężczyzn. Znowu był tam, żywy wewnątrz siebie.

„Wróciłem do domu i napisałem opowiadanie *Błękitna róża* – powiedział Poole'owi. „Zajęło to sześć tygodni. Później napisałem opowiadanie tej samej długości zatytułowane *Drzewo jałowca*. Zajęło to miesiąc. Od tamtej pory piszę”.

„Naprawdę myślałeś, że spóźnię się na samolot?”

„Po tym, jak ją zobaczyłem, rozumiałem, że muszę zobaczyć wszystko – muszę śledzić rozwój opowieści. Wiedziałem, że dziewczynka więcej do mnie nie przyjdzie. Przyjdiesz ty albo on, lecz nie ona. Nie wiedziałem, że czekam na ciebie lub na Koko, ale właśnie to robiłem”.

4

Rozpoczął się kolejny film, ale Poole zamknął oczy, nim tytuł pojawił się na ekranie.

Jechał samochodem długą ciemną drogą w pustce, jakby przez pustynię. Podróżował od wielu dni. Był w powieści *W ciemność*, napisanej przez Tima Underhilla, choć niezupełnie wiedział, skąd o tym wie. Długa droga biegła prosto przez noc i w trakcie jazdy uświadomił sobie, że jest Halem Esterhazem, detektywem z wydziału zabójstw, wzywany w miejsca jednego morderstwa na drugie, bardzo odległe. Podróżował od tygodni, od trupa do trupa, podążając tropem zabójcy, nie zbliżając się do niego. Widział wiele ciał i byli to ludzie, których znał dawno temu w onirycznej egzystencji, zanim wszystko pociemniało.

Daleko z przodu dostrzegł dwie kropki żółtego światła przy drodze.

W powieści będzie jechać przez mrok w stopniowo pustoszejącym świetle. Zawsze będzie kolejne ciało, i nigdy nie znajdzie zabójcy, ponieważ *W ciemność* było jak motyw, który powtarza się w tysiącach wariacji, krążąc wokół tego samego cyklu akordów. Nie będzie prawdziwego zakończenia. Zabójca pewnego dnia odejdzie na emeryturę, żeby hodować orchidee albo zmienić się w dym, i wtedy wszelkie znaczenie przepadnie; melodia będzie płynąć w bezsensownych przypadkowych dźwiękach. Jego praca polegała na katalogowaniu zabójstw, a jej jedyne naprawdę satysfakcjonujące zakończenie nastąpiłoby wtedy, gdyby wszedł do jednej z tych ociekających wodą piwnic w slumsach i znalazł tam zabójcę czekającego na niego z uniesionym nożem.

Teraz widział, że żółte światła przy drodze to latarnie – małe latarnie wysyłające promienie blasku.

Dopiero gdy zrównał się z nimi, zobaczył, kto je trzyma. Przy drodze stał jego syn Robbie, który miał na imię Babar, i trzymał w górze jedną latarnię. Obok niego na zadnich łapkach stał równy mu wzrostem królik Ernie, trzymając drugą latarnię.

Chłopiec o imieniu Babar i królik popatrzyli na przejeżdżającego obok mężczyznę; ich latarnie płonęły.

Ogarnął go wielki spokój.

Minał delikatnego chłopca i dużego wyprostowanego królika, i przez długi czas widział w lusterku wstecznym światła latarni. Uczucie spokoju towarzyszyło mu, dopóki droga nie urwała się na brzegu szerokiej szarej wartkiej rzeki. Wysiadł z samochodu i patrzył, jak wielka muskularna rzeka przewala się obok, tu unosząc ogromne umięśnione ramię, tam szerokie udo.

Wtedy zrozumiał, że on i zabójca również są częścią wielkiego pędzącego ciała rzeki, i zalała go straszliwa mieszanina bólu i radości, głębokiej, głębokiej radości i bólu, rozpostarła się w nim i przemówiła donośnym wspólnym głosem, a on krzyknął i zbudził się z rzeką w oczach.

Rzeka zniknęła.

– Hej, Mikey – powiedział Conor, uśmiechając się do niego prawie nieśmiało.

Wiedział tylko, że zna tożsamość Koko. Później uczucie wiedzy odeszło, pamiętał jedynie to, że we śnie patrzył na wielką rzekę i przejeżdżał samochodem obok Robbiego, noszącego imię Babar i trzymającego latarnię.

W ciemność.

– Wszystko w porządku, Mikey? – zapytał Conor.

Poole skinął głową.

– Narobiłeś hałasu.

– Mało powiedziane – stwierdził Underhill. – Praktycznie odśpiewałeś hymn państwowy.

Poole potarł zarośnięty policzek. Ekran został zwinięty i większa część kabiny tonęła w ciemności.

– Myślałem, że zrozumiałem coś o Koko, ale zniknęło, gdy tylko się obudziłem.

Z ust Conora wyrwał się okrzyk zrozumienia.

– Też ci się to przydarzyło? – zapytał go Underhill.

– Naprawdę nie mogę o tym mówić... myślałem, że też coś rozumiem – na wpół wymamrotał Conor. – To było naprawdę dziwne. – Przekrzywił głowę i spojrzał na Underhilla. – Byłeś tam, prawda? Gdzie zastrzelili dziewczynę?

– Czasami myślę, że mam złego bliźniaka – powiedział Underhill. – Jak człowiek w żelaznej masce.

Umilkli, a utracone zrozumienie ponownie zadrało w Michaelu. Było tak, jakby latarnia jego syna oświetliła wydarzenia w tamtej wiosce sprzed piętnastu lat: zobaczył długie zbczce schodzące do kręgu chałup, kobiety niosące wodę i pasące się woły. Dym snuł się w wąskiej siwej kolumnie. W ciemność, czyli tam.

W jaskini

1

Dengler miał rękę owiniętą gazą i taśmą, białą twarz i zamglone oczy. Powiedział, że nie czuje bólu, i nie chciał się położyć, żeby czekać, aż wróca po niego. Podobno snajper Elvis pochodził z Ia Thuc, podobno ta wioska karmiła go i udzielała mu schronienia, i Dengler chciał być z plutonem, kiedy tam dotrą. Do czasu Smoczej Doliny porucznik Beevers dowodził misjami szukaj-i-unikaj, rozgrywając to koncertowo, i Ia Thuc było jego szansą, żeby zabyłsnąć. Według wywiadu w wiosce znajdował się skład żywności i broni, a Blaszanemu Drwalowi zależało na porządnym łupie, zwiększeniu liczby ofiar śmiertelnych, posunięciu się kawałek dalej na drodze do stopnia pełnego pułkownika. Blaszanemu Drwalowi zawsze zależało na wysokiej liczbie ofiar, ponieważ nieodmiennie awansowano tylko połowę podpułkowników w Wietnamie i każdy sukces zwiększał jego szanse. Blasznany Drwal widział siebie jako przyszłego dowódcę dywizji, dwugwiazdkowego generała. Rozpaczliwie pragnął wyrwać się z kręgu dowództwa średniego szczebla, zanim wojna się dla niego skończy.

Czy porucznik Beevers o tym wiedział? Możesz się założyć, że tak.

* * *

Kobieta zbiegała ze zbocza, kiedy wyszli spomiędzy drzew. Woda bluzgała z wiader na końcach nosidła za każdym razem, gdy jej stopy uderzały o ziemię, ale wykonała obliczenia – wiadra i tak będą więcej niż w połowie pełne, kiedy dotrze do wioski. Poole nie wiedział, dlaczego biegnie. Bieganie było poważnym błędem.

– Rozwał ją, zanim dotrze do wioski – powiedział Beevers.

– Poruczniku... – zaczął Poole.

– Rozwał ją – powtórzył Beevers.

Spitalny już celował i Poole zobaczył jego uśmiech przy kolbie karabinu. Za nimi kilku mężczyzn wychodziło z lasu i patrzyło, co się dzieje: kobieta pędzi w dół, Spitalny z bronią przy ramieniu.

– Nie naładuj jej zbytnio, Spit – rzucił ktoś.

To miał być żart. Spitalny był chorym żartem. Strzelił, nogi dziewczyny oderwały się od ziemi i przemknęła ze dwa jardy w powietrzu, po czym upadła i stoczyła się ze wzgórza.

Przechodząc obok ciała dziewczyny, Poole przypomniał sobie kartkę „Dziewięć zasad”, którą otrzymał wraz z inną, „Wróg w twoich rękach”, kiedy trafił do swojej jednostki. Zasady dotyczyły wietkongów: „Możesz ich pokonać na każdym kroku dzięki sile, zrozumieniu i wielkodusznoci, jaką okazujesz ludziom”.

Trzecia z dziewięciu zasad brzmiała: „Traktuj kobiety uprzejmie i z szacunkiem”.

I czwarta: „Nawiązuj serdeczne przyjaźnie wśród żołnierzy i zwykłych ludzi”.

Och, robiło się coraz śmieszniej i śmieszniej. Zasada piąta: „Zawsze dawaj pierwszeństwo Wietnamczykom”.

Pomyślał, że w tej wiosce znajdą wielu serdecznych przyjaciół. Dengler potykał się, podejmując widoczny wysiłek, żeby nie wyglądać na wyczerpanego i obolałego. Peters dał mu zastrzyk, „klawy”, jak powiedział, żeby utrzymał się na nogach, skoro nie chciał zostać w tyle. Snajper wciąż był za nimi i pluton szedł rozciągnięty, sprawdzając oba kierunki, gotów otworzyć ogień do wszystkiego, co poruzy się w dżungli.

– Peters, jesteś pewien, że Dengler da radę? – zapytał Poole.

– M.O. Dengler mógłby dojść stąd do Hanoi – odparł Peters.

– Ale czy zdoła wrócić?

– Nic mi nie jest – oznajmił Dengler. – Sprawdźmy tę wioskę. Weźmy mapy. Zróbmy nalot na ryż. Znajdźmy broń. Przemieńmy całe to cholerne miejsce w ewidentną strefę śmierci.

Pluton Beeversa wziął udział w zasadzce tydzień wcześniej, kiedy jeden z raportów Blaszanego Drwala o ruchach wojsk północowietnamskich okazał się pewny. Zgłoszono, że oddział wielkości kompanii przemierza szlak zwany Striker Tiger. Kapitan wysłał plutony Alpha i Bravo, żeby urządziły zasadzkę i wyeliminowały oddział. Zajęli pozycję nad szerokim na jard szlakiem przez gęstą dżunglę, z dobrym widokiem na odcinek długości może dziesięciu jardów. Trzymali broń wycelowaną w odosłoniętą część Striker Tiger i czekali.

Choć raz wszystko poszło zgodnie z planem. Jeden samotny żołnierz Wietkongu, szczupły, zmęczony mężczyzna tuż po trzydziestce, wszedł w zasadzkę. Poole o mało nie spadł z drzewa. Żołnierz po prostu sunął dalej. Za nim w luźnej grupie podążało około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu ludzi. Ci też nie byli chłopcami-żołnierzami – byli prawdziwymi żołnierzami. Robili tyle hałasu, co stado pasących się jeleni. Poole bardzo chciał zabić ich wszystkich. Przez chwilę widział każdego żołnierza na szlaku. Nad nimi ptak krzyknął ochryplym kobiecym głosem i przywódca spojrział w górę z niemal tęskną miną. Wszyscy na drzewach i na zboczu nad szlakiem natychmiast zaczęli strzelać, powietrze zostało uniestwione, rozdarte na strzępy, zniszczone, a ludzie na Striker Tiger podskakiwali, podrygiwali, wirowali i dygotali. Później zapadła całkowita cisza. Szlak połyskiwał jasną, jaskrawą czerwinią.

Kiedy policzyli ciała, okazało się, że w strefie śmierci zginęło trzydziestu dwóch mężczyzn. Wliczając oderwane ręce, nogi, głowy i broń, mogli zameldować, że całkowita liczba ofiar wyniosła sto pięć.

Porucznik Harry Beevers uwielbiał zasadzki.

– Co powiedział ten chłopak? – zapytał Spanky Burrage.

Beevers spojrział na Denglera, jakby spodziewał się szyderstwa. Być może pomyślał, że słowo „ewidentne” jest bliższe jego słownictwu niż każdego innego piechura. Był spięty i Poole poznał, że balansuje na krawędzi wybuchu. Dla niego ten nowy Beevers oznaczał same kłopoty. Triumf sprawił, że tracił kontakt z rzeczywistością – kilka dni temu wspomniawszy coś o swoich studiach na Harvardzie, a Poole był pewien, że Beevers nigdy nawet nie widział tego uniwersytetu, cóż dopiero mówić o studiowaniu w jego murach.

Poole przez chwilę patrzył na równinę po drugiej stronie wioski. Dwa woły, które uciekły, gdy Szpitalny zastrzelił kobietę z nosidłem, skubały trawę z pyskami zanurzonymi głęboko w mokrej, elektryzującej zieleni. Nic się nie poruszało. Wioska przed nimi wyglądała jak fotografia. Poole miał nadzieję, że ludzie, którzy mieszkali w rozproszonych chatkach, usłyszeli o nadejściu okrągłookich i uciekli, zostawiając trofea w postaci worków ryżu, a może też jamę pełną granatów i magazynków.

Elvis nie ma wioski, pomyślał: Elvis żyje w dżungli jak małpa i żywi się szczurami i robakami. Elvis nie jest już tak naprawdę człowiekiem. Widzi w ciemności i lewituje we śnie.

Underhill zniknął po prawej stronie wioski z połową ludzi, a Poole zabrał drugą połowę na lewo.

Jedynym hałasem był szelest żywej trawy pod ich stopami. Zaskrzypiał pasek, coś zagrzecotało w menażce; to wszystko. Manły ciężko oddychała: Poole myślał, że niemal słyszy jego pot. Mężczyźni zaczęli zwiększać odstęp między sobą. Szpitalny podążał za Denglerem i Conorem, gdy zmierzali w stronę cichych chałup.

Kura zagdakała, locha chrząknęła w zagrodzie.

Kij trzasnął w ogień i Poole usłyszał syk iskier i popiołu. Niech ich tu nie będzie, pomyślał. Niech wszyscy będą w An Lat, dwa czy trzy kilosy przez las.

Na prawo od niego czują ręką uderzyła plastikową kolbę M-16. Maciora, jeszcze niezatrzwożona, chrząknęła pytająco.

Poole przeszedł wzdłuż chaty i zyskał dobry widok przez środek wioski na Tima Underhilla, który poruszał się bezgłośnie pod drugą chałupą. Na lewo od Poole'a, dwadzieścia czy trzydzieści jardów za wioską, zaczął się rzadki las porastający zbocze. Przez sekundę Poole miał upiorną wizję: wśród drzew czai się setka północowietnamskich żołnierzy z wycelowaną w nich bronią. Omiótł las spanikowanym spojrzeniem. Nie zobaczył żołnierzy, tylko wysoki, na wpół ukryty kopiec, który na chwilę przykuł jego uwagę. Wyglądał niemal na dzieło ludzkich rąk, z pomalowanego betonu i tynku, jak pagórek w Disneylandzie.

Ale był za brzydki jak na Disneyland, nie malowniczo brzydki jak nawiedzony zamek czy romantyczna skała, ale naturalnie brzydki jak brodawka lub wykwit skórny.

Po drugiej stronie wioskowego placu Tim Underhill oparł się plecami o chatę i spojrział na niego. Między nimi na ogniu stał duży czarny garnek. W powietrzu snuła się smużka dymu. Dwie chaty dalej od Underhilla porucznik Beevers bezgłośnie poruszał ustami, zadając pytanie albo wydając komendę. Poole skinął głową Underhillowi, który natychmiast krzyknął po wietnamsku:

– Wychodzić! Wychodzić!

Nikt się nie poruszył, ale Poole słyszał dobiegające z chaty szepty i szmer bosych stóp na drewnianej podłodze.

Underhill strzelił w powietrze.

– Ale już!

Poole przebiegł na front chaty i prawie przewrócił właśnie wychodzącą staruszkę o rzadkich siwych włosach i bezzębnym uśmiechu. Za nią kuśtykał starzec o wysuszonej przez słońce zapadniętej twarzy. Poole dźgnął lufą karabinu w kierunku niewielkiego ogniska w centrum wioski. Z innych chałup wychodzili ludzie z uniesionymi rękami, głównie kobiety po pięćdziesiątce i sześćdziesiątce.

– Cześć, żołnierzu – powiedział starzec drepzczący obok staruszki i uklonił się, wciąż z rękami w górze.

Spitalny wrzasnął na mężczyznę i uderzył go kolbą karabinu w biodro.

– Stać! – ryknął Underhill. – Na kolana! – dodał po wietnamsku i wszyscy starzy ludzie uklękli w zdeptanej trawie wokół ogniska.

Beevers podszedł do garnka, zajrzał do środka i butem zepchnął go z ognia.

Macióra zaczęła kwiczeć. Beevers odwrócił się i zastrzelił ją w zagrodzie. Jedna ze staruszek wrzasnęła na niego.

– Poole, każ swoim ludziom przeszukać chałupy. Wszyscy mają wyjść!

– Mówią, że tam są dzieci, poruczniku – powiedział Underhill.

Beevers zauważył coś w popiele pod dużym garnkiem. Przyskoczył i sięgnął niemal w ogień, żeby wyjąć znalezione. Był to osmalony kawałek papieru, jak kartka z notesu.

– Zapytaj ich, co to jest! – Zamiast czekać na odpowiedź, przypadł do jednego ze starszych mężczyzn. – Co to jest? Co to za pismo?

– No bik – odparł starzec.

– To lista? Wygląda jak lista!

– No bik.

Poole też pomyślał, że to wygląda jak lista. Ruchem ręki posłał Denglera, Blevinsa, Burrage'a i Puma do najbliższych chat. Starcy klęczący przy dogasającym ogniu i przewróconym garnku zaprotestowali hałaśliwie.

Poole usłyszał krzyk dziecka dochodzący z jednej z chat. Wskoczył do tej, z której wyszła starsza para. W środku panował półmrok. Zaciśnął zęby z napięcia.

– Mówi, że to lista nazwisk. – Usłyszał, jak Underhill wyjaśnia porucznikowi.

Stanął pośrodku chaty. Sprawdził, czy nie ma kłapy w podłodze, dźgnął maty lufą karabinu i wyszedł na zewnątrz, żeby przejść do następnej chałupy.

– Zapytaj ich o snajpera! – krzyknął Beevers. – Wyciągniemy to z nich. – Zobaczył Poole'a. – Zbierz wszystkich.

– Tak jest.

Pumo ciągnął na plac wrzeszczące pięcioletnie dziecko. Starsza kobieta zerwała się i odebrała mu chłopca. Dengler garbił się w słońcu, obojętnie obserwując tę scenę.

Michaela Poole'a ogarnęło poczucie kompletnej jałowości i pustki. Odwrócił się, żeby wejść do kolejnej chaty. Usłyszał płacz po drugiej stronie wioski i zobaczył, że Beevers niecierpliwym gestem wysłał tam Spitalny'ego i Spanky'ego Burrage'a. Wszedł do środka i coś poruszyło się w mroku. Coś się ku niemu skradało.

Karabin zajazgotał w wioską i Poole odruchowo strzelił do zbliżającej się postaci, wiedząc, że jest za późno. Że już jest martwy.

2

Usłyszał głośne straszne jęki dobiegające sprzed wejścia. Cudem nie martwy, ale wiedząc, że chata zaraz eksploduje wraz z granatem wroga, rzucił się na zewnątrz i zobaczył leżącego na ziemi Thomasa Rowleya z rozerwanym brzuchem, z pętlami fioletowych i srebrnych wnętrzości na trawie. Twarz Rowleya była biała, usta otwierały się i zamykały. Nie płynął z nich żaden dźwięk. Poole czołgał się. Zewsząd padały strzały. Z początku myślał, że wszyscy starzy ludzie zostali zabici, ale kiedy oddalił się od chaty, zobaczył, że kulą się, szukając ochrony przed kulami.

Chata za nim nie wyleciała w powietrze.

Beevers kazał Denglerowi sprawdzić las na lewo od wioski. Dengler już truchtał w stronę drzew. Padła kolejna seria strzałów. Dengler runął na ziemię i dał znak, że nic mu nie jest. Otworzył ogień w kierunku lasu.

– Elvis! – wrzasnął Beevers, ale Poole wiedział, że to bzdura, bo Elvis nie używał karabinu maszynowego. Beevers go zobaczył i ryknął: – Wsparcie z powietrza! Silny ostrzał! – Odwrócił się do pozostałych żołnierzy: – Wyciągnąć wszystkich z chałupy! O to chodzi! O to chodzi!

Jakiś czas później wszyscy uciuchło. Rowley leżał martwy przed chatą, w której Poole zabił wietkonga. Poole zastanawiał się, co Beevers rozumiał przez „o to chodzi”, i wstał, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pochwylił spojrzenie Puma, który wyskoczył z chaty. Wyglądał jak człowiek, który nie ma pojęcia, co robić, a on nie mógł mu pomóc, bo sam nie wiedział.

Wietnamczycy płakali, zawodzili, krzyczeli.

– Silny ostrzał! – ryczał Beevers i Poole zgłosił to przez radio.

– Spalić wioskę! – krzyknął Beevers do Underhilla, a Underhill wzruszył ramionami.

Spitalny wystrzelił strugę ognia do rowu i wybuchnął śmiechem, gdy row zaczął wrzeszczeć. Beevers krzyknął coś i podbiegł zobaczyć, co jest w rowie. Wszędzie wokół Poole’a ludzie biegali i podpalali chaty. To piekło, pomyślał. Beevers schylił się nad rowem. Wyciągnął nagą różową dziewczynę. Ukryli dzieci, pomyślał Poole, dlatego było tak cicho, usłyszeli nas i posłali dzieci do kryjówek. Wokół niego wraz z piskami i wyciem protestu starych ludzi wznosiły się płomienie. Czuł zapach płonącego drewna, dławiącą woń palonej trawy i płaski martwy odór spalonej ziemi. Słyszał trzask ognia w suchych chatach. Beevers trzymał wijącą się dziewczynkę jak rybak wyjątkowo okazałą rybę. Coś krzyczał, ale Poole nie słyszał słów. Beevers szedł ku wiosce, oburącz trzymając dziewczynkę przed sobą. Jej skóra już się marszczyła. Kiedy dotarł do drzewa z szeroką mięsistą koroną i krętym pniem złożonym z wielu połączonych pni, machnął trzymaną za kostki dziewczynką i uderzył jej głową o drzewo.

– O to chodzi! – krzyknął. – O to chodzi, zgadza się?

Spitalny strzelił płomieniem z miotacza w zagrodę, spalił dwie kury i koguta.

Beevers jeszcze raz zakręcił dziewczynką w powietrzu i roztrzaskał jej głowę o poskręcany pień. Rzucił zwłoki i popędził na plac wioski.

– Teraz zapytaj ich o Elvisa! Choć raz wyciągnijmy prawdę z tych skurwysynów.

Underhill przemówił do starca, który trząsał się z przerażenia i wściekłości, i w odpowiedzi usłyszał szybką tyradę. Pokręcił głową.

– Chcesz zobaczyć, jak to się robi? Patrz.

Beevers wpadł do kręgu kulących się Wietnamczyków i poderwał na nogi małego chłopca, którego Pumo wywlókł z chaty. Chłopczyk był zbyt przerażony, żeby choć pisnąć, ale staruszka, która go obejmowała, zaczęła zawodzić. Beevers uderzył ją w czoło kolbą swojej czterdziestki piątki i kobieta padła na ziemię. Złapał malca za gardło, wycelował w głowę i powiedział:

– Elvis? Elvis?

Chłopiec coś wycharczał.

– Znasz go. Gdzie on jest?

Wokół nich przepływały plachty i kłęby dymu, niosąc zapach płonącej słomy i przypalonego mięsa. Spitalny celował miotaczem ognia w to, co zostało w rowie. Chaty trzeszczały wokół porucznika, chłopca i starców. Underhill ukląkł przy dziecku i przemówił do niego łagodnie po wietnamsku. Dziecko nie okazało w żaden sposób, że cokolwiek rozumie. Poole zobaczył, że Trotman zbliża się do chaty, w której zabił wietkonga, i ruchem ręki kazał mu pójść dalej. Trotman poszedł do następnej chałupy w kręgu. Sekundę później na dachu wyrosły żółte płomienie.

– Chcę jego głowy! – wrzasnął Beevers.

Poole włókł się przez dym ku chacie, w której zabił wietkonga. Chciał wyciągnąć go na zewnątrz, zanim chata spłonie. I tak wszystko spierdolił. Żadna chałupa nie została odpowiednio przeszukana – Beeversowi odbiło, gdy wróg otworzył ogień. Poza tym, gdzie jest ta lista? Poole pomyślał, że gdy chaty spłoną, będą mogli poszukać pod nimi skrytek – może to nie będzie totalna porażka. Zobaczył Denglera, oszołomionego i pokrytego kurzem, idącego z powrotem w kierunku rowu, by zobaczyć, co robi Spitalny.

Problem będzie polegał na tym, żeby powstrzymać Beeversa od zabicia wszystkich tych starych ludzi. Michael uznał, że jeśli w tej chacie znajdzie Elvisa, co zaczął uważać za bardzo prawdopodobne, to Beevers będzie chciał rozstrzelać całą wioskę za współpracę z Wietkongiem. W ten sposób podwoją albo potroją liczbę ofiar i Blasznany Drwał zbliży się o kolejny mały krok do upragnionych szlifów pułkownika.

Po raz pierwszy i jedyny w swojej karierze wojskowej Michael Poole zadał sobie pytanie, czy tego chce od niego armia – czy tego oczekuje od niego Ameryka. Zignorował trzask i syczenie radia. Przesłąpił ciało Rowleya i wszedł do chaty.

Wnętrze było pełne dymu i zapachu prochu.

Zrobił kolejny krok przez dym i zobaczył ciało skulone pod przeciwległą ścianą. Mała czarna głowa, brązowa koszula mokra od krwi. Zdawało się, że ciało składa się jedynie z tułowia – „głównej jednostki mieszkalnej”, powiedziałby Beevers. Poole nie widział granatu. W końcu zwrócił uwagę na wielkość zwłok i zrozumiał, że nie zabił Elvisa – zabił Karla. Jeszcze raz rozejrzał się w poszukiwaniu niewybuchu. Oddychał ciężko, choć nie wiedział dlaczego. Skupił wzrok na rękach Karla, małych i brudnych. Nie były to ręce Karla: nie były to ręce dorosłego człowieka, bardzo delikatne, pokryte skorupą brudu. Pokręcił głową, spocony, i pociągnął ramię wietkonga, żeby spojrzeć na jego twarz.

Ramię nie stawiało prawie żadnego oporu i drobne ciało obróciło się, odsłaniając twarz chłopca w wieku dziewięciu, dziesięciu lat. Poole pozwolił mu osunąć się z powrotem na podłogę.

– Gdzie jest ten granat? – zapytał sam siebie głosem, który brzmiał normalnie.

Kopnął stół, zrzucając na podłogę szpilki, grzebień i okragłe okulary słoneczne. Przetrzęsął wszystko, co było w chacie: materace, blaszane kubki, kosze ze słomy, kilka starych fotografii. Zdał sobie sprawę, że robi to, by powstrzymać się od zrozumienia w pełni tego, co zrobił. Nie było granatu. Stał przez chwilę w zupełnym bezruchu. Radio znów zasyczało, a Beevers wykrzyknął jego nazwisko.

Poole pochylił się i podniósł ciało dziecka. Ważyło mniej więcej tyle, co zwłoki psa. Odwrócił się i ruszył przez dym do wyjścia. Krzyk osiągnął nowy pułap, gdy wyszedł.

Underhill zamrugnął, gdy Poole podszedł do niego z martwym dzieckiem, ale nic nie powiedział. Kobieta poderwała się z rozpostartymi ramionami i twarzą oszalałą z rozpacz. Poole podszedł do niej i przekazał jej martwe dziecko. Zapadła się w krąg starych ludzi, śpiewając chłopcu pójłosem.

W końcu nad wioską nadleciały phantomy, ich ryk zagłuszył trzask ognia i ludzkie krzyki. Starzy ludzie kulili się na ziemi, gdy wielkie odrzutowce z wrzaskiem przemykały nad wioską. Skręciły i las z dźwiękiem przypominającym szum tysięcy wentylatorów przemienił się w jedną wielką kulę ognia.

„Zastrzelilił małego chłopca” – powiedział do siebie Poole.

W następnej chwili zdał sobie sprawę, że absolutnie nic mu się nie stanie z powodu tego, co zrobił. Porucznik Beevers roztrzaskał głowę dziewczynki o drzewo. Spitalny spalił dzieci w rowie. O ile cały pluton nie zostanie postawiony przed sądem wojennym, do niczego nie dojdzie. To też było straszne. Nie będzie konsekwencji. Czyny popełnione w próżni są wiecznymi czynami, i to było straszne. Wszystko, co go otaczało – płonące chaty, kłęby dymu, trawa pod butami, skuleni starzy mężczyźni i kobiety – przez chwilę wydawało się całkowicie nierealne. Miał wrażenie, że gdyby chciał, mógłby unieść się nad ziemią.

Postanowił nie wznosić się nad ziemię. To poważna sprawa. Jeśli zrobisz coś takiego, będziesz jak Elvis, bez pewności, czy kiedykolwiek wrócisz na dół.

Spojrzał w lewo i z zaskoczeniem zobaczył, że większość ludzi z plutonu stoi na obrzeżach wioski i patrzy na płonący las. Kiedy zostawili chaty? Zdawało mu się, że nastąpiła przerwa w czasie, irracjonalna luka, obszar blokady, w którym wszystko zmieniło położenie bez jego wiedzy. Nierealność otoczenia stała się teraz znacznie wyraźniejsza – płonący las był filmem na ekranie, a płonące chaty miejscami, w których ludzie żyli w opowieści. To brzydka opowieść i, jeśli opowiedziałeś ją od tyłu przez palenie chat, zniknęła. Całkowicie. Nigdy by jej nie było. W ten sposób wszystko wygląda znacznie lepiej – kiedy historia zostanie wywleczona ze świata przez własną dupę i znika. Powinien lewitować, póki miał okazję, ponieważ nie miało już znaczenia, czy wróci na ziemię, czy nie. Ponieważ to już nie była prawdziwa ziemia, to był film. To, co teraz obserwowali, było niewydarzaniem się historii.

Cała wioska miała się niewydarzyć.

Poole widział teraz bardzo wyraźnie brzydkie fioletowe wzgórze. U jego podstawy, jak fałda w skale, rozdziawiało się wejście do jaskini.

– Tam jest wszystko – powiedział porucznik Beevers.

3

Poole omal nie krzyknął, gdy M.O. Dengler zaczął biec w stronę jaskini za porucznikiem. Porucznik Beevers był ludzkim niewydarzeniem – nikt nie powinien podążać za nim do jaskini, a przede wszystkim nie M.O. Dengler.

Poole chciał krzyknąć, żeby Dengler nie szedł tam jako tarcza Harry'ego Beevers'a. Nagle zobaczył Victora Spitalny'ego biegnącego za M.O. Denglerem i porucznikiem Beeversem. Spitalny chciał tam z nimi wejść. Spitalny był dziś żołnierzem, Spitalny był maksymalnie podjarany.

Poole wykrzyknął jego imię, ale Spitalny tylko obrócił głowę i biegł dalej. Biegąc z obróconą głową, wyglądał jak rzeźba na fryzie.

Trzej mężczyźni zniknęli w jaskini.

Poole zawrócił do wioski i zobaczył Tima Underhilla brnącego w jego stronę przez dym.

Obaj usłyszeli stłumiony grzechot strzałów w jaskini. Hałas ucichł tak szybko, jakby go wcale nie było. Za ich plecami rozległ się trzask i rumor zapadającej się chaty. Wieśniacy nie przestawali zawodzić. Z jaskini znów dobiegły stłumione serie M-16. Umysł i ciało Poole'a odmarzły. Pobiegł we mgle dymu ku jaskini. Niewyraźnie widział stojącego pośrodku kręgu starca, który musiał być naczelnikiem wioski. Starzec trzymał w rękach nadpalony kawałek papieru i krzyczał coś piskliwym głosem.

Zarosła wciąż stała w ogniu, smugi iskier sunęły wzdłuż poczerniałych łodyg. Gdzieś tam płonąła sama ziemia. Drzewa przechylały się i zapadały w siebie jak popiół z papierosa. Chmura dymu blokowała wąskie wejście do jaskini. Biegając, Poole usłyszał wściekle bolesne wrzaski dochodzące zza nieruchomej chmury.

Sekundę później z dymu, młócąc go rękami, wypadł Victor Spitalny. Miał jasnoczerwoną twarz i wrzeszczał jak na torturach. Miotał się, skakał i podrygiwał niczym człowiek rażony prądem. Musiał oberwać, ale nie było na nim krwi. Wyrzucał z siebie serię piskliwych sylab, które w końcu ułożyły się w słowa „Zabij je! Zabij je!”. Nagle stracił równowagę i upadł w popiół przy wejściu do jaskini. Zaczął się tarzać, nie był w stanie się opanować i wstać. Poole wyciągnął z plecaka pałatkę, rozpostarł ją i pochylił się nad nim, żeby go w nią zawinąć. Twarz i szyję Spitalny'ego pokrywały wypukłe czerwone pręgi. Miał spuchnięte powieki.

– Osy! – wrzasnął. – Oblazły mnie!

Przez smugi dymu ze zgłiszcz Poole widział, że wszyscy wieśniacy wstają i wyteżają wzrok, patrząc w ich stronę.

Wykrzyczał pytanie o porucznika i Denglera, ale Spitalny wciąż szarpał się i dygotał. Spanky Burrage ukląkł i klepał brezent na jego piersi, przekreślił go na drugą stronę i zaczął okładać plecy. Wybuchnął śmiechem.

– Głupku, niczego tam nie ma prócz ciebie.

– Zajrzyj do środka i policz martwe osy – wycharczał Spitalny.

Poole wstał w chwili, gdy Dengler wyszedł z wąskiego otworu jaskini. Twarz miał bledszą niż kiedykolwiek, niemal szarą pod brudem. Karabin zwiisał z jego prawej ręki, oczy wydawały się zamglone z szoku lub wyczerpania.

– Koko – powiedział i sześciu mężczyzn spojrzęło na siebie.

– Co? – zapytał Poole. – Co się stało?

– Nic.

– Załatwiłeś Elvisa? – zapytał Spanky Burrage.

– Nic się nie stało – powiedział Dengler.

Zrobił kilka kroków, wzbijając butami fontanny iskier i popiołu, i spojrzął nad przestrzenią spalonej ziemi na starych ludzi; wszyscy teraz stali pośrodku tego, co było ich wioską, i patrzyli prosto na niego.

Poole słyszał, że wieśniacy coś krzyczą, ale nie od razu rozdzielił głosy i rozpoznał słowa.

– Numee zjesjec! – wrzeszczeli.

– Kto strzelał?

– Ci dobrzy – odparł Dengler, uśmiechając się lekko do cuchnącego, pełnego dymu powietrza między sobą a wioską.

– Z porucznikiem wszystko w porządku? – Poole zastanawiał się, co naprawdę miał nadzieję usłyszeć w odpowiedzi na swoje pytanie.

Dengler wzruszył ramionami.

– Ty numee zjesjec! – powtarzali wieśniacy w chaosie wysokich głosów.

Poole zrozumiał, że w pewnym momencie nie będzie mógł dłużej zwlekać z wejściem do tej dziury w skale. Wejdzie i w ciemności przed nim stanie dziecko, wyciągając rękę.

– Wiesz co? – powiedział Dengler monotonnym głosem. – Miałem rację.

– W związku z czym?

– Co do Boga.

Spitalny stał w słońcu, bez koszuli i ciężko oddychając. Czerwone pręgi pokrywały jego ręce, plecy i ramiona, a twarz była skupiskiem dużych, wściekle czerwonych obrzęków. Wyglądała jak talerz batorów. Norm Peters już nakładał tłustą białą masę na jego barki.

Poole odwrócił się od Burrage'a i ruszył po dymiącej ziemi do sanitariusza i Szpitalny'ego. Po chwili Burrage podążył za nim, równie niechętny jak on, żeby wejść do jaskini.

Poole zrobił zaledwie kilka kroków, gdy usłyszał nadlatujący śmigłowiec. Spojrzał w górę na czarną kropkę wielkości komara na niebie. Niedobrze, pomyślał, odleć, wracaj.

4

– Nie mogę tego ogarnąć – mówił Peters. – Rzucisz okiem? Nie ma sensu, nie dla mnie.

– Dengler wyszedł? – zapytał Szpitalny.

Poole skinął głową.

– Co nie ma sensu?

Ale gdy tylko zadał pytanie, zobaczył. Opuchlizna zapadała się, powracały ostre rysy wąskiej twarzy Szpitalny'ego. Oczy stały się widoczne, nad nimi czoło już nie brzuszyło się w serii nierównych garbów, tylko prawie gładkie, nie licząc wykwitów skórnych wyglądających jak niezdecydowane pryszcze, wznosiło się ku czarnemu wdowiemu szpicowi.

– To nie są uządlenia os – powiedział Peters. – To pokrzywka.

– Pierdol się, jak nie uządlenia – warknął Szpitalny. – Porucznik jeszcze nie wyszedł. Lepiej owiń się w coś i go wyciągnij.

– Nawet gdyby to były uządlenia, ta maść nie zmniejszyłaby opuchlizny, tylko uśmierzyła ból. Widzisz, jak wszystko maleje?

– Możesz mi obciągnąć. – Szpitalny wyciągnął przed siebie chude ręce i uważnie je obejrzał. Obrzęki skurczyły się do wielkości i kształtu pijawek.

– Ty mi powiedz – powiedział Poole. Śmigłowiec w dali urósł do rozmiarów muchy.

– Osy – upierał się Szpitalny. – Człowieku, załóżę się, że Zagubiony Szef jest załatwiony na amen, człowieku. Potrzebujemy nowego porucznika.

Spojrzał na Poole'a z miną, jaką robi pies, gdy jesteś zmuszony uznać, że on też potrafi myśleć.

– Dobra wiadomość jest oczywista, prawda? Nie można postawić trupa przed sądem wojennym.

Poole patrzył, jak jadowicie czerwone grudki rozplývają się w brudnej ziemistej skórze Szpitalny'ego.

– Jest jedno wyjście i wiesz o tym równie dobrze jak ja. Zwalimy wszystko na porucznika. Czyli dokładnie tam, gdzie trzeba.

Śmigłowiec, już wielki na niebie, opadał ku nim w ostrym słońcu. Rozpłaszczona trawa marszczyła się i falowała. Za zgłiszczami wioski, za rowem, rozciągała się łąka, gdzie pasły się woły. Daleko na lewo lesiste zbocze, z którego zesłi, wyglądało, jakby przenosiło fale wywołane przez śmigłowiec daleko poza dolinę.

Zabrzmiął głos Harry'ego Beeversa, donośny i radosny:

– Poole! Underhill! Dajcie mi dwóch ludzi! – Gdy zobaczył, że gapią się na niego z rozdziawionymi ustami, pokazał zęby w uśmiechu. – Bingo!

Szedł do nich. Poole zauważył, że jest podjarany. Napędzała go wysokooktanowa dygotliwa nerwowa energia. Był jak człowiek, który nie wie, że powodem jego doskonałego samopoczucia jest alkohol. Pot spływał mu po twarzy i męczyzna miał maślane oczy.

– Gdzie są moi dwaj ludzie?

Poole skinął na Burrage'a i Puma, którzy ruszyli w stronę jaskini.

– Macie wszystko wynieść i ułożyć tutaj, żeby każdy mógł zobaczyć. Żołnierze, to będzie wiadomość dnia.

Żołnierze? Beevers jeszcze nigdy bardziej nie przypominał kosmity, który nauczył się zwyczajów Ziemiaków z programów telewizyjnych.

– Ty numee zjesz! – krzyknęła na nich stara kobieta.

– Numer dziesięć w waszych programach, numer jeden w waszych sercach – powiedział porucznik Beevers do Poole'a, po czym odwrócił się, żeby powitać biegnących po trawie zgarbionych reporterów.

Ciąg dalszy wynikał z tego, co spłynęło z ust Harry'ego Beevera. „Newsweek” i „Time” oraz artykuły w setkach dzienników nadały ton temu, co się ogląda, co się czyta i o czym się mówi. Później zostały tylko stygnące wspomnienia, utrwalone na starych fotografiach góry ryżu i wysokiego stosu rosyjskiej broni, którą Spanky Burrage i Tina Pumo oraz inni członkowie plutonu wynieśli z jaskini. Ia Thuc była wioską Wietkongu i wszyscy jej mieszkańcy chcieli zabijać amerykańskich żołnierzy. Ale nie było zdjęć ciał trzydzieściora dzieci, ponieważ w Ia Thuc znaleziono tylko ciała tych spalonych w rowie, dwóch chłopców i dziewczynki mniej więcej w wieku trzynastu lat i może siedmioletniego chłopca, również spalonego. Później na zboczu wzgórza znaleziono zwłoki młodej kobiety.

Po odejściu reporterów starzy ludzie zostali przesiedleni do obozu dla uchodźców w An Lo. Blaszany Drwal i jego zwierzchnicy określili tę akcję jako „ukaranie powstańców i pozbawienie Wietkongu bazy rekrutacyjnej”. Zatruto uprawy, a mieszkańców, buddystów, zabrano daleko od rodzinnych miejsc pochówku. Widzieli, co ich czeka, od chwili podpalenia domów – a może od chwili, kiedy Beevers zabił maciorę. Zniknęli w An Lo, piętnastu starych ludzi wśród tysięcy uchodźców.

Kiedy Poole i Tim Underhill weszli w głąb jaskini, otoczyła ich chmura przezroczystych ciem – wirowały w powietrzu, uderzały w nich, rozplaszczały się na ich ustach i oczach, i znów uderzały. Poole machał rękami przed twarzą i jak najszybciej, z Underhillem za plecami, przeszedł do dalszej części jaskini, gdzie cmy nie wleciały. To w tamtej komorze padły strzały. Krew już zniknęła w podziobanej kulami ścianie, jak wykwitły skórne, bataty, pijawki, jajka i migdały roztopiły się w cieple Spitalny'ego. Jaskinia składała się i rozkładała, rozgałęziała się jak labirynt. Dalej znaleźli następny duży zapas ryżu, jeszcze dalej małe drewniane biurko i krzesło – biurko wyglądało jak zabrane z klasy w podstawówce Poole'a w Greenwich w stanie Connecticut. Sytuacja zaczęła wyglądać beznadziejnie, nigdy nie znajdując końca: zdawało się, że jaskinia nie ma końca, tylko zakręca się wokół w sobie.

Ponownie znaleźli się w komorze, w której metalowe luski leżały jak rzucone monety. Underhill głęboko wciągnął powietrze i pokręcił głową. Poole też to poczuł. Komorę wypełnił złożony zapach przerażenia, krwi, prochu i jakiejś innej woni, którą Poole mógł zidentyfikować tylko przez wykluczanie. Nie siki, nie gówno, nie pot, nie zgnilizna, nie grzyby, nawet nie cuchnąca rosa, jaką wydzielają śmiertelnie przerażone zwierzęta, ale coś pod tym wszystkim. Nieokreślony zapach kojarzył mu się z bólem. Kamienna komora cuchnęła jak miejsce, gdzie Indianin Joe kazał Tomkowi Sawyerowi patrzeć, jak gwałci Becky Thatcher, zanim zabił ich oboje.

W końcu wrócili do głównej części jaskini. M.O. Dengler mówił coś do Spitalny'ego, wynosząc przez otwór skrzynkę rosyjskich karabinów.

– Mąż boleści oswojony z cierpieniem – odparł, a raczej powtórzył Spitalny. – Mąż boleści oswojony z cierpieniem, mąż boleści oswojony z kutafonami, Jezu Chryste.

– Spokojnie, Vic – powiedział Dengler. – Cokolwiek się zdarzyło, to było dawno temu.

Zachwiał się i poczuł tak, jakby ktoś uderzył go mocno w ciemnię, nogi się pod nim ugięły i rozjechały na boki. Skrzynka z karabinami upadła z głośnym łoskotem, a on prawie bezselestnie. Spitalny usłyszał łoskot, odwrócił się, spojrział w dół i ruszył dalej ze swoją skrzynką w kierunku stosu.

– Nie ma dzieci! – ryczał Beevers. – Nie na wojnie! Żadnych dzieci!

Tak, miał rację: dzieci nie było. Po raz pierwszy, ale nie ostatni Poole zastanawiał się, czy wieśniacy z An Lac wyprowadzili dzieci innym wejściem.

Dengler jęknął, kiedy Peters odwinął ostatni kawałek gazy. Wszyscy się cofnęli. Z odsłoniętej rany popłynął ciemnobrązowy odór, zwarty jak smużka dymu papierosowego.

– Wyjedziesz stąd na kilka dni – powiedział Peters.

– Dokąd poszedł porucznik? – Dengler niemal ze strachem zerkał na boki, podczas gdy Peters ponownie bandażował mu ramię. – Widziałeś nietoperze wylatujące z jego ust?

– Dałem mu coś ekstra – wyjaśnił Peters. – Odpływa.

W ciemność, która pozwala nam przetrwać.

Powrót do domu

1

Otumanieni koniakiem i niedostatkiem snu wylądowali w San Francisco o czwartej lub piątej rano, jak im się zdawało, ale w rzeczywistości dochodziło południe. W ogromnym holu setki pasażerów kręciły się wokół karuzeli bagażowej i patrzyły, jak walizki z łoskotem zjeżdżają po metalowej pochylni na ruchomy pas. Tim Underhill z przyciętą brodą i krótkimi przerzedzonymi włosami wyglądał na wychudzonego i zmęczonego. Ramiona już miał zwieszane jak sędziwy uczonego, a teraz jego pytający wyraz twarzy również należał do uczonego. Poole zastanawiał się, czy sprowadzenie go z powrotem nie było błędem.

Kiedy szli z bagażami w kierunku odprawy celnej i granicznej, pojawił się wśród nich mężczyzna w mundurze i błyskawicznie załatwił formalności kilku pasażerów. Wybrańcy, co do jednego, byli w średnim wieku i wyglądali na dyrektorów korporacji. Koko tu był, pomyślał Poole, gdy wzrok urzędnika zatrzymał się na nim i powędrował dalej. Koko stanął w tym miejscu i widział wszystko to, co ja widzę. Opuścił samolot z Bangkoku albo Singapuru i przesiadł się na lot do Nowego Jorku, gdzie spotkał stewardesę Lisę Mayo i niesympatycznego młodego milionera. Rozmawiał z niesympatycznym mężczyzną w samolocie, a wkrótce po wylądowaniu na lotnisku JFK zabił go. Założę się, że tak, założę się, że tak, założę się, że stał dokładnie tu, gdzie ja, pomyślał Poole. Przebiegł go dreszcz.

* * *

Harry Beevers skoczył na równe nogi, gdy tylko znaleźli swoją bramkę w terminalu United. Przestąpił nad półkolem leżących przed nim walizek i bagażu podręcznego i zaczął przeciskać się między rzędami siedzeń.

Spotkali się przed stanowiskiem odprawy. Beevers najpierw w milczeniu zacisnął wyciągnięte ręce na ramionach Poole'a, po czym objął go, spowijając zapachem alkoholu, wody kolońskiej i mydła z samolotu. Poole przypuszczał, że dostał od niego pochwałę za działania w terenie.

Beevers melodramatycznie opuścił ręce i obrócił się w stronę Conora. Ale zanim jemu też mógł udzielić pochwały francuskiej Legii Cudzoziemskiej, Conor wyciągnął rękę. Beevers poddał się i wymienili uścisk dłoni. W końcu zwrócił się do Tima Underhilla.

– Więc to ty – powiedział.

Underhill prawie się roześmiał.

– Rozczarowany?

Podczas lotu Poole zastanawiał się, jak Beevers odbierze obecność Underhilla wśród nich jako niewinnego człowieka. Istniała niewielka możliwość, że zrobi coś naprawdę szalonego, na przykład założy mu kajdanki i dokona aresztowania obywatelskiego. Fantazje Harry'ego Beeversa nie dawały się łatwo wykorzystać i Poole nie spodziewał się, że bez wysokiej zapłaty zrezygnuje z tej, która stanowiła fundament wielu innych.

Zaskoczyła go ochocza, a nawet rozsądna odpowiedź Beeversa.

– Nie, jeśli zamierzasz nam pomóc, nie.

– Ja też chcę go powstrzymać, Harry. Oczywiście, że wam pomogę, jak tylko można.

– Jesteś czysty? – zapytał Beevers.

– Nie jest źle – odparł Underhill.

– W porządku. Ale jest jeszcze jedna sprawa. Muszę mieć twoją zgodę, że nie wykorzystasz materiałów Koko w książce niebeletrystycznej. Beletrystykę możesz pisać do woli, nie obchodzi mnie to. Ale ja

muszę mieć prawa do literatury faktu.

– Jasne. Nawet gdybym chciał, nie mógłbym napisać czegoś takiego. I nie pozwę cię, jeśli ty mnie nie pozwiesz.

– Możemy pracować razem – zadeklarował Beevers. Przyciągnął Underhilla, żeby go przytulić, i powiedział mu, że należy do drużyny. – Zbijemy forszę, zgadzasz się?

* * *

W samolocie do Nowego Jorku Michael siedział obok Beeversa, Conor przy oknie, a Tim Underhill tuż przed Michaeliem. Beevers przez długi czas opowiadał nieprawdopodobne historie o swoich przygodach w Tajpej – o picciu krwi węża i o niesamowitym seksie z pięknymi dziewczynkami, aktorkami i modelkami. Później pochylił się w stronę Michaela i szepnął:

– Musimy uważać na tego faceta, Michael. Nie możemy mu ufać, to podstawa. Jak myślisz, dlaczego zapraszam go do siebie? Będę miał go na oku.

Poole ze znużeniem kiwnął głową.

Głośniejsze, żeby wszyscy słyszeli, Beevers powiedział:

– Chcę, żebyście nad czymś pomyśleli. Po powrocie prędzej czy później spotkamy się z policją i w tym jest problem. Ile im powiemy?

Underhill obrócił się w fotelu i spojrzał do tyłu z zaciekawionym, pytającym wyrazem twarzy.

– Sądzę, że powinniśmy rozważyć zachowanie dyskrecji – kontynuował Beevers. – Zaczęliśmy sprawę, chcąc znaleźć Koko na własną rękę, i tak chcemy ją zakończyć. Przez cały czas powinniśmy być o krok przed glinami.

– No chyba – mruknął Conor.

– Mam nadzieję, że w tej kwestii wszyscy jesteśmy zgodni.

– Zobaczymy – powiedział Poole.

– Zakładam, że niezupełnie mówimy o utrudnianiu śledztwa – wtrącił Underhill.

– Nie dbam o to, jak to nazywasz – powiedział Beevers. – Mówię tylko, że utrzymamy w tajemnicy parę szczegółów. Policja robi tak przez cały czas. Trochę zataimy. I kiedy obmyślimy jakiś kierunek działania, też zachowamy go dla siebie.

– Kierunek działania? – zapytał Conor. – A niby co możemy zrobić?

Beevers poprosił ich o rozważenie kilku możliwości.

– Na przykład mamy dwie informacje, których nie ma policja. Wiemy, że Koko to Victor Spitalny i że niejaki Tim Underhill jest w Nowym Jorku, albo wkrótce będzie, a nie w Bangkoku.

– Nie chcesz powiedzieć glinom, że szukamy Spitalny'ego? – zapytał Conor.

– Możemy udawać głupiego. Mogą dowiedzieć się, kogo brakuje, a kogo nie. – Posłał Michaelowi uśmiešek pełen wyższości. – To inny strzęp informacji jest dla nas najbardziej przydatny. Spitalny posłużył się nazwiskiem tego człowieka... – Wskazał na Underhilla. – Prawda? Żeby nasłać na niego reporterów? Sądzę, że tak, na podstawie tego, czego dowiedzieliśmy się w Goodwood Park. Więc mówię, żebyśmy odwrócili sytuację na naszą korzyść.

– A jak chcesz to zrobić, Harry? – zapytał Underhill.

– W pewnym sensie Pumo podsunął mi pomysł, kiedy w listopadzie spotkaliśmy się w Waszyngtonie. Mówił o swojej dziewczynie, pamiętacie?

– Jasne, pamiętam – odparł Conor. – Mówił do mnie. Ta mała Chinka robiła mu wodę z mózgu. Zamieszczała dla niego ogłoszenia w jakiejś gazecie. Podpisywała je „Półksiężyc”.

– Trés bon, très bon – pochwalił go Beevers.

– Chcesz zamieścić ogłoszenia w „Village Voice”? – zapytał Michael.

– To jest Ameryka. Ogłaszamy się. Rozlepmy nazwisko Tima Underhilla po całym mieście. Jeśli ktoś o to spyta, możemy powiedzieć, że szukamy kogoś, kto kiedyś należał do naszego oddziału. W ten sposób nie posłużymy się prawdziwym nazwiskiem Koko. Myślę, że sprowokujemy jego reakcję.

2

Star Limousine w rzeczywistości była furgonetką z trzema rzędami siedzeń i bagażnikiem na dachu. Wewnątrz panował dotkliwy ziąb. Poole ciasno owinął się płaszczem i żałował, że spakował sweter.

Czuł się odizolowany i obcy, a okolica za oknami furgonetki wydawała się w równym stopniu znajoma i niezajoma. Miał wrażenie, że nie było go tu przez długi czas.

Brzydkie szeregowce kuliły się z zimna po obu stronach autostrady. Na zewnątrz już pociemniało. Wszyscy w furgonetce milczeli, nawet małżeństwa.

Michael przypomniał sobie, jak widział we śnie Robbiego z latarnią.

Koko

Powrót do domu zawsze był taki sam. Powrotowi do domu zawsze towarzyszył czynnik strachu. Krew i Kulki zawsze byli domem. Wyrównajcie na pustkowiu gościniec, jeszcze raz, a jest to jedna chwila, a potem możesz poruszyć niebiosa i ziemię, morze i ląd. Wyrównajcie na pustkowiu gościniec, ale kto przetrwa dzień Jego nadejścia?

Wracasz do domu, do tego, co zostało niezrobione i złażało cię, do tego, co zostało źle lub kiepsko zrobione i wypłuło cię ze swoich ust, i do tego, co zostało zrobione, a nie powinno zostać zrobione, i natarło na ciebie z deską, paskiem, cegłą.

Wszystko to było w książce, nawet Krew i Kulki byli w książce.

W tej książce jaskinia była rzeką, gdzie mały nagi chłopiec chodził oblepiony zamrożonym błotem. (Ale była to krew kobiety, tak). Czytał tę książkę tam i z powrotem. To była jedyna rzecz, którą mówili w domu – tam i z powrotem. Koko pamiętał, że kupił tę książkę, ponieważ kiedyś w innym życiu znał pewnego autora, i wkrótce książka obróciła się i urosła w jego rękach, i stała się książką o nim samym. Koko czuł się jak podczas swobodnego spadania – jakby ktoś wyrzucił go ze śmigłowca. Jego ciało opuściło siebie, w znajomym totalnym strachu jego ciało wstało i weszło do książki w jego rękach.

Strach totalny i znajomy.

Przypomniał sobie najstraszliwszą rzecz na świecie. To prawda – była rzecz najstraszliwsza. Najstraszliwsze było to, jak jego ciało nauczyło się opuszczać siebie. To Krew otwierał w nocy drzwi sypialni i wślizgiwał się do małego pokoju. Gorący wilgotny zapach wiecznego świata na jego ciele. Jego blond włosy niemal srebrne w ciemności.

Nie śpisz?

Każdy, kto nie spał, mógł zobaczyć radiowozy, każdy, kto nie spał, mógł zobaczyć, co się dzieje. Koko stał na rogu i patrzył na dwa samochody przed hotelem YMCA. Spodziewali się, że po prostu tam wejdzie.

To czarny człowiek powiedział: „Zabijanie jest grzechem”. Odszedł i opowiedział panu Partridge'owi, który siedział przy biurku na dole, o pokoju. Pan Partridge wszedł do pokoju Koko i ciała Koko wyszło z jego ciała.

– Co to znaczy? – zapytał pan Partridge. – Wy wariaci zawsze tu trafiacie, prawda? Nie moglibyście pójść w jakieś inne miejsce?

– To moje miejsce, nie twoje – powiedział Koko.

– Zobaczymy. – Pan Partridge wyszedł, ale najpierw obrzucił ściany przeciągłym spojrzeniem.

Dzieci odwróciły się i krzyknęły za nim.

– Nie jesteś agentem biura podróży – powiedział czarny mężczyzna. – Sam masz tylko bilet w jedną stronę.

Koko odwrócił się i ruszył na północ w kierunku stacji metra. Nosił w plecaku wszystko, co niezbędne, i zawsze były w nim puste miejsca.

Nagle przypomniał sobie, że zgubił karty Słonia na Zadnich Nogach, zatrzymał się i przyłożył rękę do brzucha. Krew piętrzył się przed nim, miał srebrzyste włosy, a głos płaski, zimny i szalony z wściekłości.

Zgubiłeś je?

Całe jego życie wydawało się ciężkie niczym kowadło, które nosił w ramionach. Chciał rzucić kowadło. Ktoś inny mógłby podjąć tę pracę – po wszystkim, co zrobił, komuś innemu łatwo byłoby dokończyć. Sam mógłby zrezygnować. Mógłby się poddać albo uciec.

Koko wiedział jedno – może wsiąść do samolotu i lecieć dokądkolwiek. Dla Hondurasu pojechał do Nowego Orleanu. Sprawdził to. Pojechał do Nowego Orleanu i tam był twój samolot. Samolot = Wolność.

Obraz z książki, który tak bardzo go zaskoczył, wypłynął w jego umyśle. Koko zobaczył siebie jako oblepione zamrożonym błotem dziecko wędrujące nad zimną, brudną rzeką w środku miasta. Psy i wilki wyszczerzyły ostre zęby, drzwi uchyliły się, z zamrożonego błota wyłoniły się czubki palców zieleniejących w procesie rozkładu. Ogarnięty poczuciem straty i przerażenia Koko zatoczył się ku schronieniu wejścia.

Martwe dzieci uniosły chude ręce do twarzy.

Nie miał domu i mógł zrezygnować.

Starając się nie szlochać, a przynajmniej nie pokazać, że szlocha, usiadł w wejściu. Po drugiej stronie dużych szklanych drzwi pusty marmurowy korytarz prowadził do rzędu wind. Zobaczył rysunkowych policjantów krążących po jego pokoju. Zobaczył kurtki na wieszakach, koszule w szufladach. (Karty na komodzie). Łzy spłynęły mu po policzkach. Jego maszynka do golenia, jego szczoteczka do zębów. Rzeczy zabrane, rzeczy stracone, zgwałcone i porzucone w stanie oszołomienia, konania, śmierci...

Koko zobaczył Harry'ego Beevera w bliskiej ciemności w głębi jaskini. Jego ojciec wyszeptał swoje pytanie. Harry Beevers pochylał się ku niemu z błyszczącymi oczami, zębami, całą twarzą lśniąca, spoconą, błyszcząca. „Wypierdalał stąd, żołnierzu” – powiedział i z jego ust wyleciał nietoperz. „Albo miej udział w chwale”. Za plecami porucznika, w bałaganie na ziemi po drugiej jego stronie, w wąskim promieniu zobaczył małą wyciągniętą rękę ze zgiętymi palcami. Ciało Koko wyszło z siebie. Tuż pod smrodem wieczności unosił się zapach prochu, sików, gówna. Beevers odwrócił się i Koko ujrzał jego erekcję napierającą na spodnie. Jego historia zderzyła się ze sobą – spotkał siebie, podróżował tam i z powrotem.

Unióś wzrok w schronieniu wejścia i zobaczył przejeżdżający niebiesko-biały samochód policyjny, a zaraz za nim następny. Wyszli z jego pokoju. Może jeden został. Może mógłby tam pójść i porozmawiać o poruczniku.

Koko wstał i mocno objął się rękami. W jego pokoju będzie jeden człowiek, z którym mógłby porozmawiać, i ta myśl była jak obca substancja w jego krwi. Gdy porozmawia, wszystko stanie się inne i będzie wolny, bo po rozmowie ten człowiek zrozumie tam i z powrotem.

Przez kilka sekund Koko widział siebie jak gdyby z dużej odległości: mężczyzna stojący w drzwiach obejmuje się rękami, ponieważ gnębi go wielki smutek. Płaskie, równe światło dzienne, światło zwykłej rzeczywistości, kładło się na wszystko przed nim. W ciągu tych sekund Koko zobaczył własne przerażenie, i to, co zobaczył, zdumiało go i głęboko zatrwożyło. Mógłby wrócić i powiedzieć: „popelniałem błąd”. Nie otaczały go demony ani anioły; dramat nadprzyrodzonego odkupienia, który tak długo go spowijał, uciekł w głąb długiej ulicy zatłoczonej taksówkami, a on był zwykłym człowiekiem, sam na mrozie.

Drżał, ale już nie płakał. Potem przypomniał sobie twarz dziewczyny w salonie Tiny Puma, i przywiodła mu ona na myśl jedyną okolicę w całym mieście, gdzie może poczuje się jak w domu.

Poniesie kowadło trochę dalej i zobaczy, co się stanie.

I gdy wyszedł z metra na Canal Street, całe jego ciało powiedziało mu, że miał rację. Metro wywiozło go daleko poza Amerykę. Znow był w azjatyckim świecie. Nawet zapachy były jednocześnie subtelniejsze i bardziej gęste.

Koko zmusił się, żeby iść wolno i normalnie oddychać. Z bijącym sercem przeszedł pod szyldem z chińskimi literami i skręcił na południe w Mulberry Street. Wydawało mu się, że od tygodnia nie był taki głodny. Ostatni posiłek, jaki pamiętał, został podany przez stewardesę.

Nagle głód zaatakował go z taką siłą, że mógłby utworzyć usta i wessać każdy sklep, każdą cegłę, każdy ryczący żółty znak, każdy czajnik i pałeczkę, każdą kaczkę i węgorza, każdego mężczyznę i kobietę na ulicy wraz ze znakami stopu, sygnalizacją świetlną, skrzynkami pocztowymi i budkami telefonicznymi.

Przystanął, żeby kupić w kiosku „Timesa”, „Post” i „Village Voice”, po czym skręcił do pierwszej restauracji, gdzie nad garnkami brązowej zupy i białej lepkiej owsianki wisiał rząd kaczek w kolorze gryczanego miodu.

Gdy podano jedzenie, świat się roztopił, czas się roztopił, i gdy jadł, wrócił do czasów, kiedy żył w słoniu, i za każdym razem, gdy wciągał powietrze, wciągał słonia.

W dzisiejszych gazetach kierowca autobusu wygrał prawie dwa miliony dolarów w czymś zwanym Lotto. Dziesięcioletni chłopiec Alton Cedarquist został zrzucony z dachu w części miasta zwaną Inwood. Na Bronxie spłonął kwartał budynków. W Angoli niejaki Jonas Savimbi pozował z brzydkim szwedzkim karabinem maszynowym i obiecywał walczyć przez całą wieczność; w małej wiosce w Nikaragui zabito i dekapitowano księdza i dwie zakonnice. Tam i z powrotem, w istocie. W Hondurasie rząd Stanów Zjednoczonych zażądał dwustu akrów ziemi na teren szkoleniowy – kiedyś było ich,

teraz jest nasze. Jak zwykle złożyliśmy szczerą obietnicę, że niedługo znowu będzie należeć do nich. Tymczasem nasze usta są otwarte i dwieście akrów zniknęło w naszym gardle. Koko czuł zapach smaru, którym była zabezpieczona broń; słyszał poskrzypujące buty, dłonie uderzające w kolby karabinów.

Władcy ziemi zwrócili się do niego z pytaniem na twarzach.

Ale strony z ogłoszeniami, gdzie miał nadzieję znaleźć dobry tani pokój do wynajęcia, były zapisane szyfrem, którego w większości nie rozumiał, i pokazywały, że w całym Chinatown w zasadzie nie ma nic do wynajęcia. Wydawało się, że jedynym dostępnym lokalem jest dwupokojowe mieszkanie w Confucius Plaza, za cenę tak wysoką, że w pierwszej chwili pomyślał o błędzie drukarskim.

„Coś jeszcze?” – zapytał kelner po kantońsku; w tym języku Koko zamówił posiłek.

„Skończyłem, dziękuję” – odparł Koko, a kelner nagryzł mu cyfry na kartce, oderwał ją i położył na stole obok jego talerza. Na środku zielonego karteluska natychmiast rozkwitła tłusta plama.

Koko obserwował, jak średnica plamy powiększa się o kolejne dwa centymetry. Odliczył pieniądze i położył na stole. Spojrzał na kelnera, który powoli szedł na tyły restauracji.

„Zabrali mi dom”, powiedział.

Kelner odwrócił się i zamrugał.

„Teraz nie mam domu”.

Kelner skinął głową.

„Gdzie jest twój dom?”.

„Mój dom jest w Hongkongu” – odparł kelner.

„Czy znasz jakieś miejsce, w którym mógłbym mieszkać?”.

Kelner pokręcił głową. Potem powiedział: „Powinieneś mieszkać wśród swoich”. Odwrócił się plecami i przeszedł na front restauracji, oparł się o kasę i z donośnym skamlącym utyskiwaniem wdał się w rozmowę z drugim mężczyzną.

Koko przewrócił „Village Voice” na ostatnią stronę i stwierdził, że czyta słowa początkowo równie bezsensowne jak szyfr, kręciołku: jesteś bestią z mojej bajki. ból jest il-u-zją ^ś. przeżywaj-żyj. podświetlany cyferblat. Poniżej widniało następne ogłoszenie adresowane do całego wszechświata i może kogoś podobnego do niego, wirującego luźno w jego obrębie. zdławiony senny beznamiętny smutek. my-ty-ja musimy znaleźć to, co zostało utracone. Koko poczuł, że głęboko w nim spada napięcie, zupełnie jakby to ogłoszenie naprawdę zamieścił dla niego ktoś, kto go znał i rozumiał.

Tymczasem drugi mężczyzna z przodu restauracji, wyraźnie zamożniejszy i bardziej pewny siebie niż kelner, patrzył na niego z przekrzywioną głową i błyskiem w oku, jaki mogła rozpaść tylko nadzieja na zarobek. Koko złożył gazetę i wstał, żeby do niego podejść. Już wiedział, że znalazł pokój.

Po zwykłej wymianie uprzejmości nastąpiły zwykłe wyrazy zdziwienia, że Koko biegle włada kantońskim.

„Kocham wszystko, co chińskie” – powiedział. „Wielka szkoda, że moja kiesa nie jest równie duża jak moje serce”.

Chciwy błysk w oku właściciela restauracji nieco przygasł.

„Ale z radością uczciwie zapłacę za wszystko, co możesz mi zaoferować, a także zaskążysz na moją dozoną wdzięczność”.

„Jak stałeś się bezdomny?”.

„Gospodarz przeznaczył mój pokój na inne cele”.

„A twój dobytek?”.

„Noszę ze sobą wszystko, co mam”.

„Nie masz pracy?”.

„Jestem mało znanym pisarzem”.

Właściciel wyciągnął tłustą rękę.

„Jestem Chin Wu-Fu”.

– Timothy Underhill – przedstawił się Koko, ujmując dłoń mężczyzny.

Chin gestem kazał mu pójść ze sobą. Wyszli na zewnątrz, Koko zarzucił plecak. Doszli do skrzyżowania i skręcili w Bayard Street. Chin Wu-Fu wyprzedził go, kuląc się z zimna. Dwie przecznice dalej skręcił na północ w wąską, pustą Elizabeth Street. W połowie kwartału zanurkował w łukowate przejście i zniknął. Cofnął się i skinął ręką na Koko, a potem wprowadził go na małe ceglane podwórko, lekko pachnące olejem spożywczym. Koko zobaczył, że słońce nigdy tutaj nie zagląda. Podwórko, otoczone murami kamieniem i schodami ewakuacyjnymi, które jak gigantyczne modliszki przylegały do brudnej brązowej cegły, było niczym więcej jak izolującą martwą przestrzeń między kamienicami a Elizabeth Street. Idealnie mu to odpowiadało. Chińczyk, który przywiódł go do tej martwej nieruchomości, szarpał jedno z chropowatych drzwi na parterze.

„Idziemy na dół” – powiedział i zanurzył się w zimną ciemność klatki schodowej. Koko podążył za nim.

Na dole schodów Chin zapalił gołą żarówkę i przerzucił setki kluczy na dużym kółku, zanim znalazł właściwy. Bez słowa otworzył drzwi i szerokim gestem zaprosił go do środka.

Koko wszedł w lepką absolutną czerń. Od razu wiedział, że właśnie tego potrzebuje. Zanim Chin Wu-Fu po omacku znalazł sznurek, żeby włączyć światło, on już widział prostokątną komorę bez okien, ciemnozielone łuszczące się ściany, poplamiony materac na podłodze, populację karaluchów, rozchwieirutane krzesło, zardzewiały zlew i kostropaty sedes za parawanem. Nie mógł porozmawiać z policją, ale może znaleźć Michaela Poole’a, a Michael Poole był człowiekiem, który zrozumie tam i z powrotem. Harry Beevers był drogą wstecz, natomiast Michael Poole wąską, samotną ścieżką prowadzącą naprzód z jego celi. Kolejna goła żarówka zbudziła się do niemrawego życia. Pod powierzchnią Elizabeth Street Koko czuł na skórze wiatr, który dął nad zamarznąłą rzeką. Ból był iluzją.

Część szósta

Prawdziwy czysty smak

Pat i Judy

1

– Aż tak źle? – zapytała Pat.

– Nie wiesz nawet połowy. – Judy Poole odetchnęła głośno, dziwnie zadowolona, że wreszcie dotarła do tego etapu rozmowy. Była siódma trzydzieści wieczorem trzeciego dnia po powrocie Michaela do domu. Kobiety rozmawiały przez telefon od jakichś dwudziestu pięciu minut.

Judy usłyszała westchnienie Pat Caldwell i szybko zapytała:

– Przeszkadzam ci?

– Nie, naprawdę... Harry dzwonił do mnie tylko raz, więc nie mam nic do powiedzenia. Nadal planuję rozmawiać z policją, zgadza się?

Ten wątek został już omówiony w ciągu pierwszych dziesięciu minut rozmowy i Judy podjęła go z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Mówiłem ci, że... że myślę, że coś wiedzą, dlaczego Tina został zamordowany. Myślisz, że fantazjują? Chcę myśleć, że fantazjują.

– Wszystko to brzmi bardzo znajomo – stwierdziła Pat. – Harry zawsze znał od środka miliony historii.

– W każdym razie... – zaczęła Judy, wracając do wcześniejszego tematu. – Nie wiesz najgorszego. Nie mam pojęcia, co ze sobą począć. Jestem strasznie podenerwowana. Rano z trudem wstaję z łóżka, a po lekcjach, gdy mam wracać do domu, guzdram się bez końca i w zasadzie nie jestem świadoma, co robię. Chodzę po szkole i szukam śmieci. Sprawdzam, czy drzwi do klas są pozamykane. Po powrocie do domu jest tak... sama nie wiem... jakby bomba wybuchła i zrównała wszystko z ziemią. I zostawiła tylko tę straszną ciszę.

Judy urwała, nie tyle dla efektu, ile po to, żeby pogodzić się z myślą, która właśnie wpadła jej do głowy.

– Wiesz, jak naprawdę jest? Zupełnie jak zaraz po śmierci Robbiego. Ale wtedy przynajmniej Michael był w domu, chodził do pracy i robił, co miał robić. Był w nocy. I wiedziałam, co się z nim dzieje, więc wiedziałam, co robić.

– A teraz nie wiesz?

– Najwyraźniej. Dlatego trudno mi zmusić się do powrotu na noc do domu. Michael i ja nie rozmawialiśmy szczerze od... Nie pracuje, tyle ci powiem. Myślisz, że Harry pracuje? Wątpię.

– Harry to nie mój problemem – odrzekła szybko Pat. – Życzę mu szczęścia. Mam nadzieję, że weźmie się do roboty. Wiesz, że stracił pracę, prawda? Mój brat nie mógł z nim dłużej wytrzymać i go zwolnił.

– Twój brat jest wspaniałym człowiekiem, jak zawsze – powiedziała Judy. Przez chwilę rozpraszał ją stary żal, że nigdy nie miała okazji poznać dystyngowanego starszego brata Pat Caldwell.

– Cóż, myślę, że Charles też mu dał trochę pieniędzy. Zasadniczo ma dobre serce. Nie chce, żeby Harry cierpiał... mój brat jest kimś, kogo nazywa się chrześcijańskim dżentelmenem.

– Chrześcijański dżentelmen. – Głos Judy stał się bezdźwięczny i matowy z zazdrości. – Nadal tacy istnieją?

– W szeregach pięćdziesięcioosmioletnich szefów kancelarii prawnych, jak sądzę.

– Mogę zadać ci osobiste pytanie? Obiecuję, że nie tylko z ciekawości. – Urwała, albo dla efektu, albo z ciekawości. – Chcę wiedzieć o twoim rozwodzie.

– Co chcesz wiedzieć?

– Mniej więcej wszystko.

– Och, biedna Judy. Chyba rozumiem. To nigdy nie jest łatwe. Nawet rozwód z Harrym Beeversem nie należał do łatwych.

– Był niewierny.

– Oczywiście, że był niewierny. Każdy jest niewierny. – Ton Pat wcale nie brzmiał cynicznie.

– Michael nie był.

– Ale ty tak, co, jak zakładam, jest jednym z prawdziwych tematów tej rozmowy. Ale jeśli chcesz wiedzieć, dlaczego zostawiłam Harry'ego, to chyba nie mam nic przeciwko, żeby trochę o tym porozmawiać. W pewnym sensie prawdziwym powodem było ła Thuc.

– Och, daj spokój.

– To, co zrobił w ła Thuc. Nawet nie wiem co. Myślę, że nikt inny też nie wie.

– Chcesz powiedzieć, że jednak zabił te dzieci?

– Jestem pewna, że zabił te dzieci, Judy, ale mówię o czymś innym. Nie wiem, co zrobił, i nie chcę wiedzieć. W każdym razie byliśmy dziesięć lat po ślubie, gdy pewnego ranka przyglądałam mu się, jak przed lustrem zawiązuje muszkę, i wtedy zrozumiałam, że nie mogę dłużej z nim żyć.

– Co?

– To zbyt ponure. Nie wiem. Charles powiedział mi, że jego zdaniem Harry ma w sobie demona.

– Rozwiodłaś się, bo miałaś mistyczne uczucie w związku z czymś, co wydarzyło się dziesięć lat wcześniej, za co Harry stanął przed sądem i z czego został uniewinniony?

– Rozwiodłam się, bo nie mogłam znieść myśli, że może znowu mnie dotknąć. – Milczała przez chwilę. – Nie był taki jak Michael. Michael czuje, że musi odpokutować za to, co się tam wydarzyło, ale Harry niczego nie żałował, nawet przez sekundę.

Judy nie mogła nic na to powiedzieć.

– Więc patrzyłam, jak wiąże muszkę, i wtedy po prostu zrozumiałam, i jeszcze zanim uświadomiłam sobie, że zamierzam to powiedzieć, powiedziałam mu, że musi się wyprowadzić i dać mi rozwód.

– Co zrobił?

– W końcu dotarło do niego, że nie żartuję, i odszedł bez większego zamieszania, by ochronić swoją pracę u Charlesa. – Po chwili dodała: – Oczywiście uznałam, że powinnam regularnie płacić mu alimenty, i płacę. Harry może do końca życia żyć na przyzwoitym poziomie bez pracy.

Jaki jest przyzwoity poziom? – zastanawiała się Judy. Dwadzieścia tysięcy dolarów? Pięćdziesiąt tysięcy? Sto tysięcy?

– Rozumiem, że interesują cię praktyczne aspekty rozwodu – podjęła Pat.

– Nie dasz się oszukać, prawda?

– Wszyscy inni próbują, dlaczego nie ty? – Pat roześmiała się nieco teatralnie. – Michael coś powiedział?

– Wystarczająco. – Cisza. – Nie. – Cisza. – Nie wiem. Jest trochę oszołomiony z powodu Tyny.

– Więc nie rozmawiałaś z nim o tym.

– Jest tak, jakby... Po prostu tonie, znikając z pola widzenia, i nie pozwala, żebym z powrotem wciągnęła go na łód. Na mój łód, ze mną.

Pat zaczęła, aż Judy przestanie płakać do słuchawki, i zapytała:

– Powiedziałaś mu o mężczyźnie, z którym się spotykałaś, kiedy go nie było?

– Zapytał mnie! – zawyla Judy, znowu tracąc kontrolę. – Nie żebym chciała to ukryć, nie... Chodzi o to, jak zapytał. „Jak... znalazłaś kluczyki do samochodu?”. Był o wiele bardziej zainteresowany tą dziewczynką, Stacy Talbot, niż mną. Wiem, że nienawidzi Boba.

– Miłego, statecznego faceta, który żegluje i gra w tenisa.

– Zgadza się.

– Nieważne, ale nie wiedziałam, że się znają.

– Poznali się kiedyś na szkolnym przyjęciu bożonarodzeniowym i Michael uznał go za zarozumiałca. Może Bob jest trochę zarozumiały. Ale jest też bardzo oddany pracy, uczy angielskiego w liceum, ponieważ uważa, że to ważne. Nie musi tego robić.

– Wygląda na to, że Michael zdecydował, że nie musi zachować praktyki. – „Ani małżeństwa”, dodała w duchu Pat.

– Dlaczego? – zapytała Judy płacząco. – Dlaczego tak ciężko pracował, żeby ją zdobyć, skoro nie chce się jej pozbyć?

Nie o to naprawdę pytała. Pat nie odpowiedziała.

– Boję się – kontynuowała Judy. – To takie upokarzające. Nienawidzę tego.

– Myślisz, że masz przyszłość ze swoim przyjacielem?

– Bob Bunce ma w swoim życiu niewiele dodatkowego miejsca. – Judy mówiła teraz takim tonem, jakby miała idealnie suche oczy. – Mimo że wydaje się, że nie ma niczego poza miejscem w swoim

życiu. Ma sportowy samochód. Ma żaglówkę i swój tenis. Ma pracę i uczniów. Ma Henry'ego Jamesa. Ma matkę. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zrobił miejsce dla żony.

– Ale przecież nie zaczęłaś się z nim spotykać z myślą, że go poślubisz.

– To żadna pocięcha. Zaczekaj chwilę... – Judy najwyraźniej odłożyła słuchawkę i zniknęła na kilka minut. Pat Caldwell słyszała coś, co brzmiało jak grzechot kostek lodu wyluskiwanych z metalowej foremki. Rozległ się brzęk szkła o szkło. – Pan Bunce lubi whisky dostarczaną w niebieskiej torebce ze sznurkiem. Poczęstowałam się. Może powinnam kazać mu wejść do niebieskiej torebki ze sznurkiem.

Pat słyszała brzęk kostek lodu, gdy Judy podniosła albo opuściła szklanę.

– Nigdy nie czujesz się samotna? – zapytała Judy.

– Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebować – powiedziała Pat. – Przyjdę i dotrzymam ci towarzys-

Pogrzeb

1

– Co masz na myśli, mówiąc, że będzie policja? – zapytała Judy. – Moim zdaniem to niedorzeczne.

Była dziesiąta następnego ranka. Poole wioził Harry’ego Beeversa i Conora Linklatera na północ do miasteczka Milburn w stanie Nowy Jork, na pogrzeb Tiny Puma. Jechali dwie godziny i dzięki wskazówkom Harry’ego zgubili się, szukając skrótu. Teraz Harry siedział na przednim fotelu audi Michaela i bawił się gałką potencjometru; Judy siedziała z tyłu z Conorem i rozłożoną mapą.

– Nie rozumiesz podstawowej rzeczy o pracy policji – powiedział Harry. – Zawsze jesteś taka agresywna w swojej ignorancji?

Judy otworzyła oczy i usta, a Harry pośpiesznie dodał:

– Przepraszam, przykro mi, nie powinienem tego mówić. Wybacz, wybacz. Odbieram śmierć Tiny bardzo osobiście i jestem trochę drażliwy. Szczerze, Judy, przepraszam.

– Kieruj się znakami do Binghamton – zasugerował Conor. – Przypuszczam, że jesteśmy około czterdziestu pięćdziesięciu mil od celu. Możesz znaleźć coś poza tym hałasem?

– To sprawa o morderstwo – kontynuował Harry. Zignorował Conora, lecz mimo to zmienił stację. –

Poważna sprawa. Ten, kto ją prowadzi, będzie na pogrzebie, będzie przyglądać się nam i wszystkim innym. To jego szansa na poznanie postaci. Poza tym myśli, że morderca Tiny może zjawić się na pogrzebie. Gliny zawsze przychodzą na pogrzeby.

– Szkoda, że Pat nie mogła jechać z nami – odezwała się Judy. – I nienawidzę big-bandów, całej tej udawanej nostalgii.

Harry wyłączył radio.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu wśród zaśnieżonych pustych pól i ciemnych kęp drzew, prostych jak żołnierze w szyku. Na śniegu wyraźnie wyróżniały się szare i czarne szramy. Od czasu do czasu pojawiał się jakiś dom, jak miraż między polami a lasami. Mapa szeleściła w rękach Conora, a Judy cicho pociągała nosem. Przeszłość umarła, pomyślał Michael, umarła jako część teraźniejszości, więc teraz naprawdę jest tylko przeszłość.

Kiedy wrócił do Westerholmu, zdenerwowana Judy powitała go pocałunkiem, w którym poczuł smak urazy. Dom. Pytała o Singapur, o Bangkok, o podróżowanie z Harrym Beeversem; nalała miarkę drogiej whisky, którą z pewnością kupiła na tę chwilę i którą, jak zauważył, porządnie naruszyła podczas jego nieobecności. Poszła za nim na górę i patrzyła, jak się rozpakuje. Poszła za nim do łazienki, podczas gdy napełniał wannę. Wciąż siedziała w łazience, słuchając okrojonej przez niego wersji podróży, kiedy zapytał, czy dobrze się bawiła na kolacji z Bobem Bunce’em.

Energicznie skinęła głową.

Pamiętał tylko, że spytał, ale miał wrażenie, że na niego wrzasnęła albo czymś w niego rzuciła. Podniosła szklankę i wypila łyk whisky.

Zadał pytanie, na które znał już odpowiedź, a ona szybko, stanowczo zaprzeczyła.

„W porządku” – mruknął, ale wiedział, i ona o tym wiedziała. Dopiła drinka i wyszła z łazienki.

– Trudno uwierzyć, że Tina Pumo pochodził z takiego miejsca – powiedziała Judy. – Wydawał się taki wytworny. Czy Tina zawsze nie wydawał się wytworny?

Zgadza się, uświadomił sobie Michael z szokiem: w jej oczach Tina był wytworny.

– Dobrze wyglądałoby na jego nagrobku – powiedział Conor. – „Tu spoczywa wytworny sukinyń”.

Katedra św. Michała, zaskakująco imponująca jak na tak małe miasteczko, umniejszała grupę wiernych, którzy zebraли się na pogrzebie Anthony'ego Francisa Puma. Z miejsca, gdzie stali żałobnicy wyznaczeni do niesienia trumny, Michael widział garstkę starsuszek, sześciu ogorzałych mężczyzn, którzy z pewnością chodzili z Tiną do szkoły, kilka młodszych par, samotnych starszych mężczyzn i kobiety, piękne w swej bezrefleksyjnej godności, i chudego Azjatę trzymającego za rękę śliczne dziecko. Vinh i jego córka. Z tyłu kościoła stał wysoki wążacz w porządnym garniturze i młodszy mężczyzna w jeszcze porządniejszym garniturze, o nieco znajomej łobuzerskiej twarzy. Wśród żałobników był krępy szorstki mężczyzna z szerszą, mniej interesującą wersją twarzy Tiny, oraz niski, potężnie zbudowany starzec o masywnych ramionach i dłoniach jak szufle: brat Tiny, który prowadził sklep z tłumikami, i jego ojciec, emerytowany rolnik.

Kościasty sędziwy ksiądz o lśniących siwych włosach opisał nieśmiałego, gorliwego ucznia, który służył „z wielkim honorem i wyróżnieniem w Wietnamie” i „udowodnił swoją wewnętrzną siłę, triumfując na burzliwych wodach branży restauracyjnej w mieście, które ostatecznie odebrało mu życie”. Tak to stąd wyglądało – jedno z ich dzieci zawędrowało do lasu Nowego Jorku i padło ofiarą dzikich zwierząt.

Na cmentarzu Pleasant Hill Michael stał obok Judy, Beevera i Conora, podczas gdy ksiądz odprawiał nabożeństwo. Od czasu do czasu spoglądał na szare granitowe chmury. Zdawał sobie sprawę, że Tommy Pumo, brat Tiny, patrzy na Vinha z jawną wrogością. Najwyraźniej Tommy miał trudny charakter.

Najpierw ojciec i brat, potem wszyscy po kolei rzucili grudy ziemi na opuszczoną trumnę.

Poole cofnął się od krawędzi grobu i usłyszał donośny głos dochodzący z dołu wzgórza. Zobaczył, że w pobliżu rzędu zaparkowanych samochodów Tommy Pumo macha rękami przed dobrze ubranym mężczyzną, którego twarz wydała mu się znajoma w katedrze. Brat Puma zrobił wściekły, niemal dumny krok do przodu. Mężczyzna uśmiechnął się i coś powiedział; Tommy Pumo skrzywił się i zrobił następny krok.

– Zobaczmy, co się dzieje – powiedział Beevers. Ruszył na dół, w stronę grupki ludzi zastających w pobliżu samochodów.

– Przepraszam pana. – Poole usłyszał głos tuż za plecami. Obejrzał się i zobaczył wysokiego wążacza, który był w kościele. Widziane z bliska wąsy były gęste i lśniące, jednak mężczyzna nie sprawiał wrażenia próżnego, emanował spokojnym autorytetem i wydawał się przywykły do rozkazywania. Wyższy od niego o cal, był mocnej budowy. – Doktor Poole? Pan Poole?

Harry zatrzymał się na boku i stał nieruchomo, patrząc na mężczyznę.

– Pan Beevers?

Twarz Beevera wygładziła się, jakby właśnie usłyszał wielki komplement.

– Porucznik Murphy – przedstawił się mężczyzna. – Jestem detektywem prowadzącym śledztwo w sprawie śmierci przyjaciela panów.

– Aha – mruknął Beevers do Judy.

Murphy uniósł gęste brwi.

– Zastanawialiśmy się, kiedy pana spotkamy.

Murphy przyswoił wyjaśnienie powoli, z łatwością.

– Chciałbym porozmawiać z panami w domu ojca. Zamierzaliście tam wstąpić przed powrotem do miasta?

– Jesteśmy do pańskiej dyspozycji, poruczniku – oznajmił Harry.

Murphy odwrócił się z uśmiechem i szedł ze wzgórza.

Beevers uniósł brwi i ruchem głowy wskazał Judy, bez słowa pytając Poole'a, czy powiedział jej o Underhillu. Poole zaprzeczył bez słowa. Patrzyli, jak detektyw u stóp wzgórza zamienia kilka słów z ojcem Puma.

– Murphy – powiedział Beevers. – Czy to nie jest idealne? Jak tu nie wierzyć w stereotypy?!

– Dlaczego chce z wami rozmawiać? – zapytała Judy.

– Sprawdzanie przeszłości, wypełnianie luk, uzyskiwanie pełnego obrazu. – Beevers wepchnął ręce do kieszeni płaszcza i obrócił się, żeby spojrzeć na grób. Teraz stało tam tylko kilka starszych osób. – Mała Maggie się nie zjawiła, cholera. Ciekawe, co powiedziała Murphy'emu o naszej małej wycieczce.

Zamierzał coś dodać, ale zamknął usta, gdy zbliżył się do nich kolejny żałobnik. To był człowiek, na którego krzyczał Tommy Pumo.

– Dobry glina, zły glina – szepnął Beevers i odwrócił się, niemalże pogwizdując.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo do Poole'a i Judy i przedstawił się jako David Dixon, prawnik Tiny.

– Z pewnością są panowie jego starymi kolegami z wojska. Miło panów poznać. Ale czy my już się nie znamy? – Dixon i Michael ustalili, że spotkali się w Sajgonie kilka lat temu.

Beevers wrócił do grupy i Michael dokonał prezentacji.

– Miło, że pan przyszedł – powiedział Beevers.

– Tina i ja spędzaliśmy ze sobą dużo czasu, pracując nad różnymi drobiazgami. Chciałbym myśleć, że byliśmy przyjaciółmi, nie tylko prawnikiem i klientem.

– Najlepsi klienci zostają przyjaciółmi – oznajmił Harry, natychmiast przyjmując profesjonalną pozę, którą Poole widział w Waszyngtonie. – Nawiasem mówiąc, jestem prawnikiem.

Dixon nie zwrócił większej uwagi na jego słowa.

– Próbowałem namówić Maggie Lah, żeby przyjechała tu ze mną, ale uznała, że sobie nie poradzi. Poza tym nie wiedziała, jak odniesie się do niej rodzina Tiny.

– Masz numer Maggie? – zapytał Harry. – Chciałbym się z nią skontaktować, więc jeśli...

– Tina w tej chwili – przerwał mu Dixon.

Michael zapełnił ciszę, pytając o wietnamskiego szefa kuchni. Zastanawiał się, czy mężczyzna udał się na stypę z innymi żałobnikami.

Dixon zaśmiał się.

– Nie byłby tam mile widziany. Nie widział pan, jak Tommy Pumo wariował tam, na dole?

– Śmierć brata musiała być dla niego ciężkim ciosem – stwierdziła Judy.

– To bardziej chciwość niż żal – powiedział Dixon. – Tina zostawił wszystko, łącznie z restauracją i mieszkaniem, osobie, która według niego najbardziej mu pomogła w odniesieniu sukcesu.

Wszyscy skupili na nim uwagę.

– Czyli, tak się składa, Vinhowi. Vinh poprowadzi restaurację. Powinniśmy otworzyć się mniej więcej zgodnie z planem.

– Bratu zależało na restauracji?

– Tommy chciał pieniędzy. Wiele lat temu Tina zapożyczył się u ojca, żeby kupić parter i piętro swojego budynku. Możecie sobie wyobrazić, co się stało z wartością nieruchomości. Tommy myślał, że się wzbogaci, i jest wściekły jak wszyscy diabli.

U stóp wzgórza starsi państwo, którzy wcześniej ociągali się przy grobie, nieśmiało podeszli do Michaela. Zaproponowali, że wskażą mu drogę do domu Puma.

Kiedy jechali długim nieutwardzonym podjazdem obok grubych starych dębów w kierunku schłodzonego piętrowego wiejskiego domu z werandą, starsza pani, ciotka Tiny, powiedziała:

– Zjedź z podjazdu i zatrzymaj się obok domu. Każdy to robi. Ed i ja zawsze tak robimy. – Zwróciła się do Conora, który trzymał Judy na kolanach. – Nie jesteś żonaty, prawda, młody człowieku?

– Nie.

– Cóż, chcę, żebyś poznał moją córkę. Na pewno będzie pomagać przy podawaniu jedzenia i kawy. Ładna dziewczyna nazwana po mnie. Grace Hallet. Koniecznie wciągnij ją w pogawędkę.

– Grace.

– Chętnie pomogę pani córce wydawać miód i placek ze słodkich ziemniaków – powiedział Harry. – Co pani sądzi o mnie?

– Och, ty jesteś zbyt sławny, ale ten tutaj to swój chłop. Pracujesz rękami, prawda?

– Jako stolarz – odparł Conor.

– To widać – skomentowała Grace.

3

Ledwie przestąpili próg, Walter Pumo, ojciec Tiny, wziął Michaela i Beeversa na stronę i powiedział, że chce z nimi porozmawiać na osobności. Stół w jadalni ugiął się pod ciężarem jedzenia – pokrojona szynka, indyk, naczynia wielkości łódek pełne sałatki ziemniaczanej, półmiski wędlin i kubki musztardy, zakalcowate muffinki i osetki masła. Mężczyźni krążyli wokół stołu, trzymając talerze i rozmawiając. Resztę pokoju zapełniały kobiety. Ktoś złapał Conora za rękę i przedstawił go bardzo ładnej młodej blondynce o pogodnym, roztargnionym sposobie bycia, który przywodził na myśl pospawany pancerz.

– Wiem, gdzie znajdziemy trochę wolnego miejsca – powiedział im Walter Pumo. – Przynajmniej mam nadzieję. Wasz przyjaciel, jak się zdaje, jest zajęty młodą Grace.

Prowadził ich korytarzem na tyły domu.

– Jeśli tu przyjdą, to ich wykurzymy. – Był o głowę niższy od obu mężczyzn i szeroki jak obaj razem. Jego ramiona niemal muskały ściany korytarza.

Starzec wetknął głowę przez drzwi.

– Wejdźcie, chłopcy.

Michael i Beevers weszli do małego pokoju ze starą skórzaną kanapą, okrągłym stołem zasłanym czasopismami rolniczymi, metalową szafką na akta i niechlujnym biurkiem z kuchennym krzesłem. Ściany pokrywały wycinki, oprawione zdjęcia i certyfikaty.

– Moja świętej pamięci żona nazywała to miejsce norą. Nie cierpiałem tego słowa. Niedźwiedzie mają nory, borsuki mają nory. „Nazywaj to moim biurem”, mawiałem, ale ilekroć tu wchodziłem, ona pytała: „Idziesz zaszyć się w swojej norze?”.

Ojciec Tiny usiadł okragiem na kuchennym krześle i wskazał kanapę. Uśmiechnął się do nich i Michael stwierdził, że bardzo go lubi.

– Wszystko się w człowieku zmienia, prawda? – podjął starzec. – Swego czasu byłem pewien, że wiem o moim chłopcu więcej niż ktokolwiek inny na świecie. O obu moich chłopcach. Teraz nawet nie wiem od czego zacząć. Poznaliście Toma?

Michael skinął głową. Niemal czuł zniecierpliwienie Harry’ego.

– Tommy jest moim synem i kocham go, ale nie mogę powiedzieć, że bardzo go lubię. Jego nie obchodzi, czy się go lubi, czy nie. Jest jednym z tych ludzi, którzy głównie chcą tego, co do nich przychodzi. Ale Tina... Tina poszedł w świat, jak podobno robią synowie. Wy dwaj młodzi znalście go lepiej niż ja i dlatego chciałem przez chwilę z wami pogadać.

Michael poczuł się nieswojo. Harry Beevers zakładał prawą nogę na lewą i na odwrót.

– Chcę go zobaczyć – mówił starzec. – Pomóżcie mi go zobaczyć. Nie zaskoczy mnie nic, co powiecie. Jestem gotów wysłuchać wszystkiego.

– Był dobrym żołnierzem – powiedział Harry.

Starzec spuścił wzrok, walcząc ze swoimi uczuciami.

– Posłuchaj, w końcu wszystko jest swego rodzaju tajemnicą. Posłuchaj mnie, poruczniku. Ta ziemia tutaj... mój dziadek orał ją, nawoził i przez całe życie obserwował, jak wpływa na nią pogoda, i mój ojciec robił to samo, i ja też, przez prawie pięćdziesiąt lat. Tommy’emu brakowało miłości potrzebnej do takiej pracy, a Tina w ogóle nie widział farmy, zawsze patrzył na świat. Ostatnim razem, gdy moje nazwisko pojawiło się w tutejszej gazecie, nazwano mnie deweloperem. Nie jestem deweloperem, ale też nie jestem farmerem. Jestem synem farmera, oto kim jestem... Cholernie dobrze być synem farmera. – Spojrzał na Michaela i ten poczuł, że przenika go prąd. – Powołali Tinę. Tommy był za młody, ale Tina pojechał na wojnę. Był chłopcem, pięknym chłopcem. Nie sądzę, żeby był z niego dobry żołnierz. Palił się do życia. Kiedy wrócił, już nie wiedział, kim jest.

– Nadal twierdzą, że był dobrym żołnierzem – powiedział Beevers. – Był mężczyzną. Może pan być z niego dumny.

– Wiesz, co mi mówią, że Tina był mężczyzną? Zostawił swój majątek komuś, kto na niego zasłużył. Tommy chciał się sądzić, ale wybiłem mu to z głowy. I rozmawiałem z tą dziewczyną przez telefon. Maggie. Polubiłem ją. Wiedziała, co myślę, zanim cokolwiek powiedziałem. Mężczyzna może spotkać taką kobietę w swoim życiu, jeśli dopisze mu szczęście. Wiecie, sama o mało nie zginęła. – Pokręcił głową. – Ale nie pozwalałam wam mówić, chłopcy.

– Tina był dobrym człowiekiem – powiedział Michael. – Był odpowiedzialny i wspinałomyślny. Nie lubił bzdur i kochał swoją pracę. Wojna dotknęła każdego, kto brał w niej udział, ale Tina wyszedł z niej szczęśliwie, lepiej niż większość.

– Miał zamiar poślubić tę Maggie?

– Możliwe – odparł Poole.

– Mam nadzieję, że wyszłaby za niego.

Michael nic nie powiedział, widząc, że starzec szykuje się do zadania następnego pytania.

– Co się z nim tam stało? Dlaczego musiał się bać?

– Po prostu tam był – odrzekł Michael.

– Było tak... jakby wiedział, że coś po niego idzie. Był na to przygotowany. – Znów spojrzał prosto na niego. – Mój dziadek dałby temu gliniarzowi w łapę, wyprowadził zabójcę na pole i zatłukł go na śmierć. A przynajmniej myślałby o tym przez długi czas. Ja nawet już nie mam pola.

– Trochę za wcześnie, żeby przekupywać porucznika Murphy’ego – zaznaczył Beevers.

Starzec położył ręce na kolanach.

– Myślałem, że Murphy rozmawiał z wami na Pleasant Hill.
– Przepraszam – powiedział Beevers. – Przerwa.
Ojciec Puma odchylił się na krześle i patrzył, jak Beevers wychodzi z pokoju. Obaj mężczyźni słyszeli, jak skręca w lewo, w stronę salonu.
– Tina nie lubił tego gościa.
Michael uśmiechnął się.
– Ciebie lubił, doktorze. Mogę mówić ci Michael?
– Pewnie.
– Murphy, gdy tylko się zjawił, powiedział mi, że dziś rano policja zgarnęła człowieka. Jeszcze go nie zidentyfikowali. Tak czy inaczej, myślą, że to on zabił mojego chłopca.
Niedługo później wyszli z biura i wrócili do salonu. Tłum krewnych otoczył Waltera Puma i wciągnął go w rozmowę. Judy spojrziała na Michaela spod zmarszczonych brwi z drugiego końca pokoju, gdzie gawędziła z nieco starszym mężczyzną.
Harry Beevers chwycił go za łokieć i pociągnął do łukowatego wejścia. Próbuując ukryć udękę, zrobił się taki sztywny, że ledwie mógł się pochylić. Syknął do ucha Michaela:
– To straszne, Michael. Dopadli go! Przyznał się!
Nad niebieskim prążkowanym ramieniem Harry’ego Michael zobaczył, że porucznik Murphy idzie ku nim z drugiego końca pokoju.
– Szpitalny?
– A kóżby inny, cholera?
Porucznik Murphy podszedł dość blisko, żeby obdarzyć ich obu poufnym, niemal konspiracyjnym spojrzaniem, które zadziało podobnie jak rozkaz.
– Uspokój się – powiedział Michael.
Wysoki policjant zatrzymał się obok nich.
– Chciałem przekazać panu dobre wieści. Chyba że słyszał już pan o tym od pana Beeversa.
– Nic nie mówiłem – zaznaczył Beevers.
Murphy spojrział na niego pobłaźliwie.
– Mamy coś, co wygląda na przyznanie się do winy. Jeszcze nie widziałem podejrzanego, ponieważ jechałem tutaj, kiedy zatrzymano go pod innym zarzutem. Przyznał się podczas przesłuchania.
– Jakim zarzutem? Jak się nazywa?
– Ten człowiek jest trochę oderwany od rzeczywistości, jak sądzę, i nie podaje prawdziwego nazwiska. Mam nadzieję, że zgodzicie się rzucić na niego okiem.
– Dlaczego mielibyśmy go oglądać? – zapytał Beevers. – Już się przyznał.
– Cóż, sądzimy, że mogli panowie poznać go w Wietnamie. Możliwe, że nawet nie pamięta swojego prawdziwego nazwiska. Chcę mieć pewność, kim jest, i chciałbym, żebyście mi pomogli.
Poole i Beevers zgodzili się przybyć na komisariat w Greenwich Village w następnym poniedziałek.
– Aresztowaliśmy faceta pod zarzutem usiłowania zabójstwa, rozboju z użyciem broni i napaści z zamiarem zabicia – wyjaśnił Murphy. – Historia jest trochę dziwna. Facet dostał szału w kinie na Times Square podczas seansu *Bloodsucking Freaks* czy innego tego typu arcydzieła. Wyciągnął nóż i zaczął odcinać głowę facetowi, który położył rękę na jego kroczu. Kiedy mniej więcej skończył, zajął się ludźmi siedzącymi przed nim. Najwyraźniej nie zauważyli, że tuż za nimi ktoś jest dekapitowany. W każdym razie ci z przodu podnieśli taki raban, że bramkarz rzucił się na faceta. Dostał nożem w płuco za swoje starania, a w tym czasie nasz bohater wygłaszał przemowę, że grzesznicy tego świata wystarczająco długo go poniżali i teraz zamierza wyrównać rachunki. Zaczynając od Czerdziejstiej Drużej Ulicy.
Conor Linklater i młoda Grace przyszli posłuchać detektywa. Młoda Grace chwyciła Conora za rękę.
– Tak oto mamy jednego dżgniętego bramkarza, jednego wykrwawiającego się na śmierć mężczyznę, dwie osoby z mniej poważnymi ranami kłutymi, i całe kino odchodzące od zmysłów.
Murphy był showmanem i uwielbiał znajdować się w centrum uwagi. Jego brwi wygięły się w łuk, oczy mu błyszczały.
– W każdym razie ten facet w końcu wywołał takie zamieszanie, że musiał uciec do holu. Ktoś do nas zadzwonił i czterech policjantów osaczyło go przy ladzie z popcornem. Zabraliśmy go na komisariat i spisaliśmy zeznania kilkunastu świadków. Zabawne, w drodze facet był zupełnie spokojny. Powiedział, że nie chciał sprawić tylu kłopotów. Ostatnio coś nie dawało mu spokoju i nie mógł dłużej wytrzymać. Ma nadzieję, że nie zatrzymamy go na długo, bo ma ważne rzeczy do zrobienia dla Pana. Gdy go zamknęliśmy i oświadczyliśmy, że zostanie z nami przez jakiś czas, powiedział: „No tak, chyba

powiniście wiedzieć, że w zeszłym tygodniu zabiłem tego człowieka, Pumo, na piętrze nad restauracją przy Grand Street”.

Conor spojrzął w dół i pokręcił głową; Harry Beevers zacisnął usta i zamrugał.

– Doskonale opisał poddasze, ale jest kilka kwestii, z których nie jesteśmy zadowoleni. Zatem po okazaniu chciałbym z wami trzema omówić parę rzeczy.

Kiedy Murphy ich zostawił, Judy przyszła z jadalni.

– Rozmawialiście z tym detektywem? Wszyscy mówią, że złapali człowieka, który zabił Tinę.

– Na to wygląda – powiedział Michael. Przekazał jej, że poproszono go o udział w okazaniu.

4

Przez całą niedzielę Poole’wie odnosili się do siebie z nienaganną uprzejmością, która mogła sugerować postronnemu obserwatorowi, że są dwojgiem względnie obcych, trochę nieprzyjaźnie nastawionych do siebie osób w neutralnym otoczeniu. Był to od powrotu Michaela z Bangkoku pierwszy pełny dzień, który spędzili razem, i powierzchnia ich wspólnego życia wydawała się cienka jak skorupka jajka. Michael widział, że Judy chce „zostawić przeszłość za sobą”, co w ich przypadku oznaczałoby życie dokładnie w taki sposób, w jaki żyli przez cztery lata od śmierci syna. Gdyby mógł wybaczyć jej romans – wybaczyć poprzez owinięcie go warstwami milczenia – Judy pragnęła, by do niego nie doszło.

Judy przyniosła do łóżka kubek kawy i „Sunday Timesa”. Czując się dziwnie bardziej obowiązkowo niż ona, Michael wypił kawę i przeglądał gazetę, podczas gdy ona siedziała obok niego i wesoło opowiadała o tym, co się działo w szkole przez ostatnie tygodnie. W ten sposób mówiła, że to zwyczajne życie; tak właśnie żyjemy. Nie pamiętasz go? Czy to nie jest dobre?

Razem przebrnęli przez ten dzień. Zjedli brunch w General Washington Inn: Krwawe Mary, marynowana okra i poczemniały lucjan, bo był akurat „festiwal cajuński”. Odbili długi spacer po okolicy, mijając brunatne zimowe trawniki usiane tablicami na sprzedaż i nowymi domami wznoszącymi się jak fantazje ze szkła i chromu na zrytych koleinami parcelach.

Spacer zakończył się przy długim stawie z kaczkami pośrodku małego parku Thurlow. Krzyżówki spokojnie pływały parami, każdy zielonogłowy samiec stanowczo odganiał inne, które zbliżały się do jego partnerki. Michael siedział na ławce nad stawem i przez chwilę żałował, że nie jest w Singapurze.

– Jak było uprawiać seks po tak długim czasie? – zapytał.

– Niebezpiecznie – odparła.

Odpowiedź była lepsza, niż się spodziewał.

Po chwili dodała:

– Michael, to jest nasze miejsce.

– Nie wiem, gdzie jest moje miejsce.

Powiedziała mu, że użala się nad sobą; za tymi słowami kryło się założenie, że ich życie jest naprawione, nieuniknione; ich życie jest życiem.

Michaelowi wydawało się, że cały ten dzień przydarza się komuś innemu. Tak muszą czuć się aktorzy, pomyślał, i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że przez cały dzień odgrywał rolę męża.

Postanowił wcześniej pójść spać i zostawił Judy, która z widocznym zadowoleniem oglądała *Masterpiece Theatre*. Rozebrał się, włożył piżamę i szczotkował zęby, czytając recenzje książek w rubryce Newgate Callendar „Timesa”.

Judy zaskoczyła go, gdy weszła do łazienki i mrugnęła do jego odbicia w lustrze. Zdumiewające było również to, że miała na sobie różową satynową koszulkę nocną i wyraźnie zamierzała pójść do łóżka przed końcem *Masterpiece Theatre*.

– Niespodzianka! – zawołała.

Osoba, którą grał, powiedziała:

– Cześć.

– Mogę do ciebie dołączyć? – Sięgnęła po swoją szczoteczkę i trąciła go, przesuwając kawałeczek w bok. Zmoczyła szczoteczkę, wycisnęła na nią gruby zawijas pasty i podniosła do ust. Zanim ją włożyła, akurat gdy płukał usta, zapytała jego twarz w lustrze: – Jesteś zaskoczony, prawda?

Wtedy zrozumiał: ona też gra. To było bardzo pocieszające. Odrobina prawdziwości w takiej scenie sprawiłaby, że straciliby rozum z bólu i strachu.

Kiedy wychodził z łazienki, pomachała wolną ręką.

– Pa.

Michael na cudzych stopach przeszedł na swoją stronę łóżka, cudzymi palcami zapalił lampkę nocną i wyciągnął nogi nieznanego na łóżku nieznanego. Podniósł *Ambasadorów* i z nieproporcjonalną ulgą odkrył, że czyta naprawdę on, a nie osoba, którą udawał.

W powieści niejaki Strether został wysłany do Paryża, by sprowadzić stamtąd młodzieńca podejrzanego o rozpustne życie. Strether szybko stwierdził, że Paryż wcale nie zepsuł, tylko wzmocnił Chada Newsome'a, który wcale nie miał pewności, czy powinien wrócić. Sam Strether tygodniami przedłużał pobyt w Paryżu, odkrywając coraz to nowsze, subtelniejsze, lepsze smaki oraz wyrafinowanie obyczajów i uczuć – żył pełną piersią i w zgodzie ze sobą. I też nie chciał wracać do domu.

Gdy tylko Michael zaczął czytać, zdał sobie sprawę, że ma wiele wspólnego ze Stretherem. Oni również wyruszyli na poszukiwanie zepsutego człowieka i stwierdzili, że w rzeczywistości jest inny i lepszy, niż się spodziewali. Zastanawiał się, czy Strether zaciśnie zęby i wróci do domu. To było bardzo interesujące pytanie.

Judy wsunęła się na swoją połowę łóżka i przysunęła się bliżej niego niż zwykle.

– Świetna książka – powiedział. Wypowiedź prawie nie była kwestią. Prawie.

– Z pewnością cię wciągnęła.

Opuścił książkę, żeby sprawdzić, czy Judy nadal gra, i od razu zobaczył, że tak.

– Chyba mylisz mnie z Tomem Brokawem.

– Nie chcę cię stracić, Michael. – Grała na całego, ale tak, jakby wkładała w to serce. – Odlóż książkę.

Położył książkę na szafce nocnej i pozwolił, by Judy wsunęła się w jego ramiona. Pocałowała go. Udawał, że ją całuje. Wsunęła rękę pod gumkę jego pizamy i zaczęła go pieścić.

– Naprawdę to robisz?

– Michael – wymruczała. W okamgnieniu ściągnęła różową koszulkę.

Odwzajemniał pocałunek z prawdziwym zapalem aktora. Jego penis drgnął, gdy masowała go i ścisnęła, ale jego penis nie umiał grać, i nic więcej się nie stało.

Objęła go i wsunęła się na niego. Zniknął humor w całej tej grze aktorskiej i został tylko smutek. Judy wyla się na nim przez jakiś czas, gorączkowo całując go po twarzy i szyi.

Poliznęła go i przycisnęła piersi do jego twarzy. Zapomniał, jak to jest mieć w ustach jej sutki, okrągłe i szelmowskie. Pełen uczucia zagrożenia i agresji przez chwilę wspominał, jak piersi Judy nabrzmiały na początku ciąży, i penis zrywniał w jej dłoni. Ale przesunęła się i poczuł, że prawdziwe emocje przemieniły jej ciało w stal i drewno balsy, i penis z powrotem ułożył się do snu. Judy pracowała nad nim przez długi czas, aż w końcu zrezygnowała i po prostu go przytuliła. Ramiona jej drżały.

– Nienawidziłaś tego robić – powiedział. – Powiedzmy sobie prawdę. Nienawidziłaś tego.

Z niskim dzikim dźwiękiem dartego na pół grubego jedwabiu podniosła się na kolana i bardzo mocno uderzyła go w środek klatki piersiowej. Furia wykrzywiła jej rysy, dzikie oczy płonęły nienawiścią i odrazą. Zsunęła się z łóżka i jej mocne drobne ciało przemknęło przez pokój. Zastanawiał się, ile razy w ciągu ostatnich czterech lat, z rosnącą niepewnością i przewidywaniem niepowodzeń, próbował odbyć stosunek seksualny z tym ciałem. Może ze sto – w ciągu ostatniego roku wcale. Judy chwyciła koszulkę nocną i bezceremonialnie wciągnęła ją przez głowę. Zatraszała drzwi sypialni.

Michael słyszał, jak energicznym krokiem idzie przez swoją garderobę. Skrzypnęło krzesło. Wybrała miejscowy numer na swoim telefonie. Rzuciła słuchawkę tak mocno, że telefon zadzwiczał jak dzwonek. Ciało Michaela zaczęło się rozluźniać i ponownie stało się jego własnym ciałem. Judy znowu wybrała lokalny numer, prawdopodobnie ten sam. Usłyszał jej wdych i wdech, że twarz ma sztywną niczym maska. Telefon brzęknął. Usłyszał, jak cedi „cholera”. Wybrała dziewięciocyfrowy numer, prawdopodobnie Pat Caldwell. Po kilku sekundach zaczęła mówić niskim, zdławionym, ledwie rozpoznawalnym szeptem.

Michael sięgnął po powieść Jamesa i stwierdził, że nie może czytać – słowa ożywały i wierciły się na stronie. Przetarł oczy i strona się wyklarowała.

Strether był na przyjęciu w miejskim ogrodzie rzeźbiarza Glorianiego. Błyskotliwi piękni ludzie krążyli po ogrodzie, płonęły latarnie. Strether rozmawiał z młodą Amerykanką Little Bilham, do której miał duży sentyment. Michael chciałby być w tym ogrodzie, stać z kieliszkiem szampana obok Little Bilham i słuchać Strethera. Czy inni również czytali tę książkę w ten sposób, czy tylko on? „Co raz stracisz, to stracisz, nie popełnij tego błędu”, powiedział Strether. Słyszał mruczenie i mamrotanie Judy, i jej głos był głosem niszycielskiego ducha.

Uświadomił sobie, o czym myślał, akurat wtedy, gdy Judy odłożyła słuchawkę i przeszła przez garderobę, otworzyła drzwi i przemknęła przez pokój z głową odwróconą od niego. Wyszła na korytarz. Słyszał, jak schodzi po schodach. Z kuchni dobiegła seria szmerów i grzechotów. Cokolwiek się wyda-

rzyło, Poole wrócił do swojego prawdziwego życia. Jego ciało znów wydawało się jego prawdziwym ciałem, nie ciałem aktora. Zamknął książkę i wstał z łóżka.

W małej garderobie Judy zadzwonił telefon. Pomyślał, żeby odebrać, potem przypomniał sobie, że zgłosi się automatyczna sekretarka. Podeszedł do drzwi garderoby. Przemówił męski głos.

– Świat toczy się jednocześnie tam i z powrotem, i czy jest boleść podobna do tej, co mnie przytłacza? Będę czekać, już czekam. Potrzebuję twojej pomocy. Wąska ścieżka niknie pod moimi stopami.

Przyszło mu na myśl, że również ten głos jest głosem ducha.

Kiedy wszedł do kuchni, Judy cofnęła się od kuchenki, na której postawiła czajnik, i stanęła plecami do okna, ze zwieszonymi rękami. Patrzyła na niego, jakby był dzikim zwierzęciem, które może ją zaatakować.

Gdyby uśmiechnęła się lub powiedziała coś konwencjonalnego, od razu znów poczułby się jak aktor, ona jednak nie uśmiechnęła się ani nie odezwała.

Michael okrążył wysepkę z litego drewna i oparł się po drugiej stronie. Judy wydawała się mniejsza i starsza niż tamta zaciekla kobieta o dzikich oczach, która go uderzyła.

– Dzwonił twój wariat.

Pokręciła głową i wróciła do kuchenki.

– Wygląda na to, że nie może znaleźć swojej drogi. Wiem, o co mu chodzi.

– Przeستاń. – Uniosła pięści.

Zagwizdał czajnik. Judy opuściła ręce i załapa wrzątkiem kawę rozpuszczalną. Mieszała ją krótkimi urywającymi ruchami.

Wreszcie powiedziała:

– Nie zamierzam stracić wszystkiego, co mam. Może ty straciłeś rozum, ale ja nie muszę rezygnować ze wszystkiego, na czym mi zależy. Pat mówi, że powinnam się uspokoić, ale Pat nigdy nie musiała się o nic martwić, prawda?

– Prawda?

– Wiesz, że tak. – Siorbnęła kawę i skrzywiła się. – Dziwię się, że udało ci się odłożyć tę głupią książkę.

– Skoro myślisz, że jest głupia, dlaczego mi ją dałaś?

Jej spojrzenie umknęło w bok, jak u dziecka przyłapanego na kłamstwie.

– Cały czas dajesz książki swojej małej przyjaciółce. Ktoś dał jedną tobie. Pomyślałam, że pomoże ci się uspokoić.

Oparł się o wysepkę i spojrzał na nią.

– Nie opuszczę tego domu – oznajmiła.

– Nie musisz.

– Nie zostanę z niczym tylko dlatego, że jesteś chory. – Cała jej twarz płonęła przez chwilę, po czym skurczyła się w sobie. – Niedawno Pat opowiadała mi o Harrym. Powiedziała, że ją odpychał, nie mogła znieść myśli, że ją dotknie. Taki właśnie jesteś w stosunku do mnie.

– Jest na odwrót. Ty czujesz do mnie wstręt.

– Jesteśmy małżeństwem od czterech lat, powinnam wiedzieć, co czuje.

– Ja też powinienem. Powiedziałbym ci, co czuję, jak czuję się przez ciebie, ale nie dałabyś wiary.

– Nigdy nie powinienem był wybierać się w tę szaloną podróż. I powinnam zostać w domu, zamiast jechać z Harrym do Milburn. To tylko pogorszyło sytuację.

– Nigdy nie chcesz, żebym gdzieś wyjeżdżał. Myślisz, że zabiłem Robbiego, i chcesz, żebym tu tkwił i dalej za to płacił.

– Zapomnij o Robbie! – wrzasnęła. – Zapomnij o nim! On nie żyje!

– Pójdę z tobą na terapię. Słyszysz? Pójdziemy razem. Oboje.

– Wiesz, kto powinien poddać się terapii! Ty! Ty jesteś chory! Nie ja! Nasze małżeństwo było w porządku, zanim odszedłeś.

– Dokąd odszedłem? – Michael odwrócił się, wyszedł z kuchni i w milczeniu wszedł po schodach.

Długo leżał w łóżku, nasłuchując w ciemności. Z kuchni dochodziły szcęk i grzechotanie, szmer otwieranych i zamykanych szafek. W końcu Judy weszła na górę. Ku jego zaskoczeniu jej kroki zbliżyły się do drzwi sypialni. Zajrzała do środka.

– Chcę ci to powiedzieć, chociaż wiem, że nie uwierzysz. Chciałam, żeby ten dzień był dla ciebie wyjątkowy. Chciałam uczynić go dla ciebie wyjątkowym.

– Wiem.

Nawet w ciemności widział w jej ciele wściekłość, wstręt i rodzaj niedowierzania.

– Idę spać do pokoju gościnnego. Nie jestem już pewna, czy jeszcze jesteśmy małżeństwem, Michael.

Michael leżał z zamkniętymi oczami przez kolejne pół godziny, po czym poddał się, włączył światło i wziął do ręki powieść Henry'ego Jamesa. Książka była idealnym małym ogrodem widzianym z wysoka na dnie wysypiska. Mewy skrzeczały nad wielkimi górami śmieci, po których grasowały szczury, a na samym dole, bezpieczni na stronie książki, mężczyźni i kobiety odziani w intelektualny blask poruszali się w pięknym, nieubłaganym tańcu. Poole ostrożnie schodził z hałd śmieci w kierunku idealnego ogrodu, ale ten cofał się z każdym jego krokiem.

5

Zbudził go szum prysznica. Kilka minut później Judy weszła do sypialni owinięta długim różowym ręcznikiem.

– Cóż, muszę iść do pracy. Nadal upierasz się przy wyjeździe do Nowego Jorku?

– Muszę jechać – powiedział.

Wyjęła z szafy sukienkę i pokręciła głową jakby nad beznadziejnym przypadkiem.

– Pewnie nie znajdziesz czasu, żeby zajrzeć do swojego biura albo do szpitala.

– Mogę wpaść do szpitala.

– Możesz wpaść do szpitala, a potem jechać do Nowego Jorku.

– Zgadza się.

– Mam nadzieję, że pamiętasz, co powiedziałam wczoraj wieczorem. – Zdarła sukienkę z wieszaka i zatrasnęła drzwi garderoby.

Michael wstał z łóżka. Był zmęczony i przygnębiony, ale już nie czuł się jak aktor ani że został umieszczony w nieznanym ciele. Zarówno ciało, jak i poczucie nieszczęścia należały do niego. Postanowił zanieść Stacy Talbot kolejną książkę i przeszukiwał półki, aż znalazł stare popodkreślane *Wichrowe Wzgórze*.

Zanim opuścił dom, zszedł do piwnicy, żeby otworzyć kufer, w którym po śmierci Robbiego schował kilka rzeczy. Nie powiedział o tym Judy, ponieważ nalegała, żeby oddali albo zniszczyli wszystko, co należało do ich syna. Kufer był niezgrabnym reliktem z czasów, kiedy jego rodzice odbywali rejsy wycieczkowe; oboje z Judy zapełnili go książkami i ubraniami, gdy przeprowadzili się do Westerholmu. Michael ukląkł przed otwartym kufrem. Oto piłka do baseballu, koszulka w konie, podniszczony zielony dimetrodon i cały zestaw mniejszych plastikowych dinozaurów. Na dnie leżały dwie książki, *Babar* i *Król Babar*. Wyjął je i zatrasnął wieko.

Okazanie

1

Półtorej godziny później, jadąc jak na automatycznym pilocie w kierunku Manhattanu, Michael w końcu zauważył na drugim fotelu stare podniszczone *Wichrowe Wzgórza* wydane przez Riverside i zdał sobie sprawę, że przez całą wizytę w szpitalu trzymał książkę w dłoni. Jak okulary, których właściciel szuka, mając je na nosie, książka stała się przezroczysta i nieważka. Teraz, jakby odbijając sobie wcześniejszy, pełen taktu wygląd, książka wydawała się gęstsza niż cegła, prawie wystarczająco ciężka, żeby przechylić samochód na resorach. Z początku miał ochotę wyrzucić ją przez okno, a potem podjechać na stację benzynową i zadzwonić do Murphy'ego i powiedzieć mu, że nie może się stawić. Beevers i Linklater zidentyfikują Victora Szpitalny'ego, Maggie powie, że to on próbował ją zabić, i to w zupełności wystarczy.

Zaraz potem przyszło mu na myśl, że potrzebuje czegoś, co wypełni jego dzień rzeczywistością, i jazda do Nowego Jorku na okazanie była równie dobra jak cokolwiek innego.

* * *

Zaparkował w garażu na University Place i poszedł do komisariatu. W ciągu ostatnich kilku dni pogoda się poprawiła i chociaż temperatura wciąż nie przekraczała pięciu stopni, w powietrzu budziło się ciepło. Po obu stronach wąskich ulic Greenwich Village ludzie z pokolenia nieco młodszego niż on chodzili bez płaszczy, uśmiechali się i wyglądali jak wypuszczeni z więzienia.

Jego wyobrażenie o posterunkach policji zostało ukształtowane przez filmy, więc zaskoczyła go nowoczesna płaska elewacja. Komisariat porucznika Murphy'ego wyglądał zupełnie jak szkoła podstawowa. Tylko stalowe litery na bladej fasadzie i stojące przed nią radiowozy ujawniały jego tożsamość.

Kolejną niespodziankę stanowiło wnętrze. Zamiast wysokiego biurka i marszczącego brwi łysego weterana Poole najpierw zobaczył amerykańską flagę obok gabloty z nagrodami, a później młodego mężczyznę w mundurze, pochylającego się ku niemu po drugiej stronie otwartego okna.

– O jedenastej mam się spotkać z porucznikiem Murphym na okazanie – powiedział.

Młody człowiek zniknął; odezwał się brzęczyk. Poole otworzył drzwi obok okna, a młody człowiek zerknął znad podkładki z klipsem.

– Pozostali są na piętrze. Każę komuś pana zaprowadzić.

Poole popatrzył na ubranych po cywilnemu funkcjonariuszy, którzy spojrzeli na niego i wrócili do swoich spraw. Atmosfera krzątający, rozmowy, męskie towarzystwo, wszystko to przypominało mu pokój lekarzy w św. Bartłomieju.

Jeszcze młodszy umundurowany policjant poprowadził go korytarzem obwieszonym tablicami ogłoszeniowymi. Głośno oddychał przez usta. Miał leniwą, mięsistą, nieinteligentną twarz, oliwkową skórę i gruby kark. Ani razu nie spojrzął mu w oczy.

– Na górę – powiedział, gdy dotarli do schodów. Później posapywał i siedł przygarbiony obok niego następnym szkolnym korytarzem. Zatrzymał się przy drzwiach oznaczonych literą B.

Poole otworzył drzwi.

– Mój człowiek – powitał go Beevers.

Opierał się o ścianę z rękami skrzyżowanymi na piersi, rozmawiając z drobną Chinką o okrągłej twarzy. Poole przywitał się z nią i Maggie, którą spotkał dwa lub trzy razy w Sajgonie. Wydawało się, że owiewa ją lekko ironiczna bryza, oddzielająca ją od Harry'ego Beeversa. Ucisnęła jego dłoń zaska-

kującą mocno, kompetentnie. Uśmiechnęła się krzywo i na jej policzku zrobił się dołeczek. Była nadzwyczaj ładna – wrażenie inteligencji przez chwilę maskowało jej urodę.

– Miło, że przyjechałeś aż z hrabstwa Westchester – powiedziała bezbarwnym, pozbawionym akcentu głosem, który dzięki precyzyjnej wymowie brzmiał niemal jak szkolna angielszczyzna.

– Musiał dołączyć do nas plebejuszy w brudnym mieście – skomentował Beevers.

Poole podziękował Maggie, zignorował Beevers a i usiadł przy stole konferencyjnym obok Conora.

– Cześć – rzucił Conor.

Podobieństwo do szkoły podstawowej nie przemineło. Sala B wyglądała jak klasa bez biurka nauczyciela. Wprost przed Michaeliem i Conorem po drugiej stronie pokoju stała długa zielona tablica. Beevers mówił coś o prawach filmowych.

– W porządku, Mikey? – spytał Conor. – Wyglądasz na trochę zdołowanego.

Poole zobaczył *Wichrowe Wzgórza* na fotelu pasażera w swoim samochodzie.

Beevers patrzył na nich z góry.

– Rusz mózgowicą, którą dał ci Bóg, człowieku! Pewnie, że jest zdołowany. Musiał opuścić piękne miasto, gdzie powietrze jest czyste i gdzie nawet nie mają chodników, mają żywopty, i spędzać godziny na śmierdzącej autostradzie. Tam, skąd on pochodzi, Conor, zamiast gołębi mają kuropatwy i bażanty. Mają airedale i jelenie zamiast szczurów. Ty nie byłbyś zdołowany? Okaż człowiekowi trochę zrozumienia.

– Hej, pochodzę z South Norwalk – powiedział Conor. – Też nie mamy gołębi. Mamy mewy.

– Śmieciarki – prychnął Beevers.

– Uspokój się, Harry – przykazał mu Poole.

– Nadal możemy wyjść z tego obronną ręką – powiedział Beevers. – Po prostu nie mówimy więcej, niż musimy.

– Co się stało? – szepnęła Conor do Michaela.

– Dziś rano zmarł pacjent.

– Dzieciak?

Michael skinął głową.

– Mała dziewczynka. – Poczuł potrzebę wypowiedzenia jej imienia. – Stacy Talbot.

Zawarcie poniesionej straty w tych słowach wywarło na nim nieoczekiwany i prawie fizyczny efekt. Smutek nie zmalął, ale stał się bardziej konkretny: śmierć Stacy przybrała fizyczną formę ołowianej trumny ulokowanej głęboko w jego piersi. On, Michael Poole, pozostał nietknięty wokół tego gęstego, ołowianego ciężaru. Zdał sobie sprawę, że Conor jest pierwszą osobą, z którą rozmawia o jej śmierci.

Stacy miała gorączkę i była wyczerpana, kiedy ją widział po raz ostatni. Światło raziło ją w oczy; jej zwykła waleczność zmalowała do zera. Mimo wszystko wydawała się zainteresowana jego małym zapasem opowieści, trzymała go za rękę i powiedziała mu, że uwielbia początek *Dziwnych losów Jane Eyre*, zwłaszcza pierwsze zdanie.

Poole otworzył książkę, żeby je przeczytać.

– „Niepodobna było tego dnia wyjść na spacer ²”.

Stacy uśmiechała się do niego.

Tego ranka jedna z pielęgniarek próbowała go uprzedzić, gdy przechodził obok dyżurki, ale ledwo ją zauważył. Był skupiony na kilku słowach, które wypowiedział do niego Sam Stein w korytarzu na piętrze. Stein, który dzięki kombinacji tchórzostwa i starszeństwa wymigał się od odpowiedzialności za błąd chirurgiczny, co Michael uznał za obraźliwe, powiedział, że jest mu przykro, że jego grupa medyczna nie poczyniła większych postępów w negocjacjach z „twoimi chłopcami”, czyli innymi lekarzami z grupy Michaela. Stein zakładała, że Michael będzie zaznajomiony z tematem tej uwagi, on jednak mógł tylko zgadywać na podstawie posiadanych informacji. „Chłopcy” Steina budowali nowy ośrodek medyczny w Westerholmie i chcieli, żeby stał się najważniejszy w hrabstwie. Dla osiągnięcia celu potrzebowali zespołu dobrych pediatrów. Sam Michael był przeskodą w efektywnym zjednoczeniu ich praktyk i Stein w swój zręczliwy, zarozumiały sposób prosił go o oszczędzenie mu kłopotu i sugerował, że bez niego będzie musiał zadowolnić się drugorzędnym zespołem pediatrycznym. Całkowicie nowy obiekt, jak ten planowany przez Steina, przyciągnie około pięćdziesięciu procent wszystkich nowych mieszkańców Westerholmu, a co roku może jedna czwarta domów w mieście zmieniała właścicieli. Partnerzy Michaela pod jego nieobecność omówili wszystko ze Steinem.

Michael przeszedł obok gestykulującej pielęgniarki i z załączkiem genialnego pomysłu w głowie otworzył drzwi pokoju Stacy.

Wszedł. Łysy mężczyzna w średnim wieku z siwym wąsem i podwójnym podbródkiem spał z wenflorem kroplówki w ramieniu i otwartym „Wall Street Journal” leżącym na piersi. Nie obudził się i nie mrugnął do niego jak aktor w farsie, spał bezgłośnie, ale Michael odczuł zmianę wewnętrzną

pogody jako nagłą gorącą duszność, która poprzedza tornado. Wskoczył na zewnątrz i sprawdził numer pokoju. Oczywiście był właściwy. Cofnął się i spojrzął na nafaszerowanego lekami pacjenta. Tym razem nawet go rozpoznał. Był to przedsiębiorca budowlany Pohlmann, którego nastoletnie dzieci chodziły do szkoły Judy; należąca do niego imitacja zamku z dachem krytym czerwoną dachówką i garażem na pięć samochodów stała półtorej mili od jego domu. Wycofał się z pokoju.

Tylko przez chwilę był świadom, że trzyma w ręce miękką zieloną książkę, która waży dwadzieścia albo trzydzieści funtów. Zauważył, że pielęgniarka go obserwuje, rozmawiając przez telefon. Wiedział, co się stało, gdy tylko zobaczył jej oczy. Poznał prawdę po tym, w jaki sposób odłożyła słuchawkę. Mimo to podszedł do dyżurki i zapytał: „Gdzie ona jest?”

„Obawiałam się, że pan nie wie, doktorze” – odrzekła pielęgniarka.

Miał wrażenie, że stoi w windzie spadającej w długim szybie, spadającej bez końca.

– Przykro mi, stary – odezwał się Conor. – Z pewnością przypomina ci o twoim dzieciaku.

– Ten człowiek jest lekarzem, Conor – wtrącił Beevers. – Ciągłe widuje takie rzeczy. Potrafi się oderwać.

Właśnie to czuł doktor Poole, oderwanie, choć inaczej, niż wyobrażał to sobie Beevers.

– O człowieku mowa – dodał Beevers.

W siatkowym okienku w drzwiach pojawiła się agresywnie wyglądająca duża głowa. Porucznik Murphy uśmiechnął się do nich, zacisnął usta na fajce i otworzył drzwi.

– Cieszę się, że są państwo w komplecie. Przepraszam za spóźnienie. – W tweedowej marynarce i płowych spodniach wyglądał jak atletyczny profesor college’u. – Wszyscy jesteśmy przygotowani do okazania i za chwilę się tam udamy, ale najpierw chciałem poruszyć parę kwestii.

Beevers pochwylił spojrzenie Poole’a i zakasłał w pięść.

Murphy usiadł naprzeciwko nich. Wyjął fajkę z ust i trzymał ją w palcach w taki sposób, jakby chciał, żeby poddali ją inspekcji. Był to duży wygięty czarny piaskowany peterson z matową srebrną opaską wokół cybucha. W główce tkwił korek siwego tytoniu.

– W zasadzie nie mieliśmy okazji porozmawiać w Milburn, chociaż ciekawiło mnie kilka rzeczy i wówczas wyglądało na to, że sprawa jest zamknięta. – Powiodł wzrokiem po ich twarzach. – Byłem z tego powodu bardzo zadowolony i sądzę, że było to po mnie widać. Ale to nie jest zwykła sprawa, pod żadnym względem, nawet nie zwykła sprawa morderstwa, jeśli w ogóle istnieje coś takiego. Od tamtej pory zaszyły pewne zmiany.

Murphy spojrzął na ciężką fajkę w palcach. Beevers przemówił w ciszy.

– Sugeruje pan, że człowiek, którego zatrzymaliście, złożył fałszywe zeznania?

– Dlaczego w pańskim głosie pobrzmiewa nadzieja? – spytał go Murphy. – Nie chce pan, żebyśmy posadzili tego faceta?

– Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. Oczywiście zależy mi na zatrzymaniu sprawcy.

Murphy przez chwilę przyglądał mu się spokojnie.

– Wiele szczegółów dotyczących takich spraw nie jest podawanych do publicznej wiadomości. I również tych nie należy upowszechniać, jeśli nie chcemy, by nasze śledztwo zostało narażone na szwank. Albo utknęło w martwym punkcie. Albo żeby ktoś w nie ingerował, w najgorszym wypadku. Chcę przedyskutować z panami niektóre z tych szczegółów, zanim przejdziemy na okazanie. Panno Lah, jeśli pani też coś wie, proszę mówić.

Maggie skinęła głową.

– Panna Lah już bardzo nam pomogła.

– Dziękuję – powiedziała bardzo cicho.

– Wszyscy panowie poznali pana Puma jako członkowie tego samego plutonu w Wietnamie? A pan był porucznikiem tej jednostki, panie Beevers?

– Zgadza się. – Beevers uśmiechał się ustami, ale piorunował wzrokiem Maggie.

– Wie pan, ilu członków tej jednostki żyje poza wami?

Beevers zacisnął usta i przekrzywił głowę.

– Doktorze Poole?

– Naprawdę nie wiem. Niewielu z nas zostało przy życiu.

– Naprawdę pan nie wie? – zapytał Murphy.

Poole pokręcił głową.

– Żaden z was nie wie?

– Będziemy wdzięczni za wszystko, co może nam pan powiedzieć – oznajmił Beevers. – Ale obawiam się, że nie nadażam za pańskim tokiem rozumowania.

Murphy uniósł brwi. Włożył fajkę do ust i pociągnął. Z pozoru martwy tytoń rozjarzył się czerwono i detektyw wypuścił dym z ust.

– Znacie jednak przezwisko Koko.
Beevers łypnął spod zmarszczonych brwi na Maggie.
– Panna Lah przekazała nam pewne podstawowe informacje. Myśli pan, że źle postąpiła?
Beevers kaszlnął.
– Oczywiście, że nie.
– W takim razie ciesze się. – Usta Murphy’ego zdrząły w uśmiechu. – Jak się zdaje, oprócz was trzech z plutonu, który brał udział w akcji w Ia Thuc, przeżyło tylko czterech ludzi. Starszy szeregowy Wilson Manly mieszka w Arizonie...
– Manly żyje? – zapytał Conor. – A niech mnie!
Poole też był zaskoczony. Podobnie jak Conor, ostatnio widział Manly’ego niesionego na noszach – stracił nogę i dużo krwi – i nie sądził, że się wyliże.
– Wilson Manly jest kaleką, ale ma firmę ochroniarską w Tucson.
– Systemy alarmowe? – zapytał Conor, a Murphy skinął głową. – A niech mnie.
– Kto jeszcze? – zapytał Poole.
– George Burrage pracuje w Los Angeles jako terapeuta osób uzależnionych od narkotyków.
– Spanky – powiedzieli mniej więcej razem Conor i Poole. Jego też wyniesiono po wymianie ognia i ponieważ słuch o nim zaginął, uznali go za martwego.
– Obaj przesyłają panom pozdrowienia. Bardzo dobrze wspominają pana Puma i z przykrością usłyszeli, co go spotkało.
– Oczywiście – powiedział Beevers. – Służył pan, prawda, poruczniku? Nie w Wietnamie?
– Byłem za młody na Wietnam. Zarówno pan Manly, jak i pan Burrage doskonale pamiętają różne incydenty związane z używaniem imienia Koko.
– Nie wątpię – mruknął Beevers.
– Można przypuszczać, że żyje również starszy szeregowy Victor Spitalny – podjął Murphy. – Nie ma żadnych dotyczących go zapisów, odkąd w sześćdziesiątym dziewiątym samowolnie udał się do Bangkoku. Ale biorąc pod uwagę okoliczności jego zniknięcia, to mało prawdopodobne, by nagle wpadło mu do głowy zabijanie dziennikarzy i członków swojego oddziału, prawda?
– Trudno powiedzieć – odparł Beevers. – Co ma pan na myśli, mówiąc o dziennikarzach?
– Ktokolwiek nazywa siebie Koko, zabił zagranicznych i amerykańskich dziennikarzy, którzy relacjonowali historię okrucieństwa popełnionego w Ia Thuc. Był przy tym bardzo sumienny. – Popatrzył na Beevers spokojnym, objętym wzrokiem, a potem w ten sam sposób na Poole’a. – Ten człowiek zabił co najmniej osiem osób. Należy liczyć się również z tym, że zamordował jeszcze jednego człowieka.
– Kogo? – spytał Beevers.
– Biznesmena o nazwisku Irwin, kilka tygodni temu na JFK. Właśnie udało nam się zebrać wszelkie dostępne informacje, dzięki pomocy źródeł z różnych stron świata. Ciężko jest skłonić różne wydziały policji do współpracy, gdy są tuż obok, ale w tym przypadku jesteśmy z siebie dumni. Przygotowujemy się i zamierzamy zgarnąć sprawcę. Ale żeby tego dokonać, potrzebujemy waszej pełnej współpracy. Poza tym mam wrażenie, że niezupełnie to wszystko rozumiem.
Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wyjął z kieszeni marynarki kopertę, a z niej trzy karty do gry w przezroczyście foliowych torebkach.
– Proszę spojrzeć.
Ołówkiem rozdzielił karty na białe stołu. Poole spojrzał na nie. Czuł, że każde naczynie krwionośne w jego ciele się zwięża. Był to Słoń na Zadnich Nogach, razy trzy. „Dziedzictwo Honoru”, brzmiała dewiza pod emblematem. Poole nie widział pułkowej karty do gry, odkąd wyjechał z Wietnamu. Słoń wyglądał na bardziej wściekłego, niż pamiętał.
– Gdzie pan je znalazł? – spytał Conor.
Murphy odwrócił karty. Było tam, a jakże, nabazgrane w starym stylu. koko, razy trzy. Przed Beeversem leżała ośsemka trefl; przed Conorem dwójka kier; przed Poole’em szóstka pik. Michael z łomoczącym sercem dostrzegł na górze karty niewyraźne, wypisane ołówkiem swoje nazwisko.
– Pan Pumo miał w ustach jedną z takich ze swoim nazwiskiem – oznajmił Murphy.
Poole zauważył, że na pozostałych kartach są wypisane nazwiska linklater i beevers.
Okazanie było pretekstem, by ich tutaj ściągnąć. Zostali wezwani nie w celu zidentyfikowania zabójcy, ale po to, żeby ich przesłuchać, wystraszyć i w ten sposób skłonić do powiedzenia więcej, niż chcieli.
Beevers i Conor odezwali się jednocześnie.
– Skąd pan je ma?
– Musieliście niemal się o niego otrzeć.
Murphy pokivał głową.

– Dostaliśmy cynk, gdzie się zatrzymał. Niestety nie zastaliśmy go, więc widocznie jakoś dowiedział się o naszej wizycie. Rozminęliśmy się z nim o kilka minut. Ale skoro raz podeszliśmy tak blisko, to w końcu go dopadniemy.

Murphy ołówkiem wsunął karty z powrotem do koperty.

– Był jeszcze jeden ocalały z waszej jednostki.

Przez chwilę Poole nie mógł sobie przypomnieć, kto taki.

– Wszyscy pamiętacie Timothy’ego Underhilla.

– Jasne – powiedział Conor, a pozostali dwaj przytaknęli.

– Co możecie mi o nim powiedzieć?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Nie potrafię was rozgryźć – wyznał Murphy.

Poole przypomniał sobie, jak Judy mówiła o Bobie Bunsie: kłamstwa zaprzeczania zawsze są przejryste.

– Szukaliśmy Underhilla w Singapurze – zaczął. I umilkł, bo elegancki but Harry’ego Beeversa opadł na jego stopę.

– Nazwałby to pan w głupem – powiedział Beevers. – Byliśmy w tej interesującej części świata na wakacjach i pomyśleliśmy, że może uda nam się go zlokalizować. Znaleźliśmy jedynie ślady. Ludzi, którzy go znali, takie rzeczy. Jeździliśmy tu i tam w trzech krajach. Świetnie się bawiliśmy.

– Zadaliscie sobie sporo trudu, żeby odnaleźć starego kumpla z wojska – zauważył Murphy.

– Zgadza się. – Beevers spojrzał ostrzegawczo na Maggie, a potem szczerze na Murphy’ego. – Mieliśmy cholernie fajną wycieczkę.

– Udało się?

– Facet zniknął. – Beevers rozchylił usta. – Ach. Myśli pan, że ten Koko to Tim Underhill?

– Rozważamy taką możliwość, między innymi. – Porucznik uśmiechał się do niego z równie fałszywą szczerością. – Na pewno nie jest nim Wilson Manly ani Spanky Burrage. Ani któryś z was.

Padło wiele pytań, ale Harry zadał to, które miało związek z obecną sytuacją.

– W takim razie kim jest facet, któremu odbiło na Times Square?

Murphy odsunął się od stołu.

– Chodźmy się dowiedzieć.

2

Murphy trzymał się blisko Michaela Poole’a, gdy szli w kierunku schodów.

– Nasz przyjaciel jeszcze się nie przedstawił. Twierdzi, że zapomniał, jak się nazywa. Co więcej, utrzymuje, że urodził się w Nowym Jorku w wieku osiemnastu lat. – Zakasłał. – Na zapleczu baru o nazwie Kowadło. – Obrzucił Poole’a niemal ludzkim spojrzeniem. – Narysował nam plan mieszkania Puma. Później zamknął się w sobie i nie powiedział niczego poza tym, że wypełnia misję oczyszczenia świata z brudu.

Murphy poprowadził ich przez dużą przestrzeń biurową na parterze do tylnych drzwi i na dół po szerokich schodach. Ponad hałasem maszyn do pisania klekoczących w pobliskich biurach Poole usłyszał, jak Harry Beevers cichym, nagłym tonem mówi coś do Maggie Lah.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Murphy, otwierając szerokie dwuskrzydłowe drzwi.

Za nimi ujrzeli coś w rodzaju małego teatru z rzędami siedzeń, podwyższoną sceną i górnymi ścianami.

Murphy zaprowadził ich do drugiego rzędu siedzeń, gdzie Maggie usiadła za Poole’em, a za nią zajęli miejsca Beevers i Conor Linklater. Sam stanął za pulpitem w środkowym przejściu jeden rząd za nimi i włączył światła sceniczne. Wziął mikrofon na kablu, sprawdził na pulpicie, gdzie jest włącznik, i pstryknął.

– Jesteśmy – powiedział do mikrofonu. – Umieścimy ekran i możesz wysłać ludzi.

Spojrzał na pulpity i znów pstryknął. Na szynie za sceną rozwinął się długi ekran z opisanymi w calach poziomymi liniami.

– Gotowe – powiedział Murphy. – Każdy człowiek na swoim znaku. Kiedy będą na scenie, każę im kolejno wystąpić, powiedzieć kilka słów o sobie i się cofnąć.

Pięciu mężczyzn wyłoniło się z lewej strony sceny i ruszyło niepewnie w stronę, jak przypuszczał Poole, numerów wymalowanych na podłodze. Na pierwszy rzut oka każdy z trzech niskich ciemnowo-

szych mężczyzn mógł być Victorem Spitalnym. Jeden miał na sobie szary garnitur, drugi sportową marynarkę w kratę, a trzeci dżinsy i dżinsową kurtkę. Ten w kraciatej marynarce najbardziej przypominał Spitalny'ego, miał jednak szerzej rozstawione oczy i masywniejszy podbródek. Wyglądał na znudzonego i niecierpliwego. Czwarty był krępy blondynem o żywej cynicznej irlandzkiej twarzy. Piąty, w luźnej koszuli khaki, wojskowych spodniach polowych i kowbojkach, jakiś czas temu ogolił głowę, a potem pozwolił włosom odrosnąć; jednolita ciemna czapka wciąż była dość krótka, by przez nią prześwitywała skóra. Tylko on uśmiechnął się do patrzących na niego ludzi.

Murphy monotonnym głosem wykrzykiwał ich numery.

– Jestem Bill i pracuję jako barman na Upper East Side.

– Jestem George. Dowodzę drużyną skautów w Washington Heights.

– Jestem Franco i pochodzę z Ocean Avenue na Brooklynie.

– Jestem Liam. Pracuję w ochronie.

Kiedy wywołano numer pięć, wystąpił ostatni mężczyzna.

– Nie mam imienia, bo nie mam przeszłości.

– Boże – szepnęła Maggie. – Nie wierzę...

Murphy kazał mężczyźnie cofnąć się, a następnie poprosił całą piątkę o zejście ze sceny. Kiedy scena opustoszała, oparł się o pulpit i spojrzał groźnie na Maggie.

– Słucham.

– Ostatni mężczyzna, ten w trakcie zmiany płci, ma buty Tiny. Jestem tego pewna. Wiem, kim on jest.

– Kim on jest?

– To znaczy... nie znam jego prawdziwego imienia, ale nazywał siebie Dracula i miał długiego irokeza, zanim go zgolił. Tina poderwał go w klubie w zeszłym roku, albo został poderwany przez niego. Udawał dziewczynę. W mieszkaniu pobił Tinę do nieprzytomności i ukraść mu wiele rzeczy. Łącznie z tymi butami. To były ulubione buty Tiny. Myślę, że są bardzo drogie.

– Dracula.

– Ale nie jego widziałam w mieszkaniu.

– Nie. Sądzę, że to nie on. Panowie, możecie odejść. Dziękuję za współpracę i jeszcze z każdym z was porozmawiam. Proszę do mnie dzwonić, gdyby przyszło panom na myśl coś, co powinienem wiedzieć. Panno Lah, czy może pani wrócić ze mną na górę?

Maggie wstała pierwsza i przesuwała się do głównego przejścia, gdzie czekał na nią Murphy. Pochwyliła spojrzenie Michaela i uniosła brwi. Michael skinął głową, po czym wstał wraz z pozostałymi.

3

Michael odprowadził kolegów do taksówki i obiecał dołączyć do nich w mieszkaniu Harry'ego za pół godziny, po czym wrócił na Ulicę Dziesiątą, żeby czekać przed komisariatem. Wciąż panował nieprzyjemny chłód, jednak z zadowoleniem stał na ulicy w szczypiącym powietrzu. Blask słońca kładł się jak pozłota na ładnych kamienicach po drugiej stronie ulicy. Czuł się zawieszony między końcem czegoś a początkiem czegoś zupełnie nowego. Stacy Talbot była jego ostatnią prawdziwą więzią z Westerholmem – wszystko, co go tam trzymało, zmieściłoby się do walizki.

Zobaczył, jak łatwo byłoby dalej oglądać program telewizyjny, jakim stało się jego życie. Jasna codzienność pracy, strumień pociągających nosem dzieci i ich zmartwionych matek, Judy i jej obawy, luźne nudne partnerstwo długich poranków, miły biały dom, spacerzy nad staw z kaczkami, Krwawe Mary na niedzielnym brunchu, odrętwiające szczegóły, które gnają cię naprzód z minuty na minutę.

Drzwi komisariatu otworzyły się ze szczególnie równie ostatecznym jak trzask pękającej kości. Michael odwrócił się i wyprostował, gdy wyszła Maggie Lah. Jej piękne włosy chwytały słońce w gładką siateczkę bogatej głębokiej i lśniącej czerni.

– Och, dobrze – powiedziała. – Nie byłam pewna, czy tu będziesz. Tam nie mogłam nic powiedzieć.

– Wiem.

– Naprawdę chciałam zobaczyć tylko ciebie. Conor jest cudowny, ale nie ma co do mnie pewności.

A Harry Beevers strasznie... rozprasza.

– Szczególnie Harry'ego Beevera.

– Obejdą się bez ciebie przez chwilę?

– Jak długo chcesz.
– W takim razie mogą nigdy się ciebie nie doczekać – powiedziała i wzięła go pod rękę. – Chcę, żebyś mi pomógł dokąś pójść. Zrobisz to?
– Jestem do twojej dyspozycji. – Poole nagle poczuł, że on i ta dziewczyna są tymi, którzy stracili Tinę Puma: jak Walter i Tommy Pumo, byli jego osieroconą rodziną.
– To niedaleko. To taka restauracyjka w sąsiedztwie. Chodziliśmy tam z Tiną... a właściwie on chodził, to było jego miejsce i tylko dzielił je ze mną. Nie chcę czuć się tak, jakbym zapadała się w chodnik za każdym razem, gdy tamtędy przechodzę. Nie masz nic przeciwko?
– Nie, miło mi – zapewnił ją. Szła z nim pod rękę i ich kroki się zgrały. – Czy jest jakieś inne miejsce, do którego mogę zabrać cię później?

Uniosła wzrok.

– Możliwe.

Pozwolił jej wybrać chwilę na powiedzenie tego, co chciała powiedzieć.

– Chcę cię poznać – wyznała w końcu.

– Cieszę się.

– Lubił cię najbardziej ze wszystkich, z którymi tam był.

– Miło wiedzieć.

– Zawsze był zachwycony, gdy wpadałeś do Sajgonu. W głębi duszy brakowało mu pewności siebie. Wiele dla niego znaczyło, że wybierałeś jego lokal, gdy przyjeżdżałeś do miasta. Było to dla niego dowodem, że nie zapomniałeś o nim.

– Nie zapomniałem, Maggie – powiedział, a ona mocniej ścisnęła jego ramię.

Szli Szóstą Aleją i tutaj słońce wydawało się cieplejsze niż na przecznicach. Wokół nich toczyło się kolorowe, zwyczajne życie ulicy, studenci i gospodynie domowe, biznesmeni i kilku uszmkowanych chłopców. Na rogu minęli zgarbionego brodacza w łachmanach, z poczerwiałymi, spuchniętymi jak piłki stopami. Tuż za nim niewyraźny mężczyzna mniej więcej w wieku Michaela potrząsnął papierowym kubkiem z kilkoma dziesięciocentówkami i ćwierćdolarówkami. Miał krwawiący strup na podbródku, a w szparkach jego powiek gorączkowo, tygrysio połyskiwały źrenice. Wietnam. Michael wrzucił kilka ćwierćdolarówek do kubka.

– Już niedaleko – powiedziała Maggie drżącym głosem.

Poole skinął głową.

– To jak życie w wielkiej... pustce. – Wyciągnęła wolną rękę. – Takie trudne. A ponieważ się boję, jest jeszcze gorzej. Och, opowiem ci o tym, gdy będziemy na miejscu.

Kilka minut później poprowadziła go po schodach do La Grocerii. Wysoka ciemnowłosa kobieta w czarnych rajstopach wskazała im stolik przy oknie. Promienie słońca wpadały przez duże okna i kładły się na wypolerowanym, falującym wzorze karmelowych drewnianych blatów. Zamówili sałatkę i kawę.

– Nienawidzę się bać – powiedziała Maggie. – Ale już sam smutek jest nie do zniesienia. Smutek dopada cię, gdy nie patrzysz. Pojawia się i sprawia ci niemiłą niespodziankę. – Spojrzała na niego w sposób łączący inteligencję i współczucie. – Rozmawiałeś z Conorem o swojej pacjentce...?

Skinął głową.

– Tuż przed wyjazdem dowiedziałem się, że zmarła. – Próbował się do niej uśmiechnąć i był rad, że sam nie musi oglądać rezultatu.

Jej twarz zmieniła się, wygładziła.

– W Tajpej mama łapała szczury w pułapki w naszym ogrodzie. Pułapki nie zabijały szczurów, tylko je więziły. Mama polewała je wrzątkiem. Szczury dokładnie wiedziały, co je czeka. Najpierw walczyły i skakały na nią, a na koniec opuszczało je wszystko prócz strachu. Po prostu stawały się strachem.

Gdzieś na wschód od Szóstej Alei chmura się rozdzieliła, światło słoneczne podwoiło barwę i intensywność. Maggie patrzyła na niego z niepokojem, ale też wyzwaniem w oczach, i Poole odbierał jej skupioną uwagę jako niepodzielne błogosławieństwo. W tej chwili, w nagłej ulewie złotego blasku, z nadzwyczajną wyrazistością widział gładką krągłość jej ramion, piękny złoty ton skóry, jej małe psotne, zmysłowe inteligentne usta. Patrząc na nią w rozbłysku światła, zrozumiał, że jej młodość jest zwodnicza, że jeśli ktoś uzna młodość za jeden z głównych faktów jej jestestwa, popełni poważny błąd. Jeszcze przed chwilą poruszała go jej czysta uroda, teraz jednak w szerokiej twarzy o niemrugających oczach widział tak wiele, że uroda stała się nieistotna.

– Nie było gorszych rzeczy na świecie, kiedy to się działo – mówiła. – Bardziej żalonych. Właśnie tak się czułam, kiedy... kiedy to się stało. Gdy prawie mnie złapał. – Urwała i jej twarz znów wygładziła się pod ciężarem wspomnień. – Widziałam go, ale nie jego twarz. Przypuszczam, że byłam lekko obłąkana. Czułam, że jestem pokryta krwią, i wciąż sprawdzałam, ale nie znalazłam ani kropli.

Ich spojrzenia zwały się z trzaskiem wyładowania elektrycznego.

– Chcesz połać go wrzątkiem.

– Możliwe. – Jej usta wykrzywiły się w dziwnym, lekkim uśmiechu. – Czy ktoś taki w ogóle może się bać?

Gdy nic nie powiedział, kontynuowała w pośpiechu:

– Gdybyś widział go wtedy, w mieszkaniu, nie pomyślałbyś, że zna strach. Mówił bardzo płynnie. Był prawie uwodzicielski. Nie chodzi mi o to, że nie był szalony, bo był, ale panował nad sobą. Pewny siebie. Próbował oczarować mnie z ukrycia i gdybym nie widziała tuż przed sobą ciała Tiny, mógłby dopiąć swego. – Jej dłonie, w tym samym złocistym odcieniu jasnego brązu co reszta ciała, z długimi, eleganckimi palcami i dziwnie kanciastymi, mocnymi nadgarstkami, zaczęły drżeć. – Był jak... demon. Myślałam, że nie ucieknę.

Teraz wyglądała na naprawdę wstrząśniętą. Ujął jej dłonie.

– Zabrzmi to dziwnie, ale uważam, że bał się przez całe życie.

– Mówisz tak, jakbyś prawie mu współczuł.

Poole pomyślał o długiej pracy Underhilla.

– Nie chodzi o to... wydaje mi się, że musimy go wymyślić, by go zrozumieć.

Maggie powoli wysunęła ręce z jego dłoni.

– Z pewnością uczysz się tego od swojego przyjaciela Timothy'ego Underhilla.

– CO?

Maggie wsparła podbródek na dłoni. Z jej szeroko otwartych oczu wyzierało z gruntu oszukańcze niewinne niedowierzanie, komiczne do samego sedna.

– Twój przyjaciel Harry Beevers jest niezbyt dobrym aktorem.

Zatem wiedziała: rozgryzła Beeversa.

– Chyba masz rację – przyznał.

– Underhill wrócił z wami.

Poole skinął głową.

– Jesteś cudowna.

– To Harry Beevers jest cudowny. Domyślam się, że chce, żeby policja marnowała czas na szukanie Tima Underhilla, podczas gdy on będzie polować na Koko.

– Mniej więcej.

– Lepiej uważaj, doktorze. – Za tym jednym ostrzeżeniem tłoczyło się mnóstwo innych, niewypowiedzianych. Poole nie wiedział, czy Magie radzi mu uważać na Koko, czy na Harry'ego Beeversa. – Masz czas, żeby zabrać mnie w jeszcze jedno miejsce? Nie chcę iść tam sama.

– Chyba nie muszę pytać dokąd?

– Mam nadzieję. – Wstała.

Wyszli na Szóstą Aleję, która jakby pociemniała z powodu ich rozmowy. Poole czuł, że Koko, Victor Spitalny, może ich obserwować zza wielkich okien po drugiej stronie alei lub przez lornetkę z jakiegoś ukrytego wysokiego punktu obserwacyjnego.

– Złap taksówkę – powiedziała Maggie. – Ja jeszcze chcę coś zrobić.

Wzięła coś z kiosku, dołączyła do Michaela, gdy taksówka się zatrzymała, i wsiadła. Spojrzął na jej kolana i zobaczył, że kupiła „Village Voice”.

Michael powiedział kierowcy, żeby najpierw zatrzymał się na Grand Street przy West Broadway, a później podrzucił go na skrzyżowanie Dwudziestej Czwartej i Dziesiątej.

– To prezent za postawienie mi lunchu.

Położyła gruby tabloid na jego kolanach, po czym wyjęła z torby i założyła duże okrągłe okulary przeciwsłoneczne w drucianej oprawce. Przez chwilę wydawało się, że czyta żółte tabliczki – alergiczny kierowca – nie palić i kierowca nie jest zobowiązany rozmieniać banknotów powyżej dwudziestu dolarów – umieszczone na brudnym plastikowym przepięrzeniu przed nimi.

– Na pewno chcesz jechać do Sajgonu?

– Chcę zobaczyć się z Vinhem – odparła. – Lubię go. Prowadzimy długie rozmowy. Zgadzamy się, że biali Amerykanie są niezrozumiali i egzotyczni.

– Byłaś tam od tamtej nocy?

– Nie znasz odpowiedzi na to pytanie? – Zdjęła okulary i spojrzała na niego prawie ponuro.

– Ciesz się, że mogliśmy porozmawiać – powiedział.

W tym momencie bez skrępowania złapała go za rękę. Michael czuł puls w jej ciepłej suchej dłoni.

Na Grand Street Michael ze zdziwieniem zobaczył oprawione w mosiądz menu i małą tabliczkę w oknie restauracji.

– Czy nie wygląda świetnie? – zapytała go swoim płaskim, rześkim głosem. – Otworzymy, gdy tylko pozwoli nam sąd. Vinh poprosił mnie o pomoc. Oczywiście jestem wdzięczna, że dał mi pracę. Dzięki temu nie mam poczucia, że zupełnie go straciłam.

Gdy taksówka się zatrzymała, otworzyła drzwi i dodała:

– Może nie powinnam tego mówić, ale sprawiasz wrażenie niespokojnego. Znajdzie się pokój dla ciebie... – skinęła głową w stronę budynku – ...jeśli potrzebujesz miejsca do spania. – Czekala na odpowiedź.

– Niedługo zajrzę i wtedy pogadamy – powiedział w końcu. – Zostajesz tu na noc?

Pokręciła głową.

– Szukaj mnie u generała. – Uśmiechnęła się i wysiadła z taksówki.

– Kim jest generał?

Maggie zerknęła na gazetę leżącą na jego kolanach.

Spojrzał na pierwszą stronę. Nie miał pojęcia, kiedy napisała u góry numer telefonu. Gdy uniósł wzrok, już otwierała drzwi restauracji.

Drugie spotkanie

1

– Czy naprawdę tak rozumiesz pół godziny? – Beevers skrzywił się, wpuszczając Poole’a do swojej zabałaganionej ciemnej kawalerki.

Conor uśmiechnął się do niego zagadkowo z fotela, a Tim Underhill, ubrany w znoszone dżinsy i starą bluzę z kapturem, pomachał do niego z drugiego. Nawet w przyćmionym świetle Tim bardziej niż w Bangkoku przypominał siebie – szerszy, zdrowszy, mniej zmarnowany. Uśmiechając się i potrząsając jego ręką, nie był ani przestępcą, ani szaleńcem, ani człowiekiem, którego, jak Pool myślał, szukał.

– Zamówiliśmy pizzę – dodał Beevers. – Trochę zostało.

W tekturowym pudełku na ciemnym od tłuszczu stole leżał zaschnięty kawałek pizzy. Poole podziękował za poczęstunek. Beevers zatrzasnął wieczko na szczątkach placka i zabrał pudełko do kuchni.

Conor mrugnął do Poole’a.

– Skoro już jest... – zawołał Beevers z kuchni. – Czy ktoś chce się napić?

– Jasne – odparł Conor.

– Kawy – powiedział Underhill.

– Dla mnie też – poprosił Poole.

Usłyszeli szmer otwieranych drzwiczek, brzęk szklanek na blacie, skrzypnięcie drzwi lodówki, grzechot wysypywanych kostek lodu.

– Do licha, co zajęło ci tyle czasu?! – krzyknął Beevers. – Myślisz, że się tu bawimy? Mam dla ciebie wiadomość: lepiej zacznij traktować sprawę poważnie.

Underhill uśmiechnął się do Poole’a ze swojego miejsca przy głównym oknie w mieszkaniu Beeversa. Obok niego na stoliku z telefonem piętrzył się gruby stos papierów.

– Pisziesz coś? – zapytał Michael.

Underhill skinął głową, a Beevers znów zawołał:

– Czasami myślę, że naprawdę jestem jedyną osobą, która podchodzi serio do tego projektu!

Pojawił się z dwiema niskimi szerokimi szklankami wypełnionymi lodem i przejrzystym płynem. Jedną postawił przed Conorem. Obszedł Poole’a, żeby przejść na drugą stronę stołu, gdzie najwyraźniej siedział przed jego przybyciem.

– Sam sobie zrób kawę, też tu mieszkasz – burknął do Underhilla.

Underhill natychmiast wstał i pomaszerował do kuchni.

– Przypuszczam, że lepiej będzie, jeśli wprowadzę doktora Poole’a w to, o czym rozmawialiśmy pod jego nieobecność – podjął Harry. Sprawiał wrażenie naburmuszonego i jednocześnie zadowolonego z siebie. – Ale najpierw chcę coś wyjaśnić. – Uniósł szklankę i nieprzyjemnie zmrugał oczyma, patrząc znad krawędzi. – Nie sądzę, że czekałeś, aż wyjdziemy, żeby pobiec z powrotem do Murphy’ego i wyklepać mu wszystko, co wiesz. Naprawdę nie sądzę, Michael. A może się myłę?

– Czemu miałbym to robić? – Michael musiał słumić zarówno zdziwienie, jak i chęć wybuchnięcia śmiechem. Beevers się spiął.

– Może chcesz zniszczyć naszą pracę. Dogadać się z Murphym. Może po prostu myślisz, że musisz zostać kimś w rodzaju podwójnego agenta, by kryć swój tyłek.

– Podwójnego agenta – powtórzył jakby tęsknie Conor.

– Zamknij się – warknął Harry. – Chcę wiedzieć, Michael.

Poole nagle po spojrzeniach Conora i Underhilla poznał, że wiedzą, że ostatnią godzinę spędził z Maggie Lah.

– Oczywiście nie wróciłem do Murphy’ego. Poza tym był zajęty z Maggie.

– Więc co robiłeś?

– Musiałem odebrać kilka rzeczy dla Judy.

Underhill uśmiechnął się.

– Nie wiem, dlaczego wszyscy jesteście przeciwko mnie – powiedział Beevers. – Pracuję dzień i noc nad czymś, co powinno was wszystkich wzbogacić. – Obrzucił Poole’a kolejnym podejrzliwym spojrzeniem. – I skoro Judy czegoś chciała, dlaczego po prostu nie poprosiła Pat, żeby jej to przywiozła?

– Pat wybiera się do Westerholmu?

– Po południu. Powiedziała mi dziś rano. Nie wiedziałeś?

– Wyszedłem w pośpiechu. – Poole złożył gazetę na kolanach.

Underhill przyniósł mu kubek kawy i Michael pociągnął łyk, wdzięczny za przerwę. Nigdy nie był w mieszkaniu Beeversa i z ciekawością rozglądał się po wnętrzu.

Drugie wrażenie potwierdzało pierwsze: bałagan tak wszechobecny, że niemal można by nazwać go nędzą. Na stole między Beeversem a Conorem piętrzył się stosik talerzy z brudnymi sztućcami. Za fotelem Underhilla leżały jego walizki i torby obok chaotycznej sterty gazet i czasopism. Poole zauważył, że Beevers wciąż czyta „Playboya” i „Penthouse’a”. Za wrażenie totalnego nieładu odpowiadały kasety wideo, w stosach i luzem na podłodze. Były ich setki, w pudełkach i bez, porzucane na dywanie jakby bawiło się nimi małe dziecko. Brudne koszule, bielizna i spodnie khaki wały się na szarej rozkładanej kanapie, na której spiał Tim. Na ścianie wisiała długa fotografia aktorki Nastassji Kinski splecionej z wężem. Obok wisiały dwie oprawione w ramki okładki krajowych magazynów informacyjnych, obie z wychudzoną twarzą porucznika Harry’ego Beeversa. W niewielkiej wnęce w kształcie litery L stało łóżko, małe jak dziecięce, z poduszką w czarnej poszewce i czarnymi prześcieradłami pod skotowaną kołdrą. Całe mieszkanie pachniało pizzą i rzeczami do prania.

W swoich nieskazitelnych garniturach, szelkach i muszkach Harry co wieczór wracał do tego przynębiającego chlewu. Poole zobaczył, że jedynym uporządkowanym kącikiem mieszkania była wypsejka stworzona przez Underhilla z krzesła i stołu, na którym leżał stos zadrukowanych kartek.

– Wiem, mam tu mały bałagan – powiedział Harry. – Jak myślisz, co się dzieje, gdy połączysz ze sobą dwóch kawalerów? Naprawdę niedługo tu ogarnę. – Rozejrzał się energicznie, jakby gotów do rozpoczęcia porządków, i zatrzymał wzrok na Conorze Linklaterze, który poruszył się niespokojnie.

– Nie mam zamiaru tu sprzątać – zastrzegł się Conor.

– Powiedz mi, o czym rozmawialiśmy – polecił mu Beevers.

2

– Harry chce, żebyśmy zrobili dla niego kilka rzeczy – zaczął Conor, zły, że Beevers wszystkim rozkazuje i ma z tego frajdę.

– Dla mnie? Dla mnie?

– Dobra, Harry, sam sobie wyjaśnij, jeśli ci się nie podoba, jak to robię.

– Mam swoje powody.

Z Beeversem gierki nigdy się nie kończyły.

– Kiedy tak sobie tu gadaliśmy o wszystkim i o niczym... – zaczął ponownie Conor. – Coś odkryliśmy.

I Mikey słuchał dostrojony całym sobą.

– To coś, o czym nie powiedziałem ci w Bangkoku. Uznałem, że sam chciałbym to przemyśleć, a później, no wiesz, Tina zginął, a my wróciliśmy i tak dalej.

Poole skinął głową.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o miejscu, gdzie banda bogatych facetów patrzy, jak ktoś zabija dziewczynę?

– Pamiętam.

– Pomyślałem, że Tim kłamał, gdy powiedział, że nigdy tam nie był. Bo ja się tam dostałem dzięki temu, że powołałem się na niego. Podałem jego nazwisko. Dlatego mnie wpuścili. Nazwisko Tima okazało się czymś w rodzaju kodu, jak hasło czy coś takiego.

– Też tak uważam – zgodził się Underhill.

– Więc kiedy robił uniki w samolocie, myślałem, że po prostu nie chce się przyznać, że wybrał się na tę chorą małą wycieczkę śmierci.

– Ale nigdy tam nie byłem – zaznaczył Underhill.

– I dochodzi wiele innych rzeczy. Tim nie zna nikogo o imieniu Cham, a Cham, którego spotkałem, wiedział o nim wszystko. I nigdy nie miał zakazu wstępu do barów i lokali, które odwiedziłem, ale facet, który mnie oprowadzał, słyszał, że wyrzucono go z co najmniej połowy z nich.

– Myślałem, że miałeś ze sobą zdjęcie – wtrącił Poole.

– Akurat tego dnia zapomniałem je zabrać. Ale wszyscy znali jego nazwisko, więc pomyślałem, że to musi być Tim. Ale...

Mikey od razu zrozumiał.

– To był ktoś inny.

– Bingo.

– Prawda jest taka, że w Bangkoku prawie nigdzie nie chodziłem – odezwał się Tim. – Byłem zajęty zbieraniem się do kupy. Głównie skupiałem się na powrocie do pracy. Nie sędzę, bym w ciągu dwóch lat, które tam spędziłem, więcej niż dwa razy postawił nogę w Patpong.

– A więc pamiętasz, jak pojechaliśmy do Goodwood Park? – odezwał się Beevers, nie będąc w stanie dłużej milczeć.

– Użył tam nazwiska Tima.

– Zawsze używał nazwiska Tima. Wszędzie. Nawet gdy byli w tym samym mieście.

– Co wyjaśnia, dlaczego miałem jeszcze gorszą reputację niż sam sobie wyrobiłem – stwierdził Tim.

– Zadziwiający Victor Szpitalny rozpowiadał ludziom, że jest mną.

– Więc doskonale się składa, że Murphy szuka Underhilla – powiedział Beevers. – I to, co sugerowałem naszym przyjaciółom, kiedy na ciebie czekaliśmy, jest kolejnym logicznym krokiem. Rozmawialiśmy o tym w samolocie. My też go szukamy. Jak w Singapurze i wszędzie indziej. – Wielce zadowolony z siebie pociągnął duży łyk drinka. – Robimy dokładnie to, co robiliśmy wcześniej. Z tą różnicą, że teraz wiemy, kogo naprawdę szukamy. Uważam, że mamy większe szanse na znalezienie go niż policja. Jak myślicie, gdzie najbardziej czułyby się jak u siebie?

Nikt się nie odezwał.

– Gdzie w Nowym Jorku?

Conor nie mógł już tego znieść.

– No dalej, mów.

Beevers uśmiechnął się.

– W Chinatown. Myślę, że poturlał się na Mott Street jak kamień w dół zbocza. Nie był tu od piętnastu lat! Jak ten kraj dla niego wygląda? Jak obcy! Stany są dla niego obcym krajem.

– Chcesz, żebyśmy zrobili powtórkę i szukali go po Chinatown? – zapytał Conor. – No nie wiem.

– Jesteśmy pięć jardów od strefy końcowej, Conor. Chcesz teraz spasować?

Poole zapytał, czy Beevers naprawdę chce, żeby Tim Underhill krążył po Chinatown w poszukiwaniu siebie.

– Dla ciebie i Tima mam kilka innych pomysłów. Mówię nie tylko o chodzeniu po Chinatown, o wypytywaniu kelnerów i barmanów. Tę część jestem gotów wziąć na siebie. Ale czy pamiętacie, jak wspominałem o ogłoszeniach? Chcę umieścić nazwisko Tima tam, gdzie Koko będzie je widział za każdym razem, gdy tylko wyjdzie na ulicę. Zbombardujemy go ulotkami. A kiedy poczujecie się całkowicie osaczony, wskażemy mu wyjście. I wpędzimy go prosto w pułapkę.

– Zasadzka – powiedział Mikey.

– Zasadzka. Schwytny go. Posłuchamy, co ma do powiedzenia. A potem prześlemy go policji.

Rozzejrzał się, jakby spodziewał się sprzeciwu i był gotów stawić mu czoło.

– Poświęciliśmy zbyt dużo czasu i pieniędzy, żeby zadowolić się czymś mniej. Szpitalny zabił Tinę Puma. Jest gdzieś tutaj i próbuje wykombinować, jak zabić nas. W każdym razie trzech z nas... nie wie, że Tim tu jest, podobnie jak policja. – Znowu się napił. – Michael, jestem w książce telefonicznej. Na pewno już wie, gdzie mieszkam. Mam wszelkie powody, żeby usunąć tego wariata z drogi. Nie chcę spędzić reszty życia na zastanawianiu się, czy jakiś szaleniec nie zajdzie mnie od tyłu i nie poderznie mi gardła.

Czasami Conor mógłby niemal podziwiać Harry'ego Beeversa.

– Więc mówię o rozwieszaniu ulotek na oknach, latarniach, przystankach, wszędzie tam, gdzie mógłby je zauważyć. Opracowałem też kilka ogłoszeń dla „Village Voice”. To znikoma szansa, ale warto spróbować. I jest jeszcze jeden pomysł, który zainteresował Tima. Chciałbym, żebyś rozważył go na poważnie, Michael. Moglibyście razem jechać do Milwaukee, pogadać z rodzicami Szpitalny'ego i jego dawnymi dziewczynami czy kogo tam miał. Może uda wam się dowiedzieć czegoś ważnego. Nie-wykluczone, że do kogoś pisał, dzwonił. Cokolwiek!

W oczach Beeversa płonęła satysfakcja z tego planu. Po pierwsze, przez kilka dni będzie miał Tima Underhilla z głowy. Już spytał Conora, czy też chce jechać do Milwaukee, ale spotkał się z odmową. Ben Roehm potrzebował drugiego stolarza do drobnego remontu i powiedział Conorowi, że Tom Woyzak „już nie stanowi problemu”. Jego siostrzenica Ellen w grudniu złożyła pozew o rozwód. Woyzak pobił ją o jeden raz za dużo i teraz przebywał w ośrodku leczenia uzależnień od narkotyków i alkoholu.

Mikey zaskoczył Conora, mówiąc:

– Sam myślałem o czymś w tym stylu. Chcesz spróbować, Tim?

– To mogłoby być interesujące – powiedział Underhill.

– Najpierw powiedz mi, co myślisz o ogłoszeniach w gazetach. – Beevers podał Poole’owi kartkę, na której dużymi literami wypisał treść ogłoszeń na ostatnią stronę „Voice”:

TIM UNDERHILL – ZAKOŃCZ WOJNĘ I WRÓC DO DOMU. DZWOŃ HARRY BEEVERS 555-0033.

UNDERHILL – PIECHUR MOŻE PRZESTAĆ UCIEKAĆ. 555-0033.

– A oto jedna z ulotek. – Wstał i zdjął górną kartkę ze stosu papierów na półce. – Wydrukowałem trzysta takich w drukarni za rogiem. Mogę rozlepić po jednej na każdej latarni. Zobaczysz je, nie ma obawy.

Na żółtym papierze ulotki widniały duże czarne litery:

TIM UNDERHILL

TY KTÓRY BYLEŚ W IA THUC

I OSTATNIO WIDZIANY W BANGKOKU

WRACAJ DO DOMU

MY KTÓRZY ZNAMY TWOJE PRAWDZIWE NAZWISKO

POTRZEBUJEMY TWOJEJ SZLACHETNOŚCI

I CIERPLIWOŚCI

DZWOŃ DO PORUCZNIKA

555-0033

3

Mike Poole skinął głową, powiedział coś miłego i odłożył ulotkę.

– Myślisz, że zadziała? – zapytał go Conor.

– Może. – Poole wyglądał, jakby się dopiero obudził.

Conor zastanawiał się, co zaszło między nim a Judy od pogrzebu Tiny, ale tak naprawdę nie musiał znać szczegółów, by wiedzieć, że ich związek się rozpada. Kilka miesięcy temu w Waszyngtonie nie zobaczyłby tych znaków, a gdyby nawet, nie zestawiłby ich w ten sposób. W Waszyngtonie był jedynym przegranym w klubie ludzi sukcesu i użalanie się nad sobą kazało mu urznąć się w sztok. Spojrzał na szklankę w swojej dłoni i ostrożnie odstawił ją na stół. Teraz nie miał powodu zalewać robaka. Miał nadzieję, że Mikey wyjdzie z tego bez szwanku, że coś zrobi. Robienie czegoś było w zasadzie jedynym wyjściem z sytuacji, w jakiej się znajdował. Prawie nie miało znaczenia to, co się robi.

Przez chwilę Conor zastanawiał się, czy nie zaprosić Mike’a do siebie do South Norwalk i nie załatwić mu pracy jako bezpłatnego pomocnika Bena Roehma – walenie w gwoździe i noszenie regipsów byłoby świetną terapią. Ale było to niemożliwe, podobnie jak dla niego robienie obchodu w szpitalu u boku Mike’a. Tak czy inaczej, miał nadzieję, że Mike zgodzi się na plan Beeversa i spędzi parę dni na Środkowym Zachodzie, szukając tropów Szpitalny’ego. Cokolwiek będzie robić, to mu pomoże.

– Od teraz to moja praca na pełen etat – mówił Beevers. – Po zamieszczeniu ogłoszeń i rozlepieniu ulotek zostają tutaj, przy telefonie. Tim powinien jechać do Milwaukee, bo moim zdaniem to zasadnicza część naszej strategii. Wszyscy trzej powinniście jak najszybciej zakasać rękawy. Ja muszę zostać tutaj, to logiczne.

– Powiadomisz nas, szefie, gdy coś się stanie, prawda? – zapytał Conor.

– Oczywiście. – Beevers zakrył twarz dłonią i pokręcił głową. Wskazał szklanką na Mike’a. – A co on zrobił? Postawcie sobie to pytanie. Zadzwonił do mnie zaraz po znalezieniu Tima? – Zwrócił się do Underhilla. – Czy w ogóle dał mi szansę z tobą porozmawiać? Kiedy zadajecie pytania, upewnijcie się, czy pytacie właściwą osobę.

– Ustawiłem wszystko tak, żebyśmy mogli jak najwcześniej wrócić do Ameryki – zaznaczył Mike. – Przykro mi, że czujesz się wyrolowany.

– Czasami zastanawiam się, co by było, gdybyś to ty zobaczył mnie pierwszy, a nie Michael – wtrącił Tim.

– Dokładnie to samo – oświadczył Harry. Jego twarz przybrała nieprzyjemny odcień czerwieni. – Tylko mówię, nic więcej. Nie wpadaj w paranoję.

Kiedy Mikey uznał, że ma już dość, i wstał, Conor też się podniósł.

– Po południu rozwiesimy kilka ulotek – powiedział Beevers napiętym, nieszczęśliwym głosem. – Możecie wrócić na świeże powietrze i czyste ulice, ale tutaj jest praca do wykonania. Dajcie znać, gdyby coś się wydarzyło, chociaż myślę, że będzie trwał nasz ruch przez tydzień, zanim wykona swój.

– A ja zarezerwuję bilety do Milwaukee – obiecał Poole. – Polecimy, gdy tylko będę mógł się wyrwać.

Conor z wielką niechęcią zostawiał Tima Underhilla w tym mieszkaniu.

Wyszli w zaskakująco wiosenne powietrze. Ciepło dnia wraz z tym, co chodziło mu po głowie, skłoniło Conora do zaryzykowania, że wyjdzie na głupca.

– Słuchaj, Mikey, nie wiem, czemu to mówię, ale gdybyś potrzebował miejsca, żeby gdzieś się zatrzymać czy coś, po prostu do mnie zadzwoń, dobra? Zawsze możesz pokoczcować u mnie, jakby co.

Mike wcale go nie wyśmiał – wyciągnął rękę i porządnie uściśnął jego dłoń.

– Dlaczego nie jedziesz na tę wycieczkę do Milwaukee?

– Chleb, wiesz. Chciałbym jechać, ale muszę zarabiać na chleb. Chociaż tak naprawdę... ta cała sprawa... nie sądzisz, że pora sobie odpuścić i opowiedzieć o wszystkim temu gliniarzowi? Tańczymy, jak Beevers zagra, co wcale nie jest dobre, stary.

– To potrwa tylko kilka dni, Conor. Poza tym przechodzę dziwny okres, a dzięki temu wyjazdowi będę miał czym się zająć.

Conor skinął głową, żałując, że nie wie, co ani jak powiedzieć, i rozstali się. Conor zrobił kilka kroków w stronę metra, odwrócił się i patrzył, jak Mikey idzie w słońcu ku Dziewiątej Alei. Zastanawiał się, czy wie, dokąd zmierza, albo czy w ogóle naprawdę dokądś zmierza, i przez chwilę miał ochotę pobiec za nim.

4

Poole zdał sobie sprawę, że może pójść do garażu na University Place. Byłby to przyjemny sposób na opóźnienie powrotu do Westerholmu, wolna strefa podarowana mu przez nietypowo ciepłą pogodę. W tej chwili wolna strefa wydawała się mile widziana.

Przeszedł przez Dziewiątą Aleję i skręcił w prawo w kierunku Ulicy Dwudziestej Trzeciej. Wpadło mu do głowy, że mógłby przejść przez Village, przez Houston Street, i udać się do SoHo. Maggie Lah prawdopodobnie nadal jest w Sajgonie. Ciekawie byłoby zobaczyć, co ona i Vinh robią w restauracji. Odrzucił ten pomysł, ale zastanawiał się, czy Maggie byłaby zainteresowana wyjazdem do Milwaukee z nim i Underhillem. Może zdoła zidentyfikować Szpitalny'ego na podstawie zdjęć w domu jego rodziców. Byłoby to pomocne, gdy zgłoszą sprawę na policję. Jego myśli płynęły przyjemnie, gdy szedł Dziewiątą Aleją w kierunku Greenwich Village.

5

Tymczasem Maggie w środku rozmowy postanowiła powiedzieć Vinhowi, że pisarz Timothy Underhill, przyjaciel Tyny z Wietnamu, potajemnie wrócił do Ameryki i mieszka teraz u Harry'ego Beeversa. Dla niej ta informacja była kolejnym dowodem świadczącym o niezrównoważeniu Beeversa. Wiedziała, że Vinh go nienawidzi, i założyła, że podzieli jej odczucia wobec jego prywatnych wysiłków mających na celu znalezienie mordercy Tyny. Poza tym wiedziała, że można mu bezpiecznie powierzyć każdą tajemnicę. Ale jego reakcja ją zaskoczyła – wpatrywał się w nią przez długi czas, po czym poprosił o powtó-

zenie wiadomości. Przez resztę popołudnia pracował w milczeniu, a około piątej, tuż przed jej wyjściem, powiedział: „Muszę do niego zadzwonić”, odłożył światłokopie i podszedł do telefonu w kuchni.

6

Michael zamknął okna, włożył do magnetofonu kasetę z koncertami fortepianowymi Mozarta w wykonaniu Murraya Perahii i wyjechał na University Place. Z głośników płynęła łagodna, melancholijna muzyka. Niewłaściwa muzyka. Wyjął kasetę, włożył ją z powrotem do pudełka, załadował inną. Pierwsze takty Don Giovanniego wypełniły wnętrze samochodu. Opera zabierze go do domu.

Na autostradzie prowadzącej do hrabstwa Westchester przypomniał sobie książeczki o Babarze w bagażniku – dlaczego je tam schował?

Bo chciał mieć je przy sobie, na wypadek gdyby nie wrócił do Westerholmu. Nie chciał ich stracić, a gdyby Judy je znalazła, trafiłyby do kosza na śmieci.

Godzinę później był już prawie w domu, pocziwy doktor Poole, skręcał na zjazd do Westerholmu, jechał swoim małym samochodem ulicami bez znaków i świateł, wśród żywopłotów i pod gałęziami, na których wkrótce pojawią się pączki, przez Main Street z filiami Laury Ashley i Baskin Robbins, ze stacją benzynową, której właściciel „dialogował” z tobą na temat scjentologii, gdy napełniał twój bak, a potem obok General Washington Inn i stawu z kaczkami. „Biada mi, biada, Lascia le donne? Pazzo!” Don Giovanni ryczał: „Zostawić kobiety? Jesteś szalony, wiesz, że potrzebuję ich bardziej niż chleba, który jem, niż powietrza, którym oddycham”. Pod wpływem impulsu Michael nie skręcił w swoją ulicę, tylko jechał dalej, aż dotarł na miejsce budowy nowego centrum medycznego Sama Steina.

Przed wielkim placem stała duża tablica z napisem centrum medyczne westerholm w kolorze gustownej, prawie nieczytelnej zieleni na tle brązu. Za działką zaczynał się rezerwat przyrody. Gdy tylko nadejdzie wiosna, na placu pojawią się buldożery i koparki. Oto przyszłe królestwo doktora Sama Steina.

Michael wszedł do samochodu i pojechał do domu. Stracił wątek losów Don Giovanniego, potężne głosy grzmiąły i przymilały się, walcząc o powietrze i przestrzeń. Skręcił na podjazd i żwir chrzęścił pod oponami. Dom, jest bezpieczny. Zerlina śpiewała: „W szczęściu i radości spędzmy nasze dni i noce”. Niczym magiczne światło, które może przenikać przez kamień, cegłę, ołów, drewno i skórę, muzyka płynęła przez świat w drodze do innego miejsca. Michael podjechał pod garaż i wyłączył silnik. Taśma wkręciła się i muzyka ucichła. Michael zabrał powieść z fotela i wysiadł z samochodu. Przez chwilę widział żonę i Pat Caldwell patrzące na niego z okna salonu. Rozdzieliły się, gdy ruszył do drzwi.

Spotkania

1

– Rzecz w tym, że ją lubię – powiedział Conor. – Nie mogę uwierzyć, że to mówię, ale nie tylko ją lubię, dużo o niej myślę. Wiesz, co mi powiedziała? Powiedziała, że lubi mnie słuchać.

– Nie ma dzieci? – zapytał Poole.

– Dzięki Bogu, nie. Ten Woyzak nie chciał. Dzieci doprowadzały go do szału. Ale Woyzaka wszystko doprowadzało do szału. Nigdy ci o nim nie mówiłem?

Poole pokręcił głową, a Conor zamówił następną kolejkę drinków i zaczął opowiadać, jak przypomniał mu się Victor Spitalny, gdy tylko poznał Toma Woyzaka. Siedzieli w Donovan's w piątkowy wieczór po poniedziałkowym spotkaniu w Nowym Jorku. We wtorek wieczorem Michael przytargał do mieszkania Conora walizkę pełną ubrań. Codziennie jeździł do szpitala, przyjmował pacjentów i próbował załatwić swoje sprawy, a później wracał do South Norwalk.

– Chodzi mi o to, że tak naprawdę nic nigdy nie znika. Powinniśmy byli wiedzieć, że to będzie Spitalny. On tam był. Brał udział we wszystkim. – W oczach Conora płonąła nietypowa inspiracja. – Rozmawialiśmy o nim nawet w Waszyngtonie, pamiętasz?

– Pamiętam. Ale Beevers był taki pewny swego. A ja chyba myślałem, że Spitalny nie żyje. Przez myśl by mi nie przeszło, że nazwał się Koko i morduje ludzi.

Conor skinął głową.

– No, przynajmniej teraz jesteśmy daleko do przodu. Beevers mówi, że na razie nie ma żadnej reakcji na jego ogłoszenia.

Poole też rozmawiał z Beeversem, który przez dziesięć minut narzekał, że Tim Underhill go zostawił.

– Jest na nas wkurzony, człowieku.

– Jest wkurzony na wszystkich.

– Ale nie wiedziałem o Vinhu.

– Myślę, że obaj nie wiedzieliśmy o Vinhu.

Beevers wciąż był wściekły, że Poole powiedział Maggie Lah o Underhillu, bo Maggie powiedziała o nim Vinhowi.

– I co robią? – zapytał Conor. – Underhill, Vinh i dzieciak Vinha mieszkają w restauracji?

– Raczej nie. Vinh i jego córka chyba mieszkają u krewnych. Przypuszczam, że Underhill pomagał rodzinie Vinha w dawnych czasach, i Vinh odwdzięcza się za przysługę.

– Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży, człowieku.

Gdy tylko Michael zobaczył w oknie Pat Caldwell stojącą obok Judy, od razu wiedział, że jego małżeństwo dobiegło końca. Judy prawie się do niego nie odzywała i wkrótce wycofała się do swojej sypialni. Pat, skrupowana sytuacją i kierowana współczuciem, zasugerowała mu, że Judy porozmawia z nim później na osobności. Powiedziała, że Judy czuje się zraniona i zdradzona przez coś, co zaszło między nimi, i że nie chce być z nim sama w domu. Przyjechała, by dodać jej otuchy i zapewnić kobiecie wsparcie – i być świadkiem tego, co Judy postrzegала jako swoje upokorzenie.

„Oczywiście możesz mi powiedzieć, żebym wyszła, i wtedy wyjdę” – powiedziała Pat. „Mam tylko bardzo ogólne pojęcie, o co w tym wszystkim chodzi, Michael. Lubię was oboje. Judy poprosiła, żebym tu przyjechała, i tak zrobiłam”.

Michael spędził noc na kanapie w swoim małym gabinecie na dole, a Pat spała w pokoju gościnnym; kiedy Judy powiedziała, że nigdy mu nie wybaczy tego, jak ją potraktował – zdawało się, że wierzy

w swoje oświadczenie – Michael przeniósł się do George’a Washingtona, gdzie mieli kilka pokoi wynajmowanych chłopakom i dziadkom.

Następnego wieczoru pojechał do Conora. Teraz codziennie godzinami rozmawiał z Maxem Atlassem, swoim prawnikiem, który z wyraźnym trudem powstrzymywał się od okazania, że jego klient postradał zmysły. Max Atlas nigdy się nie uśmiechał i jego duża mięsista twarz w naturalny sposób wyrażała ponurość i zwątpienie, ale podczas godzin spędzonych z Michaeliem obwisły mu policzki i nawet uszy jakby oklapły. Przygnęły go nie problemy małżeńskie, ale to, że Michael chce dobrowolnie odejść z interesu, który lada moment zacznie przynosić wielkie pieniądze.

– Pewnego dnia przyjechała do pracy – mówił Conor. – Blazerem. Blazer był piękny, stary. Zobaczyłem ją, jak wysiadła, i wyglądała nieźle. Szczerze mówiąc, fantastycznie. Mimo że było widać, że jest zdolowana z powodu swojego mężusia. Ben Roehm odciągnął mnie od pracy i powiedział: „Słuchaj, Conor, sądzę, że powinieneś poznać moją siostrzenicę Ellen”. Od razu sobie pomyślałem, że nie mam u niej szans. Ale jak się okazało, jej ojciec był stolarzem, dziadek był stolarzem, Ben Roehm jest jej wujem, i nawet jej mąż, który od powrotu z wojny miał nierówno pod sufitem, był czymś w rodzaju niedorobionego stolarza. Zgadnij, co lubi?

– Chyba rozumiem – powiedział Michael.

– Nie... zgadnij, co lubi robić.

– To samo co ty.

Na twarzy Conora odmalowało się błogie zdumienie.

– Lubi siedzieć w mieszkaniu i rozmawiać. Lubi przychodzić do tego baru na drinka. Świetnie się bawimy. Twierdzi, że ma ze mną frajdę. Chce mieć mały domek w Vermont. Chce mieć mężczyznę, z którym mogłaby spędzać czas. Chce mieć dzieci. Ten dupek nie pozwalał jej mieć dzieci, i dobrze, skoro okazał się łajdakiem. Chciałbym mieć dzieci, Mikey, naprawdę. Człowiek powoli ma dość samotnego życia.

– Ile razy spotkałeś się z Ellen?

– Czternaście i pół. Kiedyś mieliśmy tylko czas na kilka piw, zanim rodzice ją zabrali. Martwią się o nią. – Obrócił szklankę piwa na barze. – Ellen dostaje trochę pieniędzy od Bena Roehma, ale jest tak samo splukana jak ja.

– Powinieneś zejść ci z drogi. Nie chcesz, żebym spał u ciebie, Conor. Powinieneś mi powiedzieć, kiedy do ciebie zadzwoniłem. Mogę znaleźć sobie jakieś inne miejsce.

– Nie, jej matka na coś się rozchorowała i Ellen się nią opiekuje. Więc i tak przez kilka dni nie możemy być razem. Poza tym chciałem ci o niej opowiedzieć. – Conor na chwilę odwrócił wzrok. – Ale zastanawiałem się, kiedy planujesz ten wyjazd do Milwaukee. Jej matka zdrowieje z dnia na dzień.

– Mógłbym jechać pojutrze – odparł Poole ze śmiechem. – Najpierw muszę iść na kolejny pogrzeb. Tej mojej pacjentki, o której ci mówiłem.

– Mikey, miałbyś coś przeciwko, gdybym ja, gdyby, wiesz...

– Jasne, że nie.

– Polubisz ją – powiedział Conor i zsunął się ze stołka, żeby przejść do automatów telefonicznych.

Dziesięć minut później wrócił z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Będzie za piętnaście minut. – Nie przestawał się uśmiechać. – Dziwne. Czuję się tak, jakbym znów łączył się ze światem, jakbym dotychczas unosił się w kosmosie i wreszcie wrócił na ziemię. Długo to trwało, stary.

– Tak.

– Przez cały czas, gdy byliśmy na tej wycieczce, kiedy patrzę wstecz, było tak, jakby naprawdę mnie tam nie było. Jakbym pływał pod wodą z otwartymi oczami. Jakbym był we śnie, gdzie nic nie jest prawdziwe. Byłem swoim cieniem. A teraz już nie jestem.

Conor duszkiem wypił piwo i postawił szklankę na barze.

– Dobrze to powiedziałem?

– Jestem jak Ellen – odrzekł Poole. – Lubię cię słuchać.

Chwilę później Poole również podszedł do telefonu, myśląc, że z nim wcale nie było inaczej. Podczas pobytu w Singapurze i Bangkoku wszystko wydawało się bardzo ostre i jasne – przypominało mu Wietnam. Ale w krótkim czasie wszystko się odwróciło. Singapur i Bangkok kojarzyły mu się z czasem

pokoju, natomiast to, co teraz go otaczało, przypominało Wietnam. Tropiła go wersja Elvisa. W przeciwieństwie do Conora nie sądził, że śpi i śni, gdy chodził po Ogrodach Tygrysięgo Balsamu i Bugis Street; ale może jego pierwsza chwila prawdziwego przebudzenia nastąpiła na rozklekotanym moście obok tekturowych szop. Właśnie tam zaczął rezygnować.

Wrzucił monety i wybrał numer żony. Spodziewał się usłyszeć nagraną wiadomość, ale ktoś podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

– Halo, kto mówi? – zapytał.

– Kto mówi? – Usłyszał obcy kobiecy głos.

Wtedy wiedział, kto to.

– Cześć, Pat. To ja, Michael. Chciałbym porozmawiać z Judy.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Proszę.

Poole czekał przez długie minuty, obserwując, jak Conor spogląda na drzwi za każdym razem, gdy ktoś wchodził. Wiedział, że tej nocy musi opuścić jego mieszkanie i zameldować się w hotelu – trzymanie go z dala od dziewczyny byłoby nie fair.

Usłyszał łagodny głos Pat:

– Nie podejdzie, Michael. Przykro mi. Nie chce z tobą rozmawiać.

– Spróbuj jeszcze raz. Proszę.

– Jeszcze jedna próba.

Tym razem Judy podeszła do telefonu niemal natychmiast.

– Nie sądzisz, że powinniśmy spotkać się i porozmawiać? – spytała ją.

– Odnoszę wrażenie, że nie mamy o czym – odparła.

– Mamy. Naprawdę chcesz, żeby zajęli się tym prawnicy?

– Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka. Nie chcę cię widzieć, nie chcę, żebyś spał na kanapie, i nie chcę z tobą teraz rozmawiać.

To była gra – prędzej czy później Judy będzie chciała, żeby wszystko wróciło do normy. Na razie chciała, żeby cierpiał. Powstrzymywał ją przed zrobieniem czegoś, co, jak udawała z całego serca, chciała zrobić.

– Niech ci będzie – powiedział, ale już się rozłączyła.

Poole wrócił do baru. Conor spojrział na niego i powiedział:

– Słuchaj, mogę zatrzymać się u Ellen, wiesz. Korzystamy z mojego mieszkania, bo Ellen mieszka w Betel i dojazd do pracy zajmowałby mi więcej czasu, ale prawdziwym głównym powodem jest to, że tam na ścianach wiszą rzeczy Woyzaka, jego zdjęcia w mundurze i medale w ramkach; gdziekolwiek spojrzysz, Tom Woyzak gapi się na ciebie. Po pewnym czasie to zaczyna działać na nerwy.

Poole przeprosił i wrócił do telefonu. Bar był już pełen ludzi i ledwo słyszał mechaniczny głos instrujący go, jak korzystać z karty kredytowej.

Odebrał mężczyzna, zapytał o nazwisko i powiedział, że poprosi Maggie do telefonu. Jego ton brzmiał bardzo ojcowsko.

Po chwili odezwała się Maggie.

– No, no, doktor Poole. Skąd wiedziałeś, że chciałam z tobą porozmawiać?

– Mam pomysł, który może cię zainteresować.

– Już brzmi interesująco.

– Czy Tim Underhill wspomniał ci o naszej wycieczce do Milwaukee?

Nie.

– To były luźne plany. Zamierzamy poszukać rodziców Victora Spitalny'ego i spróbować zdobyć o nim jakieś nowe informacje. Może przysłał pocztówkę, może ktoś coś słyszał... to strzał w ciemno, jednak warto spróbować.

– I?

– I pomyślałem, że może powinnaś do nas dołączyć. Może rozpoznasz Spitalny'ego na zdjęciu. I już bierzesz udział w tym, co się dzieje. Już jesteś zaangażowana.

– Kiedy jedziecie?

Michael odparł, że tego wieczoru zarezerwuje bilety na niedzielę i spodziewa się, że wyjazd potrwa tylko parę dni.

– Za tydzień otwieramy restaurację.

– To zajmie najwyżej dzień lub dwa. Może po prostu stwierdzimy, że to tylko zimny trop.

– Więc po co miałabym jechać?

– Chciałbym, żebyś pojechała.

– W takim razie zgoda. Daj znać kiedy i spotkamy się na lotnisku. Wystawię ci czek za mój bilet.

Michael z uśmiechem odwiecił słuchawkę.

Odwrócił się w stronę baru i zobaczył Conora stojącego twarzą w twarz z kobietą może o cal wyższą od niego. Miała długie niesforne kasztanowe włosy i nosiła kraciatą koszulę, jasnobrązowy puchowy bezrękawnik i obcisłe spłowiałe dżinsy. Conor skinął głową w jego kierunku, a kobieta odwróciła się i patrzyła, jak do nich podchodzi. Miała wysokie czoło pocięte głębokimi zmarszczkami, wyraźnie zarysowane brwi i silną, inteligentną twarz. Była zupełnie inna, niż Michael się spodziewał.

– To ten facet, o którym ci mówiłem – powiedział Conor. – Doktor Michael Poole, znany jako Mike. To Ellen.

– Cześć, doktorze Poole. – Ujęła jego dłoń.

– Mam nadzieję, że będziesz mówić mi Michael. Ja też o tobie słyszałem i cieszę się, że cię poznałem.

– Musiałam wyrwać się na chwilę, żeby sprawdzić, co u mojego słoneczka.

– Jeśli kiedyś będziecie mieć dzieci, poproście mnie, żebym był ich lekarzem – powiedział Poole i przez chwilę wszyscy stali w hałaśliwym barze, uśmiechając się do siebie.

3

Kiedy Michael wsunął się do ostatniej ławki w kościele św. Roberta przy wiejskim placu, nabożeństwo już trwało. W dwóch ławkach z przodu siedziały dzieci, koleżanki i koledzy z klasy Stacy. Wszystkie wyglądały na wyższe, starsze i jednocześnie bardziej obyte i bardziej niewinne niż ona. Rodzice Stacy, William i Mary („jak uniwersytet 2^o”, mówili każdemu, kto widział ich po raz pierwszy), siedzieli z niewielką grupą krewnych po drugiej stronie kościoła. William odwrócił się i posłał Michaelowi wdzięczne spojrzenie. Światło wpadało przez witraże po obu stronach nawy. Michael czuł się jak duch – czuł się tak, jakby kawałek po kawałku stawał się niewidzialny w tym jasnym optymistycznym kościele, gdy episkopalny ksiądz wypowiadał płynące z głębi serca frazesy o śmierci.

Spotykał się z Talbotami przed drzwiami świątyni po zakończeniu nabożeństwa. William Talbot, krzepki i dobroduszny, zbił fortunę w różnych firmach bankowości inwestycyjnej.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Michael.

– Słyszeliśmy, że rezygnujesz z pracy w szpitalu. – W słowach Mary Talbot brzmiało pytanie i Michael pomyślał, że usłyszał także wyrzut. W świecie Westerholmu lekarze powinni opuszczać swoje stanowiska dopiero po przejściu na emeryturę albo gdy padli trupem.

– Myślę nad tym.

– Będziesz w Memorial Park?

Mary Talbot zrobiła dziwnie zmartwioną i powątpiewającą minę.

– Oczywiście – odparł.

* * *

W Westerholmie istniały dwa cmentarze, położone na przeciwległych krańcach miasta. Starszy z nich, Burr Grove, zapelniony krótko przed II wojną światową, był zielonym, pagórkowatym, cieniostym miejscem z rzędami dziobatych osiemnastowiecznych nagrobków. Burr Grove zwano lokalnie „mogilnikiem”. Memorial Park, nowoczesny cmentarz, zajmował otoczone lasami długie równe pole w pobliżu drogi ekspresowej na północnym krańcu miasta. Był schludny, bardzo zadbany i pozbawiony jakiegokolwiek uroku czy charakteru. Tu nie było przechylonych nagrobków ani posągów aniołów, psów czy zawodzących kobiet z długimi prostymi włosami, żadnych kamiennych kaplic świadczących o fortunach rodzin kupieckich – tylko proste rzędy małych białych tablic nagrobnych i długie, równe połacie ziemi.

Grób Stacy Talbot znajdował się na krańcu zajętej przez mogiły części. Kopczyki wykopanej ziemi były przykryte pasami sztucznej trawy w kolorze ziemskiej, chemicznej zieleni. Młody ksiądz z kościoła św. Roberta stał pod baldachimem i odprawiał obrzędy z czymś, co Poole zinterpretował jako grymasną satysfakcję z własnej elegancji. Dzieci w wieku szkolnym, prawdopodobnie uznane za zbyt małe na uczestniczenie w pochówku, nie były obecne. William i Mary Talbot stali z pochylonymi głowami wśród krewnych i sąsiadów. Poole znał ponad połowę z tłumu sąsiadów, którzy stawili się w większej liczbie niż w kościele. Byli rodzicami jego pacjentów, niektórzy mieszkali po sąsiedzku.

Stał w pewnej odległości od nich. Był tylko lekarzem, nie krewnym ani przyjacielem tych ludzi. Judy, zawsze zbyt zajęta i nerwowa, nie zapraszała ich do ich domu; potajemnie gardziła ich życiem i ambicjami. Podczas ceremonii spostrzegł, że kilka osób go zauważyło – mały wybuch szeptów, kilka spojrzeń i uśmiechów.

Ponieważ był to pogrzeb dziecka, Michael rozpamiętywał pogrzeb Robbiego. Czuł się wyczerpany zbyt niedawnym smutkiem: miał wrażenie, że wraz z trumną Stacy Talbot pod powierzchnią ziemi znika epoka, która pod wieloma względami była najspokojniejsza i najbardziej produktywna w jego życiu. Z całego serca współczuł Williamowi i Mary Talbotom, którzy stracili swoje jedyne dziecko, bystrą i odważną córkę. Przez chwilę ból przeszywał go jak strzała, a śmierć Stacy Talbot była otchłanią – porwał ją potwór, strugał jej ciało, zabijał ją cał po calu. Poole chciałby kogoś objąć, kogoś, z kim mógłby zapłakać. Stał na skraju tłumu żałobników i płakał samotnie.

Wkrótce było po wszystkim i ludzie, którzy znali Stacy, ruszyli w stronę swoich samochodów. William Talbot podszedł do Michaela i wziął go w ramiona, po czym cofnął się, zbyt wzruszony, żeby cokolwiek powiedzieć. Mary Talbot przysunęła swoją patrycjuszowską twarz do jego twarzy i też go objęła.

– Tęsknię za nią – powiedział.

– Dziękuję – szepnęła.

W ciemność, pomyślał, przez chwilę nie pamiętając, gdzie czytał lub słyszał tę frazę.

Poole pożegnał się z Talbotami i poszedł w głąb cmentarza jedną z wąskich ścieżek, które biegną między równymi rzędami nagrobków.

W innych latach bywał tu co tydzień. Judy przyjechała z nim dwa razy, a później powiedziała, że te wizyty są niezdrowe. Może były; jego to nie obchodziło, bo ich potrzebował. Z czasem stały się mniej potrzebne. Ostatni raz był tu w przeddzień wyjazdu do Waszyngtonu na spotkanie z Beeversem, Conorem i Tiną.

Słyszał trzaskanie drzwi, gdy żałobnicy Stacy Talbot wsiadali do samochodów.

Chciałby mieć obok siebie Tima Underhilla – jego towarzystwa teraz najbardziej pragnął. Underhill mógłby zrozumieć, co się dzieje, doceniłby smutek. Poole miał wrażenie, że przez cały pogrzeb trwał w stanie zimnego zamroczenia, z którego ocknął się w ostatniej możliwej minucie. Zszedł ze ścieżki i ruszył wzdłuż wąskiej niewidzialnej linii między grobami w kierunku graniczącego z cmentarzem lasu.

W ciemność, pomyślał znowu i wtedy przypomniał sobie sen o chłopcu, króliku i zimnej szarej rwącej rzece.

Zakręciło mu się w głowie i powietrze stało się bardzo ciemne, a potem bardzo jasne, gdy zawroty minęły.

Nagle zimne powietrze wypełnił zapach silnego światła słonecznego i zbitej masy kwiatów, zapach tak silny i piękny, że niemal uniósł go z ziemi, i w kolejnym szybkim wybuchu białego blasku Poole ujrzał mężczyznę, który musiał mieć co najmniej sześć i pół stopy wzrostu, stojącego między nim a grobem Robbiego. Mężczyzna uśmiechał się do niego. Miał kręcone jasnobrązowe włosy, a szczupła muskularna sylwetka sugerowała, że jest bardzo szybki. Poole'a ogarnęła natychmiastowa miłość do tego człowieka i nagle zdał sobie sprawę, że to wcale nie człowiek. Czas się zatrzymał. Otaczała ich bańka ciszy; istota z gracją przesunęła się w bok, żeby mógł zobaczyć nagrobek Robbiego...

...i drzwi samochodu trzasnęły, i kilka cichych głosów szeptało przy grobie Stacy, i plamię wróbla przemknęło nad jego głową, opadło na ziemię i chwilę później pofrunęło w stronę lasu. Poole nadal czuł się oszołomiony i bolały go oczy. Zrobił krok do przodu i otulił go resztki silnego czystego zapachu słońca i kwiatów. Istota zniknęła.

Miał przed sobą biały nagrobek Robbiego: pełne imię Robbiego, które teraz wydawało się takie oficjalne, daty narodzin i śmierci Robbiego.

Nieziemski zapach zniknął, ale zdawało mu się, że jakby tytułem rekompensaty podwoiła się lub potroiła intensywność wszystkich naturalnych ziemskich zapachów. Zalał go zapach trawy, życia i świeżości gleby, zapach róż w wazonie obok nagrobka, alicie alison leaf 1952–1978, nawet czysty mocny lekko zakurzony zapach żwiru na cmentarnych ścieżkach; kolory wszystkiego wokół niego grzmiały, trzaskały i skwierczały. Na chwilę świat otworzył się jak brzoskwinia, ukazując obezwładniającą słodycz i dobroć.

Kto pojawił się przed nim? Co? Bóg?

Naelektryzowany blask zniknął. Poole poczuł na sobie wzrok księdza, odwrócił się i stwierdził, że patrzy na obojętny krajobraz. Ostatnie samochody docierały do bramy cmentarnej i tylko jego audi i karawan wciąż stały na wąskiej drodze dojazdowej. Kierownik zakładu pogrzebowego z pomocnikiem pracowicie demontował elektryczne rusztowanie, które opuściło trumnę Stacy do grobu. Dwóch pra-

owników cmentarza w zielonych spodniach i kufajkach zdjęło trawiasty dywan z kopców surowej ziemi i przygotowywało się do zasypania grobu. Zza osłony krzewów wyłonił się żółty spychacz. Poole czuł się tak, jakby właśnie przeszedł przez jakiś niezwykle psychiczny bąbel, który wciąż miał moc przesycaenia tych prozaicznych czynności swoją zanikającą mocą, jakby to, co widział przed sobą, było jedynymi widocznymi śladami wielkiej wspaniałości.

Pewien, że wciąż jest obserwowany, odwrócił się i bardziej wyczuł, niż zobaczył, szybki ruch na skraju lasu. Spojrzał w samą porę, żeby dostrzec ciemną postać rozplywającą się między drzewami. Wstrząsnął nim szok. Stał około trzydziestu jardów od skraju lasu. Nadzwyczajne dobre samopoczucie, które sprowizowało go jeszcze kilka sekund temu, roztopiło się we własnym poblasku. Cokolwiek wsunęło się w las, zniknęło, migając między pniami drzew. Poole stanął między grobami syna i Alice Alison Leafs.

Tym razem wiedział, że to Koko. Koko jakimś cudem przybył za nim na cmentarz, co oznaczało, że tropił go do mieszkania Conora.

Szedł między grobami, aż dotarł do pustej części cmentarza, a potem ruszył po brązowej zimowej trawie w stronę drzew. Wydawało mu się, że daleko w głębi lasu wciąż widzi bladą postać obserwującą go zza drzewa.

– Wyjź! – wrzasnął.

Sylwetka daleko w lesie ani drgnęła.

– Wyjź i porozmawiaj ze mną! – krzyknął. Usłyszał, że kierownik zakładu pogrzebowego i robotnicy przerwali pracę, by na niego spojrzeć.

Postać w lesie falowała jak płomień zapalki.

Poole zbliżał się do pierwszych nagich drzew. Postać cofnęła się, by zniknąć za potężnym pnem głęboko w lesie.

– Chodź tutaj!

– Wszystko w porządku?! – zawołał ktoś. Poole odwrócił się i zobaczył mężczyznę potężnego jak zawodowy zapaśnik, stojącego na spychaczu z dłońmi zwiniętymi wokół ust.

Machnął do niego ręką i pobiegł. Postać zniknęła. Gęsty las złożony z brzoź, dębów i klonów, zamieszkiwany przez kilka rodzin lisów i szopów, ciągnął się jakieś pięćdziesiąt jardów w dół do wąwozu i w górę przez grzbiet aż do drogi ekspresowej.

Niewyraźny kształt, teraz ciemny, nie blady, przemknął niczym jeleni między dwoma dębami.

Poole krzyknął, żeby się zatrzymał, i wszedł między drzewa. Przed nim leżała szara ukośna linia powalonego jesionu. Niewyraźna sugestia ścieżki wiodła wokół płataniny zarośli, pod przewróconym jesionem i dalej między drzewa, gdzie rozdzielała się w setki wąziutkich odnóg opadłych liści i cekinów światła. Mały cień cofał się niemal prowokacyjnie w kierunku wąwozu, wabiąc go za sobą.

Poole ponownie obejrzał się przez ramię i zobaczył, że wszyscy czterej mężczyźni wokół grobu Stacy, łącznie z potężnym grabarzem na spychaczu, wpatrują się w niego.

Biegł wokół suchych chaszczki, myśląc, że pcha go do przodu bóg stojący przy grobie jego syna. Schylił się pod ukośnym pnem martwego jesionu i nad ściółką zobaczył cienki jak pajęczyna srebrny drut. Gdyby biegł wyprostowany, nigdy by go nie dostrzegł. Zadziślał instynkt – nie wiedział, że wciąż go ma – i gdy jego prawa kostka przesunęła się do przodu, skoczył, unosząc obie stopy, i przepłynął nad drutem, nie dotykając go. Przez chwilę, która trwała wystarczająco długo, żeby poczuł się dumny z siebie, jego ciało rozciągało się w powietrzu równoległe do ziemi; potem uderzył w grunt z siłą, która wstrząsnęła wszystkimi jego kośćmi. Podciągnął kolana i pomasaował ramię, tłuście od ziemi próchnicznej.

Wstał, potarł ramię i pobiegł kilka kroków głębiej w las. Szpitalny ukazał się w pionowej siatce brzoźowych pni, po czym znów zniknął. Michael wiedział, że nie zdoła go złapać. Zanim dotrze do dna wąwozu, on już będzie w samochodzie i kilka mil dalej na południe.

Zrobił kolejny krok, wodząc wzrokiem po ziemi w poszukiwaniu podejrzanych śladów. Drut zwykle oznaczał minę lub fugasa. W Nowym Jorku nawet szaleniiec pokroju Victora Szpitalny'ego mógł kupić materiały wybuchowe, jeśli wiedział, gdzie szukać. Nie dostałby min wyskakujących ani bomb kasetowych, ani rakiety przeciwpancernej LAW, ale prawdopodobnie na czarnym rynku była dostępna wszelkiego rodzaju broń automatyczna i półautomatyczna, plastikowe materiały wybuchowe i granaty. Może nawet pod młotek szły skrzynie starych min M-14.

Poole powoli szedł po ściółce, ostrożnie opuszczał stopy, badał wzrokiem każdy cal ziemi przed sobą. Stawiał krok za krokiem, czując, jak ziemia ugina się pod podszewkami butów.

Plaski, cyniczny śmiech kruka wyszłył go z góry. Poole spojrzął w gęsty ciemny spłot gałęzi. Światło słoneczne przenikało mniej więcej do połowy koron, a potem rozszczępiało się, oświetlając wiewiórcze gniazdo i ogromny kosmaty czarny guz pnia. Szedł powoli w kierunku wąwozu. Koko

z pewnością dobrze zastawił swoje pułapki, uzbrojone, czekające, aż ktoś detonuje je przez poruszenie linki naciągu. Spitalny jest na to wystarczająco dobrym żołnierzem. Poole chciał znaleźć i rozbroić pułapki, żeby nie wyrządziły krzywdy jakiemuś dziecku biegającemu po lesie.

Jakiemuś małemu chłopcu.

Pokręcił głową i zmusił się, żeby iść dalej, krok po kroku, zapamiętując każdy cal terenu. Coś błyszczało na pniu smukłego klonu: przykuło jego wzrok i w tym samym momencie usłyszał nawoływanie. Odwrócił się i zobaczył pięciu mężczyzn – grabarzy, przedsiębiorcę pogrzebowego i jego pomocnika oraz jeszcze jednego mężczyznę w szarym płaszczu i ciemnym krawacie. Stali w słońcu na skraju lasu na martwej trawie niezagospodarowanej części cmentarza.

– Nie wchodzić! – wrzasnął i ruchem ręki podkreślił zakaz.

Mężczyzna w szarym płaszczu podniósł ręce do ust i Poole usłyszał, jak wykrzykuje coś, co zawierało słowo „wtargnięcie”.

– ...policja! – ryknął mężczyzna.

Poole machnął ręką i znów spojrzął przed siebie. Prawie dotarł do wozu. Myślał, że gdyby Spitalny zastawił więcej pułapek, z pewnością by je zobaczył.

– Idę! – zawołał do mężczyzn, którzy zbili się w gromadkę i prawdopodobnie słyszeli go nie lepiej niż on ich.

Facet w szarym płaszczu wskazywał na niego i znów krzychał.

– ...wyjść natychmiast... policja...

– Ani kroku dalej! Zaraz wyjdę. Zostańcie tam!

Poole machnął ręką i próbował znaleźć to, co widział przed chwilą. Coś osobliwego: błysk koloru? Spojrzał na drzewa i zobaczył tylko wiewiórkę krążącą wokół pnia dębu. Za głową wiewiórki w wąwozie rosły szare krzaki. Spitalny przedarł się przez nie w jakieś czterdzieści sekund – był teraz lepszym wojownikiem dżungli niż w Wietnamie. Michael przesunął wzrok i wreszcie zobaczył: biały prostokąt na smukłym ciemnym pniu klonu.

Przez chwilę wyglądało to jak strzęp białego futra na korze; wreszcie rozpoznał przypiętą do drzewa kartę do gry.

Machnął ręką w stronę mężczyzn na skraju lasu i krzyknął:

– Nie wchodzić! Niebezpieczeństwo!

Miał nadzieję, że go usłyszeli.

– Niebezpieczeństwo! – wrzasnął jeszcze raz, wymachując rękami nad głową i cofając się, aż wyczuł, że jest blisko klonu z kartą przyklejoną do pnia.

Drzewo rośnie może jard za nim, nieco z prawej strony.

Sygnaly ostrzegawcze rozchodziły się po całym jego ciele. Jeśli Koko zastawił kolejną pułapkę, to właśnie tam. Znowu pomachał rękami do mężczyzn i dokładnie przyjrzał się ziemi wokół stóp. Tak blisko wąż wydukał się bardziej miękkimi i wilgotnymi.

– Wyjść... z lasu...

– Czekać! – ryknął, badając ziemię między stopami a klonem.

Żadne srebrne druczki nie lśniły w szarozielonej ściółce, żadne wgłębienia nie zakłócały mozaikowej powierzchni. Szare liście leżały na zielonych liściach na czerwonych liściach na srebrnych liściach. Każdy liść gładko wpasowywał się w swoją część układanki, wszystkie kolory wystawione na słońce i deszcz były jednakowo przygaszone, nie było ostrych linii rozgraniczających, nic nie świadczyło, że pracowita ręka wysunęła spod innych długo ukryty liść klonu, gdy maskowała ślady jak miotła zmiatająca odciski stóp na piasku... przyszedł mu na myśl, że jakaś niewidzialna ręka ukryła pracę wykonaną przez Harry'ego Beevera w tamtym kamiennym jaju pod ziemią.

Jakiś mały chłopiec.

Poole wszedł na wielobarwną mozaikę butwiejących liści. Jego stopa opadła na gładką ściółkę, którą tak dokładnie obejrzał, i...

...załamała skonstruowaną powierzchnię, w okamgnieniu zapadając się powyżej kostki, kolana, i stracił równowagę i bezradnie wpadł do głębokiej dziury odsłoniętej przez rozrywające się liście, za późno wyrzucił ręce i zobaczył przed sobą długie włócznie mierzące w klatkę piersiową, szyję, pachwinę...

...i ziemia utrzymała jego ciężar, ustępując tylko na sprężyste pół cala.

– ...ROZKAZ! – wrzasnął mężczyzna.

Poole nie od razu zobaczył coś więcej na karcie. Był to as kier. Po chwili dostrzegł delikatne, ukośne linie ołówka na białym kartoniku między sercem w środku a lewym górnym rogiem.

Zrobił krok i przysunął twarz do karty. Niewyraźne znaki przekształciły się w słowa. Przeczytał je, zrobił wdech i przeczytał ponownie. Wypuścił powietrze. Bardzo powoli unosił rękę do karty i dotknął

jey gładkiej powierzchni. Została przytwierdzona do drzewa maleńką szpilką, jakie zwykle są w nowych koszulach. Wyciągnął szpilkę z drzewa, trzymając kartę za brzegi. Jeszcze raz spojrział na słowa, po czym wrzucił szpilkę do kieszeni. Odwrócił kartę. Na odwrocie widniał czarno-biały wizerunek pulchnego chłopca z nagim torsem, okrągłymi oczami i kręconymi włosami, trzymającego kosz pełen bujnych orchidei.

4

Wiadomość pozostawiona dla niego na karcie do gry Storczykowy Chłopiec brzmiała:

NIE MAM IMIENIA JESTEM ESTERHAZ
UMIERANIE JEST PRZED ŻYCIEM WIECZNYM
TAM I Z POWROTEM.

5

Dotykając samych krawędzi karty, Michael wsunął ją do kieszeni płaszcza i ruszył ku skrajowi lasu. Krzyknął do mężczyzn, że wychodzi. Ten w szarym płaszczu był bardzo podekscytowany. Gdy szedł, wciąż wypatrując na ziemi drutów i poruszonych liści, zarządca cmentarza chwycił za rękaw wyższego z dwóch pracowników i potrząsnął w powietrzu drugą ręką. Poole słyszał tylko przytłumione fale dźwięków. Pomachał na znak, że wychodzi, bez obaw, jest nieuzbrojony i jest porządnym obywatelem, nie ma się czym ekscytować. Mężczyzna w szarym garniturze już nie zwracał na niego uwagi. Młodszy, w ciemnym płaszczu z kwadratowymi watowanymi ramionami, pomocnik przedsiębiorcy pogrzebowego, stanął obok swojego szefa, który wydawał się zaniepokojony, a nawet nieco zakłopotany wzburzeniem administratora. Michael zrobił kolejny krok, zdając sobie sprawę, że będzie musiał oddać policki kartę do gry, i nagle stanął jak wryty.

Znów poczuł zapach boga, ten cudowny, czysty zapach słońca i gęstwy kwiatów. Tutaj był jeszcze silniejszy niż przy grobie Robbiego. Ale powietrze nie pociemniało i nie było drżących błysków światła. Boski zapach był naturalny, nie nadprzyrodzony. Lekki kręty podmuch uniósł go i przywiał ponownie. Wtedy Poole dostrzegł po lewej stronie skupisko kołyszących się niebiesko-białych polnych kwiatów i zrozumiał, że one są źródłem magicznego aromatu. Zakwitły przy nagłej dobrej pogodzie i jakoś przetrwały spadek temperatury. Nie znał ich, wysokich jak tulipany, z szerokimi niebieskimi kielichami w białe prążki. Rosły przed grupą dębów i ich mocne zielone łodygi sterczały ze ściółki jak włócznie. Znowu dotarła do niego fala potężnego zapachu.

Gdy spojrział przed siebie, mężczyzna w szarym płaszczu celował w niego palcem wskazującym.

– ...ten człowiek ma natychmiast stamtąd wyjść, Watkins – mówił.

Watkins zrobił powolny krok do przodu, a administrator dźgnął go w krzyż.

– Rusz się!

Watkins potruchtał, osłaniając oczy i patrząc między drzewa. Pojawiał się i zniknął jak kilka minut wcześniej sylwetka Koko. Poruszał rękami, jego wielki brzuch falował. Błada plama twarzy mężczyzny wyglądała na napiętą i nieszczęśliwą.

– Nie dzieje się nic złego! – krzyknął Poole, wyciągając rękę.

Watkins wbiegł na tę samą ścieżkę. Schylił się, żeby przejść pod ciemną, ukośną linią martwego jesionu.

– Stój! – wrzasnął Poole.

Mężczyzna w szarym płaszczu wystąpił naprzód, jakby sam też miał zamiar pobiec, a Watkins zrobił kolejny ciężki niezdamny krok w cień i zniknął z pola widzenia.

Poole usłyszał, jak uderza w ziemię. Pobiegł w jego stronę. Duża włochata głowa Watkina wyłoniła się z chaszczy, obróciła w jego stronę i pokazała O otwartych ust. Po chwili z O popłynął urywany krzyk.

– Ucis się – przykazał mu jego szef.

– Pociął mnie!
– O czym ty gadasz, do cholery?
Watkins uniósł ociekającą krwią rękę.
– Patrz, panie Del Barca!
Del Barca ustawił się przed Poole'em i ponownie wycelował w niego palcem.
– Zatrzymaj się. Każę cię aresztować. Wszedłeś na prywatny cmentarz i zraniłeś mojego pracownika.
– Niech się pan uspokoi – powiedział Poole.
– Chcę wiedzieć, co tam robiłeś.
– Próbowałem znaleźć człowieka, który zastawił tę pułapkę. – Poole podszedł do leżącego kilka kroków dalej mężczyzny.
Watkins leżał na boku, trzymając się za lewą nogę. Miał czerwoną twarz i pot zlepił jego kędzierzawe włosy. Rozmyta linia krwi poszerzała się na lewej nogawce.
– Jaką pułapkę? – zapytał Del Barca.
– Spokojnie. Jestem lekarzem, a ten człowiek potrzebuje pomocy. Wpadł na drut, który skaleczył mu nogę.
– Jaki drut, do cholery?! – wrzasnął Del Barca. – O czym ty, do cholery, mówisz?
Poole pochylił się i przesunął dłońią po ziemi cztery czy pięć cali za Watkinsem. Był tam drut, lśniący i napięty. Wyglądał jak kolczasty. Dotknął go lekko.
– Ma szczęście, że nie odciął mu nogi. Nie słyszeliście, jak mówiłem, żeby się zatrzymał?
– Ty mu mówiłeś?! – krzyknął Del Barca. – Czyja to wina?!
– Przede wszystkim wasza. Trzeba sprawdzić, z czym ten drut jest połączony na obu końcach. Jeśli to coś innego niż kamień albo pień drzewa, nie wolno tego ruszać.
– Sprawdź – polecił Del Barca drugiemu pracownikowi, młodszemu mężczyźnie o wąsatej twarzy myszoscoczka. – Niczego nie dotykaj.
Poole ukląkł obok mężczyzny i łagodnym tonem kazał mu położyć się płasko na ziemi.
– Trzeba będzie założyć szwy – dodał. – Ale najpierw obejrzyć ranę.
– Lepiej, żebyś był prawdziwym lekarzem, kolego – warknął Del Barca.
– John. John – odezwał się przedsiębiorca pogrzebowy cichym, nagłym głosem. – Znam go.
Poole zahaczył palcami o rozcięcie w nogawce i szarpnął. Został mu w ręce duży zakrwawiony płat materiału.
– Ta linka może być podłączona do materiałów wybuchowych – powiedział do myszoscoczka. Mężczyzna oderwał rękę od drutu jak oparzony. Z głębokiej rany w nodze Watkina powoli, miarowo wypływała krew. – Musisz jechać na oddział ratunkowy do Świętego Bartłomieja – powiedział i spojrzął na Del Barcę. – Niech pan da mi krawat.
– Co?
– Krawat. Chce pan, żeby ten człowiek wykrwawił się na śmierć?
La Barca z urazą rozwiązał krawat i podał go Poole'owi.
– No dobra, kim on jest? – zapytał przedsiębiorcę pogrzebowego.
– Nie pamiętam nazwiska, ale spokojnie, jest lekarzem.
– Doktor Michael Poole – przedstawił się Poole. Trzykrotnie owinął krawatem marki Contess Mara nogę Watkina, żeby zatamować krew, i zacisnął go mocno przed zawiązaniem. – Wszystko będzie dobrze, ale trzeba zabrać cię do szpitala – powiedział do Watkina i wstał. – Zajmę się nim, gdy tylko go dostarczę. Mógłby pan tu podjechać i zapakować go do samochodu.
Przez rysy Del Barca przemknął niemal estetyczny wyraz niesmaku.
– Chwileczkę. Pan zastawił tę... tę pułapkę?
– Tylko ją rozpoznałem. Z Wietnamu.
Del Barca zamrugnął.
– Ten drut jest przywiązany do drzew, nic więcej – zawołał myszoscoczek. – Przeciął korę.
Watkins jęknął.
– Dalej, Traddles – powiedział Del Barca. – Podjedź karawanem. Jest bliżej.
Traddles ponuro skinął głową i poszedł w stronę karawanu. Jego pomocnik ruszył za nim.
– Byłem tu na pogrzebie Talbotówny – wyjaśnił Poole zarządcy cmentarza. – Poszedłem na grób mojego syna i zobaczyłem człowieka znikającego w lesie. Wyglądał tak dziwnie, że postanowiłem pójść za nim, a gdy zobaczyłam ten drut, to zaciekawiony ruszyłem głębiej w las. Wtedy zaczął pan na mnie wrzeszczeć. Przypuszczam, że facet po prostu uciekł.
– Pewnie zaparkował przy autostradzie – wtrącił młodszy mężczyzna.

Patrzyli, jak Traddles jedzie w ich stronę wąską dróżką. Podjechał najbliżej, jak się dało, wysiadł i czekał przy drzwiach. Pomocnik pobiegł i otworzył tył karawanu.

– No dalej, podnieście go – powiedział Del Barca. – Możesz stać, Watkins. To nie amputacja. – Odwrócił kwaśną, podejrzliwą twarz ku Michaelowi. – Zgłoszę tę sprawę na policję.

– Dobry pomysł. Niech obejrzą cały teren i niech im pan przykaże, żeby zachowywali ostrożność.

Obaj patrzyli, jak wielki mężczyzna kuśtyka do karawanu Traddlesa, wspierając się na swoim małym towarzyszu i posykując przy każdym kroku.

– Zna pan nazwy kwiatów rosnących w lesie? – zapytał Michael.

– Nie sadzimy kwiatów. – Del Barca uśmiechnął się ponuro. – Sprzedajemy kwiaty.

– Duże, niebiesko-białe – upierał się Poole. – O intensywnym zapachu.

– Chwasty – powiedział Del Barca. – Jeśli się tam plenią, niech je diabli wezmą.

6

Po powrocie do pustego mieszkania Conora Michael spojrzął przez okno na Water Street. Nie spodziewał się, że zobaczy Victora Spitalny'ego. Wiedział, że bez trudu skorzystałby ze swojej szczególnej formy niewidzialności i roztopił się w tłumie turystów, którzy przez cały weekend tłoczyli się na odnowionej ulicy, ale mimo wszystko uważnie zlustrował tłum. Musiał założyć, że Spitalny wie o tym mieszkaniu i że on się tutaj zatrzymał.

To popołudnie wstrząsnęło nim, i to nie raz. Pojawienie się Victora Spitalny'ego zmusiło go do odłożenia tych myśli na później, ale coś mu się ukazało – objawiło się – przed grobem Robbiego. Oczywiście to była halucynacja. Stres, niepokój i poczucie winy pchnęły go poza krawędź racjonalności. Cudowny zapach, który towarzyszył pojawieniu się nadprzyrodzonej istoty, był zapachem wczesnych polnych kwiatów. A jednak było to wspaniałe doświadczenie. Wśród strapiień i kłopotów przez chwilę widział wszystko jak gdyby po raz pierwszy. Wewnętrzny ciężar każdej cząsteczki istoty zawładnął nim swoją powagą i mocą. Chciałby opisać to doświadczenia komuś, kto potrafiłby je zrozumieć albo spotkał się z czymś podobnym.

Chciał porozmawiać o tym z Timem Underhillem.

Po raz ostatni spojrzął na ruchliwą Water Street i odwrócił się w stronę pustego pokoju. Kurtki Conora nie było na haczyku przy drzwiach frontowych. Podszedł do stołu i wreszcie zobaczył to, co powinien spostrzec zaraz po wejściu. Był to mały prostokąt papieru wyrwany z notesu pod telefonem w małej kuchni Conora, z wypisanym imieniem mikey.

Poole uśmiechnął się i odwrócił kartkę, żeby przeczytać wiadomość: „Przenoszę się do Ellen, żeby spędzić z nią kilka dni. Rozumiesz. Powodzenia w Milwaukee. Pozdrawiam, Conor. PS polubiła Cię. PPS oto numer, na wypadek gdybyś musiał zadzwonić”. Pod notatką widniał naborzany numer 203.

Wyjął z kieszeni kartę do gry i położył ją na stole obok wiadomości od Conora. Nie mam domu. Koko widział ulotki Beevera. Jestem Esterhaz. Te słowa ujawniały, że Spitalny przeczytał najlepszą książkę Tima Underhilla, a także odpowiadała na zdanie „My którzy znamy twoje prawdziwe nazwisko”. I może była to deklaracja, że Spitalny zamierza się zabić, jak Esterhaz. Jeśli czuł się jak Esterhaz, był w udręce: podobnie jak Esterhaz, zabijał zbyt często i zaczynał uświadamiać sobie, co robi. Poole chciał wierzyć, że pojawienie się Koko na cmentarzu było swego rodzaju pożegnalnym gestem, ostatnim spojrzeniem na kogoś z dawnego życia, zanim podetnie sobie żyły albo wpakuje kulkę w mózg i znajdzie życie wieczne.

Fraza „Tam i z powrotem” nadal była zamkniętymi drzwiami do prywatnego szyfru szaleńca.

Michael przepisał trzy linijki wiadomości na innej białej kartce spod telefonu Conora. Wyjął z szuflady foliową torebkę i włożył do niej oryginał. Tekturka idealnie dopasowała się do folii. Dorzucił do niej szpileczkę.

Na następnej kartce napisał wiadomość do porucznika Murphy'ego: „Chcę przekazać to jak najszybciej. Było przypięte do drzewa w lesie za cmentarzem Memorial Park w Westerholmie. Koko musiał pojechać tam za mną, gdy byłem na pogrzebie pacjentki. Jutro wjeżdżam z miasta, zadzwonię po powrocie. Trzymałem kartę tylko za krawędzie. Dr Michael Poole”. Przed wyjazdem na lotnisko kupił kopertę i wysłał wszystko na komisariat Murphy'ego.

Michael wykreślił numer Sajgonu, żeby porozmawiać z Timem Underhillem.

– Więc uciekłeś od Harry’ego.

– Przeprowadzka po prostu miała sens – powiedział Underhill. – Ciasno tu, ale mogę zejść Harry’emu z drogi i kontynuować pisanie. – Milczał przez chwilę. – I mogę widywać się z moim starym przyjacielem Vinhem, ku mojemu wielkiemu zdumieniu. Nie byłem nawet pewien, czy żyje. A on wyjechał z Wietnamu, dotarł do Paryża, ożenił się i przyjechał tutaj, gdy umożliwili mu to tutejsi krewni. Jego żona zmarła podczas porodu i od tamtej pory sam wychowuje córkę. Helen jest uroczym dzieckiem i od razu mnie ujęła. Jestem kimś w rodzaju wujka, a może powinienem powiedzieć, że ciocią. To naprawdę kochane małżeństwo. Vinh przywozi ją tu prawie codziennie.

– Vinh nie mieszka z tobą?

– Cóż, tkwię w małej kanciapie przy kuchni, policja jeszcze nie odpieczerowała poddasza Tiny. Vinh koczuje w krewnych, gdzie mieszka Helen. Spędzał tam większość nocy i dlatego nie było go, kiedy zginęła Tina. Jeden z chłopców jego siostry ożenił się i przeniósł do Astorii, więc mają dodatkową sypialnię. W każdym razie znowu zacząłem pisać i mam już jakieś sto stron książki.

– Nadal chcesz jechać do Milwaukeee?

– Bardziej niż kiedykolwiek. Domyślam się, że będziemy mieli towarzystwo Maggie.

– Mam nadzieję. Jest coś, o czym powinienem wiedzieć, i właśnie z tego powodu zadzwoniłem.

Poole opowiedział mu o spotkaniu z Koko i znalezieniu karty, po czym przeczytał na głos trzy linijki.

– Jest dość zdezorientowany. Coś go dopadło. Może wyprostował się psychicznie na tyle, żeby chcieć rzucić to, co robi. Jeśli wolno mi oprzeć się na własnym przykładzie, powrót do Ameryki wywołał u niego całą serię wstrząsów. Tak czy inaczej, wzmianka o Halu Esterhazie sprawia, że tym bardziej mi zależy na wyjeździe do Milwaukeee.

Poole umówił się z Timem na lotnisku o dziesiątej trzydzięci następnego ranka.

Później zadzwonił do Conora, powiedział mu o spotkaniu z Koko i poradził, żeby został u Ellen Woyzak, dopóki ich drużyna nie wróci z Milwaukeee. Zanim się rozłączył, podał Conorowi numer telefonu do hotelu, w którym zarezerwował pokoje na następne trzy noce.

– Pforzheimer? – powtórzył Conor. – Brzmi jak marka piwa.

Michael zadzwonił do Westerholmu, ale Judy nie chciała z nim rozmawiać. Przykazał Pat Caldwell, żeby włączyła oświetlenie podwórkowe, które zainstalował rok po śmierci Robbiego, i koniecznie zadzwoniła na policję, jeśli zobaczy kogoś w pobliżu domu albo usłyszy jakieś podejrzone odgłosy. Nie sądził, że Koko będzie nastawać na kobiety, ale chciał, żeby były przygotowane. Powiedział jej również o strzelbie, którą zniósł do piwnicy mniej więcej w czasie, gdy przestał co noc zapalać lampy łukowe wokół domu, i podał jej numer hotelu Pforzheimer. Pat zapytała, czy to wszystko ma związek z mężczyzną, którego próbowali znaleźć w Singapurze; odparł, że to nie takie proste, ale ma sporo racji. Tak, jedzie do Milwaukeee, żeby spróbować odnaleźć tego człowieka, i tak, myśli, że niedługo będzie po wszystkim.

Kiedy się rozłączył, podszedł do okna, znów spojrzął na paradę ludzi wędrujących między lodziami a restauracjami, po czym spakował do walizki ubrania na kilka dni. Jeszcze raz zadzwonił do domu. Pat odebrała natychmiast.

– Siedzisz obok telefonu?

– No cóż, niezupełnie podniosłeś mnie na duchu, kiedy ostatnio rozmawialiśmy.

– Prawdopodobnie reaguję przesadnie – powiedział Poole. – Ten facet przyjdzie do mojego domu. Nigdy nie zaatakował samej kobiety. Poluje na mężczyzn, jak Harry i ja. Włączyłeś światła na podwórku?

– Wygląda na to, że otwieramy stację benzynową.

– Kiedy je zakładałem, chciałem, żeby oświetlały wszystko jak najlepiej. Żadnych kryjówek.

– Rozumiem, o co ci chodzi. Sąsiedzi nie narzekali?

– Zapalałem je przez parę miesięcy kilka lat temu i nigdy nic o tym nie mówili. Myślę, że drzewa całkiem dobrze je osłaniają. Jak tam Judy?

– W porządku. Powiedziałaś jej, że spełniam twoje zachcianki.

Judy nadal nie chciała z nim rozmawiać, więc pożegnał się z Pat i odłożył słuchawkę. Na koniec zadzwonił do Harry’ego Beeversa.

– Słucham.

– Harry, to ja, Michael.

– Aha. Ty. Coś cię trapi? Jedziesz, prawda?

– Jutro rano.
– Dobra. Tylko sprawdzam. Słyszałeś o Underhillu? Co on mi zrobił? Wyprowadził się. Za mało mu było, że dałem mu wikt i dach nad głową, szanowałem jego prywatność... za mało, że stuknięty ćpun mógł pisać, kiedy tylko chciał... mówię ci, uważaj na tego typa. Nie można mu ufać. Myślę...
– Zaczekaj, Harry. Wiem o tym, ale...
– Wiesz o tym, co? – Głos Beevera stał się cichy i zimny.
– Tak, Harry.
– Pewnie, że wiesz, Michael. Kto kłapał dziobem do pewnej małej dziewczynki i powiedział jej, że pewna osoba jest w Nowym Jorku? Nie sądzę, że ja to zrobiłem, Michael. Jestem prawie pewien, że Conor tego nie zrobił. Ktoś naraził na szwank naszą misję, Michael, i obawiam się, że to ty.
– Przykro mi, że tak to odbierasz.
– Przykro mi, że zrobiłeś, co zrobiłeś. – Beevers wciągnął powietrze. – Pewnie nawet nie pamiętasz wszystkiego, co zrobiłem dla ciebie i tej misji. Nic, tylko dawałem, dawałem i dawałem, Michael. Dla ciebie stanąłem przed sądem wojennym, Michael, siedziałem w baraku i czekałem na werdykt, mając nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał przez to przechodzić...
– Mam ci coś do powiedzenia – przerwał mu Poole.
– Chyba lepiej się przygotuję.
Michael opowiedział mu o incydencie na cmentarzu.
– Miałeś niepotwierdzoną obserwację? Lepiej mi wszystko opowiedz.
– Przecież już to zrobiłem.
– Dobra, zaczynamy grę końcową. Wszystko na to wskazuje. Zobaczył moje ogłoszenia. Szafa gra. Mam nadzieję, że nie zadzwoniłeś do Murphy'ego z tą informacją.
– Nie. – Poole nie przyznał się, że zamierza wysłać kartę policjantowi.
– Pewnie powinienem być wdzięczny za drobne łaski – powiedział Beevers. – Podaj nazwę i numer hotelu. Jeśli jest na etapie śledzenia nas i zostawiania liścików, wkrótce wszystko wyjdzie na jaw. Może będę musiał się z tobą skontaktować.

* * *

Poole czytał w małym mieszkaniu przez godzinę czy dwie, ale czuł się tak niespokojny, że ciągle gubił się w długich zdaniach. O siódmej zdał sobie sprawę, że bardzo zgłodniał, więc poszedł coś jeść. Zobaczył swój samochód zaparkowany przed lodziarnią i przypomniał sobie, że książki Robbie'ego wciąż leżą w bagażniku. Obiecał sobie pamiętać, żeby po kolacji zabrać je do mieszkania.

8

Zjadł kolację we włoskiej restauracyjce i znów zanurzył się w *Ambasadorach*. Jutro, powiedział sobie, poleci w dzieciństwo Koko. Czuł, że balansuje na krawędzi jakiejś wielkiej zmiany, ale był na nią gotowy. Korporacja Zdrowia i Szpitali z Nowego Jorku przyznawała lekarzom dotację w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów na zakładanie gabinetów w miejscach, w których ludzie potrzebowali opieki medycznej, a następnie udzielała pożyczek na dogodnych warunkach ze spłatą odroczoną na dwa lata. Dwa, trzy, najwyżej cztery dni, pomyślał. Wtedy wreszcie będzie mógł zejść z mostu i pójść tam, gdzie jest potrzebny. Przeniknęło go ciepło.

9

Poole wrócił do mieszkania Conora, zapalił wszystkie światła i usiadł na kuchennym krześle, żeby poczytać przed pójściem do łóżka. Dręczyło go poczucie, że czegoś nie zrobił, aż w końcu przypomniał sobie o książeczkach o Babarze. Postanowił narzucić płaszcz i przynieść je z samochodu. Gdy przechodził obok telefonu, coś mu się przypomniało.

Nie zadzwonił do stewardesy, która знаła Clementa W. Irwina, pierwszą amerykańską ofiarę Koko. Był zaskoczony, że pamięta nazwisko.

Alé jak ma na imię stewardesa? Wytężał pamięć. Imię brzmiało podobnie do jego imienia. Mikey. Marsha. Michaela, Minnie, Mona. Nie – to przywiodło mu na myśl film Alfreda Hitchcocka. Grace Kelly. Blondynka... Tippi Hedren, aktorka, która grała w *Ptakach*. Potem imię wpadło mu do głowy niemal tak, jakby miał przed oczami jej identyfikator: Marnie. A przyjaciółka Marnie... Lisa. Po omacku szukał jej nazwiska. Jak mógł być na tyle głupi, żeby go nie zapisać? „Jak nazywa się twoja przyjaciółka?” – zapytał ją. „_____”, odparła. Coś o Irlandii. Lisa Dublin. Lisa Galway. Blisko. Lisa Ulster. „Jak w Hellman's” – powiedziała Marnie. Lisa Mayo.

Podbiegł do telefonu i wykręcił numer informacji w Nowym Jorku. Oczywiście nie będzie jej numeru, nic nie jest takie proste. Musi wymyślić jakiś sposób, żeby zdobyć numer w liniach lotniczych, które ją zatrudniały. Podał nazwisko stewardesy. Zabrzmiał elektroniczny brzęk i zapadła cisza. Nic z tego, pomyślał, ale nagle usłyszał głos robota: „Żądany numer to”. Automat podał mu siedem cyfr, a następnie je powtórzył.

Poole wykręcił numer z nadzieją, że to ta sama Lisa Mayo. Chociaż jeśli nawet, to prawdopodobnie znajduje się na wysokości trzydziestu tysięcy stóp w drodze powrotnej do San Francisco.

Wysłuchał czwartego, piątego sygnału i już miał odłożyć słuchawkę, gdy ktoś odebrał.

– Słucham – odezwała się młoda kobieta.

– Tu doktor Michael Poole, szukam Lisy Mayo, która jest przyjaciółką Marnie.

– Marnie Richardson? Gdzie pan ją poznał?

– W samolocie z Bangkoku.

– Marnie jest szalona. Uff, zrezygnowałam z wielu rzeczy, kiedy wyprowadziłam się z San Francisco. Miło, że pan dzwoni, ale...

– Przepraszam – przerwał jej. – Chyba źle mnie pani zrozumiała. Dzwonię w sprawie mężczyzny, który został zabity na JFK jakieś trzy tygodnie temu. Panna Richardson wspomniała, że pani go znała.

– Dzwoni pan w sprawie pana Irwina?

– Poniekąd. Widziałą go pani podczas lotu, niedługo przed śmiercią?

– A żeby pan wiedział. Widywałam go kilkanaście razy w roku. Latał tam i z powrotem do San Francisco prawie równie często jak ja. – Zawahała się. – Byłam w szoku, kiedy przeczytałam o tym, co go spotkało, choć nie mogę powiedzieć, że było mi naprawdę przykro. Nie był zbyt miłym człowiekiem. Och, nie powinniśmy tego mówić. Żadna załoga nie lubiła pana Irwina, tyle powiem, był bardzo wymagający. Ale o co chodzi? Znał go pan?

– Interesuje mnie przede wszystkim mężczyzna, który siedział obok pana Irwina podczas lotu do Nowego Jorku. Zastanawiałem się, czy może pani coś o nim pamiętać.

– O nim? To bardzo tajemnicze. Poza tym robi się późno, a jutro muszę wcześniej wstać. Jest pan glina?

Implikacje tego „o nim”? Poole poczuł gęsią skórę na ramionach.

– Nie, jestem lekarzem, ale mam pewien związek z policyjnym śledztwem w sprawie morderstwa pana Irwina.

– Pewien związek? – zapytała z naciskiem.

– Przepraszam, że mówię tak niejasno.

– Cóż, jeśli pan myśli, że facet, który siedział obok pana Irwina, miał z tym coś wspólnego, to naprawdę grubo się pan myli.

– Dlaczego?

– Bo nie mógł mieć z tym nic wspólnego. Po prostu nie mógł. W mojej pracy mam kontakt z wieloma osobami i ten facet był jednym z najmilszych, najbardziej nieśmiałych... Współczułam mu, że musi siedzieć obok Bestii. Tak przeżywaliśmy pana Irwina. Gdy się nad tym zastanowić, nawet trochę oczarował Bestię. Wciągnął pana Irwina w rozmowę, namówił go na jakiś zakład.

– Pamięta pani jego nazwisko?

– Jakieś hiszpańskie... może Gomez? Cortez?

Proszę, proszę, pomyślał Poole i głośno wciągnął powietrze.

– O co chodzi?

– Może Ortiz? Roberto Ortiz?

Zaśmiała się.

– Skąd pan wie? Zgadza się. I prosił, żeby mówić mu Bobby. Wydawało się to odpowiednie, wie pan, był po prostu jak Bobby.

– Czy pamięta pani coś szczególnego? Coś, co powiedział albo o czym rozmawiał? Albo cokolwiek?

– To zabawne, kiedy teraz o nim myślę, widzę tylko tę rozmytą plamę z uśmiechem pośrodku. Pamiętam, że cała załoga go polubiła. Ale jeśli chodzi o to, co powiedział... zaraz... zaraz.

– Tak?

– Pamiętam, że zrobił coś śmiesznego. Jakby śpiewał. To znaczy nie śpiewał piosenki, wie pan, piosenki ze słowami, tylko takie dziwaczne sylaby.

– Jakie?

– To było trochę dziwne. Jak bezsensowne słowa, jak obcy język. Ale można było poznać, że to nie żaden prawdziwy język. Coś takiego... pompo-po, pompo-po, polo, polo, pompo-po, coś w tym stylu.

Na ramionach Poole'a znów pojawiła się gęsia skórka.

– Tak – powiedział. – Dziękuję.

– Czy to wszystko, czego pan chciał?

– Pompo-po, pompo-po... a może raczej rip-a-rip-a-rip-a-lo?

– Bardzo podobnie – powiedziała dziewczyna.

Część siódma

Zasadzka

Pierwsza noc w Pforzheimerze

1

– Nie wiem, czy jest jakaś nazwa dla tych doświadczeń – powiedział Underhill. Zajął miejsce przy oknie, Poole siedział od strony przejścia, Maggie między nimi. Byli w powietrzu, gdzieś nad Pensylwanią, Ohio albo Michigan. – Można nazwać je szczytowymi, ale to pojęcie obejmuje wiele różnych stanów. Albo ekstazą, ponieważ właśnie tak to wygląda. Możesz nawet nazwać to momentem emersońskim. Znasz esej Emersona *Nature*? Mówi o stawaniu się przezroczyście gałąką oczną: „Jestem niczym; widzę wszystko; krążą we mnie prądy Istoty Uniwersalnej”.

– Brzmi jak kolejny sposób mierzenia się ze słońcem – zauważyła Maggie swoim precyzyjnym, beznamytnym głosem. Poole i Underhill roześmiali się. – Nie powinienes doszukiwać się w tym zbyt wiele. Kiedy zobaczyłeś swojego syna, powinienes spodziewać się czegoś takiego jak to... doświadczenie do naśladowania.

– Nie widziałem syna – zaczął Poole i nagle zastrzeżenia wyschły mu w ustach na proch. Nie był pewien, czy chce powiedzieć Underhillowi i Maggie o „bogu”, i nie miał pewności nawet wtedy, gdy opisywał im to, co widział, ale krótkie zdanie Maggie rozbrzmiewało mu w uszach.

– Ależ widziałeś – powiedziała. – Widziałeś go jako mężczyznę. Widziałeś prawdziwego Robbiego. – Spojrzała na niego bardzo zagadkowo. – Dlatego pokochałeś tę postać.

– Jesteś do wynajęcia? – zapytał Underhill.

– A ile masz pieniędzy? – zapytała tym samym obojętnym tonem. – Będziesz musiał słono zapłacić, jeśli chcesz, żebym mówiła rzeczy oczywiste.

– Podobała mi się teoria, że to był anioł.

– Mnie też – zgodziła się z nim. – Bardzo możliwe.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Michael wiedział, że Robbie nie mógł wyrosnąć na mężczyznę, którego widział, ale sądził, że dana mu była wizja idealnego Robbiego, w którym rozkwitły wszystkie jego najlepsze cechy. Byłby szczęśliwy, byłby zachwycony, będąc ojcem mężczyzny widzianego przy grobie syna. W pewnym sensie był jego ojcem. Nikt inny. Nie halucynował i nie tyle wyobraził sobie tego mężczyznę, ile był jego autorem.

Poole miał wrażenie, że kilkoma prostymi słowami Maggie Lah przywróciła mu syna. Dopóki żyje, ten chłopiec będzie jego synem, ten mężczyzna będzie jego chłopcem. Jego żaloba naprawdę się skończyła.

Kiedy w końcu mógł znowu mówić, zapytał Tima, czy zbierał materiały przed pisaniem *Podzielnego człowieka*.

– Chodzi mi o to, czy zaglądałeś do jakichś przewodników i tak dalej?

– Nie sądzę, żeby istniały przewodniki po Milwaukee – odrzekł Underhill.

Maggie wydała cichy dźwięk rozbawienia, bardzo przypominający chichot.

– Większość amerykańskich miast nie ma przewodników – kontynuował Underhill. – Opierałem się głównie na opowieściach M.O. Denglera. Później puściłem wodze wyobraźni i myślę, że wykonała sensowną robotę.

– Innymi słowy... – zaczął Michael – ...można powiedzieć, że jesteś autorem miasta.

– Racja – zgodził się Underhill z lekko zdziwioną miną.

Maggie Lah spojrzała na Poole'a z błyskiem w oku. Zaskoczyła go, lekko poklepując jego kolano, jakby na znak gratulacji albo pochwały.

– Czyżby coś mi umknęło? – zapytał Underhill.

– Jak dotąd radzisz sobie całkiem nieźle – odparła.

– Naszła mnie myśl o Victorze Spitalnym i jego rodzicach. – Tim spróbował założyć nogę na nogę i stwierdził, że ma za mało miejsca. – Wyobraźcie sobie, jak czułaby się większość rodziców, gdyby ich dziecko zniknęło. Nie sądzicie, że powtarzaliby sobie, że wciąż żyje, bez względu na to, jak długo go nie ma? Przypuszczam, że rodzice Spitalny'ego są trochę inni. Pamiętajcie, przez nich ich dziecko czuło się jak adoptowana sierota, jeśli wyobraźnia mnie nie zawodzi. Przemienili swoje dziecko w Victora Spitalny'ego, którego znaleźliśmy, a on później zmienił się w Koko. Założę się więc, że jego matka mówi, że wie, że on nie żyje. Już wie, że zabił Denglera. I założę się, że wie, że popełnił też inne zbrodnie.

– Co więc pomyśli o nas i o tym, co robimy?

– Może po prostu uzna nas za głupków i pocieszy kubkami herbaty. A może poniosą ją nerwy i nas wyrzuci.

– No to dlaczego siedzimy w tym samolocie?

– Bo może jest uczciwą damą, która ma stukniętego syna. Istnieje wiele rodzajów nieszczęść i jej syn może być jednym z najgorszych. W takim przypadku podzieli się wszelkimi posiadanymi informacjami.

Underhill zwrócił uwagę na minę Michaela i dodał, że tak naprawdę wie o Milwaukee tylko tyle, że będzie tam jakieś piętnaście stopni zimniej niż w Nowym Jorku.

– Chyba teraz rozumiem, dlaczego mają niewielu turystów – skomentowała Maggie.

2

O pierwszej po południu Michael Poole stał w oknie pokoju w hotelu Pforzheimer i patrzył w dół na coś, co byłoby czteropasmową jezdnią, gdyby równoległe zasy sięgające prawie czubków parkometrów nie zawłaszczyły połowy pierwszych pasów po obu stronach. Tu i ówdzie samochody tkwiły zanurzone pod równoległymi hałdami starego śniegu, a między nimi wycięto koryta przypominające górskie przełęcze, by umożliwić przejście na chodnik. Odsnieżoną częścią drogi sporadycznie przejeżdżały auta, większość pokryta zamrażającą bieżą w kolorze khaki. Zieleń sygnalizacji świetlnej na Wisconsin Avenue, przed hotelem i na samym skraju jego pola widzenia, lśniła w dziwnie mrocznym powietrzu, jakby zapadał zmierzch. Temperatura wynosiła minus dwadzieścia osiem stopni. Jak w Moskwie. Kilko męczyzn i kobiet w grubych płaszczach szybko szło chodnikiem w stronę przejścia przez jezdnię. Światła zmieniły się ze lśniącej zielonej aureoli w lśniąca czerwoną aureolę i chociaż na skrzyżowaniu nie pojawiły się żadne samochody, piesi zatrzymali się poskuszeni nakazowi STÓJ.

To naprawdę było miasto opisywane przez Denglera. Poole czuł się jak moskwianin patrzący na Moskwę przemytymi do czysta oczyma. Zakończył długi, bardzo długi proces żałoby po synu. Miał w sobie wszystko, co zostało z Robbiego. Już nawet nie czuł, że potrzebuje książek o Babarze, wciąż leżących w bagażniku audi. Świat już nigdy nie będzie cały, tyle wiedział, ale kiedyż to świat był cały? Jego smutek rozgorzał, po czym znowu przygasł, a czy zostały przemyte do czysta.

Za nim Maggie Lah zaśmiewała się z czegoś, co Tim Underhill mówił z południowym akcentem.

Światła na końcu kwartału zmieniły się na zielone. IDŹ. Piesi zaczęły przechodzić przez jezdnię.

* * *

Maggie zajmowała jedynekę obok pokoju, w którym Poole i Underhill rzucili swoje torby na dwa podwójne łóżka. Był to pokój z wysokim sufitem, wyblakłą tapetą z wypukłym wzorem, wyświechtanym dywanem o kwiatowym deseni i rokokowym lustrem w złoczonej ramie. Na ścianach wisiały duże dziewiętnastowieczne obrazy przedstawiające psy dyszące nad stosami zakrwawionych martwych bażantów oraz portrety zadowolonych z siebie, brzuchatych mieszczan w surdutach i pasiastych atłasowych kamizelkach. Meble były niepozorne, porysowane i solidne, pomniejszone przez wielkość pokoju. W łazience były mosiężne krany, a wanna stała jak lew na czterech ciężkich porcelanowych łapach. Okna, przez które cała trójka spoglądała teraz w dół na ulicę, sięgały od podłogi prawie do sufitu i były obwieszane ciemnobrązowymi kotarami z lambrekinem, zaciąganych za pomocą podniszczonych aksamitnych sznurów. Poole nigdy nie był w takim pokoju hotelowym. Pomyślał, że czuje się jak w jakimś okazałym starym hotelu w Pradze czy Budapeszcie – stojąc w dużym pokoju, którego świetność przemijała, powinien słyszeć za wysokimi oknami dzwonki sań i tętent kopyt.

W holu Pforzheimera przed wypolerowanym mahoniowym biurkiem recepcji stały umundurowane karły wielkości paproci; recepcjonista w okularach z połówkami szkielek i wąskiej muszce spoglądał na bogaty pejzaż lśniącego mosiądzu, jardów dywanu w szkocką kratę, płonących lamp i ogromnych obrazów, tak ciemnych, że dobrze widoczne były tylko ich zarysy. Za biurkiem oczywiście nie było komputera. Szerokie schody zakręcały w górę do miejsca, które tabliczka identyfikowała jako Salę Balmoral, a w głębi holu korytarz prowadził obok drzew w donicach i szklanych gablot z wypchanymi głowami zwierząt w kierunku słabo oświetlonego baru.

– Mam wrażenie, że Newa płynie ledwie parę kroków stąd – powiedział Poole, patrząc na śnieg.

– A policjanci w czapkach z niedźwiedziej skóry i skórzanych butach do kolan przechadzają się po Prospieckiej – dodał Underhill.

– Czekam na nagich mężczyzn, których ekstremalne zimno wypędziło z lasu – oznajmiła Maggie.

Tak, to było to. Milę, dwie mile dalej rośnie wielki las i nocą przez otwarte okna sal balowych słychać wycie wilków.

– Zajrzyjmy do książki telefonicznej – zaproponował Poole, odwracając się od okna.

– Znajdźmy książkę telefoniczną – sprzecyzował Underhill.

Sam telefon, staromodny czarny bakelitowy model z obracaną tarczą, ale bez typowych instrukcji dotyczących wybierania numeru pralni, obsługi pokojowej, konserżera i recepcji, nawet bez światełka wiadomości, stał na wojskowej szafce obok łóżka Poole'a.

Mężczyźni zaczęli otwierać szuflady w komodach i szafkach pod ścianami. Underhill znalazł w wysokiej komodzie telewizor, wysuwany na obrotowej półce. Poole znalazł *Biblię* Gideona i broszurę zatytułowaną *Historia Pforzheimera* w długiej szufladzie wyłożonej marszczonym papierem w choinki. Underhill otworzył szafkę między wysokimi oknami i odkrył rzędy książek.

– Boże, biblioteczka. I jakie książki! *Słiczna mufla Kici*, *Paznokiec pana Tickera*, *Pocałunki spalone słońcem*, *Historyczne rezydencje Półwyspu Malajskiego...* O! – Wyciągnął podniszczony egzemplarz *Podzielnego człowieka*. – To oznacza, że jestem nieśmiertelny czy może absurdalnie mało znany?

– Zależy, co myślisz o *Słicznej muflce Kici* – powiedziała Maggie, biorąc książkę z półki. – Nie ma tu gdzieś książki telefonicznej? – Zaczęła przetrząsać dolną połowę szafki.

– *Wróżki, opowieści i zamiana przy narodzinach*. – Underhill przeczytał tytuł następnej książki.

Maggie pociągnęła za ukrytą dźwignię i z tyłu szafki wysunęła się półka. Stał na niej srebrny shaker ze stęchłą zapadniętą pajęczyną i skurczonym pająkiem, zmatowiałe wiaderko do lodu, prawie pusta butelka dżinu, prawie pełna butelka wermutu i słoiczek jakby zardzewiałych oliwek.

– Te rzeczy muszą tu stać od czasów prohibicji – powiedziała Maggie. – Ale bez książki telefonicznej. – Podniosła się, wruszyła ramionami i zabrała swoją książkę na kanapę.

– To nieupełnie przypomina podróż z Harrym Beeversem i Conorem Linklaterem – zauważył Poole. – Kiedy zapytałem Conora, czy może zmienić zdanie i pojedzie z nami, odparł: „Znam lepsze sposoby na celebrowanie czasu”. – Spojrzył przez okno i zobaczył duże płatki śniegu wirujące w powietrzu.

– O czym jest twoja książka? – zapytał Underhill za jego plecami.

– O torturach – odparła Maggie.

Poole usłyszał dźwięk klaksonu i podszedł do okna. Po prawej stronie końskie głowy zapowiedziały pustą dorożkę z dorożkarzem o tłustej fioletowej twarzy. Dorożkarz władczo jechał środkiem ulicy, zmuszając nadjeżdżające samochody do ustępowania z drogi.

– Moja też – powiedział Underhill. – Żartuję, Maggie. Zabieraj ręce.

– Nie masz obrazków. U mnie są same obrazki.

– Mamy odpowiednie książki.

Poole odwrócił się od okna, gdy Maggie zostawiła szczerzącego się na kanapie Underhilla i z wyrazem udawanej determinacji pomaszerowała do niskiej drewnianej skrzyni pod lustrem. Podszedł i podniósł jej książkę. Na każdej stronie znajdowały się zdjęcia kociąt w marynarkach i kapeluszach z lat dwudziestych. Wyglądało na to, że metalowe obejmki i skórzane paski ukryte pod ubrankami utrzymują kocięta w zadanych pozach czytania powieści, rozdawania kart, gry w tenisa, palenia fajek, ślubu... Ich oczy były szkliste z przerażenia i wszystkie wyglądały na martwe.

– Aha! – krzyknęła Maggie. – Tajemnica Pforzheimera! – Potrząsnęła zieloną książką telefoniczną, tak gruba, że musiała trzymać ją obiema rękami.

– A niech mnie, chyba znalazła – powiedział Underhill.

Maggie usiadła na końcu kanapy obok Poole'a i otworzyła książkę.

– Nie sądziłam, że będzie w niej tyle nazwisk. Czego szukamy? O tak, S, zgadza się, Sandberg, Samuels, Sbaro... – Przewróciła plik kartek, potem jeszcze jedną. – No to jesteśmy. Sperber. I Spitalny. I Spitalny, Spitalny i Spitalny, kto by pomyślał, że będzie ich tak wielu.

Michael spozjrzał na kartkę, gdzie spoczywał smukły palec Maggie. Palec przesuwiał się w dół kolumny, która zaczynała się od Spitalnika, przeszła w Spitalny i nie zmieniała się przez około dwudziestu wpisów aż do Spitalsky.

Zabrał książkę i podszedł do łóżka, oparł się na poduszkach, położył otwartą książkę na kolanach i przysunął telefon. Maggie i Tim, patrząc na niego z kanapy, wyglądali jak kocięta z książki Maggie.

– Pogadajcie sobie – powiedział. – Celebруйте swój czas.

– Czy kiedykolwiek wpadło ci do głowy, że Conor Linklater jest geniuszem? – zapytał Underhill Maggie.

– Pan Spitalny? – zapytał Poole. – Nazywam się Michael Poole i szukam rodziny niejakiego Victora Spitalny'ego, który był ze mną w Wietnamie. Zastanawiałem się, czy jest pan z nim spokrewniony albo może pan wie, jak mogę skontaktować się z jego rodziną... Victor, zgadza się... Więc nikt w pańskiej rodzinie nie ma na imię Victor... Tak, z Milwaukee... W każdym razie dziękuję.

Wcisnął przycisk, wybrał następny numer, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, wykręcił ten pod nim. Mężczyzna, który świętował opady śniegu, poinformował go powolnym, niewyraźnym głosem, że nikt taki jak Victor Spitalny nigdy nie istniał, i odłożył słuchawkę.

Przy siódmym nazwisku, E. Spitalny z South Mogrom Street, miał więcej szczęścia.

– Był pan w Wietnamie z Victorem? – zapytała go młoda kobieta. – Mój Boże. Wydaje się wieki temu.

Poole dał znak dwójce na kanapie, że potrzebuje czegoś do pisania. Underhill znalazł papeterię hotelową i rzucił mu ją.

– Należy do pani rodziny?

– Mój Boże, Vic był moim kuzynem. Chce pan powiedzieć, że on żyje? Nie ma pan pojęcia, co to dla mnie znaczy.

– Jest szansa, że żyje. Może pani mi podać numer telefonu jego rodziców? Oboje żyją?

– Jeśli nazwie pan to życiem. Nie mam tutaj ich numeru, ale znajdzie go pan w książce. George i Margaret, wujek George i ciocia Margaret. Proszę posłuchać, czy Vicowi nie przydarzyło się coś dziwnego, gdy był w Wietnamie? Sądziłam, że trafił do szpitala i tam umarł.

Poole przeglądał spis, aż znalazł Spitalny, George, 6835 S. Winnebago St, i zakreślił nazwisko piórem.

– Sądziła pani, że trafił do szpitala?

– Cóż, myślałam, że wujek George... to było dawno temu.

– Nie odezwał się od wojny?

– Nie, nie. Nawet gdyby żył, raczej by do mnie nie pisał. Niezupełnie się kumpłowaliśmy. Mówił pan, że jak się nazywa?

Michael powtórzył nazwisko i informację, że służył z Victorem w tej samej jednostce w Wietnamie. Dziewczyna powiedziała, że ma na imię Evvie.

– Jestem tu z przyjaciółmi z Nowego Jorku, Evvie, i chcieliśmy się dowiedzieć, czy ktoś z jego rodziny miał ostatnio jakieś wiadomości od Victora.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Może mi pani podać nazwiska przyjaciół kuzyna? Nazwiska dziewczyn, z którymi się spotykał? A może miejsca, do których chodził?

– Jezu, nie wiem. Vic był samotnikiem. Chodził do Rufusa Kinga, tyle wiem. I przez jakiś czas prowadził się z dziewczyną o imieniu Debbie. Spotkałam ją raz, jak byłam mała. Debbie Madzik. Taka słodka, myślałam. I chyba zaglądał do baru Polka Dot. Ale głównie majstrował przy swoim samochodzie, takie rzeczy, rozumie pan?

– Pamięta pani imiona jego kolegów?

– Jeden miał na imię Bill, jeden Mack, i nic więcej nie wiem. Miałam tylko dziesięć lat, gdy Vic został powołany do wojska. Moja ciocia i wujek będą wiedzieć to wszystko.

– Czy pani wuj będzie teraz w domu?

– Chce pan do niego zadzwonić? Pewnie nie, pewnie jest w pracy. Też powinnam być w pracy, jestem sekretarką w firmie gazowniczej, ale dzisiaj po prostu nie dałam rady. Postanowiłam zostać w domu i oglądać telenowe. Ale ciocia Margaret powinna być w domu. Ona nigdzie nie wychodzi. – Evvie Spitalny umilkła na chwilę. – Chyba nie muszę mówić, że to dziwne. Rozmawianie o kuzynie Vicu... Naprawdę dziwne. To, jak... człowiek myśli, że o kimś zapomniał, a tu nagle bum! I znowu wszystko sobie przypomina. Wie pan, mój kuzyn nie był miłym facetem.

– Nie – powiedział Poole. – Chyba nie.

Gdy Evvie się rozłączyła, wybrał numer na Winnebago Street. Odebrała starsza kobieta o przytłumionym nosowym głosie.

- Czy to pani Spitalny? Margaret Spitalny?
– Tak, słucham.
– Pani Spitalny, nie zna mnie pani, ale byłem w Wietnamie z pani synem. Przez rok służyliśmy w tej samej jednostce. Nazywam się Michael Poole, obecnie jestem lekarzem.
– O mój Boże. Co pan mówi?
Wyrecytował większość tego, co powiedział przed chwilą.
– Jak się pan nazywa?
Powtórzył nazwisko.
– Jestem w Milwaukee z Timem Underhillem, drugim członkiem naszej jednostki, i naszą przyjaciółką. Bardzo chcielibyśmy zobaczyć się z panią i pani mężem, jeśli to możliwe.
– Zobaczyć się z nami? – Zdawało się, że pani Spitalny mówi samymi pytaniami.
– Chcielibyśmy spotkać się z państwem, jeśli można. Przylecieliśmy dziś rano z Nowego Jorku i znalazłem pani nazwisko w książce telefonicznej.
– Przyjechalście aż z Nowego Jorku, żeby zobaczyć się ze mną i George’em?
– Bardzo nam zależy na rozmowie o Victorze. Mam nadzieję, że nie będzie to zbyt uciążliwe, i przepraszam za pośpiech, ale czy moglibyśmy przyjść dziś po południu lub wieczorem? Chcielibyśmy usłyszeć wszystko, co macie państwo do powiedzenia o Victorze, obejrzeć zdjęcia, tego typu rzeczy.
– Chcecie przyjść do naszego domu? Dzisiaj wieczorem?
– Jeśli można. Proszę nie myśleć, że liczymy na poczęstunek. Chcemy tylko dowiedzieć się wszystkiego o Victorze.
– Cóż, w zasadzie nie ma się czego dowiadywać. Tyle mogę od razu powiedzieć... Nie jesteście z policji, prawda?
Poole’owi krew przyspieszyła w żyłach.
– Nie. Jestem lekarzem, a pan Underhill to pisarz.
– Ten drugi jest pisarzem? Policja nie ma nic do rzeczy? Daje pan słowo?
– Oczywiście.
– Bo inaczej zabiłoby to mojego męża.
– Jesteśmy tylko dawnymi przyjaciółmi Victora. Nie musi się pani martwić.
– Lepiej zadzwonię do George’a, pracuje w fabryce Glax. Lepiej zapytam George’a. Musi o tym wiedzieć, inaczej będę miała kłopot. Dziwna sprawa. Niech mi pan powie, gdzie pan jest, a oddzwonię po rozmowie z George’em.
Poole podał jej numer, a następnie pod wpływem impulsu zapytał:
– Miała pani ostatnio jakieś wiadomości od Victora? Bardzo chcielibyśmy wiedzieć, gdzie można go znaleźć.
– Czy miałam ostatnio jakieś wiadomości? Od ponad dziesięciu lat nikt nie słyszał o Vicu, doktorze Poole. Oddzwonię do pana.
Poole odłożył słuchawkę.
– Wygląda na to, że miałeś rację co do jego rodziców – powiedział do Underhilla.
– Oddzwoni? – zapytała Maggie.
– Po rozmowie z George’em.
– A jeśli George odmówi?
– To by oznaczało, że prawdopodobnie mają coś do ukrycia, i wtedy będziemy musieli nad nimi popracować, żeby wpuścili nas do domu.
– I w godzinę dowiemy się wszystkiego, co wiedzą – prychnął Underhill. – Jeśli zagrają, jak mówisz, to będą wprost umierać z niecierpliwości, żeby się nam zwierzyć.
– Więc masz nadzieję, że oddzwoni i odmówi?
Underhill uśmiechnął się i wrócił do lektury swojej książki.
Po półgodzinie czytania i krążenia po pokoju Poole wyjrzał przez okno. Na zewnątrz, w Moskwie, mały czarny samochód, któremu zimowy brud nadał kolor martwej skóry, wbił się w jedno z górskich pasm śniegu. Ruch zawęził się do jednej linii.
– Na takie czasy wynaleziono karty – powiedział.
– Na takie czasy wynaleziono madżonga – powiedziała Maggie. – Nie wspominając o narkotykach i telewizji.
Zadzwonił telefon i Poole poderwał słuchawkę.
– Słucham?
Usłyszał agresywny męski głos.
– Mówi George Spitalny. Żona powiedziała, że dzwoniłeś pan do niej z jakąś dziwną historią.

– Cieszę się, że pan dzwoni, panie Spitalny. Jestem doktor Michael Poole i służyłem z pańskim synem w Wietnamie...

– Słuchaj pan, mam tylko piętnaście minut przerwy. Może usłyszę, o co chodzi.

– Miałem nadzieję, że będę mógł dziś wieczorem zajrzeć do pana z drugim dawnym przyjacielem Victora, żeby z panem porozmawiać.

– Nie rozumiem. Jaki w tym sens?

– Chcielibyśmy dowiedzieć się o nim więcej. Victor był ważnym członkiem naszej jednostki i mamy o nim wiele wspomnień.

– Nie podoba mi się to. Nie muszę nikogo wpuszczać do mojego domu.

– Nie, panie Spitalny. I przepraszam, że nie uprzedziłem pana wcześniej, ale dziś rano przyleciałem z przyjaciółmi z Nowego Jorku, nie znamy nikogo w Milwaukee i po prostu chcielibyśmy usłyszeć wszystko, co miałby pan do powiedzenia o Victorze.

– Cholera. Kim są ci przyjaciele?

– Tim Underhill, o którym wspomniałem, i nasza przyjaciółka Maggie Lah.

– Ona też tam była?

– Nie, nie. Pomaga nam.

– Mówisz pan, że Victor był ważnym członkiem waszej jednostki? Jak to?

– Był dobrym żołnierzem, niezawodnym pod ostrzałem.

– Jezu, co za bzdura – prychnął Spitalny. – Znałem Vica lepiej niż pan.

– Właśnie dlatego chcemy z panem porozmawiać. Chcemy wiedzieć o nim więcej.

Przez chwilę Spitalny mruzczał coś pod nosem.

– Powiedziałeś pan mojej żonie, że nie jesteś gliną.

– Zgadza się.

– Przyjechaliście tu tylko po to, żeby się z nami zobaczyć? W środku zimy?

– W ubiegłym roku mieliśmy coś w rodzaju zjazdu w Waszyngtonie. Niewielu nas zostało. Chcielibyśmy się przekonać, czego możemy się dowiedzieć o Victorze i drugim gościu z naszej jednostki, też z Milwaukee. Akurat teraz mamy trochę wolnego czasu.

– Dobra, skoro chcecie tylko pogadać o Vicu, to chyba możecie przyjść. Koło piątej. Muszę wracać do roboty. – Podał wskazówki, jak dojechać do jego domu, i odłożył słuchawkę.

Poole powiedział:

– Nie chce nas, ale się poddał. Był zdenerwowany, a nie sprawia wrażenia człowieka, którym łatwo wstrząsnąć.

– Ja też się chyba teraz denerwuję – powiedziała Maggie.

Poole wrócił do okna. Czarny samochód nadal tkwił w zaspie, tylne koła obracały się tak szybko, że nad drogą unosił się dym.

– Poszukajmy rodziców Denglera – zaproponował Underhill.

Poole usłyszał, jak Underhill wstaje i idzie przez pokój do książki telefonicznej. Nadszedł żółty autobus miejski. Okutani w płaszcze i szaliki zmęczeni ludzie wyglądali w oświetlonych oknach jak eksponaty muzealne. Autobus przez pewien czas czekał, aż czarny samochód wysunie się z zasy. Szofer otworzył okno i coś krzyknął. Kierowca czarnego samochodu otworzył drzwi, stanął na progu i krzyknął do kierowcy autobusu. Miał na głowie mały tweedowy kaszkiet. „Objedź”. Szofer skinął głową, znów coś krzyknął, po czym zniknął w kabinie. Autobus ruszył i uderzył w prawą stronę tylnego zderzaka czarnego auta. Auto zadgotało.

– Tylko jeden Dengler – powiadomił ich Underhill. – Na czymś zwanym Muffin Street.

Kierowca wyskoczył z czarnego samochodu. Szofer dodał gazu i autobus wbił auto w śnieg. Mężczyzna w kaszkiecie wrzeszczał na autobus – rzucił się na niego i tłukł pięściami w karoserię. Jego samochód głębiej wsuwał się w zaspę. Jeden z parkometrów przechylał się w śniegu. Mężczyzna w kaszkiecie pobiegł do swojego auta, otworzył bagażnik i wyjął łyżkę do opon. Trzasnął nią w przód autobusu, a drugą ręką zamknął bagażnik. Podeszedł do autobusu z boku i zaczął uderzać łyżką w srebrny metal, podczas gdy autobus metodycznie wypychał jego samochód w zaspę. Głowica parkometru stopniowo zniknęła z pola widzenia. Następnie autobus skręcił i wyjechał na środek ulicy. Ryknęły klaksony. Mężczyzna w tweedowym kaszkiecie biegł za autobusem po oblodzonej jezdni i tłukł łyżką w zderzak. Przy każdym zamachu lekko podskakiwał, żeby walnąć w reklamę rajstop „L’Eggs” na tyle. Wyglądał jak wściekła nakręcana zabawka, gdy gonił autobus. Pasażerowie na tylnym siedzeniu odwrócili się i patrzyli w dół z okrągłymi gumowatymi twarzami, które przypominały Poole’owi twarze noworodków.

Gdy skęcili na szeroki długi most, Poole wyjrzał przez okno taksówki, spodziewając się, że zobaczy pod sobą rzekę. W szerokiej dolinie w ciemnym powietrzu szare chmury wisiały nad kominami jak zamarnięte skrzydła. Na szczytach kominów tańczyły czerwone ognie, a daleko w dole czerwone światła płonęły na czolach pociągów, które turkotały powoli, strzelając iskrami.

– Jak to się nazywa? – spytał Poole taksówkarza.

– Nijak. – Kierowca, osobnik w nieokreślonym wieku, pachniał zsiadłym mlekiem i ważył pewnie ze trzysta funtów. Miał tatuaze na grzbietach dłoni.

– Nie ma nazwy?

– Mówimy na to Dolina.

– Co tam jest?

– Lokalne firmy. Glax. Dux. Muffinberg. Takie firmy. Bracia Fluegelhorn.

– Produccenci instrumentów? – zapytał Underhill.

– Sprzęt do kopania rowów, worki na śmieci i takie tam.

Podobieństwo Doliny do surrealistycznego piekła nasilało się, gdy jechali po moście. Zamarnięte szare skrzydła zmutowały w kamienne płyty, płomienie stały się liczniejsze. Nagle spazmatyczne iluminacje pozwalały zobaczyć, jakby w świetle błyskawicy, krzywe ulice, stojące pociągi, długie hale fabryczne z wytłuczonymi szybami i zabitymi deskami oknami. Jakieś pół mili w dole, przynajmniej tak się wydawało, maleńki czerwony neon mrugał marge 'n' al's... marge 'n' al's.

– Są tam bary?

– Na dole jest wszystko.

– Ludzie mieszkają w Dolinie? Są tam też domy?

– Słuchaj pan – powiedział kierowca. – Jesteś dupkiem, nie przeszkadza mi to. Jak się nie podoba, wysiadka. W porządku? Nie musisz mi tu pan brzęczeć.

– Nie chciałem...

– Po prostu zamknij się pan, a zabiorę was tam, gdzie trzeba. Pasuje?

– Pasuje – mruknął Poole.

– Pewnie. Akurat.

Maggie zakryła usta dłońmi. Jej ramiona drżały.

– Panie, czy w tym mieście jest bar zwany Dom Poprawczy? – zapytał Underhill.

– Słyszałem o takim.

Taksówka wpadła na bryłę lodu, obróciła się prawie o sto osiemdziesiąt stopni. Kierowca odzyskał panowanie nad kierownicą i jechali dalej. Przez chwilę kabinę wypełniał zapach czekolady.

– Skąd to? – zapytał Underhill. – Ten zapach.

– Z fabryki czekolady.

Jechali bez końca szerokimi i wąskimi ulicami wśród piętrowych domów z maleńkimi gankami. W każdym kwartale był bar, z reguły o nazwie typu U Pete'a i Billa, pokryty taką samą łuszczącą się ceglana licówką albo asfaltowym sidingiem jak małe domy. Niektóre kwartały miały po dwa bary, po jednym na rogu. Wysokie siatkowe ogrodzenia otaczały puste parcele zasypane śniegiem, który pod latarniami wydawał się niebieski i rakowaty. Tu i ówdzie w oknie domu, który wyglądał na prywatny, paliła się reklama piwa. Na jasno oświetlonym rogu przed dobrą zabawą u sama i annie gruby mężczyzna w kurtce z wilczej skóry stał w rozkroku przed dużym czarnym psem. Taksówka zatrzymała się na światłach. Mężczyzna uderzył psa lewą ręką, wystarczająco mocno, żeby przewrócić go na bok. Następnie dołożył psu prawą. Poole widział jego szeroki uśmiech. Uderzył jeszcze raz i pies cofnął się, ściągając wargę i pokazując długie zęby. Mężczyzna trzasnął go w głowę. Zwierzę poślizgnęło się i sunęło po oblodzonym chodniku, zanim znów stanęło na łapach. Opuściło głowę i cofnęło się odrobine. Poole zrobił wielkie oczy – mężczyzna był właścicielem psa, tak się z nim bawił. Światła zmieniły się i taksówka przejechała przez puste skrzyżowanie w chwili, gdy pies zaatakował. Poole i Underhill wykręcili szyje, żeby spojrzeć przez tylną szybę. Widzieli tylko blade futrzane plecy, szerokie jak traktor, gwałtownie kołyszające się na boki, gdy mężczyzna zmagał się z psem.

Dziesięć minut później podjechali pod jeden z piętrowych domów z cyframi 6 8 3 5 przybitymi na szczycie ganku. Poole otworzył drzwi. Powietrze w jednej chwili sparzyło mu policzki, czoło, nos. Palce zdrtwiały mu z zimna, gdy płacił za kurs.

– Byłeś w Wietnamie? – zapytał. – Widziałem na twoich rękach insygnia powietrznodesantowych.

Kierowca pokręcił głową.

– Mam tylko dwadzieścia lat, tato.

Pośpieszyli po oblodzonym betonowym chodniku. Schody były zapadnięte, ganek stał przechylony w prawo. Zielona papa pokrywająca ściany domu odłaziła przy oknach i drzwiach. Poole nacisnął dzwonek. Ponownie zaskoczył go zapach czekolady.

– Po prostu słodko-kwaśne miasteczko – zauważył Underhill.

– Słodkie i kwaśne – poprawiła z naciskiem Maggie.

Drzwi otworzyły się i przez siatkę spojrzali na nich niski krępy mężczyzna z czaszką oblepioną rzadkimi czarnymi włosami. Miał na sobie spodnie khaki i wykrochmaloną koszulę roboczą, też khaki, z podwójnymi kieszeniami na piersi. Jego małe oczy przyjrzały się im obu i zatrzymały na Maggie. Nie spodziewał się kogoś takiego i niezupełnie skrywał zaskoczenie, dopóki nie uśmiechnęła się do niego. Obrzucił Poole'a mrocznym spojrzeniem, po czym uchylił siatkowe drzwi o kilka cali.

– To wy dzwoniлиście?

– Pan Spitalny? – zapytał Poole. – Możemy wejść?

George Spitalny pchnął drzwi i stał, przytrzymując je i krzywiąc się, gdy goście przeciskali się obok niego. Poole poczuł zapach kiełbasy i gotowanej kapusty.

– No dalej – ponaglił ich ojciec Spitalny'ego. – Muszę zamknąć drzwi. – Stłoczyli się, żeby mógł to zrobić. – Tam.

Poole wszedł za Maggie i Underhillem do salonu, gdzie przed obitą dermą kanapą stała kobieta w kwiciastej podomce i ścisnęła ze zdenerwowania ręce. Jej twarz zamarła, gdy zobaczyła Maggie, i kobieta popatrzyła na męża. George Spitalny stał w drzwiach, niechętny pomóc żonie. Było jasne, że oboje siedzieli na kanapie i patrzyli w okno, czekając na samochód, a teraz, gdy goście już się zjawili, żadne z nich nie wiedziało, co począć.

Maggie zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę do pani Spitalny. Przedstawiła swoich towarzyszy, którzy również podeszli bliżej.

Pan Spitalny szybko uściśnął dłonie mężczyznom i powiedział:

– No to może klapnijcie sobie. – Podeszedł do dużego zielonego fotela i podciągnął nogawki, zanim usiadł.

Maggie, wciąż uśmiechnięta, zajęła miejsce obok pani Spitalny.

– No... – mruknął George Spitalny.

– Ma pani piękny dom, pani Spitalny – powiedziała Maggie.

– Dla nas w sam raz. Mówiłaś, że jak się nazywasz?

– Maggie Lah.

Margaret Spitalny niepewnie wyciągnęła rękę w jej stronę, przypomniała sobie, że przecież już się przywitały, i opuściła rękę.

– Wciąż pada śnieg, prawda?

Jej mąż wyjrzał przez okno.

– Przestał.

– A, tak.

– Kilka godzin temu.

Poole zdał sobie sprawę, że patrzy na fotografię gubernatora George'a Wallace'a, promiennie uśmiechniętego na wózku inwalidzkim w tłumie. Na okrągłym stole obok zdjęcia stały porcelanowe jelenie, gnomy i mleczarki. Na podłodze leżało zielone linoleum. Wszystko było bardzo czyste.

George Spitalny jeszcze raz spojrział na Maggie, po czym zmarszczył brwi i wzbił wzrok w swoje buty na jasnym linoleum.

Poole zrozumiał, że ci ludzie nie mają pojęcia, jak się zachowywać, gdy w ich domu są inni ludzie. Gdyby nie Maggie, wszyscy nadal staliby w drzwiach.

– A więc znaleście Victora – odezwał się George Spitalny. Popatrzył na Poole'a i znów z powątpiewaniem na Maggie.

– Doktor Poole i ja służyliśmy razem z nim – powiedział Underhill.

– Doktor, prawda?

– Pediatra.

– Hm. – George ściągnął usta. – No. Nadal nie wiem, co spodziewacie się znaleźć. Myślę, że to wszystko jest wielką stratą waszego czasu. Nie mamy nic do powiedzenia na temat Victora.

– Och, George.

– Może ty masz coś do powiedzenia. Ja nie.

– Może ci ludzie mają ochotę na piwo, George?

– Mam trochę hamma.

– Poproszę – powiedzieli i George wyszedł z ulgą, że ma się czym zająć.

– Mam nadzieję, że pani nie sądzi, że marnujemy czas – powiedział Underhill, pochylając się ku niej z uśmiechem. W obszernym swetrze i niebieskich džinsach wyglądał najzupełniej swojsko i pani Spitalny odprężyła się za każdym razem, gdy tylko była w stanie skupić na nim uwagę.

– Nie wiem, czemu George to powiedział. Myślę, że nadal jest zły na Vica. Jest dumny, wiecie, bardzo dumny.

Zamknęła usta i jej wzrok znowu stracił ostrość, gdy mąż wrócił do pokoju z trzema butelkami piwa i ze szklankami na ich szyjkach. Wyciągnął butelki w stronę Michaela, który ostrożnie wyjął pierwszą z jego palców. Drugie piwo podsunął Underhillowi, a trzecie zachował dla siebie. Maggie posłała pani Spitalny kolejny promienny uśmiech.

George Spitalny usiadł i nalał sobie piwa.

– Założę się, że tam, skąd pochodzicie, tego nie dostaniecie. Większość tutejszych nie pije niczego poza lokalnymi piwami. Dla przyjezdnych, jak wy, wszystkie piwa to pforzheimery. Nie wiedzą, co tracą. I próbowałem waszego nowojorskiego piwa. Pomyje, pomyślałem. Zwykle pomyje.

– George.

– Poczekaj, niech spróbują. To woda robi różnicę. Zawsze mówię, to woda.

– Pewnie, że woda – powiedział Underhill. – Założę się, że woda.

– Co innego mogłoby być?

– Vic miał przyjaciół? – zapytała Margaret Spitalny, zwracając się do Tima Underhilla. – Lubiliście go?

– No... pewnie, że miał – odparł Underhill. – Trzymał się z Tonym Ortegą. I wieloma innymi. Mam rację, Mike?

– Jasne – mruknął Poole, starając się przepędzić wspomnienie tego, jak Victor Spitalny pił nożem ucho Anthony'ego Ortegi. – Byliśmy jego przyjaciółmi. Uczestniczyliśmy z Victorem w wielu misjach.

– Victor uratował im życie – wtrąciła Maggie z uśmiechem tak wymuszonym, że Poole czuł napięcie jej ust. – Dlaczego nie opowiecie o tym?

Poole i Underhill patrzyli na siebie przez chwilę. Maggie dodała:

– W Smoczej Dolinie. No, może niezupełnie uratował wam życie, ale uspokoił wszystkich i poszedł za sanitariuszem...

– Aha – mruknął Poole. Zarówno George, jak i Margaret Spitalny wpatrywali się w niego. Bezgłośnie przeprasząc ducha Denglera, zaczął: – Pierwszego dnia w terenie porucznik Beevers zgubił się i poprowadził nas w zasadzkę...

Gdy skończył, Margaret Spitalny powiedziała:

– Vic nigdy o czymś takim nie wspominał.

– Vic nigdy się nie przechwalał – zaznaczył Underhill.

– Czy zdarzyło się jeszcze coś podobnego? – zapytał George.

– Czy opowiadał, jak przez trzy czy cztery mile nioś na plecach rannego żołnierza, Hannapina?

Oboje kręcili głowami, absolutnie zdezorientowani, i Poole opowiedział kolejną historię, której bohaterem był Dengler.

– Cóż, może jednak wojsko zrobiło z niego mężczyznę – skomentował ojciec, patrząc z ukosa na George'a Wallace'a na wózku inwalidzkim. – Chyba wypiję jeszcze jedno piwo. – Wstał i wyszedł z pokoju.

– Niech was Bóg błogosławi, chłopcy – powiedziała Margaret Spitalny. – I ciebie też, panienko. Wszyscy pracujecie dla wojska?

– Nie – zaprzeczył Poole. – Pani Spitalny, czy ma pani jakieś listy, pocztówki albo cokolwiek od Victora? Jakies jego zdjęcia?

– Po... wiecie, gdy już się dowiedzieliśmy, George zabrał wszystkie rzeczy Vica z czasów służby i spalił. Co do skrawka. – Zamknęła na chwilę oczy. – Mam wszystkie zdjęcia z czasów, gdy był mały, i kilka z liceum.

– Kontaktował się z wami, odkąd odszedł z wojska?

– Oczywiście, że nie. Przecież Vic nie żyje.

Pan Spitalny wszedł z kolejnymi butelkami piwa, tym razem z jedną dla Maggie.

– Zapomniałem szklanki. Możesz pić z butelki?

– Nie, George, ona jest damą, musi mieć szklankę – powiedziała jego żona. Mąż rozdał butelki hamma i znowu wyszedł z pokoju. – George się do tego nie przyzna, ale ja wiem. Vic nie żyje od dawna.

– Uznaliśmy, że może jednak żyje – powiedział Michael. – My...

George Spitalny wrócił i podał szklankę Maggie, obrzucając ją długim spojrzeniem.

– Gdzie taka dziewczyna nauczyła się tak dobrze mówić po angielsku?

– W Nowym Jorku.

Mrugnięcie.

– Przyjechałam tu w wieku sześciu lat.

– Urodziłaś się w Wietnamie, prawda?

– Urodziłam się na Formozie.

Mrugnięcie.

– Jestem Chinką. – Maggie uśmiechała się tak szeroko, że Poole pomyślał, że na pewno bolą ją mięśnie policzkowe.

– Ale znałaś Victora.

– Tylko ze słyszenia.

– Aha. – Zniechęcił się tylko na chwilę. – Myślisz, że jesteś gotowa na jedną z naszych starych dobrych kolacji w Milwaukee?

– Jeszcze nie, George – wtrąciła jego żona.

– Słyszałaś kiedyś o Glax Corporation, skarbie? Jedna z największych załóg w Stanach. Słyszeliście kiedyś o tym w Chinach?

Wyraz głębokiego zainteresowania na twarzy Maggie nie zmienił się ani na jotę.

– Bezpieczniki. Duża fabryka w Dolinie. Pewnie widziałaś ją po drodze. Jeśli zostaniesz w mieście, powinnaś zajrzeć, oprowadzę cię, przedstawię wszystkim. Co ty na to?

– Wielce ekscytująca propozycja.

– Jest tam też wiele dobrych lokali, mnóstwo niespodzianek w tej starej mieścinie.

Poole patrzył, jak George Spitalny pochyla się na swoim rozkładanym fotelu, pozerając oczami Maggie Lah. Zapomniał o żonie i dwóch mężczyznach. Czuł się świetnie – usłyszał nadspodziewanie dobre wieści o synu, trzymał piwo, a na jego kanapie w salonie siedziała dziewczyna, która wyglądała jak ucieleśnienie seksu. Był okropnym człowiekiem. Spalił rzeczy Victora z powodu zranionego narcyzmu. Poole'a ogarnęła niespodziewana litość dla Victora Spitalny'ego, który dorastał pod kontrolą tego próżnego, aroganckiego, nieudolnego człowieka.

– Jaki był Victor w dzieciństwie? – zapytał.

George Spitalny gwałtownie, niemal ostrzegawczo, obrócił głowę w jego stronę. Nie wchodził mi w paradę, synku. Zanim odpowiedział, wypił piwo i prawie mrugnął do Maggie.

– Niewiele mu wychodziło, taka jest smutna prawda. Vic był trochę nieszczęśliwym dzieciakiem. Dużo płakał, no nie?

Spojrzał na żonę z czystą zimną obojętnością.

– Och, Vic płakał. Wszystkie dzieci płaczą.

– Był wielkim rozczarowaniem. Nie miał kolegów, dopóki nie poszedł do liceum. Nie dostawał dobrych stopni. Nie był nawet dobry w sporcie, chociaż myślałem, że będzie. Coś wam pokażę. – Posłał Maggie nieznaczny, prawie nieśmiały uśmiech i wyszedł z pokoju. Słyszeli, jak szybko wchodził po schodach.

– Mówił pan, że Vic żyje? – spytała Margaret Spitalny Poole'a.

– Sądźmy, że to możliwe.

– Nie ma żadnych zapisów o jego śmierci – powiedział Underhill łagodnym tonem. – Po prostu zniknął. Był w Tajlandii, więc może po prostu tam został, albo pojechał do jednego z wielu różnych miejsc. Mógł kupić nową tożsamość. Naprawdę nie dostała pani od niego pocztówki od czasu zniknięcia?

Na schodach rozległy się ciężkie kroki. Margaret Spitalny pokręciła głową i spojrzała na drzwi. Zaczęły jej drżeć ręce.

– Nie sądzę... – Urwała, gdy mąż wszedł do pokoju, tym razem z fotografią w starej srebrnej ramce.

– Spójrz na to, Maggie. – Podsunął jej zdjęcie.

Margaret zerknęła z ukosa na Poole'a, po czym spuściła wzrok na kolana.

– Lepiej zajmij się kolacją. – Wstała i wyszła, nie patrząc na męża, który wciąż uśmiechał się do Maggie i posapywał po wysiłku włożonym w chodzenie po schodach.

Poole zbliżył się do Maggie, żeby spojrzeć na zdjęcie. Było stare, przedstawiało młodego mężczyznę w stroju baseballowym, pozującego z kijem w dłoniach. W wieku osiemnastu lub dziewiętnastu lat George Spitalny był bardzo podobny do syna, którego miał spłodzić – ta sama wąska głowa i wdowi szpic. Był jednak bardziej umięśniony niż Victor, mocniej zbudowany, silniejszy; twarz należała do mężczyzny równie nieprzyjemnego jak Victor, chociaż w zupełnie inny sposób.

– Niezłe, co? To ja, w trzydziestym ósmym. Co myślisz?

Maggie nie skomentowała, a Spitalny uznał jej milczenie za niemożność znalezienia odpowiednich słów.

– Nie wydaje mi się, bym zbyt się zmienił, chociaż minęło jakieś pięćdziesiąt lat. W przyszłym roku idę na emeryturę, a wciąż jestem w cholernie dobrej formie. – Na moment obrócił fotografię w stronę Michaela, potem Underhilla, po czym znowu skierował ku Maggie. – Tak powinien wyglądać młody mężczyzna. Mam rację? Ano, kiedy spojrziałem na mojego dzieciaka... to znaczy wtedy, jak się urodził, jak przynieśli mi go pokazać... spojrziałem na niego i przeżyłem szok. Myślałem, że go pokocham, pokocham od pierwszego wejrzenia. Czy to nie dzieje się z automatu? Myślałem, że tak. Ale naprawdę nic nie czułem. Nie mogłem przeboleć, jak cholernie brzydki był ten dzieciak. Od razu zobaczyłem, że nigdy mi nie dorówna. I możesz nazwać to jasnowidzeniem, czy jak tam chcesz, ale miałem rację, nie dorównał mi. Nigdy. Ani razu. Kiedy miał tę dziewczynę w liceum, tę Debbie Maczik, nie mogłam zrozumieć, jak mu się udało poderwać taką uroczą pannę. Szczerze mówiąc, myślałem, że przychodziła tu bardziej dla mnie niż dla niego.

– Gotowe! – zawołała Margaret gdzieś z głębi domu.

George Spitalny pozwolił Maggie jeszcze chwilę delektować się zdjęciem, po czym położył je na telewizorze.

– Idźcie do kuchni i siadajcie. Ja muszę iść do kibelka.

4

– A co się stało, kiedy wreszcie zobaczyliśmy zdjęcia? – zapytał Tim, uśmiechając się do Maggie na tylnym siedzeniu taksówki podczas drogi powrotnej do hotelu.

Michael również czekał, by zadać to pytanie. Po kolacji – „Nałóż trochę ketchupu na kielbasę, Maggie, tego tu używamy zamiast sosu sojowego” – pani Spitalny w końcu poszła na górę i przyniosła zdjęcia Victora. Państwo Spitalny nie chcieli ich pokazywać, ale gdy już znalazły się na dole, George wziął je do przejrzania. Oceniał, że jedne są bezużyteczne, inne śmieszne, a jeszcze inne zbyt brzydkie, żeby je pokazywać. W końcu wybrał trzy fotografie: jedną zakłopotanego ośmio- lub dziewięcioletniego chłopca na rowerze, drugą nastoletniego Victora opartego o maskę starego czarnego dodg'e'a i trzecią, standardowe zdjęcie z zakończenia rocznego podstawowego szkolenia wojskowego. Na żadnym z nich Victor Spitalny nie wyglądał tak, jak pamiętali go Poole i Underhill. Było dla nich szokiem, że Victor Spitalny kiedykolwiek wyglądał tak niewinnie jak chłopak na żołnierskim zdjęciu. Oparty o samochód, z rękami skrzyżowanymi na piersi, miał skwaszoną, ale dumną minę, i chociaż raz w pełni się kontrolował. W jego pozie była zawarta długa historia kultu Elvisa. Co dziwne, to zdjęcie małego chłopca najbardziej przypominało Victora Spitalny'ego z Wietnamu.

– Rozpoznałaś go? – zapytał Michael.

Maggie pokiwała głową, bardzo wolno.

– To musiał być on. Wprawdzie na poddaszu było ciemno, a twarz w mojej pamięci staje się coraz bardziej mglista, ale jestem prawie pewna, że to był on. Tylko że mężczyzna, którego widziałam, był obłąkany, a chłopak na zdjęciach nie wygląda na wariata. Z drugiej strony, gdybym była chłopcem i miała tego człowieka za ojca, też by mi odbiło. Stary uważa, że najgorsze w dezercji syna było to, że zranił jego ego.

– Masz te numery telefonów? – zapytał Underhill.

Skinęła głową. George i Margaret Spitalny pomogli im znaleźć numery Billa Hoppera i Macka Simroe – obaj się ożenili, mieszkali w swojej dawnej dzielnicy i pracowali w Dolinie – oraz Deborah Maczik Tusy. Jutro wynajmą samochód, żeby wrócić na południową stronę. Poole przypomniał sobie nieskupione, skierowane do wewnątrz spojrzenie nieatrakcyjnego chłopca na rowerze. „Zdesperowane”, powiedział ktoś (prawdopodobnie Maggie); właśnie dlatego ośmioletni Victor Spitalny bardziej przypominał mężczyznę, którego znali, niż ten z bardziej dorosłych zdjęć. Tylko w twarzy chłopca z odstającymi uszami i dużymi przednimi zębami dorosłej osoby można było zobaczyć znaną im desperację.

5

W pokoju Underhill zdjął czarny kapeluszczyk z szerokim rondem i długi czarny płaszcz, który z pewnością kupił na Canal Street. Poole zadzwonił na dół i zamówił czerwone wino, które wyglądało na najlepsze w karcie Pforzheimera, chateau talbot z 1974 roku, oraz sprite'a dla Underhilla. Wszyscy marzyli o czymś, co pozwoli im zapomnieć o smaku kolacji.

– Nawet kapuszczyk posmarowałeś keczupem – powiedziała Maggie do Tima.

– Właśnie zadałem sobie pytanie, co zrobiliby Conor Linklater, gdyby tu był.

– Do kogo zadzwonimy najpierw? – spytał Michael. – Do Debbie czy któregoś z chłopaków?

– Pisałby do niej?

– Możliwe – odparł Poole i wybrał numer Debbie Tusy.

Telefon odebrał nastolatek.

– Chce pan rozmawiać z moją mamą? Hej, mammo! Mammo! Jakiś facet do ciebie!

Chwilę później Poole usłyszał zmęczony głos i ryk telewizora w tle.

– Słucham?

Przedstawił się i pokrótce wyjaśnił, dlaczego dzwoni.

– Kogo?

– Vica Szpitalny'ego. Spotykała się z nim pani, gdy chodziliście do Liceum Rufusa Kinga.

Przez chwilę nic nie mówiła.

– Mój Boże. Może pan powtórzyć, kim pan jest i o co chodzi?

Poole wyrecytował swoje nazwisko i prośbę.

– A kto panu podał moje nazwisko?

– Niedawno rozmawiałem z rodzicami Victora.

– Rodzice Vica... George i Margaret. To ci dopiero! Biedaczysko, nie myślałam o nim od jakichś dziesięciu lat.

– A więc nie mieliście kontaktu, odkąd poszedł do wojska.

– Znacznie dłużej, doktorze. Rzucił szkołę w ostatniej klasie, a ja wtedy już od roku chodziłam z Nickiem, to facet, za którego wyszłam. Rozstaliśmy się trzy lata temu. Dlaczego interesuje pana Vic Szpitalny?

– W pewnym sensie zapadł się pod ziemię. Ciekawi mnie, co się z nim stało. Dlaczego nazwała go pani biedaczyskiem?

– Bo właśnie taki był. Chodziłam z nim, więc nigdy nie myślałam, że jest taki zły, jak mówią inne dzieciaki. Właściwie uważałam, że jest słodki, ale... Vic może nie był kimś, kogo można by nazwać dziwakiem, przynajmniej jeden facet był znacznie gorszy niż on... Po prostu nikt nie dawał mu szansy. Był trochę nieśmiały, uwielbiał grzebać w swoim samochodzie. Ale nienawidziłam chodzić do jego domu.

– Dlaczego?

– Stary George ślinił się na mój widok. Próbował mnie obmacywać. Fuj. Widziałam, co robi Vicowi, najzwyczajniej w świecie nim gardził. W końcu nie mogłam już tego znieść. Później Vic rzucił szkołę. I tak oblał mnóstwo przedmiotów. I dostał powołanie.

– Od tego czasu nie miała pani od niego wiadomości?

– Tylko o nim słyszałam. Wszystkie gazety trąbiły o jego dezercji. Były zdjęcia i tak dalej. Krótko przed moim ślubem z Nickiem. Vic był na pierwszej stronie „Sentinela”. Wszystko o jego ucieczce, kiedy ten Dengler został zabity... i wszystko wydawało się dziwne. Tamtego wieczoru mówili o tym nawet w telewizji, ja jednak nadal w to nie wierzyłam. Vic nie zrobiłby czegoś takiego. Wszystko wydawało mi się takie poplątane. Gdy zjawili się ludzie z wojska, wie pan, powiedziałam: „Popelniliście błąd. Żle to rozumieście”.

– Co zatem według pani się stało?

– Nie wiem. Myślę, że Vic nie żyje.

Przybyła obsługa. Underhill pozwolił Maggie skosztować i zaaprobować wino, dał napiwek kelnerowi i zaniósł Michaelowi kieliszek, gdy skończył rozmowę z Debbie Tusą. Wino natychmiast rozpuściło tłusty smak kiełbasy.

– Na zdrowie. – Maggie wzniosła toast.

– Ona nie wierzy, że zdezerterował.

– Jego matka też nie – powiedziała Maggie.

Poole spojrzął na nią ze zdziwieniem. Musiała wychwycić to swoim radarem.

Bill Hopper, jeden z kolegów Victora Szpitalny'ego ze szkoły średniej, w trakcie krótkiej rozmowy z Michaeliem powiedział, że nigdy go nie lubił, nic o nim nie wie i nie chce nic wiedzieć. Vic Szpitalny przyniósł wstyd swoim rodzicom i Milwaukee. Bill Hopper uważał, że George Szpitalny, z którym praco-

wał w Glax Corporation, jest cholernie dobrym człowiekiem, zasługującym na lepszego syna. Kontynuował w tym stylu przez jakiś czas, po czym powiedział Poole'owi, żeby dał mu spokój, i się rozłączył.

– Bill Hopper mówi, że nasz chłopak był świrem i nikt normalny go nie lubił.

– Nie trzeba było być normalnym, żeby nie lubić Spitalny'ego – stwierdził Underhill.

Poole popijał wino. Jego ciało nagle zwiotczało jak worek.

– Zastanawiam się, czy jest sens dzwonić do tego drugiego faceta. Już wiem, co powie.

– Czy nie ty wysunąłeś teorię, że Spitalny w końcu zwróci się do kogoś o pomoc? – zapytała niewinnie Maggie. – I oto jesteśmy w Milwaukee.

Poole podniósł słuchawkę i wykręcił ostatni numer.

– Simroe.

Poole zaczął mówić. Czuł się tak, jakby czytał linijki komunikatu.

– Och, Vic Spitalny – powiedział Mack Simroe. – Nie, nie mogę panu pomóc go znaleźć. Nic mi o nim nie wiadomo. Po prostu odszedł, prawda? Dostał powołanie. Cóż, przecież pan wie, prawda? Był pan tam z nim. Hm, skąd ma pan moje nazwisko?

– Od jego rodziców. Odniosłem wrażenie, że wierzą, że Victor nie żyje.

– Nie wątpię – powiedział Simroe z uśmiechem w głosie. – To miło, że pan go szuka... To znaczy, miło, że ktoś w ogóle go szuka, ja jednak nigdy nie dostałem od niego nawet pocztówki. Rozmawiał pan z Debbie Madzik? Obecnie Debbie Tusa?

Poole powiedział, że do niej też się nie odezwał.

– Cóż, może nie powinno to dziwić. – Śmiech Simroe prawie wyrażał zakłopotanie. – Biorąc wszystko pod uwagę.

– Myśli pan, że nadal czułby się winny z powodu dezercji?

– Nie tylko o to chodzi. To znaczy nie sądzę, że kiedyś wyjdzie na jaw cała prawda, zgadza się?

Poole przyznał mu rację, zastanawiając się, dokąd prowadzi rozmowa.

– Kto sprawdzi coś takiego? Musiałby jechać do Bangkoku, zgadza się?

Poole zgodził się z nim i dodał, że tak właśnie zrobił.

– Więc to był tylko zbieg okoliczności? Wtedy faktycznie wydawało się to dziwne. Jedyne facet, który miał gorzej niż on, jedyny, który był takim samym przegrywym jak on, a właściwie większym.

– Nie jestem pewien, czy nadążam – zaznaczył Poole.

– Mówię o Denglerze. Zdecydowanie wyglądało to dziwne. Chyba myślałem, że on go tam zabił.

– Spitalny znał Denglera, zanim pojechali do Wietnamu?

– Pewnie. Wszyscy znali Denglera. Wszystkie dzieciaki. Wie pan, jak wszyscy znają jedynego dzieciaka, który sobie nie radzi, który chodzi w obszarpanych ubraniach... Dengler był beznadziejnym przypadkiem.

– Nie w Wietnamie.

– Oczywiście Spitalny go nienawdził. Kiedy jesteś na dole, nienawidzisz tego, co jest pod tobą, zgadza się?

Poole poczuł się tak, jakby właśnie wetknął sobie palec w oczodół.

– Kiedy więc zobaczyłem w gazecie, że Manny Dengler tam umarł, a Vic uciekł, przyszło mi na myśl, że musi być w tym coś więcej. Podobnie uważała większość ludzi, w każdym razie większość tych, którzy znali Manny'ego Denglera. Ale nikt nie spodziewał się od niego pocztówek. To znaczy...

Kiedy Poole się rozłączył, Underhill patrzył na niego oczami wielkimi jak latarnie.

– Znali się – powiedział Poole. – Chodzili razem do szkoły. Według Macka Simroe Dengler był jedynym dzieciakiem jeszcze bardziej wyobcowanym niż Spitalny.

Underhill pokręcił głową.

– Nigdy nie widziałem, żeby ze sobą rozmawiali, z wyjątkiem tamtego jednego razu.

– Spitalny umówił się z Denglerem w Bangkoku. Zaplanował to z wyprzedzeniem. Postanowił go zabić. Umówił z nim miejsce spotkania, jak czternaście lat później z dziennikarzami.

– To było pierwsze morderstwo Koko.

– Bez karty.

– Bo miało wyglądać na robotę rozszałatego tłumu – powiedział Underhill.

– Cholera – mruknął Poole.

Wykręcił numer Debbie Tusy i ten sam nastolatek wrzasnął:

– hej, mamó! kim jest ten facet?

– Poddaję się, kto mówi? – zapytała, gdy wzięła słuchawkę.

Poole przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego znowu dzwoni.

– Vic na pewno znał Manny'ego Denglera. Wszyscy go znali, co nie znaczy, że ktoś z nim rozmawiał. Nabijali się z niego. Vic też dokuczał mu od czasu do czasu. To było trochę okrutne i nie podobało

mi się ani trochę. Myślałam, że pan o tym wie! Dlatego wydawało mi się to takie poplątane. Nie mogłam pojąć, co robili razem. Nicky, mój mąż, był zdania, że Vic zadźgał Manny'ego, ale to szalony pomysł. Ponieważ Vic w życiu nie zrobiłby czegoś takiego.

Poole umówił się z nią na jutrzejszy lunch.

– Szpitalny dołączył do naszego oddziału i zastał tam Denglera – mówił Underhill do Maggie. – Ale Dengler był zupełnie inny, wszyscy go kochali. Czy Szpitalny z nim rozmawiał? Czy się z niego nabijał? Co robił?

– To Dengler pogadał z nim – powiedział Poole z naciskiem. – Powiedział, że od czasów ogólniaka wiele się zmieniło. Po prostu udawajmy, że poznaliśmy się dopiero tutaj. I w pewnym sensie rzeczywiście wcześniej się nie znali. Szpitalny nigdy wcześniej nie spotkał naszego Denglera.

– Czy po wyjściu z jaskini Dengler nie powiedział czegoś w stylu: „Nie przejmuj się. Cokolwiek się zdarzyło, to było dawno temu”? – zastanawiał się Underhill. – Myślałem, że chodziło mu o...

– Ja też... O to, co zrobił tam Beevers. Myślałem, że mówi Szpitalny'emu, żeby puścił to w niepamięć.

– Ale mówił o tym, co dawno temu działo się w Milwaukee.

– Miał na myśli jedno i drugie – powiedziała Maggie. – Tam i z powrotem, pamiętacie? I wiedział, że Szpitalny nie poradzi sobie z tym, co się tam wszystkim przydarzyło. Od samego początku wiedział, kim jest Koko. – Nagle ziewnęła, przysmakując oczy jak kot. – Przepraszam. Za dużo wrażeń. Chyba pójdę do siebie i położę się spać.

– Do zobaczenia rano, Maggie – pożegnał ją Underhill.

Poole odprowadził ją do drzwi, otworzył je dla niej.

– Dobranoc. – Pod wpływem impulsu wyszedł za nią na korytarz.

Maggie uniosła brwi.

– Odprowadzasz mnie do domu?

– Chyba tak.

Ruszyła do swoich drzwi. Korytarz był zauważalnie zimniejszy niż pokoje.

– Jutro Denglerowie – powiedziała, wkładając klucz do zamka. Wydawała się bardzo mała, gdy stała w ogromnym mrocznym korytarzu.

Michael pokiwiał głową. Spojrzenie, które mu rzuciła, pogłębiło się i zmieniło wyraz. Nagle wyobraził sobie, jak obejmuje Maggie Lah, jak jej ciało dopasowuje się do jego ciała. Nagle poczuł się jak George Szpitalny, śliniący się nad nią.

– Jutro Denglerowie.

Spojrzała na niego dziwnie: nie mógł określić, czy to, co widział przed chwilą, ten wzrost ciężaru i powagi, było prawdziwe. Spojrzenie było jak dotyk. Pomyślał, że tak bardzo pragnął, by Maggie go dotknęła, że prawdopodobnie dał się ponieść wyobraźni.

– Chcesz wejść?

– Wskakuj do łóżka – powiedział.

Uśmiechnęła się i zniknęła za drzwiami.

6

Harry Beevers stał na Mott Street, rozglądając się i myśląc, że potrzebuje miejsca, skąd mógłby obserwować Koko, dopóki nie nadejdzie czas, żeby go złapać albo zabić. Musi wciągnąć Szpitalny'ego w pułapkę z pełną kontrolą nad jedynym wejściem lub wyjściem. Uważał, że jest dobry w zarządzaniu zasadzek. Tę umiejętność miał w małym palcu. Podobnie jak Koko, musi wybrać własne pole bitwy – wciągnąć swoją ofiarę na wybrane przez siebie terytorium.

Niektóre z jego ulotek zostały zerwane i wyrzucone, ale większość wciąż krzyczała z latarni i witryn sklepowych. Ruszył na południe Mott Street, dzieląc chodnik w ten zimny dzień tylko z kilkoma śpieszącymi co sił w nogach Chińczykami, opatulonymi od stóp do głów i białymi jak kreda z zimna. Musi znaleźć restaurację wystarczająco cichą na pierwsze spotkanie ze Szpitalnym – uspokoi go jedzeniem, a potem wymyśli, dokąd go zabrać. Mieszkanie nie wchodziło w rachubę, choć pod pewnymi względami jego odosobnienie było idealne. Musi jednak zabrać Koko w miejsce, które samo w sobie zapewni alibi. Ciemna uliczka za komisariatem policji byłaby prawie idealna.

Beevers widział, jak wyłania się z zaułka niczym bohaterki Rambo, ze zwieszonymi ramionami, zadyszany, zbrzydzany krwią wroga, wskazując gromadzie osłupiałych policjantów ciało Szpitalny'ego.

„Oto człowiek, którego szukacie. Rzucił się na mnie, gdy go tu prowadziłem”.

Musi kupić dobry nóż, to po pierwsze. I kajdanki. Możesz zaobraczkować człowieka, zanim się połapie, co jest grane. Później możesz zrobić z nim, co tylko chcesz. I otwórz kajdanki, zanim ciało upadnie na ziemię.

Zawałał się na rogu Bayard Street, po czym skręcił na wschód, w stronę Confucius Plaza. Dotarł na Elizabeth Street, skręcił i przeszedł kilka kroków na północ, zanim stwierdził, że wszystko jest nie tak – same kamienice i mroczne małe chińskie firmy. Koko od razu zwietrzy pułapkę, od razu pozna się na zasadzce. Harry wrócił na Bayard Street i ruszył dalej w kierunku Bowery.

To było znacznie bardziej obiecujące.

Po drugiej stronie Bowery stał Confucius Plaza, ogromny kompleks biurowo-mieszkaniowy. Na jednym rogu mieścił się bank z fasadą w kształcie modernistycznej pagody z czerwonej laki, naprzeciwko chińskiego kina. Nieprzerwany sznur samochodów jechał wzdłuż długiej wysepki, która ciągnęła się od Bowery za zakręt w Division Street. Na jej końcu stał wysoki posąg Konfucjusza.

Harry uznał, że to miejsce jest zbyt publiczne na spotkanie z Koko. Spojrzał przez ulicę na Plaza. Od strony Bowery niższa część kompleksu, może piętnastopiętrowa, przyskaniła dolną połowę wysokiej wieży mieszkalnej. Za nimi, pomyślał Harry, musi być taras lub plac – drzewa i ławki.

I to podsunęło mu pomysł – przynajmniej połowę. W wyobraźni ujrzął park graniczący z ulicami Mulberry i Baxter w pobliżu zachodniego krańca Chinatown. O tej porze roku park będzie pusty, ale wiosną i latem zapełniał go prawnicy, komornicy, sędziowie i policjanci odpoczywający od obowiązków. Był to Columbus Park i Harry dobrze go znał ze swoich wczesnych lat pracy prawnika, tylko że nigdy tak naprawdę nie łączył go z Chinatown. Columbus Park sąsiadował z budynkami rządowymi na Centre Street.

Między Centre a Baxter, granicząc z północno-zachodnim krańcem Columbus Park, wznosił się gmach sądu karnego; dalej na południe stał mniejszy, przypominający więzienie budynek sądu federalnego, a za nim, między ulicami Worth i Pearl, przecznicę od parku, mieściła się jeszcze bardziej pokutna, ponura, brudna i o każdej porze roku ociekająca mrokiem siedziba sądu hrabstwa Nowy Jork.

Harry natychmiast odrzucił pomysł spotkania się z Koko w restauracji. Zaproponuje mu spotkanie w Columbus Park. Jeśli Koko mieszka w Chinatown, to już zna park, a jeśli nie, pomysł spotkania w parku zapewni mu poczucie bezpieczeństwa. Tak będzie idealnie. Dobrze wyglądałoby to w książce, i pięknie w filmie, ale byłoby fikcją. Spotkanie w Columbus Park będzie częścią mitu; nie musi być prawdziwe. Koko ma wierzyć, że spotkają się w parku. Harry zdecydował, że najpierw wyśle go w jakieś inne miejsce, zwabi w zasadzkę.

Marzył na rogu Bayard Street i Bowery. Czarna limuzyna podjechała do krawężnika, z tyłu wysiedli dwaj niscy pulchni Chińczycy w maleńkich lakierkach. Mieli ciemne garnatry, okulary przeciwsłoneczne i zaczesane do tyłu włosy. Wyglądali jak bliźniacze gnomy o twarzach zombie i sztywnych ruchach sygnalizujących ich wysokie mniemanie o sobie. Jeden zatrzasnął drzwi limuzyny i razem poszli w stronę restauracji naprzeciwko Confucius Plaza. Pierwszy z nich minął Harry’ego o pół kroku, nie rejestrując jego obecności. Harry pomyślał, że gdyby stanął mu na drodze, mały gangster przewróciłby go i przeszedł po nim jak Elżbieta po pelerynie Raleigha.

Podszedł do limuzyny. Czuł się jeszcze bardziej zmarnięty – w każdym aucie mknącym po Bowery, w każdym mieszkaniu w Confucius Plaza, tkwił płaskogęby żółtek, którego nie obchodziło, czy Harry Beevers przeżyje, czy umrze. Jak te wszystkie małe sukinsyny wy dostały się z palni? Pochylił się nad bagażnikiem limuzyny i spojrzął na szesnaście warstw starannie nałożonego czarnego lakieru. Powierzchnia wydawała się głęboka jak jezioro. Zebrał w ustach porządną porcję śliny i flegmy i splunął na klapę. Płwocina ześlizgiwała się w stronę błotnika.

Harry odszedł. Już zaczął myśleć, że marnuje tu czas i powinien sprawdzić zachodni kraniec Bayard Street, gdy gładki, nieprzerwany ciąg chińskich restauracji nagle się urwał. Stwierdził, że ma przed sobą jaskinię. Jego stopy wrosły w ziemię, a serce bębniło jak zadnie nogi królika. Po obu stronach dachy budynków łączyły się nad szerokim przejściem. Oczywiście nie była to jaskinia. Stał przed pasażem.

W dali widział kobiecą bieliznę w żalonych odcieniach różu i bladego błękitu, rozciągniętą na manekinach w oświetlonej witrynie. Obok z okna optyka spoglądały okulary olbrzyma. Dalej w szarym powietrzu unosił się szyld restauracji. Harry wszedł do pasażu. W jego stronę dreptała stara Chinka, w półmroku widział tylko jej oczy i pomarszczone czoło.

Zatrzymał się przed optykiem i spojrzął przez puste szkło okularów giganta. Za ladą ostrzyżony na punka sprzedawca z trądzikiem na policzkach wpatrywał się w chińskojęzyczne wydanie „Playboya”.

Ściany pasażu były pokryte wystrzyżonymi afiszami chińskiej opery. Inne plakaty reklamowały kluby rockowe. Kilka sklepów dalej mrok gęstniał i pasaż skręcał w stronę Elizabeth Street. Podarte plakaty ciągnęły się do maleńkiej restauracji Malajska Kawiarnia z dużą białą tabliczką zamkniętą na

drzwiach. Kilka kroków dalej, tuż przed zakretem, wyłożone płytkami wąskie schody prowadziły na dolny poziom. Z boku schodów namalowano grubą strzałkę, a pod nią widniał napis zakład fryzjerski fortuna.

Harry wolno szedł po schodach, schylając głowę, by zobaczyć, jak daleko ciągnie się niższy poziom. W zakładzie fryzjerskim dwóch siwych fryzjerów siedziało na fotelach dla klientów, podczas gdy trzeci obcinał włosy starszej kobiecie. Na krótkim dolnym poziomie znajdowały się jeszcze dwa sklepy; na plakacie w oknie jednego ninja lewitował z wyciągniętą nogą. Harry zatrzymał się mniej więcej w połowie schodów, z oczami na wysokości chodnika. Nikt wchodzący tu go nie zobaczy, on jednak będzie miał doskonały widok.

Staął na wyższym stopniu i na tle jaśniejszego powietrza w wejściu do pasażu zobaczył dwóch niskich mężczyzn. Zombie. Zajrzeli w głąb, cofnęli się i znów pojawili. Okulary przeciwsłoneczne wyglądały jak duże czarne dziury w ich twarzach. Harry po cichu zszedł o stopień i patrzył, jak zombie spoglądają jeden na drugiego. Ruszyli, krępi, niemal tupiąc i kolebiąc się jak zapaśnicy sumo. Ich sylwetki rozmywały się w półmroku. Gdy podeszli bliżej, Harry zobaczył, że mają zacziernione pięści. Stanęli jard od niego, kołysząc grubymi krótkimi rękami. Jeden zagadał cicho po chińsku i Harry rozumiał słowa tak, jakby mówił po angielsku. Drania tu nie ma. Drugi mężczyzna chrząknął.

Jego życie różniło się od życia innych; inni myśleli, że świat jest solidny, byli ślepi na wielkie pęknięcia i rozdarcia w powierzchni egzystencji. Jego umysł był wypelniony brzęczeniem owadów i płaczem dzieci.

Powierzchnia świata niemal rozdarła się na strzępy i pozwoliła zająć miejsce jego prawdziwemu życiu.

Dwaj mężczyźni odwrócili się w idealnej synchronizacji, jak partnerzy w tańcu, i wyszli z pasażu. Harry czekał na schodach minutę, dwie, nie wiedział jak długo. Staruszka z salonu fryzjerskiego powoli wchodziła po schodach, stukając drewnianą laską. Odsunął się, żeby pozwolić jej przejść przy poręczu, a ona minęła go bez słowa. Był niewidzialny: nikt go nie widział. Wytał mokre dłonie w płaszcz i wszedł na główny poziom pasażu.

Pusty: świat znów się zamknął.

Harry zbiegł na dół do sklepu Ninja, gdzie wydał pięćdziesiąt sześć dolarów na nóż grawitacyjny i kajdanki, po czym wrócił na górę.

Przy wejściu pochylił się i spojrział na południe wzdłuż Bowery. Limuzyna zniknęła przed restauracją. Uśmiechnął się. Niegdyś bez wątpienia nieskazitelnie biała chusteczka szofera zawierała jego żółtą flegmę.

Ktoś patrzył z okna wysoko w Confucius Plaza; ktoś w przejeżdżającym samochodzie odwrócił głowę, żeby na niego spojrzeć. Ktoś go obserwował, bo jego życie było jak film, a on był bohaterem tego filmu.

– Znalazłem – powiedział, wiedząc, że ktoś go słyszy albo czyta z ruchu jego warg.

Teraz musi tylko czekać na telefon. Harry ruszył w kierunku Canal, żeby złapać taksówkę. Mijał go płynny strumień samochodów. Stał na Canal Street i patrzył na przejeżdżające pojazdy, czując na języku smak oliwy i lodowatej wódki, na którą właśnie zarobił. Gdy zmieniły się światła, przeszedł na drugą stronę Canal i skręcił ku Bowery. Nie posiadał się z radości.

Druga noc w Pforzheimerze

1

Michael Poole obudził się w zimnej ciemności i senny obraz chińskiej uczennicy uśmiechającej się do niego spod białej słomianej szumówki rozmył się w jego pamięci. Znowu zabrzączał któryś z dużych kaloryferów, Tim Underhill pochrapywał cicho na sąsiednim łóżku. Poole podniósł zegarek i przysuwał go do twarzy, aż wyraźnie zobaczył wskazówki. Gdy patrzył, z siódmej pięćdziesiąt dziewięć zrobiła się ósma. Zaczęły go dosięgać pierwsze macki ciepła.

Underhill jęknął, przeciągnął się, przetarł twarz rękami. Spojrzał na Poole'a.

– Dzień dobry. – Usiadł w łóżku. Włosy sterczały mu po bokach głowy, biaława broda była zmięta i spłaszczona z jednej strony. Wyglądał jak szalony profesor ze starego filmu. – Posłuchaj.

Poole też usiadł.

– Myślałem o tym całą noc. Oto co na razie mamy. Mamy Denglera, który straszy Spitalny'ego, zgadza się? Zaczepia go i mówi, że w jednostce bojowej każdy musi chronić każdego. Zabiera go, powiedzmy, do Ozone Park, i mówi mu, że jeśli będzie go nękać po staremu, to namiesza w życiu wszystkich członków plutonu. Może nawet daje Spitalny'emu do zrozumienia, że nie wróci ze swojej pierwszej misji... Cokolwiek mu mówi, Spitalny zgadza się nie wspominać o ich dawnej znajomości. Ale przecież to jest Spitalny; nie może ścierpieć takiego układu. Z każdym dniem coraz bardziej nienawidzi Denglera. W końcu udaje się za nim do Bangkoku i zabija go. Teraz myślę, że Spitalny nie był oryginalnym Koko. Pożyczył tę nazwę dopiero piętnaście lat później, kiedy kompletnie mu odbiło.

– Więc kto był?

– Tak naprawdę nigdy nie było oryginalnego Koko – odparł Underhill. – Nie w sposób, w jaki o tym myślałem. – Podekscytowany swoimi rozważaniami spuścił nogi z łóżka i wstał. Miał na sobie koszulę nocną i jego nogi wyglądały jak cybuchy wyposażone w kolana. – Rozumiesz? To jak u Agathy Christie. Prawdopodobnie każdy, kto chciał wesprzeć Denglera, przynajmniej raz napisał Koko na karcie. Koko był każdym. Ja byłem Koko, ty byłeś Koko, Conor był Koko. Wszyscy po prostu naśladowali tego pierwszego.

– Ale w takim razie kto był pierwszy? Spitalny? Mało prawdopodobne.

– Sądzę, że Beevers – odparł Underhill z błyszczącymi oczami. – To było zaraz po tym, jak zrobił się szum, pamiętasz? Sąd wojenny wydawał się nieunikniony. Beevers był zestresowany. Wiedział, że nikt go nie poprze, ale zdawał sobie sprawę, że może skorzystać z poparcia, jakim cieszył się Dengler. Więc okaleczył martwego wietkonga i napisał na karcie słowo, które wszyscy skojarzyli z Denglerem. I zadziało.

Ktoś zapukał do drzwi.

– To ja! – zawołała Maggie. – Jeszcze nie wstaliście?

Underhill ruszył na chudych nogach do drzwi, a Poole narzucił szlafrok.

Maggie weszła uśmiechnięta, ubrana w czarną spódniczkę i za duży czarny sweter.

– Wyglądaliście na dwór? W nocy znowu spadł śnieg. Wszystko wokół wygląda jak w niebie.

Poole wstał i przeszedł obok uśmiechniętej Maggie do okna. Miał wrażenie, że Maggie szacuje go wzrokiem, i zrobiło mu się nieswojo. Czuł, że nie może ufać żadnej ze swoich reakcji na tę dziewczynę. Underhill zaczął streszczać dla niej ich rozmowę, a on pociągnął za sznur, by rozsunąć zasłony.

Zimne niebieskawe światło odbijało się od szyby i spływało na białą ulicę. Nieskazitelnie biały, prawie dziewięć świeży śnieg wyglądał jak porządna gruba llniana serweta. Kilka głębokich śladów na chodniku wskazywało, że jedna osoba wyruszyła do pracy.

– A więc Harry Beevers to pierwowzór Koko – powiedziała Maggie. – Ciekawe, dlaczego tak łatwo mi to uwierzyć?

Poole odwrócił się od okna.

– Czy słowo Koko coś dla ciebie znaczy?

– Kaka. Albo coo-coo, czyli szalony. Kto wie? Cocoa, jak ciepły napój przed snem. Ale gdyby Victor Spitalny wiedział, że Harry Beevers pierwszy użył tego słowa, czy nie byłby nim ponadprzeciętnie zainteresowany?

Poole spojrzął na nią ze zdziwieniem.

– Czy nie jest możliwe, że chciałby wyeliminować Harry’ego, zanim sam przejdzie na emeryturę albo się podda, albo co tam zamierza zrobić?

„Właściwie”, mówiła, „Tina prawdopodobnie zginął tylko dlatego, że akurat był w domu. Został zabity, ponieważ tam był”. Podeszła do okna i stanęła obok Michaela.

– Koko włamał się do mieszkania pod pięćdziesiątym szóstym na Grand Street w dniu, kiedy Tina przyjechała na przedmieścia, żeby zabrać mnie do siebie stamtąd, gdzie mieszkałam, gdy nie mieszkałam u niego. – Zerknęła na Michaela, który marszczył brwi, patrząc na naznaczony dołeczkami pejzaż jej śnieżnego nieba. – I w ten sposób Spitalny dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć.

– Czyli czego? – zapytał.

– Gdzie wszyscy mieszkają.

Poole wyłączył się i kompletnie pogubił. Koko dowiedział się, gdzie wszyscy mieszkają, bo Tina Pumo został w domu?

Maggie powiedziała, że było to w noc, kiedy nadal ją lubił, i że wstał z łóżka i stwierdził, że skradziono mu książkę adresową.

W noc, kiedy nadal ją lubił?

– Kilka dni później sytuacja się powtórzyła – kontynuowała. – Znaliście Tinę. Nie miał zamiaru się zmienić. To było bardzo smutne. Poszłam do niego, żeby zobaczyć, czy będzie chciał ze mną pogadać. I mało nie zginęłam.

– Jak uciekałś? – zapytał Poole.

– Używając głupiej starej sztuczki. I nic więcej o tym nie powiem. Uratowana przez starą sztuczkę, jak bohaterka opowieści.

– Zatem Koko wie, gdzie znaleźć Conora – powiedział Tim.

– Conor mieszka u swojej lubej – uspokoił go Poole. – Więc będzie bezpieczny. Ale lepiej, żeby Beevers uważał na siebie.

Czy macie zamiar kiedyś się ubrać? – chciała wiedzieć Maggie. Całe to rozmęczone męskie piękno wieku średniego sprawia, że burczy mi w brzuchu. Przynajmniej myślę, że to mój brzuch. Co dzisiaj robimy?

2

Zadecydowali, że po śniadaniu w Grill Room zajrzą do kilku lokali, w których lubił bywać Victor Spitalny, po czym wynagrodzą sobie trudy wizytą w domu dzieciństwa M.O. Denglera i opowiadaniem – tym razem zgodnie z prawdą – już raz opowiedzianych historii o Wietnamie. Opowieści, a także ich snucie, mają swoich bogów i zaprezentowanie ich rodzicom Denglera będzie złożeniem im hołdu.

Zaczęli od rundki po barach, albo szynkach, jak je tutaj zwano, gdzie Spitalny spędzał czas, czekając na powołanie – Sportowa Gospoda, Pepitka, U Sama i Aggie w odległości pół mili jeden od drugiego, w tym dwa na sąsiednich rogach Mitchell Street, a Pepitka pięć przecznic dalej na północ, na skraju Doliny. Mack Simroe zgodził się z nimi spotkać o wpół do szóstej po pracy, a z Debbie Tusą umówili się na lunch w restauracji Tik-Tak na Psalm Street. W Milwaukee bary otwierały się wcześniej i rzadko czekały na klientów, ale Poole już przed południem był zniechęcony tym, jak ich tam przyjmowano. Żaden z bywalców dwóch pierwszych szynków nie okazał zainteresowania rozmową o dezercerze.

W 1969 roku śledczy wojskowi odwiedzili te same bary, szukając wskazówek, gdzie może ukrywać się Victor. Poole uważał, że prawdopodobnie rozmawiali z tymi samymi klientami i barmanami, których poznał wraz z Maggie i Timem. Od tamtej pory szynki ani trochę się nie zmieniły, z wyjątkiem uaktualnienia repertuaru szaf grających. Do niedobitków z tamtej epoki należała zagnieżdżona wśród setek piosenek Elvisa Presleya i setek więcej polek – Joe Schott i Hot Schotts? – The Ballad of the Green Berets Barry’ego Sandlera. W szynkach ostre światło odbijało się od blatów z formiki, a barmani, bladzi

i z nadwagą, mieli tatuaże i wyprzedzające modę fryzury na jeża. Ich zdaniem tchórze, którzy zdezerterowali z wojska, równie dobrze mogli iść powiesić się na pierwszej suchej gałęzi, byle nie wpakować w kłopoty nikogo innego. I piło się pforzheimer – tam nie uświadczyłeś lekkich piw typu „Budweiser”, „Coors”, „Olympia”, „Stroh”, „Rolling Rock”, „Pabst”, „Schlitz” czy „Hamm”. Na lustrze w Sportowej Gospodzie wisiały przyklejone wydrukowane kartki: śniadania mistrzów – pforzheimer’s i pforzheimer’s – narodowy napój doliny.

– Większości nie eksportujemy – powiedział Wytatuowany Jeżyk, a jego starzy klienci pomrukiwali „tfu-tfu-tfu”. – Lubimy mieć je dla siebie.

– Cóż, rozumiem dlaczego – mruknął Poole, gdy spróbował mdłego żółtego piwa. Za jego plecami Presley jęczał o kaplicach, mamie i trudach miłości.

– Ten Spitalny nie był mężczyzną – oświadczył Wytatuowany Jeżyk. – Chociaż nigdy nie przypuszczałem, że okaże się takim cieniem.

U Sama i Aggie barmanka Aggie nie miała ani jeża, ani tatuaży, i zamiast Elvisa Jim Reeves jęczał o kaplicach, mamie i dozgonnej miłości, ale przebieg wizyty był bardzo podobny. Pforzheimer’s. Mroczne spojrzenia na Maggie Lah. O kogo pytacie? A, o niego. Więcej mrocznych spojrzeń. Jego tata jest normalnym facetem, ale z dzieciakiem coś poszło nie tak, no nie? Kolejne łypnięcie spode łba na Maggie. Widzicie, my tutaj jesteśmy prawdziwymi Amerykanami.

I tak oto cała trójka maszerowała w milczeniu w kierunku Tik-Taka, każde pogrążone we własnych myślach. Gdy Poole pchnął drzwi i wszedł za Maggie i Underhillem do małej zatłoczonej restauracji, sześciu mężczyzn obróciło się na stołkach barowych i wlepiło wzrok w dziewczynę.

– Żółte niebezpieczeństwo znowu uderza – szepnęła.

Szczupła kobieta o matowych włosach i twarzy pociętej głębokimi zmarszczkami niepewnie pokiwała do nich z boksu z boku restauracji.

Debbie Tusa poleciła im stek Salisbury; papiała o pogodzie i jak bardzo podobał jej się Nowy Jork; piła Sea Breeze, wódkę z sokiem grejfrutowy i żurawinowym, czy też chcą? Przypuszcza, że tak naprawdę to letni drink, ale można go pić przez cały rok. W Tik-Taku robią dobre drinki, wszyscy o tym wiedzą, i czy to prawda, że wszyscy oni są z Nowego Jorku, a może ktoś jest z Waszyngtonu?

– Denerwujesz się czymś, Debbie? – zapytał Tim.

– No, ci ostatni byli z Waszyngtonu.

Podeszła kelnerka w obcisłym białym mundurku i fartuszk w kratkę. Wszyscy zamówili stek Salisbury, z wyjątkiem Maggie, która poprosiła o kanapkę klubową. Debbie napiła się Sea Breeze i powiedziała do Maggie:

– Chcesz Cape Coddera, wódkę z sokiem z małży?

– Dla mnie tonik – powiedziała Maggie.

– Tonik? – powtórzyła kelnerka. – Jak środek kosmetyczny?

– Jak gin z tonikiem bez ginu.

– Wiecie, wiele osób o was gada. – Debbie wsunęła do ust małą słomkę i spojrzała na nich, sącząc drinka. – Wielu myśli, że jesteście z rządu. I niektórzy nie są pewni, z czyjego.

– Jesteśmy osobami prywatnymi – zapewnił ją Poole.

– No, może Vic robi teraz coś złego, może jest szpiegiem, a wy próbujecie go złapać. Myślę, że George i Margaret boją się, że Vic wróci i George straci pracę, zanim zdąży przejść na emeryturę... Jeśli Vic okaże się szpiegiem czy coś takiego.

– On nie jest szpiegiem. A gdyby nawet, praca George’a nie byłaby zagrożona.

– Ty tak myślisz. Mój mąż, Nick, on... mniejsza z tym. Ale nigdy nie wiadomo, co zrobią.

Kelnerka w końcu postawiła przed nimi dania i Poole natychmiast pożałował, że nie wziął kanapki.

– Wiem, że stek Salisbury to nic wielkiego, ale jest lepszy, niż wygląda – powiedziała Debbie. –

I poza tym nie wiecie, jaką przyjemność sprawia jedzenie tego, co ugotuje ktoś inny. Więc nawet jeśli wszyscy jesteście tajnymi agentami czy kimś takim... dzięki!

Stek smakował odrobinę lepiej, niż wyglądał.

– Nie wiedzieliście, że Vic i Manny Dengler chodzili do tej samej klasy w Rufus King?

– To była dla nas niespodzianka – powiedział Poole. – W książce telefonicznej figuruje nazwisko Dengler, Muffin Street. To jego rodzice?

– Sądzę, że jego mama nadal tam mieszka. Była naprawdę cichą kobietą. Nigdy nigdzie nie chodzi. – Kęs steku, łyk Sea Breeze. – Nigdy tego nie robiła. Nie wychodziła nawet wtedy, gdy stary wygłaszał kazania.

– Ojciec Denglera był kaznodzieją? – zapytał Underhill. – Z kongregacją i kościołem?

– Oczywiście, że nie – odparła, zerkając na Maggie, jakby Maggie już o tym wiedziała. – Tata Denglera był rzeźnikiem. – Jeszcze jedno spojrzenie na Maggie. – Smaczna ta kanapka?

– Mniam – wymruczała Maggie. – Pan Dengler był kaznodzieją-rzeźnikiem?

– Był jednym z tych szalonych kaznodziejów. Czasami odprawiał małe nabożeństwa w sklepie mięsnym obok swojego domu, ale wiele razy po prostu wychodził na ulicę i krzyczał. Manny musiał mu towarzyszyć. Mogło być zimno jak teraz, a oni stali na rogu, stary wrzeszczał o grzechu i diable, a Manny śpiewał i podsuwał kapelusz.

– Jak nazywał się jego kościół? – zapytała Maggie.

– Kościół Mesjasza. – Uśmiechnęła się. – Nigdy nie słyszeliście śpiewu Manny’ego? Śpiewał... Mesjasza. No, nie całość, ale tata kazał mu śpiewać fragmenty.

– „Wszyscy jesteśmy jak owce” – zacytowała Maggie.

– Zgadza się. Widzicie? Wszyscy mieli go za pojeba. – Szeroko otworzyła oczy. – Przepraszam!

– Kiedyś słyszałem, jak cytował Mesjasza – powiedział Poole. – Victor też słyszał i zakpił z niego.

– To do niego podobne.

– „Mąż boleści, oswojony z cierpieniem” – powiedział Underhill. – Potem Szpitalny powtórzył to dwa razy i dodał: „Mąż boleści, oswojony z kutafonami”.

Debbie Tusa w milczeniu podniosła szklankę.

– A Dengler powiedział: „Cokolwiek się zdarzyło, to było dawno temu”.

– Ale o co chodzi z tym mężem boleści, oswojonym z cierpieniem? – zapytał Poole.

– Cóż, mieli sporo problemów – powiedziała Debbie. – Denglerowie mieli sporo problemów. – Spojrzała na swój talerz. – Chyba skończyłam. Zauważyliście, że po obfitym lunchu nie ma się ochoty robić zakupów na kolację?

– Nigdy nie mam ochoty robić zakupów na kolację – wyznała Maggie.

– Jak sądzicie, gdzie jest teraz Vic? Wy chyba nie myślicie, że nie żyje, no nie?

– Mielśmy nadzieję, że od ciebie dowiemy się, gdzie on jest – powiedział Poole.

Debbie się roześmiała.

– Chciałabym, żeby widział mnie teraz mój były. Pieprz się, Nicky, gdziekolwiek jesteś. Dostałeś, na co zasłużyłeś, gdy wysłali twojego koszmarnego starego do Waupun. Czy ktoś chce zmienić zdanie w sprawie drinka?

Nikt nie chciał.

– Chcecie usłyszeć najgorsze? Absolutnie najgorsze? Mówiłam, że jego sklep mięsny był przy domu na Muffin Street? Chcecie zgadnąć, jak się nazywał?

– Sklep mięsny Krew Baranka – powiedziała Maggie.

– Jej! Blisko. Jakież inne pomysły?

– Baranek Boży – powiedział Poole. – Sklep mięsny Baranek Boży.

– Sklep mięsny Baranek Boży Denglera – powiedziała Debbie. – Skąd wiedziałaś?

– Mesjasz. „Oto Baranek Boży, który gładzi grzechy świata”.

– „Wszyscyśmy pobłądzili jak owce” – dodała Maggie.

– Mój mąż na pewno. – Posłała Poole’owi ponury uśmiešek. – Chyba stary Vic też, prawda? Poole poprosił o rachunek. Debbie Tusa wyjęła z torebki puderniczkę i przejrzała się w lusterku.

– Słyszałaś, żeby Vic lub ktokolwiek inny śpiewał coś w stylu rip-a-rip-a-rip-a-lo albo pompo, pompo, polo, polo...?

Debbie spojrzała na niego znad puderniczki.

– To piosenka o różowych słońcach? Naprawdę muszę wracać do domu. Macie ochotę wstąpić do mnie?

Poole odparł, że mają inne spotkania. Debbie włożyła płaszcz, uściślała każde z nich i powiedziała Maggie, że jest tak urocza, że nic dziwnego, że ma szczęście. Pokiwała ręką na pożegnanie spod drzwi restauracji.

– Jeśli nie ma nic pilnego do roboty, mógłbym wrócić do hotelu i popracować nad kilkoma notatkami – powiedział Underhill.

Maggie zasugerowała, żeby spróbowali zadzwonić do matki Denglera.

3

– Powiedziałem, że chcemy tylko z nią porozmawiać – powiedział Poole.

Skręcając w Muffin Street, długą na dwa nędzne kwartały, z szynkiem Stara Chata na jednym końcu i Do Góry i na Dół na drugim. Połowę budynków zajmowały małe firmy; w połowie z nich okna były

zabite deskami, a szyldy spłowiwały w rozmyte plamy. Dom pod numerem 55, łuszczący się, z małym gankiem od frontu, jak dom Szpitalnych, ale tak brudny, że wyglądał jak udrapowany pajęczynami, opierał się o mniejszy budynek z płytą sklejkę w miejscu, gdzie kiedyś było okno. Wielebny Dengler otworzył sklep mięsny Baranek Boży dwie przecznice od najbliższej ulicy handlowej, wskutek czego, podobnie jak niedaleki warsztat naprawy telewizorów i sklep z ubraniami Irmy, po cichu wypadł z interesu.

– Ładny – stwierdziła Maggie, wysiadając z samochodu. – Bardzo romantyczny.

Musieli przedzierać się przez śnieg. Plug oczyścił Muffin Street, ale niewiele chodników zostało odśnieżonych. Gdy wchodzili na ganek, stopnie ugiwały się i skarzyły. Drzwi frontowe otworzyły się, zanim Poole zdążył nacisnąć dzwonek.

– Dzień dobry, pani Dengler – powiedział Tim.

Błada siwowłosa kobieta w niebieskiej wełnianej sukni spoglądała przez szparę w drzwiach, mrużąc oczy z powodu zimna i blasku świeżego śniegu. Jej głowę pokrywały upudrowane ciasne loczki.

– Pani Dengler? – zapytał Poole.

Skinęła głową. Miała kanciastą i zamkniętą twarz, białą jak papierowy kubek. Jedynym kolorem był niemal przezroczysty błękit szeroko rozstawionych oczu, dziwnych na ludzkiej twarzy jak oczy psa i lekko powiększonych przez szkła okrągłych staromodnych okularów.

– Jestem Helga Dengler – powiedziała głosem, który nie szczędził starań, żeby brzmieć uprzejmie. Poole przez chwilę myślał, że słyszy głos swojej żony. – Lepiej wyjdźcie z zimna. – Odsunęła się nie więcej niż o dwa lub trzy cale, i gdy Poole przeciskał się obok niej, zobaczył, że białe drobinki pudru w jej włosach osypały się na białą skórę głowy.

– To pan dzwonił? Doktor Poole?

– Tak i...

– Kto to jest? Nie wspomniał pan o niej.

– Maggie Lah. Jest naszą bliską przyjaciółką.

Przyjrzały mu się dziwne blade psie oczy. Poole poczuł bliski, wilgotny, stęchły zapach, gdy tylko drzwi się zamknęły. Pani Dengler miała zadarty i bardzo szeroki nos, z trzema głębokimi fałdami tuż pod mostkiem staromodnych okularów. Jej wargi praktycznie nie istniały, miała za to bardzo grubą szyję. Jej ramiona również były grube, mocne i trwale nachylone do przodu.

– Jestem tylko starą samotną kobietą, to wszystko. Zaraz, zaraz. Tak. Proszę dalej. – Wskazała im wieszak na płaszcz i stanęła, pocierając dłońmi szerokie ramiona. W mroku korytarza jej duża kwadratowa twarz wyglądała, jakby się jarzyła, jakby przyciągała do siebie całe światło domu.

Spojrzenie bladych oczu przeniosło się z Poole'a na Maggie, na Underhilla i z powrotem do Maggie. Helge Dengler odczuwała aurę bezkształtnego ciężaru, jakby ważyła znacznie więcej, niż na to wyglądała.

– Więc – odezwała się.

Za jej plecami wznosiły się schody, ledwie sugestia drewnianej poręczy i słupków balustrady w mroku. Podłoga była lekko zapiaszczona. Z uchylonych drzwi w głębi korytarza sączył się nikły blask.

– Bardzo uprzejmie z pani strony, że zgodziła się pani nas przyjąć, pani Dengler – powiedział Poole. Maggie i Tim Underhill powiedzieli mniej więcej to samo, słowa splątały się w powietrzu i ucichły.

Jakby ich słowa docierały do niej z opóźnieniem, przez chwilę tylko na nich patrzyła. A potem:

– Cóż, *Biblia* mówi nam, byśmy byli uprzejmi, prawda? Znalście mojego syna?

– Był wspaniałym człowiekiem – pośpieszył z odpowiedzią Poole.

– Kochaliśmy pani syna – powiedział w tym samym momencie Underhill i ich zdania również się spłotyły.

– Cóż.

Poole pomyślał, że mógłby zajrzeć w jej oczy do samego dna i zobaczyćby tylko jasnyniebieski kolor dzinsów pranych tysiące razy. Później wpadło mu do głowy, że to ona narzuca im tę dziwną niezręczność: chce, żeby tak się czuli.

– Manny starał się być grzecznym chłopcem – powiedziała. – Wymagał przyuczenia, jak wszyscy chłopcy.

Poole znów odniósł wrażenie, że coś mu umyka, sekunda, która albo wpadła w głąb Helgi Dengler, albo zupełnie wypadła ze świata.

– Będziecie chcieli usiąść – podjęła. – Sądzę, że chcecie przejść do salonu. Tędy. Widzicie, jestem zajęta. Stara kobieta, która mieszka sama, musi być zajęta.

– Czy w czymś przeszkodziłszy? – zapytał Poole.

Skrzywiła usta w twardym uśmiechu i skinęła na nich, by poszli za nią korytarzem.

Pod ozdobnym abażurem płonąła słaba żarówka. Jedna listwa grzejnika elektrycznego świeciła na czerwono w kącie zagraconego pokoju. Tutaj zapach stęchlizny był mniej zauważalny. Zdawało się, że meble błyszczą i falują. Fioletowe tygrysie oczy połyskiwały na małych półkach i na stole przy wyświechtanej pluszowej kanapie.

– Możecie tam usiąść, kiedyś należała do mojej matki.

Falująca poświata była odbitym światłem spływającym po sztywnych plastikowych pokrowcach, które poskrzypywały, gdy siadali na kanapie.

Poole spojrzął z ukosa na tygrysie oczy na okrągłym stole i zobaczył, że to szklane kulki, każda pęknięta wewnątrz w taki sposób, że chwytała żółte światło. Było ich kilkadziesiąt, ułożonych na kawałku czarnego materiału.

– To moja praca – wyjaśniła kobieta.

Stała pośrodku pokoju. Na ścianie za nią wisiała oprawiona w ramki fotografia umundurowanego mężczyzny, który w panującym półmroku wyglądał na przywódcę skautów. Inne zdjęcia, ze skłębionymi szczeniakami i kotkami zaplątanymi w przędzę, wisiały w przypadkowych miejscach na ścianach.

– Możecie mieć swoje zdanie, a ja będę miała swoje – podjęła pani Dengler. Zrobiła pół kroku do przodu, jej oczy wyglądały, jakby puchły za okrągłymi soczewkami. – Każdy ma prawo do własnego zdania, tak im w kółko powtarzaliśmy.

– Słucham? – powiedział Michael. Underhill uśmiechał się, albo do pani Dengler, albo do ledwo widocznych za nią zdjęć. – Mówiła pani... pani praca?

Wyraźnie się odprężyła i znowu cofnęła.

– Moje kiście winogron. Patrzył pan.

– Aha. – Poole zobaczył, że przyklejone do czarnej tkaniny fioletowe kulki tworzą kształt kiści winogron. – Bardzo ładne.

– Wszyscy zawsze tak uważali. Kiedy mój mąż miał swój kościół, niektórzy członkowie kongregacji kupowali moje kiście. Wszyscy zawsze mówili, że są piękne. Sposób, w jaki łapią światło.

– Piękne – dodał Poole.

– Jak je pani robi? – zapytała Maggie.

Tym razem jej uśmiech wydawał się szczery, niemal delikatny, jakby wiedziała, że czerpie nieskromną dozę dumy ze swoich kiści winogron.

– Sama mogłabyś to zrobić – powiedziała i w końcu usiadła na pufie. – Na patelni. Zawsze używam oleju „Wesson”. Użyjesz masła, będzie pyskać. I palić się. Mój mąż do wszystkiego używał masła, ale widzicie, lubił mięso. Użyjesz oleju „Wesson”, dziewczynko, a twoje kulki zawsze będą pękać, jak trzeba. Nikt tego nie pojmuje, szczególnie w dzisiejszych czasach. Trzeba robić wszystko dobrze.

– Więc smaży pani kulki.

– Cóż... tak. Używasz patelni i oleju „Wesson”. I małego ognia. Dzięki temu pękają w ten sam sposób. Na tym polega sztuka. Wszystkie wychodzą akuratnie. Następnie zdejmujesz je z patelni i przez sekundę lub dwie polewasz zimną wodą, a po ostygnięciu przyklejasz do swojej formy. Kropka kleju, to wszystko. A potem masz swoją kiść, piękną rzecz na całą wieczność. – Uśmiechnęła się do Maggie i całe światło skupiło się na ciężkim, grubym środku jej twarzy. – Na... całą... wieczność. Jak Słowo Boże. Na każdą trzeba dwadzieścia cztery kulki. Żeby wyglądało, jak trzeba, i realistycznie. Dobrze. Pod pewnymi względami są lepsze niż prawdziwe.

– Wszystkie kulki są jednakowe.

– Dokładnie takie same. To część piękna. Z chłopcami, wiesz, możesz próbować i próbować. Możesz robić, co chcesz, ale oni będą się opierać. – Jej twarz na chwilę się zamknęła i środek jakby ściemniał. – Nic w życiu nie wychodzi zgodnie z oczekiwaniami, nawet chrześcijanom. Jesteś chrześcijanką, prawda, dziewczynko?

Maggie zamrugnęła.

– Tak, oczywiście.

– Ci mężczyźni udają, ale mnie nie zwiodą. Czuję od nich zapach piwa. Chrześcijanin nie pije piwa. Mój Karl nigdy nie tknął ani kropli alkoholu, podobnie jak mój Manny. Przynajmniej dopóki nie uciekł do wojska. – Spojrzała na Poole'a, jakby uważała go za osobiście odpowiedzialnego za ten błąd jej syna. – I nigdy nie zadawał się ze złymi kobietami. Wbiliśmy mu to do głowy. Był dobrym chłopcem, tak dobrym, jakim tylko mogliśmy go uczynić, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego pochodzenie. – Obrzuciła Poole'a kolejnym ponurym spojrzeniem, jakby znała to wszystko z własnego doświadczenia. – Kazaliśmy temu chłopcu pracować i pracował do dnia, kiedy zabrała go armia. Szkoła to szkoła, mówiliśmy, ale praca to życie. Praca rzeźnika pochodzi od Boga, ale to człowiek wymyślił naukę i czytanie innych książek poza jedną.

– Czy był szczęśliwy jako dziecko? – zapytał Poole.

– Diabeł martwi się o szczęście – odrzekła, a na jej twarzy i w oczach znów zajaśniał dziwny błask. – Myślisz, że Karl myślał o takich rzeczach? Myślisz, że ja myślałam? Takie pytania zadawali inni. A teraz coś mi powiedz, doktorze Poole, a ja będę liczyć na ciebie, że powiesz mi prawdę. Czy ten chłopak pił alkohol w wojsku? I czy zadawał się z kobietami? Bo z twojej odpowiedzi dowiem się, jakim był człowiekiem i jakim jesteś ty. Złe kulki źle pękają, tyle wiem. Zła kulka rozpada się w ogniu na kawałki. Jedną z nich była matka. Powiedz mi, odpowiedz na moje pytanie albo wyjdź z tego domu. Wpuściłam cię, nie jesteś policjantem ani sędzią. Moje zdanie jest tak samo dobre jak twoje, o ile nie dużo lepsze.

– Oczywiście. I nie, chyba nie pamiętam, żeby pani syn kiedykolwiek tknął alkohol. I pozostał... powiedziałaby pani, że żył w czystości.

– Dobrze. Tak. Tyle wiem. Manny pozostał czysty. Nazwałabym to życiem w czystości – dodała, z lodowatym podmuchem z oczu prosto w serce Poole'a.

Poole zastanawiał się, skąd mogła to wiedzieć, zanim jej powiedział, i jeśli wiedziała, to dlaczego zapytała.

– Chcielibyśmy pani powiedzieć kilka rzeczy o synu... – Jego słowa zabrzmiały niezręcznie, źle dobrane.

– Mów dalej – zachęciła go i ponownie użyła swojej szczególnej siły psychicznej, żeby zmienić siebie i atmosferę w pomieszczeniu. Zdawało się, że niesłyszalnie westchnęła: zarówno jej tegie ciało, jak i powietrze stały się cięższe, jakby wypełnione nudnym, niczego niespodziewającym się czekaniem. – Chcesz opowiedzieć swoją historię, więc mów.

– Czy przerwaliśmy pani pracę, pani Dengler? – zapytała Maggie.

Błysk satysfakcji.

– Wyłączyłam kuchenkę. To może poczekać. Jesteście tutaj. Wiecie, co myślę? Szkoliliśmy go bardziej, niż szkoliła większość. Niektórzy nie doceniali tego, co robiliśmy. Nie wiercie w to, co mówią. Muffin Street to świat jak wiele innych. Muffin Street jest prawdziwa. Śmiało, mów.

– Pani Dengler... – zaczął Tim. – Pani syn był wspaniałym człowiekiem. Pod ostrzałem zachował się jak bohater, a co więcej, był pełen współczucia i miał bogatą wyobraźnię...

– Myślisz opacznie – przerwała mu. – Tak. Opacznie. Bogata wyobraźnia? Chodzi ci o to, że zmyślał. Czy nie jest to część pierwotnego problemu? Czy doszłoby do procesu, gdyby nie zmyślał?

– Nigdy nie negocjowałem zasadności postawienia go przed sądem wojennym, ale nie sądzę, że można by go winić za zmyślanie.

– Wyobraźnię należy hamować. Mówisz o wyobraźni. Trzeba ją rugować. Tyle wiem. I Karl wiedział o tym aż do dnia, w którym odszedł. – Odwróciła się, niemal podniecona, żeby spojrzeć na rzędy identycznych kiści, z każdym winogronem mającym w środku identyczny błysk światła. – Dobrze. Dalej. Chcecie tego. Przebyliście szmat drogi, żeby to zrobić.

Underhill opowiadała o Smoczej Dolinie; z początku obojętnie słuchała historii, które ułagodziły George'a Szpitalny'ego, a później jakby w przygnębieniu. Różowy kolor wkraść się w biel jej twarzy: spojrziała w oczy Poole'a i zobaczył, że przyczyną rumieńca jest nie cierpienie, a gniew.

To tyle, jeśli chodzi o bogów snucia opowieści, pomyślał.

– Manny zachował się fantastyczne i zakpił ze swojego oficera – powtórzyła zakończenie opowieści. – Zachowanie nigdy nie powinno być fantastyczne, a oficera powinien szanować.

– Cała sytuacja była trochę fantastyczna – powiedział Underhill.

– Tak mówią ludzie, kiedy próbują się usprawiedliwić. Gdziekolwiek był chłopiec, powinien zachowywać się tak, jakby był na Muffin Street. Duma jest grzechem. Zostałby przez nas ukarany.

Poole czuł złość i smutek Tima, chociaż między nimi siedziała Maggie Lah.

– Pani Dengler, niedawno pani wspomniała, że Manny był grzecznym chłopcem, zwłaszcza biorąc pod uwagę jego pochodzenie – odezwała się Maggie.

Stara kobieta uniosła głowę jak zwierzę węszące na wietrze. Niewątpliwa przyjemność przeświecała przez jej okągłe okulary.

– Małe dziewczynki potrafią słuchać, prawda?

– Nie chodziło pani o Muffin Street, prawda?

– Manny nie pochodził z Muffin Street.

Maggie czekała na to, co miało nadejść, a Poole zastanawiał się, co to będzie. Mars? Rosja? Niebo?

– Manny pochodził z rynsztoka – powiedziała pani Dengler. – Wyciągnęliśmy tego chłopca z rynsztoka i daliśmy mu dom. Daliśmy mu nazwisko. Daliśmy mu naszą religię. Nakarmiliśmy go i ubraliśmy. Czy to brzmi jak praca złych ludzi? Myślicie, że źli ludzie zrobiliby to wszystko dla porzuconego małego chłopca?

– Adoptowaliście go? – Underhill opierał się o sztywny plastik, uważnie patrząc na Helgę Dengler.

– Adoptowaliśmy to biedne porzucone dziecko i daliśmy mu nowe życie. Myślicie, że jego matka mogła mieć moją karnację? Jesteście takimi głupcami? Karl też był blondynem, zanim posiwiiał. Karl był aniołem bożym ze swoimi żółtymi włosami i rozwianą brodą! Tak! Pokażę wam.

Niemal skoczyła na równe nogi, spojrzała na nich swoimi prześwieltonymi oczami i wyszła z pokoju. To było jak groteskowa parodia ich wieczoru ze Spitalnymi.

– Czy kiedykolwiek wspominał, że został adoptowany? – zapytał Poole.

Underhill pokręcił głową.

– Manuel Orosco Dengler – powiedziała Maggie. – Musieliście wiedzieć, że coś jest na rzeczy.

– Nigdy go tak nie nazywaliśmy – zaznaczył Poole.

Pani Dengler otworzyła drzwi, wpuszczając zapach wilgotnego drewna. Trzymała w dłoni stary album w oprawie ze sprasowanej tektury wykończonyj w taki sposób, żeby przypominała skórę. Rogi i krawędzie były postrzępione, przez co ukazywały szare skraje wewnętrznych warstw. Podeszła skwapliwie, z otwartymi ustami, jak pokrzywdzony oskarżony do sędziego.

– Teraz widzicie mojego Karla. – Otworzyła album na pierwszej stronie i obróciła go ku nim.

Fotografia zajmowała prawie całą stronę. Mogła zostać zrobiona sto lat wcześniej. W aparat wpatrywał się wysoki mężczyzna z prostymi jasnymi włosami, opadającymi poniżej uszu, i jasną niesforną brodą. Był chudy, ale barczysty, ubrany w ciemny garnitur, który wisiał na nim jak worek. Wyglądał na zdeterminowanego, znękanego, pełnego emocji. Religijność tego człowieka unosiła się na fotografii jak para. Czy jego żony patrzyły wskroś ciebie na inny świat, odrzucając wszystko, co było pomiędzy, on zaś spoglądał prosto w piekło i skazywał cię na nie.

– Karl był mężem bożym – kontynuowała Helga. – Widać to wyraźnie. Został wybrany. Mój Karl nie był leniwym człowiekiem. To też możecie zobaczyć. Nie był miękki. Nigdy nie uchylał się od obowiązków, nawet gdy obowiązkiem było stanie na rogu ulicy, gdy temperatura spadała do minus dwudziestu stopni. Słowo Boże nie chciało czekać na ładną pogodę i potrzebowało twardego, oddanego człowieka, żeby je głosił, i był nim mój Karl. Więc potrzebowaliśmy pomocy. Pewnego dnia będziemy starzy. Ale nie wiedzieliśmy, co nas spotka! – Posapywała, wybałuszając oczy za okrągłymi szklami.

Poole znowu czuł, że jej ciało nabiera gęstości, wciągając w siebie całe powietrze w pokoju, a wraz z nim wszystko, co kiedykolwiek było lub kiedykolwiek będzie słuszne czy moralne, pozostawiając ich na zawsze w błędzie.

– Kim byli jego rodzice? – Poole usłyszał pytanie Underhilla i wiedział, że kobieta źle je zrozumie.

– Dobrymi ludźmi. Kto mógłby mieć takiego syna? Silni ludzie. Ojciec Karla też był rzeźnikiem, nauczył go fachu, a Karl nauczył fachu Manny'ego, żeby Manny mógł dla nas pracować, podczas gdy my wykonywaliśmy pracę dla Pana. Podnieśliśmy go z rynsztoka i daliśmy mu życie wieczne. Miał dla nas pracować i być podporą naszej starości.

– Rozumiem – powiedział Underhill, pochylając się lekko, żeby spojrzeć na Michaela. – Chcielibyśmy także dowiedzieć się czegoś o rodzicach pani syna.

Pani Dengler zamknęła album ze zdjęciami i położyła go na kolanach. Trochę zapachu pleśni uwolniło się z tektury i przez chwilę wirowała wokół nich stęchlizna.

– Nie miał rodziców. – Patrzyła na nich, uosobienie samozadowolenia. – Nie prawdziwych ludzi, takich jak Karl i ja. Manny był nieslubnym dzieckiem. Jego matka Rosita kupczyła swoim ciałem. Jedna z tych kobiet. Urodziła dziecko w Szpitalu Góra Synaj i porzuciła je tam, po prostu poszła sobie jak gdyby nigdy nic. Dziecko miało infekcję wirusową i mało nie umarło. Wiele dzieci umierało, ale on? Mój mąż i ja modliliśmy się za niego, i nie umarł. Rosita Orosco zmarła kilka tygodni później. Pobita na śmierć. Myślicie, że zabił ją ojciec chłopca? Manny był Latynosem tylko ze strony matki, tak zawsze myśleliśmy z Karlem. Więc rozumiecie, o co mi chodzi. Nie miał ani matki, ani ojca.

– Czy ojciec Manny'ego był jednym z klientów jego matki? – zapytał Underhill.

– Nie zastanawialiśmy się nad tym.

– Ale powiedziała pani, że według was ojciec nie był Latynosem.

– Cóż. – Helga Dengler poruszyła się na stołku i jej oczy zmieniły pogodę w pokoju. – Miał dobrą stronę do zrównoważenia tej złej.

– Jak doszło do tego, że go adoptowaliście?

– Karl usłyszał o biednym dziecku.

– Jak? Zwróciliście się do agencji adopcyjnych?

– Oczywiście, że nie. Myślę, że ta kobieta przyszła do niego. Rosita Orosco. Posługa religijna mojego męża sprowadzała do nas wielu biednych, nieszczęśliwych ludzi, błagających o zbawienie duszy.

– Widziała pani Rositę Orosco na nabożeństwach?

Postawiła stopy na podłodze i spojrzała na niego. Zdawało się, że oddycha przez skórę. Nikt się nie odzywał przez nieznośnie długi czas.

– Nie chciałem pani obrazić, pani Dengler – powiedział w końcu Underhill.

– Na naszych nabożeństwach bywali biali ludzie – zaczęła niskim, powolnym, równym głosem. – Czasami katolicy. Ale zawsze byli dobrymi ludźmi. Nawet Polaki. Mogą być tak samo dobrzy jak wszyscy inni.

– Rozumiem. Nigdy nie widziała pani matki Manny’ego na waszych nabożeństwach.

– Manny nie miał matki – oznajmiła tym samym niespiesznym, monotonnym głosem. – Nie miał matki ani ojca.

Underhill zapytał, czy policja aresztowała osobę, która pobiła Rositę Orosco na śmierć.

Bardzo powoli pokręciła głową, jak dziecko, które przysięga, że nigdy nie wyjawia tajemnicy.

– Nikogo nie obchodziło, kto to zrobił. Ta kobieta była, jaka była, i koniec. Ktokolwiek to zrobił, mógł pójść do Pana. On jest wiecznym sądem sprawiedliwym.

Z halucynacyjną wyrazistością Poole przypomniał sobie salę tortur w Ogrodach Tygrysiego Balsamu, zniekształcone półludzkie postacie klęczące przed władczym sędzią.

– A więc nigdy go nie znaleźli.

– Nie przypominam sobie niczego takiego.

– Pani męża nie interesowała ta sprawa?

– Oczywiście, że nie. Przecież zrobiliśmy już wszystko, co mogliśmy.

Zamknęła oczy, a Poole zmienił kierunek przesłuchania.

– Kiedy zmarł pani mąż, pani Dengler?

Jej oczy otworzyły się i błysnęły.

– Mój mąż zmarł w sześćdziesiątym roku.

– I w tym samym roku zlikwidowała pani sklep mięsny i kościół?

Dziwne, onieśmielające światło znów pojawiło się na jej twarzy.

– Nieco wcześniej. Manny był za młody na rzeźnika.

„Nie widziałś go?” – chciał zapytać Poole. „Nie widziałeś, jakim był dla ciebie darem, bez względu na pochodzenie?”

– Manny nie miał kolegów – podjęła, jakby słyszała jego myśli. Wewnętrzne ucho Poole’a wyłapało emocje, które wzbierały w jej głosie, ale dopiero w następnym zdaniu zidentyfikował je jako dumę. – Miał zbyt wiele pracy, podążając za Karlem. Dawaliśmy mu zajęcie, dzieci muszą mieć zadania. Tak. Zadania. Bo dzięki temu się uczą. Kiedy Karl był mały, też nie miał kolegów. Trzymałam Manny’ego z dala od innych chłopców i wychowywałam w sposób, który, jak wiedzieliśmy, był słuszny. A kiedy był niegrzeczny, robiliśmy to, co mówi Pismo. – Uniosła głowę i spojrzała na Maggie. – Musieliśmy wybić z niego jego matkę. Cóż. Tak. Wiesz, mogliśmy zmienić mu imię. Mogliśmy dać mu dobre niemieckie imię. Ale musiał wiedzieć, że jest w połowie Manuełą Orosco, nawet jeśli druga połowa mogła zostać Denglerem. A Manuela Orosco trzeba było poskromić i trzymać w ryzach. Bez względu na ludzkie gadanie. Robisz to z miłości i dlatego, że musisz. Pokażę wam, jak to działało. Spójrzcie.

Przerzucała kartki albumu, wpatrując się w zdjęcia z zaabsorbowaną, roztargnioną miną. Poole chciałby zobaczyć wszystkie fotografie. Z miejsca, w którym siedział, wydawało mu się, że dostrzega ogniska i wielkie flagi, ale widział tylko rozmyte fragmenty.

– Tak – powiedziała. – Tam. Widzicie. Chłopiec wykonujący męską robotę.

Trzymała wycinek z gazety, który przetrwał pod przezroczystym arkusikiem, jak jej meble pod plastikowymi pokrowcami.

„Milwaukee Journal”, 20 września, napisano atramentem na górze strony. Pod fotografią widniał wydrukowany podpis: „chłopak rzeźnika: Mały ośmioletni Manny Dengler pomaga w sklepie taty na Muffin Street. Sam rozbiera jelenia! Uważa się, że to rekord”.

I tam, pomiędzy napisami, zajmujące pół strony w starym albumie, znajdowało się zdjęcie małego czarnowłosego chłopca zwróconego w stronę aparatu. Chłopiec miał na sobie zakrwawiony fartuch, tak duży, że został nim okręcony dwa razy i wyglądał jak kielbasa we flaku. W uniesionej prawej ręce przymocowanej do chudego kanciastego ramienia ośmiolatka tkwił potężny tasak. Najwyraźniej fotograf kazał mu go trzymać, bo narzędzie było za duże i dla jego ręki, i do wykonania leżącego przed nim zadania. Zadaniem była odgłowiona tusza jelenia, odarta ze skóry i starannie podzielona na części: łopatki, smukła pełna wdzięku klatka piersiowa, zakrzywione boki, szeroki wilgotny zad jak u kobiety. Twarz małego chłopca należała do Denglera i miała przenikliwy wyraz, w którym mieszały się słodycz i zwątpienie.

– Mógłby być dobry – powiedziała jego matka. – Oto dowód. Najmłodszy chłopiec w stanie Wisconsin, który sam rozbraja jelenia. – Jej twarz przez chwilę migotała i Poole zastanawiał się, czy

przeżywa smutek, czy tylko go sobie przypomina. Poczul się wewnątrznie wypalony: jakby połykał ogień.

– Gdyby pozwolili mu zostać w domu, zamiast zabierać go, żeby był z wami i walczył z... – Tu wybuch lodu skierowany w Maggie. – Gdyby nie to, mógłby teraz pracować w sklepie, a ja miałabym starość, na jaką zasłużyłam. Zamiast tego mam egzystencję nędzarki. Rząd go ukradł. Czy oni nie wiedzieli, dlaczego w ogóle go wzięliśmy?

Teraz jej pogarda obejmowała ich wszystkich. Zatrzasnęła powieki, kolory wystąpiły na jej policzki i zniknęły jak złudzenie optyczne.

– Po tym, co mówili – szepnęła prawie do siebie. – To piękna część. Po tym, co mówili, to oni go zabili.

– Co mówili? – zapytał Poole.

Teraz jego zamroziła wybuchem z oczu.

Poole wstał i stwierdził, że drżą mu kolana.

Ogień, który połknął, wciąż płonął mu w gardle.

Zanim zdążył się odezwać, Underhill zapytał, czy mogą zobaczyć pokój chłopca.

Stara kobieta wstała.

– Ukradli go – powiedziała, wciąż wpatrując się w Maggie. – Wszyscy o nas kłamali.

– Wojsko kłamało, kiedy Manny został powołany? – zapytał Poole.

Jej spojrzenie przeniosło się na niego, pełne pogardy i światła.

– Nie chodziło tylko o wojsko.

– Pokój Manny’ego? – zapytał Underhill w dziwnym mrozie, jaki stworzyła wokół siebie kobieta.

– Oczywiście – odrzekła z prawdziwym uśmiechem. – Zobaczycie. Nikt inny go nie widział. Tędy.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Poole wyobraził sobie pająki uciekające w zakamarki swoich sieci, szcury czmychające do nor, gdy zbliżały się jej kroki.

– Idziemy na górę.

Prowadziła ich korytarzem ku schodom. Tu zapach pleśni i butwiejącego drewna był znacznie silniejszy. Każdy stopień skrzypiał. Wokół główek gwoździ, którymi było przybite linoleum, rozlały się brązowe nieregularne plamy rdzy.

– Miał własny pokój, miał wszystko, co najlepsze. Obok naszego pokoju. Mogliśmy umieścić go w piwnicy albo na zapleczu sklepu. Ale miejsce dziecka jest blisko rodziców. Wiem jedno: miejsce dziecka jest blisko rodziców. Rozumiecie. Jabłko blisko jabłoni. Karl mógł zobaczyć chłopca w każdej chwili. Każde zdrowe dziecko musi być zarówno karane, jak i chwalone.

Dach zwęzał górny korytarz do przejścia, w którym Poole i Underhill musieli schylić głowy. Na końcu wąskiego korytarza szare od kurzu i zacieków okno wychodziło na zaśnieszonę linie telefoniczne. Pani Dengler otworzyła drugie z dwojga drewnianych drzwi.

– To pokój Manny’ego – powiedziała i gdy weszli, stanęła tuż za progiem jak przewodnik muzealny.

Jakby weszli do szafy. Pokój miał może osiem na dziesięć stóp, znacznie ciemniejszy niż reszta domu. Poole sięgnął do włącznika, ale światło się nie zapaliło. Zobaczył kabel z pustą oprawką zwisający z sufitu. Okno było zabite grubymi deskami i wyglądało jak prostokątna drewniana skrzynka. Przez szaloną sekundę Poole myślał, że matka Denglera zatrzęsnie drzwi i zamknie ich w pozbawionej okien komorze – wtedy naprawdę znajdą się w dzieciństwie Denglera. Ale Helga Dengler stała przy otwartych drzwiach, patrząc w dół z zaciśniętymi ustami, obojętna na to, co widzieli i myśleli.

Pokój niewiele się zmienił, odkąd Dengler go opuścił. Było tam wąskie łóżko przykryte kocem z demobilu. Pod ścianą stało dziecięce biurko, obok regał z kilkoma książkami. Poole nachylił się nad nimi i chrząknął ze zdziwienia. *Babar* i *Król Babar* w czerwonych okładkach, zupełnie takie same jak książki w bagażniku jego samochodu. Maggie podeszła i też je zobaczyła.

– Och!

– Nie powstrzymaliśmy chłopca przed czytaniem, nie sądzę – powiedziała pani Dengler.

Półki były probierzem jego lektur – od *Baśni braci Grimm* i *Babara* po Roberta Heinleina i Isaaca Asimova. *Tomek Sawyer* i *Przygody Hucka Finna*. Obok tych książek stał samochodzik bez dwóch kółek i większości farby. Książki o skamielinach, ptakach i wężach. Kilka traktatów religijnych i kieszonkowa *Biblia*.

– Spędzał tu całe dnie, kiedy miał nasze pozwolenie – dodała stara kobieta. – Był leniwy. Albo byłby, gdybyśmy na to pozwolili.

Mały pokój wydawał się nieznośnie klaustrofobiczny. Poole żałował, że nie może objąć chłopca, który uciekał do tego pozbawionego okien pokoju, i powiedzieć mu, że nie jest zły, nie jest leniwy, nie jest przeklęty.

– Mój syn też kochał Babara – powiedział.

– Nie ma substytutu Pisma Świętego. Co łatwo można stwierdzić po tym, skąd te się wzięły. – W odpowiedzi na spojrzenie Poole’a wyjaśniła: – Od jego matki. Kupiła te książki o słońcach. Bardziej prawdopodobne jest to, że je ukradła. Jakby dziecko mogło kiedykolwiek przeczytać taką dużą książkę. Miała je przy sobie w szpitalu i zostawiła z dzieckiem. Wyrzucił je, powtarzałam, to śmieci śmieci śmieci, tak jak ona, ale Karl powiedział: „Nie, niech chłopiec ma coś po swojej naturalnej matce”. „Wynaturzonej matce”, poprawiłam, i że kwas szybko zepsuje słodycz, ale Karl się uparł i na tym stało. Takie same książki zniknęły z kościelnej skrzynki na dary, ale były to inne egzemplarze, Karl poznał.

Poole zastanawiał się, czy ona naprawdę przygarnęła dziecko, czy też widziała fioletową kulkę gotową do wrzucenia na patelnię i przyklejenia w niekończących się powtórkach tego samego wzoru. Wtedy zrozumiała, że kobieta nie wejdzie do pokoju. Chciała wejść i ich stamtąd wyciągnąć, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa, stopy nie przestąpiły progę.

– Chłopiec patrzył i patrzył na te książki. „Niczego w nich nie znajdziesz”, mówiłam mu. „To głupota. Słońce ci nie pomogą”, mówiłam. „To śmieci, a śmieci lądują w rynsztoku”, mówiłam. I wiedział, o czym mówię. Tak. Wiedział.

– Chyba możemy już odejść – powiedział Underhill.

Maggie mruknęła coś, czego Poole nie zrozumiał. Zdał sobie sprawę, że wpatruje się w Helgę Dengler, która stała twarzą do niego, ale patrzyła na scenę widoczną tylko dla niej.

– Był tylko małą kukułką, którą przygarnęliśmy. Wzięliśmy go do naszego gniazda, byliśmy bogobojnymi ludźmi, daliśmy chłopcu to, co mieliśmy, pokój, mnóstwo jedzenia, wszystko, a on to zmarnował. – Cofnęła się, żeby cała trójka mogła wyjść z pokoju jej syna, i spojrzała na nich. – Nie byłam zaskoczona tym, co stało się z Mannym – powiedziała w ostatnim możliwym momencie, jak się wydawało. – On też umarł w rynsztoku, jak jego matka. Karl zawsze był za dobry.

Zeszli po schodach.

– Teraz pójdziecie – powiedziała i przeszła obok nich w kierunku drzwi.

Gdy zapinali płaszcze, korytarzem płynęło chłodne powietrze. Uśmiechnęła się i jej białe policzki drgnęły niczym oprószone mąką płyty.

– Chciałabym dłużej porozmawiać, ale muszę wracać do pracy. Uważajcie na siebie, zapnijcie wszystko na ostatni guzik.

Wyszli na zewnątrz w zimne czyste powietrze.

– Do widzenia – zawołała cicho od drzwi, gdy schodzili po stopniach ganku. – Do widzenia. Tak. Do widzenia.

* * *

Kiedy wrócili do samochodu, Maggie powiedziała, że jest jej niedobrze i chce wrócić do Pforzheimera, żeby się położyć. Michael i Tim mieli spotkać się z przyjacielem Victora Szpitalny’ego w Pepitce.

– Potrzebuję czasu, żeby dojść do siebie.

Poole rozumiał ją.

– A więc tak dorastał Dengler – wymruczał Underhill, gdy jechali na północ zamierzonymi ulicami.

– Kupili go – powiedziała Maggie. – Miał być ich niewolnikiem. Ten biedny mały chłopiec i jego książki o Babarze.

– O co chodziło z tym „oni”? O kłamaniu? Nie wyjaśniła.

– Mam przecucie, że tego pożałuję, ale kiedy odwieziemy Maggie do hotelu, chciałbym, żebyś podrzucił mnie do głównej filii biblioteki Milwaukee – powiedział Underhill. – To pewnie gdzieś w centrum, w miarę blisko naszego hotelu. Chcę sprawdzić coś w tutejszych gazetach. Ta kobieta nie wyjaśniła wielu rzeczy.

* * *

Piętnaście minut przed spotkaniem Poole wjechał na zatłoczony parking przy Pepitce. Pomyślał, że długi, niski budynek ze spadzistym dachem powinien być porośnięty bluszczem i stać w niemieckim lesie, a nie przy stromej, żwirowej uliczce prowadzącej w ciemność Doliny. Szum pojazdów spływał z długiego mostu, którym wczoraj jechali we trójkę do domu Szpitalny’ego. Niżej w powietrzu nieruchomo wisiały ołowiane chmury, solidnie jak pancerniki, i jaskrawoczerwone płomienie kołysały się na szczytach kolumn. W małych bocznych oknach szynku jarzyły się neonowe znaki piwa.

Poole pchnął drzwi i wszedł do długiego mglistego wnętrza. Spowiły go dym papierosowy i głośna rockowa muzyka. Mężczyźni w roboczych koszulach i czapkach stali w dwóch rzędach przy barze. Jasnowłosa kelnerka w obcisłych dżinsach i puchowej kamizelce niosła na tacy dzbany piwa i miski popcornu. Pod ścianami ciągnęły się boksy, w większości puste. Podłogę zaścielały trociny, popcorn, lupiny orzeszków ziemnych. Polka Dot był barem dla robotników, nie purytańska sąsiedzką gospodą ze zbyt dużą ilością światła i izawej muzyki. Większość mężczyzn w wieku Poole'a z pewnością była w Wietnamie – tu nie było odroczenia z powodu studiów. Po kilku minutach w Polka Dot Poole poczuł się swobodniej niż w jakimkolwiek innym miejscu podczas pobytu na Środkowym Zachodzie.

Udało mu się wcisnąć w wolne miejsce na końcu baru.

– Pforzheimer – poprosił. – Mam się tu spotkać z Mackiem Simroe. Już przyszedł?

– Jeszcze trochę za wcześniej na Macka – powiadomił go barman. – Siądź w boksie, powiem mu, że tu jesteś.

Zajął miejsce i usiadł twarzą do drzwi. Po piętnastu minutach wszedł ogromny brodac w podartej kurtce i kapeluszu wojskowym. Zaczął lustrować boksy i Poole od razu wiedział, że to Mack Simroe. Wielkolud odnalazł go wzrokiem i obdarzył szerokim zębatym uśmiechem. Poole wstał. Sympatyczna twarz kroczącego w jego stronę postawnego mężczyzny wyrażała zaciekawienie i otwartość na wszystko. Simroe uściśnął jego dłoń i powiedział:

– Doktor Poole, jak się domyślam. Weźmy dzbanek, ułatwimy życie Jenny, a poza tym piwo z kija jest lepsze...

Siedzieli w boksie naprzeciwko siebie, z dzbanem piwa i miską popcornu. Po wizycie w domu Denglera Michael był szczególnie wrażliwy na zapachy i od Macka Simroe płynęło coś, co musiało być nierozcieńczonym oddechem Doliny: woń oleju maszynowego i wiórow metalowych. Z pewnością był to zapach jednej z tych łożowanych chmur zmrożonego dymu. Simroe pracował jako monter w firmie Dux, która produkowała łożyska kulkowe i części do silników, i zwykle wstępował tu pod koniec dnia.

– Zwalitás mnie z nóg, pytając o Vica Spitalny'ego i tak dalej – powiedział Simroe. – Przypomniałś o mnóstwie rzeczy.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, by o tym pogadać.

– Hej, i tak bym tu przyszedł. Z kim jeszcze rozmawiałeś?

– Z jego rodzicami.

– Odezwał się do nich?

Poole pokręcił głową.

– George'owi odbiło, kiedy Vic wpędził się w kłopoty. Zaczął pić, także w robocie, jak słyszałem. Wszczywał bójki. Glax wysłał go na miesięczny urlop i chyba wtedy odkrył George'a Wallace'a w całej jego chwale. Zaczął jakoś dla niego działać i dzięki temu wrócił do normy. Nie wolno przy nim powiedzieć złego słowa o Wallasie. Z kim jeszcze rozmawiałeś? Debbie Madzik? Jak się teraz nazywa, Tusa?

– Tak.

– Miły dzieciak. Zawsze ją lubiłem.

– Victora też?

Simroe pochylił się. Jego napęczniałe ramiona i wielka głowa wypełniły pole widzenia Poole'a.

– Wiesz, nie mogę przestać się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi. Nie mam nic przeciwko rozmowie z tobą, kolego, ani trochę, ale najpierw chciałbym poznać tło. Służyłeś w tej samej jednostce co Vic?

– Od początku do końca.

– Smocza Dolina? Ia Thuc?

– Na każdym kroku.

– I jesteś teraz cywilem?

– Jestem lekarzem. Lekarz dziecięcy spod Nowego Jorku.

– Lekarz dziecięcy. – Simroe uśmiechnął się. Spodobało mu się to. – Nie gliniarz, nie FBI, nie wywiad ani żandarmeria wojskowa, nie cholerne CIA, nie nic.

– Nie nic.

Simroe wciąż się uśmiechał.

– Ale coś jest, prawda? Myślisz, że ten facet żyje. Chcesz go znaleźć.

– Chcę go znaleźć.

– Musi ci być dłużny cholernie dużo forsy albo coś o nim słyszałeś... coś złego. W coś się wmieszał i chcesz go powstrzymać.

– Mniej więcej – przyznał Poole.

– Więc jednak Vic żyje. Niech mnie diabli!

– Większość ludzi, którzy zdezerterowali, wciąż żyje. Właśnie dlatego zdezerterowali.

– Fakt – powiedział Simroe. – Nikt, kto poszedł na wojnę, nie wrócił dokładnie taki sam. Wydaje ci się, że wiesz, jak daleko zajdą pewni ludzie... a może nie wiesz. Może nigdy tego nie wiesz. – Wypił ogromną porcję piwa jednym haustem. – Opowiem ci, jak poznałem Vica. W Rufus King pozowałem na członka gangu motocyklowego. Miałem dużego harleya, buty z cholewami, paskudne tatuaże... wciąż je mam, ale ostatnio ukrywam... i starałem się być twardzielem. Nie wiedziałem, co innego robić. Nigdy nie byłem prawdziwym zakapiorem, po prostu lubiłem jeździć na tym wielkim starym motorze. Tak czy inaczej, Vic zaczął kręcić się koło mnie. Uważał, że bycie motocyklistą jest fajne jak cholera. Nie mogłem się go pozbyć i po jakimś czasie przestałem próbować.

Poole pomyślał o Spacemakerze Ortedze, jedynym prawdziwym kumplu Vica w Wietnamie i przywódcy Devilfuckers – Szpitalny przeniósł swoje uczucia do Macka Simroe na Ortege.

– A potem trochę go polubiłem. Doszedłem do przekonania, że to biedny szczył, trochę głupi, jego stary ciągle daje mu w kość... Starałem się mu doradzać. „Musisz zadbać o siebie, mały dupku”, powtarzałem. Nawet próbowałem go namówić, żeby odpuścił Manny’emu Denglerowi, bo chłopak miał poważne problemy, to znaczy generalnie miał przesrane. To znaczy kiedyś martwiłem się o tego gnojka!

– Dziś po południu widziałem się z jego matką.

Simroe pokręcił kudłatą głową.

– Nigdy nie poznałem tej pani. Ale stary, Karl... człowieku, to był ktoś. Wystawał na rogach, każdego ranka, każdego wieczoru, i wrzeszczał do swojego małego mikrofonu... Mały Manny co sił w płucach śpiewał jakieś piosenki, hymny czy coś, i puszczał w obieg kapelusz. A stary trzepał go po głowie na ulicy. To był show, człowieku, prawdziwy show. W każdym razie zaraz po tym, jak rzuciłem szkołę, Vic zrobił to samo. Namawiałem go, żeby wrócił, ale po prostu nie chciał. Wiedziałem, że nie mam szans zobaczyć świata poza Doliną, więc chciałem iść w kamasze, zostać bohaterem z M-16, zrobić swoje. Rozumiesz. I byłęś tam, wiesz, co się działo. Widziałem dobrych facetów rozwalanych bez żadnego powodu. Nieźle mnie to rozpieprzyło.

Simroe służył w kompanii Bravo, czwarty batalion, 31 pułk piechoty, i przez rok walczył w sięgającym pięćdziesięciu stopni upale w dolinie Hiep Due, gdzie został dwukrotnie ranny.

– Miałeś jakiś kontakt z Vikiem, gdy tam byliście?

– Tylko parę listów. Mielśmy się spotkać, ale nie wyszło.

– Napisał do ciebie po tym, jak zdezerterował?

– Wiedziałem, że o to spytasz. I powinienem ci wylać piwo na głowę, doktorze, bo przecież już mówiłem, że nie miałem od niego żadnych wiadomości. Chyba po prostu odciął się od wszystkich.

– Jak myślisz, co się z nim stało?

Simroe suwał szklanką w kałuży na mokrym stole. Spojrzała na Poole’a, jakby chciał potwierdzić swoją ocenę, po czym znów wbił wzrok w szklankę.

– Pewnie mógłbym spytać o to samo. Ale powiem ci, co myślę, doktorze. Myślę, że przeżył jakiś miesiąc, góra. Myślę, że skończyła mu się forsa i spróbował wziąć udział w jakiejś akcji, i ktokolwiek z nim był, zabił go. Bo mniej więcej taki był Vic Szpitalny. Dobry, żeby wszystko schrzanić. Nie sądzę, żeby przetrwał sześć tygodni, będąc zdany wyłącznie na siebie. Przynajmniej tak mi się wydawało, dopóki się nie zjawileś.

– Myślisz, że zabił Denglera?

– Nie ma mowy – odparł Simroe, patrząc na niego ostro. – A ty?

– Obawiam się, że tak – powiedział Poole.

Simroe zawałał się i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale wtedy przy barze wybuchł zgiełk i obaj mężczyźni odwrócili się, sprawdzając, co go spowodowało. Grupa dwudziesto-, trzydziestolatków otaczała starszego mężczyznę o kędzierzawych włosach i pulchnej błogiej twarzy wiejskiego głupka.

– Kaczan! – krzyczeli. – Dawaj, Kaczan!

– Patrz – powiedział Simroe.

Młodszy mężczyźni krążyli wokół Kaczana, trącali go w ramię, szepotali mu do ucha. Poole poczuł gorzki, znajomy zapach... Prochu? Napalmu? Ani jedno, ani drugie, ale był to zapach z tamtego świata. „Kaczan”, mówili, „śmiało, skurwielu”.

Ten zwany Kaczanem uśmiechnął się i schylił głowę, zadowolony, że jest w centrum zainteresowania. Wyglądał jak woźny, sprzątac w Glaxie, Duxie albo Fluegelhorn Brothers. Jego skóra miała dziwny szarawy odcień, a w kędziornach tkwiło coś, co wyglądało jak strużyny ołówka. Dawaj, skurwielu. Kaczan! Zrób to!

– Są tu faceci, którzy twierdzą, że kiedyś widzieli, jak Kaczan wznosił się półtorej stopy nad podłogę i po prostu wisiał tak sobie przez trzydzieści, czterdzieści sekund – powiedział Simroe, pochylając się nad stołem.

Poole spojrział na niego z powątpiewaniem i nagle usłyszał głośny metaliczny dźwięk przypominający serię strzałów z gaźnika albo karabinu maszynowego, BRRRRAAAAPPPP!, i wcale nie brzmiało to jak dźwięk z ludzkiego gardła. Zdążył zobaczyć, jak długi na ponad cztery stopy płomień w kształcie torpedy wystrzeliwuje w kierunku środka baru i znika. Prochowo-napalnowy zapach stał się znacznie silniejszy, po czym się rozproszył.

– Oczyszczasz powietrze, prawda? – powiedział Simroe.

Młodzi mężczyźni walili Kaczana po plecach, wręczając mu banknoty. Kaczan zatoczył się, ale nie upadł. Jeden z mężczyzn włożył mu do ręki szklanke piwa, a on wlał ją do gardła jak do studni.

– To sztuczka Kaczana – wyjaśnił Simroe. – Potrafi robić to dwa, może trzy razy w ciągu nocy. Nie pytaj jak. Jego też nie pytaj. Nie powie ci. Nie może, nie ma języka. Wiesz, co myślę? Myślę, że biedny drań napełnia usta płynem do zapalniczek, zanim tu wejdzie, i czeka, aż ktoś poprosi go o sztuczke.

– Ale czy widziałeś, jak zapala zapalke?

– Nigdy. – Simroe mrugnął do Michaela, po czym dolał piwa. – Inny facet tutaj zje szklanke, jak się wystarczająco zaprawi. – Napił się. – Mówiłeś, że poznałeś matkę Denglera? Wspomniała, że stary Karl poszedł do pierdła?

Poole zrobił wielkie oczy.

– Więc raczej nie wspomniała. Aresztowali go, gdy byliśmy w pierwszej klasie ogólniaka. Pracownica socjalna przyszła sprawdzić, co się dzieje z dzieciakiem, i znalazła go w chłodni w sklepie mięsnym, niezłe poobijanego. Stary obszedł się z nim brutalniej niż zwykle i zamknął go tam, żeby nie płatał mu się pod nogami, dopóki nie ochłonie. Zadzwoiła na policję, a chłopak wszystko im opowiedział.

– To znaczy co?

I Mack Simroe mu powiedział.

– Ojciec, stary Karl, cóż... znącał się nad nim. Lał go parę razy w tygodniu, począwszy od piątego czy szóstego roku życia. Groził, że obetnie mu ptaka, jak przyłapie go na zabawie z dziewczynami. Manny musiał stanąć przed sądem i zeznawać przeciwko staremu. Sędzia wlepił Karlowi dwadzieścia lat, ale odsiedział tylko kilka, bo ktoś go ukatrupił. Pewnie dobierał się do niewłaściwego dzieciaka.

Po tym, co mówili, przypominał sobie Poole. Wszyscy o nas kłamali.

I: Dawaliśmy chłopcu zajęcie.

I: Trzeba było trzymać go w ryzach. Bez względu na ludzkie gadanie.

I: Nieco wcześniej zamknęliśmy sklep mięsny.

Michael zobaczył, jak twarz Denglera świeci na niego, plotąc bzdury o Dolinie Cienia Śmierci.

Powiedziała: Nie wiedzieliśmy, co nas spotka.

I: Wyobraźnię należy hamować. Trzeba ją rugować.

Zignorował lub źle zinterpretował wszystkie te wypowiedzi. Przy barze mężczyzna zwany Kaczanem wykrzykiwał w uśmiechu obwisłe usta, patrząc nieskupionym wzrokiem, jego skóra miała kolor pośredni między jasnym fioletem a szarością opiłków żelaza. Po tym, co mówili. Gdyby człowiek potrafił unosić się w powietrze i wisieć tam przez trzydzieści minut, tak właśnie by wyglądał. Lewitacja odciśka swoje piętno. Każde sobie drogo płacić. Nie wspominając już o cenie za zianie ogniem.

Zmyślał. Czy to nie jest część pierwotnego problemu?

Właśnie to lewitacja naprawdę zrobiła staremu Kaczanowi, pomyślał Poole. Jeden z młodych mężczyzn dotknął ramion Kaczana i obrócił go, żeby mógł zobaczyć kilka szklanek – Poole nie widział ile, sześć, osiem, dziesięć – ustawionych na barze na jego cześć. Kaczan zaczął wlewać ich zawartość do ust w sposób, który przywiódł mu na myśl dzikie zwierzę pożerające coś, co zabiło.

– Przypuszczam, że to dla ciebie nowość, prawda? – powiedział Simroe. – Manny Dengler przez rok nie chodził do szkoły, a kiedy wrócił, musiał powtarzać pierwszą klasę. Oczywiście był traktowany jeszcze gorzej niż wcześniej.

Poole przypominał sobie: Uspokój się, Vic. Cokolwiek się wydarzyło...

– To było dawno temu – powiedział, kończąc zdanie.

– Tak, ale powiem ci, co mnie dobija. Został adoptowany przez tych ludzi. Każdy widział, że Karl Dengler jest obłąkany, a mimo to pozwolili im go zabrać. I nawet po tym, jak prawda wyszła na jaw i Karl trafił do Waupun, gdzie jakiś chłystek prawie oderznął mu głowę nożem samoróbką, Manny nadal mieszkał w tym domu na Muffin Street. Z tą starszą panią.

– Zaczął chodzić do szkoły... – Poole nie odrywał wzroku od Kaczana.

– Tak.

– I co wieczór wracał do domu.

– Zamykał za sobą drzwi, ale kto wie, co się za nimi działo? – powiedział Simroe. – O czym z nim rozmawiała? Myślę, że musiał być cholernie szczęśliwy, kiedy w końcu dostał powołanie.

Tego samego Tim Underhill dowiedział się w ciągu dwóch godzin spędzonych w bibliotece, gdy przeglądał mikrofilmy dwóch gazet Milwaukee. Przeczytał o procesie i skazaniu Karla Denglera oraz o morderstwie w więzieniu stanowym. „Pastor przestępczości seksualnej” – tak brzmiały podpisy pod zdjęciami Karla Denglera o szalonych oczach. „Pastor przestępczości seksualnej i jego żona przybywają na dziesiąty dzień procesu”: Karl Dengler w szarym filcowym kapeluszu spogląda w dal, a młodsza, szczuplejsza Helga Dengler z grubymi blond warkoczami oplecionymi wokół głowy rozsada aparat fotograficzny na kawałki płaskim spojrzeniem bladych oczu. Było też zdjęcie domu przy Muffin Street, z pustym gankiem i opuszczonymi roletami. Sklep mięsny Baranek Boży Denglera już wyglądał na opuszczony. W ciągu następnych dni dzieci wyłukły szyby ceglami. Kilka dni później, o czym świadczyło zdjęcie w „Sentinelu”, miasto zabiło okno deskami.

pracownica socjalna błaga o umieszczenie dziecka w rodzinie zastępczej, informował podtytuł z ostatniego dnia procesu – czterdziestoczeroletnia panna Phyllis Green, kobieta, która znalazła chłopca w chłodni, posiniaczonego, na wpół przytomnego, z ulubioną książką w rękach, zwróciła się do sądu o znalezienie nowego domu dla Manuela Orosco Denglera. „Rzecznik” pani Dengler „energicznie sprzeciwił się” tej prośbie, twierdząc, że rodzina Denglerów doświadczyła już wystarczająco dużo bólu. wniosek o zapewnienie opieki zastępczej odrzucono, ogłoszono w dzienniku tydzień po werdykcie: na odrębną rozprawie sędzia zdecydował, że chłopiec musi „jak najszybciej wrócić do normalnego życia” i do szkoły pierwszego dnia nowego semestru. Drugi sędzia radził Heldze i Manuelowi „zapomnieć o tej niefortunnej sprawie” i „zająć się życiem”. Nadszedł „czas uzdrawiania”. Oboje opuścili sąd, pojedechali autobusem na South Side i Muffin Street, i zamknęli za sobą drzwi.

Wszyscy o nas kłamali.

Timothy Underhill dowiedział się tego wszystkiego i jeszcze jednego: ojcem Manuela Orosco Denglera był ojciec Manuela Orosco Denglera.

– Karl Dengler był jego prawdziwym ojcem? – zdumiał się Poole.

O wpół do ósmej wieczorem jechał z Underhillem z powrotem do Pforzheimera. Na Wisconsin Avenue oświetlone witryny domów towarowych przemykały jak muzealne dioramy – kochankowie na huśtawce na werandzie, sztywni mężczyźni w luźnych krzykliwych swetrach i czapkach Perry’ego Como na zielonym polu golfowym.

– Kim była jego matka? – zapytał chwilowo zdezorientowany.

– Rosita Orosco, jak powiedziała Helga Dengler. Rosita dała mu na imię Manuel i porzuciła go w szpitalu. Ale w formularzach przyjęcia jako ojca wpisała Karla Denglera. I on nigdy tego nie zakwestionował, bo jego nazwisko figuruje w metryce Denglera.

– Metryki są w bibliotece?

– Poszedłem do archiwum. Coś w końcu mnie tknęło: Denglerowie adoptowali to porzucone dziecko bez żadnych długich formalności. Nikaraguanka, prostytutka, przychodzi na oddział porodowy z ulicy, rodzi dziecko i znika, a piętnaście dni później Denglerowie adoptują dziecko. Myślę, że wszystko zostało wcześniej zaaranżowane.

Underhill zatarł ręce, siedząc z uniesionymi kolanami w małym samochodzie.

– Założę się, że Rosita powiedziała Karlowi, że jest w ciąży, a on ją zapewnił, że adoptuje dziecko, zgodnie z prawem i jawnie. Może nawet obiecał, że się z nią ożeni! Nigdy się tego nie dowiemy. Może nawet Rosita nie była prostytutką. W szpitalnym formularzu wpisała, że jest krawcową. Może zawędrowała do kościoła czy świątyni Baranka Bożego, czy jak to tam nazywał Karl, gdy nie handlował tam mięsem, i może ją sobie upatrzył i namówił na prywatne nabożeństwa. Bo nie chciał, żeby widziała ją żona.

Ryknęły klaksony i Poole zdał sobie sprawę, że światła się zmieniły. Przemknął przez skrzyżowanie, zanim strzałka zgasała, i wyhamował przed wejściem do hotelu.

Przeszli przez gęste sztuczne światło pod markizą do szklanych drzwi, które otworzyły się przed nimi z szumem. Spośród roju pytań, które przelatywały mu przez głowę, Poole wybrał tylko to najbardziej bezzpośrednie.

– Czy Helga wiedziała, że Karl jest ojcem jej syna?

– To jest w akcie urodzenia.

Weszli do holu i recepcjonista skinął do nich głową. W holu było niemal rozkosznie ciepło, a duże obwisłe paprocie tryskały zdrowiem i energią, jakby były gotowe wyslizgnąć się z doniczek i zjadać małe zwierzęta.

– Chociaż sędzę, że nie chciała wiedzieć – kontynuował Underhill. – I to wpędziło ją w jeszcze większy obłęd. Dengler był żywym dowodem zdrady jej męża, i to z kobietą, która należała do rasy uważanej przez nią za gorszą.

Weszli do windy.

– Gdzie znaleziono ciało Rosity? – spytał Poole, naciskając przycisk czwartego piętra.

– Nad rzeką Milwaukee, przecnicę lub dwie na południe od Wisconsin Avenue. W środku zimy, mniej więcej o tej porze. Była naga, miała złamany kark. Policja założyła, że zabił ją klient.

– Dwa tygodnie po urodzeniu dziecka?

– Pewnie uznali, że była zdesperowana – powiedział Underhill. Winda zatrzymała się, drzwi otworzyły się ze szcękaniem. – Nie sędzę, żeby ich obchodziło, co się stało z jakąś meksykańską prostytutką.

– Nikaraguańską – poprawił Poole.

5

Musieli opowiedzieć to wszystko Maggie, która zapytała:

– Jaka jest w tym rola ksiązek o Babarze?

– Wygląda na to, że Karl Dengler po prostu wyjął je ze skrzynki na dary, czy jak tam to nazywali, w swoim sklepie, i dał Rosicie. Pewnie poprosiła go o coś dla dziecka, a on wziął pierwsze, co mu wpadło w oko.

Namalowane psy stały na straży krwawej zwierzyny, a dumni grubi mężczyźni patrzyli na nich, jakby byli niezmiernie zadowoleni, że zostali zamrożeni w czasie.

– I Dengler trzymał je aż do powołania.

– *Babar* jest opowieścią o spokojnym świecie – powiedział Poole. – Przypuszczam, że właśnie to w nim kochał.

– Nie aż tak spokojnym – zaznaczyła Maggie. – Na pierwszych stronach matka Babara ginie od kuli myśliwego. Nic dziwnego, że wasz przyjaciel Dengler zachował te książki.

– To prawda? – Underhill wyprostował się ze zdziwienia.

– Oczywiście. I jest coś więcej. Pod koniec *Króla Babara* latające słonie zwane Odwaga, Cierpliwość, Nauka, nie wiem jak jeszcze... Radość i Inteligencja, odpędzają złe stworzenia, Głupotę, Gniew, Strach i wiele innych niegodziwych rzeczy. Nie sądzicie, że to wiele dla niego znaczyło? Ponieważ z tego, co o nim słyszałam, zdołał dokonać tego w swoim życiu, odpędził wszystkie straszne rzeczy, które mu się przytrafiły. I jest jeszcze coś, chociaż nie wiem, co o tym pomyślicie. Kiedy byłam dzieckiem, uwielbiałam ilustrację przedstawiającą niektórych mieszkańców miasta słoni. Doktor Capoulosse, szwec Tapitor i rzeźbiarz Podular, rolnik Poutifour, Hatchibombotar, duży silny zamiatacz ulic... i kłauu o imieniu Coco.

– Koko? – zapytał Underhill.

– Inaczej pisane. C-o-c-o.

Coś zaświtało, niemal widoczne w powietrzu między nimi.

Poole rozłożył ręce.

– Jedyną naprawdę ważną rzeczą, jakiej się tutaj dowiedzieliśmy, jest to, że Szpitalny znalazł Denglera jeszcze z ogólniaka. Nie jesteśmy ani o krok bliżej odnalezienia go. Sędzę, że powinniśmy wrócić do Nowego Jorku. Najwyższy czas, abyśmy przestali spełniać zachcianki Harry'ego Beevera i powiedzieli temu detektywowi Murphy'emu wszystko, co wiemy. Policja może go zatrzymać. My nie.

Spojrzał prosto na Maggie.

– Pora zająć się innymi sprawami.

Skinęła głową.

– W takim razie wracamy do Nowego Jorku. – Poole usłyszał głos Underhilla. Albo nie mógł, albo nie chciał oderwać wzroku od Maggie Lah. – Tęsknię za Vinhem. Tęsknię za poranną pracą i za tym, jak wtyka głowę do mojej kanciapy i pyta, czy chcę jeszcze filiżankę herbaty.

Poole odwrócił się i uśmiechnął do Tima, który patrzył na niego chytrze, stukając ołówkiem w przednie zęby.

– Cóż, ktoś musi zadbać o Vinha. Biedaczysko się zapracowuje.

– A więc zamierzasz usatkwować się i założyć rodzinę – powiedziała Maggie.

– Coś w tym stylu.

– Prowadź regularne, umiarkowane życie.

– Mam książkę do napisania. Myślałem, żeby zadzwonić do starego Fenwicka Thronga i powiedzieć mu, że zmartwychwstałem. Słyszałem, że Geoffreya Penmaidena nie ma już w Gladstone House, więc może nawet będę mógł wrócić do moich starych wydawców.

– Naprawdę wysłałeś mu gówno w pudełku? – zapytał Poole. – Tina powiedziała mi...

– Gdybyś go znał, zrozumiałbyś. Był bardzo podobny do Harry'ego Beevers'a.

– Mój bohaterze! – Poole sięgnął po telefon i zarezerwował bilety na najbliższy lot do Nowego Jorku, jutro rano o dziesiątej trzydziestej. Odłożył słuchawkę i spojrzał na Maggie.

– O czym myślisz? – zapytała go.

– Czy powinienem teraz zadzwonić do Harry'ego.

– Jasne.

Dodzwonił się do automatycznej sekretarki Beevers'a.

– Harry, to ja, Michael – powiedział. – Wracamy jutro, będziemy na La Guardii około drugiej, linie Republic. Brak tropów, chociaż dowiedzieliśmy się paru rzeczy. Myślę, że pora pójść na policję ze wszystkim, co wiemy. Pogadam z tobą, zanim cokolwiek zrobię, ale Tim i ja mamy zamiar iść do Murphy'ego.

Potem zadzwonił do Conora do domu Ellen Woyzak i powiedział mu, o której godzinie przylatują. Ellen przejęła słuchawkę i zapewniła, że będzie z Conorem na lotnisku.

W markotnym nastroju jedli kolację w hotelowej jadalni. Maggie i Poole dzielili się butelką wina, a Underhill pił wodę sodową. W połowie posiłku oznajmił, że właśnie zdał sobie sprawę, że obchodzi swego rodzaju rocznicę – jest trzeźwy od nieco ponad dwóch lat. Wzniesli za niego toast, ale poza tym byli tak przygaszeni, że Michael obawiał się, że zarazili ich swoim nastrojem. Underhill trochę opowiedział o książce, którą zaczął w Bangkoku po detoksie i po napisaniu *Niebieskiej róży i Drzewa jałowca* – coś o dziecku zmuszonym mieszkać w drewnianej szopie za domem, i o tym samym dziecku dwadzieścia lat później – ale Poole czuł się pusty i samotny, odcięty od życia jak astronauta w kosmosie. Zazdrościł Timowi Underhillowi jego zajęcia. Underhill nie mógł się doczekać, żeby pisać: kontynuował swoją pracę w samolocie, rankami i wieczorem w ich pokoju. Poole zawsze wyobrażał sobie, że pisarze potrzebują izolacji, ale wydawało się, że Underhillowi w zupełności wystarczają same notesy i ołówki „Blackwing” – okazało się, że należały do Tiny Puma. Tina zawsze miała obsesję na punkcie przyborów do pisania i w restauracji wciąż było mnóstwo ołówków. Maggie dała Underhillowi cztery pudełka, a on obiecał, że dokończy nimi swoją książkę. Są szybkie, powiedział. Z tymi ołówkami można szybkować. Już szybkował, daleko wewnątrz siebie, unosząc się na dywanie słów, które niecierpliwie chciał zapisać.

Gdy wracali windą na górę, Poole zdecydował, że gdy tylko wejdzie do pokoju, pozwoli Underhillowi żeglować na skrzydłach wyobraźni i ołówków Blackwing, a sam położy się do łóżka z *Ambasadorami*. Strether właśnie wybrał się na krótką wycieczkę z Paryża na francuski wieś i cieszył się tym, co Henry James nazywał „ogólną życzliwością dnia”. W tej chwili jadł obiad na tarasie z widokiem na rzekę. Wszystko wydawało się piękne, przepyszenie zawieszane. Jazda z Maggie Lah w kabinie wyłożonej orzechową boazerią była bliska stanu przepysznego zawieszenia – to i czytanie książki.

Winda zatrzymała się. Wyszli na szeroki zimny korytarz i skręcili w stronę swoich pokoi. Underhill już miał klucz w ręku – zdawało się, że zapomniał o ich obecności.

Poole czekał za jego plecami, gdy Tim przekręcał klucz. Spodziewał się, że Maggie co najwyżej uśmiechnie się lub skinie głową, wchodząc do swojego pokoju. Minęła ich i zatrzymała się, gdy tylko Underhill otworzył drzwi.

– Dołączysz do mnie na chwilę, Michael? – Jej głos był lekki i przenikliwy; taki głos przenika przez betonową ścianę pomimo swojej miękkości. – Tim dziś nie poświęci ci chwili uwagi.

Poole poklepał Tima po plecach, powiedział, że zobaczą się później, i poszedł za Maggie. Wychylała się z pokoju na jednej nodze, patrząc na niego z tym samym wymuszonym, mocno skupionym uśmiechem, jaki miała dla George'a Szpitalny'ego.

Jej pokój był długim pudełkiem z wielkim oknem od podłogi do sufitu naprzeciwko drzwi.

Ściany miały kolor przyćmionego różu; było tam krzesło, biurko, dwuosobowe łóżko. Poole zobaczył na złożonej koldrze *Śliczną mufkę Kici*.

Maggie rozmieszyła go żartem, który w zasadzie nie był żartem, tylko zdaniem przewróconym na lewą stronę – jakiś dowcip, który błysnął w powietrzu niczym machnięcie mieczem i sprawił, że pomyślał, że powinien zapamiętać ten sposób układania zdań, i zaraz o tym zapomnieli. Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, krzywiąc twarz tak uroczo, że w przeciwieństwie do dowcipnie skonstruowanego zdania natychmiast trafiła do jego pamięci długotrwałej. Nadal mówiła. Usiadła na łóżku, on coś powiedział – ledwie wiedział co. Czuł świeży pieprzowy zapach, który unosił się z jej włosów i ramion.

– Chcę, żebyś mnie pocałował, Michael – powiedziała.

I zrobił to. Jej usta okazały się niezwykle miękkie i szok spotkania z taką przyjazną miękkością przeniknął jego ciało. Krągłe smukłe ręce uniosły się i przyciągnęły jego nachylone ciało, i razem upadli na łóżko. Te usta wydawały się ogromne. Wsunął ręce pod jej plecy i razem wciągnęli się dalej na posłanie.

W końcu z prawdziwą słodyczą odsunęła głowę i uśmiechnęła się. Twarz miała okrągłą jak księżyc. Nigdy nie widział takiej twarzy. Oczy były tak szybkie i żywe, że ich spojrzenie wydawało się defensywne.

– Dobrze – powiedziała. – Już nie wyglądasz smutno. Przy kolacji wyglądałeś żałośnie.

– Wtedy myślałem o powrocie do pokoju i czytaniu Henry’ego Jamesa.

Twarz Maggie znów uniosła się w jego stronę i spiczasty różowy język wsunął się do jego ust. Ubrania jakby spłynęły z ich ciał i przylgnęły do siebie jak łyżki w szufladzie, jak zwyczajni kochankowie w zwyczajnym łóżku. Skóra Maggie była zadziwiająco gładka. Bez porów, z jedwabistym połyskiem. Całe jej ciało rozszerzało się i akceptowało go. Ucałował wnętrze jej dłoni, poprzecinanane tysiącem maleńkich bezcelowych linii. Smakowały solą i miodem. Wsunął twarz głęboko w gładką krzywiznę jej szyi i wdychał ją: czymkolwiek pachniała wcześniej, teraz roztaczała aromat świeżego chleba.

– Och, piękny człowieku – powiedziała.

Wsunął się w ciepły wilgotny otwór w jej ciele i poczuł się jak w domu. Był w domu: Maggie niemal natychmiast poruszyła się wraz z nim i zadrżała w chwili orgazmu, i całe jego ciało poczuło się pobłogosławione. Był w domu. Później leżał oszołomiony, wyczerpany i wdzięczny, spleciony ze śpiącą Maggie. To było jak podróż: jak podróż do miejsca, które było nie tylko wsią, ale też ucieleśnieniem pobytu na wsi. Maggie Lah, flaga jej własnego narodu, skarb i klucz do skarbu. Szczęście Michaela gładko przeszło w sen.

Koniec poszukiwań

1

Ledwie mógł usiedzieć spokojnie, przekonany, że dzisiaj wszystko się rozstrzygnie, że ten dzień zdecyduje o reszcie jego życia. Wciąż patrzył na telefon, mówiąc mu, żeby zadzwonił: teraz. Zerwał się z fotela przed oknem, podszedł do aparatu i dotknął słuchawki opuszkami palców: gdyby w tym momencie zadzwonił, mógłby odebrać niemal przed sygnałem.

Wczoraj telefon zadzwonił, a gdy odebrał, wcale nie myśląc albo głupio myśląc o czymś innym, jak zwykle, gdy dzieją się naprawdę ważne rzeczy, przywitał się i czekał. Jego mózg na sekundę jakby się zawiesił, podczas gdy rozmówca się wahał, i po paru sekundach poczuł, że się koncentruje: wszystkie nerwy się zbudziły, ponieważ osoba po drugiej stronie wciąż nic nie mówiła, i tą osobą był Koko. Boże, co za chwila. Czuł wahanie Koko, jego potrzebę, żeby z nim porozmawiać, i strach powstrzymujący go od mówienia. To było jak moment, w którym czujesz mocne szarpnięcie żyłki i wiesz, że w dole coś dużego podejmuje decyzję. „Chcę z tobą porozmawiać” – powiedział Harry i poczuł, że atmosfera jest naładowana podnieceniem i potrzebą. Gdyby coś złego było z jego sercem, w tej chwili pękłoby jak stara opona. A Koko delikatnie, prawie niechętnie odłożył słuchawkę – Harry słyszał potrzebę i żal, bo w takich chwilach słyszysz wszystko, w takich chwilach wszystko mówi, i odłożył słuchawkę ze świadomością, że Koko zadzwoni ponownie. Stał się dla niego narkotykiem, któremu nie zdoła się oprzeć.

I okoliczności były idealne. Michael Poole i Tim Underhill, którzy jego zdaniem stali się piątym kołem u wozu, byli bezpieczni na Środkowym Zachodzie, szukając szkolnego rocznika Victora Spitalny'ego czy czegoś w tym rodzaju – a on był tutaj, w centrum, w punkcie zero.

Dzisiaj zaprowadzi Koko w zasadzkę.

Wziął prysznic i ubrał się w luźne wygodne rzeczy – swoje jedyne dżinsy, czarny sweter z golfem, czarne reeboki. Przełożył kajdanki przez pasek i ukrył pod swetrem. Nóż grawitacyjny spoczywał w bocznej kieszeni jak zimne śpiące zwierzątko.

Harry podszedł do telewizora i włączył NBC. Siedział, noga mu podrygiwała. Jane Pauley i Bryant Gumbel uśmiechali się do siebie, opowiadając jakiś żart – za rok będą wymawiać jego imię, uśmiechać się do niego, patrzeć na niego z podziwem i uwielbieniem... Oboje ustąpili miejsca na ekranie ładnej dziewczynie, która czytała lokalne wiadomości. Ciemne brwi, wilgotne pełne usta, ten intensywny seksowny wygląd, intelektualnie seksowny w nowojorski sposób. Harry położył rękę na pachwinie i pochylił się w stronę ekranu, wyobrażając sobie, co powiedziałyby dziewczyna, gdyby wiedziała o nim i znała jego zamiary...

Podszedł do okna i spojrzął w dół na niewolników ekonomicznych opuszczających jego budynek w grupach po dwie i trzy osoby. Jakaś dziewczyna wymknęła się na chodnik i w zimnym wietrze skręciła ku Dziesiątej Alei. Dzwonek, telefon. Dziewczyna szła w kierunku Dziesiątej Alei, skrótowa przez perspektywę, ale wciąż z niezłymi nogami, z niezłym tyłkiem poruszającym się na boki pod płaszczem... Tamta dziewczyna z Channel Four, Jane Hanson, milion facetów marzyło o spotkaniu z kimś takim, ale kiedy to wszystko się skończy, będzie mówić o nim. Niedługo zaproszą go do studia, będzie siedzieć w Rockefeller Center – sztuka nie polegała na tym, żeby wiedzieć, gdzie to jest; sztuka polegała na dostaniu zaproszenia. Ponad światem niewolników ekonomicznych istniał świat przypominający wielkie przyjęcie pełne sławnych ludzi, którzy znają się wzajemnie. Zaproszony bierzesz udział w przyjęciu. W końcu masz rodzinę, na którą zasłużyłeś. Drzwi otwierają się przed tobą, możliwości pojawiają się na twojej drodze – jesteś tam, gdzie twoje miejsce.

Kiedy miał dwadzieścia lat, jego zdjęcie znalazło się na okładce „Time'a” i „Newsweeka”!

Harry wszedł do łazienki i przyglądał włosy przed lustrem.

Zjadł kubek jogurtu wiśniowego i stary duński ser, który znalazł w lodówce. Około dziesiątej trzydzieści, teraz oglądając CNN, schrupał batonik „Mounds” i czekoladowe ciasteczka z zapasu w szufladzie biurka. Miał szaloną ochotę na drinka, ale czuł pogardę dla człowieka, który chciałby się napić przed ważną misją.

Później wrócił do jednej z zwykłych sieci, wyciszył dźwięk i nastawił radio na stację informacyjną. Około wpół do pierwszej zadzwonił do restauracji Big Wok po drugiej stronie Dziesiątej Alei i zamówił do mieszkania makaron sezamowy i podwójnie smażoną wieprzowinę.

Programy zmieniały się jeden po drugim i niewiele się od siebie różniły. Harry prawie nie czuł smaku chińskiego jedzenia w ustach.

O czternastej trzydzieści zerwał się z fotela i włączył automatyczną sekretarkę.

Mijało popołudnie. Nic się nie wydarzyło: dziecko utonęło w rzece Harlem, inne zostało ciężko pobite przez ojczyma, a następnie włożone do pieca i spalone, trzydzieścioro dzieci w Kalifornii twierdziło, że były wykorzystywane seksualnie w przedszkolu – kłamliwe małe sukinkoty, pomyślał, jutro dwadzieścioro innych dzieciaków będzie krzyczało, że nauczyciel wyciągał im siusiaki albo że wyjmował swojego siusiaka. Polowa z nich pewnie chciała, żeby to zrobił, pewnie pytała, czy mogliby się tym pobawić. Małe kalifornijskie dziewczynki, już z makijażem, kolczyki zwisające z przekłutych uszu, ciasne małe tyłeczki w designerskich dzinsach małych dziewczynek...

Trzęsienie ziemi, pożar, katastrofa kolejowa, lawina... Ilu łącznie zginęło? Tysiąc? Dwa tysiące? O wpół do piątej nie mógł już tego znieść, sprawdził, czy sekretarka nadal jest włączona, włożył płaszcz i kapelusz i wyszedł na spacer. Był to prawdziwy dzień końca lutego, z tą wilgocią w powietrzu, która wciska się pod ubranie i przenika do kości. Mimo to czuł się wyzwolony. Niech ten obłąkaniec zadzwoni! Jaki ma wybór?

Harry szedł bardzo szybko w górę Dziewiątej Alei, szedł znacznie szybciej niż ktokolwiek inny na ulicy. Od czasu do czasu zauważał, że ktoś spogląda na niego z niepokojem lub zmartwieniem na niewinnej twarzy, i zdał sobie sprawę, że mówi głośno do siebie.

– Najwyższy czas pogadać. Mamy sobie wiele do powiedzenia. Chcę ci pomóc. To cały sens naszego życia.

– Potrzebujemy siebie nawzajem – powiedział do zaskoczonego mężczyzny, który odprowadzał dziewczynę do taksówki na Ulicy Dwudziestej Ósmej. – Można to nawet nazwać miłością.

Na rogu Ulicy Trzydziestej wpadł do małych delikatesów i kupił marsa. W sztucznym cieple sklepu przez chwilę miał zawroty głowy. Pot spływał mu po czole. Musi być na zewnątrz, musi się ruszać! Pchnął dwie ćwierćdolarówki grubasowi przy kasie i czekał na resztę, z potem dla odmiany spływającym z ciemienia. Grubas zmarszczył brwi – worki pod jego oczami ciemniały i puchły, jakby miały pęknąć – i Harry uświadomił sobie, że przecież zapłacił, ile trzeba, batoniki już nie kosztują dziesięć ani piętnaście centów, czy ile tam myślał – i rzeczywiście wiedział o tym, bo czy nie dał świrowi tyle, ile trzeba? Wyszedł z powrotem w zimne, zdrowe powietrze.

Wybiegłeś z jaskini, powiedział do siebie.

Życiowe przeznaczenie skrzyło się tuż nad jego ramieniem, wyróżniając go jako jednego z tych wyjątkowych, którzy dostali zaproszenie. Z jakiego innego powodu inni ludzie mieliby mu zazdrość i nienawidzić go, usiłując go zatrzymać?

Wybiegłeś z jaskini, żeby nas znaleźć. Od tamtej pory próbowałeś wrócić.

Chciałeś być jej częścią.

Harry czuł, jak pulsuje krew, skóra się rozgrzewa, całe ciało paruje jak u zdrowego młodego ogiera.

Widziałeś, słyszałeś, czułeś ją, i wiedziałeś, że byłeś w centrum swojego życia.

Potrzebujesz mnie, by tam wrócić.

Harry zatrzymał się na rogu Hudson i czegoś tam, zatrąbił na niego samochód, prąd przeniknął go od stóp do głów. Po drugiej stronie ulicy w ciemności jarzył się długi pionowy neon White Horse Tavern. By tam wrócić.

Harry pamiętał, jak prąd przepływał przez jego ciało, gdy stał z bronią wymierzoną w te wszystkie ciche dzieci, które wieśniacy z An Lat musieli później wynieść tylnym wejściem z jaskini. Pamiętał: w fosforyzującym blasku. Ich duże oczy, wyciągnięte ku niemu ręce. I on tam był, dwa razy większy od nich, dorosły amerykański mężczyzna. Wiedząc, co wiedział. Że może zrobić wszystko, naprawdę wszystko, co chce, w tym jednym złotym boskim punkcie swojego życia. Ten wybuchający w nim erotyzm.

Niech ktoś powie, że to było złe – ich tam nie było. Skoro twoje ciało przemówiło tak głośno, czy to mogło być złe?

Czasami człowiek jest błogosławiony, do tego się to sprowadzało. Czasami człowiek dotyka czystej pierwotnej mocy i czuje, że moc przejmuje kontrolę nad całym jego ciałem – czasami, może raz w życiu

wiesz, że całe światy wychodzą z twojego fiuta, ponieważ w tym momencie nic, co zrobiłeś, nie mogło być złe.

Jego życie w końcu zatoczyło pełen krąg. Prawie się roześmiałem, pomyślał Harry i roześmiał się głośno. On i Koko mieli zamiar wrócić tam ponownie, do gorącego centrum ich życia. Kiedy tym razem wyjdzie z jaskini, będzie bohaterem.

Rozradowany zawrócił do mieszkania.

2

Ala o osiemnastej Harry poczuł, że jego energia w końcu zaczyna pożerać samą siebie i zamieniać się w gniew i zwątpienie. Dlaczego siedzi tutaj, w tej zabałaganionej norze, w tych śmiesznych ciuchach Action Mana? Kogo próbuje oszukać? Przecież żył wystarczająco długo, by móc zobaczyć, co stało się z jego najlepszymi, najwspanialszymi momentami, kiedy ich cele zostały zawieszony. Świat zrobił się czarny. Harry wiedział, że nie ma to nic wspólnego z zespołem stresu pourazowego ani z czymkolwiek innym, na co cierpią słabsi, płytsi ludzie. Czerni po prostu była nim, była częścią tego, co zawsze go wyróżniało. W takich chwilach wszystko, czego chciał i potrzebował, i co zamierzał zdobyć, odchodziło w coraz to bardziej niewyraźną przyszłość, i cały jego charakter wydawał się niczym więcej niż fasadą kompetencji i stabilności ponad wirującym chaosem. Kiedyś stanął przed sądem, oskarżony o mordowanie cywilów, i świat był bliski uznać go za szaleńca – coś, co było przepełnione płonąca słusnością, zostało chłodno ocenione jako czyn zbrodniczy. Demony podeszły w owym czasie bardzo blisko, słyszał ich chichot i widział czerwone błyski ślepi, czuł przyniesiony przez nie strach i pustkę.

Demony znały jego sekret.

Jeśli Koko wzywa go z powrotem, to znaczy, że sam świat ma właściwą formę: środek jest środkiem, który jest sekretem, i moc tego, co czuł i zrobił Harry Beevers, opromieniła resztę jego życia i zabrała go tam, gdzie musiał być. Z jakiego innego powodu miałby pojawić się Koko?

Koko pojawił się znowu na świecie, żeby poddać się Harry'emu Beeversowi, pomyślał, pisząc to zdanie w umyśle, gdy bez zainteresowania patrzył, jak mężczyzna z twarzą szarobrazową od makijażu zapowiada pogodę na następne pięć dni.

O dwudziestej drugiej usłyszał radio powtarzające te same wiadomości o trzęsieniu ziemi, powodzi, martwych dzieciach, o katastrofie muskającej planetę niczym wielki czarny ptak, który tu zahaczył pazurami, a tam obalili budynek łopotem skrzydeł, niezauważony, wiecznie w ruchu.

Pół godziny później jedno z wielkich skrzydeł zatrzepotało jakby wprost nad jego głową. Złamał się i postanowił zrobić sobie drinka, tylko jednego, dla ukojenia nerwów. Nalewał wódkę do szklanki, gdy zadzwonił telefon, i trochę płynu wychlusnęło na blat. Wpadł do salonu w chwili, gdy przedstawiał się Michael Poole.

Zostańcie tam jeszcze dwa dni, poprosił Harry w duchu, ale głos Poole'a informował go o jutrzejszym przylocie i podawał godzinę. Później wspomniął o pójściu na policję. Głos Poole'a był poważny, zatroskany i uprzejmy, a w jego kadencjach Harry Beevers słyszał upadek wszystkich swoich planów.

Przed północą zgłodził, ale robiło mu się niedobrze na samą myśl o większej ilości chnińszczyzny. Równie duże obrzydzenie budziła myśl o Michaelu Poole'u i Timie Underhillu, którzy, jak się zdaje, zrezygnowali z seksu, mimo że byli z Maggie Lah – tylko on naprawdę wiedziałby, co robić z taką dziewczyną. To było tak zabawne, że aż bolało. Podeszedł do lodówki, niemal ze złością rozmyślając o Maggie Lah, i znalazł dwa jabłka, kilka marchewek i kawałek sera, który już zaczynał wysychać i twardnieć.

Z urazą rzucił większość tych rzeczy na talerz i zaniósł do salonu. Jeśli nic się nie stanie – jeśli instynkt całkowicie go zawiódł – będzie musiał jechać na lotnisko i spróbuje nałożyć Poole'owi kaganiec. Może uda mu się wysłać go gdzieś na parę dni.

Późno w nocy Harry siedział w ciemności z telefonem i automatyczną sekretarką, sącząc drinka i patrząc na czerwoną lampkę wiadomości na sekretarce. We wpadającym przez okno srebrnym miejskim świetle wszystko wyglądało na zastygłe. Mnóstwo razy czekał w ten sposób w dżungli, bez ruchu, ze światem wokół niego w stanie zawieszona.

Nagle zadzwonił telefon i zamigąło światelko wiadomości. Harry wyciągnął rękę i czekał, aż rozmówca się przedstawi. Taśma włączyła się i w głośniku zasyczała sekunda ciszy. Podniósł słuchawkę i powiedział:

– Jestem.

Dopiero później zrozumiał: słyszał, jak Koko czeka, żeby powiedział coś więcej.

– Porozmawiaj ze mną – dodał.

Z głośniczka automatycznej sekretarki dobiegał syk taśmy.

– Tam i z powrotem, prawda? Ty to napisałeś? Wiem, o co ci chodzi. Wiem, chcesz wrócić do początku.

Wydało mu się, że usłyszał cichy, powolny wdech.

– Oto jak to zrobimy. Chcę, żebyś spotkał się ze mną w pewnym miejscu, bezpiecznym miejscu. Nazywa się Columbus Park, na samym skraju Chinatown. Stamtąd możemy przejść przez ulicę i wejść do budynku Sądu Karnego, gdzie również będziesz bezpieczny. Znam tam ludzi. Ci ludzie mi ufają. Zrobią wszystko, co powiem. Zabiorę cię do prywatnego pokoju. Będziesz mógł usiąść. Wszystko się skończy. Słyszysz mnie?

Sycząca cisza.

– Ale chcę mieć pewność, że ja też będę bezpieczny. Chcę zobaczyć, czy zrobisz to, o co cię proszę. Dlatego chcę, żebyś poszedł do Columbus Park określoną trasą, a ja będę cię obserwować. Chcę, żebyś dokładnie wykonywał moje rozkazy. Chcę zobaczyć, że robisz dokładnie to, czego sobie życzę.

Koko się nie odezwał.

– Jutro po południu za dziesięć trzecia masz zacząć na Bowery, naprzeciwko północnego krańca Confucius Plaza – podjął Harry. – Wejź do pasażu w środku kwartału między Canal a Bayard i przejdź do Elizabeth Street. Skręć w lewo i idź do Bayard Street. Idź na zachód Bayard, aż dojdiesz do Mulberry Street. Po drugiej stronie ulicy jest Columbus Park. Przejdź na drugą stronę i wejź do parku. Idź ścieżką i usiądź na pierwszej ławce. Dokładnie dwie minuty później wejdę do parku od południa i dołączę do ciebie na ławce. Wtedy wszystko się skończy.

Głęboko odetchnął. Czuł, jak cały tors poci mu się pod golfem. Chciał powiedzieć coś jeszcze – coś w rodzaju „obaj musimy to zrobić” – ale z drugiego końca linii dobiegł trzask i zabrzmiał ton wybierania.

Harry długo siedział w ciemności. W końcu zapalił lampę biurkową i zadzwonił do Dziesiątego Komisariatu. Nie podając nazwiska, zostawił dla porucznika Murphy'ego wiadomość, że Timothy Underhill przyleci na lotnisko La Guardia lotem Republic z Milwaukee jutro o drugiej po południu.

Tej nocy przez długi czas leżał bezsennie w łóżku, niezainteresowany snaniem.

3

Zbrodnia i śmierć otaczały słońca, zbrodnia i śmierć były atmosferą, w której się poruszała, były powietrzem wciągającym do płuc przez długą szarą trąbę. I Koko wiedział jedno: chociaż poruszasz się po mieście, dżungla patrzy na ciebie, obserwuje twój każdy krok. Nie ma innej dżungli poza tą, która rośnie pod chodnikami, za oknami, po drugiej stronie drzwi. Ptaki krzyczą w ruchu ulicznym.

Gdyby mógł dostać się do tamtej starszej pani na West End Avenue, ubrałaby go w piękne ubrania i obłaskawiła, uspokajając jego serce. Ale Portier Pilophage odprawił go, a wściekle bestie warczały i pokazywały zęby, i jego serce nie zostało ukojone.

Drzwi się otworzyły i...

Drzwi się otworzyły i do pokoju wślizgnął się Rzeźnik Krew. Oto był demon Nieszczęścia, a wraz z nim szorstkowłosy nietoperz, Strach.

Koko siedział sam w swoim pokoju, swojej celi, jajku, jaskini. Światło paliło się i jajo, cела, jaskinia więziła całe światło i odbijała je od ściany do ściany, nie pozwalając, by uciekła chociaż odrobina, ponieważ Koko potrzebował każdej odrobiny.

Plómienie wystrzeliły z podłogi pokoju, ale go nie sparzyły. Martwe dzieci gromadziły się wokół niego, krzycząc, a inne krzyczały ze ścian. Ich usta były otwarte, łokcie mocno przyciśnięte do boków. Dzieci ziały cuchnącymi oddechami lwów, ponieważ żyły w jaskini, tak jak on żył w jaskini, tam i z powrotem.

Drzwi się otworzyły i...

Skoczył ogień i zerwał się wiatr.

„Daruji mi życie!” – krzyczało dziecko w nietoperzowym języku.

Generał Pilophage pozował do portretu przed malarzem Justinenem. Generał prezentował się dostojnie i imponująco, trzymając pod pachą kapelusz z piórami. Porucznik stał w ciemnej jaskini, ani

dostojny, ani imponujący, z deską surfingową przed sobą. Z jego łopatą. A dziewczynka w uliczce przy Phat Pong Road spojrziała na niego i wiedziała.

Chcesz wiedzieć, co jest ciemne?

Dupa Diabła jest ciemna. Koko wszedł do jaskini i w dupę Diabła, i tam spotkał porucznika, Harry'ego Beevers, z deską łopatą bronią przed sobą, macaną, gładzoną, muskaną – strzelającą. Chcesz spróbować? Porucznik ze sterzącym kutasem i płonącymi oczami. Wtedy Diabeł zatkał nos i zamknął oczy i wsadził palce do uszu i wieczność nadeszła w grzmocie, wieczność zdarzyła się jednocześnie, tam i z powrotem. Kobieta przyczołgała się z Nikaragui, urodziła i zmarła w czarnej chmurze, naga i oblepiona zamazniętym błotem.

Na myśl o Harrym Beeversie dzieci zadrżały i objęły się wzajemnie, a ich smród podwoił się i potroił.

Dzień dobry, panowie, witamy w Dupie Diabła. Obecnie nie ma czasu nie ma daty nie ma roku. Obecnie udasz się do pasażu Bowery i tam ponownie zmierzysz się ze słońcem.

4

A kiedy Babar położył się do łóżka, nie mógł zasnąć. Do Celestynowa zawiałą niezgoda i nieszczęście. Za oknem Babara gadały demony. Kiedy Generał Pilophage otworzył masywne usta, wyleciały węże i nietoperze.

Każdy z nas się obrócił ku własnej drodze, każdy z nas ku własnej drodze.

Tapitor, Capoulosse, Barbacol. Podularn. Pilophag. Justinien. Doulamor. Poutfour. Solidny Hatchi-bombotar, którego najbardziej kochało oszołomione dziecko w *Królu Babarze*, w czerwonej koszuli i kraciastej czapce, z mocnymi ramionami i szerokimi plecami – zamiatacz ulic, człowiek niemający żadnych ambicji poza utrzymaniem ulic w czystości, życzliwy człowiek, uczciwy, zamiatający i zamiatający brud.

5

U schyłku nocy usłyszał za oknem łopot skrzydeł nie ptaków, jak się z początku wydawało, ale mrocznych straszliwych stworzeń dwa razy większych od nietoperzy. Stworzenia wylazły z ziemi, żeby go znaleźć, i długo męczyły się przy oknie, zanim odleciały i wróciły do ziemi. Żadna inna osoba nie widziała ich ani nie słyszała, bo żadna inna osoba nie mogła ich widzieć i słyszeć. Sam Harry nigdy ich nie widział. Z łóżka w małej wnęce obok łazienki nie widział okna. Leżał przez długi czas w ciemności, wsłuchując się w pierzasty, natarczywy dźwięk skrzydeł. W końcu hałas zaczął cichnąć. Stworzenia jedno po drugim odlatywały z powrotem do swojej dziury w ziemi, gdzie kuliły się razem, piszcząc i kłając, sennie zlizując krople krwi ze swoich ciał. Harry nasłuchiwał w ciemności, gdy ich liczba zmniejszała się do ostatnich dwóch czy trzech, w desperacji łomoczących w szybę. W końcu one też odleciały. Tylko kilka godzin zostało do rana.

W końcu zasnął na godzinę lub dwie, a kiedy się zbudził, stanął przed starym problemem rzeczywistości stworzeń. W świetle poranka aż za łatwo było zbagatelizować je jako wyimaginowane. Nocą, kiedy przybywały, cztery albo pięć razy odkąd zrzucił mundur, były prawdziwe. Zobaczyłyby je, wiedziały o tym, gdyby odważył się spojrzeć.

Ale znowu im się nie udało i o dziewiątej wstał z łóżka, jednocześnie zmęczony i pełen energii. Brał prysznic starannie i długo, szorując, namydając i pieszcząc, wodząc dłonią w górę i w dół penisa, obejmując jądra, masując i pociągając.

Ubrał się w te same dzinsy i sweter, które nosił wczoraj, ale pod swetrem miał świeżą koszulę, sztywną od krochmalu.

Kiedy spojrział na siebie w lustrze przy łóżku, pomyślał, że wygląda jak komandos – jak członek Zielonych Beretów. Wypił dwie kawy i przypomniał sobie, jak czuł się w niektóre poranki w Camp Randall przed wyjściem na patrol. Gorzka kawa, ciężar pistoletu automatycznego na biodrze. W niektórych z tych poranków jego serce było twardo i zbite jak orzech, skóra go mrowiła, wydawało mu się, że

ma wzrok i słuch orła. Kolory namiotów, czerwony kurz na drodze, drut połyskujący na granicy obozu. Lekka przymglona matowość powietrza. Pod wszystkimi zapachami ludzi i maszyn skrywała się żywa zielona woń, delikatna i ostra jak brzytwa. Dla niego była podstawowym zapachem Wietnamu. W Ia Thuc chwycił starszkę za ramię i brutalnie przyciągnął ją do siebie, wykrzykując jakieś pytanie, którego teraz nie mógł sobie przypomnieć, i pod szorstkim zapachem drzewnego dymu zielona brzytwa tej woni ciała ku niemu z jej ciała.

Gdyby kobieta tak pachniała, pomyślał Harry, wbiłaby w ciebie haczyk, z którego nigdy byś się nie zerwał.

Pił następną kawę, siedząc na rozkładanej kanapie, i próbował wizualizować kolejne kroki, które połączą go z Koko w pasażu Bowery. O pierwszej czterdzięci pięć pojedzie taksówką na północno-wschodni róg Bowery i Canal. Będzie tam około drugiej. W tym czasie na La Guardia porucznik Murphy z dwoma czy trzema mundurowymi będzie czekać na samolot Republiki z Milwaukee. W Chinatown dzień będzie chłodny, szary, zimowy, z niewieloma osobami na ulicy. Harry planował przejść przez Bowery i stanąć na szerokiej wysepce na północ od Confucius Plaza, żeby szybko zlustrować ulicę z pasażem. Wyobraził sobie długi ciąg budynków, wyłożone kafelkami fasady restauracji z dużymi oknami. Kilkoro mężczyzn i kobiet idących szybko w grubych płaszczach. Jeśli Spitalny postanowi ukryć się w drzwiach lub za oknem restauracji, on go zobaczy, błyskawicznie zniknie w Confucius Plaza i będzie czekać, aż jego cel wpadnie w panikę, gdy zorientuje się, że coś poszło nie tak. Po wyjściu z ukrycia podąży za nim i załatwi go, gdy tylko zostaną sami. Jeśli nie zobaczy Spitalny'ego czekającego w zasadzce – a nie sądził, że zobaczy – przejdzie na chodnik i zajrzy do pasażu, by sprawdzić, czy schody nie zostały zamknięte lub zatarasowane. Gdyby działo się tam coś niezwykłego, będzie musiał pójść za Spitalnym na Elizabeth Street i trzymać się tuż za nim, nim dotrze do Bayard Street. Elizabeth Street była planem awaryjnym – kilka restauracji, ponure kamienice. Ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z pierwotnym planem, wróci przez Bowery i ukryje się wśród drzew i ławek przy Confucius Plaza. Tam będzie czekać do piętnastu minut przed czasem, który dał Koko – do za dwadzieścia pięć trzecia – po czym po raz ostatni przekroczy Bowery, ostatni raz przejdzie pasażem, żeby zobaczyć, czy od strony Elizabeth Street jest wszystko w porządku, a następnie przyczai się na schodach.

Siedząc na kanapie i trzymając kubek z ciepłą kawą, Harry wyobraził sobie chodnik ciągnący się w stronę szerokiego wejścia. Zobaczy każdego przechodzącego w naturalnym świetle ulicy – kiedy ktoś skręci do pasażu i obróci się twarzą ku niemu, będzie jak oświetlony reflektorem. Po latach życia w singapurskim słońcu Victor Spitalny będzie lekko ogorzały, z głębokimi zmarszczkami na twarzy, lecz wciąż czarnowłosy, z wyrazem zdumionej urazy w blisko osadzonych oczach, jak w ciągu całej służby.

Harry widział siebie, jak cicho wchodzi po schodach, gdy tylko Spitalny go minął, i stąpa miękko po płytkach, by znaleźć się tuż za nim. Wyjmuje nóż grawitacyjny z kieszeni. Spitalny waha się przed wyjściem z pasażu, tak jak wahał się przed wejściem. Żyłasty i niezgrabny w swoim brzydkim ubraniu, w swoim szaleństwie, stoi bezbronny przez sekundę. Harry zaciska lewą rękę na jego szyi i wciąga go z powrotem do pasażu.

Harry podniósł kawę do ust i ze zdziwieniem stwierdził, że wystygła. Uśmiechnął się – straszne stworzenia przybyły po Victora Spitalny'ego.

* * *

Gdy nie mógł już dłużej ignorować głodu, poszedł do delikatesów na Dziewiątej Alei i kupił kanapkę z sałatką z kurczakiem i puszkę pepsi. W mieszkaniu zdołał zjeść tylko pół kanapki – miał ściśnięte gardło i ciało nie pozwoliło mu na kolejny kęs. Zapakował drugą połowę kanapki i włożył ją do lodówki.

Wszystko, co robił, wydawało się napisane kursywą, przesiąknięte znaczeniem, jak seria scen z filmu.

Kiedy wyszedł z kuchni, oprawione w ramki okładki czasopism ryknęły do niego niczym głośnie muzyka. Jego twarz, jego imię. To wyparło mu dech z piersi.

Zanim zszedł na dół po taksówkę, nalał sobie kieliszek absolutu. Był gęsty po wyjęciu z zamrażarki i wśliznął się w jego gardło jak kula rtęci. Kula zamroziła wszystko, czego dotknęła, i wyparowała, wytwarzając ciepło i pewność siebie, gdy tylko trafiła do żołądka. Harry zakręcił butelkę i włożył ją do zamrażarki.

Sam w windzie wyjął kieszonkowy grzebień i przecesał włosy.

Na zewnątrz, na Dziewiątej Alei, uniósł rękę i taksówka przejechała przez dwa pasy i zatrzymała się przed nim. Blokady w drzwiach uniósły się ze słyszalnym pyknięciem. Wszystko teraz było sekwencją płynnych, potężnych działań. Harry wsiadł i podał wskazówki kierowcy.

Taksówka pojechała Dziewiątą Aleją: wszystko jasne, wszystko widoczne w kadrze chwili. Wysokie okno odbijało niebo zasnuwe ciężkimi chmurami. Nad dachem taksówki Harry usłyszał nagły łopot skrzydeł, szybki i głośny.

Wsiadł z taksówki na pusty chodnik i spojrzął na południe przez ruchliwą Canal Street na odcinek z pasażem. Gromada ludzi z torbami na zakupy i małymi dziećmi skręcała z Canal w dół Bowery. Podczas gdy stał, obserwując, kilku młodych Chińczyków w garniturach i płaszczach wyszło z Manhattan Savings Bank i również skręciło w Bowery. W ciągu kilku sekund druga grupa wyprowadziła pierwszą i przeszła obok pasażu, nawet nie zerkając do środka. Nagle wszystkie plany i środki ostrożności wydały się niepotrzebne – przybył godzinę za wcześniej i jedyne, co musiał zrobić, to wejść do pasażu i ukryć się na schodach.

Skulił ramiona, broniąc się przed tą herezją tak samo jak przed zimnem. Wizualizacja działania pomagała w jego urzeczywistnieniu. Przygotowania same w sobie były etapem schwywania Koko, istotnym aspektem biegu wydarzeń.

Wykorzystał przerwę w ruchu i przemknął na wysepkę na północ od Confucius Plaza, rozpoczynając drugi etap przygotowań. Widział stamtąd cały kwartał między Canal a Bayard, ale też był wystawiony na widok każdego, kto przypadkiem spojrzął na drugą stronę ulicy. Wycofał się na drugą stronę wysepki. Chińscy biznesmeni czekali na światłach, rodzina z dziećmi i torbami właśnie mijala pasaż. Nikt nie stał, udając, że czyta menu w drzwiach restauracji, w oknach nie było widać żadnych twarzy.

Kiedy światła się zmieniły, Harry pobiegł przez Bowery i zanurkował w pasażu, żeby zrealizować etap trzeci.

Było nawet lepiej, niż pamiętał – ciemniej, bardzo cicho. Starsza pani powoli szła między sklepami. Dziś klientów było jeszcze mniej niż dwa dni temu. Mrok spowijał schody prowadzące na niższy poziom. Harry spojrzął w dół i z radością zobaczył, że żarówka na dole przepaliła się i nikt jej nie wymienił. Dolny poziom był oświetlony jedynie nikłym blaskiem z okien zakładu fryzjerskiego.

Szybko sprawdził drugi koniec pasażu. Chudy Chińczyk w piżamie popatrzył na niego ze schodów kamienicy, po czym wrócił do środka.

Etap czwarty rozpoczął się pod Confucius Plaza. Kilku Chińczyków w puchowych kurtkach przeszło przez szeroki plac do biurowca za jego plecami. Nie zwrócili na niego uwagi. Wśród drzew i donic na placu stało sześć betonowych ławek. Harry wybrał tę, z której miał najlepszy widok.

Od czasu do czasu wprost przed nim ciężarówka zatrzymywała się i blokowała mu widok; raz samochód dostawczy zaparkował bezpośrednio przed pasażem. Harry spojrzął na zegarek, czekając na odjazd furgonetki, i zobaczył, że jest czternasta dwadzieścia.

Poszukał noża w kieszeni płaszcza. Kieszeń wydawała się pusta. Pomacał dokładnie. Nie mógł znaleźć noża. Pot zaczął spływać mu na brwi. Zerwał prawą rękawiczkę i wsunął rękę do kieszeni – nóż zniknął. Ludzie przejeżdżający w samochodach wskazywali na niego, śmiejąc się, zostawiając go za sobą, gdy mknęli na imprezy, przyjęcia, wywiady...

Obmacał palcami dno kieszeni i znalazł rozdarcie w podszewce. Oczywiście kieszenie były podarte, płaszcz miał osiem lat, czego się więc spodziewać? Nóż leżał pod podszewką nad rąbkiem, beużyteczny jak szczoteczka do zębów. Harry przesunął go w górę, aż znalazł się na tyle blisko rozdarcia, że mógł dotknąć go palcami. Rozerwał szwy, poszerzył dziurę. Chwytnął nóż, wyciągnął go i włożył do lewej kieszeni.

Ośmioletni płaszcz! Niemal wszystko stracił z powodu ośmioletniego płaszcza!

Harry usiadł ciężko na ławce, natychmiast wsunął lewą rękę do kieszeni i zacisnął ją na nożu. Przez niego się zdekcentrował. Otarł czoło, wciągnął rękawiczkę i złożył ręce na kolanach.

Ciężarówki, samochody osobowe i taksówki przejeżdżały Bowery. Spora grupa dobrze ubranych Chińczyków przeszła obok pasażu. Obserwując ich, Harry z przypiętym paniki zdał sobie sprawę, że każdy mógł wślizgnąć się do środka z Elizabeth Street, podczas gdy on obserwował ten koniec.

Ale Koko był żołnierzem, będzie wykonywał rozkazy.

Chińczycy dotarli do Bayard Street i rozeszli się z uśmiechami, kiwając rękami.

Harry uświadomił sobie, że siedzi na kamiennej ławce z nożem w kieszeni, czekając, by kogoś nie schwycić, tylko zabić, i fantazjuje, że dzięki temu stanie się sławny. Ten pomysł wydał mu się równie okrutnie jałowy jak reszta jego życia. Przez chwilę Harry Beevers uważał się za jednego spośród miliona zwyczajnych mężczyzn, samotną postać na ławce. Może wstać, wrzucić nóż do donicy, odejść i zrobić... Co?

Spojrzał na swoje luźne ciemne ubranie, strój człowieka czynu, i ten prosty dowód jego wyjątkowości pozwolił mu wrócić do jądra fantazji. Znow dał się porwać wizji swojego bogatego przeznaczenia.

O czternastej trzydzieści postanowił zmienić plan i przeczeakać pozostały czas na schodach. Wczesne zajęcie pozycji nigdy nie zaszkodzi, a pobyt na pozycji oznaczał, że będzie widział również tych wchodzących do pasażu z drugiego końca.

Harry wstał. Jego ciało było bardzo wyprostowane, głowę miał uniesioną, wyraz twarzy starannie neutralny. Harry Beevers był skupiony na celu. Maksymalnie skupiony. Dotarł do krawężnika, jego nerwy sięgnęły do każdego człowieka i każdego przejeżdżającego obok pojazdu. Wysokie obcasy stuknęły, zbliżając się w jego stronę, młoda Chinka dołączyła do niego przed przejściem dla pieszych. Gdy na niego spojrziała – ładna młoda kobieta, jedwabiste chińskie włosy, okulary przeciwsłoneczne nawet w taki dzień – poznał, że ją pociąga, że uważa go za interesującego. Zmieniły się światła i razem ruszyli przez jezdnię. W połowie pasów posłała mu żalosalne, pytające spojrzenie. Po drugiej stronie ulicy skręciła w stronę Bayard Street, napinając ten konkretny nerw, który do niej przymocował, ciągnąc go coraz dalej jak niedającą się zerwać nić.

Harry szybko wszedł w ciemność pasażu. Z dalekiego końca dochodził dźwięk niskich głosów i poruszających się ciał, trzech ciał. Od niechcienia zbliżył się do ściany i udawał, że ciekawi go przyklejony tam duży plakat. x-ray specs, the blasters. Troje otyłych nastolatków w budrysówkach wyszło niebadałym krokiem zza zakrętu pasażu. Zarejestrował ich przelotne uznanie dla niego, sposób, w jaki poruszały się ich oczy, milczące komentarze na jego temat. Mieli plecaki i zdarte brązowe mokasy. Powoli szli pasażem i w końcu wyszli w jaśniejsze powietrze, wciąż udając, że go nie zauważyli.

Harry rozejrzył się – pasaż był pusty, koniec od strony Bowers jasnoszary – i podszedł do schodów. Przepalonej żarówce oczywiście nie wymieniono. Szybko zszedł po sześciu stopniach, obrócił się ku Elizabeth Street, po czym tyłem zszedł niżej. Rozpiął płaszcz. Zdjął rękawiczki i wsunął je do kieszeni. Poręcz nieprzyjemnie wbiła mu się w biodro, gdy oparł się o nią.

Z ciemności za nim wyłoniła się ręka i otoczyła jego szyję. Ktoś stojący za jego plecami wytrącił go z równowagi i wepchnął mu do ust gruby materiał. Harry sięgnął po nóż, ale dłoń zaplątała się w rękawiczkę. Przypomniał sobie, że i tak to niewłaściwa kieszeń, ale w tym momencie już spadał i było za późno na sięganie po nóż. Usłyszał grzechot swoich kajdanków na schodach.

Zasadzka

1

Maggie pierwsza zobaczyła policjantów i zapytała Michaela, co według niego się stało. Byli w połowie rękawa prowadzącego do terminalu, gdy dwaj gliniarze pojawili się w oświetlonym wylocie.

– Nie wiem – odparł. – Prawdopodobnie...

Spojrzał przez ramię i sześć osób za sobą zobaczył Tima Underhilla, który właśnie wyszedł przez drzwi samolotu. Maggie ujęła go za łokieć i znieruchomiła. Michael spojrział przed siebie i obok dwóch mundurowych zobaczył wielkiego detektywa z wydziału zabójstw, porucznika Murphy'ego, który wpatrywał się w niego ze stęszłą, wściekłą twarzą.

– Spokojnie – powiedział Murphy. Stojący obok niego policjanci spięli się, ale nie wyciągnęli broni. – Proszę przechodzić dalej.

Ludzie przed Maggie i Poole'em przed chwilą zatrzymali się i zablokowali rękaw. Murphy skinął na tych z przodu i wszyscy zaczęli posuwać się w stronę terminalu. Maggie mocno trzymała rękę Poole'a.

– Ruszać się – naglił Murphy. – Przechodź dalej i zachować spokój.

Przez sekundę panowała cisza. Potem pękła bańka pytających, żądających głosów.

– Proszę jak zwykle przechodzić przez terminal – powiedział Murphy.

Poole zerknął na Underhilla, który zbłądł, ale szedł do przodu wraz z innymi pasażerami. Jakaś kobieta krzyknęła na widok policjantów.

Murphy nie spuszczał z oka Underhilla, a kiedy Poole i Maggie w końcu dotarli do terminalu, nie patrząc na nich, rozkazał:

– Odstawcie ich na bok.

Jeden z policjantów chwycił Michaela za wolne ramię i pociągnął w stronę okna przy bramce. Inny próbował rozdzielić go z Maggie, ale Maggie nie puściła ramienia Poole'a. Poole, Maggie i dwaj policjanci razem jak kraby przeszli na ogrodzoną sznurem pustą przestrzeń przed oknem. Za sznurem stała ściana patrzących na nich ludzi. Dwaj umundurowani policjanci z karabinami stali z boku za Murphym, poza zasięgiem wzroku pasażerów w rękawie.

Kiedy nadszedł Tim Underhill, Murphy wystąpił, aresztował go pod zarzutem zamordowania Anthony'ego Puma i odczytał mu prawa z białej kartki wyjętej z kieszeni. Policjant, który wcześniej zajmował się Maggie, oklepał klatkę piersiową, boki i nogi Underhilla. Underhill zdobył się na uśmiech.

– Chcieliśmy do pana zadzwonić natychmiast po przylocie – powiedział Michael. Murphy go zignorował.

Pozostali pasażerowie powoli zbliżali się do sznurów. Większość szła tyłem, żeby niczego nie prze-gapić. Członkowie załogi zebraли się na końcu rękawa i szepotali między sobą. Prawie wszyscy pasażerowie zatrzymali się, gdy doszli do sznura, odłożyli bagaże i patrzyli.

Murphy poczerwieniał. Odwrócił się i krzyknął:

– Oczyszczcie teren?! Czy moglibyście oczyścić teren, proszę?! – Nie było jasne, czy zwraca się do policjantów, czy do gapiów.

– Proszę przechodzić na drugą stronę – powiedział młody detektyw, policyjny elegant w ciemnoniebieskim palcie i miękkim kapeluszu z szerokim rondem. Jego ubranie w niezamierzony sposób kontrastowało z obszernym sfatygowanym płaszczem i oklapłym kapeluszem Underhilla.

Większość pasażerów wzięła podręczne torby i ruszyła w stronę przejścia między sznurami. W terminalu panował gwar jak na przyjęciu koktajlowym.

– Poruczniku – odezwał się Poole.

Maggie spojrzała na niego, a on skinął głową.

– Proszę zachować milczenie, doktorze Poole – przykazał mu Murphy. – Pana i dziewczynę też aresztuję. Będzie mnóstwo czasu na mówienie, co tylko pan chce.

– Jak pan sądzi, co robiliśmy w Milwaukee? Może mi pan powiedzieć?

– Nie cierpię samej myśli o tym, co robiliście, gdziekolwiek.

– Myśli pan, że Maggie Lah chciałyby jechać dokądkolwiek albo w ogóle mieć coś wspólnego z mordercą Tiny Puma? Wydaje się to panu sensowne?

Murphy skinął głową do eleganta, który stanął za Underhillem i zakuł go w kajdanki.

– Tim Underhill był jeszcze w Bangkoku, gdy zginął Tina Pumo, proszę sprawdzić listy pasażerów – dodał Poole.

Maggie nie mogła dłużej milczeć.

– Widziałam mężczyznę, który zabił Tinę. W niczym nie przypominał Timothy’ego Underhilla, poruczniku. Ktoś robi z pana głupca. Jak pan się dowiedział, że przylecimy tym samolotem?

– Otrzymaliśmy anonimową informację. – Twarz Murphy’ego wciąż miała ten brzydki purpurowy odcień jak tuż przed jego wybuchem.

– Harry Beevers – mruknął Poole, spoglądając na Maggie.

– Proszę obejrzeć mój paszport, poruczniku – poprosił Underhill cichym, rozsądnym głosem. – Mam go przy sobie, w kieszeni płaszcza.

– Weź jego paszport – polecił Murphy elegantowi, a ten sięgnął do bliższej kieszeni długiego bezkształtnego płaszcza Underhilla i znalazł małą ciemnozieloną książeczkę, jego paszport. – Otwórz – powiedział Murphy.

Młody detektyw przysunął się do Underhilla. Otworzył paszport i przerzucił kartki. W paszporcie było bardzo dużo pieczętek. Elegant znalazł ostatnią stronę wpisów, przyglądał się jej przez chwilę, po czym przekazał paszport Murphy’emu.

– Wróciłem z Beeversem i doktorem Poole’em – powiedział Tim. – Masowe morderstwo jest jednym z błędów, których udało mi się uniknąć.

– Masowe morderstwo! Masowe morderstwo! – powtórzył tłum ściśnięty za sznurem.

Rumieniec Murphy’ego pogłębił się, gdy spojrzął na paszport. Przewracał kartki wstecz od ostatniego wpisu, szukając wcześniejszego przylotu do Ameryki. W końcu opuścił ręce, szurnął stopami i odwrócił się, żeby spojrzeć na terminal.

Ludzie napierali na sznur, wśród pustych plastikowych krzeseł stali policjanci z karabinami. Murphy przez długi czas nic nie mówił. Błysnął flesz, gdy turysta zrobił zdjęcie.

– Macie dużo do wyjaśnienia – powiedział w końcu. Włożył paszport do kieszeni płaszcza. – Skuj pozostałą dwójkę.

Dwaj mundurowi założyli Poole’owi i Maggie kajdanki.

– Czy Underhill wrócił z Bangkoku tym samym samolotem z panem, Beeversem i Linklaterem?

Poole skinął głową.

– I postanowiliście mi o tym nie mówić. Siedzieliście w moim biurze i pozwoliliście, żebym ścigał niewłaściwego człowieka.

– Żałuję tego.

– Ale to wy rozwieszacie te ulotki po całym Chinatown?

– Koko używał nazwiska Underhilla.

– Chcieliście sami go znaleźć? – zapytał Murphy. Najwyraźniej dopiero teraz zrozumiał.

– Harry Beevers tego chciał, a my zgodziliśmy się z jego pomysłem.

– Zgodziliście się... – powtórzył Murphy, kręcąc głową. – Gdzie jest teraz Beevers?

– Mike! – zawołał ktoś zza tłumu przy sznurach.

– Conor Linklater miał się tu z nami spotkać.

Murphy zwrócił się do jednego z umundurowanych policjantów:

– Przyprawdźcie tu tego człowieka.

Policjant podbiegł do przejścia i dotarł tam w chwili, gdy Conor i Ellen Woyzak przebili się na czoło tłumowi.

– Zabieramy ich – powiedział Murphy, idąc w stronę gapiów, którzy zaczęli się od niego oddalać.

– Byliśmy w Milwaukee, żeby spróbować się dowiedzieć, gdzie jest Koko! – zawołał za nim Poole.

– Zamiast tego dowiedzieliśmy się, kim on jest. Jeśli pozwoli mi pan wyjąć pewne rzeczy z bagażnika mojego samochodu, pokażę, co mam na myśli.

Murphy odwrócił się, spojrzął groźnie na Michaela i Maggie i z jeszcze głębszym niesmakiem na Tima Underhilla.

– Hej, nie może pan aresztować tych ludzi – zaczął Conor. – Szuka pan Victora Spitalny’ego, to ten, którego pojechali...

– Nie – przerwał mu Poole. – Conor, to nie Spitalny.

Conor zamilkł z szeroko otwartymi oczami. Podszedł do Murphy’ego, wyciągając ręce.

– Niech pan mnie skuje.

Ellen Woyzak wydała dźwięk pośredni między piskiem a warknięciem.

– Proszę mnie skuć – powtórzył Conor. – Nie zamierzam spocząć na marach. Zrobiłem wszystko, co ci faceci, zwałam na nich odpowiedzialność ¹⁰. Śmiało.

– Zamknij się, Conor – burknęła Ellen.

Murphy miał taką minę, jakby chciał schować twarz w dłoniach. Policjanci patrzyli na niego jak na niebezpieczne zwierzę.

W końcu Murphy wskazał na Maggie, Poole’a i Underhilla.

– Ci troje ze mną – powiedział i zaszarżował w stronę tłumu niczym byk na arenie. Ekspłodowały kolejne błyski światła.

Gdy tylko dotarł do przerwy w sznurze, tłum rozstał się przed nim.

– Zapakujcie ich do samochodu, porucznika – rozkazał elegant. – Ja wezmę Harry’ego Trumana.

* * *

Wciąż zacerwieniony, ale spokojniejszy niż w terminalu, Murphy zdjął im kajdanki, zanim usiedli na tylnym siedzeniu jego samochodu. Jeden z młodych policjantów wioził ich przez most Whitestone. Murphy siedział wykręcony do tyłu, żeby ich słyszeć. Co kilka minut trzeszczało radio, a przez niedokładnie uszczelnione okna wpadało zimne powietrze. Inny policjant prowadził samochód Michaela zabrany z parkingu na lotnisku i jechał za nimi do komisariatu

– W samolocie? – zapytał Murphy. Nie był już taki zły jak w terminalu, ale jego podejrzliwość nie zmaląła.

– Zgadza się – potwierdził Poole. – Przypuszczam, że aż do tego czasu Maggie i ja myśleliśmy, że szukamy Victora Spitalny’ego. Chyba znałem prawdę, tylko nie mogłem jej zobaczyć... nie chciałem jej widzieć. Mieliśmy wszystkie potrzebne dowody, wszystkie fragmenty, ale po prostu nie zostały poskładane.

– Dopóki nie wspomniałam o Babarze – odezwała się Maggie. – Wtedy oboje sobie przypomnieliśmy.

Poole skinął głową. Nie miał zamiaru opowiadać policjantowi o śnie, w którym Robbie trzymał latarnię przy ciemnej drodze.

– Co sobie przypomnieliście?

– Piosenkę – wyjaśniła Maggie. – Michael powiedział mi, czego dowiedział się od mężczyzny w Singapurze i stewardesy, i... wiedziałam, co oboje słyszeli.

– Mężczyzna w Singapurze? Stewardesa?

Poole opowiedział o Lisie Mayo i właścicielu bungalowu, w którym zginęli Martinsonowie.

– Mężczyzna w Singapurze słyszał, jak Koko śpiewa coś, co brzmiało dla niego jak rip-a-rip-a-rip-a-lo. Lisa Mayo słyszała, jak pasażer siedzący obok Clementa Irwina nuci coś bardzo podobnego. Oboje słyszeli to samo, ale słyszeli źle.

– A ja to rozpoznałam – powiedziała Maggie. – Pieśń słoni. Z *Króla Babara*. Proszę spojrzeć.

Poole podał mu książkę, którą zabrał ze swojego samochodu.

– Do licha, co to? – zapytał Murphy.

– Stąd Koko zaczerpnął swoje imię – wyjaśnił Underhill. – Sądzę, że były też inne znaczenia, ale to jest pierwsze. Najważniejsze.

Murphy spojrział na stronę, na której była otwarta książka.

– Skąd wziął imię?

– Niech pan przeczyta słowa – powiedział Poole i wskazał piosenkę.

Murphy przeczytał:

Patali Di Rapata

Cromda Cromda Ripalo

Pata Pata

Ko Ko Ko.

– I wtedy już wiedzieliśmy – powiedział Poole. – To Dengler. Zapewne wiedzieliśmy na długo przed tym. Mogliśmy odkryć prawdę, gdy tylko weszliśmy do domu jego matki.

– Ta teoria ma poważną wadę – zaznaczył Murphy. – Starszy szeregowy Manuel Orosco Dengler nie żyje od sześćdziesiątego dziewiątego roku. Armia zidentyfikowała jego ciało. A po identyfikacji przesłano je do domu na pochówek. Myślicie, że jego rodzice przyjęłyby zwłoki kogoś innego?

– Jego ojciec już nie żył, a obłąkana matka przyjęłaby zwłoki mały, gdyby je przysłano. Ale ze względu na rozległe okaleczenia armia zaleciła, żeby nie dokonywano dalszej identyfikacji – powiedział Poole. – Matka Denglera nie widziała nieboszczyka.

– Więc czyje to było ciało? – zapytał Murphy. – Cholernego Nieznanego Żołnierza?

– Victora Szpitalny'ego – odparł Underhill. – Pierwszej ofiary Koko. Z wyprzedzeniem napisałem cały scenariusz, wyjaśniłem, co i jak trzeba zrobić. To była opowieść, którą zatytułowałem *Uciekający piechur*. Dengler namówił Szpitalny'ego, żeby dołączył do niego w Bangkoku, zabił go, podmienił nieśmiertelniki i dokumenty, zmasakrował go nie do poznania i zniknął w środku panującego chaosu.

– To znaczy, że pan podsunął mu ten pomysł?

– Gdybym nie opowiedział tej historii, wymyśliłby coś innego. Ale myślę, że posługiwał się moim nazwiskiem, bo ode mnie zapożyczył pomysł zabicia Szpitalny'ego i dezercji. W różnych miejscach podsztywał się przede mną i stąd krąży tam wiele plotek na mój temat.

– Ale dlaczego? Jak myślicie, dlaczego zabił tego Szpitalny'ego? Żeby zdezercerować pod innym nazwiskiem?

Poole i Underhill spojrzeli na siebie.

– Cóż, po części – powiedział Underhill.

– Prawdopodobnie po większej części – dodał Poole. – Niezupełnie wiemy o reszcie.

– Jakiej reszcie?

– O czymś, co wydarzyło się podczas wojny – odparł Poole. – Były tam tylko trzy osoby: Dengler, Szpitalny i Harry Beevers.

– Proszę mi opowiedzieć o uciekającym piechurze – powiedział Murphy.

2

Gdy tylko Poole, Underhill, Maggie i Murphy weszli po schodach, z krzesła w korytarzu przed biurem porucznika zerwał się mężczyzna z głębokimi zmarszczkami na czole, miną pokrzywdzonej niewinności i zimnym cygarem wkręconym w kącik ust. Popatrzył na nich, wyrwał cygaro i odsunął się w bok, żeby spojrzeć za ich plecy. Kroki następnej grupy dochodziły ze schodów. Mężczyzna wbił ręce w kieszenie i skinął głową Murphy'emu, z widoczną niecierpliwością czekając na pojawienie się pozostałych.

Ellen Woyzak, Conor Linklater i młody detektyw w niebieskim płaszczu dotarli na szczyt schodów i skierowali się w stronę biura Murphy'ego.

– Hej! – krzyknął mężczyzna i pochylił się nad balustradą, żeby zobaczyć, czy nachodzi ktoś jeszcze. – Gdzie on jest?

Murphy wpuścił ich do swojego biura i skinął na mężczyznę, by do nich dołączył.

– Pan Partridge? Proszę wejść.

Z początku Poole myślał, że mężczyzna jest policjantem, ale zmienił zdanie. Mężczyzna wyglądał na wściekłego, jakby ktoś go okradł.

– Jaki w tym sens? Mówił pan, że on tu będzie, ale go tu nie ma.

Murphy wyszedł i przytrzymał otwarte drzwi. Partridge wzruszył ramionami i zbliżył się powoli. Wszedł do biura i spojrzął na Poole'a i pozostałych takim wzrokiem, jakby wtargnęli do jego salonu. Miał pomięte ubranie i nieprzyjemne niebieskozielone oczy wybaluszone w obwisłej, grubo ciosanej twarzy.

– I co teraz? – Znowu wzruszył ramionami.

– Proszę usiąść – powiedział Murphy. Młody detektyw wyjął kilka składanych krzeseł zza szafki na akta i zaczął je rozkładać. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Murphy przysiadł na krawędzi biurka. – Ten dżentelmen to pan Bill Partridge. Jest jednym z kierowników hostelu YMCA i poprosiłem go, by dołączył do nas dzisiejszego popołudnia.

– Tak, a teraz muszę już iść – burknął Partridge. – Nic dla mnie nie macie. Robota czeka.

– Jeden z pokoi zarządzanych przez pana Partridge'a został wynajęty dżentelmenowi, który przedstawił się jako Timothy Underhill – kontynuował Murphy, wykazując się większą cierpliwością niż na lotnisku.

– Który dał nogę – uzupelniał Partridge. – I zdemolował pokój. Nie wiem kto, ale jeden z was jest mi winien za czynsz i malowanie.

– Panie Partridge, czy widzi pan w tym pokoju lokatora, który przedstawił się jako Timothy Underhill?

– Wie pan, że nie.

– Dziękuję za przybycie, panie Partridge. Przykro mi, że odciągnęliśmy pana od obowiązków, ale chciałbym, żeby jeszcze zobaczył się pan z naszym rysownikiem na dole i pomógł mu stworzyć portret pamięciowy. Jeśli uważa pan, że wydział jest panu winien pieniądze, niech pan spróbuje przesłać nam rachunek.

– Wykonujecie świetną robotę – powiedział Partridge i odwrócił się do wyjścia.

Poole zawałał do niego:

– Panie Partridge, co ten człowiek zrobił w swoim pokoju?!

Partridge zrobił pół obrotu i spojrział na niego gniewnie.

– Niech gliniarz ci powie. – Wyszedł, nie zamykając drzwi za sobą.

Młody detektyw zrobił to za niego. Uśmiechnął się do Maggie, wracając na swoje miejsce przy biurku. Miał szeroką, przystojną twarz, a jego zęby lśniły bielą pod gęstymi węsami. Poole'owi przyszło do głowy, że zarówno Murphy, jak i młodszy policjant wyglądają jak Keith Hernandez, pierwszy bazyw Metsów.

Murphy spojrział ponuro na Underhilla, który siedział w fałdach swojego wielkiego płaszcza, z kapełuszem na kolanach.

– Wezwaliśmy go, żeby zidentyfikował podejrzanego – wyjaśnił. – Timothy Underhill zgłosił się w YMCA na Upper West Side wieczorem w dniu, kiedy na lotnisku zginął Clement Irwin. Nawiasem mówiąc, w styczniu nikt o nazwisku Tim Underhill nie przechodził przez odprawę graniczną, więc wiemy, że podróżował pod innym nazwiskiem. Oczywiście przestaliśmy wertować dokumenty, zanim wróciliśmy we trójkę z panem Beeversem, bo dostaliśmy informację, że nasz człowiek jest w kraju. – Pokręcił głową. – Partridge zadzwonił do nas, gdy tylko zajrzał do pokoju Underhilla. Kiedy tam dotarliśmy, wiedzieliśmy, że go mamy. Musieliśmy tylko czekać. – Wyjął szarą teczkę ze środkowej szuflady biurka. – Ale po całonocnym czekaniu doszliśmy do wniosku, że najwidoczniej zjawił się tuż po naszym przyjeździe i zobaczył radiowozy. Co oznacza, że minęliśmy się z nim nie więcej niż o kilka minut. Spójrzcie na zdjęcia pokoju.

Wyjął z koperty plik zdjęć z polaroida i przekazał je młodemu detektywowi. Mężczyzna, znów z uśmiechem, podszedł prosto do Maggie i podał jej zdjęcia.

Maggie odwzajemniła uśmiech i podsunęła je Michaelowi, nie patrząc na nie.

Ściany pokoju wyglądały chaotycznie, z wycinkami i fotografiami przyklejonymi nad falistym wzorem, który wznosił się i opadał na tle bryzgów czerwonej farby. Na innym zdjęciu widniała wydarta z gazety czarno-biała fotografia Tiny. Na trzecim falisty wzór był ukazany z bliska. Poole przełknął ślinę. Był to prymitywny mural przedstawiający głowy i ciała wielu dzieci. Klatki piersiowe były porzywane, głowy wisiały na martwych sztychach. Kilkoro dzieci było nagich, a na fotografii wyraźnie było widać rany wlotowe w tułowiach i brzuchach.

Na drugiej ścianie widniały wymalowane hasła senny zdławiony beznamiętny smutek oraz mąż bóleści, oswojony z cierpieniem.

Poole przekazał zdjęcia Underhillowi.

– Pokażę wam drugi powód spotkania się z wami na lotnisku – powiedział Murphy. Wyjął z koperty kopię napisanego na maszynie listu i wręczył go młodemu detektywowi. – Tym razem daj to doktorowi Poole'owi, Dalton.

Dalton uśmiechnął się do Maggie i podał kartkę Michaelowi.

– Policja z Saint Louis znalazła to w jego biurku.

A więc tak nakłaniał dziennikarzy, żeby do niego przybyli – Harry Beevers miał rację. Poole bardzo powoli przeczytał list:

*Szanowny Panie Martinson,
zdecydowałem, że nie mogę dłużej pomijać milczeniem prawdy o wydarzeniach, które
rozegrały się w wiosce Ia Thuc na terenie I Korpusu...*

Poole zdał sobie sprawę, że Murphy mówi coś o mieszkaniu Roberta Ortiza. Detektyw trzymał kolejną kartkę maszynopisu.

– Jest identyczny z tym, który zaadresowano do pana Martinsona, z tym wyjątkiem, że autor instruuje pana Ortiza, by skontaktował się z nim pod adresem na... – Zerknęła na kartkę. – Na Plantation Road w Singapurze. Tam znaleziono zwłoki.

– Znalezione tylko te dwa listy?
Murphy skinął głową.
– Niektórzy z pozostałych adresatów musieli zrobić, o co prosił, i je zniszczyli. W każdym razie te listy i pokój w hostelu YMCA stały się powodem naszego zainteresowania pańską osobą, panie Underhill.
– Wiecie, kto wykonał anonimowy telefon?
– A wy? – zapytał Murphy.
– Michael, Conor i ja uważamy, że Harry Beevers.
– Ale skoro kazał wam okłamać mnie co do pańskiego miejsca pobytu, dlaczego miałby mnie wysłać, żeby pana aresztował?
– Wiesz, dlaczego ten dupek powiadomił policję – powiedział Conor do Poole’a. – Chciał spotkać się z Koko sam na sam i nie chciał, żebyście weszli mu w paradę.
– Więc gdzie jest teraz pan Beevers? Próbuje na własną rękę schwytać tego człowieka?
Nikt się nie odezwał.
– Zadzwoń do Beeversa – powiedział Murphy i Dalton z ostatnim spojrzeniem rzuconym Maggie szybko wyszedł z pokoju. – Jeśli ukrywacie przede mną coś więcej, obiecuję wam, że długo będziecie tego żałować.
Siedzieli w milczeniu, dopóki nie wrócił Dalton.
– Beevers nie odbiera. Zostawiłem mu wiadomość, żeby zadzwonił do pana, gdy tylko wróci, i wysłałem do niego samochód, na wypadek gdyby jednak tam był.
– Myślę, że nasza sprawa na ten moment jest zamknięta – oznajmił Murphy. – Naprawdę mam nadzieję, że więcej się nie zobaczymy. Wszyscy macie szczęście, że nie siedzicie w areszcie. A teraz zjeżdżcie mi z drogi i pozwólcie zająć się pracą.
– Jedźcie pan do Chinatown? – zapytał Michael.
– Nie pańska sprawa. Samochód znajdzie pan przed komisariatem, panie Poole.
– Czy w Chinatown są jakieś jaskinie? – zapytał Underhill. – Coś, co mogłoby kojarzyć się z jaskinią?
– Nowy Jork jest pełen jaskiń – odparł Murphy. – Zabierajcie się stąd. Idźcie do domu i zostańcie tam. Jeśli usłyszycie coś od tego Denglera, natychmiast macie do mnie zadzwonić.
– Nie wiem, co się dzieje – odezwał się Conor. – Od Denglera? Czy ktoś mi powie, co przegapiłem? Underhill przyciągnął go do siebie i szepnął mu coś do ucha.
– Chcę coś zasugerować, zanim się pożegnamy – kontynuował Murphy. Stał za biurkiem, z twarzą pokrytą plamami gniewu, którego nie pozwalał sobie okazać. – W przyszłości, gdybyście natknęli się na coś, co jest ważne dla tej sprawy, nie wysyłajcie tego pocztą. A teraz chciałbym wrócić do pracy.
Wyszedł z biura, a Dalton podążył za nim. Conor zapytał:
– Mikey, o co chodzi z Denglerem?
W drzwiach pojawił się umundurowany policjant i grzecznie kazał im odejść.

3

– Muszę zadzwonić do Judy – oznajmił Poole, gdy wyszli na zewnątrz. – Mam wiele rzeczy do uporządkowania.
Maggie zasugerowała, żeby zadzwonił z Sajgonu. Poole spojrział na zegarek – szesnasta.
– Harry uwielbiał ten bar – powiedział Conor do Ellen. – Myślę, że spędzał tam większość popołudni.
– Mówisz o nim, jakby był martwy – zauważyła Ellen.
– Sądzę, że wszyscy się tego boimy – stwierdził Tim Underhill. – Michael powiedział mi, że nasz samolot przylatuje o drugiej, i założę się, że na tę godzinę w jakiś sposób umówił spotkanie z Koko. Zatem minęły dwie godziny. Jeśli Dengler zadzwonił do Harry’ego, żeby się poddać, a Harry wykombinował jakiś podstęp... a niepodobna, żeby tego nie zrobił... prawdopodobnie już nikt nie może go ocalić.
– Czy możecie w końcu wyjaśnić, o co chodzi z Denglerem? – zapytał Conor.
– To będzie wymagało drinka – powiedział Tim. – Dla ciebie, nie dla mnie.
Poole otworzył samochód i Maggie stanęła obok niego.

– Chcę, żebyś kogoś poznał. Mojego chrzestnego. – Spojrzał na nią z zaciekawieniem, ale tylko się uśmiechnęła i zapytała: – Naprawdę damy radę wcisnąć się do twojego autka?

Dali radę.

Podczas gdy Michael prowadził, Underhill opowiadał o ich wizycie w Milwaukee. Zawsze był dobry w opisywaniu i jadąc Siódmą Aleją, Poole widział smutną kuchnię Szpitalnych i George’a Szpitalny’ego, gdy próbował zauroczyć Maggie swoim starym zdjęciem; widział wściekłego mężczyznę tłukącego łyżką do opon w tył autobusu i zasypane śnieżne przypominające małe łańcuchy górskie. Widział *Śliczną mufkę Kici* i rozbłyśki gazu w Dolinie. Czuł zapach skwierczącego oleju „Wesson”, znów patrzył w psie oczy Helgi Dengler. Widział małego M.O. Denglera za pościartowanym jeleniem, którego sam oskórował i wypatroszył.

– Michael! – krzyknęła Maggie.

Skręcił kierownicą w ostatniej chwili, żeby uniknąć staranowania taksówki.

– Przepraszam. Byłem myślami w tamtym okropnym domu. I nie podoba mi się pomysł składania broni, gdy jest jakaś szansa, że Harry żyje.

– I Dengler – dodał Underhill. – Murphy powiedział, że Nowy Jork jest pełen jaskiń. Maggie, czy przychodzi ci na myśl coś w Chinatown, co choć trochę przypomina jaskinię?

– Nie. Chociaż... Jest pewne miejsce, chodziłam tam z Pumem, w pasażu. Przypuszczam, że tak bardzo przypomina jaskinię, jak tylko to możliwe w Chinatown.

Poole zapytał, gdzie to jest.

– Przy Bowery, w pobliżu Confucius Plaza.

– Chodźmy obejrzyć to miejsce – zaproponował Underhill.

– Chcesz? – zapytał Poole.

– A ty nie?

– Cóż...

– Nie możesz się teraz wycofać, Poole – powiedziała Maggie. – Zjadłeś ohydny kielbasę w kuchni George’a Szpitalny’ego. Przedarłeś się przez stek Salisbury w restauracji Tick Tock.

– Jestem typem odkrywcy – stwierdził Poole. – Conor? Ellen?

– Zróbmy to, Michael – odrzekła Ellen. – Równie dobrze można spróbować.

– Przecież nigdy nie znałaś Harry’ego Beeversa – zauważył Conor.

* * *

Gdy mijali Mulberry Street w gęstym ruchu na Canal Street, Underhill zerknął znad postawionego kołnierza swojego ogromnego płaszcza.

– Nasi przyjaciele przybyli w pełnej sile. Spójrzcie.

Poole spojrzął przez boczną szybę. Na Mulberry Street w Chinatown czerwone światła wirowały na samochodach policyjnych podjeżdżających do krawężnika; inne czerwone światła odbijały się od witryn sklepowych na Bayard Street. Dostrzegł grupę policjantów truchtających po przekątnej przez jezdnię, jak pluton.

– Znajdą go – powiedział Conor takim tonem, jakby chciał w to uwierzyć. – Patrzcie na tych wszystkich gliniarzy. I nie wiemy na pewno, czy Beevers próbował jakiejs sztuczki z Koko.

Mijali wlot Mott Street.

– Niczego tam nie widzę – powiedział Poole.

– Wygląda na to, że dwóch gliniarzy chodzi od drzwi do drzwi – powiedział Underhill. – Ale tak naprawdę nie mamy żadnego dowodu, że Harry tu jest ani że próbował przechytrzyć nas i Denglera, zgadza się?

– Chciał, żeby Murphy zatrzymał nas na lotnisku – zaznaczył Poole. Spojrzał w bok na Elizabeth Street, bardziej wyludnioną niż inne ulice. – To o czymś świadczy. Chciał usunąć nas z drogi.

Skręcił w stronę wysokich białych wież Confucius Plaza.

– Tam – powiedziała Maggie, wskazując drugą stronę ulicy.

Poole spojrzął w bok i zobaczył przerwę w rzędzie sklepów i restauracji wzdłuż Bowery. Światło sięgało w głąb może na pięć stóp i rozpyliwało się w cieniu. Maggie miała rację. To wyglądało jak jaskinia.

Poole znalazł miejsce parkingowe przed targiem rybnym na Division Street. Gdy wysiadł z samochodu, zobaczył zamrożone rybie wnętrzności i lśniąca kałuże lodu na chodniku.

– Starajmy się trzymać z dala od Murphy’ego. Po sprawdzeniu pasażu możemy jechać do Sajgonu. Tam zacznie się zastanawiać, gdzie mam zamieszkać.

Ruszyli Bowery w silnym zimnym wietrze, który omiatał zakrzywione wieże. Samotny policjant wyszedł z Bayard Street na Bowery i Michael zdał sobie sprawę, że w duchu powstrzymuje go przed wejściem do pasażu. Murphy i inni mieli Mulberry Street, Mott Street, Pell Street – on chciał mieć tylko pasaż.

Policjant obrócił się w ich stronę i Poole go rozpoznał – to ten młody o grubym karku. Mężczyzna popatrzył na niego bezmąslnie, po czym przeniósł spojrzenie na nogi Maggie. Odwrócił się do nich plecami i poszedł Bayard Street.

– Kwik – szepnęła Maggie.

Poole patrzył, jak młody policjant truchta Bayard Street w kierunku radiowozu, obok którego grupa mundurowych gapła się w witryny sklepu spożywczego.

Kilka sekund później cała piątka stanęła przed pasażem. Maggie zrobiła pierwszy krok. Za wejściem rozdzielili się, żeby kręcić obie strony.

– Szkoda, że nie szukamy czegoś konkretnego – powiedział Underhill. Z wolna posuwał się do przodu, próbując ogarnąć wzrokiem każdy cal deptaku.

– Na dole jest kolejny poziom – zauważył Conor, który szedł z Ellen po prawej stronie. – Sprawdzimy go, gdy skończymy tutaj.

– Nie rozumiem, dlaczego to robimy – odezwała się Ellen. – Nie sądzicie, że wasz przyjaciel umówiłby się na spotkanie z Koko... z tym Denglerem, w parku albo gdzieś na rogu? Albo w biurze?

Poole pokiwał głową, patrząc na zakurzoną wystawę damskiej bielizny.

– Gdyby miał zamiar tylko się z nim spotkać, tak właśnie by zrobił. Ale mówimy o Harrym Beeversie. – Minął plakaty klubu rockowego i spojrzał na Conora, który opierał się o balustradę schodów, obejmując ramiona Ellen Woyzak.

– A Zagubiony Szef nie zrobiliby nic prostego – powiedział Conor. – Wyszmarowałyby jakiś pokrętny plan. Powiedzieliby mu, żeby gdzie się z nim spotkał, i zaplanował spotkanie zupełnie gdzie indziej. Chciałby go zaskoczyć.

Minęli zakręt i stali przez chwilę, patrząc na zimną szarą Elizabeth Street.

– Powiedzmy, że Koko w końcu odpowiedział na jego ogłoszenia – odezwał się Poole. – Co nie jest niemożliwe.

– Tina zawsze odpowiadała na moje ogłoszenia.

– Prawdopodobnie stąd wzięł ten pomysł.

– Dobra, ale dlaczego miałby chcieć spotykać się z Koko w jaskini? – spytała Ellen. – Dlatego tu jesteśmy, prawda? Bo według Maggie to jedyne miejsce w Chinatown, które wygląda jak jaskinia? – Spojrzała na mężczyzn i nie doczekała się odpowiedzi. – Czy nie byłoby bardziej sensowne, gdyby kazał mu przejść obok jakiegoś budynku i wyskoczył na niego zza węgła? Czy jakoś tak?

– Harry Beevers kiedyś miał kupę uciechy w jaskini – wyjaśnił Underhill. – Wszedł do środka, a kiedy wyszedł, był sławny. Zmieniło się całe jego życie.

– Zajrzyjmy na schody – zaproponował Conor. – Potem możemy wrócić do Sajgonu i czekać, aż Murphy powie nam, co się stało.

Poole skinął głową. Stracił serce. Murphy w końcu znajdzie zwłoki Beeversa w jakiejś kamienicy. Trup będzie miał kartę w ustach i okaleczoną twarz.

– Czy tam nie powinno palić się światło? – zapytała Maggie.

Stali na szczycie schodów, patrząc w ciemność.

– Żarówka się przepaliła – stwierdził Conor.

Nikły blask z salonu fryzjerskiego sączył się na niższy poziom pasażu. Dalej na płytkach leżał wachlarz światła z innego sklepu.

– Nie, została wykręcona – powiedziała Maggie. – Spójrzcie. – Wskazała pustą oprawkę w suficie na dole schodów.

– Wykręcona, bo się przepaliła – skwitował Conor.

– Więc co to jest? – zapytała Maggie.

W kącie na dolnym stopniu połyskiwał kawałek mosiądzu.

– Dla mnie to wygląda na gwint żarówki – powiedziała Ellen Woyzak. – Więc ktoś...

– Nie ktoś. Harry. – Poole wszedł jej w słowo. – Wykręcił żarówkę, żeby się ukryć. Zejdźmy na dół i rozejrzyjmy się.

Stali w szeregu na najwyższym stopniu i jednocześnie ruszyli na dół. Harry Beevers ukrył się na tych schodach po zorganizowaniu dla nich policyjnego komitetu powitalnego na lotnisku. Co się wtedy stało?

– To cała żarówka – zauważyła Maggie. Przyłożyła ją do ucha i potrząsnęła. – Nic nie grzechocze.

– Patrzcie! – krzyknął Conor.

Poole oderwał wzrok od żarówki i zobaczył, że Conor wyciąga w jego stronę lśniąca parę kajdanek.
– Teraz wierzę w to wszystko – oznajmiła Ellen. – Zanieśmy kajdanki Murphy’emu i niech wróci tu z nami. – Objęła się rękami i przysunęła do Conora.

– Myślę, że posłałby nas wszystkich za kratki, gdyby nas tu zobaczył – powiedział Conor. – Beevers je kupił, prawda?

Poole i Underhill skinęli głowami.

– Chcę coś sprawdzić. – Maggie zeszła po schodach, wciąż ściskając żarówkę.

Poole patrzył, jak wchodzi do salonu fryzjerskiego.

– Sądzę, że Dengler wykręcił żarówkę – powiedział Conor. – Założę się, że czekał tu na niego. I dokądś go zabrał, co oznacza, że nie są zbyt daleko.

Maggie wyszła z salonu fryzjerskiego bardzo podekscytowana.

– Widzieli go. Niedługo po południu fryzjerzy zauważyli, że żarówka zgasła. Pomyśleli, że się przepaliła. Później widzieli na schodach białego mężczyznę. Uznali, że jest policjantem.

– Zabawne – skomentował Poole. – Harry zawsze chciał, żeby ludzie brali go za glinę.

– To nie był Harry – powiedział Underhill. – Widzieli Denglera.

– Powiedzieli o nim coś jeszcze?

– Niezupełnie. Stał tam długo i w końcu o nim zapomnieli, a gdy znowu spojrzeli, już go nie było. Nie widzieli walki ani w ogóle niczego.

– Nie dziwiw się – powiedział Poole. – Gdybyście chcieli wyprowadzić kogoś po cichu z pasażu, w którą stronę byście poszli?

– Ja tędy – odparła Ellen, wskazując ku Elizabeth Street.

– Ja też. – Poole wszedł po schodach przed innymi.

– Co zamierzasz zrobić, Michael?! – zawołała za nim Ellen.

– Rozejrzyjmy się raz jeszcze – zaproponował Poole. – Jeśli Dengler wypchnął Beeversa na ulicę, może coś wypadło mu z kieszeni. Może Beevers krwawił. Harry nie przyszedłby nieuzbrojony, biorąc pod uwagę, co zamierzał zrobić. Coś musi tam być.

Wiedział, że to prawie beznadziejne. Koko mógł po prostu zaszytytować Beeversa i wywlec ciało na zewnątrz do samochodu. Wszystko, co upuściliby Beevers – papier, zapalki, szalik – zostałyby zdmuchnięte przez wiatr.

– Czego szukamy? – zapytała Maggie, gdy wyszli na Elizabeth Street.

– Wszystkiego, co mógł upuścić Beevers. – Poole ruszył, omiatając wzrokiem chodnik i krawężnik.

– Conor, weźmiesz środek ulicy? Tim, może coś jest na drugim chodniku.

– Conor, idziemy – powiedziała Ellen.

Tim skinął głową, skulił się dla ochrony przed wiatrem i pobiegł przez ulicę na przeciwległy chodnik. Szedł tam powoli, zygzakami. Maggie przemknęła przez jezdnię, żeby do niego dołączyć.

– Conor? – powtórzyła Ellen.

Conor przyłożył palec do ust i wyszedł na środek ulicy. Poole przemierzał chodnik z boku na bok, mając nadzieję, że znajdzie coś, co mu powie, co się stało z Beeversem. Szukając i nie znajdując niczego, słyszał, jak Maggie mówi coś do Underhilla swoim precyzyjnym, komediowym głosem, a potem się śmieje.

– Och, do diabła – mruknęła Ellen i ruszyła za nim. – Przypuszczam, że nie będziesz miał nic przeciwko, gdy wydrę się na całe gardło, jeśli znajdziemy odcięte palce albo jakieś inne części ciała.

Poole wypatrzył na chodniku dwie centówki, przebitą kapsułkę podtlenu azotu i małą odkorkowaną fiolkę, której nie rozpoznał jako pustego pojemnika na crack wartości dziesięciu dolarów. Przed nim na chodniku leżał dziecięcy czarny gumowiec i coś, co wyglądało jak wilgotna kula puchu i co z pewnością zaraz okaże się martwym wróblem. Koko wciągnął Beeversa w zasadzkę ponad dwie godziny temu. Prawdopodobnie Beevers już nie żył. Zmuszanie innych do poszukiwań było naiwne. A jednak nie opuszczało go podniecenie. Mieli rację co do pasażu; byli tam, gdzie M.O. Dengler i Beevers spotkali się zaledwie godzinę lub dwie wcześniej. Przebył tysiące mil, aby zbliżyć się do Koko. Całe jego ciało opierało się pomysłowi wzywania porucznika Murphy’ego i młodego policjanta o grube szyi.

– Michael? – powiedziała cicho Maggie po drugiej strony ulicy.

– Wiem, wiem – mruknął.

Miał ochotę rzucić się na chodnik i drzeć paznokciami płyty, drzeć beton, aż dokopie się do Koko i Harry’ego Beeversa.

Gdyby to zrobił, gdyby mógł to zrobić, gdyby wiedział, gdzie kopać i miał do tego wystarczającą siłę i wytrwałność, może zdołałby uratować śmieszne życie Harry’ego.

– Michael? – Ellen powtórzyła za Maggie.

Zacisnął pięści i trzymał je przed twarzą. Ledwie je widział. Odwrócił się i przez mgłę w oczach spojrzął w głąb Elizabeth Street. Zobaczył krępa sylwetkę w długim niebieskim płaszczu, wtaczającą się w pole widzenia jak wędrujący wół.

– Wracać, schować się, nie biegiem, ale znikajcie stąd – powiedział.

– Co... – zaczęła Ellen, ale Conor złapał ją za rękę i poprowadził ulicą.

Poole schylił głowę i szedł ku osłonie wejścia pasażu, starając się wyglądać jak zaabsorbowany obywatel w drodze do domu. Poczuł na sobie wzrok policjanta, gdy zniknął z zasięgu jego wzroku. Usłyszał drżący, niezmiernie dziwny dźwięk i zdał sobie sprawę, że to pogwizdywanie Conora. Natychmiast po wejściu do pasażu rozplaszczył się pod ścianą i wyjrzał. Przysadzisty młody policjant wciąż patrzył w jego stronę. Wydawał się zdziwiony. Poole przeniósł spojrzenie na drugą stronę ulicy. Maggie i Underhill zniknęli w jednej z kamienic.

Gliniarz wsparł ręce na biodrach – coś go zaniepokoiło. Prawdopodobnie, pomyślał Poole, właśnie zaczął kojarzyć Maggie, Conora i mnie. Miał taką minę, jakby zastanawiał się, co oni wszyscy robią na Elizabeth Street. Znowu popatrzył wzdłuż Bayard Street na innych policjantów, po czym zrobił krok w stronę pasażu. Poole wstrzymał oddech i zerknął na drugi koniec ulicy. Conor i Ellen Woyzak całkiem nieźle udawali turystów, którzy zapędzili się na mało obiecujące terytorium. Młody policjant spojrzął za siebie, potem znów na pozostałych funkcjonariuszy. Cofnął się i zaczął pokazywać coś tym wokół radiowozu.

– Cholera – mruknął Poole.

Usłyszał krótki, ostry gwizd i pomyślał, że Conor wrócił do naśladowania Gary’ego Coopera. Spojrzął na drugą stronę ulicy i w łukowatej bramie jednej z kamienic zobaczył Tima Underhilla, stracha na wróble w obszernym płaszczu i oklapłym kapeluszu. Maggie Lah stała tuż za nim, a za nią Poole zobaczył fragment podwórka. Oczy Maggie wydawały się bardzo szerokie. Underhill gestykułował, przywołując go do nich, wymachując rękami jak policjant kierujący ruchem.

Młody gliniarz stał na końcu ulicy, czekając na kogoś – niecierpliwym jak Tim Underhill. Wyprostował się i w jego pole widzenia wszedł Dalton.

Poole spojrzął wzdłuż ulicy: Conor i Ellen już zniknęli za rogiem. Dalton nie widział niczego poza pustą ulicą.

Przez chwilę młody policjant mówił do Daltona. Ten spojrzął na Elizabeth Street. Michael żałował, że nie słyszy ich rozmowy.

Na pewno ich widziałeś? Ci sami?

Jasne, na pewno. Tam byli.

Co powiedział Dalton? „Zaraz wrócę z porucznikiem Murphym” czy „Pilnuj wszystkiego, dopóki nie skończymy na Mulberry Street”?

Kokolwiek to było, Dalton odszedł, być może po Murphy’ego. Gruby Kark odwrócił się, by spojrzeć na tłumy Chińczyków na Bayard Street, i odetchnął tak mocno, że Poole prawie to usłyszał.

Poole popatrzył na drugą stronę ulicy. Underhill praktycznie eksplodował, a Maggie wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, których wyrazu nie potrafił odczytać. Ponury młody policjant nie odwrócił się, gdy wyszedł na jezdnię. Teraz Elizabeth Street wydawała się bardzo szeroka. Poole szedł najszybciej, jak mógł, mając nadzieję, że nie potknie się ani nie narobi innego hałasu. Miał wrażenie, że wiatr ryczy wokół niego. W końcu znalazł się na drugim chodniku. Cała twarz Underhilla płonęła. Przy końcu ulicy zobaczył, że ramiona Grubego Karka zaczynają obracać się w jego stronę, powoli i niezdarnie jak wielka maszyna, i przebiegł ostatnie jardy, żeby jak najszybciej wpaść pod osłonę bramy.

– Możliwe, że mnie zobaczył – wysapał. – O co chodzi?

Underhill bez słowa przeszedł sklepionym przejściem na ceglane podwórko otoczone ze wszystkich stron przez obskurne mury wysokich kamienic. Unosił się tam zapach tłuszczu i potu, dziwny i nie na miejscu w mroźnym powietrzu.

– W zasadzie zobaczyliśmy to przypadkiem – powiedział Underhill.

Szedł ku jednemu z wejść. Obok szorstkich luszczących się drzwi na parter i klatkę schodową znajdowała się półokrągła studnia, a w niej musiało być przynajmniej jedno okno pomieszczenia znajdującego się poniżej poziomu gruntu.

Poole wiedział, że to tam. Tim Underhill ustawił się przy drzwiach kamienicy. Ponuro spoglądał w dół na coś, co leżało w studni. Poole miał nadzieję, że nie są to zwłoki Beevers’a. Ale właśnie je tam zobaczył. Koko wywołł Harry’ego z pasażu, wciągnął go na podwórko i poderżnął mu gardło. Po wykonaniu czynności, które były jego zwykłym podpisem, wrzucił ciało do studni. Potem rozpląnął się w powietrzu.

Po raz pierwszy Poole naprawdę bał się o własne życie. Podeszedł do studni i zajrzał.

Jego pewność odnośnie do tego, co tam zobaczy, była tak duża, że z początku nic nie widział. Tylna ściana opadała na siedem, osiem stóp do brudnego betonowego dna przed zamalowanym na czarno oknem. Na brudnym betonie leżały pozóółkłe kawałki papieru i stare puszki po piwie. Nie było tam nikogo. Spojrzał na Underhilla, potem na Maggie. Oboje patrzyli na niego z dziką niecierpliwością. W końcu Maggie wskazała jeden z kątów, gdzie zakrzywiony ceglany murek stykał się ze ścianą kamienicy.

Na gnieździe starych papierów leżał lśniący stalowy nóż. Na ostrzu czerwieniała smuga jasnej krwi.

Poole spojrział w górę, zobaczył Conora i Ellen nadchodzących drugą bramą w zachodniej kamienicy. Obeszli kwartał Mott Street i wpadli do pierwszego wejścia, jakie zobaczyli.

– Myśle, że porucznik Murphy jest prawdopodobnie tuż za nami – powiedział. – Chcę wejść do budynku.

– Nie rób tego. – Maggie spróbowała odwieść go od tego pomysłu. – Michael...

– Znam Denglera. Murphy nie. Może Beevers wciąż żyje.

– Może znasz Denglera, ale co z Koko?

To było dobre pytanie. Odpowiedź, która natychmiast wpadła mu do głowy, miała tak mało sensu, że stłumił ją, zanim zdążyła się w pełni uformować. Omal nie powiedział: „Koko jest mój, należy do mnie”.

– Pewnie wyszedł kilka godzin temu, Maggie – powiedział Tim swoim niskim, spokojnym głosem. – Pójdę z tobą, Michael.

– Jeśli Murphy zjawi się przed naszym powrotem, powiedzcie mu, dokąd poszliśmy – poprosił Poole i otworzył spazzone drewniane drzwi kamienicy.

Przestąpił próg i znalazł się przed ciemnozielonymi żelaznymi schodami prowadzącymi na górę; za nimi drugie schody prowadziły w ciemność. Na lewo miał drzwi do jednego z mieszkań. Zastukał, myśląc, że lokator słyszał, co wydarzyło się tuż za jego progiem. Zastukał ponownie, ale nikt nie odpowiedział.

– Rozejrzyjmy się po budynku – powiedział do Underhilla.

– Ja też tu jestem – odezwał się Conor za jego plecami.

Poole obejrzał się i zobaczył, że Conor zdejmuje palce Ellen ze swojego ramienia.

– Będziemy bezpieczniejsi, jeśli pójdziemy wszyscy razem.

Maggie objęła ramieniem wyższą kobietę.

Poole ruszył w stronę schodów. Zatrzymał się na chwilę i spojrział w górę na sześć czy siedem zakrętów schodów; przeszedł na drugą stronę i stanął przed schodami na dół.

Gdy tylko jego głowa znalazła się poniżej podłogi, schody stały się ciemne jak grób. Ściany były zimne i wilgotne. Tuż za nim Conor i Tim poruszali się tak cicho, że wciąż słyszał szuranie stóp Maggie i Ellen Woyzak na parterze. Powoli schodził coraz niżej. Powietrze wokół niego się ochładzało. Underhill musiał mieć rację: Koko, który kiedyś kochał Babara, uciekł stąd kilka godzin wcześniej i gdzieś tutaj, w jakimś zimnym obskurnym pokoju znajdują martwe ciało Harry’ego Beeversa. Poole chciał go znaleźć, zanim zrobi to policja. Wiedział, że Beeversowi będzie bez różnicy, ale uważał, że jest mu winien przynajmniej tyle.

W końcu zobaczył złote światło obrysowujące drzwi na dole schodów. Wychylił się nad balustradę i spojrział w górę. Nad szczytem schodów unosiła się mleczna aureola blasku.

Zszedł na sam dół. Przez szparę w drzwiach widział fragment ściany pomalowany na tę samą zieleni co schody. Była spryskana czerwienią i czernią.

Albo Conor, albo Tim znów ścisnął jego ramię. Poole zauważył ciemną smugę krwi na podłodze przed progiem.

Delikatnie pchnął drzwi. Chłód, większy niż na schodach, rznął w jego stronę. Harry Beevers siedział naprzeciwko wejścia w gęstym nieruchomym świetle, przywiązany do drewnianego krzesła grubymi pasami. Krew spłynęła po jego twarzy, po kneblującej go białej szmacie i po swetrze. Poole spostrzegł, że Beevers nie ma lewego ucha, i wiedział, że nie żyje. Nagle oczy Beeveraa otworzyły się, rozłąskły bólem i przerażeniem.

Podłoga wokół krzesła była zbrzyzgana krwią. Ściany były pokryte falami i napisami. Szczupły mężczyzna siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, tyłem do nich, skupiony na pomalowanych ścianach. Wprost przed nim widniał prymitywowy wizerunek czarnowłosej wietnamskiej dziewczynki, idącej z wyciągniętymi rękami, z uśmiechem albo krzykiem na ustach.

Poole ledwie wiedział, co czuje lub dlaczego – w tym wszystkim było zbyt wiele smutku. Koko, M.O. Dengler – albo osoba, która kiedyś była M.O. Denglerem – sam wydawał się dzieckiem. Poole nie miał pojęcia, że zamierza się odezwać, ale powiedział:

– Manny.

M.O. Dengler odwrócił głowę i spojrział na niego.

4

Poole wszedł do zimnego zielonego pokoju. Do tego momentu jakaś jego część nadal nie chciała wierzyć, że Dengler naprawdę jest Koko. Wbrew temu, co mówił Maggie i porucznikowi Murphy'emu, miał wrażenie, że potężny cios wyparł mu powietrze z płuc. Nie miał nawet załączka pomysłu, co teraz zrobić. Wciąż trudno mu było pogodzić się z myślą, że Dengler może chcieć go skrzywdzić. Przez zakrzwawiony knebel przebił się żalony jęk Harry'ego Beeversa. Poole słyszał, jak Conor i Tim wchodzą za nim i ustawiają się po obu stronach.

Dengler jakby wcale się nie postarzał. To sprawiło, że Poole poczuł się stary, bez formy i niemal zepsuty życiem. Czuł się prawie zawstydzony, stojąc przed Denglerem.

Nad czujną dziewiętnastoletnią twarzą Denglera zobaczył, że coś, co wziął za wzór fal, jest rzędem dziecięcych głów. Ciała były namalowane tylko częściowo. Niektóre dzieci trzymały ręce w górze, inne wyciągały prze siebie patykowate ramiona. Czerwona farba wiła się przez nie jak przędza. Dengler pochylił w jego stronę młodą twarz z lekko rozchylonymi ustami, jakby chciał powiedzieć: „Miałem rację co do Boga”. Albo: „Cokolwiek się wydarzyło, to było dawno temu”.

Na bocznej ścianie duże czarne litery układały się w to samo hasło, które Poole widział na policyjnych zdjęciach z polaroida: senny zdławiony beznamiętny smutek, i pod spodem, równie dużymi literami: ból jest il-u-zją.

Poole ogarnął wzrokiem to wszystko w czasie krótszym niż mrugnięcie. Zrozumiał. W porządku, jest w nie-miejscu. Wrócił tam. Tam, gdzie Koko żył przez cały czas, w tamtej podziemnej komorze, którą on i Underhill odwiedzili dwa razy.

Jestem tutaj, żeby ci pomóc, chciał powiedzieć.

Dengler uśmiechnął się do niego ze środka swojej w tajemniczy sposób zachowanej młodości.

„Byłeś niegrzeczny?” – zdawało mu się, że spytał. „Jeśli nie...”.

Harry Beevers znowu zaskamlał i jego oczy wywróciły się w głąb głowy.

– Jestem tu, żeby ci pomóc... – zaczął Poole. Miał wrażenie, że słowa wywlekają się z niego, jakby był w jednym z tych snów, w których każdy krok wymaga ogromnego wysiłku.

– Wyjdź z nami, Dengler – powiedział Conor. – To chcesz zrobić.

Poole'owi wydawało się, że uśmiechnięte dziecko z wyciągniętymi pustymi rękami ruszyło w jego stronę, jakby z głębi mrocznej chaty, i przez chwilę myślał, że słyszy łopotanie skrzydeł w zimnym powietrzu nad głową.

– Wstań i podejdź do nas – dodał Conor, robiąc krok do przodu z wyciągniętą ręką.

Beevers pisnął z bólu albo oburzenia.

Wtedy Poole usłyszał kroki mężczyzn na żelaznych schodach. Z przerażeniem spojrział na spokojną, pustą twarz Denglera.

– Stać! – wrzasnął. – Wszyscy żyjemy! Nie schodź!

Wołając, zobaczył, że Dengler podnosi się z podłogi płynnym, sprężystym ruchem. W ręce trzymał długi nóż.

– Dengler, odłóż nóż – powiedział Underhill.

Gdy Dengler wstał i zbliżał się do żarówki, zaskakująca niewinność i młodość zniknęły z jego twarzy jak miraż. Rozbił żarówkę rękojęścią noża i pokój zrobił się ciemny niczym szyb w kopalni. Poole odruchowo przykucał.

– Nic wam nie jest?! – zawołał ktoś ze schodów.

– Dengler, gdzie jesteś? – szepnął Underhill. – Wyjdźmy z tego wszyscy żywi, dobra?

– Mam pracę do wykonania.

Michael nie od razu rozpoznał ten głos. Dochodził z każdego miejsca w pokoju.

– Kto tam jest? – zapytał głośno porucznik Murphy. – Chcę wiedzieć, kto tam jest, i chcę usłyszeć głos każdego.

– Poole! – krzyknął Poole.

– Underhill!

– Linklater! Beevers też tu jest, ale ranny i zakneblowany.

– Ktoś jeszcze?! – ryknął porucznik.

– O tak – odpowiedział mu ktoś cicho.

– Poruczniku! – zawołał Poole. – Jeśli przyjdzie pan tu strzelać, wszyscy zginiemy. Niech pan wróci po schodach i pozwoli nam wyjść. Będzie potrzebna karetka dla Beeversa.

– Wychodź pojedynczo. Policjant odeskortuje każdego po schodach. Mogę zaoferować usługi negocjatora, jeśli ten mężczyzna, który was przetrzymuje, będzie chciał rozmawiać.

Michael podparł się ręką o podłogę. Też była zimna i mokra, nawet lepka, i zdał sobie sprawę, że dotyka krwi Harry'ego Beeversa.

Ze wszystkich stron dobiegł wysoki pisk przerażenia, odbijający się od ściany do ściany.

– Nie jesteśmy zakładnikami – powiedział. – Po prostu stoimy w ciemności.

– Poole, mam dość pańskiego gadania! – wrzasnął Murphy. – Chcę usłyszeć tego Koko. Kiedy już wyciągniemy was stamtąd, doktorze Poole, wtedy będę zainteresowany rozmową z panem. Wtedy będę miał panu wiele do powiedzenia. – Jego głos stawał się coraz donośniejszy, gdy wykrzykiwał kolejne słowa. – Panie Dengler! Nic panu nie grozi, dopóki będzie pan robić dokładnie to, co mówię. Ma pan po kolei wypuszczać zakładników z pokoju. Chcę, żeby pan się poddał. Czy to jasne?

Dengler powtórzył to, co powiedział zaraz po stłuczeniu żarówki.

– Mam pracę do wykonania.

– W porządku – powiedział Murphy. Poole usłyszał, jak mówi do innego policjanta: – Mam pracę do wykonania. Co to, do cholery, znaczy?

Tuż przy uchu Poole'a rozległ się szept, tak blisko i niespodziewanie, że aż podskoczył.

– Każ mu wrócić na górę.

– Mówi, że macie wrócić na górę! – krzyknął Poole.

– Kto to?

– Poole.

– Powinienem się domyślić – powiedział Murphy ciszej. – Jeśli wrócimy na górę, czy uwolni was wszystkich?

– Tak – szepnął głos w drugim uchu Poole'a.

– Tak! – Poole nie słyszał najcichszego dźwięku, gdy Dengler przemieszczał się wokół niego. Teraz znów słyszał łopotanie skrzydeł, w rzeczywistości będące odgłosem nieustannie poruszającej się w pobliżu dużej grupy ludzi. Czuł zapach krwi.

– Jakież inne prośby?! – krzyknął Murphy sarkastycznie.

– Wszyscy policjanci mają być na podwórku – wyszeptał głos prosto w twarz Michaela.

– Chcę, żeby wszyscy policjanci wyszli na podwórko.

– Jeśli zakładnicy zostaną uwolnieni – powiedział Murphy. – Załatwione.

– Conor, wszystko w porządku? – zapytał Poole.

Nie doczekał się odpowiedzi. Pozostali nie żyją, a on jest sam w nie-miejscu z Koko. Kuca w kałuży krwi swoich przyjaciół, a Koko trzepocze wokół niego niczym setka ptaków lub nietoperzy.

– Conor!

– Hej. – Głos Conora uśmierzył jego strach.

– Tim?

Znowu brak odpowiedzi.

– Tim!

– Nic mu nie jest – rozległ się szept. – Po prostu w tej chwili nic nie mówię.

– Tim, słyszysz mnie?

Michael poczuł coś bolesnego i rozgranego do czerwoności na prawym boku. Przycisnął rękę do bólu. Nie wyczuł krwi, ale w materiale płaszczka było długie czyste rozcięcie.

– Byłem na Muffin Street – powiedział. – Rozmawiałem z twoją matką. Helgą Dengler.

– Nazywamy ją Kulki – dobiegł szept z prawej strony.

– Wiem o twoim ojcu... wiem, co zrobił.

– Nazywamy go Krwią – rozległ się szept tam, gdzie Michael ostatnio widział Conora.

Poole wciąż trzymał rękę przy boku. Teraz czuł, jak krew przesiąka przez płaszcz.

– Zaśpiewaj mi piosenkę słoni.

Z różnych części pokoju popłynęły urywki niemelodycznej piosenki bez słów, muzyka niezemska, muzyka nie-miejscu. Czasami brzmiało to tak, jakby dzieci mówiły lub krzyczały w dużej odległości, martwe dzieci namalowane na ścianach. Poole znowu wiedział, że bez względu na to, co słyszy w tym pokoju, jest sam z Koko, a reszta świata znajduje się na drugim brzegu rzeki, której żaden człowiek nie może przebyć żywy.

Gdy piosenka Koko pomykała w ciemności, Poole słyszał również kroki policjantów wycufujących się po żelaznych schodach. Jego bok płonął i palił, krew wsiąkała w ubranie. Pokój poszerzył się do rozmiarów świata i był w nim sam z Koko i martwymi dziećmi.

W końcu głos Murphy'ego zatrzeszczał przez megafon.

– Jesteśmy na podwórku. Zostaniemy tutaj, dopóki nie wyjdą trzej mężczyźni, którzy są z tobą. Czego jeszcze chcesz?

– Nie marnujemy żadnej części zwierzęcia – rozległ się syczący głos.

Umierające dzieci zawodziły i szlochały. Nie, dzieci nie żyją, przypomniał sobie Poole: to Harry Beevers.

– Mam mu powiedzieć, że nie marnujesz żadnej części zwierzęcia? – zapytał. – I tak mnie nie słyszy.

– Słyszysz cię doskonale – zabrzmiał lodowaty szept.

Wtedy Poole zrozumiał.

– To był slogan reklamowy sklepu mięsnego, prawda? Sklep mięsny Baranek Boży Denglera. Założył się, że był wypisany zaraz pod nazwą. Nie marnujemy żadnej części zwierzęcia.

Wszystkie głosy ucichły, bezsensowne piosenki i krzyki martwych dzieci. Przez chwilę Poole czuł, jak w zimnym martwym powietrzu wokół niego narasta agresja, i prawie zamarzło mu serce. Usłyszał szelest ciężkiej odzieży – Underhill ruszył w stronę drzwi. Wiedział, że Koko znowu go dźgnie, tym razem go zabije i zerwie mu twarz z czaszki, jak Victorowi Spitalny'emu.

– Myślisz, że zabił twoją prawdziwą matkę? – szepnął. – Myślisz, że umówił się na spotkanie z Rositą Orosco na brzegu rzeki i tam ją zamordował? Ja tak. Myślę, że tak właśnie zrobił.

Cichy wydech przyniósł bezsłowny szept z jego lewej strony.

– Conor?

– Hej.

– Ty także wiedziałeś, prawda? – zapytał Poole. Zbierało mu się na płacz, wcale nie ze strachu. – Nikt ci nie powiedział, ale zawsze wiedziałeś. – Czuł, że jego serce odmarza. Musi to powiedzieć, zanim Koko zabije ich wszystkich albo zanim policja wpadnie i ich wystrzela. – Dziesięć dni po twoich narodzinach Karl Dengler spotkał się z Rositą Orosco na brzegu rzeki. Był środek zimy. Dźgnął ją, a potem rozebrał i zostawił. Czy zgwałcił ciało, gdy ją zabił? A może zrobił to tuż przed tym? Później przychodził do twojej sypialni, kiedy byłeś małym chłopcem, i robił ci to, co zrobił jej. Noc po nocy.

– Co się dzieje? – rozległ się zniekształcony, wzmocniony głos Murphy'ego.

– Noc po nocy – powtórzył Poole. – Tim wiedział o tym w pewien sposób... nie wiedząc, co się właściwie zdarzyło, czuł to, czuł wszystko. Całe twoje życie sprowadzało się do tego, o czym Underhill wiedział, po prostu patrząc na ciebie.

– Underhill wychodzi pierwszy – szepnął Koko za jego plecami. Nóż wsunął się pod ucho Poole'a, dzieci zawodziły i błagały o życie. – Pierwszy Underhill. Później ty. Następnie Linklater. Ja wyjdę ostatni.

– Mam rację, prawda? – zapytał Poole. Głos mu drżał i wiedział, że Koko nie odpowie. Nie musiał odpowiadać. – Underhill wychodzi pierwszy! – wrzasnął.

Sekundę później usłyszał głos Murphy'ego dochodzący z drugiego brzegu wielkiej rwącej rzeki. Murphy nie wiedział o rzece, która otaczała nie-miejsce i odcinała je od każdego miejsca ludzi.

– Wyślij go! – zawołał Murphy.

Harry Beevers wydał z siebie dźwięk uwięzionego zwierzęcia i napał na pasy.

Jeśli Underhill żyje, pomyślał Poole, Dengler wysłała go, bo chce, żeby kontynuował swoją niezrównaną opowieść. Maggie Lah stoi po drugiej stronie rzeki i nigdy więcej jej nie zobaczy, ponieważ po tej stronie leży posepna wysepka umarłych.

– Idź, Underhill – powiedział. – Wejźdź po schodach. – Jego głos brzmiał dziwniej niż kiedykolwiek.

Drzwi uchylły się i w zdumieniu zobaczył, że plecy Tima Underhilla wyslizgują się z pokoju. Drzwi powoli zamknęły się za nim. Usłyszał ciężkie kroki na schodach.

– Alleluja – powiedział. – Kto teraz?

Słyszał tylko skrzypienie i jęki brzmiały jak płacz martwych dzieci.

– To przez to, co wydarzyło się w jaskini, prawda? – powiedział. – Boże dopomóż Harry'emu Beeversowi.

– Wyślij następnego człowieka – zatrzeszczał głos Murphy'ego.

– Kto następny? – zapytał Poole.

– Teraz jest tu inaczej – szepnął Conor.

Gdy tylko Conor skończył mówić, Poole poczuł prawdę jego słów. Już nie otaczało go poczucie grającego ruchu: zimne powietrze wydawało się idealnie puste. Stał w ciemnym pomieszczeniu w piwnicy – nie było dzieci, nie było rzeki.

– Wyjdźmy razem.

– Ty pierwszy – powiedział Conor. – Zgadza się, Dengler?

Beevers protestował piskami i chrząkaniem.

– Będę tuż za tobą – dodał Conor. – Dengler, wychodzimy.

Poole ruszył w stronę niewyraźnego zarysu drzwi. Czuł się tak, jakby musiał odblokować ręce i nogi. Każdy krok sprawiał, że rana w jego boku wrzeszczała. Czuł, jak krew wyszłizguje się z jego ciała, i podłoga wydawała się zalana krwią.

Wtedy zrozumiał, co się stało – Dengler poderżnęła sobie gardło. Dlatego głosy ucichły. Dengler zabił się i jego zwłoki leżą w ciemności na podłodze jego małej celi.

– Niedługo ktoś zejdzie, żeby ci pomóc, Harry – powiedział. – Żałuję, że kiedykolwiek cię słuchałem.

Skrzypienie i jęki.

Poole dotarł do drzwi. Przyciągnął je do siebie i otoczyła go nieco rzadsza ciemność. Przestąpił próg. Ciemność wydawała się taka jak wtedy, kiedy tu schodzili. Spojrzał w górę, w stronę mglistego nimbu u szczytu schodów, i zobaczył wpatrujących się w niego dwóch umundurowanych policjantów. Pomyślał o biednym obłąkanym Denglerze, martwym lub umierającym w pokoju, i o Harrym Beeversie. Nigdy więcej nie chciał widzieć Harry'ego Beeverssa.

– Idziemy – powiedział. Jego głos był słaby, jakby nie jego.

Michael wciągał się na kolejne stopnie. Gdy światło pojaśniało, spojrział na zraniony bok. Nie bez wysiłku utrzymał się na nogach – a chwilę później zdał sobie sprawę, że ilość krwi jest zwindnicza. Koko chciał go poważnie zranić, nie zabić, i gruby płaszcz uchronił go przed poważnymi obrażeniami.

– Dengler się zabił – powiedział.

– Tak – potwierdził za nim Conor.

Poole obejrzał się i zobaczył Conora z oczami wielkości talerzy. Odwrócił się i szedł dalej.

Na szczybie schodów jeden z policjantów zapytał go, czy wszystko w porządku.

– Nie jest najgorzej, ale mnie też przyda się karetka.

Dalton wetknął głowę w drzwi.

– Pomóż temu człowiekowi.

Pole pozwolił, żeby policjant go objął i pomógł mu wyjść z kamienicy. Na dworze było znacznie cieplej, a brudne podwórko wydało mu się piękne. Maggie krzyknęła. Odwrócił się w stronę dźwięku, ledwie rejestrując postać Tima, odzianego w płaszcz, zgarbionego i stojącego pod ścianą z pochyloną głową. Maggie i Ellen Woyzak stały w odległym narożniku pięknego małego podwórka, w formalnych pozach, jak ustawione przez wybitnego fotografa. One też były piękne – beżmiernie piękne, każda na swój sposób. Poole miał wrażenie, że jego wyrok śmierci został złagodzony w chwili, gdy zawiązano mu opaskę na oczach. Twarz Ellen pojaśniała, gdy wyszedł za nim Conor.

– Zabierzcie go do karetki – warknął Murphy, opuszczając megafon. – Beevers i Dengler wciąż tam są?

Poole skinął głową. Maggie z cichym krzykiem przypadła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Mówiła tak szybko, że nie rozróżniał słów – tylko trochę przypominały angielski – ale nie musiał wiedzieć, co mówi, żeby zrozumieć. Pocałował ją w głowę.

– Co się stało? – zapytała Maggie. – Gdzie jest Dengler?

– Myślę, że się zabił, myślę, że nie żyje.

– Zabierz go do karetki – powiedział Murphy. – Potem zostań z nim w szpitalu. Ryan, Peebles, zjedźcie tam i zobaczcie, co z pozostałymi dwoma.

– Harry? – zapytała Maggie.

Ellen Woyzak objęła Conora, który stał nieruchomo jak posąg.

– Żyjesz.

Młody gliniarz o grubym karku podszedł do Poole'a z wyrazem głupiej satysfakcji na twarzy i pchnął go w stronę sklepionego przejścia na Elizabeth Street. Poole zerknął na Underhilla. Tim wciąż stał oparty o ścianę obok policjanta, który wyprowadził go z kamienicy. Nie wyglądał normalnie, ale w inny sposób niż Conor, który też nie wyglądał normalnie. Stał w kapeluszu głęboko naciągniętym na czoło, z pochyloną głową i postawionym kołnierzem płaszcza.

– Tim? – odezwał się Poole.

Underhill odsunął się kawałek od policjanta, ale nie uniósł wzroku.

Jest mały, Poole w końcu to zobaczył. Mała kieszonkowa wersja Underhilla. Oczywiście ludzie się nie kurczą. Sekundę przed zrozumieniem, co się stało, zobaczył błysk zębów w niemal niezwykłym uśmiech w fałdach podniesionego kołnierza.

Jego ciało zamarło. Chciał krzyknąć, wrzasnąć. Odcięła go szeroka czarna rzeka i martwe dzieci zawodziły.

– Michael? – odezwała się Maggie.

Wskazał postać w kapeluszu i płaszczu Underhilla.

– Koko! – Wreszcie odzyskał głos. – Tam! Ma na sobie...

W ręce uśmiechniętego mężczyzny w płaszczu Underhilla błysnął długi nóż. Mężczyzna obszedł policjanta, zacisnął dłoń na jego ramieniu i wbił mu nóż głęboko w plecy.

Poole umilkł. Zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, mężczyzna zniknął w bramie prowadzącej na Elizabeth Street.

Ranny policjant usiadł ciężko na ceglach z oszołomioną i pustą twarzą. Murphy przystąpił do działania, wysłał czterech mundurowych za Denglerem, kazał zanieść rannego do ambulansu. Omiótł podwórko ostatnim wściekłym spojrzeniem i pobiegł na Elizabeth Street.

– Mogę poczekać – powiedział Michael, gdy policjant spróbował pchnąć go w stronę bramy i karetek. – Muszę zobaczyć Underhilla.

Policjant spojrział na niego zdezorientowany.

– Na miłość boską, wyciągnijcie go z piwnicy!

– Michael... – zaczęła błagalnie Maggie. – Musisz jechać do szpitala. Pojadę z tobą.

– Jest lepiej, niż to wygląda. Nie rusz się stąd, dopóki nie zobaczę, co się stało z Timem.

Jęknął w duchu. Tim nie żyje. Koko po cichu go zamordował, zabrał jego płaszcz i kapelusz, opuścił piwnicę w przebraniu.

– O nie... – Maggie chciała pobiec do drzwi kamienicy, ale najpierw on chwycił ją za ramię, a potem przytrzymał ją Dalton.

– Ruszaj, Dalton – ponaglił go. – Puść moją dziewczynę, zejdź na dół i zobacz, czy można pomóc Timowi, bo inaczej stłukę cię tak, że się zesrasz. – Bok płonął i pulsował. Z ulicy dobiegały krzyki i tupot kroków.

Dalton powoli odwrócił się ku bramie, po czym zmienił zamiar i ruszył do drzwi kamienicy.

– Johnson, zobaczmy, dlaczego nie wychodzą.

Jeden z policjantów potruchtął za nim. Poole słyszał, jak biegną po schodach.

– Mówię poważnie – powiedział. – Będę tłuc... aż się zesrasz...

Ellen i Conor ruszyli przez podwórko w stronę Poole'a i Maggie.

– Uciekł, Mikey – powiedział Conor głosem pełnym niedowierzania.

– Dopadną go. Nie może być aż tak dobry.

– Przepraszam, Mikey.

– Byłeś świetny, Conor. Byłeś lepszy niż reszta z nas.

Conor pokręcił głową.

– Tim nawet nie sapnął. Chyba... chyba nie...

Poole skinął głową. On też nie chciał tego powiedzieć.

– Mocno cię dziabnął?

– Nie jest tak źle – odparł Poole. – Ale chyba usiądę.

Oparł się plecami o mur i osunął na cegły, podtrzymywany przez Maggie za jeden łokieć, przez Conora za drugi. Gdy usiadł, zrobiło mu się bardzo gorąco, więc spróbował zdjęć płaszcz, ale bok krzyknął ostrzegawczo. Usłyszał swój jęk.

Maggie uklękła przy nim i wzięła go za rękę.

– Tylko uklucie. I lekki szok – uspokoił ją.

Ścisnęła jego dłoń.

– Nic mi nie jest, Maggie. Tylko trochę gorąco. – Pochylił się, a ona pomogła mu ściągnąć płaszcz z ramion. – Wygląda o wiele gorzej, niż jest. Ale ten gliniarz został ciężko ranny. – Rozejrzał się, szukając policjanta, którego Koko dźgnął nożem. – Gdzie on jest?

– Zabrali go dawno temu.

– Mógł chodzić?

– Był na noszach. Chcesz pójść do ambulansu? Jest jeszcze jeden.

Usłyszeli głośne kroki na schodach.

Chwilę później dwóch policjantów wyprowadziło Harry'ego Beeversa. Z dużym białym opatrunkiem z boku głowy wyglądał jak ofiara bójkii ulicznej. Nie mógł iść o własnych siłach i chwiał się między policjantami.

– Gdzie on się podział? – zapytał stłumionym, pełnym bólu głosem. – Gdzie jest ten dupek?

Poole założył, że chodzi mu o Koko, i prawie się uśmiechnął – miał prawo zadać to pytanie.

Ale przenikliwe, nieszczęśliwe spojrzenie Beeversa zatrzymało się na nim i natychmiast przepeliła je gorycz.

– Duppek. Wszystko spierdoliłeś! Coś ty sobie myślał? Chciałeś, żeby nas wszystkich pozabijał? – Niemiarygodne, spróbował wyrwać się policjantom i podejść do niego. – Dlaczego chcesz zwalić całą

więc na mnie? Ty spierdoliłeś, Poole! Cholernie spierdoliłeś! Prawie go miałem, a ty pozwoliłeś mu uciec!

Poole nie słuchał pomstującego Beeversa. W drzwiach kamienicy pojawił się Dalton z wysokim, krzepkim, czarnoskórym policjantem. Podtrzymywali Tima Underhilla. Jego twarz była niebieskawa, zęby mu szczękały. Pool spostrzegł, że bok swetra ma rozcięty i cały zakrwawiony – na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jakby ktoś próbował przeciąć Tima na pół, jak jego.

– A niech mnie, Michael – powiedział Underhill, gdy wyprowadził go na podwórko.

– A niech mnie, Timothy. Dlaczego nic nie powiedziałeś, kiedy Dengler ściągał ci ubranie?

– Posadźcie mnie obok Poole’a – poprosił Underhill.

Dalton i drugi policjant pomogli mu przejść przez podwórko i ostrożnie posadzili go na ceglach. Inny policjant, którego przywołał Dalton, nadbiegł z kocem i zarzucił go na ramiona Underhilla.

– Zakneblował mnie – wyjaśnił Underhill. – Myślę, że koszulą Beeversa. Stary dobry Harry miał na sobie koszulę, kiedy wyszedł?

– Nie wiem.

Porucznik Murphy wrócił z Elizabeth Street i obaj mężczyźni spojrzeli na niego. Nadal miał purpurową twarz, tyle z wysiłku, co z wściekłości. To jedna z tych irlandzkich twarzy, pomyślał Poole. Zanim stuknie mu sześćdziesiątka, jego twarz będzie miała ten kolor na stałe. Gdy detektyw zobaczył Poole’a i Underhilla opierających się o ścianę z nogami wyciągniętymi przed siebie, zamknął oczy, a jego usta zacisnęły się w napiętą linię bez warg. Wycedził:

– Myślisz, że zdołasz ściągnąć następny ambulans dla tych dwóch idiotów? To nie szpital dla rekonalescentów.

– Doktor Poole nie chciał się stąd ruszyć, dopóki nie wyjdzie pan Underhill – zameldował Dalton. – A gdy Beevers wszedł do karetki, zagroził, że powie wszystkim w zasięgu wzroku, jeśli natychmiast go nie zabiorą. Więc...

Murphy popatrzył na niego.

– Tak jest – mruknął Dalton i szybko opuścił podwórko.

– Dorwaliście go? – zapytał Poole.

Murphy zignorował pytanie i podszedł do drzwi kamienicy, jakby sądził, że może tam być ktoś jeszcze. Potem spojrział na okno.

– Spakuj ten nóż – polecił jednemu z mundurowych.

– Złapaliście go?

Murphy nadal go ignorował.

Kilka sekund później usłyszeli zawodzenie ambulansu, coraz głośniejsze, aż podjechał pod kamienicę i syrena ucichła. Dalton wrócił i zapytał, czy potrzebują noszy.

– Nie – odparł Poole.

– Nie? – parsknął Underhill. – Czy w dzisiejszych czasach nosze są niemęskie?

– Co się stało z policjantem, którego dźgnął Dengler? – zapytał Poole.

Dalton i ten czarny ostrożnie podnosili go na nogi, a Maggie kręciła się wokół nich jak kwoka.

– Zmarł w drodze do szpitala – odrzekł Murphy. – Dowiedziałem się o tym przed chwilą.

– Przykro mi.

– Czemu? Nie pan go dźgnął, prawda? – Murphy znów z płonąca twarzą przemierzył podwórko i stanął przed Poole’em. – Nie złapaliśmy waszego przyjaciela Denglera. – Jego brwi prawie spotkały się przy głębokiej, złej pionowej bruzdzie na czole. – Porzucił kapelusz i płaszcz na rogu i pognął Mott Street jak królik. Sądźmy, że schował się w któryms budynku. Dopadniemy go, Poole. Nie ma obawy. Daleko nie ucieknie. – Murphy odwrócił się, zaciskając i rozluźniając szczęki. – Zobaczę się z panem i pańskim kumplem w szpitalu.

– Przykro mi z powodu śmierci jednego z pańskich ludzi, a nie dlatego, że miałem z tym coś wspólnego.

– Jezu Chryste – jęknął Murphy, odwracając się, żeby wyprzedzić ich w bramie.

– Niektórzy ludzie po prostu nie rozumieją współczucia – powiedział Underhill do Poole’a, gdy prowadzono ich do ambulansu.

Młody rezydent o dziecięcej twarzy pozszywał Poole'a i Underhilla na oddziale pomocy doraźnej. Oznajmił, że rany są identyczne i „urokliwe”, co oznaczało, że zostaną po nich spore blizny, ale – zgodnie z wcześniejszą oceną Poole'a – nie stanowią zagrożenia dla życia ani zdrowia. Po szyciu zabrano ich na górę do dwuosobowego pokoju i tam policjant, który przyjechał z nimi w ambulansie, powiadomił ich, że spędzą noc pod jego opieką. Nazywał się LeDonne, miał schludne wąsy i życzliwe oczy.

– Będę tuż za drzwiami – dodał.

– Nie musimy zostawać tu na noc – zaprotestował Poole.

– Porucznikowi naprawdę na tym zależy – powiedział LeDonne, co Michael uznał za uprzejmą formę rozkazu, że mają zostać przynajmniej na jedną noc w szpitalu.

Maggie Lah zjawiła się z Conorem Linklaterem i Ellen Woyzak trzy godziny po tym, jak zainstalowali się w pokoju. Opowiedzieli im obu o czasie spędzonym z porucznikiem Murphym. Porucznik słyszał historię o przybyciu do budynku przy Elizabeth Street wystarczająco wiele razy, by dojść do wniosku, że nie są winni niczego oprócz lekkomyślności, i w końcu nie wysunął przeciwko nim żadnego zarzutu.

Maggie powiedziała Michaelowi i Timowi Underhillowi, nieco otumanionym przez środki przeciwbólowe, że Koko wymknął się policji w Chinatown, ale Murphy jest pewien, że schwytają go przed zmrokiem.

Maggie została, gdy Conor i Ellen pojechali na Grand Central, żeby złapać pociąg Metro North. Ellen pocałowała obu mężczyzn i prawie musiała wyciągnąć Conora za drzwi. Poole pomyślał, że Conor niemal żałuje, że sam nie został ranny, bo wtedy mógłby zostać z nimi.

– Gdzie położyli Beeversa? – zapytał Maggie.

– Trzy piętra wyżej. Chcesz go zobaczyć?

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek chciał zobaczyć Harry'ego Beeversa.

– Stracił ucho – powiedziała Maggie.

– Ma drugie.

Światło w szpitalnym pokoju zrobiło się mgliste i Michael pomyślał o pięknej szarej aureoli blasku na szczycie schodów, gdy wychodził z celi Koko. Przyszła pielęgniarka i dała mu kolejny zastrzyk, chociaż powiedział, że go nie chce ani nie potrzebuje.

– Wie pani, jestem lekarzem – oznajmił.

– Nie teraz – powiedziała i wbiła igłę w jego lewy pośladek.

Później wdał się z Timem Underhillem w długą rozmowę o Henrym Jamesie. Później z tej półmroczonej rozmowy pamiętał tylko to, że Tim opisał sen, który James miał w podeszłym wieku – coś o przerażającej postaci próbującej włamać się do pokoju pisarza, który w końcu zaatakował napastnika i go przepędził.

Tego lub następnego dnia, ponieważ Murphy kazał ich zatrzymać jeszcze na co najmniej dwadzieścia cztery godziny, tuż przed końcem pory odwiedzin na progu pokoju stanęła Judy Poole. Za jej plecami Michael zobaczył Pat Caldwell. Zawsze lubił Pat Caldwell. Teraz nie mógł sobie przypomnieć, czy zawsze lubił swoją żonę.

– Nie wejdę, dopóki ta osoba nie wyjdzie – oświadczyła Judy.

Tą osobą była Maggie Lah, która natychmiast zaczęła zbierać swoje rzeczy.

Michael dał jej znak, że ma zostać.

– W takim razie nie wchodzisz – powiedział. – Ale myślę, że szkoda.

– Nie zobaczysz się z Harrym?! – zawołała do niego Pat. – Mówi, że ma z wami wiele spraw do omówienia.

– W tej chwili nie jestem zainteresowany rozmową z Harrym. A ty, Tim?

– Może później – odparł Underhill.

– Michael, nie zamierzasz pozbyć się tej dziewczyny? – zapytała Judy.

– Nie, nie sądzę. Judy, wejdź, żebyśmy mogli rozmawiać bez podnoszenia głosu.

Judy odwróciła się i odmaszerowała szpitalnym korytarzem.

– Pobyt w szpitalu to niezły ubaw – stwierdził Michael. – Całe życie staję ci przed oczami.

Nazajutrz, późnym wieczorem, kiedy był dość przytomny, by czuć ból rany, do pokoju wszedł porucznik Murphy. Uśmiechał się, spokojny i opanowany jak człowiek, którego Beevers podziwiał na pogrzebie Tiny Puma.

– Już nic wam nie zagraża, więc wysyłam LeDonne'a do domu, żeby trochę odpoczął. Możecie wypisać się rano. – Zakolysał się na piętach, najwyraźniej niepewny, jak przekazać im następną wiadomość. W końcu zdecydował się na mieszanekę optymizmu i agresji. – Teraz jest nasz. Dzięki wam dwóm i panu Beeversowi nie dopadliśmy go w Chinatown, ale powiedziałem wam, że w końcu go dopadniemy. I dopadniemy.

– Wie pan, gdzie jest Dengler? – zapytał Tim.

Murphy skinął głową.

– No, gdzie? – ponaglił go Poole.

– Nie musicie tego wiedzieć.

– Ale nie możecie go teraz zatrzymać?

Murphy pokręcił głową.

– Mamy go w garści. Nie musicie się o to martwić.

– Nie martwię się – powiedział Poole. – Jest w samolocie?

Murphy spojrzał na niego gniewnie, po czym skinął głową.

– Nie miał pan ludzi na lotnisku?

Teraz Murphy zrobił zirytowaną minę.

– Oczywiście, że miałem. Miałem ludzi na każdej stacji metra, z której mógł skorzystać, mieliśmy ludzi na dworcach autobusowych, a także na Kennedy i La Guardia. – Chrząknął. – Ale udało mu się dotrzeć do Nowego Orleanu, zanim go zidentyfikowaliśmy. Zanim ustaliliśmy, jakim nazwiskiem się posługuje i dokąd się wybiera, zdążył przesiąść się w Nowym Orleanie. I właśnie leci. Dla niego to już koniec.

– Dokąd leci?

W końcu Murphy postanowił im powiedzieć.

– Do Tegucigalpy.

– Honduras – mruknął Poole. – Dlaczego tam? Aha. Roberto Ortiz. Sprawdził pan listy pasażerów i znalazł nazwisko. Dengler wciąż ma paszport Roberta Ortiza.

– Nie muszę panu nic mówić, prawda?

– Niech mi pan powie, że tym razem go dopadniecie.

– Nie może opuścić samolotu. Nie sądzę, że odstawi D.B. Coopera. A kiedy za cztery godziny samolot wyląduje w Tegucigalpie, będzie na niego czekać armia. Ci ludzie chcą być naszymi przyjaciółmi. Ci ludzie będą tańczyć, jak im zagramy. Dopadną go, zanim dotknie stopami ziemi. – Murphy naprawdę się uśmiechnął. – Nie możemy go zgubić. Według was, panowie, ten facet może być uciekającym piechurzem, ale tym razem ucieka prosto w pułapkę. – Skinął głową na pożegnanie i podszedł do drzwi; za progiem coś wpadło mu do głowy i zajrzał do pokoju. – Rano opowiem wam, jak poszło. W tym czasie wasz chłopak będzie już w drodze powrotnej. – Uśmiechnął się. – W kajdankach. I pewnie z kilkoma siniakami i bez paru zębów.

Po jego odejściu Underhill powiedział:

– Oto idol Harry’ego Beeversa.

Weszła pielęgniarka i dała im po kolejnym zastrzyku.

Poole zasnął, martwiąc się o samochód, który zostawił przy parkometrze na Division Street.

* * *

Nazajutrz rano zaraz po przebudzeniu zadzwonił do Dziesiątego Komisariatu. Na jego szafce nocnej stał wazon z irysami i kaliami, a obok wazonu leżał egzemplarz *Ambasadorów* i dwie książki o Barabrze. W nocy Maggie zdołała uratować jego auto. Poole spytał policjanta, który odebrał telefon, czy porucznik Murphy planuje tego ranka wizytę w szpitalu św. Wincentego.

– O ile wiem, nie ma takich planów – odparł policjant. – Ale nie mnie o to pytać.

– Jest porucznik?

– Porucznik uczestniczy w zebraniu.

– Czy Honduranie aresztowali Denglera? Może mi pan tyle powiedzieć?

– Przykro mi, nie mogę udzielić tych informacji. Musi pan porozmawiać z porucznikiem. – Rozłączył się.

Kilka minut później zjawił się lekarz, żeby ich wypisać, i powiedział, że rano młoda kobieta przyszła z ubraniami na zmianę dla nich obu. Po wyjściu lekarza pielęgniarka przyniosła dwie brązowe torby, każdą ze świeżą bielizną, skarpetkami, koszulą, swetrem i dżinsami. Ubrania Underhilla pochodziły z jego pokoju w Sajgonie, ale te Poole’a były nowe. Maggie zgadywała, jaki ma rozmiar, kołnierzyk koszuli był o numer za mały, a dżinsy w pasie miały trzydzieści sześć cali zamiast trzydziestu czterech, ale jedno i drugie dało się nosić. Na dnie torby znalazł notatkę: „Nie mogłam kupić płaszczy, bo skończyły mi się pieniądze. Lekarz mówi, że wyjdziecie około wpół do dziesiątej. Przyjedziesz do Sajgonu, zanim pójdziesz, dokądkolwiek masz pójść? Twój samochód jest w garażu po drugiej stronie ulicy. Pozdrawiam, Maggie”. Do notatki była przypięta przyczepka z garażu.

– Żadnych płaszczy – powiedział Poole. – Mój został zniszczony, a twój prawdopodobnie jest dowodem. Ale nie martw się, dostaniemy coś do ubrania. Ludzie zawsze zostawiają rzeczy w szpitalach.

Podpisali stos formularzy z rachunkami. Młody pielęgniarz Wilson Manly wyposażył ich, zgodnie z przewidywaniami Poole'a, w płaszcze należące do dwóch starszych samotnych panów, którzy zmarli w tygodniu.

– Są dość marne – stwierdził. – Gdybyście mogli poczekać dzień lub dwa, pewnie nadarzyłoby się coś lepszego.

Underhill w długim brudnym płaszczu przypominał kłusownika; Poole w starożytnym chesterfieldzie z wyświechtanym aksamitnym kołnierzem wyglądał jak zubożały lew salonowy.

Po odebraniu audi Poole przez jakiś czas siedział za kierownicą, po czym wjechał na Siódmą Aleję. Bolał go bok, a chesterfield pachniał winem i dymem tytoniowym. Zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, dokąd jedzie. Może po prostu będzie jechał wiecznie. Zatrzymał się na pierwszych światłach i uzmysłowił sobie, że może jechać wszędzie. Przez chwilę nie był lekarzem, ani mężem, ani kimkolwiek dla Maggie Lah: jego największa odpowiedzialność dotyczyła samochodu, w którym siedział.

– Podruczisz mnie do Sajgonu? – zapytał Underhill.

– Tak. Ale najpierw złożymy wizytę naszemu ulubionemu policjantowi.

6

Porucznik Murphy nie mógł od razu się z nimi zobaczyć. Przysłał wiadomość, że mogą poczekać, jeśli chcą, ale jest zajęty innymi sprawami; nie, nie ma żadnych informacji o losie ściganego M.O. Denglera. Młody oficer po drugiej stronie kuloodpornego pleksiglasu odmówił wpuszczenia ich do komisariatu; nie chciał spojrzeć im w oczy, odwracał się i udawał, że ma robotę przy biurku.

– Złapali go, gdy wyszedł z samolotu? – zapytał Poole. – Wraca cały okręcony łańcuchami i z mnóstwem świeżych siniaków?

Policjant milczał.

– Nie uciekł, prawda? – Poole prawie krzyczał.

– Chyba mieli jakieś kłopoty na trasie – powiedział młody policjant ledwie słyszalnym głosem.

Po półgodzinnym oczekiwaniu detektyw Dalton w końcu zlitował się nad nimi i wpuścił ich do komisariatu. Wprowadził ich po schodach i otworzył drzwi pokoju B.

– Sprowadzę go tu – oznajmił i uśmiechnął się do Poole'a. – Podobą mi się ten płaszcz.

– Zamienię się na twój – powiedział Poole.

Dalton zniknął. Parę minut później drzwi się otworzyły i wszedł porucznik Murphy. Jego skóra straciła część wściekłego zdrowego rumieńca, a ramiona opadły. Nawet arogancki wąsik Keitha Hernandezy wyglądał na zmęczony. Murphy skinął głową, rzucił teczkę na stół i padł na najbliższe krzesło.

– Dobrze. Nie chcę, żebyście myśleli, że was unikam. Nie chciałem do was dzwonić, dopóki nie poznam szczegółów. – Rozłożył ręce, jakby powiedział wszystko, co miał do powiedzenia.

– Samolot nie wylądował? – zapytał Poole. – Co on zrobił? Porwał go?

Murphy zgarbił się na krześle.

– Nie, samolot wylądował. Właściwie więcej niż raz. Przypuszczam, że w tym problem.

– Zrobił nieplanowany przystanek?

– Niezupełnie. – Murphy mówił bardzo powoli i niechętnie, a na jego twarzy pojawiły się pierwsze oznaki wiosny. – Samolot do Tegucigalpy z tego kraju zawsze ma międzylądowanie w Belize. Mieliśmy tam ludzi, na wypadek gdyby Dengler spróbował wyciąć jakiś numer. Tak przynajmniej mówią nam siły w Belize. – Poole pochylił się, chcąc coś powiedzieć, i Murphy uniósł rękę jak znak stopu. – Regularnie ląduje również w miejscu zwanym San Pedro de Sula w Hondurasie i tam też Honduranie mieli ludzi sprawdzających każdego, kto wysiadł z samolotu. Zaraz, doktorze, zaraz powiem, co się stało. Jak myślę, co się stało. Między San Pedro de Sula a Tegucigalpą jest tylko jeszcze jeden regularny przystanek. – Spróbował się uśmiechnąć. – Tak zwane lotnisko Goloson w malowniczym miasteczku La Cieba. Samolot spędza na ziemi około dziesięciu minut. Wsiadają tam tylko pasażerowie krajowi, mają karty pokładowe w innym kolorze niż ci międzynarodowi, więc każdy może zobaczyć, kim są. Pasażerowie krajowi nie muszą przechodzić przez odprawę celną, imigracyjną i nic innego. Na Goloson zostało wysłanych kilku honduraskich żołnierzy, ale nie widzieli nikogo poza pasażerami krajowymi.

– Ale nie było go w samolocie, kiedy wylądował w Tegucigalpie – powiedział Poole.

- Zgadza się. Na odległość trochę trudno stwierdzić, ale wygląda na to, że nigdy tam nie wylądował.
- Wciągnął powietrze. – Co to za zapach?
- Dyżurny w recepcji na dole wspomniał, że na trasie były jakieś kłopoty – powiedział Underhill. – Nie mogę nie pamiętać, co wydarzyło się na Kennedym.
- Murphy obrzucił go beznamiętnym spojrzeniem.
- Był mały problem, można to tak nazwać, jak sądzę. Kiedy załoga sprawdziła samolot, znalazła pasażera, który nie opuścił swojego miejsca. Spał z czasopismem na piersi. Dopiero kiedy podnieśli czasopismo i potrząsnęli nim, odkryli, że nie żyje. Skręcony kark. – Pokręcił głową. – Nadal czekamy na identyfikację.
- Więc może być wszędzie – powiedział Poole. – Właśnie to pan nam mówi. Mógł zabukować następną lot zaraz po wyjściu z samolotu.
- Cóż, mamy ludzi na lotnisku Goloson. To znaczy oni mają tam ludzi. – Porucznik odsunął się od stołu i wstał. – To chyba wszystko, co mam wam do powiedzenia, panowie. Będziemy w kontakcie. – Ruszył do drzwi.
- Innymi słowy, nikt go jeszcze nie znalazł. Nie wiemy nawet, jakim nazwiskiem się posługuje.
- Murphy dotarł do drzwi.
- Zadzwoń, gdy będę miał jakieś dobre wiadomości. – Umknął z pokoju.
- Dalton wszedł sekundę później, jakby czekał za drzwiami.
- Już wszystko wiecie? Zabiorę was na dół, nie ma się czym przejmować, policja w całym Hondurasie szuka tego faceta. Honduranie będą stawać na głowie, żeby wyświadczyć nam przysługę, proszę mi wierzyć, i nasz człowiek za parę dni wyląduje w areszcie. Cieszę się, że obrażenia panów nie były zbyt poważne. Doktorze, niech pan powie tej swojej ładnej dziewczynie, że jeśli kiedyś będzie miała dość...
- Wyszli na chodnik w płaszczach nieboszczyków.
- Jak jest w Hondurasie? – zapytał Poole.
- Nie słyszałeś? – powiedział Underhill. – Kochają nas tam.

Część ósma

Tim Underhill

A co było potem?

Nic.

Nic się nie stało.

Minęły dwa lata, odkąd wyszliśmy z Michaeliem Poole'em z komisariatu i pojechaliśmy do Sajgonu, starej restauracji Tiny Puma. O Koko, M.O. Denglerze czy jak on się teraz nazywa, słuch zaginął. Są chwile – kiedy wszystko w moim życiu idzie gładko – w których wiem, że Koko nie żyje.

To prawda, że Koko musiał tęsknić za śmiercią – sądzę, że myślał, iż daje swoim ofiarom dar wyzwolenia od straszliwej wieczności, którą postrzegał wszędzie wokół siebie. „Jestem Esterhaz”, napisał w liście, który zostawił Michaelowi, i częściowo chodziło mu o to, że to, co wydarzyło się na zamarniętych brzegach rzeki Milwaukee, dla niego nigdy nie przestało się dziać, bez względu na to, ile razy zabił, by to powstrzymać. Tam i z powrotem opisuje wieczność, która stała się nie do zniesienia dla uwięzionego w niej człowieka.

Porucznik Murphy w końcu przysłał Michaelowi Poole'owi kopie niektórych zdjęć znalezionych w pokoju YMCA. Były to zdjęcia skazanych lub oskarżonych seryjnych morderców, wycięte przez Denglera z gazet i czasopism. Ted Bundy, Juan Corona, John Wayne Gacy, Wayne Williams, David Berkowitz – nad każdą głową Dengler narysował płaski okrągły złoty pierścionek: aureolę. Byli agentami wieczności i w najgorszych chwilach myślę, że Koko także nas, członków plutonu Harry'ego Beevera, widział w ten sposób, jako brudne anioły, agentów wyzwolenia z jednego rodzaju wieczności w drugi. „Mam pracę do wykonania”, powiedział w suterenie na Elizabeth Street, i to, że nie mieliśmy o nim ani od niego żadnych wiadomości, wcale nie oznacza, że jego praca dobiegła końca albo że przestał ją wykonywać.

Rok po tym, jak Koko przepadł w Hondurasie, skończyłem książkę. Mój stary wydawca, Gladstone House, opublikował ją pod tytułem *Tajemny ogień*. Recenzje były świetne, a sprzedaż, choć nieco mniej świetna, miała mi zapewnić samowystarczalność podczas pisania następnej książki, literatury faktu o M.O. Denglerze i Koko. Tyle że teraz wiem, że nie mogę jej napisać – tak naprawdę nie wiem, czym jest literatura faktu; nie można przywiązać orła do konia pociągowego bez cierpienia ich obu.

Gdy tylko mogłem sobie na to pozwolić, poleciałem do Tegucigalpy tym samym lotem, z którego Koko uciekł wtedy, kiedy Michael Poole i ja byliśmy zszywani i szprycowani środkami przeciwbólowymi w szpitalu św. Łukasza. I z pewną dozą przelotnych wątpliwości powieściopisarza zobaczyłem – tak jak widziałem dziewczynkę, którą próbował zamordować w Bangkoku – co wydarzyło się podczas tego lotu. Zobaczyłem, jak to się mogło stać, a potem zobaczyłem, że to się stało.

Oto jedna z wersji przylotu Koko do Hondurasu.

Odrzutowiec jest mały i tak stary, że aż grzechocze, i na pokładzie jest niewielu Amerykanów z Ameryki Północnej. Pasażerowie z Ameryki Środkowej mają czarne włosy i ceglastą skórę, są gadatliwi i egzotyczni, i myślę, że Koko od razu poczuł się wśród nich jak w domu. On też wyszedł z piwnicy, on też zostawił tam za sobą dzieci I'a Thuc i dziewczynkę z Patpongu, i teraz rozbrzmiewa w nim inny język. Myślę, że zamyka oczy i widzi szeroki plac w zalanym słońcem małym mieście, a potem widzi plac zasłany martwymi i umierającymi ludźmi. Na stopniach katedry leżą rozciągnięte i powykręcane ciała z rozrzuconymi rękami o półprzymkniętych dłoniach i z wciąż otwartymi oczami. Słońce jest bardzo blisko, duży biały przymglony krąg jak aureola. Mnóstwo much. Koko się poci – wyobraża sobie, że się poci, stojąc na środku placu, skóra mrowi go od gorąca.

Kiedy mały samolot ląduje w Belize, dwie osoby wysiadają w tnący oślepiający blask, który natychmiast je pożera. Z tyłu samolotu, widoczni dla pasażerów, dwaj mężczyźni w brązowych kombinezonach wyrzucają kilka walizek przez otwartą klapę. Biały beton, twarde podskakujące światło.

Po piętnastu minutach są z powrotem w tym świecie nad światem, nad chmurami i deszczem, gdzie Koko czuje się wolny od grawitacji i blisko... Czego? Boga, nieśmiertelności, wieczności? Być może wszystkiego naraz. Gdy zamyka oczy, widzi szeroki chodnik z rzędem kawiarń. Puste białe krzesła otaczają białe stoliki z kolorowymi parasolami, kelnerzy w czarnych kamizelkach i czarnych spodniach stoją w otwartych drzwiach. Potem muzyka wieczności rozbrzmiewa w jego umyśle i widzi zakrwawione trupy leżące bezwładnie na krzesłach, martwych kelnerów w drzwiach, krew spływającą do rynsztoków i w dół nachylonej ulicy...

Widzi brązowe nagie dzieci, krępkie chłopskie dzieci z krótkimi grubymi rękami i szerokimi plecami, spalone w rowie. Obrazy, przewijające się bez grawitacji czy spójności, na szpuli filmu.

Mam pracę do wykonania.

Kiedy lądują w San Pedro de Sula, sześcioro nagle niecierpliwych mężczyzn i kobiet przepycha się w wąskim przejściu, niosąc plecione kosze i butelki bezcłowej whisky. Mężczyźni mają przekrzywione krawaty, ich twarze pokrywa błonka potu. Kiedy mówią, warczą jak psy, ponieważ wyewoluowali z psów, tak jak jedni ludzie wyewoluowali z małp, drudzy ze szczurów i myszy, inni z panter i dzikich kotów, jeszcze inni z kóz, węży, a niektórzy ze słoni i koni. Koko mruży oczy, patrząc przez okno na matowibiały biurowy budynek, terminal. Nad budynkiem wisi bezwładna flaga, na wpół zjedzona przez światło.

Nie tutaj.

Gdy sfora wysiadła z samolotu, samotny mężczyzna z pomarańczową kartą pokładową idzie przejściem do ostatniego rzędu siedzeń. To Honduranin z San Pedro de Sulan w źle dopasowanej jasnobrązowej sportowej marynarce i czekoladowobrązowej koszuli. Pomarańczowa karta pokładowa oznacza, że jest pasażerem krajowym.

Tuż przed ponownym startem Koko wstaje, kiwa głową stewardesie (która ignorowała go przez cały lot) i idzie wzdłuż samolotu, by usiąść obok nowego pasażera.

– Buen' dia – mówi mężczyzna, a Koko uśmiecha się i kiwa głową.

Chwilę później kołują od białego kanciastego biurowego terminalu. Trzęsąc się i grzechocząc, samolot wznosi się nad ziemię i ponownie wkracza w świat bez czasu. Za dwadzieścia minut znowu dotkną ziemi i gdzieś w ciągu tych dwudziestu minut, być może w chwili, gdy stewardesa znika w toalecie albo w kokpicie, Koko staje w przejściu. Krew szumi mu w żyłach i czuje w sobie słodką nieuniknioną potrzebę. Wieczność wstrzymuje oddech. Koko uśmiecha się i wskazuje podłogę. Mówi: „Pan upuścił te pieniądze?”. Mężczyzna w jasnobrązowej marynarce zerka na niego z ukosa i pochyła się, żeby spojrzeć na podłogę kabiny. Koko zbliża się do niego, obejmuje ramionami szyję mężczyzny i mocno, szybko przekręca głowę. Trzask jest zbyt cichy, by dał się słyszeć w hałasie silnika, i ciało mężczyzny bezwładnie opada na fotel. Koko siada obok zwłok. Teraz jego uczucia są dla mnie nieprzeniknione. Jest pytanie, które świat cywilny zawsze zadaje weteranom wojennym, po cichu lub wprost: Jak to jest kogoś zabić? – ale uczucia Koko w tej chwili są zbyt osobiste, wplecione w jego straszną historię, i tej ciemności nie mogę spenetrować.

Powiedzmy: słyszy duszę zmarłego pędem wychodzącą z ciała i jest to zdezorientowana, nieszczęśliwa dusza, zaskoczona nagłym uwolnieniem.

Albo powiedzmy: Koko patrzy na przestrzał przez dach samolotu i widzi swojego ojca siedzącego w chwale na złotym tronie, kiwającego głową z surową aprobata.

Albo: natychmiast czuje istotę zmarłego, jego esencję, wślizguje się w jego ciało przez oczy, usta lub otwór na końcu penisa i jest tak, jakby zjadł tego człowieka, bo w jego umyśle rozbłyskują myśli i wspomnienia, i Koko widzi rodzinę i rozpoznaje swojego brata, swoją siostrę:

widzi mały białony domek przy polnej drodze, a przed nim zardzewiały samochód

czuje zapach tortilli smażonych na poczemnialej blasze...

Dość.

Koko wyjmuje z kieszeni mężczyzny pomarańczową kartę i zastępuje ją własną. Sięga w zanadze jego marynarki i wysuwa portfel. Jego palce otwierają portfel, jest ciekawy, kim jest teraz, kim jest ten, którego zjadł i w którym teraz żyje; czyta swoje nowe nazwisko. Na koniec kładzie na twarzy zmarłego czasopismo z kieszeni na oparciu fotela i składa martwe ręce na kolanach. Teraz trup śpi i stewardesa nie będzie nim potrząsać, dopóki wszyscy nie opuszczą samolotu.

Potem samolot zaczyna schodzić w kierunku małego lotniska w La Cieba.

Za chwilę dotrzemy do La Cieba.

Wyobraź sobie, że jesteśmy nie w Ameryce Środkowej, ale w Wietnamie. Jest pora deszczowa i w namiotach w Camp Crandall zielone metalowe szafki lśnią od skroplonej pary wodnej. Słodki dym marihuany unosi się w powietrzu wraz z muzyką, której słuchamy. Spanky Burrage, obecnie terapeuta odwykowy w Kalifornii, odtwarza taśmy na swoim dużym magnetofonie szpulowym „Sony”, kupionym w Sajgonie, w mieście, nie restauracji, za okazjną cenę. W dużej zielonej torbie w nogach pryczy Spanky'ego leży trzydzieści albo czterdzieści taśm z muzyką nagrałą przez jego przyjaciół z Little Rock w stanie Arkansas. Prawie same utwory jazzowe, a ręcznie wypisane etykiety na kartonowych pudełkach zdradzają nazwiska wykonawców: Ellington, Basie, Parker, Rollins, Coltrane, Clifford Brown, Peterson, Tatum, Hodges, Webster...

To namiot braci i tutaj zawsze gra muzyka. M.O. Dengler i ja zostaliśmy tu przyjęci, ponieważ uwielbiamy jazz, chociaż Dengler, mniej lub bardziej kochany przez każdego żołnierza w obozie, byłby tu mile widziany, nawet gdyby myślał, że Lawrence Welk kierował światnym jazzbandem.

Muzyka brzmi tu inaczej niż na całym świecie: tu ma inne rzeczy do powiedzenia i dlatego musimy jej słuchać nadzwyczaj uważnie.

Spanky Burrage bardzo dobrze zna swoje taśmy. Dokładnie wie, gdzie znaleźć praktycznie każdy utwór, i znajduje go, przesuując taśmę tam lub z powrotem. Pamięć pozwala mu odtwarzać długie sekwencje tego samego utworu w wykonaniu różnych muzyków. Spanky lubi to robić. Puści The Sunny Side of the Street Arta Tatum, a zaraz potem to samo w aranżacji Dizzy'ego Gillespiego i Sonny'ego Rollinsa; Indianę Stana Getza, później Donnę Lee Charliego Parkera z tymi samymi akordami, lecz inną melodią; April in Paris Counta Basiego i Theloniousa Monka; czasami pięć wersji Stardust z rzędu, sześć How High the Moon, kilkanaście bluesów – wszyscy idą do tej samej studni, ale wracają z inną wodą.

Spanky zawsze wracał do Duke'a Ellingtona i Charliego Parkera. Siedziałem przed głośnikami „Sony” obok M.O. Denglera może ze dwadzieścia razy, podczas gdy Spanky po Koko Duke'a puszczał utwór Parkera o tym samym tytule. Taka sama nazwa...

– ...ale jakże inne – mówi Spanky. I przewija szpulę, aż pojawia się żądany numer, i nawet na niego nie patrząc, zaciągając się długim skrętem z najlepszego zioła Si Van Vo, naciska stop i zaraz potem play.

W Wietnamie właśnie tego słuchamy. Najpierw Koko Ellingtona.

To muzyka groźby i świata, co oznacza, że świat jest w niej zawarty. Długie złowieszcze tony saksofonu barytonowego kontrpunktują pomruki puzonów. Sekcja saksofonu rozpoczyna chwiejną, rozkołysaną, niepokojącą melodię. W ciemności grzmia i drżą dwa puzony, ma waaa wa waa, jak ludzkie głosy na granicy mowy. To dźwięki, który wyskakują prosto z głośników i zbliżają się do ciebie niczym obłąkany ojciec w środku nocy. Fortepian wydaje koszarne akordy, na wpół zanurzone w kakofonii bandu, a na koniec bas Jimmy'ego Blantona skrada się jak włamywacz, stąpa jak saper zmierzający w kierunku granicy naszego obozu. Nie przyszło nam do głowy, że w całym tym zagrożeniu może być coś celowo teatralnego, a nawet komicznego.

– Dobra – mówi Spanky. – Teraz Bird.

Wyjmuje szpulę Ellingtona, wkłada Parkera. Spanky Burrage wielbi Birda, Charliego Parkera. Przewija taśmę do właściwego numeru, znów prawie nie patrząc. Spanky wie, gdzie zaczyna się Koko. stop. play.

Natychmiast przenosimy się do innego świata, równie groźnego, ale znacznie nowszego – do świata, który wciąż jest nanoszony na mapę. Ten utwór został nagrany w 1945 roku, pięć lat po Koko Ellingtona, gdy modernizm wreszcie przeniknął do jazzu. Koko Parkera jest oparte na standardzie Cherokee angielskiego muzyka jazzowego Raya Noble'a, choć nigdy się o tym nie dowiesz, chyba że rozpoznasz harmoniczny wzór.

Zaczyna się od improwizowanych pasaży o wielkiej złożoności i pilności, by w końcu przejść do fragmentu tematu, który jest szorstką abstrakcją Cherokee, również pozbawioną sentymentów jak portret Dory Maar Picassa czy akapit Gertrudy Stein. W przeciwieństwie do utworu Ellingtona nie jest to muzyka zbiorowej wypowiedzi: jest zaciekle indywidualna. Po abstrakcji tematu zaczyna się Parker. Przez cały pierwszy refren przewija się poczucie nieuchronności, i do tego zostaliśmy tak skutecznie przygotowani.

Ponieważ Charlie Parker od razu zaczyna śpiewać, niemal magicznie tworząc jedność ze swoim instrumentem, harmonią utworu i wyobraźnią. Jest przepełniony emocjami i rozmyślnie jąka się na początku frazy, a fraza mówi: „Mam pracę do wykonania”. Natychmiast ją powtarza, z większą pasją, więc tym razem brzmi: „Mam pracę do wykonania”. Przez całą długą pierwszą część solówki gra z absolutną płynnością w napiętym i nieubłagany rytmie.

Później dzieje się coś zdumiewającego. Kiedy Parker dociera do łącznika, cały ten śpiew z otwartym gardłem na tle zagrożenia rozpuszcza się w olśniewającym blasku poruszającego wyobraźnię splendoru. Parker zmienia rytm i przyspiesza, i całą jego pilność spowija gracja myśli, które stają się mozartowskie, nasycone wielkim spokojem i pięknem.

To, co Charlie Parker robi na łączniku Cherokee, przypomina mi sen Henry'ego Jamesa – ten, o którym opowiadałem Michaelowi w szpitalu. Jakaś postać załomotała w drzwi sypialni. Przerażony James napał na nie, nie chcąc jej wpuścić. Nieuchronność, zagrożenie. W swoim śnie James robi coś nadzwyczajnego. W przypływie odwagi otwiera drzwi i rzuca się na napastnika. Postać już ucieka, jest tylko punktem malejącym w dali. To sen o uniesieniu i triumfie, o chwale.

Tego słuchaliśmy w ociekającym wodą namiocie w 1968 roku w Wietnamie, M.O. Dengler, Spanky Burrage i ja. Można by rzec... słyszeliśmy strach rozcieńczony przez maestre.

Widzicie, pamiętam starego M.O. Denglera. Pamiętam człowieka, którego kochaliśmy. Gdybym w suterenie czynszówki przy Elizabeth Street stanął przed wyborem: zabić go lub pozwolić mu odejść, wybrałbym drugą możliwość, chyba że zabicie go byłoby jedynym sposobem na ocalenie mojego życia. Chciał się poddać. Chciał się poddać i gdyby Harry BeEVERS go nie zdradził, zbliżyłby się do naszego

moralnego świata. Wierzę w to, ponieważ muszę w to wierzyć i ponieważ wiem, że Koko mógł z łatwością zabić całą naszą trójkę w swoim pokoju w suterenie. Postanowił tego nie robić. Zbliżył się do naszego świata na tyle, że pozwolił nam żyć. Dlatego Michael i ja mamy jednakowe bliźny, które zmieniły nas w braci – bliźny są znakiem, że Koko postanowił darować nam życie. Miał pracę do wykonania, pracę do wykonania, i może ta praca polegała...

Jeszcze nie mogę tego powiedzieć.

Sześć miesięcy po naszym wyjściu z sutereny Harry Beevers zameldował się w okazałym hotelu, właśnie wtedy otwartym na Times Square: jeden z tych nowych hoteli z atrium i wodospadem. Dostał apartament, o który prosił, wjechał na górę szklaną bańką windy, dał dziesięć dolarów napiwku portierowi, który niósł walizkę, zamknął drzwi, otworzył walizkę i wypił butelkę wódki, będącej jednym z dwóch przedmiotów w walizce, rozebrał się, położył na łóżku, masturbował się, wyjął z walizki rewolwer Police Special kaliber 38, drugi przedmiot przyniesiony z mieszkania, przyłożył lufę do skroni i pociągnął za spust. Zmarł cztery godziny później. Na prześcieradle obok jego głowy znaleziono kartę do gry; myślę, że impet kuli wybił ją z ust. Życie stało się dla niego bezużyteczne, więc je wyrzucił.

Harry otworzył drzwi i cofnął się, by wpuścić ciemną postać. Nie miał pracy, brakowało mu pieniędzy i zawiódła go wyobraźnia. Jego złudzenia były całą wyobraźnią, jaką miał – okrutne ubóstwo.

Może Koko w akcie podobnej desperacji kiedyś otworzył drzwi, cofnął się i wpuścił mroczną postać.

Michael Poole codziennie dojeżdża na Bronx, gdzie w lokalu na parterze od ulicy praktykuje coś, co nazywa „medycyną pierwszej linii”. Maggie uczęszcza na kursy na Uniwersytecie Nowojorskim, ale chociaż otacza ją niewątpliwa aura osoby z wytyczonym celem, nie mówi o swoich planach. Michael i Maggie wydają się bardzo szczęśliwi. W zesłym roku zbudowaliśmy dla nich nowe poddasze nad starym poddaszem Tiny, gdzie teraz mieszkam z Vinhem i Helen. Wiodę zwyczajne, umiarkowane życie pośród tych ludzi i czasami o szóstej schodzę na dół, żeby wypić drinka z Jimmym, bratem Maggie, który pracuje za barem w Sajgonie. Jimmy jest niegodziwcem i teraz, gdy znam tak niewielu niegodziwców i sam już do nich nie należę, raczej go sobie cenię.

Myślę, że Koko chciał pojechać do Hondurasu – myślę, że Ameryka Środkowa wołała do niego, może z powodu Rosity Orosco, może dlatego, że wyobrażał sobie, iż tam spotka się ze swoją śmiercią. W Hondurasie nietrudno byłoby umrzeć. I może tak się stało, i Koko od dwóch lat leży w pośpiesznie wykopanym grobie, zastrzelony przez policję, bandę złodziei, milicję, pijanego farmera albo przestraszonego chłopca z pistoletem. Miał pracę do wykonania i być może praca polegała na znalezieniu jego własnej śmierci. Może tym razem motłoch złapał go, rozerwał na kawałki i rozrzucił je po tłustym polu.

STOP.

PLAY.

Poleciałem do Nowego Orleanu i podszedłem do lady, gdzie człowiek nazywający siebie Robertem Ortizem kupił bilet w jedną stronę do Tegucigalpy. Kupiłem bilet do Tegucigalpy. Dwie godziny później wsiadłem do małego samolotu i po trzech godzinach wylądowaliśmy w Belize. Ciepło wlało się przez drzwi, gdy wysiadło kilku pasażerów. Mężczyźni w brązowych kombinezonach otworzyli luk bagażowy, odbite od białego betonu płaskie światło wpadło prosto do kabiny. Z Belize poleciliśmy do San Pedro de Sula, gdzie zobaczyłem pudełkowaty biały terminal z przygnębioną flagą. Tam wsiadli Honduranie z pomarańczowymi kartami pokładowymi. Znowu szbiliśmy się w powietrze i prawie równie szybko opadliśmy w La Cieba.

Zdjąłem torbę podróżną z bagażnika i ruszyłem do wyjścia. Obojętna stewardesa otworzyła drzwi i zszedłem po mobilnych schodkach do świata, który wybrał Koko. Upał, kurz, nieruchome światło. Po drugiej stronie płyty na platformie przypominającej rampę załadunkową stał niski budynek z surowych szarych desek, może bar albo podupadły zajazd. Był to terminal. Koko siedł po tej płycie w kierunku terminalu, i ja zrobiłem to samo, i wszedłem po drewnianych schodach, aby przejść przez budynek.

Ciemnowłose dziewczyny w niebieskich mundurkach linii lotniczych siedziały na skrzynkach z wyciągniętymi przed siebie pięknymi nogami. Koko też miał leniuchujące stewardesy. Umundurowany chłopiec-zołnierz, z karabinem wysokim prawie jak on sam, ledwie na niego zerknął, pograżony w znużeniu zbyt głębokim, żeby mógł go rozruszać widok białego mężczyzny z Ameryki Północnej. Nawet nie spojrzął na moją kartę pokładową. Jego pogarda dla gringos jest jak beton, jesteśmy dla niego niewidzialni. Zastanawiam się: Koko teraz odwraca się i co widzi? Anioły, demony, słonie w kapeluszach? Myślę, że widzi ogromną i obiecującą pustkę, w której może ponownie zacząć uzdrawiać. Kilka kroków za chłopcem-zołnierzem otworzyłem drzwi i znalazłem się we właściwym terminalu.

Byliśmy w długiej, gorącej, zatłoczonej przestrzeni. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte przez tłuste brązowe matki z tłustymi brązowymi oseskami. Latynosi w szerokoskrzydłych kapeluszach stali

przy zakurzonym barze, kilku młodych żołnierzy o pustych oczach ziewało i przeciągało się, a dwoje różowych Amerykanów spojrzało w górę i odwróciło wzrok. Już nas tam nie ma, zniknęliśmy.

Przede mną, zarówno w przestrzeni, jak i w czasie, Koko wychodzi z terminalu Goloson i wraca na słońce. Mruga; uśmiecha się. Okulary słoneczne? Nie, jeszcze nie, odszedł zbyt śpiesznie, żeby myśleć o okularach słonecznych. Z kieszeni koszuli wyciągam moje, z okrągłymi czarnymi szklami wielkości ćwierćdolarówek, i zahaczam końce drucianych zauszników o uszy. W ciemnych tonach widzę to, co widział Koko – krajobraz, który go pochłonął. Oddala się od terminalu niedbałym krokiem, swobodnie, bez oglądania się za siebie. Nie wie, że z odległości ponad roku patrzę, jak pewny krok niesie go wąską wiejską drogą. Przed nami rozciąga się płaski krajobraz w skrócie perspektywicznym, nie-miejsce, bardzo zielony i bardzo gorący. Niespełna milę dalej wznosi się szereg niskich, słabo zalesionych wzgórz. Myślę o Charliem Parkerze pochylającym się jakby w objęcia otaczających go warunków; myślę o starym grubym Henrym Jamesie otwierającym drzwi i rzucającym się przed siebie; chciałbym przelać na strony skomplikowaną radość tych obrazów. Długie, prawie bezlistne gałęzie drzew jakarandy zwisają w morderczym upale. Jest to las nie-miejsca, sam w sobie bez znaczenia: po prostu las, który rośnie na niskich wzgórzach i ku któremu, krok po kroku, zmierza mała szczupła postać.

1 POW-MIA (*PRISONERS OF WAR-MISSING IN ACTION*) – JEŃCY WOJENNI I ZAGINIENI W AKCJI

2 W amer. slangu z wojny wietnamskiej *number ten* – najgorszy; *number one* – najlepszy.

3 Wszystkie cytaty biblijne za *Biblią Tysiąclecia*.

4 W oryg. *survival of the fittest* – dosł. przetrwanie najsilniejszych.

5 Emma Lazarus, *Nowy kolos rodyjski*, przeł. Wiktor J. Darasz.

6 W oryg. *ill-u-shun* – *illusion* – Iluzja; a zarazem „Zło, którego unikasz” (*ill* – zło, *u-* ty, *shun* – unikać, wystrzegać się).

7 *Murphy* (kartofel) – stereotyp amerykańskiego policjanta pochodzenia irlandzkiego.

8 Charlotte Brontë, *Dziwne Losy Jane Eyre*, przeł. Teresa Świdarska.

9 College of William & Mary – uniwersytet w Williamsburgu (Wirginia Zachodnia).

10 W oryg. *the buck passes here* (dosł. tu przechodzi dolar) – Conor przekręca wyrażenie *the buck stops here* (dosł. tu zatrzymuje się dolar) spopularyzowane przez prezydenta Harry’ego Trumana, który miał na biurku tabliczkę z takim napisem oznaczającym gotowość do podejmowania decyzji i przyjęcia za nie odpowiedzialności (zrzucić odpowiedzialność na innych to *pass the buck*).